R G B WH GR BL Grey Scale #13 C M Y K

DANES PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Colour Chart #13

Centimetres Inches

Blue Cyan Green Yellow Red

Magenta White 3/Color Black

DANES PICTA .COM

TWÓRCY BOGÓW.

KRAKÓW. DRUKARNIA UNIWERSYTETU JAGIELL.
POD ZARZĄDEM JÓZEFA FILIPOWSKIEGO. 1904.

Kazimiery Zakowskiej.

WITOŁD SCHREIBER.

TWÓRCY BOGÓW

Z TAJEMNIC WIERZEŃ LUDÓW PIERWOTNYCH.

Z 78 ILLUSTRACYAMI W TEKSCIE.

WE LWOWIE. NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ
B. POŁONIECKIEGO. WARSZAWA E. WENDE I SP. 1904.

2(09)

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.
54378/2
im. F. Dzierżyńskiego

SŁOWO WSTĘPNE.

Oddaję w ręce Szanownych Czytelników tę książkę w przeświadczeniu, że odsłoni ona choć w części tajniki wierzeń ludowych, okaże w najgrubszych przynajmniej zarysach ten surowy materyał, na którym, myśl ludzka, przygarbiona pracą długich wieków, rzeźbiła swoje religijne ideały. Nie jest bynajmniej mojem zadaniem zapuszczać się w ciężkie naukowe dysputy, pragnę bowiem ten, bogdaj czy nie jeden z najciekawszych tematów wiedzy, uprzystępnić dla najszerszego grona czytelników, nawet takich, których poważny napis książki razi i zniechęca.

Przestrzegając wszędzie zgodności faktów z obecnym stanem wiedzy, starałem się utrzymać książkę na wyżynie naukowej, a tak myślę, że nie zaniechałem niczego, co mogłoby zapewnić jej stanowisko popularno-naukowej pracy.

W tej nadziei puszczajac ją w świat, nie mogę nie złożyć na tem miejscu serdecznego podziękowania WP. Michałowi Rembaczowi, dyrektorowi c. k. wyższej szkoły realnej, za zawsze chętną gotowość w ułatwianiu mi niniejszej, z powodu braku wszelkich środków naukowych, z wielu trudnościami połączonej pracy na prowincyi, zaś WP. Aleksandrowi Kubiczkowi, tudzież uczniom moim, pp. A. Bernardowi i St. Dorożyńskiemu, za bezinteresowną, umiejętną pomoc w dziale illustracyjnym.

W Tarnopolu, w styczniu 1903.

Witołd Schreiber.

»Dopiero u wyższych zwierząt i człowieka wznosi się świadomość na tę wyżynę, na której można badać ją, jako odrębną władzę duszy. To jednak nie odrazu dzieje się, ale postępuje leniwie i powoli, dzięki ulepszonej organizacyi mózgu i układu nerwowego, a zarazem rosnącego bogactwa wrażeń i wzmagającej się z tem ilości wyobrażeń.

I właśnie świadomość okazuje się bardziej od materyalnych warunków lub stanów zawisłą, aniżeli każda inna własność duszy. Przychodzi, postępuje, znika i pojawia się znowu, związana nieodłącznie z całem mnóstwem materyalnych wpływów na organ ducha».

(L. Büchner).

Wyrazy »bóg« i »religia« ulegają zazwyczaj fałszywemu rozumieniu, o ile odnosi się je do wierzeń ludów pierwotnych. Dziki lub barbarzyniec oznacza mianem »bóg« wszelką istotę nadludzką, nadludzką rozumie się z jego stanowiska widzenia. Więc nazwie bogiem szarańczę, kruka lub tygrysa, nazwie tak błyskawicę, chmurę albo wiatr, ducha dobrego lub złego, wreszcie i bóstwo potężne, niewidzialne, z którem liczy się tylko w jakimś szczególnym wypadku, bo wielkie bóstwa ludów pierwotnych mają w sobie zazwyczaj arcyarystokratyczną naturę, która niechętnie udziela zwykłemu śmiertelnikowi audyencyi.

Jeżeli ludy pierwotne obejmują mianem »bóg« wszelkie, niewyjaśnione zjawiska natury lub płód własnej wyobraźni, to człowiek cywilizowany przemyca pod pojęciem »religia« wszelki objaw oddziaływania czyli reakcyi umysłu dzikiego na wpływy zewnętrzne. To jednak dzieje się najniesłuszniej i nastręcza powód do różnorodnych zawikłań i nieporozumień.

To bowiem, co my rozumiemy przez wyraz »religia«, to

co czyta w nim każdy naród, zajmujący wyższą cywilizacyjną pozycyę, jest dziełem długich wieków, dziełem mimoto nieukończonem jeszcze, ale pojętem w ciągłym, chociaż powolnym postępie, w ustawicznym rozwoju. Nie byłaby to jeszcze żadna zasadnicza cecha, dla której należałoby wyraz »religia« zastąpić wyrazem »wierzenia« o ile mowa będzie o ludach pierwotnych, gdyż świat ich myśli poddany jest również nieustannej ewolucyi, ciągłym przemianom. I właśnie dzięki tej ewolucyi, wytworzy się kiedyś z ich wierzeń religia. Dziś bowiem, są one dla przeważnej ilości plemion pierwotnych wszystkiem, są ich filozofią, są ich historyą plemienia, są ich poezyą i ich sztuką, są krótko mówiąc, skarbnicą całej ich wiedzy, a jako takie, nie zasługują na miano religii dopóty, aż pojęcia, odnoszące się do nadzmysłowych zjawisk nie wyodrębnią się, aż w bezładzie ich nie nastąpi jakiś porządek, który powiąże je wzajemnie w pewien stały układ. Mają się więc te wierzenia do religii, jak ociosana z najgrubsza bryła kamienna, na której tylko rzucono nieznacznie zarysy, do jednej części posągu, który mistrz dłuta wkrótce wyrzeźbi. Tam zlewa się wszystko w jedną niekształtną całość, na której słabo majaczeją przyszłe części, tu każda z tych części uwydatnia się i przybiera samodzielny charakter, o właściwych sobie szczegółach budowy.

Ale nawet wyodrębnienie się danej grupy wierzeń i odpowiednich praktyk nie uprawnia jeszcze do miana »religii«. Od tej ostatniej bowiem wymaga się czegoś więcej, aniżeli od prostej kroniki, zapisującej myśli i czyny pewnej grupy ludzi, od niej wymaga się ustawicznej łączności z jej wyznawcami, ustawicznego wpływu na istotę ich czynów, a to stać się może wówczas, gdy religia, przystosowując się nieustannie do ich potrzeb i mając na względzie pierwiastek etyczny, stanie się mistrzynią myśli i czynów.

Z takiem pojęciem religii, nie mają wierzenia ludów pierwotnych nic a nic wspólnego.

Dziki czci swoje bóstwo, kłania się mu, składa mu ofiary i byle tylko tych formalności dokonał, pewnym być może

skutku swoich życzeń! Może być sobie poza tem szalbierzem, złodziejem, rozbójnikiem lub oszczercą, albo może — viceversa — co rzadziej bywa, trzymać się cnoty za poły płaszcza, jak dziecko sukni matczynej, w to niema bóstwo najmniejszego prawa wglądać, bo to należy do ludzi. Owszem, kapłani, uzdrawiacze ludzi, czarodzieje, wieszczbiarze i t. p., w których bóstwo wciela się od czasu do czasu, dźwigają na swojem sumieniu taką moc najohydniejszych zbrodni, że, gdyby piekło miało istotnie tak wygórowaną o sobie ambicyę, jak ludzie sądzą, spaliłoby się ze wstydu.

Ale i same ofiary nie są niczem innem, tylko zaliczką, zapłatą z góry za to, co później bóstwo proszącemu uczyni, a samo składanie ich formalnem kupczeniem, istnym handlem. Daję ci boże, lub dałem to i to, a ty daj mi za to tamto, oto esencya, przewodnia myśl przeważnej części modlitw.

Składając ludzką ofiarę bogini ziemi, modlą się Kongowie: »Za nasze bydło, nasze trzody, nasze prosięta i nasze zboże, dostaliśmy ofiarę i poświęcamy ją tobie. Wzbogać nas teraz. Spraw, niech nasze stada będą tak wielkie, iżby nie mogły pomieścić się w oborach, a nasze dzieci tak liczne, ażeby staranie koło nich przechodziło siły rodziców i aż ujawniało się w ich opalonych rękach; niech nasze głowy uderzają nieustannie o naczynia mosiężne, wiszące w niezliczonej ilości u naszych poddaszy, niech szczury ścielą swe gniazda ze skrawków szkarłatnej tkaniny i jedwabiu« i t. d.

Prawda! zdarza się, że ten lub ów odprawia nieraz pokutę, odmawia sobie tego lub owego, co bóstwo zaleci mu przez usta kapłana, ale rady takie płyną zawsze z chwilowych, egoistycznych pobudek, i same, a nawet cześć dla bóstwa, ustępują wówczas, gdy te pobudki ustąpią.

Jedną z takich najczęstszych pobudek jest obawa przed duchami, które mogą i pragną człowiekowi zaszkodzić, a w około obaw tego rodzaju grupuje się przeważna część życia dzikiego. Zresztą człowiek pierwotny rozumuje bardzo logicznie, bo powiada: Dobrego, bać się nie trzeba, gdyż on

dobry i nie trzeba mu składać ofiar, bo skoro on dobry, to i tak nic złego nie zrobi, więc za cóż płacić? Ale złego bać się należy, a ponieważ on rad czyha, aby człowiekowi źle zrobić, przeto trzeba go pozyskiwać na swoją stronę, przekupywać ofiarami, przemawiać doń przez modlitwy, nakłaniać prośbami lub wzruszać własną nędzą. I tak dzieje się, że, gdy człowiek pierwotny o dobrych bogach pamiętać nie ma potrzeby, widzi się niebawem otoczony przez same nieprzyjazne istoty, od których nie może uciekać po ratunek i pomoc nigdzie, prócz do samego siebie.

Stare przysłowie czy rada: »pal Bogu jedną świeczkę, dyabłu zaś dwie«, ma swoje źródło w takiem rozumieniu rzeczy.

Neger zachodnio-afrykańskich wybrzeży czci swego fetysza, kiedy obawia się choroby lub burzy, natomiast Boga chrześciańskiego waży sobie lekce, raz dlatego, że jest to bóg dobry, powtóre dlatego, że jest w jego oczach za słabym, aby dać sobie radę z demonem choroby lub śmierci. Według jego przekonania, nie powinien On pozwolić wyznawcom swoim chorować ani umierać.

Jasna tedy rzecz, że o religii w takich warunkach mowy być nie może, stąd też pytanie, rzucane i rozstrzygane nawet przez wybitnych uczonych, czy są ludy bez religii, jest bezprzedmiotowem i bezpodstawnym jest wszelki spór w tej mierze.

Nie wynika jednak z tego, aby człowiek pierwotny nie posiadał żadnych takich pojęć, które my chcielibyśmy byli oznaczyć mianem religii. »Jest wiele ludów — powiada Schurtz — takich, u których nie może mowa o religii w naszem rozumieniu znaczenia tego wyrazu, ale nie ma żadnego, który nie posiadałby zawiązków religii w tej lub owej postaci«.

Patrząc ze stanowiska dzisiejszego materyału faktów, trudno nie przyłączyć się do tego zapatrywania znakomitego uczonego. Każdy bowiem ze znanych dziś ludów, stojących na stopniu kultury pierwotnej, posunął się o tyle w cywilizacyi, że zdołał stworzyć sobie jaki taki przynajmniej świat

wierzeń, często wprawdzie nielogicznych do zastanowienia i śmiesznych do dzieciństwa, często niedołężnych i nierozumnych, ale zawsze takich, które możemy, a nawet musimy uważać za podstawy, za pierwociny tych systemów religijnych, jakie spotykamy dziś wśród najwyżej cywilizowanych społeczeństw. O ile więc badacz szukałby tu napróżno religii, jako gotowego pojęcia, o tyle wykrycie śladów jej, pierwiastków, otwiera zajmujące i rozległe pole pracy. Ale właśnie zbadanie tych pierwiastków, wykrycie ich stanowi problemat trudny, a często wprost niemożliwy do rozwiązania.

Różne składają się na tę trudność czynniki: to badacz, to badany, to obydwaj razem ponoszą winę, zaś właściwie jednak nikt, bo przyczyna jej leży prawie zawsze poza nimi.

W pierwszej linii jest nią olbrzymia rozległość, nie dająca się wprost uchwycić wszechstronność materyału.

Botanik, geolog, astronom i t. p. ma swój dział, poza którym może nic więcej nie obchodzić go; badacz kwestyi religijnych natomiast stoi jak podróżny w dużem, bezładnem muzeum, gdzie tysiące szczegółów ciśnie mu się do oka, każdy ma swoją historyę i swoje znaczenie, które należałoby uwzględnić, aby poznać pracę pewnego narodu w kilku okresach czasu, każdy wydaje się mu równie ważnym i wymownym, nie wie od czego zacząć, więc błąka się bez programu z miejsca na miejsce i wychodząc wreszcie, przyznać musi, iż »wie, że nic nie wie«.

Umieć wybrać szczegóły ważne, a pominąć przygodne, oto pierwsze zadanie badacza, na pozór proste, w gruncie rzeczy jednak nad wyraz trudne, wymagające bystrego umysłu wyszkolonego uczonego-etnologa i podróżn!ka, a nie laika, który — jak pisze Frobenius — »przerobił studya przygotowawcze w rękawiczkach, w biblii, w Herodocie, albo już w najlepszym razie w historyi filozofii«. Niestety! od takich pochodzi wielka część wiadomości w tej mierze, naszpikowanych przesadzoną grozą i zabarwionych hojnie jednostronnością.

Sposób osądzania zjawisk, oto druga trudność, której

nie mogą pokonać nawet bardzo krytyczne umysły uczonych.

Badacz, roztrząsający kwestye systemów religijnych, stojących co do stopnia rozwoju mniej więcej na równi z jego własną wiarą, znajduje się w tysiąckroć łatwiejszem położeniu, aniżeli ten, który usiłuje wniknąć w te najprostsze, najpierwotniejsze objawy przyszłej religii, — chce naszkicować obraz tego, co odbywało się lub odbywa w prostej, nawpół dzikiej duszy człowieka. Pierwszy stoi wpośród świata zjawisk duchowych, z którymi zżył się, dochodząc odrazu, przez kilkanaście lat swej młodości, nieświadomie niemal do tego, nad czem mozoliły się długie wieki; rola drugiego jest zupełnie odmienną. W nieznanych sobie nowych warunkach daremnie szukałby tych pojęć, które wpajała mu matka od kolebki w jego dziecięcy umysł, daremnie chciałby i próbował mierzyć je tą samą miarą, co swoje własne. Przed nim rozlewa się inny świat, różny od pierwszego, wymagający też różnego traktowania.

I badacz, który postępowałby nie w myśl tej wskazówki i patrzył na to ciekawe, niezrozumiałe dla siebie zazwyczaj, pełne wybujałej fantazyi duchowe życie pierwotnego człowieka przez pryzmat swojej kulturnej, nie zaś jego prostej duszy, nie spostrzeże nigdy tego, co powstrzymałoby go od wyroku: »ten lud nie ma żadnej, a żadnej religii«.

W niemniej trudnem, a kto wie, czy nie trudniejszem jeszcze położeniu znajduje się badany. W jego duszy toczy się walka między obawą i nieświadomością: pierwsza wiedzie go do kłamstwa, druga powoduje niejasność i nielogiczność zeznań, wybiegających często daleko poza ramy pytania i gubiących się w szczegółach, które z badaną sprawą nie wiążą się zupełnie. Ta obawa i nieświadomość idą w parze zazwyczaj: jedno rodzi drugie i jedno w drugiem gubi się. Może nigdzie nie daje się ona tak we znaki nauce, jak w badaniu kwestyi religijnych: człowiek pierwotny staje się jej niewolnikiem w najwyższym stopniu. Przed widmem, które sam sobie stworzył i któremu dał broń do ręki, ucieka i drży na każdym kroku, boi się mówić o niem, bo tem sa-

mem zwróci je przeciw sobie, sprowadzi na siebie chorobę lub śmierć, lub nędzę i niewolę. Niektóre ludy pierwotne tak są pod tym względem ostrożne, tak bardzo obawiają się zwracać czemkolwiek uwagę bóstw swoich na siebie i drażnić ich boską ambicyę, że jeszcze do dziś dnia nadaje sobie arystokrata Madagaskaru umyślnie pogardliwe imiona, aby poniżyć się w oczach bóstwa, a nawet, jako tak wysoce nędzna istota, popaść w zupełne zapomnienie u swego nadziemskiego władcy. Zazwyczaj bywają te imiona stylizowane w wykrzyknikach np.: »O! ty kupo gnoju«, lub coś podobnego, co nie zawsze nadaje się do otwartej dysputy. Podobnych przykładów zna nauka bardzo wiele. Np. na miejscu zaginionego miasta Taksatte i w jego okolicy, wznoszą się olbrzymie kamienne słupy, zabytki pradziejowej kultury. Spytasz krajowca, kto je tu ustawił, to wstrząśnie ramionami i powie, że nic nie wie o tem i objaśnić nie może. Gdy jednak nie poprzestaniesz na takiej informacyi i przyprzesz go do muru, odpowie ci, że kamienie te ustawiły duchy, a mówi to szybko i ledwie dosłyszalnym szeptem, oglądając się dokoła siebie trwożliwie. Skoro po chwili przekona się, że duch jego wyznania nie słyszał, prosi badającego o dochowanie tajemnicy, gdyż obrażone bóstwo zemściłoby się niewątpliwie za jego gadulstwo. Kara śmierci jest w takich razach wprost nieuniknioną.

Bojąc się wypowiedzieć prawdę, a nie chcąc nie powiedzieć nic, uciekają się ludy pierwotne do kłamstwa. Przychodzi im to łatwo nad podziw, bowiem poczucie prawdy rozwinięte jest u nich nader słabo. Jest to, można powiedzieć, jedna ze znamiennych cech charakteru pierwotnego człowieka, która zaciera się coraz bardziej, w miarę, jak posuwamy sie ku coraz wyżej pod względem kultury stojącym ludom. Livingstone wpisał do ostatniego swego dziennika w Unyamwesi: »Tu niczemu nie można wierzyć, co nie jest czarne na białem, a nawet i z tego jeszcze wiele odrzucić wypadnie. Najobszerniejsze zeznania są zazwyczaj prostym wymysłem. Jedną połowę tego, co słyszy się, można

uważać na pewno za fałsz, drugą jako wątpliwą i niewiarygodną«.

Ta zdarzająca się wątpliwość i niejasność zeznań, często sprzeciwiających się z sobą i wykluczających nawzajem, płynie z nieświadomości rzeczy o której prawią. Ma się tu sprawa podobnie, jak obraz w przyrządzie fotograficznym i jego przedmiot. Powstanie na kliszy naświetlonej, pewny, wyraźny rysunek, o wybitnie podkreślonych zarysach i zaznaczonym związku szczegółów pomiędzy sobą, wówczas wnosimy słusznie, że przedmiot fotografowany znajdował się w odpowiednim światłocieniu, który te znamiona jego uwydatnił. Spróbujmy jednak mniej lub więcej osłabić to światło, a wnet ukaże się na kliszy obraz niewyraźny, mdły, bez kontrastów między cieniem a światłem, bez widocznych zarysów, obraz, w którym zanikną mniej lub więcej te szczegóły, a tem samem ich wzajemny związek, jaki w pierwszym razie tak uplastycznił się widocznie. Taki sam mdły, słaby obraz, o szczegółach bez związku i sensu otrzymuje badacz zazwyczaj, ilekroć usiłuje w tej lub owej kwestyi wiary zasięgnąć wiadomości z ust pierwotnego człowieka. Pochodzi to stąd, że badany nie ma sam jasnego wyobrażenia o przedmiocie swojej wiary, w której panuje w przeważnej ilości wypadków chaos, jak na początku biblijnego stworzenia.

I tak dzieje się zazwyczaj, że albo otrzymujemy luźne okruchy, z których skleić całość jest wprost niepodobieństwem, albo też, zamiast poznać istotę wierzeń, poznajemy tylko formy, w których one ujawniają się na zewnątrz.

Dawne sa dzieje wierzeń, ale zapewne nie tak dawne, jak dzieje człowieka. Olbrzymia lawina czasu przewaliła się nad głową tego syna natury, zanim umysł jego, zajęty wyłącznie i jedynie troską o byt, przyszedł do przeświadczenia ścisłej swej zależności od przyrody, i jej zjawisk. Z tymi zjawiskami bowiem związane było najściślej jego życie; wszystko co miał, co posiadał, co cenił, wszystko to pocho-

dziło od przyrody; przez nią, w niej i z nią rozgrywały się jego losy we wszystkich swoich barwach i odcieniach.

Zdaje się, a nawet stanowczo utrzymywać można, że w tej chwili, w której człowiek pierwotny zrozumiał stosunek swój do otaczającej go natury, zaczęły w jego nawpół dzikim umyśle kiełkować pierwociny wierzeń, zaczęły tworzyć się podwaliny, na których stanąć miała olbrzymia składkowa budowa pracy setek pokoleń.

I znowu mijały długie, długie wieki. Z związków myśliwców, jeżeli istotnie należy je przyjąć jako najpierwotniejszą postać ludzkich społeczeństw, poczynały zwolna tworzyć się rody a z nich plemiona, bo za mężczyznami ciągnęły kobiety i dzieci z miejsca na miejsce jako koczownicze gromady.

W miarę jak jedne pokolenia zsuwały się w grób a na ich miejsce powstawały inne i inne w nieskończoność, począł człowiek, jako jednostka poznawać swój stosunek do ogółu, do tych którzy przychodzą lub przyjdą i do tych którzy poszli.

Teraz wydało się mu to stanowisko jego dziwnem i zagadkowem. Martwota śmierci, choroby, cierpienia, wydały mu się czemś wprost nienaturalnem wobec silnego popędu samozachowawczego, ale zarazem stały mu przed oczyma jako nieubłagana konieczność, której każdy ulega i myśli jego wplotły się w nowy świat zjawisk, wśród których ani wyznać się nie umiał, ani nie zdołał dociec ich przyczyn, ani wyjaśnić ich celu. Reakcya na te, zagadkowe jakieś moce stała się drugiem źródłem wierzeń i tak, raz ze zjawisk przyrody, drugi raz zaś ze swego własnego »ja«, z tego czem był jako jednostka wobec przyrody i wobec innych ludzi snuł człowiek przędzę myśli, która stworzyła nowy świat, inny, jako oskarzenie, jako wyraz niezadowolenia z pierwszego.

Śmieszną zazwyczaj i niewyjaśnioną wyda się niejednemu ta reakcya, jakkolwiek jasnem i prostem było zjawisko, do którego ona odnosi się. Znajdziesz się w czasie zaćmienia księżyca na wyspie Timorlaut, a wnet uderzy cię dziwne

poruszenie całej ludności. Świątynie przystrojone uroczyście w gałązki i materye, młode dziewczęta płaczą lub zawodzą żałośnie, zaś reszta bije w bębny, krzyczy przeraźliwie, wznosząc ku górze oczy i grożąc pięściami w tę stronę.

Czegóż chce ta czereda ludzi, robiąca wrażenie waryatów? zapytasz sam siebie, nie rozumiejąc zupełnie sceny, rozgrywającej się przed tobą. Za kim oni płaczą, poco krzyczą, komu wymyślają i grożą?

Tymczasem jak ty nie możesz zrozumieć ich wzruszenia i okiem objektywnego widza przyglądasz się całej scenie, oni patrzą ze zdumieniem na ciebie, nie mogąc wystawić sobie twej obojętności, która pozwala ci spokojnie obserwować, jak wąż, pochłania w swej paszczy wielkiego boga »księżyc«. Jakże można w takiej chwili opuścić bezdusznie ręce i nie grozić potworowi, jak można nie straszyć go bębnami i krzykiem, zmuszając aby wypluł nieszczęśliwą ofiarę, albo, jak wreszcie można tym, którzy nie czują się zdolnymi do obrony, nie okazać przynajmniej płaczem swego współczucia?

Jeżeli podobny wypadek na Timorlaut zdziwiłby cię niepomiernie, to, słysząc modlitwę Dualla, ze szczepu negrów Bantu na zachodniem wybrzeżu Afryki, zgorszyłbyś się do oburzenia.

Oto oburzy cię najpierw długi, przeraźliwy gwizd, po którym nigdy nie sądziłbyś, że jest on wstępem do modlitwy i który powtarza się po każdem niemal jej zdaniu, a petent mówi:

»O! niewinny Niambe, tyś jest wszechwiedzący, znasz moje imię, wiesz gdzie jestem i słyszysz mię. (Gwizd). Ty wiesz, że nic nigdy nikomu nie ukradłem, nikogo nie zabiłem, że nie złamałem nigdy wiary małżeńskiej. (Gwizd). Mówiłem zawsze prawdę, za żonę zaś, którą kupiłem i niewolnika zapłaciłem pełną sumę odrazu i nic nie pozostałem dłużny. (Gwizd). O! niewinny Niambe! Alboż to ty nie wiesz, że nie zazdroszczę swemu sąsiadowi ani jego domu, ani żony, ani niewolników, ani pizangu, ani jego dwóch kóz, ani owoców palmowych, ani też nawet jego nowej czapki,

którą przed kilku dniami sobie kupił. (Gwizd). O niewinny Niambe! Ty jednak znasz i widzisz każde zazdrosne spojrzenie, zwrócone na mnie, na mój dom, na moją żonę, na moje dzieci, na mój ząb słoniowy, schowany w chacie, na moich pięć kóz i moją nową koszulę. (Gwizd). Proszę cię o Niambe, zniwecz każde złe i nieżyczliwe dla mnie oko, które dostrzeżesz. (Gwizd). O Niambe! dlaczegoż nie dajesz mi dzieci, dlaczego mam tylko dwie żony, dlaczego niemam niewolników ani pizangu, dlaczego nie mają potomstwa moje kozy i moje kury? dlaczego nie upolują moi niewolnicy zwierzyny w lesie, ani też nie znajdą kości słoniowej? (Gwizd). O! niewinny Niambe! daj mi nareszcie dzieci i dom i pizang i ryby i owoce palmowe i różne inne pokarmy. A nie zapomnij też o Niambe dać mi europejską lampę i dodać do niej oliwy«.

Istne kpiny z bóstwa — pomyślisz sobie, wysłuchawszy tej modlitwy do końca. Co ma znaczyć gwizd, powtarzający się od czasu do czasu i poprzedzający każdorazowe wezwanie bóstwa, jak wytłómaczyć sobie, że dziki petent okłamuje od początku do końca swego »wszechwiedzącego Niambe« w najbezczelniejszy sposób? Zrazu przedstawia się jako nędzarz, który niema niewolników, niema dzieci, niema kości słoniowej ani pizangu, jakgdyby zapomniał, że wyznał na wstępie, iż ma dzieci, ma niewolników, ma kość słoniową i żonę. Ale w tem ostatniem znowu skłamał. W trakcie modlitwy pokazuje się bowiem, że ma nie jedną żonę, ale dwie i kilku niewolników, nie zaś jednego lub żadnego, jak twierdził poprzednio. I jakżesz on śmie jeszcze dodawać na wstępie: »Ty wiesz, że zawsze mówiłem prawdę«, jak śmie nazywać Niambe »wszechwiedzącym«, skoro myśli, że zdoła go okłamać, albo jak śmie kłamać, gdy wie, iż Niambe jest istotnie wszechwiedzącym i może go ukarać za kłamstwo?

Kiedy wreszcie stąd przeniesiesz się na wyspy azyatyckie i zobaczysz tu i ówdzie obok starych drzew-olbrzymów małe domki, do których malajczyk znosi ofiary dla »ducha drzewa«, kiedy dowiesz się, że są nawet garnki, które mają duszę podobną, względnie taką samą jak człowiek, znajdziesz

się wobec pytań, na które, szukając odpowiedzi, zwrócić się musisz gdzieindziej.

Kto chce wtórować, musi dostroić stronę do tego samego tonu, kto pragnie zrozumieć umysłowe życie ludów pierwotnych, musi najpierw koniecznie poznać sposób ich myślenia.

Człowiekowi pierwotnemu przedstawia się świat zupełnie inaczej aniżeli każdemu z nas, on widzi go bowiem i pojmuje umysłem dziecka.

Kiedy mały pędrak, przebiegając pomiędzy stoły i stołki trąci się o jeden z nich i uczuje ból, poczyna płakać i płacze dopóty, aż ktoś, wystąpiwszy w roli doraźnego sędziego, wymierzy kilka chłost i zwymyśla nieostrożny przedmiot, który wycisnął dziecku łzy z oczu. Ta procedura jest zupełnie wystarczającem zadośćuczynieniem za doznany ból. Więc malec przestaje szlochać, ale — co niejednokrotnie zdarzało mi się widzieć — stojąc na miejscu, przypatruje się załzawionem jeszcze okiem obitemu stołkowi, jakgdyby czekał i nadsłuchiwał, czy też i on nie wybuchnie teraz głośnem szlochaniem i skargą. Można sądzić, że on pewnie nie czyniłby tego, gdyby nie myślał, że ten martwy kawałek obrobionego drzewa nie ma czucia, że zatem nie jest wrażliwy na chłostę, nie odczuwa bolu.

Co więcej! oto w rozumieniu dziecka ma ten przedmiot świadomość i wolę, on chciał umyślnie źle, więc winnym jest całego zdarzenia a jako taki zasługuje na karę.

Tak tedy przeniósł ów malec swoje »ja« na przedmiot przypisał mu objawy życia, pojął go jako osobę równą sobie albo nawet silniejszą, wyobraził go sobie jako człowieka czyli antropologicznie, jak to nazywamy, zapożyczonym z języka greckiego, wyrazem.

Na najniższym stopniu kultury znajdujące się ludy, sądzą zupełnie taksamo. Nie mając prócz samych siebie żadnej innej miary sądu, widzą wszędzie siebie, siebie w całej ożywionej i nieżywotnej przyrodzie. Wszystko u nich żyje,

cieszy się, smuci, kocha, nienawidzi, szkodzi, pomaga, cały świat, wśród którego żyją, wszystkie jego zjawiska, są zbiorem istot, zdolnych myśleć taksamo jak one i to samo co one czynić.

Łatwo zrozumieć, że, jeżeli przedmioty nieruchome, jak np. kamienie wyobraża sobie człowiek pierwotny antropopatycznie, a nawet czci je, jak np. Irańczycy, którzy uważali je za wcielenie rozumu, to tembardziej wyda się dzikiemu filozofowi żywem to, co zdradza jakikolwiekbądź ruch, bez widocznej na zewnątrz przyczyny. Wiatr, chmura, obłok błyskawica, woda, nawet kamień, toczący się po pochyłościach góry, wszystko to są istoty żywe, potężniejsze od ludzi, gdyż, jeśli chcą, mogą im łatwo zaszkodzić.

Wiele mogą powiedzieć nam o tem podróżujący z własnego doświadczenia. Widząc igłę magnesową w rękach europejczyka, poczęli dzicy litować się nad losem tej biednej istoty, która, uwiedziona z ojczystej ziemi, zwraca się teraz trwożliwie i szuka stęskniona rodzinnych stron, które utraciła pewnie na zawsze. Niemniej zaciekawił ich list, który wiadomością, jaką przyniósł, wywarł wielkie wrażenie na europejczykach. W tym skrawku zapisanego papieru dostrzegli dzicy gadatliwą istotę, która, nie umiejąc, czy nie chcąc dochować tajemnicy, zdradziła wszystko, co powierzono jej w zaufaniu.

Najkorzystniejsze pole dla antropopatycznej natury człowieka pierwotnego nastręcza zwierzę. Badając bliżej stosunek tego ostatniego do człowieka możnaby odróżnić trzy stadya, które przechodziła ludzkość w swoich poglądach.

Pierwsze i najniższe zarazem stawia zwierzę wysoko ponad człowiekiem, drugie każe cenić obydwu na równi, a dopiero trzecie, w którem my obecnie żyjemy spycha je na ostatni plan, jako bezrozumne i bezduszne stworzenia. Australczyk, mając udać się na wyprawę, lub chcąc wykonać jakieś ważniejsze przedsięwzięcie, idzie do »krajowego niedźwiedzia Kur-bo-roo«, a schyliwszy się pokornie przed jego majestatem, prosi go o radę i pomoc, zaś Buszman jest najświęciej przekonany, że bawół potrafiłby strzelać z łuku,

gdyby tylko miał go. Niektóre znów jawańskie plemiona wierzą, że kobieta, rodząc dziecko, wydaje na świat również młodego krokodyla, zaś amerykanie przedstawiają sobie, że gdyby pewnych ceremonii zaniedbano, zamieniłaby się kobieta ciężarna w zwierzę, co zresztą sztucznie czarodziej umie zrobić.

Zamiana ludzi w zwierzęta drogą czarów spotyka się bardzo często, w praktykach i wierzeniach ludów pierwotnych, jest ona czemś zupełnie, nietylko możliwem, ale naturalnem. Czarodziej umie przeistoczyć kogo zechce w psa, lwa lub tygrysa, a rozumie się samo przez się, że i siebie samego, jeśli chce, potrafi w zwierzęcą postać przebrać i wyposażyć odpowiednimi przymiotami. Szczególniej wśród indyan półn. Ameryki utrzymuje się ta wiara w całej swej naiwności. Tak. np. wykonano w r. 1890 wielki »taniec duchów« na cześć bogów, poczem kilku czerwonoskórych uroiło sobie, że przeistoczono ich w zwierzęta. Jeden z nich utrzymywał, że jest wołem, tak zaś dobrze pojął swoją rolę, że zgodził się bez najmniejszego wahania aby go zabito i zjedzono. Paragwajski misyonarz Dobrizhoffer, był raz świadkiem ceremonii, podczas której miał czarodziej zamienić jednego z obecnych w tygrysa. I tak stało się istotnie: cud widzieli wszyscy, licznie zebrani czerwonoskórcy, ale napróżno starał się dojrzeć go misyonarz, chociaż dotknięty zaklęciem czarodziejskiem utrzymywał, że jest tygrysem i rzucał się na obecnych, którzy pierzchali w popłochu.

Tę samą wiarę żywi wiele plemion murzyńskich Afryki, liczne ludy azyatyckie i t. p. Wiadomo, że i wśrod naszego ludu krąży mnóstwo baśni, opowiadających o zamianie ludzi w zwierzęta jak sroki, bociany, wrony, kruki, albo w konia lub osła jak w wielu opowieściach wielkopolskich. Wedle tych opowieści, pochodzą »Miemcy« (niemcy) z połączenia »wałacha z dyablicą«. Tak orzekły czarownice, czyli »cioty« jak nazywają je wielkopolanie. Te czarownice są nader niebezpieczne. Nietylko bowiem same przyjmują zwierzęcą postać, ale ubierają w nią ludzi, jak o tem świadczy rozpowszechniona wiara w t. zw. »wilkołaki« t. j. ludzi prze-

mienionych w wilki. Wiara w pokrewieństwo ludzi z zwierzętami przebija się dobitnie w t. zw. »totemizmie« o którem będzie mowa później, przecież i w baśniach, radach i przysłowiach naszego ludu przeżyły jej ślady do dnia dzisiejszego.

Do takich wybranych zwierząt zalicza lud między innemi pszczołę, którą uważa często jako spokrewnioną ściśle z rodziną gospodarza. »Gdy gospodarz ulów umrze« pisze Majewski, — najstarszy syn a w braku jego, stary przyjaciel lub sługa zbliżają się do ulów, a obchodząc je trzykrotnie. pukają w nie młotkiem, mówiąc: »Pszczoły, gospodarz wasz nie żyje, od dziś ja go będę zastępował, więc żyjcie, a nie martwcie się« — inaczej bowiem wszystkie pszczoły wymarłyby z żalu po swym panu«. Tak jest w ziemi Sieradzkiej, na Mazowszu, Pomorzu, Wołyniu, i t. d. Kiedy nadejdzie Nowy Rok, musi gospodarz pamiętać również o swoich ulach. Udaje się tedy do nich i mówi, zwrócony do otworu: »Tego dnia świątecznego wy pszczółki zaczynajcie wasze dzieło, pracujcie, a robiąc słodkie miody i żółty wosk, czyńcie to na chwałę bożą«. W wierzeniach zaś spotykamy takie przestrogi: »Nie godzi się kląć pszczoły, bo one mają taką duszę jak człowiek« albo: »W pszczołach są dusze, które powychodziły z dawnych ludzi, niegdyś żyjących« i t. p.

Obawa, podziw, wreszcie wdzięczność lub uczucie pewnej zależności były temi, którym zawdzięczało zwierzę swoje wyjątkowe stanowisko w oczach pierwotnego człowieka. Lew, tygrys, niedźwieź, imponował mu siłą, ptak zastanawiał chyżością biegu i zręcznością ruchów, kameleon wzbudzał podziw niewyjaśnioną własnością zmiany barw, a kiedy wreszcie znalazł człowiek w zwierzęciu swoich żywicieli i pracowników, nie mógł nie uznać ich za dobroczyńców, od których widział się tak bardzo zależnym. Ten stosunek człowieka do zwierzęcia, przeceniony przez pierwszego w właściwy mu sposób, mógł stać się łatwo źródłem czci niemal boskiej: ze sposobu objawiania obawy, wyrażania podziwu lub okazywania wdzięczności powstały obrzędy, które weszły później do rytuału religijnego. Nilgirski Toda, przez

Biblioteka Wojsk. Akad. Pe

wdzięczność dla swoich bawołów, których mlekiem żyje wyłącznie, przeistoczył się w ich czciciela, jako pasterz w kapłana, a z obowiązków pasterskich stworzył sobie cały formalny rytuał religijny. Poza swojem stadem bawołów względnie świętą bawolicą i poza tem wszystkiem, co z nimi pozostaje w związku niema Toda żadnych innych przedmiotów czci, bo poza tem nic nie jest i nie może być więcej w jego oczach godnem takiego stanowiska. Któż tedy będzie dziwił się wobec takiego stanu rzeczy, że każdy lud osądzał świat i jego zjawiska na tle tych właśnie wyobrażeń, które najbardziej zajmują jego umysł, stanowiąc primum i ultimum jego życia? Trudniący się chowem bydła widzi wszędzie krowę. »Modły moje ciągną, jak ciągną krowy na paszę« czytamy w Weddzie, w hymnach »Rig« nazywa się jutrzenka »czerwoną krową« zaś chmury również krowami, które poroniły swoje mleko, a jedno z islandzkich podań powiada: »I stało się nagle ciemno jak w krowie«.

Tak tedy łatwo zrozumieć, dlaczego tak często spotkać można na pierwowzorach sztuki postaci zwierzęce, łatwo pojąć, dlaczego przepełniona nimi cała mitologia, która tak wszędzie i tak bardzo zdradza stan umysłowy swych twórców.

Jest więc uosabianie główną cechą myślenia pierwotnego człowieka na niższym stopniu kultury. Będąc sam dla siebie jednostką miary tem różni się w swoim sposobie osądzania zjawisk od naszego, że, gdy my powiadamy: »człowiek jest cząstką natury« oni twierdzą: »natura jest odbiciem człowieka«, gdy my sądzimy człowieka podług natury, oni oceniają naturę podług człowieka.

Widząc siebie w zjawiskach przyrody, starają się ludy pierwotne dopatrzeć w nich i tych czynności, które stanowią treść ich powszednich zajęć. Kiedy więc grzmi, słyszy w niem krajowiec Grönlandyi trzeszczenie suszonych skór psów morskich, podczas gdy w wyobraźni Kamczadala powstaje właściwy grzmotom łoskot wskutek tarcia czółen, które Kutka, pan nieba ciągnie po krzemienistem wybrzeżu rzeki.

Jeżeli ta nader szeroka skala uosabiania wszystkiego wiedzie na błędne drogi, to niemniej prowadzi do tego

bezwzględna podmiotowość w odnoszeniu do siebie takich wyobrażeń w stosunku przyczynowym, które w rzeczywistości w takim stosunku od siebie nie zależą. Indyanie Apacha, otrzymawszy od przybyłych w tę stronę Europejczyków strzały metalowe, z zielonawem, na końcu bronzowanem ostrzem, byli niezmiernie zaciekawieni tem zjawiskiem. Oto żadną miarą nie mogli sobie wystawić, jakim sposobem sporządzono ów metal o barwie roślinnej. Wreszcie jeden wprawniejszy w rozumowaniu uratował sytuacyę. Wymyślił bowiem, że barwa ta powstała wskutek stopienia żelaza z liściem. Wyjaśnienie to podobało się ogólnie, i pierwotni badacze przeszli nad tą sprawą do porządku dziennego. Nikt z nas natomiast nie dopuściłby do takiego sądu, raz dlatego, że my posiadamy właśnie te wyobrażenia, których brak było wspomnianym członkom Apacha, powtóre dlatego, że staralibyśmy stworzyć sobie w danym razie takie i takie powiązać w stosunku przyczynowym, które odpowiadałyby rzeczywistości.

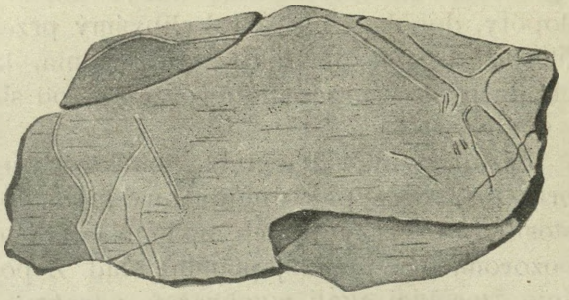

Ryc 1. Ren raniony. rzeźba na kości z czwarto-rzęd. okresu doby magdaleńskiej (rys. wedł. Radlińskiego A. K.).

Ryc. 2. Gliniany but Zuni z Ameryki półn. (rys. wedł. Schurtza dr. W. W.).

I tak wiemy, że liść w ogniu stopić nie da się, że nawet, gdyby można było go stopić, nie zatrzyma dawnej swej barwy ale utraci ją pod wpływem gorąca, wreszcie wiadomo nam, że można w inny sposób uzyskać barwę zieloną na metalu. Nawet jeszcze w tym ostatnim razie zastanawialibyśmy się nad tem, czy barwa ta powstała drogą sztuczną,

np. przez pociągnięcie lakierem, czy może jest ona następstwem pewnych zmian chemicznych, jakie mogły odbyć się na powierzchni ostrza. Gdyby pokazało się mimo to, że żadne z powyższych wyobrażeń nie nadaje się do wyjaśnienia zjawiska, staralibyśmy się nabyć inne i nie spoczęlibyśmy dopóty, dopokąd nie uzyskalibyśmy przekonania, że natrafiliśmy wreszcie na takie wyobrażenia, które nietylko podmiotowo ale i przedmiotowo zależą od siebie jak przyczyna i skutek.

Jasno wynika z tego, że, im ktoś więcej wyobrażeń zebrał, tem więcej przysługuje mu danych do stworzenia obrazu stosunków rzeczywistych, im mniej, tem łatwiej da się uwieść pozorom, tem prędzej popełni błąd. Z powodu niezbyt właśnie szerokiej skali wyobrażeń, narażone są ludy piewotne na ustawiczne takie błędy, którym, dając się uwodzić, popadają w świat złudzeń i zabobonów.

Pierwszy lepszy przykład objaśni, jakim to stać się może sposobem:

Raz n. p. zdarzyło się, że pewien Neger odbił, z stojącego u wybrzeża okrętu, kawał kotwicy. Wypadek zrządził, że w jakiś czas, niedługo potem, tenże sam Neger zakończył życie. To było zupełnie wystarczającem w oczach reszty mieszkańców osady, ażeby dwa te wyobrażenia: kotwicę okrętu i śmierć Negra powiązać przyczynowo. I tak powstała myśl, że ów kawał żelaza jest istotą żywą i świadomą, która, oburzona czynem chciwego Negra, ukarała go śmiercią. Ażeby tedy, tę nieznaną sobie bliżej istotę przebłagać i odwrócić gniew, który mógłby ściągnąć więcej podobnych ofiar, poczęła cała osada czcić ów odkruszony kawał metalu, pozdrawiając go pokornie, ile razy wypadło któremuś z bezmyślnych czcicieli przejść mimo niego. Podobną drogą doszedł do czci boskiej wielbłąd u Jakutów. Wówczas bowiem właśnie, gdy wybuchła tu silna ospa, przyprowadzono poraz pierwszy w te strony wielbłąda. Widząc to nieznane dotąd sobie zjawisko, połączyli je Jakuci przyczynowo z panującą naówczas chorobą, tak, że ów wielbłąd, niemający zapewne żadnych wygórowanych do świata pretensyi, urósł w ich

oczach do godności bóstwa, chociaż w naturalnych warunkach mógłby być równie dobrze niewolnikiem tych samych, którzy zamienili z nim role.

Ale nietylko szczupła stosunkowo ilość wyobrażeń nie pozwala ludom pierwotnym trzeźwiej zapatrywać się na swoje otoczenie; istnieje bowiem druga przyczyna dla której to się dzieje, a jest nią brak umiejętności czyli raczej powiedzmy wprawy w myśleniu. Człowiek pierwotny nie potrafi ześrodkować swej uwagi przez dłuższy czas w pewnej grupie wyobrażeń, jeżeli zaś zmuszamy go do tego, zwracając go ustawicznie do tego samego pytania, poczyna niecierpliwić się, chwyta się za głowę i skarży na ból w skroniach wskutek umysłowego natężenia. Czego nie potrafi zrozumieć odrazu, albo wytłómaczyć sobie swoją antropopatyczną naturą, nad tem przechodzi zazwyczaj do porządku dziennego, jeśli nie jest to rzecz większej wagi dla jego najbliższych celów, dla jego osobistego interesu.

Świat pojęć oderwanych, pojęć czysto duchowej natury nie istnieje prawie dla jego umysłu. — Jako dziecko przyrody na łonie której urodził się i wychował, stał się on natomiast człowiekiem czysto zmysłowym, wyćwiczył bystrość spostrzegania i do podziwiającej doskonałości wyrobił pamięć na wszelkie zmysłowe wrażenia. Jego mózg zyskał poprostu czułość i trwałość kliszy fotograficznej, na której zaznaczy się i zachowa każdy najdrobniejszy szczegół, który uszedłby uwagi nawet najwprawniejszego podróżnika. Lada kamień przy drodze, lada drzewo, lub podniesienie nieznaczne gruntu, wszystko to, z całą dokładnością, z wszystkimi charakterystycznymi szczegółami odbija się w umyśle dzikiego obserwatora.

Ustawiczna czujność, ciągłe kierowanie uwagi na zewnątrz gdzie każdy szelest, każdy ruch, każdy ślad lub zdradliwa cisza mogły być zapowiedzią zbliżającego się niebezpieczeństwa, nie pozwalały mu zwracać uwagi na stany psychiczne, natomiast wyrobiły w nim nadzwyczajną bystrość spostrzegania, jako nader skuteczną broń w nieustannej jego walce o byt.

Próbkę takiej właśnie bystrości spostrzegania illustruje nam następujące zdarzenie:

Kiedy raz jakiemuś indyaninowi ukradziono z chaty zabite zwierzę, wyszedł poszkodowany właściciel przed dom swój, a, badając teren dokoła, mówił: »Ja wiem, że złodziej jest niskiego wzrostu, gdyż napiętrzył kamienie, aby dostać się do miejsca, gdzie powiesiłem zwierzynę. Ja wiem, że to jest starzec, bo, idąc za śladem nogi jego w lesie, uważałem, że robił bardzo niewielkie kroki i wiem, że nim jest biały człowiek, ponieważ idąc, wyrzucał stopy na zewnątrz, czego indyanin nie czyni. Ja wiem, że on ma krótką strzelbę, a poznaję to po odcisku, jaki zostawiło ujście lufy na korze drzewa, na którem było oparte, ja wiem, że pies jego jest mały, a poznaję to ze śladów łap, zaś z odcisku, jaki usiadłszy, zostawił na piasku, w czasie, gdy pan jego kradł zwierzynę, wnoszę, że miał krótki ogon. Był więc to niski, stary człowiek, z plemienia białych, z krótką strzelbą i małym psem z krótkim ogonem«.

Jest to już jednak w każdym razie nieco postępowszy indyanin, który tak rozumuje, najczęściej bowiem błądzi pierwotny myśliciel w tem, co uderza nas w powyższem opowiadaniu: oto rzadko kiedy potrafi on konsekwentnie doprowadzić do końca myśl, którą rozpoczął. O ile ściśle on sam i cała jego duchowa istota zależy jedynie od wyobrażeń zmysłowych, o tyle im daje się on najłatwiej porwać i kierować. Zmuszony warunkami, wśród których płynie jego życie, zwracać nieustannie myśli na każde niemal wrażenie, które dojdzie do jego świadomości, nie miał czasu ani sposobności nauczyć się poświęcać dłuższą uwagę swoim stanom psychicznym; stąd też tak łatwo nakłonić dzikiego do wprost przeciwnych czynności, kierować jego myśli coraz to w innym kierunku, stąd też te rażące, nagłe przeskoki w stopniach uczucia, z czego skorzystał już niejeden podróżnik, aby uratować swoje zagrożone życie. I pod tym względem ma człowiek pierwotny wiele cech wspólnych z umysłem dziecka.

Te, rzucone tu pokrótce uwagi, posłużą do zrozumienia

treści niniejszej książki, a, mając na oku przedstawione powyżej cechy umysłu ludów pierwotnych, t. j. ich dążność do antropopatyi, ich czysto zmysłowy świat pojęć, ich niekrytycyzm w oznaczaniu wyobrażeń jako przyczynę i skutek, a wreszcie słaby udział woli w myśleniu, zdołamy łatwiej może wniknąć w tę dziką duszę leśnych filozofów, łatwiej o tyle, o ile mimo to potrafimy zejść z podmiotowego stanowiska, o ile zdołamy zapomnieć, że między ich stanowiskiem kulturnem, a naszem, leży długi okres pracy setek i tysięcy lat, pracy, która otwiera się przed nimi niemal w całości.

Możnaby nazwać »animizmem«, czyli »teoryą dusz« w najogólniejszem znaczeniu tego wyrazu, te zaczątki wierzeń, których źródło tkwi w antropopatycznem rozumieniu przyrody. W czci, którą okazywali Negrowie dla kawałka odkruszonej kotwicy, w praktyce Czukcza, który, srożącą się burzę, chce przejednać kawałkiem porzuconego wielorybiego mięsa, w ofierze, którą Dajak z Borneo pozostawia na krawędzi »świętego garnka«, gdy tylko wychodzi z domu, we wszystkich tych wypadkach możnaby mówić o »animizmie«, wszędzie tu przeniósł człowiek swoje »ja« i natchnął niem żywotną i nieżywotną przyrodę.

Kto jednak rozpatrzy się dokładniej w objawach, tak ogólnie pojętego animizmu, dostrzeże niewątpliwie dwie różne grupy poglądów, z całą skalą najsubtelniejszych odcieni i zawikłań. Czciciel księżyca lub słońca, uznający w jasnej świetlnej kuli, widocznej z ziemi na lazurze nieba, przyczynę wszech rzeczy, stoi niżej pod względem kulturnym od swego sąsiada z za morza, który, zwrócony ku niebu, zanosi prośby swe, nie do wspomnianych ciał niebieskich, ale do ducha, który niemi rządzi, nie materyi przypisuje moc boską, ale niewidzialnemu duchowi, jako takiemu. Pierwszy jest tak zw. fetyszystą, czyli czcicielem materyi, drugi czcicielem duszy, czyli animistą, pierwszy widzi zawsze tylko

materyę, drugi tylko duszę, która mieści się poza materyą. Fetyszysta, chociaż przyszedł nawet do poznania duszy i stworzył sobie duchy, to przecież, przypuszczając możność wcielenia się tych duchów w materyę, tak jedno z drugiem identyfikuje, że materyę tę uważa za samego ducha i przypisuje jej, temu ostatniemu przysługujące własności, natomiast animista rozgranicza ściśle jedno od drugiego, oddzielając żywotnego ducha od nieżywotnej materyi. Pozorną jest zatem przepaść, którą mógłby ktoś dostrzedz między animizmem a fetyszyzmem, gdyż ten ostatni wypada uważać tylko jako najsurowszą postać pierwszego. Idąc zazwyczaj w parze, przedstawiają często tak zawikłane stosunki, że trudno rozgraniczyć jeden od drugiego: fetyszyzm zdradza domieszkę animizmu, zaś animizm ślady manizmu czyli kultu przodków, o którym będzie mowa w następnych rozdziałach książki.

Należałoby objaśnić teraz wyraz »fetyszyzm«, skoro »animizm« mówi sam za siebie, pozwalając łatwo domyślić się, co może być zasadą tego rodzaju poglądów. Cóż, kiedy »fetyszyzm« należy do tej kategoryi, naleciałych z średnich wieków t. zw. terminów, które odznaczają się tem, że tyle mówią, iż nic nie mówią właściwie. Autorami tego wyrazu, wprowadzonego do nauki od chwili pojawiania się dzieła De Brosse'a: »Culte de dieux fetiches«, są Portugalczycy, którzy nazywali »fetyszami« bożków Negrów nad Senegalem, porównując je z czarodziejskimi amuletami, czyli godłami obronnymi. I istotnie, wyprowadzający się od łacińskiego »factitius« t. j. sztucznie zrobiony, wyraz portugalski »fetiço«, t. j. czary, »faticeiro« czarownica i »faticaria« siła czarodziejska, dał początek nazwie fetyszyzm. W innych językach spotykamy ten sam źródłosłów: w niemieckim »fee« lub »gefeit«, w francuskim: »fétiche« lub »chose feé«, w łacińskim »fatum, fanum« (świętość) i t. p. Właściwie jednak wyraz ten nie jest żadnym t. zw. »terminus technicus«, a, przypuszczając więcej znaczeń, staje się często źródłem rozlicznych błędów i nieporozumień, staje się pokrywką,

pod której osłoną przemycają podróżnicy mnóstwo takich pojęć, które z fetyszyzmem nie mają nic wspólnego.

Najpierwszą i główną przyczyną błędu, jaki fetyszysta nałogowo wprost popełnia, jest mylne kojarzenie wyobrażeń w zawisłości przyczynowej, czyli oznaczenie takich dwóch zjawisk jako przyczynę i skutek, które bynajmniej w tym stopniu od siebie nie zależą. Neger, który odbił kawałek żelaza z okrętowej kotwicy i umarł następnego dnia nagłą śmiercią, pewnie nie umarł dlatego, że złakomił się na żelazo, o którem nie wiedział, że jest to potężna istota, mogąca go ukarać. Byłby z pewnością umarł, czy tak czy owak, i wówczas pewnie nikomu nie wydałaby się śmierć jego dziwną, ale, ponieważ te obydwa wyobrażenia, odnoszące się do osoby owego Negra, zapisały się w pamięci mieszkańców osady jako niemal bezpośrednio po sobie następujące, przeto wyobrażenie kotwicy i wyobrażenie śmierci skojarzyły się razem, pierwsze oznaczono jako przyczynę, drugi jako skutek i tak powstała wkrótce opowieść o losach nieszczęśliwego Negra. Ale ten Neger — powie ktoś — mógł równie dobrze jeść na krótko przed śmiercią i to byłoby jeszcze bezpośredniejszem wyobrażeniem, jeżeli wogóle coś bezpośredniego może być jeszcze mniej lub bardziej bezpośredniem. Ostatecznie kradzież kawałka żelaza nie jest niczem tak uderzającem, aby aż wiedziała o tem cała osada, a zarazem niczem tak ważnem, aby było warto o tem pamiętać i odnosić to do tak poważnego zjawiska, jakiem jest śmierć?

Tak należałoby wnioskować z naszego stanowiska patrzenia, natomiast ze stanowiska ludów pierwotnych badając sprawę, rzecz przedstawia się odmiennie. Wystarczy rozważyć tylko i poznać sposób osądzania wartości przedmiotów, aby zrozumieć, dlaczego właśnie ta kradzież była tak ważną chwilą w życiu negra, a zarazem dlaczego tak uplastyczniła się w pamięci reszty współplemieńców.

Wiemy z własnego doświadczenia, że w należyty sposób ocenia człowiek to tylko, co zna; co zaś jest mu mniej lub więcej obcem, albo czego nie zna zupełnie, tego albo nie

docenia, albo przecenia je. Kiedy we Lwowie zaprowadzono przed dziewięciu laty kolej elektryczną, można było często zauważyć wieśniaków, żegnających się na widok tej »jakiejś nieczystej siły«, zaś niektórych ludzi nawet inteligentnych, ale t. zw. starej daty, którym postępy fizyki lat ostatnich nie były znane, nie można było żadną miarą namówić do przejażdżki wozem elektrycznym.

Kiedy po raz pierwszy pojawiły się bicykle, niejeden z amatorów kołowego sportu, robiący dalekie wycieczki, uniknął kijów mieszkańców wsi, przez które wypadło mu jechać, tylko dzięki wyścigowej swojej energii, sam zaś czytałem w jednem czasopiśmie o niemiłym wypadku takiego cyklisty, którego maszynę uznano za siłę piekielną. Nie pamiętam już, czy wybrał się on w podróż naokoło ziemi, czy też tylko po Europie, dość, że zabłądził do jakiejś zapadłej wioski rumuńskiej, a zajechawszy na noc do jednego z gospodarzy, prosił o nocleg. Przyjęto go, położył się więc w izbie, zaś bicykl pozostawił w sieni przed drzwiami. Napróżno jednak, zamierzając udać się w dalszą drogę, szukał nazajutrz swojej maszyny. Cała bowiem ludność wioski, przy współudziale popa, porąbała bicykl, który, po odprawieniu odpowiednich zaklęć, zagrzebano w głębokim dole. Przeceniono tedy wartość owej dwukołowej maszyny i uznano ją za coś nadludzkiego, skoro każdemu z nas wydaje się ona rzeczą zupełnie prostą, podobnie, jak przeceniłby prostaczek telefon lub fonograf, podczas gdy w oczach każdego, obeznanego z odnośnymi prawami fizyki, jest on czemś tak naturalnem i zrozumiałem, że człowiek omal nie dziwi się sam sobie, jak mógł nie wymyśleć czegoś podobnego.

Może na podstawie tego nie wyda nam się niejasnem, dlaczego mogli Negrowie przywiązywać nadzwyczajną wagę do owej żelaznej kotwicy, której nigdy jeszcze nie widzieli poprzednio i nie znali jej przeznaczenia. Z tej samej przyczyny pewna dzika władczyni starała się wszelkimi siłami, przy pomocy swego brata, ukraść kilka żelaznych gwoździ z okrętu Cooka, zaś gdzieindziej rozczulił znowu

widok starego kapelusza i jednego buta, należącego do białego podróżnika, do tego stopnia pierwotnych filozofów, że ułożyli hymn na cześć tych turystycznych nieużytków, na które dziś wędrowny amator zapoznanych starożytności dwuznacznie kręciłby nosem.

Skoro więc takie czynniki złożyły się na przyczynowe skojarzenie wyobrażenia kradzieży żelaza z kotwicy i śmierci Negra, znalazła skłonność antropopatyczna dzikich sposobny punkt zaczepienia i kawał metalu urósł w ich oczach na istotę świadomą, a zarazem potężniejszą od każdego z nich, skoro powodującą śmierć niewidzialnie. Gdy do tego ostatniego przeświadczenia nawiązało się uczucie obawy i niepewności, fetysz był gotów, a sami jego stwórcy poczęli drżeć przed bronią, którą mu dobrowolnie wetknęli do ręki i korzyć się przed majestatem, żyjącym jedynie w ich dzikiej wyobraźni.

Taką jest lub podobną prawdopodobnie geneza każdego mniej więcej fetysza.

W takich warunkach powstanie — jak łatwo zrozumieć — nie dająca się zamknąć liczebnie ilość fetyszy. Można powiedzieć, że ilość ta odpowiadać będzie sumie możliwych kombinacyi wyobrażeń dzikiego, każdy z nich bowiem może stworzyć nowego fetysza.

Rozumie się, że nikt wszystkich fetyszy mieć nie może: biedny posiada ich kilka lub kilkanaście i kilkadziesiąt, bogatsi natomiast liczą swoich fetyszy na setki i tysiące, zaś Römer — jak pisze Schultze — znalazł u jednego arystokratycznego Negra przeszło 20.000 fetyszy, których znaczną część odziedziczył po swoich, równie znakomitych przodkach.

Z ilością posiadanych fetyszy, wzrasta znaczenie właściciela i wpływ na innych, ale w tym samym stopniu potęguje się jego niewola. Wprawdzie bowiem rozciąga się działanie fetysza na wszystko, co tylko może wiązać się z życiem człowieka, bo fetysz jest obrońcą i doradcą, umie i może zasłonić człowieka przed każdem niebezpieczeństwem, grożącem mu ze strony innych ludzi, zwierząt lub też nieprzychylnych zjawisk przyrody, wie przyszłe rzeczy i jeśli chce,

może je zdradzić, ale też za to wszystko wymaga pewnego zadosyćuczynienia, pewnej wdzięczności, jak to bywa zresztą wogóle wszędzie.

Sposób, w jaki okazywali Negrowie cześć swą odbitej części kotwicy, pozdrawiając ją, ilekroć wypadło im obok świętości przechodzić, uważać należy za najprostszy i najzwyklejszy objaw pobożnego uczucia. Ale inne fetysze nie

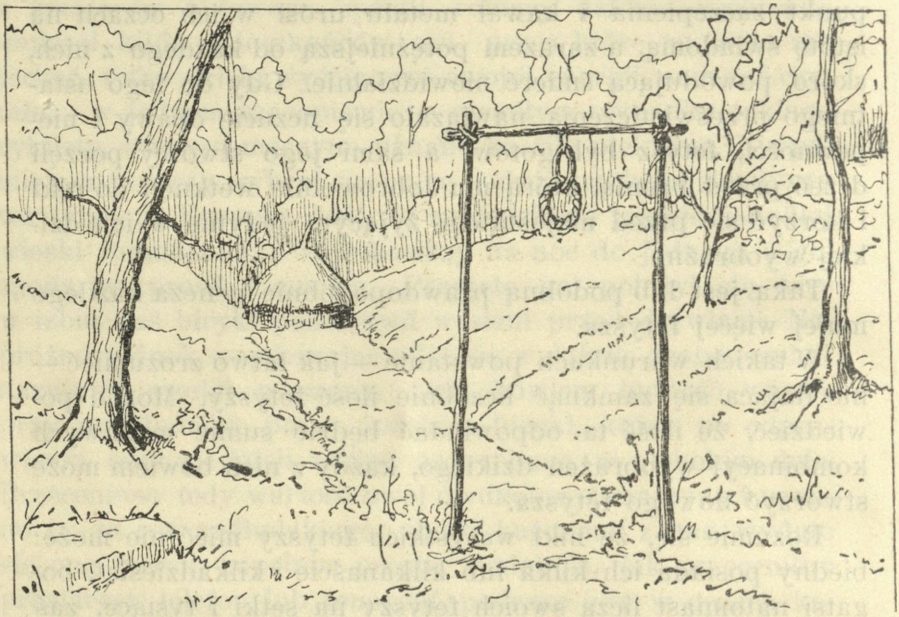

Ryc. 3. Droga do świątyni fetysza w Lunda. (rys. wedł. Ratzla Dr. W. W.).

poprzestają na takiej suchej ceremonii i właściciel musi stawiać im od czasu do czasu naczynia z napitkami i misy z jadłem, a nawet, jeśli to nie jest sobie taki prosty, zwyczajny fetysz, ale t. zw. »wielki fetysz«, składać mu ofiary ze zwierząt i ludzi. Te wielkie fetysze mają często swoje osobne, jak gdyby świątynie, do których niepowołanym jest wstęp surowo wzbroniony.

Ratzel tak opisuje świątynię fetysza z Złotego Wybrzeża: »Jest to okrągła szopa, kryta sitowiem, bez okien, z niskim

otworem na drzwi, jak zresztą wszystkie świętości owej okolicy wyglądają i jak były budowane wszystkie wogóle chaty Negrów, przed przybyciem Europejczyków w te strony. Nędznie przedstawia się jej wnętrze. Tu leży kawał drzewa, kamień lub kościec ryby, tam bęben, jeszcze dalej jakieś przedmioty, nie mające ani znaczenia ani sensu. — Jednak są to wartościowe przedmioty dla Negra, gdyż w nich mieszka »wong« czyli »fetysz«, któremu miejsce to jest poświęcone. Spiętrzone leżą na ziemi różne naczynia gliniane, obok nich rogi bawołów i kóz, muszle i pióra ptasie, służące, bądź to jako przedmioty czarodziejskie, bądź też jako godła ochronne przeciw czarom. Na ścianach znowu wiszą różne fatałaszki i dzwonki, zaś mnóstwo pająków snuje tu swoje sieci, a całą ponurą, ciemną spelunkę, będącą zarazem sypialnią kapłana, przenika obrzydliwe, wstrętne robactwo«. Gnieżdżące się u poddasza nietoperze, latają dokoła i wlewają życie w gęste, cieniste drzewa, okalające świątynię«.

W innych świątyniach ustawia pobożny wyznawca osobne meble, urządza sypialnie i salon. W jednej ze światyń fetysza w Nowej Gwinei stoi nawet maleńkie krzesełko, materac wielkości dłoni i buteleczka wódki, aby fetysz miał na czem usiąść, przespać się lub czem poprawić humor.

Można sobie tedy wyobrazić, w jakich opałach musi znajdować się właściciel, chcąc każdemu z swoich fetyszy oddać to, co się mu należy. Jeżeli jest to zwykły śmiertelnik, wówczas cierpi na niepunktualności lub zupełnem zaniedbaniu obowiązków fetyszysty, własny jego interes, na czem nikomu znowu, z wyjątkiem jego samego, tak bardzo nie zależy, ale, jeżeli jest to król lub jakikolwiek inny władca, strzegą go setki lub tysiące oczu poddanych. Broń Boże! aby królowi z Kongo spadła z głowy biała jego czapka, bo temsamem podpisuje się wyrok nieszczęścia na cały kraj, na tysiące wiernych poddanych. Gdyby zaś zdarzyło się w Kwitsza w delcie nigrowej, że tamtejszy władca zobaczył na własne oczy rzekę, musi być natychmiast złożona ludzka ofiara w miejsce tych niezliczonych, które padłyby, gdyby tej zapobiegawczej ceremonii zaniechano.

Doprawdy! nie da się opisać, jak pożałowania godnym jest los takiego człowieka: czy zrobi swoją powinność wobec fetysza, czy jej zaniedba, musi być zawsze w obawie, że nie dogodził opinii ludu. Jeżeli nad białym Nilem panuje przez dłuższy czas posucha, wówczas poddani ścinają głowę swemu królowi, Banjarowie zaś okładają go kijami w razie, gdy nieszczęście jakieś kraj ich nawiedzi. Nic nie ochroni go od kary: czy wypełnił swoje powinności, czy ich nie wypełnił, czy złożył ofiarę, czy jej nie złożył, czeka go zawsze: tam kara śmierci, tu cięgi. Chcesz zaś wiedzieć dlaczego? to poszukaj odpowiedzi w samem zjawisku. Fetysz robi deszcz; fetysz, jest jak człowiek, albo przynajmniej jak niektórzy ludzie: dasz, to zrobi, nie dasz, to nie zrobi a nawet zaszkodzi«. Jeżeli więc panuje posucha, to król musiał zaniedbać obowiązków względem fetysza, który nie miałby powodu robić źle, gdyby oddano mu, czego wymaga. A zatem: król »zawinił, więc na niego, on sprawcą wszelkiego złego«.

W takich razach nie przychodzą zazwyczaj na myśl podobne wypadki, w których fetysz zawiódł. Prawie zawsze bowiem pamięta się w tego rodzaju kwestyach tylko dodatnie fakta, ujemnych nie bierze pamięć w rachubę.

Zato na gorącym uczynku schwytany fetysz, ma się z pyszna! Dostanie sporo cięgów, wygłodzą go, zamkną w odludnej komorze, a na dobitek wszystkiego sprzedadzą, jako nieprzydatny artykuł, który jednak może jeszcze komuś innemu służyć bardzo dobrze.

Tak tedy dostają się fetysze do handlu, a popyt na nie i cena ich rośnie w prostym stosunku do ich praktycznej wartości. Sprzedającymi nie są tu zwykli śmiertelnicy, ale kapłani fetyszy, to też łatwo domyśleć się, że jest w tem głowa kapłana, ażeby każdy fetysz był wart jak najwięcej, jako posiadający nadzwyczajną moc zapobiegawczą czyli wogóle odporną w przeciwnościach życia. Po kilkunastu a nawet kilkudziesięciu kapłanów utrzymuje się w taki sposób w wielu indyjskich osadach; fetysz, który wczoraj okazał się bezużytecznym, dostaje się dziś, drogą sprzedaży, po otrzymaniu odpowiednich razów i innej admonicyi ze strony

kapłana, w ręce nowego właściciela, a może nawet i tego samego, który oddał wczoraj go za tanie pieniądze.

Zresztą nie zawsze pozbywa się właściciel fetysza, który mu nie dopisał. Dzieje się to zazwyczaj wówczas dopiero, gdy fetysz okazał się więcej razy z rzędu niepoprawnym i mimo próśb, gróźb i t. p. nie daje przekonać się o życzliwości swego posiadacza. Powtarzam »niepoprawnym«, fetyszysta bowiem nie wątpi w moc swego fetysza, ale posądza go o niechęć ku sobie i o złą wolę, stąd też po pierwszej lub drugiej admonicyi zyskuje wiara jego w poprawę fetysza nowe podstawy, tem pewniejsze, im bardziej przemawiającym do serca, wyda mu się »argumentum ad hominem«, który mu wymierzył. Przebija się i w tem antropopatyczny pogląd ludów pierwotnych.

Ale zdarzyć się może i zdarza się istotnie, że posiadacz fetysza zaszkodzi z jego pomocą swemu sąsiadowi, sprowadzi na niego chorobę, śmierć lub zniszczy mu jego dobytek. Trudno w takich wypadkach, włożywszy ręce do kieszeni, (tembardziej, że ich zazwyczaj niema) zajmywać wyczekujące stanowisko, więc w braku zakładów ubezpieczeń i t. p. instytucyi, należy postarać się co prędzej o »przeciw-fetysza«, który będzie silniejszym aniżeli tamten, a przynajmniej nie słabszym.

Stosunki takie, co łatwo pojąć, nie przyczyniają się wcale do wyjaśnienia sprawy; owszem, gmatwają ją jeszcze bardziej, gdyż obok niezliczonej ilości fetyszy, tworzy się tak samo niezliczona ilość przeciw-fetyszy, z których każdy, podobnie jak pierwszy, wymaga odrębnych praktyk i pełni odrębne zadanie, zaś znajomość tego wszystkiego, nie przystępna dla umysłu zwykłego człowieka, stwarza powoli kastę ludzi, którzy tylko jej oddają czas swój, kastę kapłanów fetyszy. Jeżeli urząd ich zapewnia im pewnego rodzaju uprzywiliowane stanowisko wobec reszty ludności, to odrębny świat, w którym obracają się ich myśli, sprawia, że i pod względem umysłowym podnoszą się oni ponad przeciętny tłum.

Kapłana nie wybiera się dobrowolnie, nie przeznacza się

na ten urząd tego lub owego, kapłan rodzi się już jako taki, sam fetysz bowiem obiera sobie swego sługę. Taki człowiek poczyna szaleć, kręci się, tańczy, rzuca i krzyczy, unika ludzi i odrzuca pokarmy, dopóki nie przywiodą starszego kapłana, który oglądnie szaleńca i odgadnie nazwisko fetysza, co go opętał. Jeżeli okaże się, że jest to jaki nowy, nieznany dotąd nikomu mniejszy fetysz, wówczas przeznaczają mu na mieszkanie misę lub garnek, gdzie też kładzie się ofiary, samego zaś adepta godności kapłańskiej przyjmuje jeden ze starych przyszłych kolegów i w trzyletniej szkole wyucza go wszelkich potrzebnych wiadomości, poczem może młodzieniec wystąpić jako samoistny kapłan fetysza. Jest jasnem jak słońce, że ten przyszły kapłan pozostaje już naprzód w porozumieniu z odnośnymi kapłanami fetyszy, u których sobie swoje powołanie kupił lub w inny jaki sposób wyjednał. Czy tak jednak, czy owak musi on umieć popadać w ekstazę, co podnosi go w wysokim stopniu w oczach wyznawców, gdyż działa silnie na ich wyobraźnię i każe im wierzyć, że miota nim jakaś straszna, nadludzka siła. To też ludzie nerwowi, skłonni do napadów epileptycznych, nadają się najlepiej na urząd kapłana fetyszy. Przy dudnieniu bębna i odgłosie dzwonków wiedzie taki kapłan swój dziki taniec, w stanie nawpół przytomnym, rzuca od czasu do czasu niezrozumiałe wyrazy, toczy z ust pianę a potem, zlany kroplami potu, pada bez zmysłów prawie na ziemię. Kto nie jest sam przez się skłonny do takich nerwowych wysiłków, wywołuje je w sztuczny sposób, zapomocą odpowiednich środków pobudzających, których znaczną ilość zna po dziś dzień formakologia ludowa.

Jednak próby tego rodzaju są dla organizmu w wysokim stopniu szkodliwe, więc kto chce widzieć dziki, tajemniczy taniec fetyszy, w umyślnych strojach i maskach na twarzy, kto chce usłyszeć wówczas wróżbę, którą odurzony tancerz wyrzuci z spienionych ust, musi hojnie sypnąć grosza, bo z wyjątkiem nadzwyczajnych wypadków, nie da się nakłonić kapłan do tego rodzaju wyczerpujących ceremonii.

Jak potężną jest władza takich kapłanów fetyszy prze-

Ryc. 4. Taniec około fetysza. (Kamerun). Lampert H.

chodzi wszelkie pojęcie. Osoba jego związana wciąż z świętościami, staje się przez przesnujęcie pojęć sama świętością, stanowisko kapłana wybija się wysoko ponad szary tłum bezmyślnych wyznawców, a ponieważ władza jego rozciąga się na wszystko, za pośrednictwem fetyszy, przeto nawet osoba króla blednie wobec przebiegłego rywala do tego stopnia, że wkrótce pierwszy znajdzie się w takim stosunku do drugiego, w jakim pozostaje maryonetkowa lalka do swego maszynisty. W Kongo jest Chitome najpierwszą i najwyższą osobą w państwie, wobec której głos królewski jest skrzeczeniem żaby w czasie grzmotów, on sam jest największym fetyszem, ktory mocą swoją utrzymuje całą ziemię. Wiedząc o tem wierni jego wyznawcy, nie pozostawiają go nigdy samego, a gdy zdaje się im, że śmierć może przeciąć wkrótce pasmo jego świętego życia, przyzywają coprędzej przyszłego Chitome i ten morduje swego poprzednika, aby po latach doznać takiej samej przysługi z rąk następcy. Tylko dzięki takiej procedurze świat istnieje, gdyby bowiem Chitome umarł naturalną śmiercią, byłaby ta jego śmierć hasłem śmierci dla wszystkich ludzi, wyrokiem zniszczenia dla całego świata.

Ryc. 5. Fetysz Wajaów z Niassa. (rys. wedł. Ratzla dr. W. W.

Jakkolwiek wielką jest potęga fetyszy, to jednak wygląd ich nie stoi w prostym stosunku do tej potęgi.

Często nie wyobraża fetysz nic, co stałoby w związku z postacią ludzką, zazwyczaj bowiem jest nim kawałek kamienia, owiniętego w szmaty, kilka listków, otulonych skrawkiem czerwonego sukna, długie tyki, lub bezpostaciowe kloce drewniane, nabite gwoździmi, albo większe ułamki ba-

zaltowych słupów. Ale fetyszem może być również woda, może być jakiś odurzający napój lub środek wymiotny, może być nim kawałek sznura, róg antylopy lub skóra zwierzęca, fetyszem może być, powiedziawszy krótko, wszystko, bo w nim nie ceni człowiek pierwotny zewnętrznej postaci, lecz czci skutek, który ta postać może sprowadzić. Im skutek lepszy, tem większy, czyli raczej znaczniejszy fetysz i tem też wyższa jego wartość. Niejednokrotnie spotyka się fetyszy, wyobrażające postać ludzką, zazwyczaj niezgrabną i śmieszną, często są nimi słupy, przypominające zaledwie pierwowzór człowieka, który miały wyobrażać, albo też fantastyczne jakieś twory, na pierwszy rzut oka niezrozumiałe, a dające się ocenić dopiero ze stanowiska porównawczego sztuki danego ludu. Jak z pierwotnego wzoru, którym była postać ludzka, może, drogą ustawicznych przemian i przeróbek, powstać rzecz, nie zdradzająca pozornie w niczem motywów, na których wzorowano ją poprzednio, przedstawia szereg bożków z Tahiti na załączonej rycinie (ryc. 7). Z dwojga ludzkich postaci, w sposób, dający się łatwo odczytać, utworzył się pierścień, jako ostateczny wyraz rozwoju jednych a równoczesnego zaniku drugich części, przecież, jakkolwiek rzecz, porównawczo zestawiona, wydaje się prostą i zrozumiałą, to jednak, mając sam tylko pierścień, nie domyślilibyśmy się może nigdy prawdziwego źródła, z którego wyszedł.

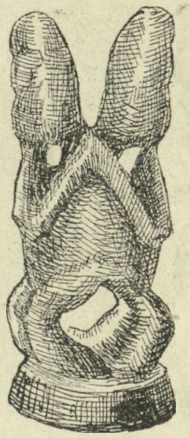

Ryc. 6. Fetysz Bakundu z Kamerunu. (Rys. według Schurtza dr. W. W.)

W tym wypadku i wogóle wszędzie tam, gdzie, badając źródło jakiegoś fetysza, schodzimy na postaci ludzkie, musimy uważać fetyszyzm za zabarwiony pierwiastkami manizmu czyli kultu przodków. Ten »manizm« przebija się jednak nietylko w postaciach ludzkich, czczonych jako fetysze, ale można też dostrzedz śladów jego w tych przedmio-

tach, które, otaczane pietyzmem przez fetyszystów, znane są z niższej mitologii z własności swej wchłaniania duszy umierającego, lub zmarłego już dawniej członka plemienia. Takim jest łańcuch, który kapłan fetyszy nosi jako fetysza na szyi, takimi są pióra ptasie, lub części ludzkiego kośca. Każdy z tych na pozór bezwartościowych i bezmyślnie obranych przedmiotów czci, ma swoje uzasadnienie, swoją historyę, z którą spotykamy się niejednokrotnie, roztrząsając

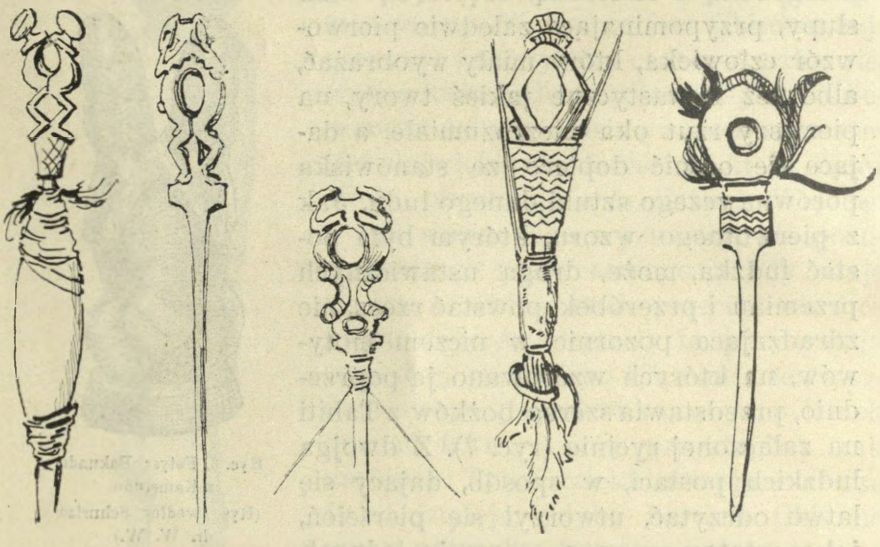

Ryc. 7. Szereg rozwojowy bóstw z połud. wsch. Oceanii. (Rys. według Schurtza dr. W. W.)

kwestyę animizmu, jeżeli zaś wspominamy o tem na tem miejscu, to czynimy to tylko dlatego, aby okazać, że żadnego, nawet najdrobniejszego, jak możnaby sądzić, przypadkowego szczegółu, niewolno pominąć nierozważnie w poważnych poszukiwaniach naukowych.

Ale niekoniecznie trzeba płynąć ku dzikim wyspiarzom Oceanii, niekoniecznie trzeba zapuszczać się w głąb afrykańskiego lądu, zwracać ku wyspom azyatyckim, albo wreszcie sięgać myślą do ludów starożytnych jak Żydów, Egipcyan lub Greków, aby znaleść fetyszy lub spotkać fetyszystów;

oglądnąwszy się dokoła siebie, dostrzeżemy bowiem w niejednem albo śladów fetyszyzmu, albo też coś takiego, co chcielibyśmy wprost oznaczyć tem mianem. Jeżeli ktoś, znalazłszy kawałek zgubionej, w pyle ulicznym zagrzebanej podkowy, podnosi ją co żywo, a, schowawszy bezpiecznie w kieszeń, zanosi do domu i tu przybija na progu izby, toć przecież nikt nie zaprzeczy, że człowiek ten jest fetyszystą, a podkowa jego fetyszem, on, jako wierzący w wpływ kawałka żelaza na losy jego życia, ona, jako przynosząca mu szczęście. A czy może nie jest takim samym fetyszystą jeździec, który, zobaczywszy zająca, przebiegającego drogę, zawraca czemprędzej konia, albo drugi, który, widząc czarnego kota obok swego domostwa śpieszy do izby po rewolwer, aby zabić zwierzę, gdyż ono przyniesie mu nieszczęście, albo trzeci, rzucający przed dom znienawidzonego sąsiada garść wyczesanych włosów, w nadziei, że one sprowadzą nań chorobę? Mamy więcej jeszcze przedstawić podobnych przykładów, wówczas wspomnimy tu o takich, którzy za żadne skarby świata nie przekroczą kupki śmiecia, albo innych, którzy, zobaczywszy księdza, nie powstrzymają się, aby nie rzucić za nim kawałka słomy lub szpilki!

Toż to wszystko fetyszyści czystej wody, wcale nie gorsi, aniżeli bezmyślny Neger lub dziki Malajczyk!

Zaślepiony w szlachetnym zapędzie poszedłby niejeden może dalej jeszcze w swoich sądach i dopatrzył się fetyszyzmu gdzieindziej. Tak n. p. ktoś, nie znający zasad czci obrazów, szkaplerzy i t. p. nazwałby pewnie fetyszystą wieśniaka, który czci nie Świętego w obrazie, ale sam obraz, zaś w szkaplerzach, medalionikach, lub figurkach świętych uznaje nie symbol, ale wprost samej materyi, jako takiej przypisuje moc działającą. Spotykałem wśród wiejskiej ludności nawet takich, którzy wierzyli święcie, że skuteczność medalionika zależy wprost od jego rozmiarów, zdaje mi się zaś, że niejeden z pobożnych, wynoszący podczas pożaru figurkę Świętego lub obraz, mówiąc nawiasem, tak nieraz karykaturalny, że jego twórca winienby gorzeć w piekle po

same łopatki, gotów jest przysiądz, że sam ten obraz, jako taki zagasił pożar lub odwrócił powódź.

Tymczasem, jakkolwiek tego rodzaju przykłady, noszą na sobie odcień fetyszystyczny, to jednak niewłaściwą byłoby rzeczą, uważać je za takie. Są one bowiem tylko wyrazem zwyrodnienia, są zwrotem wstecz, gdyż ich tło pierwotne, zupełnie odmienne, uległo tylko fałszywemu zrozumieniu przez niedostatecznie rozwinięte umysły. Jest to zwyczajna kolej rzeczy wszędzie tam, gdzie brak należytego umysłowego przygotowania. Podobnie jak ciało, potrzebuje bowiem i umysł powolnej ewolucyi, stopniowego rozwoju, potrzebuje odpowiedniego ćwiczenia, które uzdatni go do trudniejszej, bardziej złożonej pracy. Każda idea, aby mogła być pojętą, wymaga pewnego stopnia umysłowego rozwoju, i tylko ten, kto wyniósł się nad ten stopień, potrafi wcielić się w nią, dla reszty niepowołanych wyda się ona zawsze niezrozumiałą, zawsze nieprzystępną. Chcieć więc i sądzić, że Neger pojmie zasady, któregoś z wyższych systemów religijnych, znaczy to samo, co łudzić się, że trzymiesięczne dziecko utrzyma się, stojąc na nogach, każdy bowiem stopień kulturny, wymaga odpowiadającego sobie systemu religijnego, ponad który ani wynieść nie zdoła się, ani zeń stąpić nie może na niższy; więc Neger otwiera zdziwione oczy na praktyki chrześcijanina, Fuganin nie może objąć nawet światu wierzeń Negra, a chrześcijanin patrząc na obydwu, wzrusza ramionami, bo ich nie rozumie tak samo, jak oni jego. I, jeżeli nie uwzględniając stopnia rozwoju umysłowego danej jednostki lub też społeczeństwa, narzucamy mu taki system religijny, do którego ono nie dorosło, możemy być pewni, że religia ta pozostanie niezrozumiałą, wskutek czego spaczy się i zwyrodnieje, usiłując napróżno zniżyć się do stanowiska nowych wyznawców.

Taką drogą tworzy się wspomniany powyżej pozorny fetyszyzm, którego przykładów nastarczyć można, bez liku. Kwitnie on między innymi w całej swej pełni wśród zachodnio indyjskich, nawróconych na wiarę chrześcijańską Negrów, wśród wielu dzikich plemion Afryki, uważających

zarówno krzyż jak obrazy Świętych za dobrych fetyszy itp.

Trudno zresztą dziwić się Negrowi, skoro w Hiszpanii były na porządku dziennym wypadki, że w czasie posuchy wrzucano obraz Matki Boskiej do stawu, a w Rosyi zdarza się dziś jeszcze, że wieśniak, który modląc się, nie został wysłuchany, zbija kijami obraz, do którego zwracał się, zaś Włoch zamyka z tej samej przyczyny statuetkę Świętego w ciemnicy i pewny jest, że kara ta wpłynie na jej poprawę.

Ale nawet wśród jednego i tego samego społeczeństwa, w normalnych zresztą warunkach, powstać może łatwo i powstaje też zazwyczaj takie rozdwojenie. Gdy bowiem w miejsce dawnych wierzeń wstąpią nowe, gdy dawny system religijny zostanie zastąpiony przez inny, wyższy, wówczas około coraz mniej, a wreszcie zupełnie niezrozumiałych zabytków dawnej wiary kupić się będzie zawsze jeszcze garstka wyznawców, którzy, nie mogąc nadążyć za innymi, pozostali wierni dawnym ideałom. I tem tłómaczy się, że fetyszyzm istnieje obok wyższych stopni, wierzeń u tego samego plemienia, ale ten fetyszyzm nie jest już nigdy prawie fetyszyzmem w właściwem znaczeniu wyrazu, gdyż nie obejdzie się bez tego, aby nowe idee nie odezwały się w nim, chociażby najsłabszem echem a tem samem nie dokonały zmian w jego dawnej, pierwotnej postaci. Stąd też w fetyszyźmie przebija się zazwyczaj tyle różnodnych pierwiastków, które wnikając powoli i nieświadomie w jego istotę toczą ją i niszczą na to, aby wyjrzawszy wreszcie przez próchno na zewnątrz, uledz za przykładem poprzednika nowym prądom w ten sam sposób.

Jakkolwiek, stosownie do tego, co powiedzieliśmy powyżej, może być fetyszystą i taki, który, przekonawszy się o bezwartościowości materyi, wynalazł inny pierwiastek życia, jakkolwiek widząc tylko materyę, a zapominając o duchu, który w nią wcielił się, tworzy sobie człowiek pierwotny

nowych fetyszy, jakich spotkamy wiele w ciągu tego opowiadania, to przecież, poznawszy raz duszę, wprowadza on z nią mimowiednie nowy, stateczny, rozkładowy prąd, w dawnych wierzeniach. Wprost prześlicznem jest studyum tych stanów umysłu, tych nieznanych dotąd obaw i napróżno żywionych nadziei, którymi zapełni się całe życie dzikiego syna natury, skoro tylko stworzy on sobie, tę, w swojem mniemaniu, świadomą, warunkującą życie istotę, którą my nazywamy duszą. Z poznaniem i rozumieniem tej duszy związane są ściśle losy wierzeń, dzieje religii.

Ale długą niewątpliwie, żmudną szkołę spostrzeżeń musiał przerobić umysł dzikiego filozofa, zanim uwaga jego zatrzymała się przy tej »duszy«, aby nigdy więcej od niej nie oderwać się. Każdy zgodzi się na to, że doszedł on do niej na drodze zmysłowej obserwacyi, nikt nie będzie wątpił, że zwrócił się w tę stronę, wiedziony czystym przypadkiem, ale jak szedł odgadnąć nie łatwo, tem trudniej, że nie posiadamy nic prawie, co mogłoby nam ten pochód myśli uprzytomnić, przedstawić. W braku takich danych nie pozostaje nam nic innego, jak uciec się do domysłów, które tem lepiej dostroją się do istotnego stanu rzeczy, im prostszą będzie zasada, na której je oprzemy.

Zstąpmy tedy na stanowisko dzikiego badacza, a, patrząc jego oczyma, wybierzmy się w drogę na poszukiwanie duszy«.

Niewątpliwie życie i śmierć, te dwa, tak wybitne zazwyczaj różniące się stany, musiały rzucić pierwsze nieme hasło do stworzenia pojęcia »duszy«, zaś ruch i ciepłota mogły być najpewniej temi, które nadawały piętno poglądom, kierowały ich rozwojem: pierwszy, jako charakterystyczny objaw życia, druga, jako znamienna cecha śmierci. Ale gdy ciepłota nie nadawała się zrazu tak bardzo do obserwacyi, pozostał na planie ruch, rzucający się łatwiej w oczy i znamionujący życie, głównie przez uderzające porównanie z martwotą śmierci. Niekoniecznie musiał być to ruch ręki, nogi lub głowy, boć przecież na nagiej skórze dostrzec można go łatwo, jako miarowe uderzanie czegoś, co dobija się to do ściany piersi, to tłucze się na skroniach silniej lub sła-

biej. Co to może być, co puka wewnątrz piersi tak nieraz głośno, że, gdy cisza dokoła, słychać to pukanie, niby jakąś nieznaną, dziwną, przytłumioną mowę, niewidzialnej osoby? Nas, którzy, dzięki poszukiwaniom Williama Harvey'a, poznaliśmy przed dwustu ośmdziesięciu pięciu laty tajemnicę obiegu krwi, zjawisko takie nie dziwi. My wiemy że to, co dobija się do naszych piersi, to jest serce, które kurcząc się i rozkurczając, powoduje ruchy, widoczne na ścianie klatki piersiowej, my wiemy, że to, co uderza na skroniach, szyi i t. p., to są pulsa, czyli reakcya elastycznej ściany naczynia krwionośnego na napór krwi, znajdującej się już w naczyniu, a ściskanej przez wtłaczaną świeżo krew z aorty. Nie dziwimy się temu zupełnie i możemy sztucznie wywołać pulsacye takie w rurach gumowych, jak to uczynił Weber, illustrując w ten sposób szemat obiegu krwi.

Hottentot, Tasmańczyk, Kałmuk nie bawi się tego rodzaju studyum, budowa ciała ludzkiego lub zwierzęcia i czynność jego organów jest dlań rzeczą niedostępną. Nawet, jeżeli rozćwiartuje organizm i wyjmie zeń poszczególne części, to mimo to nie przyniesie mu ta sekcya żadnej korzyści naukowej, jako nie dotykająca niczego, co stoi w związku z potrzebami jego życia. A zresztą, pocóżby było mu badać i śledzić, poco łamać głowę nad pytaniem: co to może być za zjawisko, skoro jego antropopatyczny pogląd niesie mu gotową odpowiedź. W jej świetle jest to istota żywa, świadoma, czynna, taka sama jak człowiek, tylko może mniejsza a zarazem niewidzialna wprost, ale dostrzegalna pośrednio po swoich ruchach. Takimi istotami są w jego mniemaniu, pulsujące miejsca na ciele, równie dobrze jak oddech, czyli »powiew«, uchodzący ustami lub nosem.

Jednak nie koniec jeszcze na tem. Wprawdzie pulsa i oddech przedstawiają istoty żywe, to przecież nie są one jeszcze tem, co człowiek pierwotny nazwie kiedyś duszą. Dopiero bowiem widok martwoty śmierci dopełni reszty nieświadomego studyum, dopiero to wybitne przeciwieństwo

rozgraniczające życie i śmierć doprowadzi do ostatecznego odkrycia »duszy«.

Oto ten, który jeszcze przed chwilą ruszał się, śmiał, mówił, leży teraz cicho, spokojnie, jak gdyby ciężki, twardy zmorzył go sen. A jednak, on nie śpi. Wprawdzie bowiem postać ciała, nogi, ręce, twarz zostały te same, to jednak postać ta nie drgnie najsłabszym nawet ruchem, chociażby palca, chociażby oka i może spoczywać tak przez długie godziny i dni, nie jedząc, ani pijąc, ani nie zmieniając położenia, które raz jej nadano. I nic nie wyruszy jej z tego stanu. Proś, wołaj, groź, bij ,wszystko napróżno, nawet kapłan przywołany stoi bezradny... Ten człowiek nie żyje. Wraz z temi spostrzeżeniami nasuwają się inne jeszcze. Oto przedtem było ciało ciepłe, teraz zaś jest zimne, przedtem dech uchodził ustami lub nosem, teraz nie widać go, ani nie czuć jego powiewu, przedtem uderzało coś w wnętrzu piersi, na skroniach, na szyi, teraz nie widać tych ruchów i nie słychać najlżejszego ich szmeru. Kiedy więc one były, kiedy ciało było ciepłe i oddech uchodził, człowiek poruszał się, jadł, pił, mówił, wogóle żył, kiedy ich niema, kiedy ciało zimne i nie czuć oddechu, człowiek nie rusza się, nie żyje. Tu nasuwa się już pierwotnemu badaczowi na myśl mimowolnie prawie wniosek, jakkolwiek fałszywy: ciepło, oddech i pulsa są więc widocznie tem, z czem związane jest życie człowieka, ponieważ zaś, gdy one są, jest i życie, skoro zaś ustąpią, wówczas i życie ustępuje, są one same życiem. Z tego zaś, że w braku ich ciało nie rusza się, nie czuje, nie pragnie, widać, że są one istotami, żyjącymi w ciele, mogącymi poruszać się, zdolnymi czuć i pragnąć. Teraz dopiero i tak została dusza odkryta poraz pierwszy, jakkolwiek na drodze nieprawidłowego wnioskowania. To bowiem, co było tylko objawem życia, oddech, puls, ciepłotę ciała uznał pierwotny filozof za samo życie, przyjął skutek za przyczynę. Że zaś tak postąpi, można spodziewać się z góry, skoro przypomnimy sobie, co powiedzieliśmy powyżej o wiązaniu takich wyobrażeń w stosunku przyczynowym, które w związku takim w rzeczywistości nie pozostają. Dziki, mający

przed oczyma tylko te dwa, tak wybitnie różniące się stany, jak życie i śmierć, widzący tylko i patrzący na najbardziej zewnętrzne, najłatwiej dostrzegalne cechy tej różnicy, nie potrafi i nie może zastąpić powyższego rozumowania innem. Ten jego wniosek tego rodzaju wynika niemal z konieczności rzeczy i na nim zaczną powstawać coraz to inne pojęcia od najbardziej prostych i zmysłowych, aż do tych, które podają najwyższe systemy religijne.

Ale na tem nie kończy się jeszcze kwestya »duszy« zupełnie. Ustawiczne doświadczenia, rozumie się mimowolne, nowe spostrzeżenia wzbogacają zakres wyobrażeń dzikiego, a w parze z tem zmieniają się poglądy o »duszy«.

Pulsa, oddech, ciepłota ciała, jakkolwiek zrazu wszystkie uchodzą za duszę, to jednak w miarę nowych doświadczeń tracą swoje znaczenie. jedno na korzyść drugiego.

Zdaje się, że najniżej kulturnie rozwinięte plemiona są te właśnie, które uważają pulsa za duszę. Wśród tych pulsów jednak, zaznaczają się najwybitniej t. zw. koniuszkowe uderzenia serca, dające śledzić się gołem okiem i zdradzające się to silniejszem, to słabszem, lub zupełnie prawie niewidocznem tętnem. Stąd też serce poczyna uchodzić dość wcześnie za najpotężniejszą z »dusz pulsów«, jaką jest ono do dziś dnia jeszcze w wierzeniu Bassutów amerykańskich, Karaibów i Karenów i jakiem było niegdyś w pojęciu starych Egipcyan. Im więcej zdradza ono zależności z różnymi stanami ciała, tem bardziej rośnie jego znaczenie, aż wreszcie spotęguje się do tego stopnia, że wobec niego utracą wszystkie inne »dusze«, odpowiadające pulsom poszczególnych okolic ciała, swoje pierwotne stanowisko na zawsze. Może stać się to bardzo łatwo, gdy człowiek pierwotny, rozkrawując ciało zwierzęcia lub też człowieka, natrafi, czy to umyślnie, czy, co bardzo prawdopodobne, przypadkiem, na te miejsca, w których odzywała się niegdyś za życia domniemana dusza. Na szyi, skroniach i t. p. nie znajdzie nic takiego, co zaspokoiłoby jego ciekawość, natomiast w klatce piersiowej, właśnie w miejscu, pulsującem najsilniej za życia, spostrzeże serce, które, jak wykazały badania, może

nawet wówczas jeszcze kurczyć się i rozkurczać, gdy w reszcie ciała wszelkie życie już zamarło. I tak naprowadzi go to nowe odkrycie na domysł, że nie pulsa, uderzające na skroniach lub szyi, są duszą, ale serce. Pogląd ten może uledz nowej zmianie, skoro pierwotny człowiek zauważy, jak słabnie ten ruch wyciętego serca w miarę upływu krwi, i ustaje wreszcie po pewnym czasie zupełnie. Zresztą nie brak mu i gdzieindziej sposobności do podobnych doświadczeń. Oto zraniwszy śmiertelnie przeciwnika, zauważy on również, że siły jego ubywają w miarę, jak z otwartej rany upływa krew, aż ostatecznie popadnie ugodzony w stan zupełnej bezwładności, a, zwaliwszy się w kałużę własnej krwi, przestanie zdradzać wszelkie objawy życia, jest trupem. Nastąpi tedy nowa poprawka w dawniejszych zapatrywaniach: nie serce bowiem, ale krew jest duszą, ona jest właściwem życiem.

Poglądy tego rodzaju utrzymały się nietylko wśród ludów pierwotnych, jak n. p. Papuanie, ale odbiły się również w sposobie myślenia ludów, wyżej pod względem kultury stojących, a nawet przechowały do naszych czasów.

Wiadomą, n. p. jest rzeczą, że Żydzi przestrzegają osobnego sposobu postępowania, przy zabijaniu zwierzęcia, mającego służyć za pokarm. Chodzi tu przedewszystkiem o to, aby z rany spłynęła, o ile możliwe, największa ilość krwi, poczem jeszcze mięso płucze się przez pół godziny w wodzie, następnie zaś ocieka, złożone na przetaku, a potem znowu płucze, »nic bowiem nie jest tak trefne jak krew«. Ten zwyczaj wiąże się z rozkazem Mojżesza, który powiada: »Bacz tylko, iżbyś nie pożywał krwi, gdyż krew jest duszą, dlatego nie powinieneś spożywać duszy wraz z mięsem«. Arystoteles zaś pisze: »Mówią niektórzy, że krew jest duszą«. Wreszcie spotykane po dziś dzień u wielu ludów zwyczaje picia wzajemnego krwi, usączonej z swego ciała, na oznakę pokrewieństwa, należy uważać również za tego rodzaju zabytki. Nie tylko wśród plemion połudn. zachodniej Ameryki lub Nowej Gwinei postępują w ten sposób narzeczeni, wysysając, z umyślnie na ten cel zrobionej ranki na

czole spływającą krew, ale wyobrażenia takie panują, a przynajmniej panowały jeszcze bardzo niedawno w Bośnii i Hercogowinie, gdzie, nie mogąca pobrać się para kochających, zawierała w kościele związek pobratymstwa, zaś na oznakę duchowego związku, jaki od tej chwili łączył obydwoje, wpuszczały obie strony kroplę, z ramienia usączonej krwi do kieliszka z winem, poczem wino wypijano uroczyście.

Ostatecznie i na takim stanie rzeczy sprawa nie utyka, poglądy rozwijają się dalej i krew wychodzi także z czasem z roli swej jako »dusza«. Kiedy bowiem krew spłynie, wydobywa się z niej ciepło i, widzialne, uchodzi w przestrzeń, w której gubi się. Wraz z tem traci krew swoją ruchliwość i ścina się, czyli krzepnie. Nie sama krew jest zatem duszą, ale musi być nią ciepło, które rozchodzi się po całem ciele, ogrzewa je i jako dech uchodzi przez nos lub usta na zewnątrz. Zdradzające się zazwyczaj, jako »powiew wiatru«, może być ono czasem widzialne gołem okiem, szczególniej w mroźne dni jesieni lub zimy, a wówczas można śledzić je dokładnie, jak opuszcza ciało w postaci pary lub mgły i, lecąc gdzieś w nieznaną dal, znika z przed oczu obserwatora. Tedy już ani pulsa, ani serce, ani krew nie jest duszą, ale jest nią oddech, oddech materyalny, dający się uczuć, jako powiew wiatru lub dostrzec okiem, jako mgła.

Ślady wierzeń tego rodzaju zachowały się w wyrazach, służących na określenie pojęcia duszy, zazwyczaj bowiem oznaczają one równie dobrze »duszę«, jak »dech« lub »oddech«, czyli są dla tych wszystkich pojęć równoznaczne.

Jnż w polskim zdradzają wyrażenia: oddech, dech, duch, dusza pokrewieństwo swojem brzmieniem, cyganie mówią »duk« na ducha i na duszę, w łacinie znaczy »spiritus« duch i dech, podobnie zaś w greckim, gdzie pneuma (πνεῦμα) znaczy naprzemian dech i dusza. W hebrejskim rozumie się przez wyraz »nefesz« »oddech i duszę«, zaś w »ruah« tkwi znaczenie »duch« i wiatr, a wyrazy te odpowiadają arabskim »nefs i ruh«.

Do tych wyobrażeń o duszy przyłączy się wkrótce jeszcze jedno: cień, jaki rzuca przedmiot oświetlony, w szcze-

gólności zaś ciało ludzkie. Tak bowiem, jak nam wydaje się obecność cienia rzeczą zupełnie naturalną, tak dziwnem wygląda to zjawisko i niewytłómaczonem w oczach dzikiego. Odkrycie związku między światłem a cieniem przedstawia dla nierozwiniętego umysłu pierwotnego człowieka trudny do rozwiązania problemat, tem trudniejszy, że jego antropopatyczna natura, narzucając się z gotową odpowiedzią, nie pozwala mu dotrzeć do właściwej rzeczy.

Można nieraz przekonać się, że i w wyobraźni zwierząt zajmuje cień również podobnie niewyjaśnione stanowisko. Kot biega za nim i stara się go uchwycić, pies szczeka często na tę dziwaczną jakąś istotę, ucieka od niej lub zbliża się ku niej z widocznem niedowierzaniem lub obawą. Szczególniej wśród jasnej, księżycowej nocy, kiedy cień rysuje wybitnie swoją wydłużoną postać, można robić łatwo podobne spostrzeżenia. Ostatecznie i niejeden z nas, przyznałby się może, że, jeżeli nie przeląkł się swego cienia, to przynajmniej, idąc późno w noc, daleko od ludzi, nie doznawał najmilszego wrażenia, ilekroć spostrzedł nagle swego czarnego towarzysza, wlokącego się krok w krok za nogą jak nieprzyjazne, złowrogie widmo.

Jednak, podczas gdy każdy, świadom właściwej przyczyny zjawiska, nie pozwoli mu rozgospodarzyć się zanadto w wyobraźni, to dziki, opierając się na swym antropopatycznym poglądzie, tembardziej poddaje się obawie, im baczniej śledzi zachowanie się swego cienia. Jakaś ciemna, powiewna, na wpółprzeźroczysta postać, podobna nieco do człowieka, a jednak różna od niego, towarzyszy mu nieustannie; to bardziej, to mniej widoczna, wyprzedza go raz, to omija i chowa się poza plecy, to plącze się tuż pod nogami i wreszcie znika zupełnie.

Na tle jasnego, światłem miesiąca wysrebrzonego podłoża zmienia ten cień bardzo wybitnie swoją dziwaczną postać. To skraca się, to wydłuża do karykaturalnie szpetnych postaci, a wszystko to zdaje się czynić świadomie, dobrowolnie. Napróżno starałby się ktoś ująć go lub odegnać. Wyciągniesz po niego rękę, to usuwa się przed nią, a jednak

nie ucieka, biegniesz za nim, to on biegnie wraz z tobą, płącze się pod nogi, daje się deptać i bić, a nie pozwala się zbadać. Za każdym człowiekiem ciągnie się takie widmo jak jego sobowtór, przecież niema ciała i nie zdradza czucia, zdaje się być związany z człowiekiem, a jednak nie da podporządkować się pod jego władzę: to jedna z dusz.

I tak, do całego szeregu poprzednich, przybywa jeszcze jedna dusza, cień.

Czy właśnie takie rozumowanie, które przedstawiamy za Schultzem, wiodło pierwotnego człowieka do stworzenia sobie, wspomnianych powyżej »dusz«, tego nikt nie wie i nie łatwo dowieść potrafi, ale za to nie ulega wątpliwości, że takie dusze żyją w wierzeniach ludów pierwotnych, że każda z nich kupi około siebie pewną ilość wyznawców.

Grönlandczycy, Maorowie i i. szanują cień i obawiają się go, gdyż widzą w nim duszę, ci ostatni zaś a także i Fidżianie spoglądają z takim samym pietyzmem na odbicie swego własnego obrazu w wodzie, który w ich przekonaniu uchodzi obok cienia za drugą duszę człowieka. Obraz ten, czyli »duch jasny« pozostaje po śmierci człowieka w pobliżu tego miejsca, gdzie on umarł, podczas gdy »duch czarny« czyli cień opuszcza ciało i schodzi do świata podziemnego. Wierzą i Jakuci w cień, jako w duszę. Szanują go też starsi i niepozwalają dzieciom bawić się nim, rzucać nań kamieniami lub zmuszać go do robienia nieprzyzwoitych ruchów. Gdy człowiek zachoruje, zmienia się cień jego i blednie, to też po cieniu poznaje szaman czyli czarodziej chorobę, a wówczas musi zastosować odpowiednie praktyki, aby ją odwrócić. Czasem cień ucieknie z ciała, co wczas zobaczywszy, można go zawrócić. Ale to potrafi tylko szaman. Sieroszewski przytacza opowiadanie jakiegoś kozaka, który w ten sposób omal, że nie nabawił się śmiertelnej choroby. »Siedziałem sobie — opowiadał ten kozak — z Jakutami na ławie, a szaman czarował. Ogień palił się na kominku. Czary były małe. Zamyśliłem się. Wtem szaman wrzasnął przeraźliwie jak czajka. Drgnąłem. Widzę ruch. Szaman rzucił się na ziemię, na czworakach podlazł pod ławę, sza-

motał się, pełzał, potem wyszedł i z zaklęciem rzucił mi garścią w twarz coś, co powiało chłodem.... Nie wiedziałem co to jest, aż mi potem powiedzieli, że od wzdrygnięcia uciekł cień mój, że mogłem od tego bardzo chorować, więc szaman go złapał i wrócił na miejsce.«

Wiele ludów pierwotnych określa tym samym wyrazem »cień« i duszę. Abiponowie np. »loákal«, Arawakowie »wedża«, Bassutowie »serriti«, Kalabarczycy »ukpan«, Zulusi »tunzi« i t. d.

Echa wierzeń tego rodzaju dochowały się do naszych czasów. Przebijają się one w wyrazach i zwrotach, używanych dziś jeszcze powszechnie np.: »cieniom umarłych wieczny pokój« albo: »przysięgam na cienie swoich ojców« itp. Wśród naszego ludu wiejskiego, błąkają się tu i ówdzie ślady tych wierzeń w różnej postaci. W kilku okolicach wschodziej Galicyi zdarzyło mi się słyszeć wiarę, że »podpalacz niema swego cienia«, zaś z odpowiedzi, jakie otrzymywałem, na umyślnie, w kwestyi wyjaśnienia zadawane pytania, wynikało zawsze, że przez »cień« rozumieć należy tutaj duszę. W myśl powyższych wyobrażeń wystawiano sobie świat pozagrobowy, jako »kraj cieni«, znany zresztą z mitologii starożytnych zanadto dobrze, ażeby rozwodzić się nad nim obszerniej na tem miejscu.

Obok wiary w jedną, spotyka się bardzo często przekonanie, szczególniej wśród ludów pierwotnych, że w człowieku żyją dwie, trzy i więcej dusz, a nawet bywa tak, że to, co spostrzegły zmysły, a więc: pulsa, serce, krew, oddech, cień i odbicie obrazu własnej postaci w zwierciedle wody, wszystko to uchodzi za dusze jednego człowieka. Karaibowie np. przyjmują tyle dusz, ile wyczuć można pulsów na ciele, Eskimosi wierzą w dwie tylko: oddech i cień, podczas gdy Battak posiada ich aż trzy. Z tych jedna opuszcza ziemię i, gdy jej właściciel popełnił coś złego, zostaje spalona za karę na wschodzie, zaś dwie inne błąkają się po ziemi, ulegając tu różnorodnemu przeznaczeniu. Chińczyk też nie poprzestaje na jednej duszy. Jedna, t. j. duch, zwana »hoan« idzie po śmierci w górę, druga »pe« czyli dusza właściwa

schodzi na dół, trzecia zaś pozostaje na ziemi i około niej właśnie ześrodkowuje się cały kult przodków. Dusze Jakuta noszą nazwę: iczczi, siir, kut. Pierwsza jest duszą każdego przedmiotu, każdej rzeczy zrobionej przez człowieka, drugą obdarzone są wszystkie twory żyjące, począwszy od najniższych, a od wielkości tych tworów czyli organizmów zależy potęga siir, natomiast »kut« jestto właściwy duch ludzki, przedstawiający się, jako mglisty, powiewny obraz, jako cień. Straciwszy jedną duszę, człowiek niedomaga, po stracie drugiej choruje ciężko, natomiast utrata ostatniej przyprawia o śmierć.

Ta ostatnia dusza »kut« jest bardzo mała, nie większa od małego czarnego węgielka, a może ją znaleść szaman w izbie chorego, pod ziemią. Przecież waży ona tyle, że sam szaman nie zdoła jej podnieść bez pomocy czworga silnych osób. W wyobraźni Dakotów żywi każdy z nich w sobie cztery dusze, zaś Dajakowie na Borneo aż siedm według podania Linga Roth'a, a cztery podług Haberlanda. Również co do wspomnianych powyżej Battaków ważą się różnie zapatrywania uczonych. Jedni, jak Wilken nie pozwalają wierzyć im w obecność więcej aniżeli trzech dusz, podczas gdy inni, jak Brenner narzucają im aż siedm.

Ostatecznie ani taka, ani owaka liczba dusz, nie sprawi dzikiemu wyznawcy zbyt wiele kłopotu. W bujnej swej wyobraźni znajdzie on zawsze dla każdej z nich rolę za życia i pomieszczenie po śmierci, z łatwością, przechodzącą wszelkie oczekiwania.

Że człowiek pierwotny nie był usposobiony egoistycznie na punkcie swej ludzkiej godności, najdobitniej świadczy o tem fakt, iż, stworzywszy duszę, nie przywłaszczył jej sobie, ale podzielił się nią chętnie z całem otoczeniem. Zwierzęta wydały się mu zanadto zbliżone do ludzi, aby mógł był odmówić im duszy, ale na jakiej podstawie przyznał ją roślinom, może wydać się rzeczą niezrozumiałą. Przecież, biorąc pod uwagę stanowisko pierwotnego człowieka, da się taki pogląd łatwo usprawiedliwić. Zawsze z podmiotowego stanowiska patrzący obserwator, mógł, zachodzące na

roślinie zmiany, wytłumaczyć najłatwiej na tle animistycznem. Nikomu z nas n. p. nie przyjdzie na myśl, karać drzewo za to, że zrodziło jednego roku mniej aniżeli w innych, albo posądzać o złe zamiary gałąź, która, odłamawszy się od głównego pnia, zabije, stojącego pod sobą człowieka. Pierwotny filozof natomiast rozumie rzecz tę zupełnie inaczej. Wszystkie na roślinie obserwowane zjawiska, których wyjaśnienie podaje nam dziś biologia roślinna, wydają się jemu aktem dobrej lub złej woli rośliny, wyposażonej duszą, podobną, względnie nawet taką samą, jaką posiada człowiek lub zwierzę. I jeżeli dziś jeszcze słyszy się z ust wieśniaka, z całą wiarą przedstawiane opowieści, że w wigilię Bożego Narodzenia zwierzęta a nawet rośliny mówią językiem ludzkim, albo, jeśli w tym samym czasie zbliża się gospodarz do drzewa i chce je bić, ściąć, a drugi powstrzymuje go, prosząc aby zamiaru zaniechał, gdyż ono poprawi się i zrodzi w tym roku obficie, to ma się tu przed sobą stare, ginące już echa wierzeń, zgodnych zupełnie z zwierzeniami ludów pierwotnych.

Gdzieindziej występują dusze drzew, jako nieprzyjazne istoty, które mieszkają po lasach i niepokoją przechodnia, szepcą mu do ucha, straszą, prowadzą na manowce i t. d. Są ci »leśni«, »borowi«, jak nazywają je Słowianie, zapewne niczem innem, jak uosobieniem tych różnorodnych wrażeń, jakich doznaje w lesie podróżny. Ten czysty zrazu animizm przesiąknie wkrótce pierwiastkami manizmu czyli kultu przodków do tego stopnia, że trudno nieraz, a nawet wprost jest niemożliwem orzec, czy dany duch drzewny jest zwykłą duszą roślinną, czy też jest on duchem ludzkim, zagnanym i wcielonym w roślinę wskutek tak bardzo rozpowszechnionej u ludów pierwotnych wiary w wędrówkę dusz czyli metempsychozę, którą przedstawimy w późniejszych rozdziałach.

Łatwo domyśli się każdy z tego, co przedstawiliśmy dotąd, że dzicy praojcowie nasi jako zagorzali materyaliści, dalekimi byli i są od tego, aby przez tę duszę rozumieć coś innego aniżeli materyę. Dowodzą takiej wiary ich praktyki religijne, owiane przy każdej sposobności troską

o duszę, którą można złapać, zabić, połknąć, zgryść lub spalić.

Jeszcze pamiętają do dziś dnia mieszkańcy jednej z wysp Oceanii zw. Puka-Puka, długie, z silnych, dobrze skręconych włókien plecione pętle, na które kapłani łapali dusze w r. 1862. Niektóre z tych pętli przechodziły 28 stóp długości, zaś na końcu miały eliptyczną obrączkę sznurową, dłuższą lub krótszą, odpowiednio do objętości duszy, która u jednych jest grubsza, u drugich cieńsza i zgrabna, co zresztą musiał kapłan umieć przewidzieć w swym wieszczym rozumie. Jeżeli kapłani Oceanii byli mistrzami w łapaniu dusz, to »ganga« u Akkranegrów jest specyalistą w ich wiązaniu. Niech tylko zostanie popełnioną kradzież w osadzie i niech złodziej nie da się wytropić, a wnet zabiera się poszkodowany do ceremonii wiązania duszy przestępcy, aby oddać ją duchom do ukarania. Jestto rzecz nie łatwa i bez pomocy kapłana udać się nie może, tedy nie dziw, że, okradziony nie namyślając się długo, udaje się do »ganga«, a przedstawiwszy mu rzecz całą, prosi o pomoc.

Ganga ma wówczas wielką powagę w twarzy, wieszczą bystrość w oku i mądrą radę na języku. Wyciąga z ukrycia dwa kawałki drzewa, ostrugane w postaci noży, dodaje do nich tyleż zwitków szmat, w których mieszczą się grudki ziemi, zbutwiałe drzewo i t. p. i umocowana jest wielka muszla »kuri«, a, rozkazawszy petentowi postarać się o sznur z drzewnego łyka i roztartą czerwoną korę, wyprawia go na poszukiwanie duszy przestępcy. Jeszcze ptaki nie wyprostowały piór po nocnej drzemce, a poszukiwacz stoi już na końcu wsi, albo też gdzieindziej, stosownie do wskazówek ganga i rozpina tu wzdłuż głównego traktu sznur, wytarty poprzednio masą czerwonego pyłu, zamieszanego z wodą. W miejscach umocowania sznura przytwierdza wspomniane woreczki z ziemią, a tak, gdy przygotowawcze prace skończone, wiązanie duszy jest już bagatelą. Oto okradziony, stanąwszy u jednego końca sznura, poczyna nawijać go corychlej na, przyniesione z sobą kawałki drzewa, przyczem złorzeczy złodziejowi, wywołując przeraźliwym głosem naj-

okropniejsze nieszczęścia na jego złodziejską głowę i posyłając pod jego adresem mnóstwo przekleństw z codziennego, murzyńskiego słownika. Tymczasem cały sznur został już nawinięty, więc zmordowany krzykiem Neger, zagrzebuje go pod kamieniem, zaś pył drzewny, który ganga w woreczkach proszącemu wręczył, rozsypuje na miejscu uroczystości. Uspokojony w ten sposób wraca do domu, oczekując z pełną cierpliwością zadośćuczynienia za swoją krzywdę, boć już tak przecie związana dusza nie może ujść karze sprawiedliwych duchów.

Można też duszę złapać w rękę. Indyanin Ameryki wierzy, że czarodzieje posiadają nieograniczoną moc nad duszami. Jeżeli ktoś popadnie w niemoc, co znaczy, że dusza uciekła z jego ciała, wówczas przywołany kapłan może wetchnąć mu ją napowrót, albo też wsadzić pod czuprynę. Ci kapłani umieją także badać dusze i przechowywać je w puszkach. Igorroci posuwają się dalej jeszcze w swojem pojmowaniu duszy, sądzą bowiem, że dusza może władać dzidą, którą przebija inne dusze, zeszłe z tej ziemi bez pokuty.

Rozumie się samo przez się, że dusza musi się odżywiać, w przeciwnym zaś razie zginie niewątpliwie z głodu. U Dajaków, gdy urządzenie tz. »tiwah« czyli święta umarłych odwleka się dłużej, nad trzy dni, nie stawia się trumny nad ziemią, na wysokich palach, jak jest w zwyczaju, ale układa się ją na ziemi i przysypuje nią lekko po wierzchu. Obok trumny lub pod nią ustawia się wówczas garnek z ryżem, drugi taki sam z wodą do picia, przygotowuje się sirik i tytoń, ażeby na niczem nie zbywało duszy, która błądzić musi po ziemi, zanim urządzenie święta umarłych nie otworzy jej drogi do krainy dusz. Będziemy widzieli, omawiając ceremonie pogrzebowe, ile przeróżnych uroczystości, ofiar itp. ześrodkowuje się właśnie około wiary, że dusza wymaga tego samego, czego potrzebuje ciało, jest żądną wygodnego życia, zaszczytów, umie smucić się i cieszyć, stąd też wspomniany rozdział można uważać za uzupełnienie niniejszego.

Będąc materyą zamkniętą, ograniczoną w przestrzeni, musi dusza mieć jakąś pewną określoną postać, w której

okazuje się ludziom. Skąd jednak ma pierwotny filozof czerpać wzór dla przedstawienia duszy, jeśli nie z najbliższego swego otoczenia, z przyrody, z którą nieustannie styka się i obcuje. Ale w przyrodzie dwojakiego rodzaju twory zwracają jego uwagę: martwe i ruchliwe, a ponieważ duszę wyobraża on sobie jako ożywioną, przeto jasne, że będzie nią raczej to, co znamionuje się ruchem, aniżeli przedmiot, nie zdradzający życia j. np. kamień lub kawał drzewa.

I tak znalazły się w kole wierzeń ludów pierwotnych zwierzęta, przeważnie jednak takie, które zastanawiały go jakąś tajemniczością, lub zadziwiały zręcznością i chyżością ruchów.

Do pierwszych należały węże i jaszczurki, umiejące skryć się szybko, wpełznąć w każdą, ledwie że widoczną szczelinę, lub zniknąć nagle niewiedzieć jak i gdzie, do drugich ptak, motyl i t. p.

I znowu przypadek najprawdopodobniej mógł być tutaj mistrzem. Przypuśćmy n. p., że wśród lasu umiera któryś z członków gromady, może jakiś dobry myśliwiec, może dzielny wojownik, może nawet sam naczelnik. Towarzysze wypraw otaczają jego proste łoże śmierci z mchu i liści i patrzą, jak twarz jego zmienia się, kurczą członki, aż wreszcie ciało, poruszone raz jeszcze silniejszym oddechem przestaje drgać na zawsze. Wtem, wśród niemej ciszy leśnej, zaszeleszczą zeschłe liście na ziemi i obok ciała zmarłego prześliźnie się wąż i zniknie. Nie jestże to najoczywistszym dowodem, że ten wąż, który właśnie pojawił się w chwili, gdy umierający wydał ostatnie tchnienie, jest jego duszą?

W Eneidzie spotykamy coś podobnego:

W czasie ofiary Eneasza, wypełza nagle »z bezdennych głębi potworny wąż, spleciony w siedm zwojów, jakgdyby z tyluż ciał złożony, zaś Eneasz nie wie, czy ma przed sobą geniusza miejscowego, czy służebnego ducha swego ojca«.

W taki sam lub podobny sposób może stać się duszą ptak, motyl, może nią być pszczoła lub mrówka, która wylezie na ciało zmarłego, nawet chmurka lub obłok może

uchodzić za duszę, nie za symbol duszy, ale za nią samą w dosłownem brzmieniu wyrazu.

I w naszych warunkach nie dzieje się często inaczej. Wszak ileż to razy lada stuknięcie, którego przyczyny trudno odrazu dociec, wytrąci myśli niejednego z równowagi i napełni je niepokojem. Więc poczyna trapić się: pewnie ten lub ów zachorował, albo może nawet umarł. Ach prawda! »X« jest tak ciężko chory, może dał biedaczysko znać w ten sposób o swoim zgonie. Siada się więc czemprędzej do biórka i pisze list z zapytaniem o zdrowie »X« a tymczasem w miejsce odpowiedzi przychodzi karta z żałobną obwódką: »X. umarł«. Niechże teraz los zdarzy, że śmierć ta przypadnie właśnie na tę godzinę, w której ozwało się stuknięcie, a wówczas »Y«, nie starając się dociec właściwej przyczyny łoskotu, wierzy święcie, że słyszał lub widział ducha, cały zaś wypadek staje się niezachwianą tradycyą rodzinną, podawaną z różnymi dodatkami w dziesiąte pokolenie. Tak przedstawia się sprawa w widzeniu »Y«; tymczasem w istocie rzeczy usunął się może źle postawiony talerz w kredensie, lub pękł, zbyt silnie ogrzany mebel, w pobliżu pieca.

Panujące wśród ludów pierwotnych wyobrażenia o duszy, stają się źródłem rozlicznych praktyk, nieraz śmiesznych i dziecinnych, nieraz wprost barbarzyńskich, odtrącających swoją zwierzęcością i zohydzających wstrętną postacią do najwyższego stopnia. Zwyczaje zjadania, połykania lub wdychiwania dusz i obrzędy »fanani« odsłonią nam niektóre właściwsze cechy tych dziwacznych i wstrętnych uroczystości.

Poznawszy duszę, zrozumiał niebawem człowiek pierwotny, że jest ona nietylko życiem, ale też czem innem, co cenił z życiem na równi, jest siedliskiem wszystkich tych przedmiotów, które tak ogromne oddają usługi w walce o byt. Patrząc na bohatera, który przed chwilą niepospolitą siłą i nieustraszonem męstwem miażdżąc nieprzyjaciół, leży

teraz bezwładny i bezbronny, widząc wielkiego czarodzieja, który jeszcze niedawno trząsł całą hierarchią fetyszy, a teraz spoczywa jak kawał głazu, pozbawiony zupełnie swojej dawnej mocy, spoglądając na zwłoki naczelnika, który rzucał wczoraj najpotężniejszych poddanych na twarz przed sobą, a dziś leży bezsilny jak najnędzniejszy sługa, musiał zauważyć z czasem dziki obserwator związek między życiem czyli duszą, a tem wszystkiem, co wyróżniało jego współplemieńców, od reszty, zwykłej, przeciętnej miary ludzi. — I tak ostatecznie, drogą może podobnych wniosków, jak te, które wiodły go do poznania duszy, doszedł on do przeświadczenia, że ta dusza jest nietylko »żywą«, ale zarazem »mężną«, »zręczną«, »silną« i t. p., że, krótko mówiąc, jest ona siedliskiem wszystkiego, co zapewniłoby każdemu, ktoby ją posiadał, lepsze, wygodniejsze stanowisko wobec innych. A tymczasem, wydostawszy się z ciała uchodzi ona niewiedzieć dokąd, a wraz z nią przepada bezużytecznie męstwo, marnuje się siła i niszczy moc czarodziejska, lub zatracają zdolności wielkiego władcy, rządzenia ludźmi. Sanacya tych niezdrowych stosunków wpraszała się sama przez się, to też dzikiemu łatwo przyjść mogło na myśl, że dobrze byłoby, gdyby ten, bezużytecznie marnujący się kapitał pracy życia jednego człowieka, wykorzystać dla siebie. Dusza jest materyą: oddech można wetchnąć, krew da się wypić, kto zaś to uczyni, wprowadzi w siebie nietylko życie ale i te wszystkie przymioty, którymi zmarły odznaczał się za życia.

Takie wierzenia stały się źródłem całego szeregu innych i zrodziły rozliczne praktyki, przestrzegane z podziwienia godną skrupulatnością.

Wiele ludów pierwotnych, hołdujących wierze tego rodzaju, pilnuje umierającego, nie odstępując go ani na krok aby wczas schwycić, uchodzącą z ciała duszę. Zwykły sobie śmiertelnik jest wolnym zazwyczaj od tej kontroli. Jego dusza, nie lepsza, albo przynajmniej nie o wiele lepsza, aniżeli każdego z przeciętnych ludzi, nie przedstawia żadnego szczególnego interesu, na który mógłby ktoś złakomić się, nato-

miast z dowódcą, lub naczelnikiem gromady czy plemienia, ma się rzecz inaczej.

Pewne plemiona, jak n. p. Niassarowie, tak wielką przykładają wagę do tego, czy »eheha« gasnącego przywódcy połknie syn jego, czy nie, że w tym ostatnim razie nie uznają go za następcę ojca, ale obiorą nim takiego tylko, który, przyłożywszy do ust umierającego swoje usta, wetchnął w siebie duszę, a wraz z nią godność i wszystkie własności charakteru nieodżałowanego wodza. W ten sposób ma zupełnie obcy człowiek, nawet cudzoziemiec, otwartą drogę na tron, musi jednak przejąć w siebie duszę zmarłego poprzednika i musi mieć świadków, którzy to widzieli.

Gdzieindziej dzieje się gorzej. Tu doprowadziły podobne powyższym wierzenia do czci fetyszystycznej, do obrzydliwych ceremonii, znanych pod nazwą »fanani«. Fanani, jest to właściwie zwierzę, robak, rozwijający się w gnijącym trupie, zaś nazwę tę nadały mu niektóre plemiona Madagaskaru, wierząc święcie, że to zwierzę jest wcieleniem życia zmarłego, że jest to robak-dusza. Bieg myśli tej wyśledzić łatwo. Mimowiedni zwolennicy, stworzonej tysiące lat po nich hipotezy t. zw. »samorództwa«, widząc żywe zwierzę, powstające w ciele, z którego życie uciekło, mogli łatwo przypuszczać, że to życie ucieleśniło się w robaku, którego przedtem tam nie było, a, że życiem jest dusza, przeto robak ten jest wcieleniem duszy. W myśl takich poglądów wyciskają Makassarowie, gnijącą, cuchnącą ciecz z nóg, rozkładającego się już trupa, a przelawszy ją do osobnych naczyń przechowują tak długo, aż nie okaże się w niej pierwszy robak-dusza. Długo czasami przeciągają się takie oczekiwania; upływa miesiąc jeden, drugi, nieraz nawet pół roku albo jeszcze więcej, a trup leży niepogrzebany, bo dopóki robak-dusza nie okaże się w garnku, życie nie opuściło nieboszczyka, a zatem jakże go chować? Ale że cierpliwość niebiosa przebija« przeto i robak ukaże się z czasem w garnku. Ucieszona gawiedź grzebie tedy trupa, zaś garnek z robakiem wstawia w grób, łącząc jego wnętrze ze światem zewnętrznym, zapomocą długiej, bambusowej rury. Tej rury

nie wolno usunąć ani zniszczyć, przez nią bowiem wyjdzie po sześciu lub ośmiu miesiącach jaszczurka i przyjdzie do wsi, w której zmarły ostatki dni swoich przepędził. Nie jest niczem odmiennem od wspomnianego robaka ta jaszczurka; jest to ten sam robak »fanani«, który pojawił się w garnku, jeno o zmienionej postaci. Chwila, w której to nastąpi, jest dniem niekłamanej radości dla wszystkich bliższych i dalszych krewnych zmarłego, którzy w uroczystym orszaku wychodzą naprzeciw dostojnego gościa. Następuje wysoce wzruszająca scena, kiedy jeden z uczestników pochodu wystąpi naprzód i spyta: »Czy ty jesteś zmarłym x-ypsylonem?« W odpowiedzi na to podnosi jaszczurka głowę do góry, co uważa się za znak potwierdzenia, jeżeli zaś jeszcze zbliży się i liźnie z talerza odrobinę płynu, złożonego z rumu i krwi z uszu wołu, pierzcha wszelka wątpliwość co do tożsamości osoby zmarłego, którego duszę ma jaszczurka przedstawiać. Radość, napełniająca serca wszystkich obecnych, nie ma granic. Wśród weselnych okrzyków, pląsów i śpiewów wraca cały orszak do wsi, niosąc na białem prześcieradle duszę ukochanego nieboszczyka, otaczaną odtąd pietyzmem, czcią niemal boską. Nacieszywszy się dowoli, odnoszą w takim samym tryumfie duszę napowrót do grobu i pozwalają zniknąć jej w otworze, z którego wyszła według powszechnego mniemania. Nie trzeba jednak sądzić, że los taki dostaje się w udziale duszy każdego zmarłego, »fanani« bowiem ukazuje się tylko z krwi szlacheckiej! Jakże tu łatwo uledz można złudzeniu, jak łatwo zapomnieć na chwilę, że jest się nie na wyspach Afryki ale w ....Australii. Tu bowiem panują również podobne wyobrażenia, z którymi spotkamy się jeszcze w dalszej części niniejszej pracy.

W Afryce znajdziemy wiele cech zgodnych z powyższymi zapatrywaniami, chociaż brak im tej jasności co na Madagaskarze lub w Azyi lub Australii.

Wszędzie tu ukazuje się robak-dusza, ale niewyraźnie przedstawia się jego stosunek do jaszczurki. Podobnie, jak tam, mieszają się i tu idee fetyszyzmu z manizmem czyli kultem przodków i animizmem; robak występuje jako du-

sza zmarłego, która umie wskazać winowajcę śmierci zmarłego, a jako taka dostała się ona do ceremonii wróżb i t. p.

Ot np. w cieniu rozrosłej starej palmy siedzi grupka Wanyamwezów w około zwłok przegniłej już kury. Każdy z niecierpliwością ale i trwogą zarazem wpatruje się w cuchnące już zwierzę, bo ono ma wskazać mordercę, który pozbawił życia jednego z członków plemienia. Wtem szmery i udzielane sobie głośniej uwagi cichną na chwilę, a równocześnie powstaje nagły gwałtowny ruch...

Z lewej strony zwłok zwierzęcia wyczołgał się robak, co jest znakiem, że złoczyńca siedzi w tej stronie i tuż naprzeciw tego miejsca szukać go należy. W tej też stronie ześrodkowują się pięście i broń obecnych, bo śmierć musi być śmiercią pomszczona. Tedy pada domniemany winowajca pod śmiertelnymi razami swoich współtowarzyszy, a tem samem odwraca wszelką zasłużoną karę od tego, który powinienby był z nim zamienić rolę, gdyby sprawiedliwość rozstrzygała tutaj a nie rozsądzał przypadek.

Rolę robaka u Wanyamwezów odgrywa u Serrów jaszczurka, przy pomocy której oddziaływują kapłanie serryjscy na wszelkiego rodzaju przestępców, szczególnie zaś na miłośników cudzej własności w ciekawy sposób. Nie szukają tu złodzieja przez ajentów policyjnych, którzy, jak to często a nawet zazwyczaj bywa, przyłapią wprawdzie sprawcę i przedstawią go przed oblicze sprawiedliwości, ale okradzionemu nie zwrócą jego rzeczy, które zręczny eskamoter jeszcze zręczniej potrafił ukryć, albo też, nie chcąc obciążać sumienia widokiem, nieprawnie przywłaszczonych przedmiotów, oddał je w dziesiąte ręce drogą sprzedaży. Serrowie uznają odwrotną drogę za skuteczniejszą: złodzieja mogą nie wykryć, ale za to właściciel przychodzi napowrót w posiadanie utraconej własności. W tym celu przeciąga kapłan, do którego taka rzecz należy, przez wieś wśród hucznych dźwięków instrumentu »tam-tam« i ogłasza, że okradziony schwytał jaszczurkę i chce zanieść ją do kowala, aby ten nazajutrz ją zabił. Słyszą to wszyscy mieszkańcy osady, słyszy też i złodziej, a wówczas pot zimny występuje mu ze strachu

na czoło. Tedy ściąga coprędzej wszystko co ukradł i nocą, chyłkiem odnosi przed mieszkanie właściciela. Czyni to dlatego, gdyż, skoro schwytana jaszczurka jest jego duszą, każdy raz, którym dotknie kowal ciała jaszczurki, uczuje i on, aż ostatecznie i życie postrada, gdy jaszczurka pod narzędziem kowalskiem upadnie martwą. Tyle ofiar dla kilku, nędznej wartości bagaży, to jednak nie opłaci się! Powiadają, że nie było wypadku, aby ten prosty sposób nie odniósł pożądanego skutku.

Śmieszne opisane powyżej praktyki Madagassów i zbliżonych do nich w zasadzie Serrów i Wanyamwezów, nabierają na wyspach Gilberta, na Nias, na wyspach Salomona i gdzieindziej wszelkich cech skrajnej obrzydliwości. Powyżej wspomniani krajowcy zbierają zazwyczaj do osobnych naczyń soki, powstałe w trupie wskutek procesów jego rozkładu i albo nacierają sobie nimi ciało, albo też wypijają je, bądź same, bądź pomieszane z pokarmem, lub trunkiem.

Za najwcześniejszą postać tych barbarzyńskich zwyczajów, należy uważać wysyssanie soków rozkładowych zmarłego wprost z trupa. Na Samoa i mniejszych przyległych wysepkach nietrudno spotkać się z czemś podobnem. Zwłok tutaj nie grzebią, ale pozostawiają je na ziemi, dopokąd proces rozkładu nie postąpi tak dalece, że ciało silnie obrzęknie. Ta chwila jest hasłem do rozpoczęcia uroczystości. Krewni zmarłego gromadzą się, robią otwór w obrzmiałym brzuchu i wysyssają na wyścigi zebraną w nim ciecz gnilną. Uczta wcale nie do pozazdroszczenia! Mieszkańcy Seram chwytają do naczyń, spływającą gnijącą juchę, a pomieszawszy ją poprzednio z arakiem, wypijają. Aruanie czynią podobnie z tą tylko różnicą, że soki zmarłego wlewają do saga niby okrasę, zaś Galelowie napajają niemi liście tytoniu lub kwinkwina.

Małe odstępstwo od zwyczajów tej miary spotykamy u Niassarów. Skoro któryś z nich umarł, pozostawiano jego trupa przez pewien czas na wolnem powietrzu, a gdy rozpoczęło się gnicie, kazano pić niewolnikowi soki z gnijącego ciała tak długo przez bambusową rurę, aż nie skonał. Skoro

to nastąpiło, ścinano mu głowę i wysyłano go do krainy dusz, aby, odszukawszy tu swego zmarłego pana, służył mu wiernie, jak ongiś za życia.

Możliwem jest bardzo, że należy tę właśnie ceremonię uważać za postać zwyrodnienia najpierwotniejszych zwyczajów, których celem było uzyskać wraz z duszą nietylko przymioty zmarłego, ale i jego żywotność. Pocóżby w tym przypadku kazano czynić to niewolnikowi, którego skazano na śmierć, gdyby pierwotny cel pozostał bez zmiany? Zapewne tedy cała ta ceremonia, niemniej zresztą dzika i wstrętna jak poprzednie, nie jest niczem innem, jak tylko wyrazem ścisłej zależności, symbolem przywiązania do osoby zmarłego. Ostatecznie i praktykowane przez pozostałe wdowy zwyczaje na wyspach Gilberta lub Fidżi za nic innego nie można, zdaje się, uważać. Gilbertynka, straciwszy męża, nie śmie rozłączyć się z jego ciałem tak długo, aż głowa, po zgniciu mięśni i rozluźnieniu stawów, oddzieli się od karku. Zanim to nastąpi musi spać z zwłokami męża pod jednem nakryciem, a odpadającem, gnijącem ciałem nacierać sobie twarz i ręce. Poczem zostaje uwolnioną od miłego towarzystwa, natomiast głowa mężowska stanowi odtąd jej nieodstępną pamiątkę. Na Fidżi doznał ten zwyczaj poniekąd złagodzenia. Trupa chowają tu, ale po jakimś czasie otwierają grób, malują zmarłego na łokciach i kolanach czerwoną gliną, poczem wdowa naciera się gnilną cieczą, zebraną w cuchnącem ciele. Skoro ceremonia natarcia została ukończoną, zwłoki chowa się ponownie, grób zasypuje napowrót i wnet niknie wszelki ślad, gdzie on istniał.

Zrazu skrzętnie wypijana jucha gnijącego trupa przestaje być później używaną w tym celu; wprawdzie zbiera się ją do umyślnych, ku temu przeznaczonych naczyń, ale nie wypija, naczynia zaś przechowuje się jako pamiątkę, jako świętość rodzinną.

Mieszkańcy Aaru, Battakowie, Dajakowie, mieszkańcy Sillwattas wydrążają otwór w trumnie i za pomocą, wstawionej weń rury bambusowej, sprowadzają ciekący z trupa sok do podstawionego naczynia, które staje się odtąd świę-

tością rodzinną. Gdzie nie znano sztuki garncarskiej, tam przechowywano części zmarłego, gdy te, jako takie, z których sok wytwarzał się, poczęły uchodzić za duszę, w skrzyni jak np. na Tahiti, albo wreszcie w koszach, jak to czynili Hawajczycy, Nukahiwianie, mieszkańcy z nad zatoki Lakahia w połudn. zach. części Nowej Gwinei i wiele innych. Te skrzynie lub kosze, utrzymywane jako pamiątki rodzinne, odpowiadały więc garnkom, wspomnianych powyżej plemion.

Jednak już u tych samych zatraca ten zwyczaj wiele cech swej pierwotnej postaci, już bowiem niektórzy z nich nietylko nie wysyssają soków zmarłego, ale, chociaż sprowadzą je do osobnego naczynia, nie przechowują nawet w domu jako świętość rodzinną, lecz wyrzucają w las, lub topią w wodzie. Kobiety Wahollo-hollo wieszają trupa swego męża za szyję w chacie i pozostawiają go tak długo w tej pozycyi, aż nie zgnije. Spływające zeń soki tudzież kawały gnijącego mięsa, odpadające od kości, składają do garnka, który następnie zatapiają w głębinach jeziora Tanganika. O ile procedura ta pochłania u Wahollo-hollo całe miesiące, o tyle potrzebuje ona kilku lat u Maszinsze, Kiokio lub Minungo. Szczególniej przewleka się ona tak długo, jeżeli zmarły był księciem panującym. Trupa księcia opuszczają wszyscy i przenoszą się na dwór nowego władcy, pozostawiając przy dawnym tylko trzech niewolników, których całą czynnością jest zbieranie, spadających z ciała księcia robaków i składanie ich w osobnem naczyniu. Miłe to zajęcie trwa z górą trzy lata, a czasem nawet więcej, wogóle tak długo, aż z trupa nie pozostanie nic prócz kośćca. Wreszcie ten kościec i pełny dzban zgniłych robaków, owoc kilkuletniej pracy, wyrzuca się uroczyście w pobliską gęstwinę.

Że ludy pierwotne uważają istotnie soki, spływające z gnijącego ciała jako życie czyli duszę, poznać to najlepiej ze zwyczaju Battaków, którzy, sporządziwszy drewnianą figurę »Panghulu-balang i chcąc ją ożywić, postępują w ten sposób: Młodemu chłopcu, którego życie przeznaczono na ofiarę dla bóstwa, obcinają głowę i zakopują ją w glinianym garnku pod drzewem. Po pewnym czasie, gdy można wno-

sić, że rozkład przybrał już dość znaczne rozmiary, wygrzebują głowę napowrót, a, wydobywszy z niej miękkie, przegniłe już części mózgu i mięśni, napełniają nimi wnętrze figury, przez zrobiony umyślnie w tym celu otwór w okolicy pępka. Tak martwa dotąd, drewniana figura zyskuje życie: »Panghulu-balang otrzymał duszę«.

Widać z tego całego przedstawienia rzeczy jak zmieniają się zapatrywania. Zrazu robak, wytwarzający się w ciele zmarłego, uchodzi w oczach pierwotnego człowieka za istotę, w którą przeistoczyło się życie nieboszczyka, względnie za samo życie czyli duszę. Ponieważ jednak robak ten wytwarza się wówczas dopiero, gdy zacznie następywać rozkład, przeto wydaje się, jakgdyby same owe produkta rozkładu były życiem, czyli duszą, zaś robak wyobrażał tylko późniejszą, odmienną jej postać. I tak stają się, rozkładające się składniki ludzkiego organizmu, duszą czyli życiem w wyobraźni dzikiego. Jako takie stanowią nader pożądany artykuł. Samoańczyk tedy wysyssa je wprost z trupa, ale mieszkaniec Aaru, jakkolwiek również nie pogardza tego rodzaju wstrętnym eliksirem życia, to jednak łagodzi już nieco sposób jego dobywania, bo sprowadza go najpierw do naczynia, a potem mięsza z napojem lub pokarmem, aby módz go użyć. Jednak tu następuje zwrot; dotąd bowiem było dobywanie i wypijanie soków gnijących celem, teraz celem staje się pietyzm, chęć zachowania, jako pamiątki tej części organizmu zmarłego, która przedstawiała jego siłę życiową i była siedzibą przymiotów jego za życia. Wraz z tą zmianą przestaje uchodzić gnilna ciecz jako materya ożywcza, owszem, uważa się ją jako szkodliwą dla ciała, natomiast przechowuje w garnkach jako pamiątkę rodzinną, albo uprowadza wprost do ziemi, przez długą, bambusową rurę.

Jak dadzą się echa tego rodzaju wierzeń, wykryć tam, gdzie sam zwyczaj, jako taki wyszedł już dawno z użycia, może pouczyć następujący przykład:

U wielu bardzo ludów pierwotnych, szczególniej zaś u ludów wyspiarskich, ze względów, które wyjaśnimy w je-

dnym z późniejszych rozdziałów, składają trupa w czółno lub okręt, i, zaopatrzywszy go w jadło i napitki na daleką drogę, puszczają na otwarte morze. Kiedy u takich ludów wyjdzie z użycia zwyczaj wypijania soków wprost z trupa i kiedy przyjdzie punkt zwrotny w pojęciach, wówczas, celem odprowadzenia rozkładających się soków zmarłego do wody, robią krewni nieboszczyka otwór jeden lub więcej na dnie czółna, przeznaczonego na złożenie zwłok. Tak dzieje się np. na wyspach Salomona. Na Seram, przeniesiono tę ceremonię, mutatis mutandis, w dziedzinę obrzędów, nie mających ze zmarłym żadnej styczności. Każdy nowy okręt, lub każda łódź, wypływająca poraz pierwszy na morze, musi być poświęcona, a poświęcenie to odbywa się w ten sposób, że w dnie okrętu robi się otwory, przez które wylewa się oliwa wśród różnych uroczystości.

Gdzieindziej znów, a niewątpliwie było niegdyś tak i na wspomnianej wyspie, ożywiają nowo zbudowany okręt »duszą« człowieka, zabitego umyślnie w tym celu. Jest to coś w rodzaju, istniejącego i u nas »chrztu statku«.

W genetycznym, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, związku z opisanymi powyżej poglądami, pozostaje sprawa t. zw. »świętych garnków«, znanych szczególniej z południowo wschodniej połaci Borneo pod nazwą »djawet«. Tak nazywają Dajakowie i sąsiednie plemiona »Ot Danom« duże garnki lub wazy, mające różną postać i przedstawiające niejednaką wartość. Te djawety są największem bogactwem każdej Dajackiej rodziny i przechodzą dziedzicznie z pokolenia na pokolenie. Wedle zeznań Dajaków prowadzono nawet wojny o te »święte garnki«, ponieważ każdy z nich przynosi szczęście, chroni przeciw chorobom i sprowadza powodzenie w miłości. Schwaner podaje ośm gatunków »świętych garnków«, których nazwy brzmią w poprawce Grabowsky'ego:

1.	Hatuän	blanga	5.	Bawih	blanga
2.	»	halimaung	6.	»	halimaung
3.	»	brahan	7.	»	brahan
4.	»	rantian	8.	»	rantian

przyczem wypada zauważyć, że dodany wyraz »hatuan« oznacza męski rodzaj »świętego garnka«, zaś »bawih« żeński.

Różne figury, przedstawione na tych »djawetach«, a oznaczone przez Dajaków nazwą »kawok« tj. wielka jaszczurka czyli leguan, normują ich wartość, która zależy też w części i od wielkości naczynia, a dochodzi w cenie do ośmiu tysięcy kor. w. a. za sztukę. Jedne tedy garnki kupuje się, inne nabywa drogą zamiany, mianowicie oddaje się mniejszy i dodaje doń niewolnika lub jeszcze coś więcej, stosownie do wartości. Tak bywało przynajmniej do niedawna.

Niedostępne i nieznane dla nieczłonków rodziny miejsca są najstosowniejszem ukryciem dla tych pamiątek, których nie wolno zmywać nigdy wodą, ale co najwyżej skrapiać krwią kury, zwłaszcza podczas zakupna.

Wielkiem świętem rodzinnem jest chwila nabycia »świętego garnka«. Nowy nabytek, mający wzbogacić skarbiec rodzinny, ogląda ojciec, matka, synowie i t. d. targuje, wypytuje, a targ taki trwa nieraz kilka tygodni zanim przyjdzie wreszcie do skutku.

Wartość wszystkich djawetów jednego właściciela, dosięga nieraz znacznej wysokości. Tak np. u jednego z naczelników na Borneo spotkano garnki święte łącznej wartości około 30.000 kor. w. a. Cenniejsze z nich ukrył właściciel w miejscu, które, oprócz niego, nie było nikomu więcej wiadomem.

Już z tego, co powiedzieliśmy dotąd o djawetach wnosić można, że są one w pojęciu Dajaków czemś więcej, aniżeli zwyczajnemi garnkami, z rzeźbą lub rysunkiem na wierzchu.

Tak jest istotnie. Dajakowie bowiem wierzą, że djawety posiadają »gana«, czyli duszę, dla której też pozostawia właściciel, wybierając się na dłuższy czas z domu, odrobinę gotowanego ryżu i wody na krawędzi naczynia.

Ciekawe są tedy te djawety, a szczególniej ciekawą jest rzeczą, skąd właściwie bierze się w nich »gana« czyli dusza i skąd one same się wzięły?

Oto nie ulega wątpliwości, że już w 14 wieku dostały się one w te okolice, przyniesione przez wędrownych Chiń-

czyków, kupczących między Fu-kien a Borneo. Przypadły one szybko do gustu dzikim amatorom, a to zapewne dzięki rysunkowi »smoka«, który ma zresztą swoją obszerną historyę, tem ciekawszą, iż, przychodząc w mitach, łączy prakulturę wschodnio azyatycką z kulturą zachodu. Ale »smoki« na djawetach mniej wyglądają na smoków, a bardziej na jaszczurkę, co niewątpliwie stąd poszło, że Chińczyk, uwzględniając gusta Dajaków, chcących widzieć w tym rysunku »kawok« czyli wielką jaszczurkę, zmienił nieco postać smoka i nadał mu kształty jaszczurki, co podniosło znacznie popyt a tem samem i cenę pożądanego artykułu.

Takim jest niewątpliwie początek djawetów w tych stronach na podstawie dochodzeń naukowych; Dajaków bowiem o dzieje tych świętości nie pytaj, gdyż zamiast dać ci wiarygodną odpowiedź, poczną opowiadać następujące podanie:

Dawno temu, gdy istniało jeszcze królestwo Madjapahita, obejmujące niemal wszystkie wyspy wschodnio indyjskiego wielowyspu, przegrał był syn jednego z władców olbrzymiego państwa, Radja Pahit, wszystkie swoje skarby, a w dodatku wszystkie wspomniane dziedziczne kraje. Nie pozostawało mu nic innego, jak schronić się wraz z rodziną w dzikie okolice, w pobliżu krateru góry Merbabu na Jawie, gdyż w przeciwnym razie czekała go surowa zemsta rozgniewanego ojca. I wiele lat przebył w tem pustkowiu, aż wreszcie Mahatara zlitował się nad synem-tułaczem i polecił Kadjance, władcy księżyca, aby mu dopomógł. Ten rozkaz nie przypadł Kadjance do gustu, jednak, bojąc się sprzeciwić Mahatarze, usiadł na srebrny promień miesiąca i poleciał, niesiony na nim, na szczyt wulkanu Merbabu. Małą bambusową chatkę Radji Pahita, stojącą samotnie wśród głuchej dziczy leśnej, ledwie że dojrzał ze swego promiennego tronu, a jednak, choć jako władca księżyca, wielki był i dumny, serce swe zostawił w tej chacie. Łatwo domyśleć się, że ani urocza okolica, ani fantastyczny wigwam tułacza, ani stroskana twarz pokutnika, ale wdzięki prześlicznej jego córy Rawumy, były tym, tak potężnym magnesem. Zwrot w myśleniu Kadjanki nagłym był równie jak

jego afekt i obiecał Radję Pahita uczynić napowrót bogatym i potężnym, byle tylko Rawuma została jego żoną. Zaszczytna propozycya została przyjętą bez wahania i Kadjanka przystąpił do spełnienia swego zadania. Oto począł uczyć Radję Pahita garncarstwa, a gdy ten znacznie wprawił się w rzemiośle, jęli obydwaj lepić garnki, jednak nie z zwyczajnej gliny, ale z masy, którą niegdyś Kadjanka ukradł Mahatarze, gdy ten, z pozostałej przy tworzeniu słońca ziemi, ulepiał księżyc.

Tak więc wszystkie »djawety« zrobione są wskutek tego z tego samego materyału co księżyc i słońce. Robili tedy obadwaj te garnki, zaś robili tak zawzięcie, że w przeciągu siedmiu dni zastawili nimi nietylko szczyt Merbabu, ale także, okalające okolicę góry, jak: Andong, Telemoje, Kopeng, Gadjah, Werogomo i Djakopakeh tak szczelnie, że chociaż nieco masy jeszcze zostało, zabrakło miejsca nawet dla jednego garnka. Jednak gdy, ustawione tak garnki, nastręczały dogodną sposobność do kradzieży, postanowił Radja Pahit góry płotem ogrodzić i w tym też celu zwołał sporą ilość robotników, którzy już wczas stanęli do pracy. Ale gdy słońce, podniósłszy się ku południowi, poczęło silnie doskwierać, wówczas część pracujących, chcąc ugasić pragnienie, rzuciła się ku pobliskiemu sadowi Radji Pahita, czemu sprzeciwiła się część druga. Rozpoczęła się bitka i powstał taki hałas, że, znajdujące się na górach garnki, jęły z trwogi uciekać i tak opróżniła się przeważna część szczytów. Atoli te, które pozostały, były wystarczającymi zupełnie, aby z ich sprzedaży uzyskać ogromny majątek, przy pomocy którego mógł Radja Pahit wykupić utracone kraje, a tem samem przejednać rozgniewanego ojca. Rozumie się, że Kadjanka otrzymał rękę ślicznej Rawumy, która uszczęśliwiła go siedmiu synami i takąż ilością cór.

Takie są dzieje djawetów. Trzeba jednak dodać, że wysoką otaczane czcią i dochodzące do wartości kilkunastu tysięcy kor. w. a. są nie te, które Radja Pahit sprzedał w obce ręce, ale te tylko, które w przestrachu, zbiegłszy ze szczytów gór, na których je ustawiono, dostały się na Bor-

neo i skryły tu w gęstych, niedostępnych, dziewiczych lasach. To są prawdziwe djawety.

Co to jest jednak ta »gana «czyli dusza tych garnków, o tem nic nikt nie wspomina. I ostatecznie końca dojść tu niełatwo.

Garnek chroni w chorobach, odpędza wszelkie złe od domu, sprowadza szczęście w miłości i t. p. właściwie jednak nie sam garnek jako taki, ale ukryta w nim niewidzialna dusza, którą Dajak czci i której składa ofiary, uważaną jest tu za siłę działającą. Pierwiastek animistyczny rysuje się tedy w poglądach tych zupełnie dobitnie, przecież, zapominając łatwo o duszy, czci Dajak ów sam garnek, obdarzony przez wpływ ducha nadludzką mocą, a wówczas jest on fetyszystą, zaś garnek jego fetyszem.

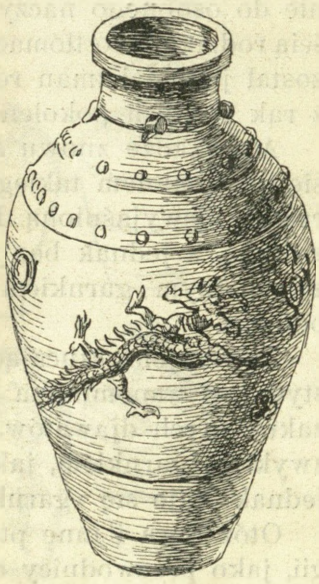

Ryc. 8 Kawok, czyli wielka jaszczurka (rys. wedł. Ratzla dr. W. W.)

Skądże jednak właśnie garnek przyszedł do posiadania duszy i co to jest wogóle za dusza? oto pytanie, które mimowoli nasuwa się na myśl. Zastanawiając się nad niem musimy zaczepić koniecznie o kult zmarłych, kult przodków czyli manizm, musimy zwrócić się nawet dalej, bo aż ku wyższej mitologii.

I tak należy przedewszystkiem pamiętać, że jako ostateczne ogniwo rozwoju poglądów »fanani« uchodzą w oczach pierwotnego człowieka za takie, w które przeszła siła życiowa zmarłego, nietylko te naczynia, w których znajdują się soki rozkładowe, ale każdy wogóle przedmiot, który w jakikolwiek sposób pozostawał w bezpośredniej lub pośredniej styczności ze zmarłym. Słup, wycięty z drzewa, które rosło na grobie, uchodzi za przedmiot, w który częściowo lub całkiem wcieliła się dusza nieboszczyka, mieści

się też ona i we wszystkiem innem, co włożono do trumny lub postawiono obok niej, a nawet i w tem, co znajdowało się w pobliżu grobu zmarłego. Tradycyjnie przechował się, jako związany z wyobrażeniem duszy u Dajaków, garnek, ponieważ i tu istniał swojego czasu zwyczaj, że, rozkładające się soki zmarłego, sprowadzano przez otwory w trumnie do osobnego naczynia, które stawało się wielką świętością rodzinną. To tłómaczy, dlaczego właśnie garnek wybrany został jako talizman rodzinny i jako pamiątka, przechodząca z rąk jednych pokoleń w drugie.

Ale skądże znowu świeżo zakupione naczynie może stać się przedmiotem takiego rodzinnego pietyzmu, wydaje się rzeczą niewyjaśnioną. Przecież kupujący nie kupuje garnka z duszą, a jednak bez niej nie jest on niczem innem, tylko zwyczajnym garnkiem, nie zasługującym na cześć, jaką odbiera.

Zwyczajem, rzucającym wiele światła na tę właśnie kwestyę, jest wspomniana powyżej ceremonia, skrapiania nowo zakupionych djawetów, krwią kury. Przedtem był garnek zwykłym garnkiem, jak każdy inny garnek, od tej chwili jednak staje się »garnkiem świętym« czyli »djawetem«.

Otóż kura i inne ptaki odgrywają ważną rolę w mitologii, jako przewodnicy dusz z ziemi do pozagrobowej krainy. W tem przekonaniu przywiązują mieszkańcy Nikobarów zmarłemu na piersiach kurę, krajowcy na Borneo składają z niej ofiary, a plemiona Sumatry skrapiają jej krwią trumnę nieboszczyka, którego dusza wybiera się w daleki, nieznany świat dusz.

Dlaczegoż jednak, zapyta ktoś słusznie, skrapia Dajak krwią kury świeżo nabyty garnek, w którym niema nic, żadnych resztek nieboszczyka, niema duszy, iżby wypadało prowadzić ją w pośmiertną podróż?

Zrozumie każdy cel tej czynności, jeżeli tylko wtajemniczymy go w pewne ciekawe prawo, dające się w mitach obserwować nader często. Jest niem »prawo odwrócenia« polegające, na przyjęciu wprost przeciwnego kierunku, aniżeli

Ryc. 9. Diawety, czyli »święte garnki« Dajaków z Borneo.
(z Zeitschr. f. Ethnolog. Jhrg. XVII).

ten, który spotykamy w mitach niższej mitologii. Kilka przykładów wyjaśni rzecz odrazu:

Bogiem umarłych jest na Hawaii Akea. Przez odwrócenie stworzono mit, który uczy, że ludzie od tego boga po-

chodzą, czyli bóg śmierci, stał się drogą odwrócenia bóstwem życia. Weźmy inny przykład: Nawiązując do tego, co przedstawiliśmy powyżej, przypominamy wiarę w fanani t. j. robaka czy jaszczurkę, będącą postacią duszy po śmierci. — Przez odwrócenie tego mitu powstał drugi, którego problemem był problem wręcz przeciwny, bo zagadka początku życia. Tak n. p. Samoańczycy i Tonganie opowiadają, że na początku istnienia świata posłał Tangaroa córkę swą Tuli, w postaci bekasa na ziemię, z zleceniem, aby zaludniła skalne, nagie urwiska. Posłuszna woli ojca, posadziła tutaj Tuli roślinę »fue«, która jednak uwiędła i zgniła, a z liści gnijących i zgniłej łodygi wypełznęły robaki. Rozdzielając je na dwoje dzióbem potworzyła z nich Tuli ludzi. W taki sposób pierwotny mit: robaki powstają z ludzi, został odwrócony: ludzie powstali z robaków. Nowozelandczycy znowu wierzą, że, gdy Maui wydobył z morza ich wyspę, przyczołgała się jaszczurka i przywlokła za włosy pierwszego człowieka, który stał się praojcem ich rodu. Ta sama jaszczurka, która przedstawiała duszę zmarłego, stała się teraz źródłem życia.

W wyobraźni Italmenów czeka każdego po śmierci los wprost przeciwny, aniżeli za życia; więc bogacz stanie się tam nędzarzem, ten, który tu biedę cierpiał, będzie tam używał wszelkich rozkoszy, grzesznik na ziemi, zostanie świętym po śmierci i t. p., zaś Dajakowie, rozważając kwestyę mowy dusz na drugim świecie, doszli do przekonania, że jest ona co do znaczenia wyrazów wprost przeciwną tej, zapomocą której porozumiewają się za życia. A tak tedy wyraz, oznaczający »wonny« będzie znaczył tam »cuchnący«, »słodki« tłómaczy się tam jako »gorzki«, »dobry« zrozumieją jako »zły« i t. p.

Otóż przez takie samo odwrócenie zmieniła krew ptaka rolę swoją na wprost przeciwną. Ona, której zadaniem było zrazu odprowadzać duszę, życie zmarłego do pozagrobowej krainy, stała się teraz elementem ożywczym, krótko mówiąc i ptak, który był zrazu rozumiany tylko jako przewodnik dusz i krew, której rola nie była inną, stały się, przez odwrócenie, same duszami.

Na tem tle rozważając liczne ceremonie ludów pierwotnych, zrozumiemy dlaczego kura, przywiązana do grzbietu, drewnianego posągu Manuk-Manuk, ożywia ten posąg dotąd martwy, albo dlaczego wstępuje życie w glinianą statuę Ewe-Ganga lub święty pal Somrai, skoro tylko pokropi się je krwią kury.

Wykonując zatem to ostatnie na świeżo zakupionych naczyniach, wprowadza w nie Dajak »duszę« czyli »gana«, której dotąd tam nie było i garnek, nie różniący się przedtem niczem od każdego innego przedmiotu co do swej wartości, staje się od tej pory ożywionym, staje się »djawetem«.

Niema jeszcze jednak w tem wszystkiem wyjaśnienia, dlaczego djawet uważa się za taką wielką świętość, za taką pamiątkę rodzinną, co jest w nim, co wiąże ku sobie i zwraca pamięć i pietyzm wszystkich członków rodziny.

Jest dusza przodka. Ptak przedstawia bowiem, według wierzenia ludów pierwotnych, ducha przodków. Alfurowie nazywają pewne ptaki tik-tik, zaś wyraz »tiki-tiki« znaczy »duchy przodków«, a mity przepełnione są opowieściami, w których występuje dusza zmarłego jako ptak. N. p. krajowcy wysp Gilberta wierzą, że dusza zmarłego trzyma się zrazu w pobliżu ciała i krzykiem i płaczem można przywołać ją napowrót. Tedy w jednej pośmiertnej skardze woła żona duszę małżonka swego jako ptaka, zaś mity nowozelandzkie opowiadają, jak mąż jakiś, nieutulony w płaczu po stracie swej żony, dostał się do krainy pozagrobowej i poznawszy ją tutaj, chwycił drogi ciężar w ramiona, chcąc go unieść, ale tymczasem duch zmarłej wymykał się jemu nieustannie z rąk, przybierając coraz to inne postaci ptaków Jeżeli na Hawaii wpędza kapłan, wałęsającą się poza ciałem duszę do naczynia i przykrywa ją, świętą, nieprzenikliwą dla duchów trawą, albo, gdy krajowiec Maryanów trzyma u głów umierającego członka kosz i ustawicznymi prośbami lub, powtarzaną od czasu do czasu groźbą, nakłania nareszcie duszę, iż obierze sobie w tym koszu kącik mieszkalny, to i to naczynie i ten kosz uchodzą za równą świętość rodzinną, jak djawety Dajaków. Tamte i te chowają dusze

przodków, różnica zaś polega tylko na sposobie, w jaki każdy z nich dusze te do odpowiednich naczyń wprowadził.

Tak niewątpliwie rozumieć należy djawety dajackie i podobne im pamiątki, których dalekie, słabe echa brzmią w przedmiotach, stawianych na grobie i zabieranych stąd, jako cenna pamiątka do domu, albo w urnach, w które składa cywilizowany świat, popioły swoich zmarłych po spaleniu, utrzymując je odtąd w mieszkaniu, jako dziedziczną świętość rodzinną.

»Duszá czäłowièka takaja sama jak czäławièk, anuó maleńka« powiada rusin litewski, a wiarę taką spotka też badacz u wszystkich ludów pierwotnych. Każdy z nich sądzi duszę według ciała, zawsze to drugie i pod każdym względem jest miarą oceny dla pierwszej. Powtarzamy, »pod każdym względem«, bo nietylko każdy czyn człowieka, jego charakter, są czynami i charakterem duszy, ale też wszelkie normalne i chorobliwe stany ciała, w postaci swej i następstwach, wszystkie potrzeby i niedomagania, odbijają się w taki sam, zupełnie taki sam sposób na duszy.

Te dwa rodzaje poglądów staną się źródłem dwóch grup czynności, jednej, której celem będzie zapewnienie stanowiska żyjących, drugiej, której zadanie tkwić będzie w pielęgnowaniu wszystkich tych potrzeb, bez których nie da się pomyśleć wygodne życie duszy w pozagrobowej krainie.

Popęd samozachowawczy nie pozwala człowiekowi pierwotnemu zbyt lekkomyślnie załatwiać się z kwestyą duszy; skoro bowiem od niej, jedynie od niej zależy życie ludzkie, przeto należy obchodzić się z nią nader ostrożnie, pamiętać o niej na każdym kroku i zważać, by jaknajdłużej utrzymać ją w ciele. Nie jestto jednak rzeczą tak prostą i łatwą jak mogłoby zdawać się. Kto chce wystrzegać się choroby, musi wiedzieć koniecznie, w jaki sposób można jej nabyć, kto usiłuje zatrzymywać dusze ten musi przewidzieć wypadki, w których można ją utracić i poznać drogi, którymi ona może ujść na zewnątrz.

Drogi? O nie nie trudno, bo każdy otwór w ciele może być drogą ujścia dla duszy, może być nią nos, usta a między innymi i uszy. Te cztery ujścia uchodzą za najszlachetniejsze. Makassarowie stworzyli jej jeszcze jedno, a jest niem środkowy palec. To też, aby ułatwić duszy umierającego ulecieć z ciała, naciera kapłan rękę, względnie wspomniany palec chorego, a zapatrywanie takie musiało pójść stąd zapewne, że umierający wykonuje bardzo często kurczowe ruchy palcem wówczas jeszcze, gdy w innych członkach nastąpiła ogólna niemoc. Jest jeszcze jedna droga, która stoi otworem dla duszy. Uważana za nader hańbiącą jest zazwyczaj przedmiotem przymusowego wyboru wówczas, gdy wszystkie inne zostały w jakikolwiek sposób zamknięte. Bojąc się być zanadto wymownym dodam tylko, że, niechcąc narażać duszy na taką nieestetyczną drogę, przenoszą Nasairowie wszelką śmierć, nad śmierć przez powieszenie. Więc krewni skazańca nie wzdragają się przed żadną ofiarą pieniężną i płacą Turkom ogromne sumy, byle tylko pozwolili raczej przebić delikwenta i wypuścić duszę przez nos lub usta, aniżeli zmuszać ją do tak nieestetycznej ucieczki. Prawdopodobnie, bojąc się tego ostatniego, a nie mogąc wydostać się którędy indziej, nie wychodzi dusza, wedle wierzeń Indyan Arapahöe zupełnie z ciała, a, jakkolwiek pozostaje w niem, to przecież nie może ożywić go, pozbawiona swej dawnej, życiowej siły.

Takimi to drogami może dusza wydostać się z ciała, a, że korzysta z nich i wydostaje się, na to ma dziki obserwator wprost niezbite dowody. Jest nim w pierwszej linii sen. Cóż bowiem znaczyć może zjawisko, że człowiek, który spał i ani krokiem nie ruszał się nigdzie z swego schroniska, opowiada, przebudziwszy się, o podróży, z której przed chwilą powrócił, mówi co robił ten lub ów, oddalony o milę, a nawet więcej, lub prawi o łowach i bitwie, w której brał udział? To jest dowód najoczywistszy, że dusza opuściła ciało, a, odbywszy nocną wędrówkę, wróciła doń nad ranem napowrót.

Ani na chwilę nie wątpi dziki obserwator o prawdziwo-

ści sennych widziadeł, nie rozróżnia bowiem złudzenia od rzeczywistości, stąd też taka nienawiść i niewiarygodność znamionuje jego opowiadania, w których, niewiedzieć, co jest rzeczywistością, a co sennem przywidzeniem.

Jak wiele dałoby się tego rodzaju wierzeń wykazać wśród dzisiejszego ludu wiejskiego! Wieśniak od Dworca i Mołczadzi powiada: »Każuć, szto jak czäławièku śniésia, szto dzie daloko byu, abò szto rabiu, to heto taki prauda, szto byu i rabiu, bo jak czäławièk zaśnie, to ź jehò dusza wylezie, to chodzić usiudy i usio robić, a poślè jak nazad u cieło wièrnećsia, to i czäławièk praczehnièćsie«.

Ta własność duszy jest w wysokim stopniu niebezpieczną dla człowieka, którego może przyprawić nawet o śmierć, A o to ostatnie tak nietrudno! Bo przypuśćmy tylko, że dusza, wychodząc z ciała, wyszła zeń gębą, skoro zaś pamiętna tej drogi, chce przed świtaniem dostać się napowrót do swych cielesnych więzów, znajduje człowieka odwróconego grzbietem do góry! Ponieważ przed zaraniem powinna być już na swojem miejscu, przeto szukać poczyna pierwotnego swego ujścia, a nie mogąc go znaleść popada w przestrach, który może odbić się na ciele nader szkodliwie. — Mogą być jednak i inne przyczyny przestrachu, tak poważnego w skutkach, że dusza albo zupełnie już do ciała nie wraca, albo, gdy wraca, to w stanie bardzo odmiennym.

Wiele powiedzieć mogą o tem Birmanie. Jeżeli np. spotka dusza w czasie swej wędrówki potwór zw. »belu«, wówczas, przerażona poczyna uciekać, a, zabłąkawszy się, nie wraca już zazwyczaj do swej dawnej siedziby. Jeżeli zaś mimo to potrafi zejść z manowców, na które pognał ją przestrach i wróci do ciała, to, z powodu wytężenia sił w czasie ucieczki, traci tyle mocy żywotnej, że jej właściciel podpada ciężkiej i przewlekłej słabości.

Ażeby tedy uniknąć możliwej katastrofy, nie należy budzić śpiącego ani przestraszać go w inny sposób, że zaś przypuszczenia co do zbłąkania się duszy są prawdziwe, widać najlepiej z tego, iż nagle obudzony człowiek niewie

długi czas czasem co się dzieje wokoło niego i co doń się mówi.

Przecież jednak, obserwując śpiącego, można zauważyć że on nie leży jak martwy, że, chociaż dusza jego wywędrowała z ciała, to ciało przecież żyje, rusza się, oddycha. To naprowadza myśl istnienia drugiej duszy w człowieku, wiarę, dającą łatwo spotkać się w mitycznych opowieściach.

Tatarzy mogą w bujnej swej wyobraźni schować jedną z tych dusz pod siodło, złożyć pod kamień lub skryć pod pień drzewa i, dopokąd nieprzyjaciel nie zniszczy jej wraz z jej kryjówką, może być właściciel pewny swego życia. To też w mitach tną się bohaterzy na sztuki, kaleczą i dziurawią swoje ciało jak przetak, a mimo to powracają do dawnego stanu, ponieważ przeciwnik nie zdołał odnaleść drugiej ich duszy. W epopei »Bidasari« czytamy: »Zamknęli duszę Bida w kunsztownie sporządzoną rybę, tę zaś wstawili do złotej puszy, napełnionej wodą, a to wszystko ukryli w skrytce. Zrobiwszy to, założyli ogród, a puszkę zatopili w stawie«.

Nie może jednak dać jeszcze za wygraną, kto, szczęśliwie przespawszy noc, nie utracił swej duszy, bowiem każde gwałtowniejsze wstrząśnienie, każdy nagły ruch ciała, może sprowadzić nie lepsze skutki i na jawie.

Zdaje się, że na tle takiej obawy wyrosły zwyczaje posyłania życzeń, wiwatów, ukłonów i t. p. pod adresem kichającego, któremu mogłaby bardzo łatwo wypaść wówczas dusza przez jeden z otworów nosowych. Dziwna rzecz, jak bardzo powszechnym jest tego rodzaju zwyczaj! Bywało w Gwinei, że, gdy kichnęła jakaś wysoko postawiona osoba, wówczas każdy z obecnych rzucał się na kolana, a klaszcząc w ręce z radości i całując ziemię posyłał jej życzenia, na jakie go stać tylko było. Kichającemu Samoańczykowi należy odpowiedzieć: »życie dla ciebie«, Hindusowi: »żyj«, na co on odpowie ci »z tobą« i t. d. Stale przyjęta przy kichaniu formułka brzmi w Anglii: »Waes hael«, u żydów »Tabim chayim« (dobrego życia), u Muzułmanów »Chwała Ałłachowi« i t. d.

Podpatrzywszy, co za zgubne skutki można sprowadzić na kogoś, przestraszając jego duszę, obmyślili wyspiarze Banka niezawodny środek na zgładzenie wroga ze świata. Prosty ten zresztą, podobny do tego, który poznaliśmy powyżej sposób, polega na schwytaniu duszy, skoro ta, odprawiając swą senną wędrówkę, opuści ciało. W tym celu wiesza się na gałęzi drzewa sznur o kilku pętlach, a przykrywszy go nieznacznie liśćmi, ogłasza, czyja dusza paść ma ofiarą zdradliwej pułapki. Słysząc to, nieszczęsny właściciel upatrzonej duszy, poczyna gryść się i martwić, narzeka na swój nędzny los, przeklina ludzką nienawiść i boi się usnąć, bo wyobrażenie onej, schowanej wśród liści łapki, stoi mu ustawicznie przed oczyma, jak groźny miecz Damoklesa. Wreszcie po długim czasie nieustannej zgryzoty i ciągłego niepokoju albo umiera biedak, albo, nie mogąc znieść dłużej nieodstępnego widma śmierci, sam lezie mu w ramiona, bo topi się lub zabija. Tak twierdzą przynajmniej krajowcy Banka, wedle których należy ten środek do nieomylnych w swoim rodzaju.

Takie to bywają losy duszy w jej chwilowej wędrówce poza ciałem. Przecież jednak nie w tym tylko względzie ma z nią tyle kłopotu człowiek pierwotny. Pomijając już bowiem chwilę, kiedy wybierze się w inne światy, podlega dusza nieustannym zmianom i w ciele, którego losy wiernie podziela. Badając związek serca, częstość oddechów i ciepłotę ciała i t. p. w różnych stanach chorobowych, mógł przenieść łatwo dziki filozof losy ciała na stan duszy, będącej w jego rozumieniu rzeczy, zmniejszonem, miniaturowem wydaniem ciała co do postaci. Był więc czas, gdzie hasło sokole »w zdrowem ciele zdrowy duch« rozumiane było dosłownie. Wobec takich poglądów nie wydaje się niczem dziwnem, że kapłan grenlandzki czyli »angekok« potrafi naprawić nadwerężoną duszę, a nawet, jeśli ta zupełnie ucieknie z ciała, bądź dobrowolnie, bądź wykradziona przez innego, jak np. przy omdleniu, umie zręczny czarodziej sprowadzić napowrót cenny skarb i oddać stroskanemu właścicielowi. Nie zdoła zaś zwrócić mu tej samej, jego dawnej,

to i wówczas jeszcze niema czego rozpaczać. Wszak zamiast tamtej, wstawić można inną, chorą, można wymienić na zdrową, a ta zdrowa może pochodzić równie dobrze z innego człowieka, jak z zwierzęcia...

Nic niema niemożliwego dla tego, który wszystko potrafi.

Patrząc na to »wszystko«, drży biedny Neger i w swej czarnej duszy lęka się o życie przyszłe, gdy powiodą go na miejsce stracenia i każą położyć głowę pod topór. Lęka się, nie jakoby bał się śmierci, ale dlatego, że jeden rozmach żelaza kładzie kres jego teraźniejszej i przyszłej egzystencyi na zawsze. Teraźniejszej, bo ciało bez głowy warta tyle samo, co ciało bez duszy. To też, gdy pewien indyjski plantator zauważył, że Negrowie, pracujący na jego ogrodach, wieszają się jeden za drugim i gdy nie zdały się na nic ani perswazye, ani nie pomagały żadne inne środki łagodzące, wpadł na dowcipny pomysł. Oto kazał każdemu z powieszonych obcinać głowę i nogi, a proceder ten podziałał tak zbawiennie na nerwy czarnych niewolników, że odtąd nie znalazł się ani jeden, który byłby odważył się szukać ulgi swej nędznej doli w samobójstwie. Nietylko bowiem straciłby życie na ziemi, ale i poza grobem mógłby niewiele zyskać, gdyż dusza bez nóg i głowy nigdzie nie trafi i nie zajdzie. Uchodzi i w Chinach śmierć przez ścięcie głowy za nader zgubną w skutkach dla życia przyszłego. Ścięty za życia nieboszczyk błąka się po drugim świecie bez głowy, a jako takiemu nie wolno składać ofiar, należnych przodkom.

Zostawszy raz sługą wyobrażeń o duszy, staje się człowiek pierwotny z czasem ich niewolnikiem, pogrążając się dobrowolnie w coraz bardziej rosnący wir wierzeń. Dotąd obawiał się on o całość samego siebie ze strony własnej duszy, ale niedalekim jest czas, kiedy do tej obawy dołączą się inne, i, trapionego niesfornością swojej duszy, poczną trapić dusze innych, żyjących i umarłych.

We śnie przekonać się najłatwiej, że nietylko dusza śpiącego może opuszczać ciało, ale też, że do śpiącego przychodzić mogą dusze innych ludzi, żyjących jeszcze, albo też nieżyjących już od dawna, często nienawistnych i podstę-

pnych, bo o nieprzyjaciół nikomu nie trudno. Dzikiemu tem łatwiej. W warunkach, w których on żyje, nie bawi się nikt w grzeczności lub względy, nikt nie widzi drugiego poza sobą i na drugiego nie patrzy, każdy radby wszystko i wszystkich użyć dla siebie lub zniszczyć, byle tylko mógł: homo homini lupus, oto krótka charakterystyka tych najpierwotniejszych stosunków. Zaprzątując umysł człowieka pierwotnego na jawie, są one zmorą, która trapi go też i we śnie, i wówczas jeszcze walczy on, zwycięża lub ustępuje, zabija, krzyczy przez sen, rzuca się, szamoce, i wstaje rano zlany kroplami potu. Napróżno jednak szuka, obudziwszy się, śladów dobrze znanej sobie osoby, która dusiła go, korzystając z jego sennej niemocy, napróżno wypytuje tych, którzy z nim spali. Nikt jej nie widział, ani nie słyszał szelestu jej kroków, najlżejszy ślad nie wskazuje, że ona mogła być istotnie....

Więc to nie był jego przeciwnik sam w swojej własnej osobie, ale tylko cień jego, jego dusza, nienawistna i znienawidzona, podstępna, gotowa sprowadzić śmierć lub w najlepszym razie chorobę na jego głowę...

Nieraz i tak bywa, nieraz człowiek położy się zdrów i rzeźki, a rano budzi się chory. Niewątpliwie odniesie pierwotny człowiek przyczynę choroby do sennych widziadeł, do tych różnych powiewnych jakichś i mglistych postaci, do tych dusz, które nękały go przez całą noc, a które napróżno starał się od siebie odegnać. Zasypiając dziś, gryzie się Australczyk obawą, czy ujrzy jutrzejszą zorzę, gdyż czyha na jego życie duch Kain, i chce go udusić, zaś Karyb wstając rano, krzyczy, dotykając się swego ciała, które zbił we śnie, szkodliwy duch Maboja. Szczególniej zdolne są do takich czynności dusze czarodziejów, których sztuki uchodzą w oczach ludów pierwotnych za moc, siłę nadludzką. One to mogą przemienić się w źdźbło, trawę, mogą wślizgnąć się przez najmniejszą szparkę do izby śpiącego, aby go dręczyć.

Wiele z tego rodzaju wierzeń zachowuje po dziś dzień nasz ludek wiejski; w jego przekonaniu może dusza opuścić

ciało i nawiedzać śpiącego, który doznaje wówczas uczucia ciężkości na piersiach i suszy w ustach. Są to niebezpieczne tz. mary, zmory, morusy i t. p. Mnóstwo krąży o nich podań i opowieści. Zmorami bywają najczęściej dusze kobiet, zazwyczaj upośledzonych przez naturę, kalek, głuchych lub ciemnych. Taka zmora obchodzi nocą domy, dręcząc tych, których nienawidzi, lub od których doznała jakiejś przykrości. Lud Nadrabski twierdzi, że zachodzi ona zawsze od nóg śpiącego, a przywaliwszy sobą piersi jego i brzuch, wyciąga mu z ust język i wziąwszy go w swoje usta, wyssyssa zeń krew. To też, dręczonego przez zmorę, poznać łatwo po nader bladym wyglądzie twarzy i zaniku ciała, zmora nie poprzestaje bowiem na jednorazowych odwiedzinach, ale niepokoi często swoją ofiarę, która wpada też taką drogą w suchoty. Przychwycona przez śpiącego przemienia się zmora w zwierzę, np. mysz, gdy zaś skaleczy się takie zwierzę lub obije kijami, udzielają się wszystkie ciosy ciału, chociażby ono było milę i więcej nawet oddalone od duszy-zmory. Był raz chłop krąży opowieść wśród Nadrabian, którego co noc dusiła zmora. Znękany, wpadł raz na pomysł, jakby jej pozbyć się; oto udał śpiącego, a nie spał, lecz śledził, aż zmora nadejdzie i rozpocznie swoją zdradliwą robotę. Jakoż niedługo czekał, wkrótce bowiem, gdy chłop począł udawać w głębokim śnie pogrążonego i »harcał«, przyszła, a przygniótłszy mu piersi swoim zwyczajem, chciała sięgnąć po język. Wtem chłop chwycił ją silnie, podsunął pod »lewą pachę«, a dobywszy grubego kija, który sobie przygotował poprzednio, dalejże »okładać cy łeb, cy nie łeb, zmorę, jaz ta sie przemieniła w mys«. Skoro jej śmiertelnie dogodził, chwycił za ogon i wyrzucił do sieni. Na drugi dzień znaleziono martwą dziewkę, której duszę chłop ubił.

W Poznańskiem odróżnia lud »mory i morusy«. Pierwsze uchodzą za postaci żeńskie, drugie są w wierzeniach ludu mężczyzną, charakteryzującym się zrośniętymi nad nosem brwiami. Pod Szmiglem i Kościanem opowiadają: »Mora jest to człowiek żyjący, co się rodzi w taką godzinę, że się

staje »morą« i musi chodzić dusić człowieka, albo bydlę, wodę, ciernie. Kiedy ma on iść dusić, to dusza jego własna z niego wyjdzie, a ciało ostanie na łóżku i spi jakoby martwe. Jak przyjdzie ta godzina, że już ma ona do ciała wrócić, wtenczas przychodzi taka myszka biała i wlizie temu człowiekowi w gębę, a wtedy wstanie on i chodzi jak drudzy ludzie«.

Wiara w zmorę, zwaną także »gnieciuchem lub wiedźmą« jest nader powszechną, właściwie jednak jest ona wyrazem uosobienia uczucia, jakiego doznaje śpiący w dusznej izbie lub z przeładowanym żołądkiem.

Rada zaszkodzić drugiemu dusza ludzka, może jednak dopiero po śmierci, wolna od więzów cielesnych, prowadzić bezkarnie swoje dzieło. Że opuszcza ciało przy śmierci o tem wie już człowiek pierwotny, że zaś nie umiera wraz z tem ciałem, ale żyje jeszcze jakiś dłuższy lub krótszy okres czasu po jego śmierci, o tem dowie się leśny filozof ze snów. Wszak ileżto razy ukazuje się jako widziadło senne osoba która już od tygodni, miesięcy lub nawet lat leży w grobie; zjawia się w różnych postaciach, rozmawia, cieszy i gniewa, wogóle zachowuje się, jakgdyby żyła. My znamy, a przynajmniej posiadamy naukowe wyjaśnienie tego zjawiska, a jednak jaki olbrzymi procent nawet inteligentnych ludzi daje się uwodzić zabobonom, nie ustępującym wierzeniom najpierwotniejszych ludów!

»Śnił mi się dziś X, smutny i milczący« opowiadasz komuś, a on na to: »Panie! daj pan na mszę, jaknajprędzej na mszę, za spokój jego duszy«.

Gdyby tacy chcieli dziwić się ludom pierwotnym, wierzącym, że dusza zmarłego krąży po ziemi i niepokoi żyjących, byliby podobni do jednego z rzeźbiarzy, który całe życie kradł motywa do swoich utworów drugim, przecież uważał je tak dalece za swoje oryginalne, że ponoś samemu autorowi, z którego pomysłu skorzystał, wytoczył przed sądem skargę o plagiat.

Wybadawszy przez widziadła senne, zasadniczą tajemnicę duszy, po śmierci ciała, spostrzegł człowiek pierwotny

mnóstwo dusz wokoło siebie, których przedtem nie widział, dusz, usposobionych przeważnie tak nienawistnie ku sobie, jak on usposobionym był wobec drugich. Wiele różnych zjawisk, których wyjaśnić sobie poprzednio nie umiał, zrozumiał teraz umysł pierwotnego filozofa, a, odnosząc przyczynę ich do włóczących się nieustannie po świecie dusz zmarłych, ani wiedział, kiedy otoczył się chmarą nieprzyjaznych tajemniczych istot, wobec których musiał zająć pewne, zdecydowane stanowisko. W pierwszej linii było ono odporne, zaś środki, jakich używano w tym celu, nie różniły się w niczem, od środków stosowanych do ludzi.

Kto, znalazłszy się na Złotem Wybrzeżu, zobaczyłby olbrzymią czeredę murzynów, uzbrojonych w maczugi, kije, lub kamienie, kto widziałby setki czarnych rąk, wyciągniętych w górę, jakgdyby coś to łapały, to odpędzały w powietrzu, a zarazem słyszał dzikie przeraźliwe wrzaski, napełniające okolicę w promieniu co najmniej dwóch mil angielskich, zapytałby sam siebie, czy nie wszedł przypadkiem w osadę szaleńców, w chwili ich największego podniecenia. Przecież im wydaje się czynność ta zupełnie nie dziwna. Wyszamotawszy się i wykrzyczawszy do syta, powraca wszystko do domu i zdaje się, że nowe życie wstąpiło w każdego z dzikich uczestników. Ustawiczny niespokój i obawa niknie na jakiś czas, zmniejszają się nawet nieszczęścia, wszystkie bowiem złe duchy wygnano do lasów, gdzie długo muszą błądzić, zanim potrafią odnaleść drogę do ludzkich osad, aby je zacząć nękać nanowo. Kałmuk czyni też podobnie. Gdy urodzi się dziecko, biegają wszyscy krewni dokoła namiotu, odpędzając nieprzychylne duchy, czyhające na całość i spokój rodziny.

Trudno jednak ustawicznie wykonywać wokoło siebie ruchy, celem odegnania nieproszonych gości, równie bowiem ważną jest rzeczą strzedz pilnie wszystkich, wiodących do ciała otworów, którymi duch łatwo może wniknąć do wnętrza. Dlatego też, ziewnąwszy, pewien jest Zulus nieszczęścia, które wkrótce go nawiedzi, Hindus, aby nie znaleść się w podobnem położeniu, musi trzasnąć palcami i wezwać

imienia któregoś z bożków, zaś Muzułmanin szepnąć: »Uciekam się do Boga przed przeklętym duchem«. Tak często spotykamy u nas i w Królestwie, wreszcie też gdzieindziej jak np. w Niemczech i t. p. zwyczaj robienia znaku krzyża nad ziewającem dzieckiem, należy rozumieć tylko w świetle, powyżej opisanych wierzeń.

Jeżeli ziewanie nie należy do najbardziej pożądanych aktów, to kichnięcie cieszy się często wprost odmienną opinią. Chorego u Zulusów odwiedzają krewni i wypytują go za każdym razem, czy nie kichnął. Odpowiedź przecząca wprowadza ich w zły humor i zwątpienie w pomyślne zakończenie słabości, zapewne dlatego, że przez kichnięcie może wypaść łatwo dusza, powodująca chorobę, zaś Murzyn kalabarski odpowiada, kichającemu dziecku: »Precz od ciebie«, przyczem wykonuje ręką ruchy, jakgdyby chcial kogoś w powietrzu odegnać z tego miejsca.

Jednak często można zauważyć wprost przeciwne formułki, używane przy kichaniu. U wspomnianych powyżej Zulusów wymienia zazwyczaj kichający imię ducha przodka, twierdząc, że aktem tym przypomina ów opiekuńczy duch człowiekowi, że z nim jest i nad nim czuwa, u nas posyła się, często przy odpowiednio głębokim ukłonie, względnie posyłało do niedawna pod adresem kichającego, życzenia »wszelkich pomyślności«, co wychodzi na angielskie »waes hael« t. j. dobrego powodzenia, na niemieckie »Gott hilf« albo wreszcie na południowe »felicità«, którem interesowny włoch, z swoją krewką naturą, wyprzedza zazwyczaj, robiącego dopiero przygotowawcze grymasy, cudzoziemca.

Zdaje się nam jednak, że, jakkolwiek te formułki, stoją na pierwszy rzut oka w sprzeczności z wymienionymi poprzednio, to jednak w zasadzie rzeczy tak nie jest, bowiem, próbując odtworzyć ich genezę, przedstawi się rzecz w ten sposób:

Mówiliśmy powyżej, że wskutek nagłego wstrząśnienia np. przy kichaniu, może wypaść dusza przez otwór nosowy na zewnątrz. To jest najpierwotniejsze wyobrażenie. Ponieważ przyczyną chorób jest również dusza, która, błądząc po

świecie, dostała się do ciała, przeto najłatwiej można ją przez silne wzruszenie, jakie sprawia kichnięcie, wydalić. Formułki, rzucające wówczas przekleństwa, albo zwyczaje wykonywania ruchów, odpędzania w chwili kichnięcia, nie odnoszą się tu do samego aktu, ale do owej nieproszonej duszy, która, wyrzucona nagłem wzruszeniem, mogłaby albo wleść napowrót, albo też uszczęśliwić swoimi odwiedzinami kogoś z obecnych. Należy ją przeto zakląć i wygnać. W każdym razie jest dla niej sam akt kichania niepożądanym w wysokim stopniu, natomiast korzystnym dla człowieka, który przypisuje też go opiekuńczym, życzliwie dla siebie usposobionym duchom, o których wkrótce powiemy. Stąd też wzywanie imion tych duchów, stąd mniemanie, że kichnięcie jest niby depeszą, w której ów duch uwiadamia człowieka, że nad nim czuwa. Ponieważ zaś obecność dobrego ducha jest rękojmią skutecznego poparcia, a tem samem powodzenia i ukończenia sprawy, przeto kichnięcie, przed rozpoczęciem jakiegoś przedsięwzięcia uchodzi za pomyślną wróżbę.

W przekonaniu Tugów, Zulusów i wielu innych ludów pierwotnych, uważać należy kichnięcie za nader szczęśliwą prognozę: Tug np. przywiązywał do tej przepowiedni ogromną wagę i podług niej kierował się nawet w tak ważnych przedsięwzięciach, jak wymarsz na wojnę, zaś Zulus, dziękuje wówczas duchowi Idlozi, bo to on właśnie pobudza człowieka do kichania.

Podobne wierzenia przechowały się w pismach starożytnych, a nawet jako niedołężne, anemiczne starce, nie pozbawione jednak ostatniej iskierki życia, tulą się pod strzechami wiejskimi do dziś dnia.

W siedmnastej pieśni Odyssei czytamy w przekładzie Siemieńskiego:

»Na to mu Penelopa rzekła: — » . . . . . .
. . . . . .
Oj! takiego jak Odyss nie mamy nikogo —
Onby tylko mógł plagę oddalić złowrogą;
Oby wrócił! we własnym ukazał się domu:
Wraz z synem spadłby na nich (gachów) podobien do gromu!«

Gdy to mówi, Telemach naraz *głośno kicha*,
Aż się w izbach rozległo; ona się uśmiecha
I pastuchowi słowa posyła skrzydlate:
— »Idź i sprowadź przychodnia tu w moją komnatę,
Czyś baczył jak on kichnął, kiedym to wyrzekła?
Znak jawny, że swym cieniem śmierć gachy oblekła!
Padną wszyscy, przeznaczeń *spełnią się wyroki!*
. . . . . .

Jakkolwiek u nas w potocznej mowie daje się często słyszeć uwaga: »to dobry znak«, szczególniej, gdy kichnie ktoś, opowiadający o swoim zamierzonym programie czynności, to jednak jest to już bardzo słabe echo tych wierzeń, które u ludu wiejskiego zachowały się w świeższej nieco postaci.

Białorusin litewski wierzy, że, kiedy dziecko przy chrzcie kicha, to znak, że będzie szczęśliwe, albo »kto kichnie w piątek na czczo, temu psuć się będzie każda robota przez cały tydzień«, albo »kto chce chorobę wykichać, ten powinien wsypać do tytoniu proszku ciemierzycy, a wówczas porwie go straszne kichanie, ale za to wykicha chorobę« i t. p.

W niektórych okolicach Andrychowa istnieją przepisy, jak należy tłómaczyć wróżbę z kichania każdego dnia w tygodniu. Kichający np. w środę spodziewa się gościa, w piątek obawia się smutku, i t. p. W Przemyskiem znowu wierzą, że kto wybiera się w drogę, a kichnie, temu się »dobra droga ściele« i t. d.

To, co powiedzieliśmy dotąd o stosunku dusz zmarłych do ludzi, wprowadza nas w bardzo ciekawą, nader ważną dla zrozumienia animizmu, a nawet, można rzec, zasadniczą kwestyę, wiarę w wędrówkę dusz.

Sama nazwa wskazuje, co jest przewodnią myślą tej teoryi: dusza ludzka, opuściwszy przy śmierci ciało, może przechodzić w innych ludzi, może wcielać się w zwierzęta i wnikać w rośliny, a nawet w martwe przedmioty wchodzić, jak kamień lub kłoda drzewa.

Ta tak ogólnie rozumiana teorya, zrodziła się w umyśle pierwotnego człowieka prawdopodobnie pod wpływem ob-

serwacyi takich faktów jak zajście w ciążę kobiety i ostateczny skutek tego zjawiska, t. j. poród.

Znając, dzięki badaniom naukowym, tajemnicę fizyologicznego aktu płodzenia, polegającego na połączeniu plemnika męskiego z jajeczkiem, uważamy go za tak naturalny, jak wszystkie inne fizyologiczne czynności, chociaż zastanawia nas i zdumiewa ta jakaś niewidzialna siła, która, po przerobieniu całego procesu zmian wewnętrznych, każe zespalać się obu komórkom w jedną, a potem, niby świadomie, pobudza tę jednę do wzrostu i różnorodnych przekształceń, których ostatecznym wynikiem jest człowiek. Dziki, nietylko, że nie bada tego samego procesu, ale też nie zna jego początku, natomiast widzi najbardziej zewnętrzne cechy jego przebiegu i zakończenie.

Zwłaszcza to ostatnie odbywa się często wśród warunków, które same wprost podają człowiekowi pierwotnemu sposobność do rozwiązania zagadki na drodze animistycznej. Nieraz np. zdarza się, że matka, urodziwszy dziecko, umrze podczas, lub w pewien czas po porodzie. Dziki obserwator przyjdzie wobec takiego faktu łatwo do przekonania, że dusza matki musiała przejść w ciało dziecka, a w takiem rozumieniu rzeczy leży zarazem wyjaśnienie, dlaczego matka umarła, zaś dziecko żyje. Do podobnej myśli mogą doprowadzić inne zdarzenia. Być może, że umrze jeden z członków osady, a równocześnie, w tej samej prawie chwili, albo wkrótce potem urodzi się w tej samej wsi dziecko. Można liczyć prawie napewne, że obadwa te równoczesne zdarzenia uczyni pierwotny umysł zależnymi od siebie wzajemnie, wyrażając zależność tę w twierdzeniu, że życie zmarłego przeszło w ciało dziecka.

Nieraz też jakieś charakterystyczne znamiona, jak np. plamy na ciele, skrzywienie, brak lub nadmierna ilość członków, przypominająca któregoś z dawniej zmarłych, bądź krewnych, bądź też tylko współrodaków, wzbudzi podejrzenie, że dusza jednego z nich ucieleśniła się w nowonarodzonem dziecięciu, zaś, skoro raz tylko zostanie taka możliwość przyjętą, łatwo wejdzie w regułę i wkrótce doczeka

się uogólnienia. I tak powstanie wiara, że dusza zmarłego może albo zaraz, albo w jakiś czas dopiero po śmierci człowieka wniknąć w ciało kobiety brzemiennej i ożywić tu rozwijający się, nowy organizm.

Zdążająca po części do wyjaśnienia wielu zjawisk dziedziczności, przebija się ta wiara nader wyraźnie w praktykach ludów pierwotnych. Plemię Wanika wierzy, że dusza przodka dostaje się do ciała dziecka, wskutek czego jest ono podobnem do jednego z rodziców, gdzie zaś panują takie wierzenia (Chondowie z Oryssy, pewne plemiona gwinejskie, Kolosze z półn. zach. Ameryki i wiele innych) tam też najczęściej nadają dziecku imię jednego z przodków. Zazwyczaj sam ten odnośny przodek objawia się matce nowonarodzonego dziecka we śnie, a wówczas niepotrzeba, jak to jest w zwyczaju u Chondów, wzywać kapłana, aby odgadł, z którym z przodków ma się do czynienia. Do tej wróżby używa się bądź ziarn ryżu, rzucanego na wodę, bądź też, jak na Nowej Zelandyi, odczytuje kapłan dziecięciu długi spis imion, uważając to za właściwe imię przodka, przy którem dziecko kichnie lub zapłacze. Gdy Murzyn Joruby wita nowonarodzone dziecię wezwaniem »wróciłeś«, to w tych jego wyrazach przebija się równie dobrze wiara w możność przeniesienia duszy, jak w zwyczaju amerykańskich Takulliów, których kapłan przeprowadza duszę umierającego na któregoś z krewnych, a ten jest pewny, że, nadając pierwszemu swemu dziecku imię owego zmarłego, ma istotnie przed sobą jego duszę.

Łatwiej nawet, aniżeli dusza człowieka dorosłego, może odrodzić się w brzemiennej kobiecie duch dziecka. To też niektóre plemiona Indyan amerykańskich grzebią zwłoki dzieci swoich przy najludniejszych ulicach, w nadziei, że ich błądząca dusza wejdzie łatwiej w ciało, przechodzącej tamtędy kobiety i odrodzi się w nowem dziecięciu. I tak może zawsze matka, po stracie jednego dziecka cieszyć się myślą, że ujrzy je w drugiem swojem przyszłem dziecięciu, tylko w odmiennej postaci, albo wreszcie, jeżeli nie w swo-

jem, to w dziecku bliższej lub dalszej sąsiadki, ale zawsze ujrzy.

Wiadomo, że wiara taka żyje i dziś jeszcze nawet w wyższych systemach religijnych. W Chinach czczono do niedawna przodka w jego wnuku, wierząc, że pierwszy odrodził się w drugim, zaś w Tybecie istnieje zwyczaj wybierania nowego kapłana po śmierci Dalai-Lama, związany ściśle z wiarą w możność wędrówki dusz z człowieka do człowieka. Oto obiór taki trafia dziecko, urodzone właśnie w tej godzinie, w której umarł poprzedni Dalai-Lama, zaś w razie braku takiego, staje się następcą to, które urodziło się najbliżej godziny śmierci wielkiego kapłana.

Ale człowiek pierwotny każe swojej duszy odradzać się nietylko w ciele innego człowieka; wiele bowiem plemion gwinejskich spogląda z niekłamanym szacunkiem na skaczące wesoło po gałęziach małpy i oddaje im cześć, jako istotom, w których żyje dusza ich przodków, Madagass jest zawsze pełnym pietyzmem przejęty z tej samej przyczyny dla krokodyla, Burjat dla pszczoły, zaś Zulus dla jaszczurki lub węża. Że jest tak, że człowiek nie wzdraga się wysyłać swoją duszę w ciała zwierzęce, wyda się zupełnie jasnem i zrozumiałem, skoro pamiętać będziemy, że u ludów dzikich zaciera się granica między zwierzęciem a człowiekiem, że pierwsze i drugi stoją na zupełnie równem stanowisku, a jeżeli podrzędnem, to zawsze takiem, w którem drugą rolę gra człowiek.

W takich warunkach mogła, nastręczająca się lada sposobność popchnąć go do wiary w metempsychozę.

Zwierzę stało w owych czasach zanadto blisko człowieka, iżby on nie mógł zauważyć wiele wspólnych rysów między niem a sobą: siłę, zręczność, zaciekłość, zmyślność i przebiegłość obserwował u swoich współrodaków równie dobrze, jak u lwa, jaguara, tygrysa, lisa i t. p. Że tak być musiało dowodzą tego nazwy, nadawane sobie przez ludy pierwotne, jeżeli nie chcemy już mówić o przydomkach i przezwiskach, ktore przetrwały w żywej postaci aż do dni dzisiejszych.

Ponieważ antropopatyczna natura człowieka kazała oce-

niać mu wszystko wedle siebie, przeto wniosek, że zwierzęta posiadają duszę ludzką, mógł łatwo powstać w umyśle pierwotnego obserwatora, a powstawszy, stworzyć teoryę o wędrówce dusz ludzkich w ciała zwierzęce. Tedy lew lub niedźwiedź chowa w swojem cielsku duszę wielkiego naczelnika lub mądrego czarodzieja, którzy zmarli, ku nigdy nieodżałowanej pamięci swoich poddanych. A jako im za życia, w ich człowieczej postaci oddawano, należne wysokiej godności, honory, tak też i po śmierci tembardziej nie wolno być obojętnym względem istot, będących ich wcieleniem. I tak zwierzę może stać się najłatwiej przedmiotem kultu. Gdy więc wąż wpełznie do chaty Zulusa, wita go gospodarz jako ducha swego przyjaciela, który przychodzi odwiedzić go, zaś lwu okazuje szacunek, winny istocie, w której przemieszkuje duch zmarłego dowódzcy. Niektóre inne plemiona Afryki, uroiły sobie znowu, że dusza starych kobiet wchodzi po śmierci w hyeny! Złośliwi ci ludzie oszczędzają też bacznie życie tych bestyi, które pewnie nie domyślają się, komu winne wdzięczność za bezpieczeństwo swego ciała.

Jużto u pierwotnych ludzi nie musi mieć kobieta najlepszej opinii, skoro i gdzieindziej wyznaczają jej duszy na mieszkanie ciała równie, a nawet bardziej jeszcze niesfornych czworonogów. Tak np. Meksykańczycy wierzyli do niedawna, że dusza każdej kobiety, pięknej lub szpetnej, starej lub młodej, przechodzi w tygrysa. To oburzające! powie sobie niejedna z Szanownych Czytelniczek, a tymczasem meksykańska płeć piękna, nietylko, że nie smuciła się takim stanem rzeczy, ale nawet przeciwnie, chętnie godziła się z tą myślą, gdyż w ten sposób okupywała sobie spokój za życia. Bowiem mężowie, którzy nie lękali się słabej ręki swej połowicy, musieli liczyć się z okolicznością, że lepiej za życia ustąpić kobiecie, aniżeli narażać się po jej śmierci na zemstę tygrysa, wobec którego lepiej nie mieć żadnych zobowiązań. Tak tedy dogodzono mimowolnie płci pięknej, bowiem tygrysa nie pytano ponoś o zdanie.

Z taką samą przymusową rewerencyą spoglądają pewne plemiona malajskie na swoich towarzyszy, jeśli ci posiadają

górną wargę pełną, bez dołka, spadającego od przegrody nosowej w osiowej linii ciała. Wysoce wyśrubowana reweren-cya ta przechodzi w obawę, zresztą zupełnie uzasadnioną, gdyż każdy taki człowiek »bez dołka w górnej wardze«, przemienia się po swem, oby najdłuższem życiu, w tygrysa. Spotkawszy takiego niepożądanego przechodnia, ma dlań Malajczyk zawsze ciepłe słowo powitania na końcu języka; jest to ta tak zwana »kupiecka uprzejmość«, kwitnąca mniej wśród dzikich, a więcej wśród cywilizowanych społeczeństw. Na Jawie ma nawet każda wieś swego własnego tygrysa, który żywi się odpadkami, zabijanych we wsi zwierząt, nosi zaś ogólną nazwę »matjan kampong«.

Jest to »drogi dziaduś«, jak wita go Jawanin, nader mile widziany, dopokąd nie zaczyna mięszać się do gospodarki wsi i eksploatować jej płodów na własną rękę. Skoro jednak zacznie zdradzać tego rodzaju zamiary, wówczas ustępuje pietyzm miejsca naturalnej zemście. Wyrok śmierci ogłoszony na głowę, tak powszechnie szanowanego dotąd »matjana« porusza całą ludność i kilka trafnych pocisków, uchodzących odtąd za cenny talizman, kładzie kres jego znikomemu życiu.

Gorszym bywa los duszy, gdy dostanie się w roślinę. A i to jest również możliwe. Dajak wierzy, że jakkolwiek dusza, dostawszy się do krainy zmarłych, dożyje tu siedm razy dłuższego wieku, aniżeli żyła na ziemi, to przecież wraca na nią ostatecznie, aby przejść tutaj w roślinę. Jeżeli zdarzy się szczęśliwie, że owoc takiej rośliny spożyje kobieta, wówczas uczuwa ona w sobie powołanie macierzyńskie, a dziecko, które wyda na świat, będzie wcieleniem tej biednej, tułaczej duszy. Biednej, bo jeśli owocu nie zje ani człowiek, ani nie złakomi się nań zwierzę, wtedy po jakimś czasie ginie roślina, a wraz z nią bezpowrotnie umiera dusza, bo już jej nikt i nic wskrzesić nie zdoła do życia. Cisami Dajakowie wiedzą, że w niektórych drzewach mieszkają nieprzychylne duchy drzewne, których należy z trwogą unikać. Nigdy też nie zetnie Dajak takiego drzewa, jeżeli zaś wypadnie mu wyrębać materyał na trumnę, wówczas

szuka specyalnego gatunku drzewa, zwanego »handjalotong« a odznaczającego się »dobrą duszą«.

We wszystkich tych i tym podobnych wypadkach nader trudną jest często rzeczą odgadnąć, czy ma się do czynienia z duszą, że tak powiem, wrodzoną drzewu, czy też z inną, np. ludzką, która wcieliła się tylko czasowo lub na zawsze w dany pień drzewny. Taka dusza nie zachowuje się wobec człowieka lepiej, aniżeli w innych warunkach. Ile razy zdarza się, że ktoś, powróciwszy z lasu, ciężko zachoruje, albo też zgubi wśród lasu drogę i zejdzie na manowce, ile razy przerazi się widokiem jakiejś dziwacznej postaci, majaczącej w oddali w tajemniczym półcieniu miesięcznej nocy, ile razy zaniepokoi go cichy, niezrozumiały szmer w głębi lasu lub szelest? Cóż więc dziwnego, że Karenowie składają ofarę drzewom, które zsyłają na ludzi trawiącą febrę, że Dajak, chcąc zapewnić sobie zdrowie, wiesza na pewnych wnych drzewach strzępy swego odzienia, a Indyanin Ameryki darzy je kawałkami mięsiwa, ogarkami z cygar, lub ofiarami koni, aby zapewnić sobie i swemu dobytkowi powodzenie i spokój. Te duchy drzewne mogą być niczem innem, jeno samą, właściwą duszą drzewa, ale też i duszą ludzką, która obrała sobie w nich siedzibę, aby stąd ludzi trapić i nawiedzać.

Zupełnie uzasadnioną zatem jest obawa murzyńskiego drwala, któremu strach przed duchem drzewnym wytrąca topór z ręki i wstrzymuje oddech w piersiach. Ściąć drzewo jest łatwo, ale szczęśliwie uniknąć zemsty rozgniewanego ducha, to kwestya nieporównanie trudniejsza. Przecież sposoby są na wszystko. Duch jest silniejszy i możniejszy od człowieka, ale człowiek może być sprytniejszy od ducha.

Więc drwal robi jedną ręką cięcie w drzewie, a drugą nalewa na pień palmowego oleju, poczem porzuciwszy topór, coprędzej ucieka, oglądając się od czasu do czasu za siebie. Cel pomysłu jasny, jak jego wynalazca, ale wyjaśnienie nie zawadzi. Oto chytry murzyn podpatrzył słabą stronę ducha, i wykorzystał ją dla siebie. Gdy bowiem, wydostawszy się, przez świeżo zrobione nacięcie w drzewie, chce »leśny dya-

beł«, bo tak go czasem nazywają, ukarać sprawcę gwałtu, dokonanego na jego siedzibie, znajduje po drodze olej, który bardzo lubi. Nie mogąc oprzeć się łakomstwu, poczyna lizać ulubiony przysmak, ale za to traci z oczu sprytną ofiarę, która przypatruje się z ukrycia i podziwia dowcip własnego pomysłu. Inny nie tak dufny w skuteczność własnej inwencyi, wybija klin klinem. Jedno drzewo ścina, a duchowi drugiego składa ofiarę, z prośbą, by pierwszego osłabił, lub zniweczył. I to ponoś też nie najgorszy sposób.

Czarodziej, znający wiele tajemnic, nie boi się duchów drzewnych, a nawet wchodzi z nimi w przyjacielskie stosunki, rozmawia i wypytuje o to, co się stanie. Takie drzewa wróżą przyszłość przez usta czarodzieja i stają się często celem pobożnych pielgrzymek, jak np. drzewa święte »Wodanabe« na brzegach rzeki Hawasz, na wschodnich krańcach Abissynii. Podróżnik, badający okolice Azyi, Ameryki, Afryki lub Australii znajdzie tu i ówdzie, gdzie nowoczesna kultura nie przyłożyła swej niszczącej ręki, mnóstwo przykładów w tym rodzaju, historyk wykaże podobny kult świętych drzew i zbliżonych do niego kult świętych gajów u starożytnych, zaś etnograf znajdzie echa tej samej wiary jeszcze dziś w cywilizowanej Europie.

Liczne nazwy i przydomki, które lud wiejski nadaje drzewom, świadczą, jak głęboko pierwotna wiara i możność wędrówki dusz ludzkich w rośliny zakorzeniła się w umysłach wyznawców. W Poznańskiem twierdzi lud, że w samotnie rosnących dębach, brzozach lub wierzbach pokutuje duch zabitego człowieka, zaś zamiast soków roślinnych krąży w nich krew nieboszczyka.

Na brzozy płaczące, stojące bądź wśród lasu, bądź rosnące w pustyni, patrzą tu ludzie jako na zmarłe dziewice, których dusze przeszły po śmierci w te drzewa. Opowiadają, że te »wilije«, wiodą, otulone białą powłoką szronu, w lutym lub marcu, wesoły taniec wśród jasnej, księżycowej nocy. Nikt, z ceniących swoje życie, nie śmie zbliżać się w te strony, gdyż »wilije« powiodą go w tan za sobą, i nie pozwolą mu spocząć dopóty, aż z unużenia padnie nieżywy.

Dąb i wierzba uchodzą często za drzewa prorocze. Z wierzbiny można wykręcać czarodziejskie dudki, które grają pięknie i mają dziwną, nadziemską moc, działającą na ludzi. One rozweselają smutnych, wykrywają morderców i złodziei, przynoszą szczęście.

»Skąd tę dudkę masz?
»Skąd tak pięknie grasz?
»Dudkę tę skręciłem w gaju
»Z cudnej wierzby przy ruczaju...
»Przy krzaczku malin«. i t. d.

I w Krakowskiem i w Chełmskiem i w wielu innych okolicach wierzy lud święcie, że fujarka, wycięta z wierzbiny która rosła zawsze samotnie i nie słyszała ani piania kura, ani szumu wody, odzywa się ludzkim głosem.

Dębina i owoce jej służą najczęściej do wróżby. Sprawniejszemu gospodarzowi powiedzą one, jaki będzie rok na urodzaje, ostrzegą go o powodziach, lub zapowiedzą mu suszę, która może zniszczyć jego rolną pracę. Dobrze wiedzieć rzeczy takie naprzód, i módz się na nie przygotować.

Poza tym orszakiem dusz, wcielonych w zwierzęta lub rośliny, które szkodzą ludziom, straszą ich, płaczą, skarzą się przed nimi lub zdradzają im tajemnice przyszłości, włóczy się po świecie wiele innych dusz zmarłych, z którymi musi człowiek liczyć się jeszcze bardziej i bardziej obawiać się, aniżeli pierwszych. Duchy drzewne, jakie one tam są, złe czy dobre, siedzą sobie w drzewach, wiodą rozhowory, prowadzą po nocach tańce, szepcą i mruczą, ale tylko po lasach. Jeżeli człowiekowi zaszkodzą, to zawsze temu, który zaszedł w ich królestwo, zmącił ich spokój, lub przerwał im zabawę; stądteż, wchodzący w las podróżny, wie mniej więcej, co go czeka i może zaopatrzyć się w odpowiednie środki ochronne, aby zasłonić się przed zemstą niewidzialnych, a przecież potężnych istot.

Jednak dusze zmarłych nie zaraz wchodzą w drzewa, i nie wszystkie. Z czasem, kiedy tryb osiadłego życia poczyna przeważać nad koczowniczem, kiedy prywatna wła-

sność zaczyna wykrystalizowywać z pierwotnego komunizmu, tworzą się też odmienne wierzenia, zastosowane do nowych warunków. U wszystkich ludów pierwotnych, u niektórych starożytnych i po dziś dzień w pośród ludu wiejskiego przeważa przekonanie, że dusza, po śmierci człowieka, pozostaje jeszcze jakiś dłuższy lub krótszy czas przy zwłokach. Leży trup w izbie, to ona czuwa przy trupie, wyniosą go na cmentarz, to ona przenosi się za nim na to miejsce tajemniczej ciszy i nieprzespanego snu i tu błądzi samotna i pielęgnuje swego cielesnego mieszkania, zanim nie nastanie pora, która inny los jej przeznaczy. Gdy więc plemiona syberyjskie składają zwłoki zmarłych na drzewach, to ona przesiaduje obok nich, wśród gałęzi, u Jakutów przebywała w tz. »arakasach«, t. j. wąskiej skrzynce, którą układano wraz z zmarłym na drzewie, u Samojedów obok wyniesionej trumny i t. d. Niektóre plemiona, jak Madagassi, budują obok grobów, umyślne małe drewniane domki, ażeby dusza mogła spoczywać w nich wygodnie, nie zaś błądzić, narażona na skwar i deszcze lub zimno, jak u Dajaków, albo u wielu plemion amerykańskich Indyan.

Ta własność duszy, jest nader niewygodną dla żyjących. Po pierwsze bowiem, jak to przedstawiliśmy poprzednio, nic dobrego zazwyczaj od takich dusz spodziewać się nie można, po drugie, zmarły wcale nie zrzeka się pretensyi do swej własności, którą rozporządzał za życia i choć niewidomy, występuje zawsze i wszędzie jako jej prawny i wyłączny właściciel. Tak tedy istnieje między żywymi a umarłymi ustawiczna łączność, jakkolwiek dla pierwszych nie zawsze pożądana. Jeżeli śmierć rozdziela dwie osoby, których wiązała ze sobą ścisła przyjaźń, wówczas, pozostający przy życiu nie obawia się odwiedzin przyjaciela, wobec którego ani za życia, ani po śmierci w niczem nie zawinił, ale kto zajmywał wobec kogoś stanowisko obojętne, albo nawet wrogie, wówczas na wieść o śmierci tego »kogoś« doznaje tak niewygodnego uczucia, jak malwersant kasowy, który ujrzy w drzwiach swego bióra urzędową czapkę komisarza. Bowiem nie ulega żadnej wątpliwości, że duch zmarłego,

w jakiejkolwiekbądź porze i niewiadomej postaci, widocznej lub niewidocznej przyjdzie, aby niepokoić i mścić się na tych, których nienawidził za życia. Że może powrócić do dawnego swego mieszkania i powraca, o tem łatwo przekonać się, posypując bądź wejście do izby, bądź całą podłogę popiołem. Duch, jako istota materyalna musi być ciężki, tedy nie może stąpać tak, aby nie pozostawił po sobie śladów nóg, w miejscach, przez które przechodził. Tak czynią mieszkańcy Filipinów, Jukatanie albo Hoanie w Indyach północno-wschodnich. Australczyk, Nowozeladczyk, Murzyn, Indyanin, Azyata północny, wszystko to żyje w nieustannej trwodze, przed duszami zmarłych, które stają się złymi duchami, polującymi na spokój i szczęście żyjących. Może ze wszystkich ludów pierwotnych najbardziej dał się zawładnąć duchom złym Australczyk. Jeżeli pójdzie tak dalej, to wkrótce dla niego samego nie stanie już miejsca na ziemi, bo z każdego jej zakątka wyglądają ponure postaci duchów złych i nienawistnych, które i życie obrzydzą i śmierć obedrą z uroku. Nie dość bowiem, że naburykasz się do przesycenia z życiem, gdzie strach stąpa ci nieustannie po piętach, to i po śmierci nie możesz się spodziewać spoczynku, gdyż musisz sam zostać upiorem.

Kazać wymienić Australczykowi te wszystkie duchy, byłoby to samo, co żądać od wydawcy encyklopedyi, aby ją powtórzył. Może znać tedy niebaczny twórca ważniejsze upiory, grasujące, jak bandy rozbójnicze, to zbiorowo, to w pojedynkę po drogach, lasach lub górach, gdzie spodziewać się ich nawet nie można. Zły jest »Bunyop«, przeciągający przez lasy, nie lepszy »Arlak«, duszący po drogach ludzi, gdy noc zapadnie, albo przesiadujący w pieczarach i norach podziemnych złośliwy »Kupir«, przecież są gorsze jak, podstępny Mani lub dowcipny Pokidni. Jeden i drugi włóczy się po nocy i napastuje przechodniów, to nadchodząc cichym, ledwie dosłyszalnym krokiem i zatapiając w nich włosy swe i brodę, to dusząc go lub wiodąc na bezdroża. Te duchy przychodzą czasem do domów i niepokoją mieszkańców w czasie snu. Mieszkający z Australczykami Europejczycy muszą nieraz

wstawać w nocy i czuwać wraz z nimi, aby być gotowymi na odwiedziny demonów, wyprawiających harce w pobliżu. Taplin opisuje, że raz zbudziło go w nocy rozpaczliwe wołanie Australczyka, który, jakkolwiek tęgi mężczyzna i obuczony bronią, błagał wspomnianego badacza, aby go ten odprowadził do domu, gdyż obawia się złych duchów, przebywających w tych stronach. »I tak, pisze Taplin, słaby, bezbronny Europejczyk, prowadził uzbrojonego, silnego, czarnego mężczyznę do jego domu i uspokajał go, dodając mu odwagi przed Melapi i Karungpi«. Jakuci, jakkolwiek przyjęli chrześciaństwo, przecież nie wyzbyli się wierzeń, odnoszących się do tego rodzaju roli duszy po śmierci ciała. To też wszystkie rzeczy, które wkładają zmarłemu do trumny, muszą być przedziurawione lub złamane, aby nie mogły służyć duszy, za narzędzie tortury dla żyjących. I Syngalezi, wyznający buddaizm, nie zdołali uwolnić się od tych pierwotnych przesądów. Kiedy zmierzcha, nie wyjdzie Syngalez za nic w świecie na dwór, jestto bowiem pora, w której duchy poczynają schodzić się na codzienne psoty i igrzyska. Często są te psoty szkodliwe, czasem znowu niewinnej natury, objawiające się tłuczeniem garnków, otwieraniem zamkniętych skrzyń, lub przewracaniem koszów.

Najgorsze są dusze zmarłych, wydobywające się nocą z grobu i dręczące żywych, jako t. zw. »upiory«. Im gorszym i bardziej obawianym był ktoś za życia, tem niebezpieczniejszą i szkodliwszą jest w wierzeniach ludów pierwotnych dusza jego dla pozostałych. Dziecka boją się mniej, aniżeli ducha osoby starszej, duszy czarodzieja więcej, aniżeli ducha zwyczajnego człowieka. Na grobie szamana składają tedy plemiona północno-azyatyckie sute ofiary, aby przekupić nimi niebezpiecznego wroga, zaś Chińczyk trzyma się tej samej taktyki wobec duchów żebraków, lub też ludzi zmarłych na jakąś niebezpieczną chorobę, bo te mogą najwięcej dokuczyć żyjącym. Wiara, że dusza opuściwszy ciało, staje się po śmierci upiorem, przeniknęła tak głęboko umysł człowieka, że zdarzały się wypadki, iż ten lub ów dał się umyślnie pozbawić życia, ażeby módz

zemścić się na swoim nieprzyjacielu, jako upiór. Tylor podaje, że pewien bramin, na którego gruncie wystawił sobie dom radża kszatrja, rozpruł sobie brzuch jedynie na to, aby stać się po śmierci upiorem i w takiej postaci przeprowadzić zemstę, której za życia nie mógł dokonać. Jakoż obawy ludności, która wierzyła w prawdziwość jego pogróżek, okazały się uzasadnione: bramin ów został demonem w rodzaju t. zw. »bramadasni«, który wzbudzał największy postrach i doznawał niezwykłej czci od całej ludności wsi Charakpur. Kiedyindziej znowu zdarzyło się, a było to przy końcu ośmnastego stulecia, że z domu dwóch braminów zginęło czterdzieści rupij. Nie mogąc wykryć przestępcy, ale też nie chcąc puścić sprawy płazem, przyszedł jeden z poszkodowanych na znakomity plan zemsty. Oto ściął matce głowę w nadziei, że jej duch, podniecany przez czterdzieści dni graniem dużego bębna, będzie nękał złodzieja i jego spółkę. Tą samą wiarą przejęta była wybrana, dobrowolnie oddająca swe życie kobieta, która, do ostatniej chwili przed śmiercią odgrażała się, że nie spocznie dopóty, dopóki nie zniszczy przestępcy i nie pomści w ten sposób przykładnie doznanej szkody.

Właściwie przez upiór czyli wampira, rozumie się duszę zmarłego, która opuszcza grób, względnie spoczywające w nim zwłoki i wysyssa krew żyjącym.

Ta postać upiora, jako uosobienie, mające wyjaśnić powolny zanik sił życiowych w człowieku, niepokoi w wysokim stopniu i zatruwa życie pierwotnemu człowiekowi. Jako »Hantu penjadin«, z paskudną psią głową, wysyssa on Mintyrom z półwyspu Malajskiego krew z palców, jako »Kefu«, dręczy Karena, albo jako »Tii« wczołguje się potajemnie do domu Polinezyjczyka i pożera mu serce. Lud nasz zna dobrze te złośliwe widma, a środki zaradcze, jakich chwyta się, aby je zniweczyć, dowodzą, że wiara w nie, mimo panujących równocześnie wyższych systemów religijnych, nie jest o wiele słabszą, aniżeli u któregokolwiek z ludów pierwotnych.

Obok tak niewinnych, nawet śmiesznych, a w każdym

razie illustrujących wyobrażenia o duchach środków, jak n. p. sypanie maku, który duch, zbierając, opóźnia się aż do północy, uchodzi odrębanie głowy nieboszczykowi, którego dusza straszy, za najbardziej wzięte i najpowszechniej stosowane remedium. Nie figuruje ono jedynie w teoryi, bo istnieją fakta, że stosowano je w praktyce. Tak n. p. Kuryer codzienny z r. 1869 donosi, że w gub. Kieleckiej w Bodzentynie, zdarzyło się, iż niejaki Jan Szafraniec, nie mogąc pozbyć się odwiedzin swojej umarłej małżonki, udał się na cmentarz, rozkopał grób, a, otworzywszy trumnę, przewrócił trupa grzbietem do góry i związał mu ręce. Ale gdy wizyty ducha nie ustawały mimo to, poszedł znowu, rozrzucił grób i odciąwszy nieboszczykowi głowę, pogrzebał ją zupełnie oddzielnie. Rozumie się, że sprawa dostała się przed forum sądowe.

W Lubelskiem nazywa lud upiory, wypiórami, zaś aby pozbyć się ich, radzi przewrócić zwłoki do góry grzbietem i grób dobrze ziemią przysypać. Białorusin litewski zna upiory pod nazwą: »mrec«, »mierlak« lub »upor«. Ucięcie głowy nieboszczykowi, który stał się upiorem, uchodzi i tu za najskuteczniejsze lekarstwo, przeciw niepożądanym odwiedzinom. W r. 1890 umarł w Szandrach pod Mścibowem, najstarszy gospodarz tejże wsi, nazwiskiem Sawko. W krótki czas po jego śmierci poczęto opowiadać, jako on, przemieniwszy się w upiora po nocach łazi i ludzi straszy i dręczy, a wieść ta podziałała do tego stopnia zatrważająco, że lud bał się wychodzić wieczorem z domu, aby się z upiorem nie spotkać. Wreszcie miało znaleść się kilku śmiałków, którzy, odgrzebawszy zwłoki, ucięli im głowę, a tem samem uwolnili całą wieś od ustawicznej trwogi i niepokoju.

Noc z swoją tajemniczą, często ponurą a tak imponującą ciszą jest najsposobniejszą porą, w której mogą duchy rozwinąć swoją czynność. To też w ciemnościach roi się formalnie od tych powiewnych, eterycznych postaci po drogach polanach i lasach. Snują się one tu, niewidoczne dla ludzkiego oka, albo gromadzą się wspólnie na zabawy lub narady, a wówczas można dostrzedz je, jako białą, polotną

mgłę, albo światełka, o słabej migotliwej postaci, to gasnące, to rozniecające się znowu na innych miejscach. Wiedząc o tem, puszcza się tylko w ostatecznej konieczności mieszkaniec południowych Indyi w drogę po zachodzie słońca a wówczas bierze z sobą płonące łuczywa, gdyż ogień ma być najskuteczniejszym środkiem odpornym przeciw duchom. Indowie tak są pod tym względem przesądni, że palą nawet w biały dzień światła, zaś krajowcy australscy rozniecają nocą około obozowisk swoich ognie, które odpędzają wszelkie złe duchy. A przecież i u nas po wsiach, można zauważyć nocą w chacie, gdzie znajduje się niechrzczone jeszcze dziecko, płonącą lampę lub świecę, która musi tlić, dopokąd obrzęd chrztu nie zostanie dokonany. Są to spewnością echa powyższych wierzeń pierwotnych. Często można spotkać się wśród wiejskiego ludu z wiarą, że błędne światełka, okazujące się na bagnach, są to duchy na pokucie. Lud Nadrabski n. p. wierzy w dwa rodzaje tych duchów, którym świeci się zawsze tylko średni palec u ręki. Chodzą one, jęczą i płaczą, wałęsają się po gościńcach, miedzach i zagonach, czepiają się człowieka, któremu mogą nawet oczy wypalić. Na ten temat krąży mnóstwo fantastycznych baśni, utwierdzających jeszcze bardziej wiarę i budzących obawę przed »światłami na pokucie«.

Trzeba zrozumieć dobrze i pojąć tę głęboką wiarę, albo, powiedzmy raczej może przekonanie pierwotnego człowieka, dla którego świat duchów jest nie złudzeniem, ale namacalną, nie ulegającą ani na chwilę wątpieniu rzeczywistością, aby móc przedstawić sobie położenie tego »wolnego syna natury«. Ustawiczna obawa przed duchami, których niezliczone zastępy snują się po świecie, wywołuje u niego reakcyę, zaś ta rodzi cały ogromny, będący ciekawym przyczynkiem do illustracyi wyobrażeń o istocie duszy, ceremoniał praktyk.

Jedne z nich zmierzają do zupełnego zniszczenia duszy zmarłego, drugie usiłują odpędzić ją i nastraszyć, inne zaś próbują przejednać ofiarami, wyznaczają jej na mieszkanie odrębne domki, niby rekompensatę za utraconą własność,

albo wreszcie skazują ją na doczesne, lub wieczne życie w osobnej »krainie dusz«.

Zdaje się, że jednym z najpierwotniejszych objawów tej nieopisanej obawy jest zupełne usunięcie się z tych stron, w których przebywał zmarły za życia i opuszczenie wszystkich tych przedmiotów, które stanowiły niegdyś jego własność. Rzuca więc człowiek pierwotny schronisko swoje, jeżeli umrze w nim któryś z współmieszkańców, pozostawia lub niszczy sprzęty domowe i broń, zaś sam wynosi się gdzieindziej, gdzie nic nie przypomni mu zmarłego. Ten, dla rozwoju pierwotnego gospodarstwa tak bardzo niszczący zwyczaj, nie jest rzadkością wśród ludów pierwotnych. Ledwie wyda ktoś u Bagobów ostatnie tchnienie, a wnet opuszcza cała rodzina schronisko, ale powraca znowu następnego dnia, ażeby nieboszczyka ubrać w najparadniejsze szaty, owinąć w makaty z liści pandanu i tak przystrojonego zakopać w grobie, pod chatą, w towarzystwie, na ten cel, zabitego niewolnika. Złożywszy na grobie sprzęty i naczynia z ryżem, grodzą całe obejście płotem bambusowym i uciekają. Nikomu nie wolno pod karą śmierci zbliżyć się do tego domu, nikomu przestąpić ogrodzonego podwórza, ani obłamywać okolicznych drzew, tak, że z czasem chata zbutwieje, przewróci się, a gdy na jej miejscu zarosną zielska i powstaną drzewa, zatrze się wszelki ślad jej istnienia. Sakajowie znowu palą dom, w którym ktoś zakończył życie, a sami opuszczają obejście, chociażby z tem połączona była utrata całego żniwa tapioki lub trzciny cukrowej, natomiast przyrządów i broni zmarłego nie niszczą, ale sprzedają je, drogą zamiany. Także Negryci, pochowawszy członka swego plemienia, wynoszą się z jego mieszkania i najbliższej okolicy, karząc śmiercią każdego, kto odważyłby się zbliżyć do grobu zmarłego, zaś podobnie postępują pewne plemiona amerykańskich Indyan. Pewnem jest, że i Owaherero przenoszą się wraz z całą wsią, gdy umrze ich naczelnik. Ale po pewnym czasie, po upływie kilku lat wracają znowu. Wtedy pierwsze kroki następcy muszą być skierowane ku mogile zmarłego. Tu przyszedłszy, klęka on

i oznajmia, że powrócił wraz z całą osadą, a zarazem prosi, by duch jego nie niepokoił mieszkańców, ale błogosławił ich rodzinom, pomnażał trzody i odwracał wszelkie nieszczęście. Gilijak zabija jeszcze do dziś dnia wszelką trzodę zmarłego, pali całe jego domostwo i niszczy wszystkie sprzęty, byle tylko uwolnić się od szykan duszy, pilnującej swojej własności. Ale Jakuci już tego nie czynią. To »już«, oznacza, że i u nich dawniej tak bywało i strach przed duszą zmarłego kazał wszystko niszczyć i pustoszyć. Dziś wyprowadza się Jakut tylko na jakiś czas z domu, w którym ktoś umrze, a w zwyczaju tym, praktykowanym szczególniej wśród zamożniejszych, przebijają się przecież ślady jego pierwotnej, surowej postaci.

Takie postępywanie niweczy nietylko mienie jednostki, ale przynosi całemu społeczeństwu nieobliczone straty, jest bowiem wrogim czynnikiem wszelkiego postępu. O ciągłości pracy nie może być tu mowy. Przyszłe pokolenia nie mogą wzorować się na pracy ojców, każdy więc musi zaczynać »ab ovo«, gdyż wszystko, co stworzyła jednostka, kończy swoje istnienie wraz z jej życiem raz na zawsze. Takie stosunki utrudniają wszelki postęp etyczny i uniemożliwiają rozwój gospodarstwa. Przedewszystkiem praca całego życia jednostki a tem samem i całego społeczeństwa idzie na marne. Każdy zatem pracuje sam dla siebie, a okoliczność ta wpływa niekorzystnie na rozwój altruizmu. Żyjąc tylko z myślą o »teraz« nie chce się nikomu zakładać stałych osad, skoro po przebytem »dziś«, może wypaść jutro konieczność, przeniesienia się gdzieindziej, a tak nie może rozwinąć się nic, co oderwałoby człowieka pierwotnego od koczowniczego trybu życia.

Niewiedzieć czemu przypisać przyczynę zmiany tych barbarzyńskich stosunków na lepsze. Może przeświadczeniu szkody, jaką ponosi człowiek pierwotny, niszcząc przedmioty z których mógłby bardzo dobrze korzystać, może wreszcie samemu środowisku, które, często ze względu stosunków układu danego kraju nie pozwala na ustawiczne koczownictwo, dość, że człowiek pierwotny zmienia taktykę i z tchó-

rza, który podawał zawsze tył, przedzierzga się teraz w nieustraszonego przodownika. Rozpoczyna się tedy przeciw duszy zmarłego wielka kampania, chowająca w zanadrzu całą skalę środków, począwszy od wyroków śmierci i tortur, aż do czułych przemówień, perswazyi i pokornych próśb.

Pamiętając, że zadawane ciału razy, dostają się w tym samym stopniu i z tym samym skutkiem duszy, zrozumiemy, dlaczego pewien Buszman rozmiażdżył głowę trupowi swej żony ciężkim kamieniem, a następnie, zakopawszy ciało, zapalił jeszcze ogień na jego grobie, aby nawet najmniejsza cząstka, jeśli została jeszcze jakaś, z zabitej w ten sposób duszy, nie wydostała się na zewnątrz. Jeżeli inni ćwiartują trupa i palą jego części, albo przybijają go ciężkimi odłamami skał, to czynią to wszystko w dobrej wierze, że dusza nie potrafi oprzeć się losom ciała, a tem samem nie będzie zdolną do jakiegokolwiek samodzielnego życia, któregoby pozostali musieli obawiać się.

Tymczasem Grenlandczyk pozbywa się duszy nieboszczyka w nie tak barbarzyński, zaś, wedle zapewnień ludności, równie skuteczny sposób. Oto, gdy zwłoki wynoszą przez okno, rzuca za nimi stara kobieta płonącą głownię, krzycząc na cały głos: »piklerrukpok«, t. zn.: niemasz już tutaj co robić. Czuwaks, chcąc przeszkodzić duszy powrót do domu, ciska na nią rozpalone kamienie, u innych plemion natomiast podnoszą, idący za marami, na których spoczywa trup zmarłego, okropny krzyk od czasu do czasu, biją też w instrumenta muzyczne, coś w rodzaju bębnów, w nadziei, że dusza, wystraszona lub otumaniona raczej, nie zoryentuje się i nie wróci do miejsca, z którego wyniesiono nieboszczyka.

Musi być widocznie dobrą taka metoda wystraszania ducha zmarłego zapomocą krzyków, pisków i t. p., skoro utrzymała się ona po dziś dzień jeszcze w państwie słońca. Gdy zdarzy się w Chinach, że ktoś, uprzykrzywszy sobie swoją dolę, zmusi Atropę, aby przecięła nić jego nędznego żywota, wówczas domownicy chwytają pierwszego lepszego psa i, uciąwszy mu ogon, obnoszą ofiarę ludzkiej naiwności po wszystkich zakątkach komnaty samobójcy. Dusza chowa

się zrazu tu i ówdzie, ale wreszcie i jej przebiera się miarka cierpliwości, więc, rozdrażniona bolesnem wyciem zranionego zwierzęcia, wynosi się czemprędzej z domu i ponoś nigdy już więcej doń nie powraca.

Z drugiej jednak strony stwierdzono, że dusza Chińczyka muzykalną jest nie w mniejszym stopniu, jak nasza gawiedź uliczna, więc wszystko, co zasługuje mniej lub więcej na miano muzyki, zatrzymuje ją raczej i zwabia, aniżeli odstrasza. Jeżeli zatem doktór orzeknie, że zbliża się agonia, wszczynają krewni umierającego rozpaczliwe granie, które przywabia napowrót, uciekającą z ciała duszę chorego. Niejeden z naszych domorosłych artystów, pobudzających fortepian lub skrzypce do jękliwych wynurzeń, ileżby jeszcze mógł dobrego zrobić dziś w Chinach!

Siamczycy wynoszą trupa nie przez drzwi, ale, przez umyślnie na ten cel w murze wybity otwór, który czemprędzej zamurowują, a równocześnie przebiega cały orszak pogrzebowy trzy razy podwórzec domowy w pełnym kłusie. I tak traci dusza wszelką możność zoryentowania się, gdzie było ujście, którem wyszła, a chociażby nawet mogła miejsce jego odszukać, to otworu nie znajdzie, gdyż domownicy postarali się już dawno, aby zniszczyć wszelki ślad jego istnienia. Krajowcy Madagaskaru nie zadają sobie tyle z nią kłopotu; kilka trafnych pocisków kamieniami wystraszą ją niewątpliwie, chociaż plemiona z nad Orinoko pozbywają się duszy jeszcze w łagodniejszy sposób. Oto rozpinają długi sznur od łoża umierającego do lasu, zaś dusza idzie zawsze po tej linie, która, zwinięta na pewien czas po śmierci chorego, zaciera wszelki ślad dawnej drogi, tak, że biedaczka, zbłądziwszy w lesie, ginie tam marnie. Pewne inne plemiona tej samej okolicy palą znowu obok zwłok skórę, której odór działa tak nieprzyjemnie na organa węchowe duszy, że ta zrzeka się wszelkich pretensyi do ciała i umyka. Jednak nikt i nic nie zdoła odegnać duszy kobiety, która odumarła dziecię przy piersiach. Zawsze bowiem powróci ona cichą nocą i, gdy wszystko śpi, przytula do siebie małą sierotkę i karmi.

Gdzieniegdzie, jak na wyspach Oceanii zapalają ognie na grobach, zaś Papuanie stawiają obok grobów umyślne domki dla dusz i proszą je, aby weszły do wnętrza i zamieszkały je; czasem przygotowują zamiast nich umyślne

Ryc. 10. Wieś Nyoma w Usindja we wsch. Afryce. Dwa schroniska na przednim planie są to domki dla duchów. Rysował według Schurtza dr. W. W.

kosze, układają garnki lub kotły, aby w nich wyznaczyć duszy zmarłego przytułek, siebie zaś uwolnić od mniej pożądanego towarzystwa.

Jeszcze do dzisiaj wylewa lud brandenburski wiadro wody przed drzwiami domu, z którego wyniesiono trumnę, na Pomorzu rozrzuca grabarz słomę, aby dusza zmarłego mogła sobie wypocząć i nie potrzebowała wracać do dawnej swej siedziby, zaś u Finnów zawiesza się na pewnych drzewach różne tablice pamiątkowe, w nadziei, że one powstrzymają duszę i nie pozwolą wrócić jej do ludzkich mieszkań.

W zwyczajach naszego ludu przebijają się żywo echa tego rodzaju wierzeń. W Lubelskiem, gdy wynoszą z izby trumnę, otwierają wszystkie dzwi, nietylko od chaty i pojedynczych izb, ale od stodół, stajen, spichlerzy i innych za-

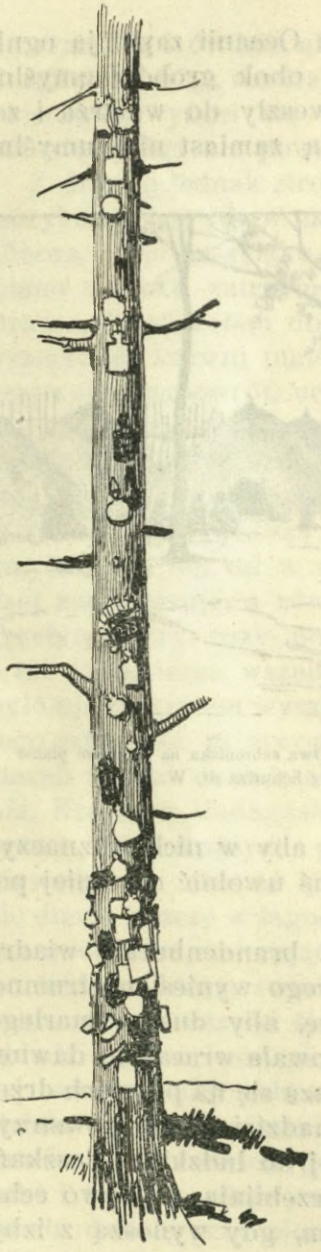

Ryc. 11. Drzewo umarłych u Finnów. Rys. wedł. Schurtza dr. W. W.

budowań, odsuwają szuflady, odmykają skrzynie i wszystkie wogóle skrytki, aby dusza »umrzyka« wyszła sobie i nie straszyła domowników. Mazurzy pruscy przestrzegają tego samego zwyczaju, w przeciwnym bowiem razie nie ulega wątpliwości, że dusza zmarłego pozostanie w domu i straszyć będzie i niepokoić wszystkich jego mieszkańców. Także niedobrze jest spotkać po drodze, gdy idzie się z pogrzebem, wóz, jadący ku wsi, gdyż dusza skorzystać może łatwo ze sposobności, aby powrócić do domu z którego wyniesiono ją na trumnie. Dopokąd zwłoki leżą w izbie, stać musi stołek obok nich, aby dusza zmarłego miała na czem usiąść. Pozostawia się ten stołek nawet wówczas, gdy zwłoki wyniosą i zagrzebią, gdyż dusza ta powróci jeszcze wieczorem do izby, a, usiadłszy na przygotowanem dla niej siedzeniu, będzie smucić się i płakać, ocierając łzy ręcznikiem, który trzeba dla niej na drzwiach powiesić. Wogóle należy wszędzie i zawsze uważać i pamiętać, że dusza zmarłego kręci się koło domu, czekając często za drzwiami, przez które chciałaby wcisnąć się do wnętrza. Stądteż, kto wylewa niebacznie wodę przed siebie, może łatwo oblać duszę i sprawić jej tem przykrość. W Kamienieckiem posuwają ostrożność tę do tego stopnia, że przez jakiś czas

nie bielą ścian w domu, w którym ktoś umarł, »boby się zachlapało oczy duszy«. W Lubelskiem zaś pozostawia gospodarz, wieczorem po pogrzebie jadło dla duszy, która spewnością przyjdzie do izby, aby posilić się. Tożsamo robią w Podolskiem i gdzieindziej.

Jakkolwiek dusza powraca, a krewni zmarłego lub współmieszkańcy przygotowani są na to już z góry, to przecież wypada wnosić, że odwiedziny te nie są ani zbyt przyjemne, an nad wyraz pożądane. Ponieważ dusza pilnuje swego ciała, przeto przez powyższe trzy dni, zanim zwłoki wyniesie się z domu, muszą pamiętać krewni o wygodach dla niewidzialnego gościa, który mógłby mieć kiedyś słuszny żal a nawet, co gorsza, mścił się na tych, którzy lekceważyli sobie jego osobę. Ale skoro trumnę z domu wyniosą, zaś za trumną podąży dusza, upadają dla niej odtąd wszelkie względy gościnności. Gospodarz rad, że pozbył jej się z domu, ani myśli, aby przypuścić ją napowrót, chociażby ona nie była duszą wisielca lub mordercy, ale zwykłego sobie »umrzyka«, który godnie żył i po bożemu umarł. Gdy więc orszak pogrzebowy rusza, posypują krewni drogę od drzwi mieszkania, aż do bramy cmentarnej, co kilka kroków makiem, albo też wylewają wodę za marami, na których wyniesiono trumnę. Czyni to zazwyczaj stara kobieta, która spełniała funkcye mycia i ubierania zwłok. I mak i woda mają odciąć duszy powrót do domu. W pierwszym razie, zajmie się dusza zbieraniem rozsypanych ziarnek, na czem zejdzie jej tyle czasu, że wreszcie nadejdzie pora, w której ona musi opuścić ziemskie szlaki i lecieć tam, gdzie jej Bóg wyznaczył, wylanie drugiej oznacza, że przed drzwiami powstanie jezioro, którego ona przebyć nie potrafi.

Tymczasem i w izbie przedsiębrać należy pewne środki zapobiegawcze, po spełnieniu których można spodziewać się, że dusza została z mieszkania wygnaną. Przewraca się tedy ławki, stołki i stoły, bo nikt nie wie, czy na nich właśnie dusza nie siedzi, wynosi poduszki i pierzyny, w których łatwo ukryć się może niepożądany gość i pali słomę, którą było »obgarnięte ciało«.

Jest niemożliwą rzeczą przedstawić dokładnie i wyczerpująco zwyczaje, wynikłe z powyższych wierzeń, chociażby tylko u naszego wiejskiego ludu, trzebaby bowiem na to całego tomu, nie zaś kilku stron, jakie im w tej książce można poświęcić. Jednak nie chodzi nam tutaj o ścisłą, wyczerpującą monografię, ale o wykazanie, jak echa pierwotnej cywilizacyi ukrywają się wśród wyższej kultury i gdzie ich szukać należy.

Tak tedy błąka się dusza po świecie, według przekonania przeważnej ilości ludów tak długo, aż krewni nie zdobędą się na pogrzeb, pochłaniający u niektórych plemion olbrzymie sumy pieniężne. Wiadomą jest rzeczą, o ile wyobrażenia tego rodzaju przenikały wiarę starożytnych, według których musiała dusza, nieuczczonego pogrzebem, stać u bram Hadesu lub włóczyć się, jęcząc, nad Acheronem czyli »rzeką biadań«, otaczającą ponury Erebus.

W Iliadzie czytamy:

»Wtedy zjawiła się przy nim biednego dusza Patrokla,
Wzrostem, oczami pięknemi zupełnie do niego podobna,
Oraz i głosem, a szaty też same nosiła na sobie;
Koło głów mu stanęła i słowem rzeknie do niego:
»Śpisz Achillu, zaś o mnie zupełnieś widać zapomniał.
Nie opuściłeś mnie w życiu, lecz zapominasz po śmierci;
Jak najprędzej mię chowaj, bym wrota przebył Hadesu.
Duchy mi bronią przystępu, zjawiska spoczywających
I nie dają ze sobą się złączyć za brzegiem strumienia;
Ale się błąkam daremnie przy Hajda wrotach obszernych.
Dajże mi rękę, bo smutek mnie trapi, *a pewno już nazad*
Nie powrócę z Hadesu, jak tylko mię stosem uczcicie«.

(W tłóm. Popiela).

Nie mniej żywo występuje wiara ta u ludów pierwotnych: dusza zmarłego, czy to takiego, o którego śmierci nikt nie wiedział, lub ciała jego odszukać nie zdołał, czy też takiego, któremu z powodu braku środków materyalnych odmówiono pogrzebu na pewien przeciąg czasu, błąka się po świecie, dokuczając i mszcząc się na tych, którzy winni być mogą jej nieszczęsnej, tułaczej doli. Dni, tygodnie, miesiące, lata a na-

wet dziesiątki lat trwać może ta tułaczka, wśród której staje się dusza złym demonem, dla którego jedynym przejednawczym środkiem jest urządzenie pogrzebu. Wspólne są te wierzenia zarówno ludom azyatyckim, jak mieszkańcom Afryki, Ameryki albo krajowcom Australii i sąsiednim ludom wyspiarskim. Na tle tych wyobrażeń, których ślady żyją i w Europie, wyrosły ciekawe, przewlekłe i nudne lub hałaśliwe i brutalne zwyczaje witania się u niektórych ludów pierwotnych. Towarzyszy im cały szereg najrozmaitszych czynności, całe mnóstwo bezcelowych pytań, śmiesznych i niedorzecznych, ile razy wypadnie przywitać obcą zupełnie osobę, albo przyjąć w dom przyjaciela, który od długiego czasu w nim nie był. Któż bowiem wie, czy ów nieznajomy człowiek nie jest właśnie wcieleniem duszy niepogrzebanego, samobójcy lub łotra, kto może zaręczyć, że ów przyjaciel, nie uległ gdzieś w drodze śmierci, a teraz przychodzi pod jego postacią dusza, aby mścić się za to, że nie pogrzebano jego zwłok, ani nie urządzono święta umarłych? Przewidując takie możliwości, nakazuje w pewnych okolicach zwyczaj, że każdy przybysz ma usiąść sobie w przyzwoitem oddaleniu od gospodarza, zanim ten ostatni, przekonawszy się, iż nic podejrzenia godnego w całej tej wizycie nie zachodzi, nie pozwoli przybliżyć się i rozpocznie serdeczniejszą rozmowę. U wielu brazylijskich plemion leśnych, czułych w wysokim stopniu na prześladowania duszy niepochowanego nieboszczyka, przedstawia się to powitanie tak wojowniczo, że, nieznający zwyczajów cudzoziemiec, mógłby, w trakcie samego aktu powitalnego, zostać rażony atakiem apoplektycznym. Gość nie wchodzi zrazu do pomieszkania, ale napada je z strasznym krzykiem, wyciem i szczękiem przyniesionej z sobą broni, którą uderza o ściany schroniska z całej mocy. Na to odpowiada gospodarz w podobny sposób, ale przybyłych nie wpuszcza, dopokąd nie przekona się, z podnoszonych co parę chwil wrzasków, że ma przed sobą życzliwych sąsiadów, a nie psotne, złośliwe duchy, czyhające na jego życie lub spokój.

Do orszaku tych tułaczych dusz ludzi, którym z jakich-

kolwiek bądź względów nie urządzono pogrzebu, przyłączają się dusze inne, zmarłych bądź to nagłą śmiercią, bądź samobójców, chociażby nie zaniedbano niczego, co wobec duszy zmarłego spełnić wypada. I u plemion pierwotnych i u ludów cywilizowanych pokutowała ta wiara zawsze i nie wymarła do dziś dnia jeszcze u jednych i drugich. Karen nie boi się dusz tych, którzy, zmarłszy naturalną śmiercią, doczekali się uroczystego pogrzebu, tacy bowiem idą do krainy dusz, Plu, skąd nie wracają na ziemię. Ale dusze dzieci i łotrów, albo tych wszystkich, których ani nie pogrzebano, ani nie spalono, włóczą się po świecie jako złe demony, nigdy nie ukojone w swej tułaczce.

Jeżeli, pomijając cały szereg przykładów, których nie chcemy nagromadzać bez potrzeby, zwrócimy się odrazu do wierzeń naszego ludu, znajdziemy tu jota w jotę te same wyobrażenia, jakgdyby wierne odbitki, zdjęte z jednej i tejsamej kliszy. Lud w Radomskiem wierzy, że dusza krąży dopóty po świecie, aż usłyszy głos dzwonów kościelnych, oznajmiających jej, że pochód pogrzebowy zbliża się już do grobu. Panują i gdzieindziej podobne wierzenia. W Kieleckiem spieszy się wieśniak z pogrzebem, bo dusza nie pójdzie na spoczynek wieczny, dopóki nie złożą ciała na cmentarzu. Idzie więc za trumną gdy wyniosą ją z domu, i postępuje aż na cmentarz, gdzie staje nad wykopanym świeżo grobem, wraz z innymi uczestnikami pogrzebu. Dopiero, gdy ksiądz a po nim ludzie poczną rzucać grudki ziemi na wieko trumienne, ucieka dusza, z łoskotem ostatniej spadającej grudki i leci już w stronę, gdzie jej Bóg na sądzie wyznaczył. I po naszych wsiach galicyjskich odgrzebie sumienny badacz te same echa pierwotnych wierzeń, których tutaj w szczegółach przytaczać niepodobna.

Ale nie zawsze pomaga pogrzeb, nie zawsze jest ta uroczystość odkupieniem dla duszy zmarłego, bowiem w pewnych warunkach nie może ona zaznać spoczynku, ale musi wiecznie tułać się jako tz. dusza na pokucie. Takich dusz jest bardzo a bardzo wiele. Przebywający w Krakowskiem słyszał może nieraz o t. zw. p ł a n e t n i k a c h. Są to dusze nie-

ochrzczonych dzieci, pokutujące wysoko nad ziemią w chmurach. Jako drobne, białe postaci o poczerniałych twarzach, ciągną płanetnicy na linach chmury, a kiedy zadmie i zawyje wichura i luną deszcze, wówczas uciekać muszą te biedne, pokutujące, dziecięce dusze i kryć się na drzewach przed piorunem, który goni za nimi, aby je zdruzgotać i spalić. Wedle innych wyobrażeń dusze niechrzczonych dzieci błądzą po ziemi i, gdy cisza wokoło panuje, słychać płacz ich i bolesną skargę. Taki sam tułaczy żywot gotuje sobie człowiek, który nie dał bierzmować się, bo staje się po śmierci »strzygoniem«. Lud Nadrabski utrzymuje, że każdy człowiek ma dwie dusze: jedna przyjmuje tylko chrzest, zaś druga tylko sakrament bierzmowania. Nie odebrawszy tego ostatniego, nie może nawet marzyć o zbawieniu. Tedy jako dusza na pokucie«, zwana »strzygoniem«, rzadziej »strzygonicą« tuła się po ziemi, aby ludziom szkodzić a nawet zabijać ich swoim zdradliwym oddechem. W ludzkiej postaci, z ogniem ziejącym oddechem, zjawia się strzygoń wieczorem, ledwie tylko mrok zapadnie i napastuje ludzi aż do chwili porannego zmierzchu, który kur pianiem oznajmia. Stądteż dawniej, kiedy i strzygoni było więcej, »bo jakosik biskupi o to nie dbali«, spędzał pasterz na długo przed zachodem bydło z pastwiska, a podróżny umykał co żywo pod dach chaty, aby ze strzygoniami nie spotkać się na drodze.

Nie mniej napędza przechodniom strachu »topielec« lub »potopylnik«, jak go Rusini nazywają. Czy utopi się człowiek umyślnie, czy ulegnie przypadkowi, nie wpływa to zazwyczaj zupełnie na los duszy jego po śmierci, czy tak bowiem czy owak, staje się ona »duszą na pokucie« rozsiewającą postrach daleko w okolicy. Pod tym względem mają te wierzenia ludowe wspólną cechę z wierzeniami ludów pierwotnych, u których morderca cierpi mniejsze na drugim świecie męki, niż zamordowany: przyszłość bowiem, jest dalszym, prawie niezmienionym obrazem teraźniejszości. Tak więc topielec straszy przechodniów, przejeżdżającym nad rzeką wieczorem, lub nocą, łamie koła, lub ubija chudobę, rybaków wciąga w głębinę, lub zatapia kąpiących się ludzi

i bydło. Mnóstwo innych »dusz na pokucie« straszy po starych zamczyskach, »tłukuje się« w kominie po chatach, uderza o figury przydrożne, trzęsie gałęziami drzew, albo przychodzi do kolebek dziecięcych jako t. zw. »nocnice« i karmi je piersią, w której wydziela się zatrute mleko. Brak miejsca aby obszerniej omawiać te różne rusałki, mawki, ubożęta i jak tam nazywają się te wszystkie dusze ludzkie po śmierci, pokutujące za popełnione i niepopełnione winy za życia.

Ale wszystko ostatecznie musi mieć swój koniec na świecie. Roślina zieleni się, wydaje nowe liście i obradza owoce, przecież prędzej czy później przyjść musi czas, że popadnie w zupełną martwotę, z której zmartwychwstać już nie zdoła; zwierzę i człowiek skończyć muszą także raz swoje życie, popaść w stan, który już niczego nie potrzebuje, nie objawia żadnej najsłabszej nawet reakcyi. To jest śmierć. Wszystko musi jej uledz, ale dusza, według nauki wyższych religii, ma pod tym względem przywilej: ciało umiera, zaś ona uchodzi i rozpoczyna drugie, nigdy nie kończące się życie wieczne. W wierzeniach ludów pierwotnych otwierają się nie tak różowe widoki dla duszy, skoro opuści swoje cielesne więzy. Nawet u tych plemion, które stworzyły sobie drugie życie po śmierci, w osobnej krainie dusz, nie spotykamy jasno wyrobionego pojęcia o nieśmiertelności, tak, że stosowanie tej nazwy do wierzeń ludów pierwotnych, może niebyłoby nawet wskazanem. W każdym jednak razie ma dusza o tyle większe w tej mierze przywileje od ciała, że żyje kilkakroć dłużej od niego, ale prędzej czy później musi uledz jego losowi i umrzeć, przeszedłszy wprzód okres starości, która przyprawia ją o ślepotę, głuchotę a wreszcie zupełne zniedołężnienie, jako ostatnie stadyum przedśmiertne. Takie wyobrażenia żywią n. p. krajowcy na wyspach Futuna, na wschód od Nowej Kaledonii, albo też żywili Chińczycy, co wnosić można między innymi z ustępu, znajdującego się w najstarszym poemacie »Sziking«: Wnuk Heutsi'ego woła: »O! nic zrobić już nie zdoła nasz pradziad

Heutsi! Nasi przodkowie zniszczeli już niewątpliwie. Ojciec, matka, jakże mogliby byli przenieść to spokojnie!«

Śmierć duszy wskazuje dobitnie, że twórcy tej ostatniej wzorowali ją na ciele, myśl, że musi ona przyjmować pożywienie i zakrapiać się trunkiem, jest jeszcze jednym więcej dowodem. Gdzież jednak najpewniej składać należy ten po-

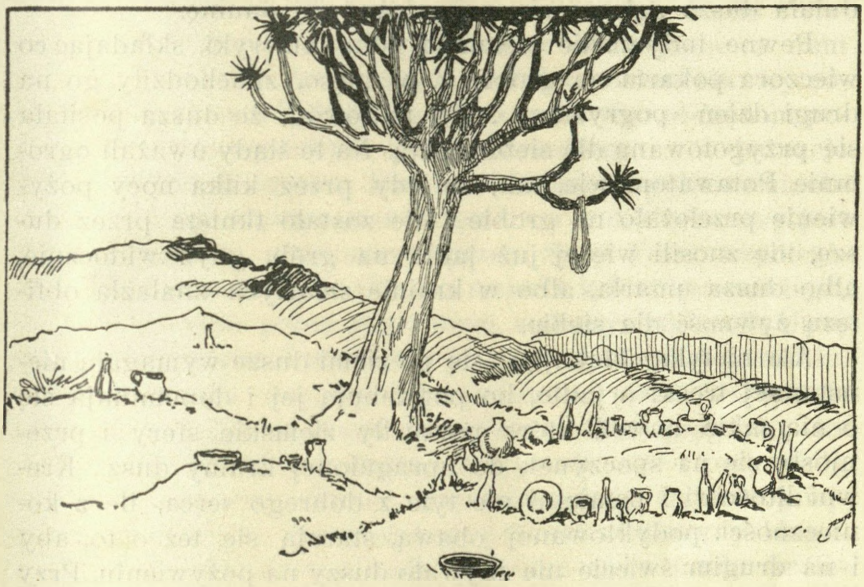

Ryc 12. Cmentarz z drzewem świętem w Minda w zach. Afryce. (rys. wedł. Ratzla dr. W. W.).

karm dla duszy, skoro ona jest niewidoczna i niewiedzieć w której porze dnia lub nocy zgłosi się po niego? Rozumie się, że w pobliżu ciała. Jeżeli pogrzebano je w ziemi, to w grobie, na nim lub obok niego, jeżeli nie wyniesiono go jeszcze z izby, to w izbie. Turańskie plemię, Czuwaszowie, składa pożywienie na mogile zmarłego, a nakrywszy je obrusem, zaprasza duszę do zastawionej biesiady, mówiąc: »Wstań w nocy, nasyć się, a usta otrzyj obrusem«, zaś plemiona Naga z Assamu, kładą co pewien czas nowe porcye pokarmu i kubki z napojem na grobach umarłych przod-

ków, aby dusze ich miały zawsze świeże pożywienie i orzeźwiający napój. Maurowie zakopują potrawy do grobu, a pewne dzikie plemiona z nad Kongo robią kurytarz od ust zmarłego do powierzchni grobu, aby mogły przesyłać tą drogą pokarmy dla duszy zmarłego. Gdzieindziej, jak w Afryce zachodniej przygotowują jedzenie na stole, w osobnym, obok mogiły ustawionym domku, do którego zgłodniała dusza zgłasza się po należną jej daninę.

Pewne indyańskie plemiona półn. Ameryki, składając co wieczora pokarm na grobie n. p. mięso, znachodziły go na drugi dzień »pogryziony«. Był to dowód, że dusza posilała się przygotowaną dla siebie ucztą. Na te ślady uważali ogromnie Potawatomowie, tak, że gdy przez kilka nocy pożywienie przeleżało na grobie i nie zostało tknięte przez duszę, nie znosili więcej już jadła na grób, gdyż widocznie, albo dusza umarła, albo w krainie zmarłych znalazła obfitszą żywność dla siebie.

Ale nietylko błąkające się po ziemi dusze wymagają nieustannej troski o jadło, bo potrzebują jej i dopominają się o nią takie nawet, które porzuciły ziemskie sfery i przeniosły się na spoczynek do upragnionej krainy dusz. Krewni litościwi i pamiętni nie tyle z dobrego serca, ile z konieczności, podyktowanej obawą, starają się też o to, aby i na drugim świecie nie zbywało duszy na pożywieniu. Przy uroczystości »Mambowor«, będącej wstępem do t. zw. »Tiwah« czyli »święta umarłych« u Dajaków, rzuca rodzina na trupa trzy razy po jednej, pełnej garści ryżu, mówiąc przy pierwszej: »dejetoh akam« co znaczy: »to tobie«; przy drugiej: »dejetoh impait« t. j. »to przez ciebie, moim przodkom«, zaś rzucając trzecią dodaje: »dejetoh akan N. N.« co znaczy »to dla N. N.«, gdzie wymieniają nazwisko zmarłego. Odbywa się to »sypanie ryżu« w nadziei, że ma on duszę, która, przedostawszy się do krainy zmarłych, przeistoczy się w rzeczywisty owoc, podobnie jak przemieni się tu w drzewo dusza palmy kokosowej, która, ścięta na »święto zmarłego« rodzić będzie na drugim świecie obfity owoc, służący duszy za pokarm. Jak nić ciągną się te wierzenia od ludów dzi-

kich i barbarzyńskich do świata starożytnego, a stąd przez wieki średnie do doby współczesnej. Starożytni Grecy, Rzymianie, Indowie i inni, byli przekonani o konieczności posilania duszy zmarłego jadłem i napojem. Egipcyanie składali w grobowcach na półkach trzcinowych drób i ciasta, Rzymianie urządzali znane święta doroczne »lemuria i feralia«, obsypując groby przodków kwiatami i zastawiając je jadłem, Indowie ofiarowywali zmarłym ryż, masło i ciasta i t. p. Pogańskie te wyobrażenia i związane z nimi obrzędy przeszły i do chrześcian. Tylor nadmienia wymówki Faustusa, występującego ostro przeciwko obrzędom pogańskim, zachowywanym przez chrześcian. .....»jednacie cienie zmarłych gromi Faustus,« winem i potrawami, obchodzicie wraz z poganami święta...« i t. d. Ciekawszy jest opis zwyczajów, przekazany przez Saint Foix, współczesnego Ludwikowi XIV. Oto po śmierci króla francuskiego, na dwa tygodnie przed pogrzebem, wykonywano podobiznę zmarłego z wosku i układano ją na wykwintnem posłaniu. Tylor, który ten ciekawy fakt przytacza pisze: »Obsługiwano go w dalszym ciągu w porze posiłku, jakgdyby jeszcze był przy życiu; służba nakrywała stół i przynosiła potrawy, ochmistrz dworu wręczał serwetę najdostojniejszemu parowi, aby ten podał ją królowi, duchowny błogosławił dania, miednicę z wodą stawiano przy fotelu królewskim, napoje podawano w zwykłym porządku i modlitwę dziękczynną odmawiano jak zwykle, tylko, że do niej dodawano: »De profundis«.

Odgrodzony chińskim murem od całego cywilizowanego świata, pozostał Chińczyk do dziś dnia wierny dawnym wierzeniom. Zmarłego gotów jest on przechowywać w trumnie przez rok, dwa a nawet dziesięć i więcej, zaś przez ten czas nie zaniedba nigdy przynieść mu do trumny pożywienie dla duszy. Wówczas modli się, każe uderzać w bębny i inne przyrządy muzyczne, aby wezwać zgłodniałe dusze do zastawionej dla nich biesiady. Przezorny i litościwy pamięta nietylko o tych, które przyszły, lub wnet nadejdą, ale też o starych, ślepych i głuchych duchach, które, nie mogąc do-

trzymać pierwszym miejsca, spóźnią się i przyjdą po nich. Nawet dla dusz bez głowy stoi konewka z krupnikiem, a obok łyżki, aby mogły te biedne kaleki włożyć pokarm odrazu do żołądka.

Nasz lud wiejski nie odbiegł daleko w swoich wyobrażeniach o potrzebach duszy od opisanych powyżej wierzeń. Stawianie pokarmów obok zmarłego, lub też przygotowanie jadła dla duszy w pewne dnie, o czem zresztą powiemy jeszcze później, nie jest niczem nadzwyczajnem. W Brzeźnie przygotowują obok zwłok nieboszczyka, kieliszek gorzałki, kawał chleba i masło, zaś Kaszubi Nadłebiańscy wkładali do niedawna jeszcze wielką butlę z wódką do trumny zmarłego, zwłaszcza jeśli ten ostatni dowiódł swem życiem, że słownie i czynnie potępia wszelką propagandę antialkoholową. Białorusini na Litwie ustawiają zaraz po wyniesieniu nieboszczyka za próg izby, talerz, nieco soli i kawałek chleba na tym samym tapczanie, na którym leżały przed chwilą zwłoki, a w Lubelskiem urządzają podobną zastawę przez kilka dni, zanim ciało nie zostanie pochowane. Nawet wówczas jeszcze, gdy goście rozejdą się po pogrzebie, zastawia gospodarz na stole kawałek pieczeni, chleb i inne ciasta, a obok nich szklankę piwa albo kieliszek gorzałki. Badając bliżej te ciekawe przyczynki do psychologii porównawczej, znajdziemy wśród nich wierzenia zupełnie podobne do tych, jakie spotkaliśmy u plemion na Borneo. Lud Ukraiński utrzymuje n. p. że, jeśli »kto z Ukraińców zje przed Spasem jakiś owoc, ten swoich najmilszych krewnych, którzy już pomarli, pozbawia owoców przez cały rok«. Z tego wypada wnosić, że dusze nawet na drugim świecie dogadzają swemu podniebieniu, gdyż owoc należy zawsze do produktów zbytkownych, poza którymi karmi ich wyobraźnia ludzka jeszcze czem innem. Jeżeli więc Dajak przez uroczystość »Mambowor« posyła duszy ryż na drugi świat, to wieśniak ukraiński osiąga to samo przez zachowanie odpowiedniej dyety.

Jednak pokarm i napój nie jest jedyną tylko potrzebą duszy. Jestto zaledwie jeden, i w dodatku najmniejszy z obo-

wiązków, jakie pozostali spełniać muszą w obec zmarłych, dopokąd całe ich życie po śmierci ogranicza się na ziemskiej, dłuższej lub krótszej tułaczce, wiodącej do ostatecznej, zupełnej zagłady. Atoli wkrótce wstąpią na miejsce tych ostatnich nowe ideały, a wraz z nimi zwali się na barki ludzkie cały labirynt nowych obowiązków, wobec których czuje się pierwotny człowiek zaangażowany podwójnie: raz jako żyjący, w stosunku swoim do umarłych, powtóre jako jednostka z myślą o swej własnej przyszłości. Tak stanie się przyszłe życie w krainie dusz bodźcem postępu na ziemi.

Jak różnem może być zachowanie się dusz po śmierci człowieka, to przecież wszystkie niemal one pilnują ciała, a zarazem stoją na straży przedmiotów, które stanowiły niedawno jeszcze ich własność. Ostatecznie jednak nie może trwać to w nieskończoność. Ciało ulegnie rozkładowi, kość spróchnieje, własność dawna zmarłego dostanie się w dziesiąte lub setne ręce drogą zamiennego handlu, albo rozpadnie się w gruzy i zniszczeje. Czegóż ma wówczas pilnować dusza i po co ma żyć dłużej na świecie? Rozumie się, że jest zbędna, powinna więc z tą chwilą zakończyć swoją tułaczkę i umrzeć. A jednak ona mimoto żyje dalej! Jeżeli sądziłby ktoś, że to są tylko domysły, myliłby się grubo. To jest prawda, której może każdy, osobiście doświadczyć sam na sobie. Może niema człowieka, któremu nie okazałaby się we śnie osoba, zmarła przed dziesiątkami lat, a czas ten był aż nadto długim, aby mogło coś po niej zachować się, chociażby dawna jej własność, chociażby nawet jej ciało. Gdzież więc dusza ta przebywa, skąd przychodzi? Takie myśli mogą łatwo nasunąć się człowiekowi pierwotnemu, ale zdaje się takiemu, który zmienił już, albo zmienia właśnie koczowniczy tryb życia, na osiadły. Pierwszy bowiem nie ma potrzeby trapić się obecnością duszy zbyt długo. Nie przywiązany do miejsca pobytu, jest wszędzie tylko chwilowym gościem, który w każdej chwili może zwinąć obóz i ruszyć dalej, jeśli tylko

obawa przed duszą miałaby mu zatruwać spokój życia. Dusza nie pójdzie za nim, bo strzec musi swej mogiły, wokoło której na dalekiej przestrzeni oniemiało tymczasem wszelkie echo ludzkiego głosu i zatarł się ślad ludzkiej stopy. Ale plemiona, przywiązane do skrawka ziemi, nie mogą sprawy duszy ważyć sobie tak lekce, boją się przejść nad jej losami do porządku dziennego. Jeżeli tedy znikną wszystkie pozory, dla których mogłoby życie duszy trwać jeszcze dłużej, a równocześnie okaże się, że ona mimoto żyje i nawiedza krewnych, przyjść może pierwotny filozof nietrudno na myśl, że dusza ta, tak bardzo pod każdym względem do ludzi podobna, przebywać musi gdzieś w odrębnej krainie, gdzie wiedzie wraz z innymi duszami życie, nieinne, jak wiodą oni z sobą. Śmiała ta myśl doczeka się wkrótce potwierdzenia. Bujna wyobraźnia dzikiego, niedostateczne rozgraniczenie życia na jawie od widziadeł sennych, histeryczne usposobienie lekarzy i znachorów sprawi, że znajdą się tacy, którzy, czy to we śnie, czy w omdleniu, czy przy innej sposobności dostaną się do »tej krainy dusz«, aby z powrotem opowiedzieć swoim o dziwach tego fantastycznego świata umarłych. Mnóstwo krąży wśród pierwotnych ludów opowieści, które przedstawiają, z całą zadziwiającą dokładnością szczegółów, podróż tego lub owego do krainy duchów.

Hawajczyk wie dobrze, jak wygląda państwo śmierci Wakea i Milusa, a to dzięki jednemu z rodaków, który popadłszy w sen letargiczny, dostał się do krainy dusz, skąd, po kilkudniowym pobycie, powrócił znowu na ziemię. Tych kilka dni wystarczyło, aby przypatrzeć się tym ciekawym krainom śmierci, aby poznać cuda, czekające dusze po śmierci w ziemi umarłych. Jest ona wielka i płaska; dokoła, jak daleko rzucić okiem, rosną wszystkie możliwe drzewa, krzewy i zioła, nieuprawiane nigdy i nie siane niczyją ręką. Na dworze pałacu Milusa, który pochodząc, z ludu, panuje nad duszami, należącymi do niższej klasy społeczeństwa hawajskiego, ćmi się od akua, czyli duchów, które spędzają tu czas na różnych zabawach: gwar, wesele, śpiew i okrzyki, znamionują królestwo Milusa. Jako władca, pamiętający

o swoich przyjemnościach, wybiera Milus dla siebie wszystkie najpiękniejsze i najmłodsze kobiety, jakie tu przychodzą, wskutek czego inne akua muszą odmówić sobie przyjemności zabawiania się z duszami płci żeńskiej, które, jako oddane bogu, stają się przez to samo dla innych nietykalne. Obok państwa Milusa istnieje drugie królestwo w podziemiu, założone znacznie później, a stojące pod rządami Wakea. Z rodu, panującego niegdyś na ziemi, rządzi on państwem dusz władców i innych wysoko urodzonych osób, stądteż pokrój jego królestwa nosi zupełnie odmienne cechy, niż państwo Milusa. Głucha cisza i majestatyczna, zimna powaga, pozwalają domyśleć się odrazu, co za dusze zamieszkują ten tajemniczy, ponury kraj. Czy sprzykrzy się, czy nie sprzykrzy to jednostajne życie poddanym Milusa lub mieszkańcom królestwa Wakea, nic poradzić na to nie można: zmienić gwar i wesele na ciszę i niezamącony spokój, lub majestatyczną powagę, właściwą dostojnikom, na trzpiotowate zachowanie się ludowców, nie jest dozwolonem nikomu, bowiem obydwa państwa, jakkolwiek sąsiadujące ze sobą, są wobec siebie »tabu« czyli nietykalne. Jest to »tabu« tak silnem, że o złamaniu go niema mowy, przecież hawajski mit opowiada o jakimś naczelniku, który, straciwszy żonę, uprosił, niepocieszony po stracie wiernej towarzyszki życia, boga wodzów, by pozwolił mu raz jedyny jeszcze w życiu zobaczyć duszę nieodżałowanej małżonki. Wybrali się tedy obadwaj w drogę i szli, szli aż na koniec świata, gdzie stało rozszczepione drzewo. Po jego pniu spuścili się do podziemia. Bóg, towarzysz, natarł naczelnika cuchnącym olejem i kazał mu iść naprzód, zaś sam schował się poza jakiś wystający skalny odłam. Pozostawiony sam sobie, doszedł strapiony małżonek, acz nieśmiało, do pałacu Milusa, gdzie wmięszał się w grono, bawiących się wesoło na podwórcu, duchów. Chociaż zajęci byli zabawą, poznali jego obecność w tej chwili, a biorąc go za nowo przybyłą duszę, poczęli szydzić zeń i śmiać się, że zadługo musiał przebywać obok gnijącego ciała, skoro tak przesiąkł jego wonią. Wkrótce jednak podjęto nanowo zabawę, a zarazem zaproponowano

świeżo przybyłemu gościowi współudział. Naczelnik niedługo namyślał się, tem krócej, że propozycya ta była mu na rękę w wykonaniu jego planu. »Wprowadzam nową grę« zawołał ośmielony przybysz. »Oto każdy ma wybrać sobie oczy i złożyć je na jedno miejsce!« Widocznie trafił w myśl uczestników, skoro nie trwało chwili, a już oczy wszystkich leżały, zrzucone bezładnie, a wśród nich oczy Milusa. O te ostatnie rozchodziło się najbardziej przemyślnemu gościowi, to też schwycił je czemprędzej i ukrył w kubku kokosowym. Tak niewidziany przez nikogo, a zarazem zabezpieczony przed okiem Milusa, przeszedł spokojnie do królestwa Wakea. Tymczasem ociemniałemu Milusowi nie pozostawało nic innego, jak układać się z naczelnikiem i prosić go o zwrot oczu. Otrzymał je wprawdzie napowrót, ale wprzód oddać musiał duszę kobiety, którą stęskniony mąż wyniósł ku najwyższemu swojemu szczęściu, na ziemię. Tu połączyła się ona z ciałem i rozpoczęła życie na nowo.

U plemienia Sioux w Ameryce przyniósł znowu wieści o pozagrobowej krainie jakiś »Atah-tah«, który zapadł w sen letargiczny, ale po dwóch dniach powstał z mar, na których złożono jego zwłoki i opowiedział, co widziała jego dusza w pozagrobowej swej wędrówce, z której, omal że niebyłaby powróciła już na ziemię, a podobne opowieści krążą wśród plemion azyatyckich zarówno, jak ludów Afryki lub krajowców Australii.

Nietylko wśród ludów pierwotnych, ale w literaturze każdego niemal narodu kulturalnego dadzą się wykazać baśnie tego rodzaju: tak bardzo rozpowszechnioną jest wiara, że żywi mogą odwiedzić kraj umarłych, a opowieści tych fantastycznych turystów stanowią tło, na którem łatwowierni słuchacze snują dalej przędzę swych wierzeń. Za stworzeniem odrębnej krainy, w której dusze wiodą dalszy żywot po skończeniu pielgrzymki na ziemi, przemawia niewątpliwie gorąco popęd samozachowawczy, przywiązanie do życia. Jakie ono różne być może, jak wiele nastręcza przykrości i przysparza bolu, to przecież znajdzie się jeszcze zawsze tyle w niem uroku, że nieprawdopodobną wydaje

się myśl, albo raczej straszną, aby chwila śmierci miała położyć mu kres na zawsze. Stądteż w najpierwotniejszych wierzeniach jest życie przyszłe wiernem odbiciem, bądźto zwyczajnych zajęć danego osobnika na ziemi, bądźteż żywą, w niczem nie zmienioną kopią tego stanu, w którym śmierć zastaje człowieka.

Nilgirski Toda nie szuka nic innego, nie spodziewa się żadnej innej doli poza grobem, aniżeli takiej, jakiej doznał na ziemi. Kiedy więc wydaje ostatnie tchnienie, to składa swoją pasterską i kapłańską godność na tak długo tylko, jak długo trwa podróż do krainy dusz, do »Anmor«. Przybędzie tu, a już czekają go ukochane jego stada bawołów, dalekie, kwietne łąki odurzają wonią ziół, szemrzą strumienie, białe mgły wieszają się na szczytach gór.... Wierny obrazek ziemskich stosunków.

Jeden z Oltszów, niejaki Chossiambo, zapytany jak wygląda ich kraina dusz, zwana »Bun«, począł opisywać ją w następujący sposób: »Bun« pododną jest zupełnie do naszego kraju. Ma ona słońce, księżyc i gwiazdy, ma Mangu, (rzeka Amur) ma góry i wszystkie zwierzęta i rośliny jakie my tu mamy, ma rody i rodziny, z których każdy, podobnie jak tutaj, oddaje się swoim zajęciom. Tam zatem dzieje się zupełnie to samo, co tu, z tą tylko różnicą, że gdy tu lato, tam śnieg i lód leży, więc w »Bun« jeżdżą psami i naodwrót, gdy na ziemi dzień świta, tam noc zaczyna się i wszyscy układają się do snu. I losy mieszkańców »Bun«, wiążą się z losami mieszkańców na ziemi. Jeżeli pierwsi nałapią w jednym roku zawiele ryb, lub też zabiją zawiele niedźwiedzi, to w tymże czasie jest u nas słaby połów ryb i mało wydatne polowanie na niedźwiedzia i odwrotnie. Znawstwo tych stosunków jest podstawą wszelkich przepowiedni szamanów, którzy, gdy chcą, mogą udać się do krainy »Bun« i powrócić znowu na świat. To jest ich przywilej i tego zwykły śmiertelnik uczynić nie zdoła: ten bowiem wywędrowawszy raz do krainy »Bun« nie może już nigdy wrócić z niej jako człowiek na ziemię«. »Lewu-liau« jest to kraina dusz u Dajaków. Dostać do niej mogą się tacy tylko,

którym krewni urządzili stypę, czy pogrzeb t. j. »Tiwah«, i posłali na drugi świat za duszą zmarłego dusze wszystkich, potrzebnych w przyszłem życiu przedmiotów, lub służby. Te dusze przemieniają się w »Levu-liau« napowrót w odpowiednie osoby lub rzeczy: dusze niewolników w niewolników, dusze garnków, broni i t. p. w odpowiednie naczynia, broń, konie i t. d. Jednak ta dusza, która dostała się do krainy dusz, to nie jest jeszcze zupełna dusza nieboszczyka, ale część jej tylko, rdzeń czyli dusza właściwa o wyglądzie cienia »salumpok liau«. Jej dopełnienie stanowi dusza bardziej materyalna, zwana »liau karahang« a składająca się z duszy kości, z duszy włókien i włosów tudzież z duszy paznokci i palców. Ta dusza »liau karahang« tuła się po świecie i dokucza ludziom, aż do »Tiwah«, poczem zupełnie martwa, zostaje przewieziona do krainy dusz, gdzie żona przewodnika dusz, Tempon Telona, zwana »Czarną panią«, skrapia ją wodą życia i łączy z duszą właściwą w jedną duszę, »hambaruan«, która ożywiała ciało nieboszczyka za życia. Teraz dopiero rozpoczyna się prawdziwy nowy żywot duszy w krainie umarłych. Przecież to nowe życie nie zasługuje na miano »nowego«, jest ono bowiem, z małymi wyjątkami, odbiciem stosunków na ziemi. Rodziny łączą się tu razem, pracują, sieją ryż, ale nikt nie zawiera związków małżeńskich, ani nie uznaje stosunków krewieństwa, które tu nie istnieje. Pan pozostaje i nadal panem, niewolnik nadal niewolnikiem. Pierwszy rozkazuje, drugi te rozkazy wypełnia, chociaż służba jest tu nieporównanie lżejszą, aniżeli na ziemi, bo wszystko tu rośnie, wszystko udaje się, czego tylko dusza zapragnie, tak, że nad przygotowaniem danej rzeczy niewiele, lub nic trudzić się nie trzeba. Jedyną właściwą pracą niewolnika jest tu rozwieszanie ubrań kąpielowych, w których dusze kąpią się w jeziorze życia, rozlewającem swe czyste wody w środku krainy dusz, a zwanem: »karantagan belon«. Kiedy słońce świeci i promienie jego padają na tę rozwieszoną, schnącą bieliznę, wówczas z odbicia od różnobarwnej jej powierzchni powstaje tęcza. Tedy to życie duchów w »Lewu liau«

nie jest zbyt ciężkie, tem też przykrzej pomyśleć, że trwa ono tylko do czasu. Skoro bowiem dusza dobiegać poczyna siedmkroć dłuższego wieku, aniżeli doczekała na ziemi, starzeje się, zaczyna chorować i niedołężnieć, tak, że musi użyć kąpieli w »jeziorze życia« lub napić się orzeźwiającej wody, sączącej się z siedmiu sęków drzewa »garing«. Ale lekarstwa te pomagają tylko do pewnego czasu, poczem stają się bezskuteczne, więc dusza wracać musi na ziemię i wejść w tkankę rośliny, ulegając tu losom, które przedstawiliśmy już powyżej.

Skoro życie przyszłe uważa się za dalszy ciąg życia na ziemi, przeto jasnem wyda się, że dusza przechodzi na drugi świat w takim stanie, w jakim znajdował się człowiek w chwili śmierci. Jeżeli umiera jako młodzian lub mężczyzna w sile wieku, użyje więcej w krainie dusz, aniżeli ten, który dopiero osiwiałą, starczą głowę złożył na śmiertelnem łożu. Dlatego to członkowie plemion, oddających się ze względów religijnych wolnej miłości, popełniają samobójstwa, dusząc się, zabijając lub grzebiąc żywcem w okresie najświetniejszych sił organizmu, w nadziei, że w takim samym stanie przeniosą się na drugi świat, gdzie uśmiecha się przecież kilkakroć dłuższy czas rozkoszy, niż na ziemi. Może dziś już nie jest, ale do bardzo niedawna jeszcze było na Fidżi w zwyczaju, że ojciec ginął z rąk swego syna, a śmierć taka uchodziła za najszczytniejszy wyraz wdzięczności i przywiązania, na jakie może zdobyć się prawdziwie kochające dziecko. Barbarzyński ten zwyczaj zachował się nawet u krajowców tej samej wyspy, nawróconych na chrześcianizm. Tak n. p. jakiś misyonarz został zaproszony przez jednego z nawróconych, na pogrzeb jego matki. Zaproszenie takie jest dowodem wdzięcznej pamięci, której trudno nie cenić. Wziął tedy wzruszony kapłan kapelusz na głowę, kij w rękę i poszedł. Napróżno jednak, przyłączywszy się do orszaku pogrzebowego, starał sobie wyjaśnić, dlaczego i jakim cudem nieboszczyk, w swej własnej osobie, kroczy, uśmiechnięty za swym pogrzebem. Dopiero gdy syn złożył do grobu ową wrzekomą »umarłą« i począł przysy-

pywać ją ziemią, zrozumiał, nieobznajomiony jeszcze z zwyczajami mieszkańców, uczestnik obchodu całą tajemnicę, a słuchając bolesnych jęków duszącej się ofiary, dał sobie ponoś słowo, że nigdy więcej nie będzie grzebał umarłych na Fidżi.

W tej samej okolicy zdarzyło się kiedyindziej, że pewien młodzian nader niebezpiecznie zachorzał. Udało się go wprawdzie wyleczyć, cóż, kiedy żadną miarą do dawnych sił powrócić nie mógł, a nawet, co gorsza, tracił te, które nabrał jako rekonwalescent. Co będzie, jeżeli pójdzie tak dalej i jeżeli w tym stanie wypadnie mu umrzeć? Myśl ta ścigała go, jak cień nieznużenie, aż wreszcie, chcąc pozbyć się jej, zdecydował się na śmierć. Miał mu ją zadać ojciec i to przez uduszenie. Ale rodzic, jak każdy rodzic, miał zanadto miękkie serce, aby popełnić tak haniebny mord na własnem dziecku. To też prośbami, przedstawieniami i wszystkiem, co może przemówić do serca, zdołał nakłonić zrozpaczonego młodzieńca, że odstąpił od zamiaru uduszenia i zgodził się, że... go ojciec własnoręcznie żywcem pogrzebał.

O zwyczajach tego rodzaju u Jakutów pisze Sieroszewski: »Jeszcze bardziej starożytnym był, zdaje się, zwyczaj zabijania starców; zwyczaj ten zachował się u Czukczów do czasów ostatnich. Dawno, bardzo dawno, przed przybyciem Rosyan, gdy Jakuci nie znali jeszcze Boga, był zwyczaj, że gdy ojciec lub matka starzeli się bardzo, albo krewny chorował bez nadziei, to prosił najmilsze sercu osoby, jak syna, brata, wnuka i t. d., aby go zabił. Zwoływano sąsiadów, zabijano bydło, dużo tłustego bydła i ucztowano w ciągu trzech dni. Ten, co miał umrzeć, na pierwszem siedział miejscu, najlepsze dostawał kąski i ubrany był w najlepsze suknie. Trzeciego dnia krewny wyprowadzał go do lasu nad brzeg, zawsze przygotowanego dołu, spychał i zakopywał żywcem, wraz z bronią, sprzętami, pokarmem, końmi i bydłem. Niekiedy razem ze starym zakopywano żonę i niewolników. Niekiedy nie zakopywano ich, lecz zostawiano, by sami umarli, a konie i woły, uwiązane u słupów, zdychały z głodu. Nad Ałdanem słyszałem opowiadanie, że kozacy znaleźli niegdyś w tej okolicy, w dole, starą

w bogate futra ubraną Jakutkę, wyratowali ją, ochrzcili i długo jeszcze potem żyła. Według innych podań, duszono starców w czasie uczty, dawszy im do zjedzenia długi pas, żylastego mięsa. Gdy syn pozwalał rodzicom umrzeć własną śmiercią, poczytywali mu to za ujmę, iż złym duchom pozwolił zjeść rodziców«.

Przekonamy się, rozważając zwyczaje pogrzebowe, jak wysoce wpływa na cały ich przebieg myśl, że życie przyszłe jest dalszym ciągiem, a zarazem odzwierciedleniem życia na ziemi. Dusza rozpoczyna zazwyczaj przyszły swój żywot w takim stanie, w jakim śmierć zastała ciało, a wraz z duszą przedostają się prawie zupełnie te same stosunki, jakie otaczały człowieka za życia. Bogaty na ziemi, będzie bogatym po śmierci, za nędzarzem powlecze się nędza poza grób, przyjaciele pozostaną przyjaciółmi i po śmierci, wrogo ku sobie usposobieni toczyć będą dalej wojnę jako duchy. Nawet urządzenie domu, ilość niewolników, broń, liczba bydła, rola i t. d., wszystko to przenosi wyobraźnia ludzka z ziemi poza grób.

Nieocenionym wprost czynnikiem postępu jest wiara tego rodzaju. Pewny, że przyszłość zależy w prostym stosunku od teraźniejszości, a zarazem pamiętny, że życie po śmierci przewyższa co do czasu trwania życie ziemskie kilkakrotnie, będzie żył człowiek pierwotny i postępował czasem przynajmniej z myślą o przyszłości: do teraz troszczył się tylko o »dziś«, odtąd poczyna starać się o »jutro«. Jeżeli ma liche schronisko, jeżeli cierpi głód, ponieważ nie korzystał z odpowiedniej pory, aby przygotować sobie pokarm na zapas, jeżeli sam o wszystko musi się starać i zajmuje wśród członków plemienia podrzędne stanowisko, to więcej, jak pewne, że na drugim świecie czeka go taki sam nędzny i niewygodny żywot, taka sama mała rola społeczna. Drugi, który wygodniej urządził sobie życie na ziemi i zyskał lepsze stanowisko niż inni, może cieszyć się nadzieją równie słodkiego żywota w krainie dusz.

Tak więc pocznie człowiek pierwotny dążyć, do odtwo-

rzenia sobie takiego życia na ziemi, jakie chciałby pędzić w przyszłości.

Każdy wyższy stopień rozwoju, jaki osiągnąć zdoła, stanie się rodzicem nowych ideałów, które wypada zdobyć sobie już na ziemi i tylko na ziemi, skoro w przyszłem życiu nie miejsce na nie i nie pora. Wytwarza się takim sposobem łączność, albo raczej powiedzmy wpływ czyli oddziaływanie obydwu światów na siebie: świat ziemski jest wzorem, wedle którego maluje wyobraźnia krainę dusz, zaś ta ostatnia staje się bodźcem, utrzymującym myśl ludzką w ustawicznej uwadze, wzywającym ją do coraz to dalszego postępu.

Myliłby się jednak każdy, kto rozumiałby przez ten postęp, także postęp pod względem etycznym. O tem, niema jeszcze mowy! Dusze chodzą sobie, siedzą, śpią, pożywiają się, polują na zwierzynę lub pasą stada bydła, nikt nikogo nie pyta, co on zacz, nikt nie żąda od nikogo wyjaśnień, co do jego przeszłości na ziemi: każdemu wstęp wolny, chociażby miał sumienie czyste jak brylant, lub czarne jak antracyt.

Można przyjąć z zupełną prawie stanowczością, że ludom na najniższych stopniach kultury nie znana jest kraina dusz, jako miejsce nagrody lub kary za czyny na ziemi. To też, o ile wogóle wiara w taką krainę istnieje, przypuszcza ona zawsze jedną, wspólną dla wszystkich. Odmienny od stosunków ziemskich charakter tego pozagrobowego świata i podział jego na dwa a wreszcie trzy główne stopnie, rozpocznie się dopiero wówczas, kiedy w dawnych wyobrażeniach zaczną kiełkować pierwiastki etyczne, które z krainy dalszego życia na wzór ziemski, uczynią miejsce sądu. Wówczas ta jedna, wspólna dla wszystkich kraina dusz rozpadnie się na dwie: krainę dobrych i krainę złych. Można przypuścić, że społeczne względy rzucą pierwsze hasła do tego rodzaju przewrotu, a stać się to może w sposób, dający się łatwo przewidzieć.

W towarzystwie ludzi, jakie ono tam będzie, znajdą się zawsze tacy, którzy zdołają zaskarbić sobie szacunek, na-

wet cześć i uwielbienie, a w każdym razie wyjątkowe stanowisko wobec innych. Czy będzie to szacunek dla władzy, jako dowódcy lub naczelnika, czy uwielbienie dla zręczności lub siły, czy podziw lub cześć dla odwagi, zawsze wyróżni okoliczność ta jednych od drugich, zawsze, przy każdej sposobności zapewni pierwszym wyższe stanowisko niż drugim. Rzecz jasna i łatwa do pojęcia, że, jako nastręczające wygodniejsze warunki życia, stanie się to stanowisko ideałem, ku któremu poczną zwracać się dążenia owej drugiej części ludzi, którzy pozostali poza pierwszymi daleko w tyle, nie mogąc im sprostać. Jeżeli wytworzy się teraz między nimi współzawodnictwo, to w ślad za niem pójdzie lekceważenie, a nawet pogarda dla tych, którzy złożą przed czasem broń, albo też okażą się wogóle niedołężnymi w wyścigu o pierwszeństwo. W taki sposób rozpadnie się wspomniane towarzystwo samo w sobie na dwa obozy: silnych czy dzielnych i niedołężnych lub tchórzliwych. Jeżeli teraz te same stosunki przeniosą się poza grób, to i tu, w krainie dusz, zaznaczą się zupełnie dwa te same stopnie: dzielnych, otoczonych szacunkiem, czyli dobrych i niedołężnych, wzgardzonych, czyli złych. Pierwsi wiążą się z równymi sobie, ale stronią od drugich, wiodąc też zupełnie odmienne od nich życie, to też i kraina dawna jedna, rozpadnie się teraz na dwie, o odmiennych, często nawet wprost przeciwnych sobie warunkach życia.

Badając wierzenia ludów pierwotnych, przekonamy się, jak ważną rolę w życiu pozagrobowem odgrywa pierwiastek społeczny.

W Mangaja istniał zwyczaj, że zmarłych wrzucano do dwóch różnych jam, stosownie do tego, czy dany nieboszczyk odznaczył się za życia zasługą lub rodem, czy też należał do szarego plebsu. Obie te jamy były wedle wierzenia ludu wejściami, przez które dostawali się zmarli do dwóch różnych krain dusz, w których płynęło życie, odpowiadające każdemu z powyższych stopni społecznych. Tupinambowie brazylijscy wierzą, że zmarli, którzy zabili za życia wielu wrogów i chętnie szli na wojnę, przejdą po śmierci za wy-

sokie szczyty gór, gdzie tętni ustawiczna zabawa, gdzie rozbrzmiewają radosne pieśni, a dusze przodków wiodą ochocze tany, ale tych, którzy stchórzyli przed wrogiem, czekają straszliwe męki w Ajgnana czyli królestwie złego ducha. I Karyb, który »cnotliwie« życie spędził, czyli mówiąc inaczej, dzielnie pierś nadstawiał w walce z wrogimi sobie Arawakami, ma zapewnione po śmierci szczęśliwe życie na wyspie śmierci, kędy w pośród drzew, uginających się pod ciężarem najlepszych owoców, wiodą dusze radosny żywot, spożywając sute uczty i prowadząc wesołe tany. Natomiast ci, którzy w walce tył podali, lub ociągali się z wyprawą na wroga, umierają z nieopisaną obawą. Dusze ich powędrują hen poza góry, w jałowe, puste okolice, smutne, bo samotne, aby tu stać się niewolnikami wrogich Arawaków i wieść żywot pełen męczarni i trudu.

Często dzieje się jeszcze gorzej z duszami, bądź »źle urodzonych«, bądź takich, którzy nie wybili się niczem ponad innych. Pewne plemię indyańskie słyszy z poza gór, kędy mieści się kraina dusz, wesołe, gwarne życie wodzów, słyszy rozbrzmiewające śpiewy i odgłosy muzyki, widzi wielkich znachorów i mądrych naczelników, umalowanych, zdobnych barwnymi piórami na głowach i z rozpromienioną szczęściem twarzą. Natomiast żaden z plebejów nie dozna tego pozagrobowego wesela, nikt nie ujrzy go nawet na chwilę, gdyż dusze szarego tłumu nie żyją po śmierci, ale gniją w grobie wraz z ciałem.

Poznać można z tych kilku szkiców, że kraj szczęśliwości, w którym wybrane dusze wiodą jasny, pogodny żywot, jest zazwyczaj tylko wyidealizowaniem stosunków ziemskich.

Żyjący, którzy bądź przypadkiem, bądź umyślnie, dostawszy się do krainy śmierci, znieśli wiadomość o jej cudach na ziemię, mogli opowiadać o nich w najlepszej wierze, że je istotnie widzieli. Znaną jest bowiem rzeczą, iż, miewający wizye, mogą w tym podnieconym stanie zobaczyć to, co poprzednio w normalnych warunkach stworzyli sobie w swej wyobraźni.

Myśliwiec nie przedstawi sobie idealniejszego życia aniżeli w lasach, kędy uwijają się całe stada wszelkiej wymarzonej zwierzyny, którą celny pocisk położy trupem na miejscu, rolnikowi nie wyda się nic odpowiedniejszem niż sad, w którym wszelka wyrasta roślina nie siana, ani sadzona ludzką ręką, rybak zaś odda wszystko za jeziora lub rzeki, pełne ryb wszelkiego gatunku, dających chwytać się w sieci bez trudu. Nieustanna wiosna, jasność słoneczna i brak smutków, zatruwających życie, uzupełni ten obraz przyszłego szczęścia. To wszystko może powrócić w widzeniach i stać się podstawą wierzeń. Brazylijski leśny krajowiec nie smuci się, gdy umiera, nie żałuje za ziemskiem życiem, przesiąkniętem troską i przeciążonem pracą, bo wie, że niebawem znajdzie się w prastarym, może odwiecznym lesie, gdzie rośnie mnóstwo tykwowych drzew i żyje równie wiele zwierzyny, na którą dusze nieustannie polują. Kinibunda w południowo-zachodniej Afryce znosi z rezygnacyą przeciwności losu, krzepiąc się nadzieją przyszłego życia w krainie dusz, »Kalunga« wiecznie słonecznej, przesyconej napojami i jadłem, rozweselanej towarzystwem pięknych kobiet i tętniącej nieustanną muzyką i tańcami, zaś Grenlandczyk krzepi się w niedoli obrazem wiecznie jasnego, zawsze pogodnego Torngarsuka, kędy dusze rozbijają namioty nad jeziorem, pełnem ryb i wyder i rozbrzmiewającem krzykiem wodnego ptactwa, które powiewni, bladzi, wiotcy jak cień myśliwi, zabijają lub łowią.

Można wobec tego powiedzieć, że kraina dusz jest poniekąd wyrazem niezadowolenia z ziemskich stosunków, wśród których upływa człowiekowi życie, jest niemą skargą na dolę, którą ów napróżno stara się naprawić. To, na czem mu zbywa, do czego wzdycha, czego pragnie, co chciałby osiągnąć, a nie może, to wszystko przenosi on poza grób, spodziewa się znaleść po śmierci to, czego odmówiło mu życie. Więc ludy północne, tęskniąc do ciepła i światła, rozjaśniają swój pozagrobowy świat wiecznie płonącem słońcem, a Tasmańczyk, przygnębiony ciężarem życia, pociesza się myślą, że przynajmniej po śmierci dostanie lepsze jadło

i porządniejsze okrycie i bać się nie będzie białych najeźdźców, którzy tam nie będą rzucali zatrutej baraniny jemu lub jego dzieciom na zgubę.

Jeżeli tedy ta kraina przyszłego życia jest niejako sumą wszystkich, najidealniejszych wyobrażeń człowieka, to słysząc opis jej, można wyrobić sobie poniekąd pojęcie o stanie kulturnym i usposobieniu ludu, który ją w swej wyobraźni odtworzył. Jeden pędzi w odwiecznych lasach zwierzynę i celnym pociskiem rani ją i zabija, drugi w namiocie, rozbitym nad jeziorem, przepełnionem rybami, rozgościł się wygodnie, nie, jakoby miał zamiar męczyć się i zarzucać sieci, ale dlatego, ponieważ stoi tu olbrzymi kocioł, a w nim gotuje się mięso różnych zwierząt, które dostały się tu w jakiś cudowny, bliżej nieokreślony sposób, aby oszczędzić duszom trudu, tam znów tętni muzyka, rozlega się śpiew i grzmią odgłosy wesołych tanów, nieustających nigdy, ani na chwilę, albo toczy się zabawa przy sutej uczcie, podającej nienasysonym uczestnikom wymyślne przysmaki i odurzające trunki.

Wolny myśliwiec Ameryki, lub, zaszyty w skóry zwierzęce północny Azyata, nie stoi odosobniony z swoją tego rodzaju wiarą, bo i świat starożytnych i współczesnych dostarcza nam podobnych przykładów.

Wyobrażenia Greków i Rzymian o szczęśliwości przyszłej są znane. Egipcyanie nie żądali zrazu wiele od krainy dusz. Już samo wdechiwanie chłodnego powietrza uchodziło, wedle dawniejszych wierzeń, za szczyt pozagrobowego szczęścia; że zaś mieszkańcy z nad Nilu nie uważali pracy za ciężar życia, przeto zatrudniali nią dusze w krainie umarłych, każąc im paść bydło, uprawiać pola lub przekopywać i napełniać wodą kanały. W późniejszej kreacyi zmienił się ten obrazek: główny nacisk położono na stronę duchową. Ochłodzone w cieniu sykomor dusze, przechodziły do wschodniego państwa niebieskiego, do szczęśliwego królestwa bogów, a, słuchając wiecznych hymnów, nuconych ku ich czci, patrzyli na wieczność, światłość i doznawali niebiańskiego zachwytu, czując łączność swą ze stwórcą. Babilońską krainę szczęścia przedstawiano jako prze-

śliczny gaj, zacieniony drzewami, na których, niby owoce, wyrastały najpiękniejsze okazy drogocennych kamieni, strzeżonych przez powiewne nimfy, przypominające mityczne córy nocy, Hesperidy, strzegące złotych jabłek na odległych wybrzeżach Atlantyku.

W pozagrobowym świecie japońskich wyznawców Buddy panuje wiecznie słoneczna wiosna, pełna wszelkich powabów życiowych. Niczem nie przerwana radość i zdrowie, piękne dziewczęta, dostatek do przesytu, śpiewy i tany znamionują wedle wyobrażeń ludowych tę krainę przyszłego życia po śmierci. To też nie dziw, że ta bezustanna radość, krzykliwa, rozśpiewana, gwarna, sprzykrzyła się tak pewnemu lekarzowi, który, jako rozbitek na morzu, zapłynął przypadkiem w te strony, że stał się biedaczysko wkrótce Ahaswerem, tęskniącym za śmiercią. Ostatecznie pragnienie jego doczekało się zrealizowania. Na grzbiecie ogromnego bociana dostał się bowiem stęskniony eskulap na ziemię, gdzie umarł, ku najwyższej swojej radości.

Koran szkicuje przyszłe losy dusz dość szczegółowo, chociaż szczegóły te rozrzucone są w rozmaitych t. zw. surach czyli rozdziałach biblii. Raj Mahometa przedstawia krainę najskrajniejszych rozkoszy. Wierni spoczywają tu na łożach ze złota i drogich kamieni i piją najlepsze, nie sprawiające najmniejszego szumu w głowie, wina, ze szczerozłotych lub srebrnych puharów. Rzeki tu płyną mlekiem i miodem, wszystko lśni się od najszlachetniejszych metali i najdroższych kamieni, ale wszelkie te ponęty są niczem wobec prześlicznych hurysek, wiecznie młodych, rozkosznych, nienaruszonych nawet przez samych aniołów, dziewic. Koran wspomina o 72 takich, nigdy nie więdniejących kobietach, których płomienne oczy, żywe, namiętne i delikatna cera i »podnoszące się w górę piersi« i t. p. wdzięki, umilają wiernym wyznawcom proroka życie po śmierci. To dla ciała. Ale mądry Mahomet pamiętał i o rozkoszach dla ducha: towarzystwo, spokój, zadowolenie a wreszcie oglądanie Allaha, obsługiwanego przez oskrzydlone zwierzęta

w siódmem niebie, oto szczęście, którego nadzieją żyje wierny mahometanin na ziemi.

Lud nasz wiejski spodziewa się, wedle swej ludowej teologii podobnych po śmierci rozkoszy. Na ziemi bieda. Za kawałek złota trzebaby robić, Bóg wie, jak długo, rzadko zaś komu dane jest doczekać się takiego skarbu za życia. Za to na drugim świecie nie będzie o to kłopotu. Tam złota tyle, co u nas piasku w wodzie, albo jeszcze więcej, tam prawie wszystko złote. Kury niosą złote jaja, na drzewach rosną złote owoce, to też mogą tam ludzie używać, chociaż mniejsi są jak na ziemi, tak mali jak lalki, czyli »popki«. Raz ponoś słyszeć mieli górnicy, pracujący w wielickich kopalniach, jak baba jakaś z drugiego świata wołała kury: »tiu, tiu, tiu«. Ten sam lud krakowski opowiada, że jakiś owczarz dostał się na grzbiecie ryby na drugi świat, a patrząc na jego cuda, mówił: »Prześlicna ta kraina rajska! Sam cukier i kawa rośnie na drzewach, pomaranc sam i cynamon«. »Jaze strach, dopowiada opowiadający, tak się najad, tak sie napiuł wody w źródle, co winny smak miała«. Nawiasowo dodajemy, że owa baśń o górnikach, słyszących wołanie »tiu, tiu, tiu« każe się domyślać, iż lud wyobraża sobie ów raj nie w niebie, ale gdzieś pod ziemią, podobnie jak podróż do krainy dusz na »grzbiecie ryby«, jest dowodem, że kraina ta leżeć musi gdzieś za morzem lub na morzu. Są to bardzo ciekawe echa dawniejszych wierzeń, o których wkrótce obszerniej nieco powiemy.

Wedle innych znowu wyobrażeń ludowych, panujących n. p, w Poznańskiem i gdzieindziej, płynie życie dusz w świetlanym pałacu, którego podłoga lśni od przecudnych dyamentów, ściany błyszczą się szczerem złotem, a sklepienie zbudowane jest z srebra i drogich kamieni; czasem też jest to jakiś prześliczny ogród, zacieniony cudownymi drzewami, woniejący zapachem najdziwniejszych kwiatów. Śpiew, granie, zabawy, o to najczęstsze zajęcie dusz, o ile zajmuje się niem wyobraźnia ludowa lub bliżej je określa.

Należy pamiętać, że lud wiejski oddziela często raj od nieba.

Pierwszy jest właściwą krainą dusz, drugi, podzielony czasem na siedm stopni (Lud Białoruski litewski), siedzibą Boga, pierwszy mieści się na ziemi, za drugie uchodzi sklepienie niebieskie, zawieszone ponad nią. Na pozór błaha, ma wiara tego rodzaju wielkie znaczenie dla badacza, jako resztka dawniejszych wierzeń, utrzymujących się obok dogmatu wyższego religijnego systemu.

Gdzież właściwie jednak mieści się ta wasza kraina dusz? zapytasz dzikiego. A on wyciągnie przed siebie rękę i wskaże ci jakieś skalne, dzikie urwiska, w których nie osiedliłby się człowiek, ani nie zagnieździła zwierzyna, albo pokaże palcem jakąś odludną wyspę na zachodzie, albo sam widnokrąg, na którym majaczy zdala coś, jak gdyby szmat lądu. Tam idą dusze umarłych, objaśni cię, stąd skaczą do morza, tędy płyną na czółnach i znaczy w powietrzu dokładną drogę dusz, jakgdyby kiedykolwiek widział je naprawdę w pochodzie. Droga ta, czy nakreśli ci ją nilgirski góral, Toda, czy wskaże dziki wyspiarz Oceanii, przybierze prawie zawsze kierunek zachodni i skończy się tam, gdzie słońce wpada za góry, lub topi się w morzu, krótko mówiąc, będzie ona w przeważnej ilości wypadków drogą słońca.

Leży więc i kraj dusz Todów, Anmor na zachodzie, i Tongański »Bolotu« i »Lewu-liau« Dajaków i »Koaibai« na Haiti i »Gulczemanu« Chilijczyków i Kutomen Dahomejczyków, na zachodzie też leżał ponury grecki Hades i staroegipski świat umarłych Amenti, dokąd wiodła droga przez bramę zachodzącego słońca. Ten kraj dusz, o ile mieści się on na ziemi, może to być, jak wspomnieliśmy, urwisko skalne, albo wyspa, ale zazwyczaj miejsce, dokąd człowiek jeszcze nie dotarł, gdzie nie był. Oto ostatnie nie trudno. Znaną jest bowiem rzeczą, że człowiek pierwotny mało jest skłonny do wycieczek i poza kawałkiem ziemi, na której mieszka, nie zna zazwyczaj najbliższej okolicy i nie pozna jej dopóty, aż konieczna potrzeba nie zagna go w te strony. Może być nią jałowa, pusta okolica, może niepomyślny dla niego obrót walk, które wyprą go stąd i każą szukać innej, nowej oj-

czyzny. Kiedy wówczas, jako wygnaniec, ujrzy się przypadkiem właśnie w tych stronach, które według jego wierzenia miały być mieszkaniem umarłych, a nie znajdzie nic, dozna zrazu niemałego rozczarowania. Nie przywykły jednak zastanawiać się, aby godzić sprzeczności, które raziłyby każdy krytyczniejszy umysł, wyznacza krainie dusz inną, dalszą okolicę, gdzie jeszcze nie był i gdzie, sądzi, że dotrzeć nie zdoła.

Skoro tak, z rozszerzaniem się geograficznych wiadomości pierwotnego filozofa, przenosić się będzie kraina dusz dalej i dalej, znajdzie się ona z czasem na granicach widnokręgu, aż wreszcie, kiedy już ani ląd ani morze nie zdoła powstrzymać zwycięskiego pochodu człowieka, przestaje istnieć świat umarłych na ziemi i wynosi się tam, gdzie ani nie postała ludzka stopa, ani wzrok ludzki nie wniknął, do nieba.

Jako kraina dusz nie przychodzi tedy niebo u ras najniższych, ale u tych, które wybiły się na wyższy nieco stopień kultury, trafiają się wyobrażenia takie od czasu do czasu, zwłaszcza, że niebo uchodzi to za stałe sklepienie o mnóstwie okien lub szpar, przez które może przeciekać deszcz na świat (Nowozelandczycy), to za skałę, otaczającą całą ziemię. (Zulusi) i t. p.

Do takiego to nieba wysyłają liczne plemiona amerykańskie, a także niektórzy Australczycy dusze swoich zmarłych, które, zmieniwszy tylko miejsce pobytu, wiodą w tej nowej krainie życie nie wiele różne od tego, jakie prowadzi dusza każdego z członków ras niższych w raju na ziemi. Więc i tu jedzą one, śpią, bawią się, polują na zwierzynę w lasach, lub w jeziorze ryby łowią, całkiem tak samo, jak w afrykańskiem »Kalunga« lub w północnym »Torngarsuk«.

Ale nie wszystkie światy umarłych mieszczą się na ziemi, albo zajmują okolice nieba. Czy stoi to w związku z wrzucaniem zwłok do pieczar lub grzebaniem ich w ziemi, czy jest obrazem zachodu słońca dla plemion, zamieszkujących ląd stały, dość, że człowiek pierwotny każe duszom umarłych schodzić pod ziemię i zaczynać tu życie nowe, często

mniej jasne niż na ziemi, mniej wesołe. Ten jakiś smutek, jakąś ponurość, znamionującą życie pod ziemią, dostroił prawdopodobnie człowiek pierwotny do cech przestrzeni, w której świat pozagrobowy umieścił. Pod ziemią jest ciemno lub mroczno, panuje wieczna noc. Dusze chodzą tu jako powiewne cienie, nikłe, smutne, bo ciemności towarzyszy zazwyczaj uczucie smutku, przygnębienia, powagi. Jeżeli świeci tu słońce, to jest to, to słońce, które, przebywszy swą dzienną drogę, skłoniło się za góry i zaszło do tej krainy dusz, bo podziemie mieści się także zazwyczaj w stronie zachodniej nieba.

Bassuci wierzą w życie pod ziemią, ale nie umierają z nadzieją, że czeka ich lepsza dola po śmierci. Nie doznają wprawdzie smutku ale i nie zaznają radości, błądząc, jako nikłe cienie z miejsca na miejsce, w jednostajnej ciszy i niezamąconym spokoju.

Ani Miktlan Meksykańczyków, ani dahomejski Kutomen nie nęci dusz swoich wyznawców. Wolą oni żyć na ziemi, aniżeli w krainie umarłych krążyć, jako bezduszne cienie, których nie smuci nic ani nie bawi, gdzie niema kar ani nie można spodziewać się nagród, chociaż ten właśnie smutny, mroczny świat jest ich właściwą ojczyzną, z której wszyscy pochodzą. Podziemny, czarny Szeol starożytnych Żydów, ponury Orkus rzymski z swymi bladymi duszami, straszny Hades z tłumem cieni rannych i płaczących, pewnie nie lepszy los zgotowały swoim powiewnym mieszkańcom,

»Którzy w mgle i ciemnicy brodzą ustawicznej;
»Nigdy bowiem nie spojrzy na nich Helios śliczny,
»Ani kiedy na niebo ugwieździone wkracza,
»Ani kiedy ku ziemi ze szczytów się stacza,
»Zawsze też lud ten nędzny w grubej nocy brodzi«,
(Odyss. XI).

Tak tedy zapewnił sobie człowiek pierwotny los poza grobem, stworzył sobie krainę dusz, urządził ją odpowiednio do swych pośmiertnych potrzeb i mógłby już zupełnie spokojnie żyć a jeszcze spokojniej umierać, gdyby nie

jeden skrupuł, tak wielkiej wagi, że niepodobna go pominąć. Oto kraina dusz wprawdzie jest, leży jednak daleko, w stronach, w których człowiek nigdy nie był: jakże więc może trafić tam dusza, która jest człowiekiem w miniaturze i więcej od niego zdziałać nie potrafi? Rzecz jasna, że zbłądzi, aby zaś temu zapobiedz, należy oddać ją pieczy wypróbowanego przewodnika, pod kierunkiem którego, przebywszy szczęśliwie wszelkie trudności i niebezpieczeństwa, stanęłaby cało u pożądanego celu. Gdzież jednak szukać tego przewodnika i czy tak łatwo go znaleść?

Może nie postępujemy z możliwą rzeczywistością, przypuszczając, że człowiek pierwotny przyjął a priori myśl o konieczności przewodnictwa nad duszą i odpowiednio do niej tego przewodnika szukał. Rzecz przedstawiała się raczej przeciwnie.

Gdybyśmy mieli jakiś odpowiedni przyrząd optyczny, który pozwoliłby był nam zobaczyć, co dzieje się n. p. na jednej z wysepek Oceanii, gdybyśmy posiadali byli drugi, zapomocą którego umielibyśmy odczytać, jakie procesy odbywają się w umyśle drugiego człowieka, bylibyśmy może byli świadkami takiego obrazka.

Oto jakiś krajowiec, może rybak, stoi na wybrzeżu swej wysepki i patrzy. Robi się wieczór. Na powierzchni morza poczynają malować się różnobarwne smugi, zrazu o silnym, złocistym odcieniu, potem o coraz to łagodniejszych tonach. czerwieni się lazurowy dotąd sklep nieba, a wraz z tem, świetlana tarcza zbliża się ku morzu, jak gdyby chciała ukąpać się w złotej topieli, coraz bardziej, bardziej... Ale oto i dolny jej łuk zanurza się w morzu. Jeszcze widać połowę tarczy, jeszcze skrawek, jeszcze tylko lekko zaznaczony górny rąbek, wreszcie zagłębia się cała, gasną nawet odbite promienie na niebie, powierzchnia morza przybiera fioletową barwę i ciemnieje ku brzegom... Rozbudza się noc. A wyspiarz patrzy i przypomina sobie, że i wczoraj jedno takie same słońce zatopiło się w tej samej stronie morza i ongiś i wszystkie inne słońca, jakie kiedykolwiek widział i ile ich było, szły ku tej jednej okolicy i, umierając, zapa-

dały w niej na zawsze. I jutro urodzi się także taka sama żywotna, bliżej nieznana postać i pójdzie tą samą drogą, ale nie będzie to postać ta sama, którą widział przed chwilą: codzień bowiem rodzi się nowe słońce i codzień nowe w tem samem miejscu umiera. Tam tedy muszą znajdywać się te wszystkie słońca, co umarły dotąd i znajdą się te, które umrą w przyszłości, tam zatem leży świat umarłych, kraina dusz.

Taką mogła być łatwo geneza wiary, że kraj duchów mieści się w zachodniej stronie nieba, zaś spostrzeżenie, że słońce codziennie drogę tę do krainy zmarłych odbywa i wskazuje ją zarazem, mogło stać się źródłem wierzeń, że za jego śladem idą dusze ludzkie z ziemi do pozagrobowej przystani. Zwłaszcza wówczas, kiedy w miejsce dawnych przekonań, że codziennie inne słońce zapada w kraj śmierci, wstąpiły nowe, wedle których słońce przebiega swój łuk, zapada w krainę dusz, aby znów rankiem powrócić, nie jako inne, ale jako to samo słońce, stało się ono najulubieńszym przewodnikiem duszy, do którego przywiązano mnóstwo opowieści, mitów słonecznych.

Na Hawaii istnieje wiara, że dusze zmarłych prowadzi do krainy dusz, bóg zwany »Oko słońca«. Odlatując w stronę zachodnią nieba, kierują się one wraz z zachodzącem słońcem ku wyspom Kanes i skaczą stąd ze skalnego odłamu do morza, albo też przez umyślny otwór w Oahu, w pobliżu zachodniego przylądka, schodzą do podziemia.

I dusze Maorów, zanim ulecą na zawsze do pozagrobowej krainy, zbierają się na, najbardziej ku zachodowi wybiegającym, przylądku Nowej Zelandyi, a gdy stąd wyruszą śladem zachodzącego słońca, spotkają się pewnie z duszami mieszkańców Mangaja, Puka-Puka lub wyspiarzy Salomona, bo i ich dusze wędrują tą samą drogą za słońcem, aby wraz z niem utonąć w Oceanie. Patrząc na wschodzące słońce, podziwia Australczyk prześliczne jego czerwone, kangurowe futro, które dały mu na pamiątkę wdzięczne dusze za to, że zeszedłszy do ich krainy świeciło im przez chwilę swoim blaskiem i ogrzewało swem ciepłem.

Ciekawą jest bardzo rzeczą, że Wielka Brytania uchodziła swojego czasu za wyspę umarłych. Zmarły w Konstantynopolu w r. 562 po Chr. historyk grecki Prokopius, zwany Cezarejskim wspomina, że wyspę Britię, odpowiadającą zapewne dzisiejszej Wielkiej Brytanii, uważano za wyspę umarłych czyli krainę dusz, dokąd zdążał każdy nieboszczyk na pozagrobowy żywot. Dusze płyną przez morze na czółnach, którymi wiosłuje uboższa ludność, zamieszkująca wybrzeża Bretonii, (Prokopius nazywa ją Brytanią) a płyną nocą, z dwadzieścia cztery razy większą chyżością, aniżeli zwyczajny statek kupiecki. Wioślarze nigdy nie wiedzą, kiedy zbliża się czas przewozu, ale gdy nadejdzie pora, słyszą jakieś tajemnicze do drzwi stukanie, które tak na nich działa, ze wstają z pościeli i spieszą czemprędzej na brzeg morza, gdzie wstępują, do ustawionych rzędem łodzi, nieznanych sobie i pustych. Wiedzeni dziwną jakąś mocą, biorą się raźno do wioseł i wypływają na pełne morze, a tymczasem łodzie robią się tak ciężkie, że zagłębiają się do połowy w wodzie, chociaż nie widać nic co mogłoby ciężyć i nie słychać żadnego szmeru. Zaś fale morskie uciekają szybko przed jadącymi tak, iż w godzinę są już u celu. Dusze wyskakują na brzeg co żywo, czego wprawdzie dojrzeć nie można, ale można wnosić po wadze czółen, które, opróżnione, podnoszą się na powierzchnię.

Jeszcze po dziś dzień, gdzie przylądek Raz w Bretanii wysuwa się na zachód, leży »Przystań dusz«, w której gromadzą się dusze, aby stąd odpłynąć do krainy umarłych.

Jednak zdarza się, że mit nie wspomina wyraźnie o słońcu, jako przewodniku dusz, zaś badacz, który nie patrzyłby dość krytycznie na każdy niemal szczegół w zwyczajach ludowych, dałby się łatwo unieść złudzeniu i sprowadzić na manowce. Przytem trzeba umieć pamiętać o tem, co się widzi lub słyszy, składać to w mózgu, że tak powiem, pod odpowiednią literą, jak akta w archiwach a potem sprytnie dochodzić w nich wątku, zawiłego i zagmatwanego do ostatecznych granic.

W niektórych okolicach Oceanii jest zwyczaj, że obok

konającego wieszają krewni włókna drewne albo sznurek z trawy, którym okręcają mu dwa lub trzy razy do około szyję, skoro tylko wyda z siebie ostatnie tchnienie.

Ktoś, nie przyzwyczajony patrzeć na wszystko uważnie, spoglądnąłby raz i drugi, wreszcie wstrząsnął ramionami z wyrazem: »głupstwo« lub »nierozumiem« zwykłą formułką, która niszczy i zabija wszelki postęp już w zarodku. Tymczasem każda rzecz ma swoje dzieje, które wyjaśniają jej znaczenie, chociażby było nią takie głupstwo na pozór, jak, praktykowane wśród naszego ludu wyjmowanie z pod konającego poduszki, gdyż ona zawiera piórko kurze, albo okręcanie szyi zmarłego włóknem, jak to robią wyspiarze Oceanii.

Chodzi o to włókno. Otóż wedle ściślejszych rozważań naukowych pozostaje ono w związku z ową, przedstawioną w jednym z wcześniejszych rozdziałów pętlą, którą kapłani na Aitutaki, Raratonga i t. d. łapali dusze, albo z owym sznurem, za pomocą którego Neger Akra wiąże duszę złodzieja. Fakt, że włókno to okręcają umarłemu dokoła szyi, przemawia jeszcze dowodniej za tem, że dzieje jego wiążą się z dziejami pętli.

Cóż to jednak właściwie jest owa pętla? W mitach oceanijskich można znaleść odpowiedź na to pytanie. Tym, który pętle te sporządza i łapie nimi, jest Maui, bóg słońca, jako wtórna, według największego prawdopodobieństwa, postać mitologiczna. Raz zarzuca on pętlę na słońce, aby powstrzymać je w biegu, to znowu zastawia na nie sieci albo też chwyta je i wiąże promieniami. Jeden z takich mitów n. p. opowiada, że Maui chwycił na pętlę i zatrzymał pod ziemią Hikuleo, porywającego naczelników na Tonga. Ten Hikuleo jest to słońce, osobowo przedstawione, a mit sam poprostu wyrażony brzmiałby: dusze zmarłych naczelników na Tonga idą drogą słońca, zamiast obrazowego: bóg słońca, chwyta na pętlę słońce, porywające naczelników na Tonga.

Pętla tedy, jak to i z innych jeszcze danych wynika, nad czem nie możemy obszerniej rozwodzić się na tem miejscu, jest symbolicznem przedstawieniem nietylko, jak twierdzą,

promieni, ale też i drogi słońca, dążącego ku zachodowi. W taki sposób włókno, które wieszają obok umierającego lub okręcają mu je dokoła szyi, ma wyobrażać i wskazać duszy drogę, którą ona ma przebyć, po tym włóknie nawet wprost odchodzi ona ku słońcu, które odprowadzi ją do pozagrobowego życia. Dusza umierającego Maora na Nowej Zelandyi zabiera z sobą wiązkę trawy morskiej, jeżeli zmarły był mieszkańcem wybrzeża, albo liść palmowy, jeżeli mieszkał wśród lądu. Wędrując ku krainie dusz »Reinga« porzuca ona pojedyncze włókna po drodze i znaczy nimi miejsca, kędy spoczęła.

Ów liść palmowy, jest co do swego znaczenia identycznym z wiązką morskiej trawy, przedstawia on bowiem również część drogi słońca, wyrażonej w innych mitach nie przez pętlę, ale przez drzewo. Mit z Mangaja głosi, że dusze wszystkich zmarłych naturalną śmiercią, usiadają na drzewie Bua. Skoro większa ilość tych dusz zgromadzi się, drzewo zanurza się w głąb i zapada do podziemia. I gdy straszna toń otworzy się, widzą dusze, rozpostarte u korzeni sieci, które mają schwycić je i uwikłać. Ale na szczęście drzewo unosi się znowu w górę, tak nagle, jak przed chwilą usunęło się ku dołowi, a dusze stają przed straszliwym Miru, od którego twarzy odbija żar, buchający z stale rozpalanego pieca.

Drzewo Bua rozumieć należy, wedle poszukiwań Frobeniusa, jako drogę słońca, Miru czyli Milu jest władcą podziemia, ów żar, odbijający od jego twarzy, przedstawia zapewne odbicie się w wodzie promieni zachodzącego słońca, wyobrażonego przez symbol, zawsze rozpalonego pieca.

Z wierzeń, że słońce jest przewodnikiem dusz, które idą jego śladem do pozagrobowego świata, a zarazem z wyobrażeń tej drogi, zapomocą pętli, sznurów, włókien i t. p. krótko mówiąc z wiary, przedstawiającej drogę słońca, względnie włókno jako drogę śmierci, powstało przez odwrócenie wprost przeciwne pojęcie, iż włókno jest materyą ożywczą, że jest drogą życia.

I tak na Fidżi wisi w świątyni Bure długa wstęga z bia-

łego łyka, po za którą chowa się kapłan, ile razy wymaga potrzeba, aby przejął się bóstwem. Dzięki odpowiednim ceremoniom zstępuje ono po tej wstędze i wnika w ciało czarodzieja, chociaż ponoś wygodniej mu zsuwać się po desce, wiszącej u poddasza świątyni, jak to jest znowu w zwyczaju w Tobi.

Wulamo czyli kapłan u Akkra-negrów leczy zapomocą pętli nader skutecznie każde bezdzietne małżeństwo. Oto sporządza on wianek z lianów czyli pnączy, składa go do drewnianej misy i polewa świętą wodą, najpierw małżonków, a potem wianek, poświęcając wodę w misie w ten sposób, że umywa sobie czoło, kark i piersi, przyczem zużyta woda spływa napowrót do misy. Po tej ceremonii naciera się małżeństwo jeszcze raz wodą poświęcaną w misie, zaś kapłan, rozplótłszy wieniec, okręca wąsami pnączy szyję, ręce i nogi petentów, pomazując je jeszcze świętą białą farbą. Cel tych czynności jest łatwym do zrozumienia. Oto siła ożywcza spływa z kapłana do wieńca, zaś z tego przelewa się na bezdzietną parę małżonków, wyposażonych już odtąd w wszelkie warunki, zapewniające bliskie spełnienie gorących pragnień.

Gdzie w mitach występuje bóstwo, jako zjadające dusze, a wiara taka jest znamienną dla mitologii Polinezyi, tam znajdziemy zawsze związek losu dusz ze słońcem.

Bóg Terongo na Aitutaki nosił przydomek »zjadającego ludzi«, Tangaroa chwytał dusze zmarłych i pożerał je, podobnie też twierdzą mieszkańcy Hawaii, Tahiti, Nowej Zelandyi i t. p. Jestto illustracya zachodu słońca, które połyka dusze w postaci »wewnętrznego ognia«.

Wreszcie wypada tu zaliczyć te mity, które wprawdzie nie głoszą wprost wiary, że dusza zmarłego idzie za słońcem, ale zdradzają ją przy bliższej rozwadze. Jeżeli np. bóg słońca, Lissa, stwarza pierwszą parę ludzi i jeżeli taka sama wiara żyje wśród mieszkańców Unyoro, pewnych plemion na Borneo i t. d., które wywodzą siebie i całą ludzkość od słońca, to najpewniej mamy tu do czynienia z mitami, które powstały drogą odwrócenia, bowiem śmierć zajmowała wcze-

śniej umysł człowieka aniżeli powstanie. Możliwe więc, że wiara: słońce daje duszę żywym, jest odwróceniem pierwotnej: »słońce zabiera dusze umarłych ze świata«.

Ale zapewne, że wcześniej niż słońce, wszedł w styczność z duszą ludzką ptak. Już jego nadzwyczajna chyżość, możność bujania w powietrzu, zręczność i t. p. przymioty złożyły się na to, że uważano go za samą duszę lub za jej wcielenie: tak ulatywała ona z ciała i tak ukazywała się oczom ludzkim nawet w długi czas po śmierci. Jeszcze po dziś dzień zdarza się czytać lub słyszeć o duszy, która »uleciała ptaszkiem« albo też w postaci ptaka powróciła na ziemię, aby pocieszyć strapione sieroty i t. p.

Kiedy słońce wskaże ludziom, przeznaczony dla nich świat pozagrobowy, powierzają wówczas ptakowi zaszczytne posłannictwo zabierania i przenoszenia dusz do krainy umarłych. Tahitianin lub mieszkaniec Tonga żyje i umiera z wiarą, że, gdy ostatnie tchnienie wydrze się mu z piersi, przyleci ptak i pochwyci duszę aby ją unieść do kraju dusz na nowe życie.

Myśl, że ptak odniesie i może odprowadzić duszę do krainy umarłych, powstanie łatwo na tle wierzeń, iż pewne ptaki pozostają w jakichś bliższych stosunkach ze słońcem. Może być to kur, przepowiadający pianiem wschód słońca, może być inny ptak, śpiewający, o zachodzie lub opuszczający dopiero wówczas swoje schronisko.

Wspominaliśmy w poprzednich rozdziałach, że w niektórych okolicach ziemi, np. na Nikobarach, uważają kurę za przewodnika dusz, przywiązując ją zmarłemu na piersiach, składając z niej ofiarę pośmiertną jak na Borneo, lub też pokrapiając trumnę jej krwią, jak to dzieje się na Sumatrze. Wierzenia te uplastyczniają się żywo w Afryce.

Zmarły nie może być złożony do grobu, zanim kapłan nie zabije białej kury i nie skropi nią zmarłego. U mieszkańców Złotego Wybrzeża pomazywał kapłan grób krwią kury, podobnego też zwyczaju przestrzegało plemię Bullom w południowej i północnej połaci Sierra Leone, zanim Anglicy, nabywszy ten półwysep w r. 1787 i osiedliwszy tu zbiegów, rozbójników morskich i t. p. kolonistów, stworzyli

taką mięszaninę ras, że wśród niej zatarł się nietylko piękny typ Negrów, ale i spaczyły się i roztopiły pierwotne jego zwyczaje na zawsze. Niechaj będzie ten dodatek małą illustracyą stosunków, dzięki którym ludność pierwotna znika tak niesłychanie szybko z widowni ziemi.

Rola ptaka jako przewodnika dusz, znaczy się wybitnie na t. zw. »okrętach umarłych«. Są one wyrazem wierzeń, jakie panują wśród pewnego ludu o podróży do krainy dusz i o miejscu, w którem ona znajduje się. Mieszkańcy nadmorscy, jak wspomnieliśmy już o tem poprzednio, przenoszą się po najdłuższem życiu na wyspę. Tak, jak wyspa ta nie należy zazwyczaj do światów urojonych, gdyż często wiąże się ona z dziejami danego plemienia, tak też i wędrówka duszy na nią, jest nieraz przypomnieniem, odbiciem losów jego własnej wędrówki. Więc miejsca spoczynku, burze, walki z nieprzyjaciółmi, tułaczka po manowcach i t. p. wrażenia podróżne i przygody, wszystko to będzie musiała przejść dusza, zanim znajdzie się u wrót pozagrobowej przystani. Wiezie ją tedy okręt lub łódź, stosownie do tego, na czem przybyli ci, którzy każą się jej na ostatnią podróż gotować, zaś na czele okrętu tego lub łodzi, stoi ptak, jako stróż duszy i jako jej przewodnik w dalekiej, obcej dla niej drodze. Rozumie się, że ten okręt umarłych, na którym dusza płynie, istnieje tylko w wyobraźni, ale człowiek pierwotny sporządza mimo to jego model, w nadziei, że ma on duszę, która przeistoczy się w danym razie w prawdziwy, taki sam okręt umarłych, podobnie jak dusza ryżu, rzuconego na trumnę, może przeistoczyć się w ryż dla zmarłego, albo w zwierzę dusza zwierzęcia, zabitego na stypie.

Na jednej z wysp Markwezas, należących do grupy Polinezyi, a położonych na północnym wschodzie od Tahiti, odkrył Melville w dolinie Typee grobowiec naczelnika, którego, z drzewa wyrzeźbiona, niedołężna postać, siedziała w tylnej części łodzi, trzymając w ręku wiosło i patrząc na strupiszałą już, zatkniętą na przedzie czaszkę człowieka. I do krainy dusz Sorga lub Soroga prowadzi, według wiary Alfurów, droga przez morze. Toteż obok grobu lub na nim

stawiają krewni, mniejsze lub większe modele czółen, w przeciwnym bowiem razie dusza, nie mogąc dostać się do krainy dusz, pozostaje wśród żywych, aby ich niepokoić i mścić się za niedopełnienie obowiązków pogrzebu.

Na takich to czółnach, ale przeważnie na okrętach, zauważyć można albo rzeźbę albo rysunek ptaka, jeżeli postać samego okrętu nie jest mniej lub więcej wiernem naśladownictwem tego zwierzęcia. Oto mamy na załączonych rycinach wizerunki przeważnie dzióbów »okrętów umarłych« z różnych okolic ziemi. Przedstawiony na rycinie dziób

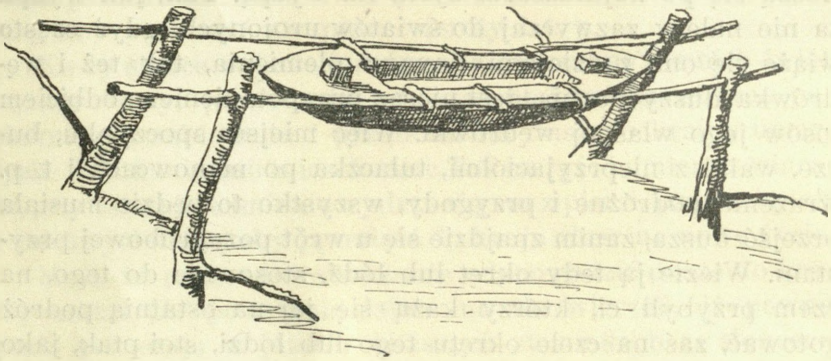

Ryc. 13. Trumna z Timorlaut. (rys. wedł. Ratzla dr. W. W.).

okrętu Maorów z Nowej Zelandyi (ryc. 14) wyobraża ptaka, z zagiętym z tyłu ogonem, u przodu zaś stoi dusza, oczekująca chwili, w której okręt wyruszy w drogę do pozagrobowego świata. W amerykańskim okręcie umarłych (ryc. 15) siedzi duch z tyłu na ogonie ptaka, trzymając w ustach koniec ogona węża, który wpija się znów w głowę ptaka, Ten wąż, szczególniej gdy spotyka się go w dzióbie ptaka ma wyobrażać duszę, względnie jej wcielenie, analogiczne zresztą do owego »robaka duszy«, o którym tyle mówią mity »Fanani«.

Prawu odwrócenia zawdzięcza ptak, uchodzący dotąd za przewodnika dusz zmarłych, swą moc ożywczą. Już, pisząc powyżej o świętych garnkach Dajaków, wyjaśniliśmy część wyobrażeń, które powstały z odwrócenia

pierwotnej roli ptaka, jako przenośnika dusz, wyjaśniliśmy, jak ptak śmierci, to jest ten, który zabierał duszę ze świata staje się sam duszą, a tem samem źródłem nowego życia. Przechodzimy w ten sposób od zagadnień śmierci, do wyższych kwestyi, do kwestyi powstania i początku wogóle. Poznaliśmy już jeden taki mit poprzednio: jest nim samoański i tongański mit »kiji-kiji« czyi turi, opowiadający o Tuli, która, w postaci ptaka, przelała duszę w ciała ludzkie, powstałe z robaków zgniłej Fue. Wierzą i Raratonganie i mieszkańcy Buru, że pierwszą ojczyzną przodków ich, jest »kraj czerwonych piór«, kraj »Manu«, czyli kraj »ptaka«, bo »manu« oznacza ptak i pozostaje niewątpliwie w związku z nazwą »Maui«, którego poznaliśmy już, jako chwytającego dusze na pętle. Zdaje się zatem, że pierwotnem, głównem znaczeniem Maui jest ptak, natomiast postać jego, jako bóstwa słońca, jest postacią nie pierwotną, lecz wtórną. Cofając się myślą wstecz, starając się odtworzyć sobie obrazek tak bardzo a bardzo dalekiej przeszłości, jaką jest początek świata, przyszli Tagale filipińscy do przekonania, że w najpierwszej dobie istnienia świata nie było nic wokół

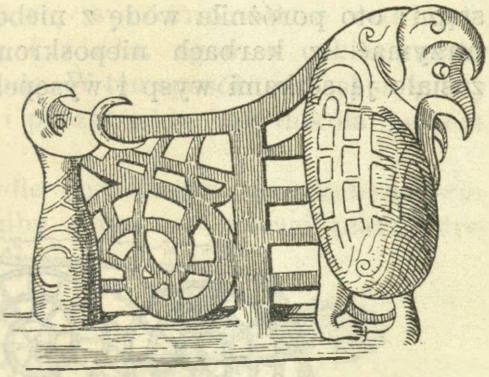

Ryc. 14. Dziób okrętu umarłych u Maorów. (Frobenius).

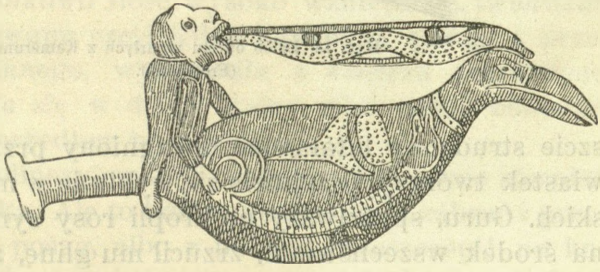

Ryc. 15. Okręt umarłych z półn. zach. Ameryki. (Frobenius).

prócz wody i nieba i nie żyło nic prócz kani, szukającej napróżno miejsca, gdzie mogłaby wypocząć. Nigdzie bowiem nie dostrzegła ani kamienia, ani drzewa, ani wyspy. Znużona do upadłego nieustannem lataniem, chwyciła się podstępu: oto poróżniła wodę z niebem, to ostatnie zaś, chcąc utrzymać w karbach nieposkromioną współzawodniczkę, zasiało ją setkami wysp i wysepek, na których znalazł wre-

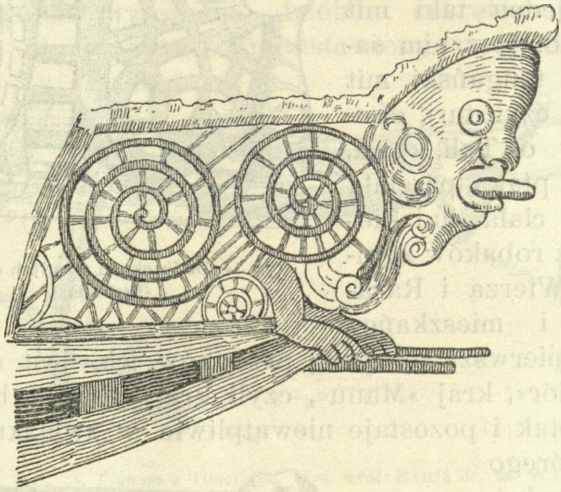

Ryc. 16. Dziób okrętu umarłych z Kamerunu.
(Frobenius).

szcie strudzony latatawiec upragniony przytułek. Ten pierwiastek twórczy przejawia się wybitnie w mitach sumatrzańskich. Guru, spuściwszy na kropli rosy syna swego, Batara na środek wszechświata, zrzucił mu glinę, z której ten stworzył ziemię, a, wziąwszy sobie do towarzystwa kobietę, stał się pierwszym kolonistą na jałowem, bezludnem, ziemskiem pustkowiu. I kiedy raz siedział sobie na schodkach swego mieszkania, zauważył, że nagle zleciała kura, a opuściwszy skrzydła, usiadła na dachu jego domostwa. I mogła siedzieć sobie tam spokojnie niewiedzieć dokąd, gdyby nie żona Batary, która, pochwyciwszy żelazny drąg, zadała jednem silnem uderzeniem śmiertelny cios zwierzęciu. Ale oto stało

się coś dziwnego! Poszczególne części ptasiego ciała poczęły oddzielać się, rozpadać i przybierać różne postaci. Więc z głowy powstał posąg bóstwa, z dzióba złote kleszcze, żołądek przemienił się w złoto i srebro, pióra i wnętrzności jęły przeistaczać się w różnorodne rośliny, więc drzewa, krzewy i zioła, ogon w cukier, mięso w ziemię, zaś krew w wodę. W ten sposób otrząsł się pusty dotąd świat z martwoty i począł oddychać dokoła pełnem, raźno tętniącem życiem.

Nie dziw tedy, że, wedle dość często spotykanych wierzeń, ożywiało bóstwo, niby dusza w postaci ptaka, dre-

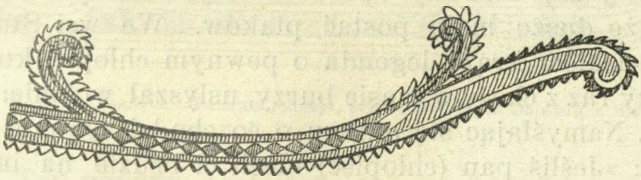

Ryc. 17. Nowozelandzki dziób okrętu umarłych. (Frobenius).

wniane kłody lub kamienne posągi, ku którym zwracały się oczy i pietyzm wyznawców. Peruwianie n. p., chociaż kulturalnie stosunkowo dość wysoko wznieśli się, twierdzili, że skoro przestawano czcić jeden kamienny posąg a przenoszono się do innego, wylatywała z wnętrza pierwszego papuga i wcielała się w drugi, który miał odtąd odbierać cześć, składaną przedtem pierwszemu.

W posążki Polinezyjczyków wstępowało bóstwo również pod postacią ptaka. Ale to bóstwo można było zabrać i przenieść je na inny posąg, albo z posągu przeszczepić na kapłana, dotykając się, »nawiedzonego« przez ducha przedmiotu, pewnym wysoce cennym gatunkiem piór. Pióra te miały zatem własność zatrzymywania ducha czyli duszy wogóle.

Kto przyglądał się kiedy uważnie zwyczajom naszego ludu wiejskiego, ten, czytając o tej ciekawej roli, jaką odgrywa ptak w wierzeniach plemion pierwotnych, uprzytomni sobie niewątpliwie w tej chwili analogiczne fakta, z których poprzednio nie umiał sobie może zdać sprawy.

W bardzo wielu miejscowościach u nas w Galicyi, w Poznańskiem i t. d. można zauważyć, że, gdy agonia trwa u chorego zbyt długo, wyjmują mu krewni z pod głowy poduszkę, zaś na jej miejsce kładą słomę, gdyż w poduszce znajduje się widocznie »piórko kurze«, które biedakowi »skonać nie daje«. Lud Białoruski na Rusi Litewskiej powiada: »kab czăławiék ni menczyusie kanàjuczy, wykidajuć póduszku z pad haławy, a kładuć pad hałau kulik sałomy, bo u poduszczy padczâs moża być kuràczaje abò z dzikaho ptastwa pierje, to na juòm — karuć — nadto ciażkaje skananio«.

Zazwyczaj możemy spotkać w tych samych okolicach wiarę, że dusze mają postać ptaków. We wsi Studzianki w Lubelskiem krąży legenda o pewnym chłopie, który, wyszedłszy raz z chaty w czasie burzy, usłyszał wołanie: »krztu, krztu«. Namyślając się odrazu o co chodzi spojrzał w górę i rzekł: »Jeśliś pan (chłopiec) niech ci będzie na imię Jan, a jeśliś panna, niech ci będzie Hanna. Były to ptaszki, co zleciały wówczas, ukłoniły się chłopu i odleciały w świat. Ptaszki, a przecież nie ptaszki, jeno dusze dzieci niechrzczonych, które tułały się po chmurach, nie mogąc wnijść do nieba.

Jeżeli mity ptasie, słoneczne i wodne połączą się z sobą, wówczas powstają takie podania, jakie krąży n. p. wśród Dajaków o podróży do pozagrobowej krainy. Dusza ich idzie, jak wiadomo, do krainy dusz »Lewu liau«, do najwyższego bóstwa, Dewata Sankiang, gdzie płynie życie wesołe, obfitujące w jedzenie i napitki i wszystkie te przyjemności, które człowiek ceni za życia. Zato droga do »Lewu liau« jest dość trudną, a nawet niebezpieczną. Dwie stacye znajdują się na niej, niby drogowskazy; w pierwszej, przedstawiającej się jako rozległe pole, na środku którego stoi wielkie drzewo, objaśnia syn najwyższego bóstwa Dewata, nazwiskiem Amparong, wyznaczając kierunek jazdy ku drugiej, zwanej »Pandang api« czyli »krainie ognia«, pozostającej pod panowaniem brata poprzedniego, Si Telona. Dusze

umarłych płyną na okręcie śmierci, który prowadzi wspomniany Tempon Telon.

W obydwu okrętach, wyobrażonych na rycinach, widać go u steru, podczas gdy na przedzie, u dzióba, ustawił się jego dzielny bojownik i nieustraszony obrońca »Asai meting« z płomienną czupryną na głowie i ostrymi, jak noże,

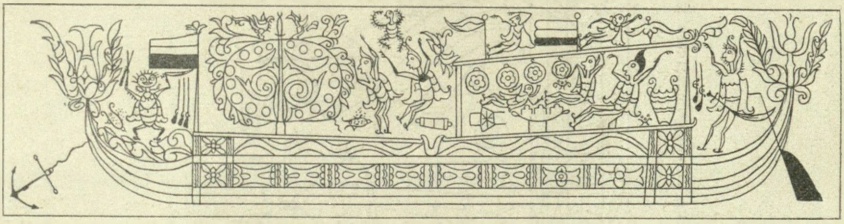

Ryc. 18. Okręt umarłych, »Banama rohong«, przewożący dusze Dajaków z Borneo. (rys. wedł. Grabowskyego St. D.).

nogami. Ten ognisty Asai jest, jak nietrudno domyśleć się, symbolicznem przedstawieniem słońca. Tylko raz w przeciągu doby przeprowadza Telon dusze, które siedzą w kajucie okrętowej, wśród, bezładnie porozrzucanych bogactw i sprzętów, jak: bransolety, garnki święte, bębny i t. p., mających towarzyszyć im w podróży i służyć w krainie umarłych. Okręty te płyną nader szybko. Wyrazem tej chyżości ale też i przewodnictwa, są, umieszczone na »Banama rohong« pióra, rozchylające się w czasie jazdy niby wachlarz. Postać drugiego okrętu symbolizuje ptaka »tingang«, którego głowę przedstawia przód, zaś ogon tył okrętu. Ten ptak »tingang«, którego dwa okazy widzimy też na masztach, jest u Dajaków wyrazem chyżości i zręczności i należy do rodzaju bucerotidae, odznaczających się długim, zakrzywionym dzióbem z wyrostkiem, a zamieszkujących Afrykę i wschodnie Indye. Okręt obsługują niewolnicy, stojący przed masztem, zakończonym dzidą, zaś, górą lecące upiory, dopełniają groźnej całości.

Okręt płynie nadzwyczaj rączo. Zrazu mknie po suchej, jasnej, szerokiej toni, pędzony jedynie wolą Tempona, ale zwolna ruch ten słabnie, a przestronne przeźrocze wody

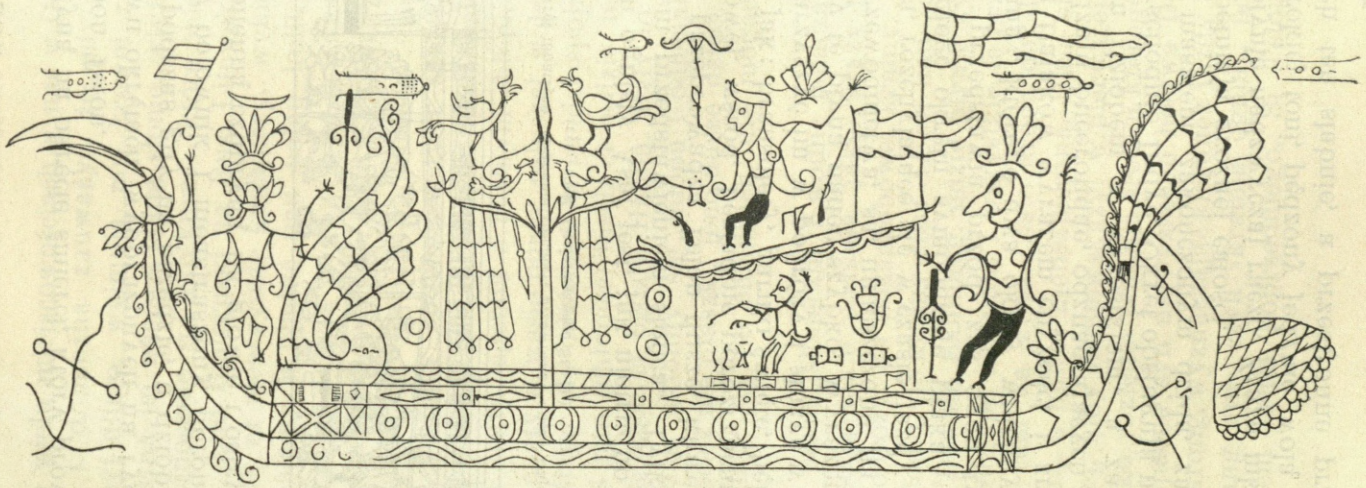

Ryc. 19. Okręt umarłych »Banama tingang«, przewożący dusze Dajaków z Borneo, (rys. wedł. Grabowskyego A. K.).

zwęża się i wchodzi w ogniowy wir »kiham apui«. Tu nie wystarcza już wola przewoźnika, okręt popychać trzeba bowiem bambusowymi kijami, a zarazem gasić ogień, który chwyta się dachu kajuty. Tymczasem wir ogniowy wzmaga się i powstaje gorąco, budzące silne pragnienie. Więc dusze chwytają chciwie wodę, aby się ochłodzić, co im wolno, byleby nie były to dusze przestępców, których winy zmniejszają się przez wstrzemięźliwość lub całkiem niweczą. Ale oto morze ognia pozostało już za jadącymi; statek dociera do wsi, złożonej z domostw bez dachów, smaganych nieustannie wichrem i opłukiwanych deszczem. Pomiędzy domostwami tymi włóczą się dusze, dźwigając na barkach różne ciężary, większe i mniejsze, wogóle to wszystko, co która z nich przywłaszczyła sobie za życia. Jestto kraj złodziei. Telon wysadza tu odpowiednich pasażerów i płynie dalej, mija krainę bastardów, bez schronisk, o dalekich, pustych brzegach i przybija do państwa samobójców, którzy trucizną położyli kres swemu życiu. Dziwnie to smutna i dziwnie cicha kraina. Nie znajdziesz tutaj drzewa, nie znajdziesz rośliny, która nie byłaby przesiąkniętą trucizną. Wszystko jest tu zatrute. Ile razy przejeżdża tędy okręt, Tempon Telon zatrzymuje się i nacina za każdym razem korę drzew, zaś z tych nacięć płynie świeży jad, rozchodzący się po całej okolicy. Jedna jeszcze tylko, pogrążona w wodzie stacya, kraina topielców, dzieli podróżnych od właściwej »Lewu liau«, upragnionej krainy dusz. Tu wysadziwszy podróżnych, zawraca okręt, aby znów następnej doby powrócić z świeżym transportem dusz na pokładzie.

Widać na pierwszy rzut oka, że cały ten obraz żeglugi na okręcie umarłych, wzorowany jest na spostrzeżeniach, dotyczących drogi słońca od wschodu ku zachodowi. Żegluga po cichej jasnej toni, uzmysławia drogę słońca do chwili, w której łódź Tempona wjeżdża w morze ognia. Jestto zachód. Dusze pijące wodę, kraina topielców, ostatnia przed krainą dusz właściwą, to nic innego, jak tylko obraz tarczy słonecznej, zapadającej w morze. Wreszcie czas, w którym Tempon Telon przewozi dusze, jest również dobitnem

potwierdzeniem, że tego rodzaju tłómaczenie odpowiada stosunkom rzeczywistości.

Na wyspach Santa Cruz, na połudn. wschód od wysp Salomona, na Nowej Gwinei, na Sumatrze, i t. d. krążą również podobne mity, które opowiadają, jak wiele cierpień doznają dusze od słońca, przechodzącego obok ich krainy. Panujące silne gorąco sprawia, że prażą się one i wysychają, co staje się źródłem nieopisanych udręczeń i mąk.

W micie Tsimsiam przebija się związek ptaka z duszą i duszy ze słońcem, w inny, ale nader ciekawy i charakterystyczny sposób. Pobieżnie przedstawiona treść jego, jest taka: Jakaś kobieta zmarła w stanie brzemiennym, na krótki czas przed porodem. Tymczasem niezadługo po śmierci powstał z jej ciała, piękny, jasny, promienny chłopiec, który, pozbawiony pokarmu przez śmierć matki, począł, zmuszony głodem, żywić się jej gnijącymi wnętrznościami. Widząc to naczelnik, rozkazał zabrać dziecko i zanieść je do siebie. Ale na nic nie zdały się pieszczoty i poświęcenia przybranego ojca, aby pozyskać serce malca. Chłopak płakał nieustannie i gryzł się, aż wreszcie, raz, korzystając ze sposobności, zdołał w towarzystwie swego przyjaciela, wydostać się z zamknięcia i umknąć, gdzie go oczy poniosą. Celem ułatwienia ucieczki, zabił jeden z nich dzięcioła, poczem, obadwaj otuleni w jego pióra, wzlecieli w takiej ptasiej postaci ku niebu. Długo latali jednak, zanim udało się im wreszcie znaleść otwór, przez który mogliby dostać się do wnętrza, ale gdy rzucili się ku niemu, przedostał się tylko ów wspomniany powyżej, promienny chłopak, podczas gdy towarzysz jego uwiązł i udusił się przy przejściu. W niebie poślubił młody intruz córkę naczelnika niebieskiego, ta zaś urodziła mu syna, który jednak niedługo utrzymał się przy matce. Wypadek zrządził bowiem, że niemowlę wyśliznęło się jej z rąk, upadło na ziemię i przemieniło się w kruka.

Zbytecznem jest dodawać, że postać owego promiennego chłopca, rodzącego się z trupa matki, wyobraża słońce, które zapadłszy w krainę dusz, w podziemie, wydziera się zeń ku niebu. Kruk, występujący w mitologii niższej jako ptak

światła, noszący duszę zmarłych do podziemia, został związany drogą odwrócenia, genetycznie z krainą dusz, z której odwrócony mit wyprowadza jego pochodzenie. Część druga mitu, ma być zachód słońca.

Pomijając wreszcie ową, nietylko wśród plemion pierwotnych rozpowszechnioną, nietylko przemawiającą do przekonania ludu wiejskiego, ale też utrzymująca się często w domach inteligencyi wiarę, że krakanie wrony, lub krzyk sowy w pobliżu mieszkania zwiastuje śmierć któregoś z mieszkańców, wypada nadmienić, że, jeżeli tu i ówdzie, zastępuje rolę ptaka, w podróży do krainy umarłych, zwierzę ssące, to jest niem najczęściej bądź to pies, bądź świnia. Tak np. w niektórych okolicach Oceanii, kładą obok trupa dziecięcia, do grobu, psa. Ten wierny, życzliwy towarzysz człowieka za życia, nie odmówi mu pewnie pomocy swej po śmierci i poprowadzi jego duszę przez drogę niepewną i ciemną. Świnia znowu, jako największy czworonóg na wyspach Polinezyi, została postawioną na czele zwierząt ofiarnych, zabijanych na stypę. Dzięki temu zwyczajowi i dzięki wierzeniom, że dusza jej staje się na drugim świecie własnością zmarłego, poczęto uważać ją samą i części jej ciała za przedmioty wróżące, aż wreszcie drogą rozwoju i przeniesień pojęć, nad czem nie chcemy rozwodzić się obszerniej, dostąpił ów, tak postponowany u nas zwierz, godności przedstawiciela i przewodnika duszy ludzkiej w świat pozagrobowy. Dlatego to pewne afrykańskie plemiona spodziewają się ujrzeć swoich zmarłych w postaci świń, dlatego tam, gdzie istnieje zwyczaj zabijania kalek lub starców, przywiązuje się ofiarom barbarzyńskich praktyk świnię do ręki, dlatego u pewnych plemion, jak np. Alfurów, skrapiają krwią świni nowonarodzone dziecko, albo przy uroczystości pobratymstwa pomazują się obie strony krwią świni, leżącej między nimi, jak u Dajaków.

Kwestya przewodnika do krainy dusz wyda się tem ważniejszą, im trudniejszą i bardziej niebezpieczną jest droga, która do niej prowadzi. Wogóle można powiedzieć, że dostęp do krainy umarłych, czy życie trwać będzie w niej

krócej czy dłużej, tem jest łatwiejszy, im niższe stanowisko kulturne zajmuje dane plemię. Jako przejściowe stadyum od wierzeń tego rodzaju wypada uważać te wyobrażenia, według których jest powodzenie w podróży, lub też los w krainie dusz wynikiem położenia człowieka na ziemi. Śledząc bieg okrętu umarłych u Dajaków, widzieliśmy, jak wiele dusz przepada po drodze, nie dobiwszy do upragnionej przystani »Lewu-liau«. Ten, co utonął, ów, który zginął z powodu trucizny, spewnością nie znajdą się już nigdy wśród szczęśliwych wybrańców w państwie Dewata Sangiang. Muszą iść drogą do krainy umarłych, bo każdą duszę, prędzej lub później los ten czeka koniecznie, a czeka na to, aby pozostała po drodze, aby cierpiąc męki topielców, żyła dalej, lub, by nie mogąc umrzeć, umierała zawsze, wziewając świeżą zarazę, pijąc nową truciznę z zakażonego powietrza. Wedle wierzeń innego plemienia wyspy Borneo, dostają się do krainy dusz tacy tylko, którzy zmarli naturalną śmiercią na ziemi. Tych nie trapi przedśmiertna obawa, bo wiedzą, że w krainie dusz będą spokojnie uprawiali swoje ryżowe plantacye, będą zarzucali sieci na ryby, lub w lasach polowali na zwierza. Ale nie dostąpi tego cichego, rodzinnego życia poza grobem, kto padł ofiarą zabójstwa, albo zmarł przedwcześnie, jak n. p. kobieta w czasie porodu. Zatrzymany po drodze, już prawie przed samym celem nużącej podróży, musi zostać na żywot wśród nieustannych morderstw, na żywot przesycony smutkiem i przepełniony jękami umierających, przesiąknięty czerwienią krwi, i przepojony goryczą palących łez.

Jeżeli jednak kraina dusz, dotąd jako szczegółowy obraz życia jednostki, nabierze więcej ogólnego charakteru, jako kraina spokojnego, wesołego życia, bez trosk, jako kraina szczęścia, jeżeli wejdzie z nią w związek i podróż, którą każda dusza musi przebyć w pogoni za innem życiem, wówczas w stadyum przejściowem zaczną zaznaczać się zmiany dawnych poglądów.

Oto droga do krainy dusz, dotąd łatwa i dostępna dla wszystkich, poczyna najeżać się trudnościami a nawet prze-

rażać grozą miejsc, które musi przebyć, spragniony pozagrobowej ciszy podróżny. Właściwie jednak nie przedstawiają jeszcze te trudności lub niebezpieczeństwa, napełniające strachem wędrującą duszę, nic takiego, co możnaby zamknąć pojęciem: teoryi odwzajemnienia. To nie jest jeszcze kara, ani nagroda za uczynki na ziemi, ale raczej próba zręczności, dowcipu, wytrwałości, przytomności umysłu lub coś podobnego. Morza płomieni, mosty, rzeki, skalne urwiska, upiory i t. p. niemiłej natury niespodzianki, spotykają zrazu każdego, zdążającego do krainy szczęścia, są to ciernie, o które może pokłuć się niezręczny lub ominąć je zgrabny, zrywający kwiat głogu. Jedni idą siłą, drudzy podstępem, inni przedostają się sprytem, jeszcze inni przekupstwem i wszystkie te przymioty, jakie one są, są dobre, byle prowadziły do celu, ale mieć je musisz, są one bowiem czemś w rodzaju żelaznego listu, zawarowującego bezpieczeństwo temu, kto pamięta, by się nim zaopatrzyć, ale wpychającego równocześnie w katastrofę każdego, kto o nim zapomniał, bez względu na to, jakim był który z nich za życia. A jednak wierzenia takie znamionują już pewien postęp, są one niejako zaczątkiem przyszłych wyobrażeń o nagrodzie lub karze na drugim świecie, za uczynki na ziemi.

Dusza uchodzi z ciała i zdąża do krainy spokoju, szczęścia, idzie na życie lepsze, doskonalsze, aniżeli życie na ziemi. Na świecie jest tak, że kto chce sobie wygodniejszy byt zapewnić, musi walczyć, łamać się z trudnościami, cierpieć i smucić się, bo bez trudu nic; ale zato potem używa owoców swej pracy w zadowoleniu a może nawet szczęściu. Kraina pozagrobowa, jest fantastycznem odbiciem stosunków ziemskich: nie ominie cię, ale napiętrzone w drodze trudności musisz pokonać, nie zechcesz, czy nie potrafisz i ulegniesz im, wówczas ginąć musisz bezpowrotnie. Nikt nie będzie sądził tam twoich uczynków, nikt ważył na szali sprawiedliwości; zależysz sam od siebie, od swojej własnej zręczności, wytrwałości lub przytomności umysłu, jak w życiu na ziemi; chcesz czy nie chcesz próbie poddać się musisz. Jest ona tedy jakgdyby oczyszczeniem, przygotowa-

niem się do życia, którego dusza, w chwili porzucenia ciała, nie jest jeszcze godną.

Indyanin Ameryki wierzy w raj po śmierci, wierzy w istnienie krainy, zawsze jasnej, promieniejącej słońcem, kędy ani wichr nie zawyje, ani nie zagrzmi burza, gdzie nie zawiśnie najdrobniejsza nawet chmurka, zaś na glebie nie uprawianej ręką ludzką, schodzi każda roślina taka nawet, która nigdy nie udałaby się na ziemi. Dlatego właśnie dostać się do tej krainy nie łatwo. Wprawdzie, jak mniema przeważna część plemion indyańskich, nie ma tu ani kar, ani też nagród za czyny na ziemi, ale przecież dusza nie jest godna dostąpić tego pozagrobowego szczęścia w tym stanie, w którym opuszcza ziemię. Więc u pewnych północno amerykańskich indyańskich ludów, muszą przechodzić dusze zmarłych przez wąską, śliską kładkę, zarzuconą nad jeziorem, o cuchnących falach. Czasem jest kładką tą cienka gałąź drzewna, niekiedy znów gładki śliski grzbiet węża, rozciągniętego nad mętną, błotną kałużą. Kto wpada w nią tonie na zawsze, zaś komu uda się ujść z życiem z toni, ten przemienia się w żółwia, lub przeistacza w rybę.

Dusze Alfurów wędrują po śmierci ciała do krainy »Sorga«. Tylko ten, który przebył tę drogę, wiodącą pod morzem płomieni, parną i duszną, potrafi opowiedzieć o mękach, na jakie naraża się każdy, spragniony pozagrobowego szczęścia, podróżny. Przed samą bramą, na wąskiej ścieżynie siedzi ogromny, dziki pies Maweang, i biada temu, kto nie wziął z sobą z ziemi małej perły »telak«! Zginie bezpowrotnie w paszczy potwora!

Ostatecznie jednak przez cieniuchny pomost, przejść może równie zły, jak dobry, jeśli jest zręczny, małą perłą »telak« okupi się najgorszy nawet, jeśli pamiętał tylko, by zabrać ją z sobą. Kto rozumiałby »dobro« i »zło« z naszego stanowiska pojmowania rzeczy, ten dopatrzyłby się w powyższych przykładach przypadkowości. Tymczasem tak nie jest, bowiem wszystkie te własności, w które uzbrojoną być musi, zdążająca na nowe życie dusza, uchodzą na ziemi za przymioty i można je ze stanowiska pierwotnych

plemion niewątpliwie uważać za te same, co my oznaczamy pojęciem »dobra«.

»Dobrzy« — mawiał pewien wódz Pauniów — są dobrymi wojownikami i dobrymi myśliwymi«. Podobnie też, wedle wiary krajowców Nikaraguy, szli ludzie, których śmierć spotkała w domu, pod ziemię, ale ci, którym dane było poledz na placu boju, dążyli jasną drogą na wschód, do szczęśliwej siedziby bogów. Jasnem jest tedy, że tylko dzielny i sprytny, nie przestraszy się potwora, lub przejdzie bez szwanku nad groźną przepaścią, przesuwając się po wąskim pomoście śliskim lub ruchomym. Komu brak odwagi, lub jest niedołęgą, ten stchórzy, albo ulegnie, bo droga ta jest wyobrażeniem trudności i przeszkód, jest areną dla wypróbowania odwagi, zręczności lub siły, jak droga życia.

W miarę, jak w tych poglądach etycznych zajdą nowe zmiany, będą zmieniali się i ci, którzy trudności podróży przezwyciężą i ci, którzy padną ich ofiarą, ale zawsze będą jedni tacy, dla których nowe, jasne życie w krainie dusz rozpali się i tacy, którzy bądź przepadną i zginą na zawsze, bądź też wieść będą cichy, smutny żywot, raczej o cechach nędznej wegetacyi, niż życia.

Neger Akpoto, jeśli umiera z przeświadczeniem, że swym wierzeniom wierny pozostał aż do ostatnich godzin swego życia, porzuca rad ziemię, do której tak mało jasnych wiąże go wspomnień i idzie, jako bezcielesny powiewny wędrowiec do krainy dusz. Niech nie myśli nikt, że podróż tam krótka lub łatwa! Duch wędruje 1000 lat po długim, bardzo długim moście, cienkim jak ostrze miecza i zarzuconym nad bezdenną otchłanią. Przecież wyrusza śmiało, bo prawdziwie wierny przejdzie tę drogę, aby w jasnej krainie dusz odetchnąć nowem, lepszem życiem, aby spocząć i spoczywać na zawsze.

I Rukujenni wędrują ku świetlanej krainie niebieskiej, ale źli pozostają po drodze i zawieszeni w chmurach pędzą jednostajny, tułaczy żywot. Gorzej dzieje się złej duszy Czokta. Wpada ona do brudnej, cuchnącej, wstrętnej rzeki, pełnej rozkładających się, prześmierdłych ciał rybich i gni-

jących żółwi, kędy ani nie ujrzy promyka słońca, ani nie zazna spokoju, ani jednej, jasnej nie przeżyje godziny.

Takie to są wierzenia ludów pierwotnych, dotyczące losów duszy poza grobem. Przebija się w nich idea nagrody i kary po śmierci za uczynki za życia, tylko należy pamiętać, że w pojęciu ludów pierwotnych przedstawia się cnota inaczej niż w naszem, że ludzi złych i dobrych cenią one wedle innej miary, aniżeli my zwykliśmy to czynić. Właśnie też dlatego nie mamy powodu przypuszczać, że wierzenia te zostały zapożyczone skąd inąd, że zostały przyjęte przez zetknięcie się z cywilizacyą białych. Jeżeli jednak w tym razie ma ta pierwotna teorya odwzajemnienia czyli zapłaty wszelkie cechy miejscowe czyli swojskie, to znowu gdzieindziej obawa, co do obcego wpływu, znajduje często pełne uzasadnienie, zwłaszcza gdy rozchodzi się o jakość kary po śmierci.

Życie w krainie pozagrobowej dla dusz złych, jest najczęściej ujemną kopią tego obrazu, jaki przedstawia życie wybranych kraju szczęśliwości. Tu radość, tam smutek albo apatya, tu dostatek, tam brak, tu jasność i wesele, tam ciemnota i cisza ponura, posępna i złowroga. Niektóre wierzenią posuwają się nawet tak dalece, że »złym« odmawiają zupełnie życia po śmierci: ich dusze pozostają w grobach i gniją wraz z ciałem. Jak jest, nie ulega wątpliwości, że wyobrażenia o piekle, jako ziejącej ogniem przepaści, w której dusze, wystawione na żar płomieni cierpią najsroższe męki, są obce ludom pierwotnym. A przecież spotykamy je w wierzeniach niektórych plemion pozornie jako zupełnie swojskie, ale w istocie rzeczy jako zapożyczony skąd inąd, element. Jan Smith, rozbierając kwestyę przyszłego życia u Indyan, opowiada o krainie szczęśliwości, położonej za górami w zachodniej stronie nieba. Jestto tylko kraina wodzów i dzielnych wojowników i znachorów. Umalowani i zdobni w pstre pióropusze, tańczą oni z duchami przodków i śpiewają, spędzając wesoło dni nowego żywota, a tymczasem dusze innych, zwykłych śmiertelników, pospolitych

ludzi, umarły już, zamknięte w grobie, albo umierają jeszcze w mękach obok swego ciała.

Wierzenia te nie nasuwają żadnych wątpliwości co do swego pochodzenia, tak, że możemy uważać je za czysto miejscowej natury. Inaczej ma się rzecz z życiem przyszłem, przedstawionem u tego samego plemienia przez Heriota. Według niego idą dobrzy do przybytków bogów na wieczne szczęście, źli zaś dostają się, do gorejącej nieustannym ogniem otchłani, leżącej w zachodniej stronie na ostainich krańcach ziemi, a zwanej: »Popogusso««. Pajaguanin spędza wesoło czas w krainie umarłych, łowiąc obfite ryby w czystych wodach jasnego jeziora, ale zły jego współplemieniec nie zazna tego szczęścia. Strącony w przepaść musi prażyć się w rozpalonym kotle, wśród najstraszliwszych udręczeń. Niewątpliwie mamy tu do czynienia z domieszkami obcych, wyższych systemów religijnych, od których należy koniecznie oddzielić swojskie rodzime motywa, aby módz stworzyć sobie obraz wierzeń samodzielnych danego plemienia.

Ale ostatecznie w miarę kulturnego postępu na ziemi okaże się i podział pozagrobowego świata na dwie krainy, jako nie odpowiadający ze wszystkiem stosunkom rzeczywistości. Już bowiem w życiu łatwo rozróżnić trzy najbardziej rzucające się w oczy klasy ludzi. Jedni stoją na czele, odznaczają się, przodują innym, drudzy przedstawiają przeciwną ostateczność, jako źli i zasługujący na kary, zaś między nimi, w pośrodku, kupi się pozostała i największa warstwa ludzi, hołdująca hasłu: »aurea mediocritas«, nie pnąca się zbyt w górę, ale też i nie spadająca zanadto na dół. Dla tej to trzeciej właśnie i pośredniej warstwy ludzi niema dotąd zupełnie miejsca po śmierci. Do krainy wielkich, zasłużonych dusz, nie nadają się, jako, nie mogące sprostać ich przymiotom, wpychać ich do drugiej, jest rzeczą nietylko krzywdzącą, ale też sprzeciwiającą się stosunkom na ziemi. Nie pozostaje zatem nic innego, jak stworzyć dla nich trzecią krainę, ani tak przesyconą szczęściem jak pierwsza, ani tak smutną jak druga, lecz pośrednią. Jednostajność kolei życia znamionuje tę trzecią krainę, ten czyściec, jakim jest na

Havaii państwo Milusa, w pośrodku pomiędzy królestwem Wakea i miejscem smutku, nad którem panuje Pokidni, albo w wierzeniach Meksykańskich plemion jednostajny Tlalok, w przeciwieństwie do szczęśliwego życia na Słońcu lub ponurego Miktlanu pod ziemią.

Te trzy rozdziały, na które rozpada się kraina dusz są podstawą, która, z postępem kulturnym swoich twórców, poczne ulegać zmianom i poprawkom sama w sobie. Im subtelniejsze będą odcienia dobrego i złego, tem też szerszą skalą mierzyć będą ludzie wzajemnie swoje czyny, zaś w ślad za tem rozpadnie się i każdy z powyższych oddziałów w krainie dusz na odpowiednią ilość poddziałów i podpoddziałów, w których każda kategorya ludzi znajdzie dla siebie miejsce, dostosowane ściśle do miary zasług na ziemi.

Dante w swej »Boskiej komedyi« odtworzył nam obrazek pojęć tego rodzaju.

Przegląd obrzędów pogrzebowych uwydatni jeszcze żywiej i silniej podkreśli wierzenia ludów pierwotnych dotyczące duszy i jej drugiego życia poza grobem. Istnieje bowiem ścisły związek pomiędzy wartością, jaką przywiązuje człowiek na stopniu pierwotnej kultury do duszy a ceremoniami pogrzebowymi: są one, można powiedzieć, otwartą księgą jego religijnych wyobrażeń.

Dla plemion, które nie stworzyły sobie jeszcze zupełnie, a przynajmniej nie rozwinęły idei o duszy, nie przedstawia zmarły żadnej innej wartości, aniżeli pierwszy lepszy produkt gospodarczy: nadarzająca się sposobność, nie pozwala krewnym lub znajomym wstrzymać się od wstrętnej biesiady, odmówić sobie obrzydliwego przysmaku.

Ponoś jeszcze do dziś dnia mają istnieć tacy zjadaczy trupów swych krewnych w środkowej Afryce, a możliwe jest przypuszczenie, że nierzadki zwyczaj spożywania ciał nieprzyjacielskich, jak to czynią Niam-Niam lub Monbuttu, wypada uważać za echo tych prapierwotnych praktyk. Zamieszkujące wybrzeża zachodniej Afryki nad zatoką Biafra

plemię Fan, utrzymało się w stadyum zbliżonem, ale zawsze już nieco postępowej kultury. Oto zmarłego nie zjadają jego krewni, ale oddają go innym, obcym tego samego plemienia na ucztę, ci zaś, zobowiązani do podobnego rewanżu, zwracają znów w najbliższej przyszłości zwłoki swego zmarłego hojnym ofiarodawcom.

Porzucanie trupa na żer zwierzętom, jest niezaprzeczonym wyrazem postępu.

Pewne plemiona w Nowej Zelandyi wyrzucają zwłoki zmarłych, w ostatnich czasach przeważnie niewolników, jako pokarm dla psów, zaś podobnie postępują Mongottowie, Massajowie wschodniej Afryki i wiele innych. Ciała ludzi niższej kasty lub niewolników w zachodniej Ameryce i na wielu wyspach Polinezyi rozszarpywało ptactwo, a w Tybecie jest jeszcze do dziś dnia przecież w zwyczaju, że bogatsi porzucają na rozdzióbanie ciała swoich zmarłych, podczas gdy biedacy topią je w wodzie, ku nieopisanej uciesze ryb i innych rzecznych mieszkańców.

Śmierć Parsa, jest hasłem do biesady dla sępów. Ponieważ święta księga Parsów, Zendawesta, uczy, że przez palenie ciał, grzebanie ich w ziemi lub topienie w wodzie zanieczyszcza się święte żywioły, przeto nie pozostaje im nic innego, jak wystawić trupa na żer ptactwa, zlatującego się ze wszech stron do t. zw. »dekhma« czyli wież milczenia. W pobliżu miasta Bombaj, na jednym z najwznioślejszych pagorków okolicy, wznoszą się te sławne wieże, obwiedzione wysokim murem dokoła, z wąską bramą, od której długi rząd, wolno spadających wschodów, wiedzie do stóp »wzgórza śmierci«. Wstęp wzbroniony tu każdemu, kto nie jest Parsem. Z wieńca muru sterczy siedm wież, których podłoga, wyłożona płytami kamiennymi, przedstawia trzy współśrodkowe koła, wklęsłe ku otworowi, wiodącemu do nader głębowiej sadzawki. Pierwsze i najmniejsze koło, przeznaczone jest dla trupów dziecięcych, drugie dla kobiet, trzecie wreszcie o największej średnicy, dla mężczyzn.

Wieczny ogień święty, ołtarz modlitwy za zmarłych, płonie u wejścia do tej ponurej, cichej świątyni śmierci, na któ-

rej murach prostują sobie skrzydła olbrzymie sępy, oczekujące niecierpliwie żeru. Ale oto i jest. Nassasalarzy, czyli służący pogrzebowi wnoszą mary, a zrzuciwszy z nich, odzianego w odświętne szaty trupa, rozdzierają na nim ubranie zapomocą żelaznych haków i odchodzą, wynosząc mary poza mury. Na to hasło zlatuje armia krwiożerczych sępów z swo-

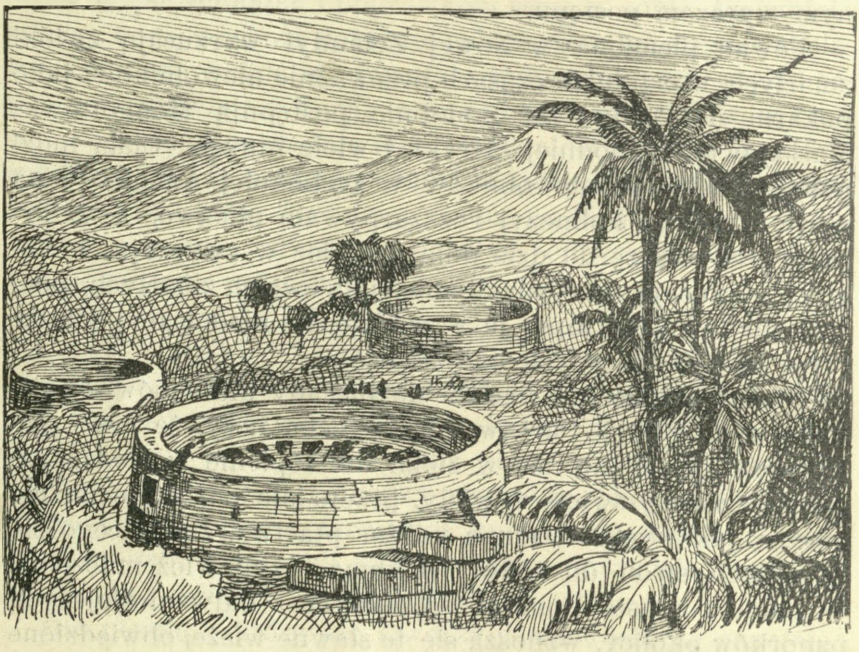

Ryc. 20 Dekhma czyli parskie »wieże milczenia«, rys. według Schurtza dr. W. W.

ich stanowisk, a nie trwa dziesięć minut, gdy powaca na nie, co oznacza, że ceremonia pogrzebowa już skończona. Nassasalarzy strącają resztę pozostałych kości do studni i znowu głucha, ponura cisza opanowuje to cmentarzysko, na którem nic, żaden znak, żadna pamiątka nie świadczy, że tyle już pokoleń spoczęło w jego murach. Milczy, a jednak mówi tak wiele!

Może ktoś uczyniłby zarzut, zresztą pozornie zupełnie słusznie, że zaliczanie Parsów, do ludów, które nie wybiły

się ponad najpierwotniejszy sposób chowania, jest niewłaściwe. Otóż dla objaśnienia musimy dodać, że wedle największego prawdopodobieństwa powstał ten zwyczaj u Parsów nie w myśl ustaw świętej księgi Zendawesta, ale jeszcze na długo przed nią, tak że właściwie ona przystosowała się do niego. Ze starych źródeł wiadomo, że dawni Persowie zawsze pozbywali się swoich trupów, porzucając ich zwłoki na łup drapieżnemu ptactwu, bądź też oddając je na żer, umyślnie w tym celu utrzymywanych świętych zwierząt. Ten zwyczaj można spotkać jeszcze obecnie w niektórych okolicach południowej i środkowej Azyi. Możliwe więc, a nawet bardzo prawdopodobne, że ten zwyczaj jest tylko nową przygrywką na nutę starej melodyi.

Ludom, zamieszkującym okolice nadmorskie, albo też pobrzeża wielkich rzek, wygodniej jest znacznie zatapiać zwłoki w wodzie, a zwyczaj ten, jakkolwiek dość pierwotnej natury, zachował się nawet wśród tych plemion, które postąpiły nieco w cywilizacyi. Utrzymał się on, ale w postaci udoskonalonej poniekąd pod względem estetycznym.

Do krainy śmierci, znajdującej się gdzieś daleko na zachodzie, płyną już zwłoki w odpowiednie zbudowanych czółnach, zaopatrzonych też we wszystko, co może być duszy potrzebnem na tę daleką, nieznaną podróż.

A cóż może być jej potrzebnem? To rzecz względna. Ponieważ życie w krainie umarłych jest dalszym ciągiem życia na ziemi, więc jasne, że to, czego tu używa i tam mieć musi, powinna więc zabrać z sobą to, co do niej należało na ziemi. Oprócz tego należy wyposażyć ją w takie rzeczy, które zdać się jej mogą w czasie podróży, przedstawiającej się różnie w wyobraźni różnych ludów, ale zawsze niezbyt ponętnie.

Afrykańscy Eweowie wkładają umarłemu między innymi przedmiotami, także lulkę i tytoń. Gdy zapytasz, dlaczego to czynią, objaśnią cię, że każda dusza musi przepływać rzekę Wolta, która może sama, jako taka nie tyle jest nieprzyjemną, ile raczej budzi przestrach i wstręt stróżka jej, ohydna, stara kobieta, przejmująca grozą podróżnych. Naj-

gorsza rzecz, że wiedźna ta zatrzymuje dusze i każe im lizać swoje obrzydliwe rany, które pokrywają całe jej cielsko. Jakoż na szczęście boi się ognia i nie znosi dymu. Skoro tedy ujrzy już z daleka kurzącą się lulkę, odwraca się i napędza co żywo przewoźnika, aby przyspieszał biegu i znikał jej z oczu. To jedno. Ale na tem nie koniec. Trzeba też bowiem dać coś i przewodnikowi łodzi umarłych. Za ten datek przewiezie on duszę przez różne niebezpieczne miejsca rzeki, wiry i rafy i wysadzi ją wreszcie u jej ujścia, na wielkiej, piaszczystej równinie, kędy duchy gromadzą się nocą do odlotu. Nad Tanganika mieszka plemię Batua, które grzebie umarłych w korycie rzeki, odprowadzonej, na czas pogrzebu, na inną drogę, ale też powiadają o niem, że trupy swe składa w dziupłach drzew, przysypując je ziemią i przykładając gałęziami. Amerykańscy krajowcy z nad zatoki Jaknina puszczały zwłoki, złożone w czółnach na morze. Kiedy rozpoczął się przypływ, poczynały te czółna nagle, jakgdyby jakąś czarodziejską wywołane siłą, ukazywać się na powierzchni fal i zdążały ku brzegom, gdzie stało już mnóstwo innych, które, pozbywszy się martwego ciężaru, czekały na świeży transport. Czasem znów gdy była noc cicha, rozmarzona, srebrna od miesięca, iskrzyły się z daleka wody, jak mętne oczy ludzkie, a gdy wiatr powiał z za morza, niósł z sobą jakieś dziwne, przytłumione głosy, w których słyszeli pozostali skargi swej zmarłej braci.

Tunguz widzi już za życia swoją trumnę, widzi, gdyż nosi ją z sobą, szczególniej, gdy wybiera się w podróż. Do tego czółna, zbitego z trzech dwumetrowych desek, o szerokości 35 cm., złożą kiedyś jego zwłoki i, przykrywszy skórą rena, porzucą na łaskę losu.

Może nie zawsze związany jest zwyczaj, puszczania umarłych w łodziach na wodę, z ideą, że kraina dusz jest wyspą na morzu. Zapewne przeważa tu w wielu razach obawa, chęć pozbycia się umarłego i jego pretensyi do przedmiotów i miejsca, na którem spędził swe życie. Wędrująca w pobliżu ciała dusza, pójdzie za niem na morze i tam wszędzie, kędy wicher łódź pogna, aż znalazłszy się daleko od lądu,

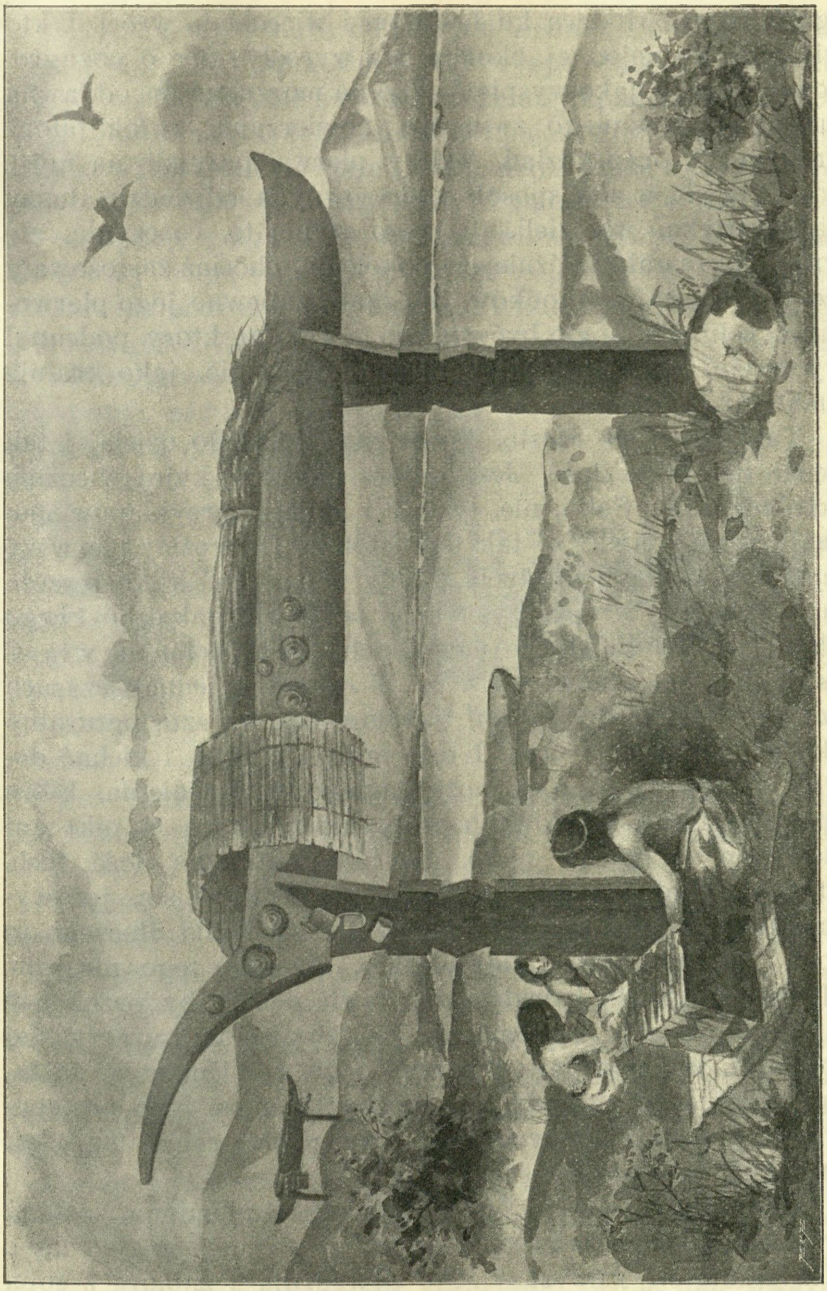

Ryc. 21. Trumna Indyan półn. zach. Ameryki, (rys. wedł. Schurtza A. B.).

zgubi drogę, wiodącą ku brzegom i więcej nie wróci. I kto wie, czy w niejednej okolicy nie wyrosły idee o pozagrobowej krainie, jako wyspie daleko na morzu, na tle, oddawna już praktykowanego zwyczaju, powierzania zwłok falom. Pradziad i prapradziad, którzy pierwsi przyszli na myśl, pozbycia się w ten sposób interesownych odwiedzin duszy nieboszczyka, wiedzieli, dlaczego czynią to, co czynią, ale wnuki, prawnuki i późniejsze pokolenia, chociaż zastosowały się do zwyczaju przodków, nie znały zapewne jego pierwotnego celu. To mogło być właśnie motywem, który podsunął wyobraźni mit, o dalekiej, nieznanej wyspie, jako krainie umarłych.

Tak dzieje się często, nawet zawsze, aż do dzisiaj i tak będzie na przyszłość. Jestto stara piosnka, która wiecznie odmładza się. Setki, nie, tysiące i miliony przykładów możnaby przedstawić, że tak jest istotnie. Ot, weźmy pierwszy lepszy z codziennego życia. Kiedy n. p. przed kilku jeszcze laty kichnąłeś w towarzystwie, w tej chwili, jak echo twego głosu, odzywały się ze wszystkich stron wołania: wiwat! »sto lat«! »na zdrowie« i t. p. W ostatnich jednak czasach rzucono hasło, aby na ten fizyologiczny, zresztą naturalny akt, nie zwracać uwagi. I dziś możesz kichać i kichać dowoli, a pewnie, oprócz może nagłego wstrząśnienia, które spowodujesz u nerwowych osób, nie odpowie ci nikt ani słówkiem. Przecież ręczę, że, jak przeważna ilość tych, którzy niegdyś, zaledwie dopiero skrzywiłeś się, już wyprzedzali cię swojem życzeniem, nie wiedziała dlaczego to robi, tak wie dzisiaj niewiele kto, dlaczego tego nie robi. Mimoto warto tu i ówdzie nadstawić ucha, aby przekonać się, jak opacznie wytłómaczyli ciekawsi cel tej towarzyskiej formułki, jak dowolnie stworzyli sobie całkiem nowe fakta, tak dalekie od prawdy, jak bezkrytycznem było postępowanie, przestrzegających ściśle w tej mierze reguł, tego, tak »wielkiej doniosłości« savoir vivre.

Przypuśćmy teraz, że owe nadmorskie plemiona, zostaną wskutek jakichkolwiekbądź przyczyn wyparte w głąb lądu. Cóż stanie się wówczas? Oto powędrują i zabiorą z sobą

swoją duchową kulturę do nowych siedzib. Pójdzie więc za nimi wiara, że kraina dusz jest wyspą daleko na morzu, a tem samem utrzyma się idea, że zmarły musi mieć łódź, aby mógł dostać się do tej krainy, natomiast zmieni się dawny obrzęd puszczania zwłok na wodę, gdyż jej tu niema i przystosuje do nowych warunków. Zamiast tedy oddawania zwłok wodzie, pocznie człowiek pierwotny grzebać je w ziemi, ułożywszy trupa wprzód w czółnie zupełnie tak, jakgdyby czekała go podróż przez morze. Niektóre plemiona składają tylko na jakiś, krótszy lub dłuższy przeciąg czasu, zmarłego w czółnie, poczem grzebią zwłoki, zaś łódź ustawiają na grobie lub obok niego, przeznaczając ją na usługi duszy.

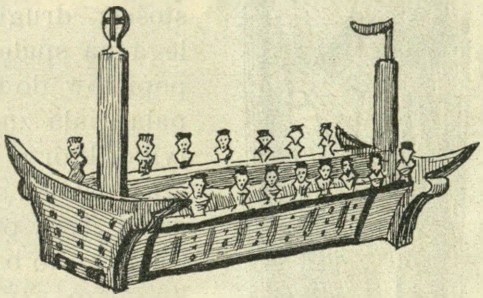

Ryc. 22. Symbol łodzi umarłych z Nikobarów, (rys. wedł. Schurtza dr. W. W.).

Jak na naszych grobach krzyż, tkwi na mogile mieszkańca Nukuor, jednej z mniejszych wysp z grupy Karolinów, wiosło. Możliwą jest rzeczą, że i postać trumien, używanych obecnie u nas, jest echem tych właśnie pierwotnych wierzeń, tembardziej, że postać ta przypomina poniekąd postać łodzi.

Trumny podobne znamy jeszcze zresztą z czasów przedhistorycznych, a jedną z takich przedstawia załączona rycina.

Obawa przed duszą zmarłego, która, pozbywszy się swej cielesnej powłoki, pocznie dręczyć pozostałych, nękać ich swymi odwiedzinami, zsyłać niepowodzenia i klęski, podsuwa myśl zupełnego zniszczenia nieboszczyka, gdyż z losami jego ciała, związane są, jak wiadomo, ściśle losy jego duszy.

Takie wyobrażenia wiodą do zwyczaju palenia umarłych, dającego się śledzić u ludów pierwotnych na różnych stopniach kultury.

Ze wszystkich sposobów usuwania zwłok, ten uważać

należy za najracyonalniejszy, za najbardziej odpowiedni, nietylko ze względów estetycznych, ale i zdrowotnych, to też można spodziewać się prawie na pewno, że palenie ciał zmarłych, jak to już dziś wprowadzają niektóre państwa, będzie »pogrzebem przyszłości«.

Ryc. 23. Trumna Borum z Eshöi. Dania. (rys. wedł. Schurtza dr. W. W.).

Todowie, zamieszkujący Nilgiri czyli Góry błękitne, rozróżniają dwa rodzaje pogrzebów: »pogrzeb suchy i pogrzeb zielony«. Pierwszy święci się dopiero w rok po śmierci, z ogromną uroczystością, drugi następuje zaraz, a polega na spaleniu ciała i złożeniu jego popiołów do urny. Także Czukczowie palą ciała zmarłych, ale ponoś tych tylko, którzy sobie tego życzą. Podczas palenia się zwłok, stanowi, uchodzący dym, przedmiot bacznej uwagi. Chodzi o to bowiem, czy wznosi się on ku górze, czy opada na dół; w pierwszym razie jest to dowód, że dusza nieboszczyka poszła ku słońcu, w drugim, że została na ziemi, gdzie przemieni się w psa, rena lub jakiekolwiek inne zwierzę, wogóle w to, które nieboszczyk dręczył za życia lub obrażał.

Ideę, jaka przebija się w pogrzebie przez palenie ciał, wyraża u Indyan podanie Bonaków, które brzmi według Schurtza następująco: »Pierwsi Indyanie byli »kojotami« t. j. wilkami stepu. Skoro raz jeden z nich umarł, zapełniło się ciało jego drobnymi zwierzętami, czyli duchami, jak sądzili. Łażąc pewien czas po zmarłym, zaczęły przybierać te robaki różne postaci, jak: jelenia, łasic, antylop i t. p. Zauważono również, iż niektórym z nich

przyrastały skrzydła i te, wyleciwszy w powietrze, krążyły akiś czas tam i napowrót, ale wreszcie odleciały ku księżycowi. Starzy kojoci, czyli Indyanie, bojąc się, aby w ten sposób nie wyludniła się ziemia, postanowili położyć kres temu, przez palenie każdego z nich, który umrze. Odtąd palą ciała swych zmarłych«.

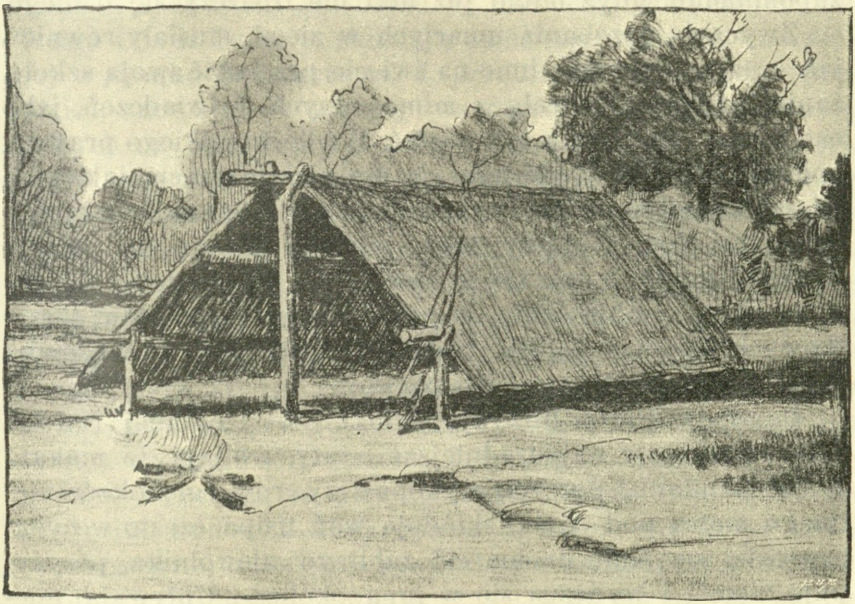

Ryc. 24. Grób Seminolów w półn. Ameryce. (Rys. wedł. Schurtza dr. W. W.).

Ze stanowiska wiedzy sądząc, przynosi zwyczaj palenia zwłok, ogromną szkodę nauce. Do dzisiejszego dnia nie zdołano n. p. uzyskać, do żadnego z antropologicznych muzeów, czaszkę Tody, co, dla obecnego stanowiska antropologii, jest nigdy nie nagrodzoną stratą.

Gdzieniegdzie łączą się albo obadwa sposoby chowania zmarłych razem, albo też istnieją u jednego nawet plemienia oddzielnie obok siebie.

Starogermańskie, nadmorskie plemiona, składały zmarłego do łodzi, którą puszczano na wodę i zapalano. Bata-

kowie postępują podobnie. Trup, odziany i owinięty w maty, zostaje złożony do łodzi, do której rzucają krewni monety, aby dusza mogła kupić sobie, co zechce, w czasie pozagrobowej podróży i umocowują wiosło, ażeby miała czem przeprawić się do krainy dusz. Tę całą pracę i zwłoki i łódź pochłonie wkrótce ogień, zaś popiół, zsypany do umyślnych, okrągłych naczyń, spocznie w ziemi i ulegnie zupełnemu zapomnieniu, gdyż odtąd już nikt nie troszczy się o niego.

Zwyczaje grzebania umarłych w ziemi, musiały również, jak zresztą wszystko inne na świecie, przerobić swoją szkołę, zanim wykrystalizowały z mimowolnych doświadczeń, jako ostateczna, poprawna ich postać. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa były pierwsze groby niczem innem, jak tylko mieszkaniami ludzkimi, porzuconymi wraz ze zmarłym i przysypanymi ziemią. Ludy takie istnieją jeszcze do dzisiaj, u wielu innych zwyczaje te zatarły się wprawdzie, ale pozostawiły po sobie ślady, w postaci t. zw. zwyczajów szczątkowych, będących dla badacza nieocenioną wskazówką drogi, którą postępował ich rozwój.

Bagobowie n. p. ubierają zwłoki, wśród ogólnej radości całej rodziny, w najparadniejsze szaty, owijają je makatą z liści pandanu, poczem, wykopawszy rów, głębokości jednego metra pod chatą, składają weń trupa, często w towarzystwie, umyślnie na ten cel zabitego niewolnika, przysypują ziemią i wynoszą się w inną okolicę. Upływają miesiące i lata, a nikt nie zagląda do opustoszałego schroniska, w które powoli wgryza się ząb czasu coraz bardziej i bardziej, aż wreszcie nie pozostanie nic, co mogłoby świadczyć, że w tem miejscu znajdowała się niedawno jeszcze ludzka siedziba.

W jednym z poprzedzających rozdziałów niniejszej książki, mieliśmy już sposobność przypatrzeć się, jak szkodliwem jest tego rodzaju postępowanie dla rozwoju pierwotnego gospodarstwa. To też, jako postępowy czynnik witać należy te zwyczaje, które, w miejsce porzucanych dawniej domostw, każą budować dla zmarłego umyślne schroniska i tu składać jego zwłoki, często w czółnie i na odpowiedniem pod-

niesieniu. Ale samo pomieszkanie, wystawione w zamian za dawne, jeszcze nie wystarcza. Dusza bowiem potrzebuje pokarmu tak jak człowiek, to też, nie chcąc jej droczyć, schodzi się rodzina co pewien czas do takich domków pośmiertnych i pozostawia tu potrzebną żywność i napój, niby równoważnik tego, co objęła w swoje posiadanie po zmarłym. Tak dzieje się na Tahiti, gdzie nawet przechowało się podanie o dawnem grzebaniu w domach mieszkalnych, na Tonga i t. d. Tu n. p. składają zmarłego do łodzi, ustawionej w domku pośmiertnym, a, przebrawszy go w odświętną odzież, zrzucają do trumny wszystkie jego kosztowności, których używał za życia. Po ukończeniu tych czynności, rusza cała pogrzebna drużyna nad morze, gdzie odbywa się plecenie koszyków z liści palmowych i napełnianie ich piaskiem, którym ma być przysypany wierzch grobu zmarłego. Tymczasem mężczyźni budują sobie tuż obok domku pośmiertnego lekki szałas i tu, zajęci »świętymi czynnościami«, przebywają dwadzieścia dni, poczem idą znów na wybrzeże i znów plotą kosze i znów zbierają do nich jasny i ciemny piasek, aby wsypać go zmarłemu do grobu i zakończyć tem samem uroczystość pogrzebu. I u starych Jakutów było niegdyś w zwyczaju, że, gdy kto umarł, robili domownicy zagrodę lub budowali mały domek z brzozowej kory, gdzie pozostawiano, odświętnie przywdziane zwłoki, na łaskę losu. Ciało albo gniło po pewnym czasie, albo też stawało się pastwą zwierząt drapieżnych. Jednak, zanim budowano te domki pośmiertne z brzozowej kory, lub zagrody, była w zwyczaju u Jakutów owa wspomniana powyżej, pierwotniejsza postać pogrzebu, oddająca dom wraz z całym dobytkiem dla nieboszczyka. Jeszcze dziś, jako słabe echo tych odległych czasów można zauważyć, że, ledwo kto umrze, wynosi się zamożniejszy Jakut, albo na jakiś czas tylko z domu, albo też wyprowadza się na zawsze. Czynią tak szczególniej — jak zapewnia Sieroszewski — w ułusie kołymskim.

Gdzie sama przyroda, obfitująca w groty, jaskinie, podziemia, szczeliny skalne i t. p. nastręcza pierwotnemu człowiekowi dogodne i bezpieczne, naturalne grobowce, tam może

łatwo rozwinąć się z czasem zwyczaj budowania sztucznych grobów kamiennych, podziemnych jaskiń, grot i t. p. Takie, ręką ludzką wykonane groby, nad którymi przesunęła się lawina wieków, przechowały się do dnia dzisiejszego. Warto, choć na chwilę zatrzymać się przed tymi olbrzymami z ostatniej doby kamiennego wieku, warto przypatrzyć się tym megalitycznym zabytkom, zadziwiającym swoim ogromem, zastanawiającym nakładem pracy, jakiej użyć musiał przedhistoryczny budowniczy na ich wystawienie.

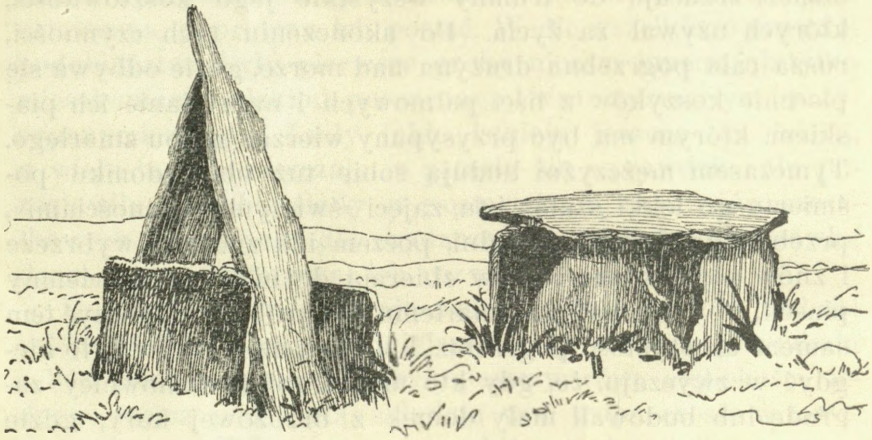

Ryc. 25. Grobowce dolmenowe Madi. Zach. Afryka. (rys. wedł. Ratzla dr. W. W.).

Znajdujemy się wśród t. zw. dolmenów, czyli, według dosłownego znaczenia wyrazu, stołów kamiennych«, naśladujących w istocie przedmiot, którego nazwę im nadano. Przedstawia tedy dolmen jedną, lub więcej kamiennych płyt, położonych na ustawionych pionowo kilku lub kilkunastu innych, tworzących bądź czworobok, bądź zamykających koło. Takie płyty dochodziły nieraz do znacznych rozmiarów. Północnoniemieckie dolmeny są zbudowane wszystkie z t. zw. głazów narzutowych, t. j. olbrzymich, po największej części, brył kamiennych, naniesionych tu z okolic północnych przez lody. Jak ogromną pracę musiał wykonać pierwotny

człowiek, podnosząc i układając martwe te olbrzymy, można sobie wystawić, gdy powiemy, że płyta wierzchnia jednego z największych dolmenów półn.-zach. Niemiec mierzy 5 m. długości, zaś 4·5 m. szerokości, a spoczywa na słupach granitowych, sterczących 2 m. ponad ziemię. Wielki ten dolmen jest jednak karłem, wobec dolmenu Bagneux pod Saumur w dolnym biegu Loiry, którego płyta pozioma przedstawia głaz grubości 1 m. o powierzchni 52 m².

Grobowce dolmenowe rozpowszechnione są po całej kuli ziemskiej, we wszystkich jej częściach, z wyjątkiem lądu australskiego, lecz, podczas kiedy w jednych krajach liczy się ilość ich na tysiące, to w innych znajdzie ich zaledwie

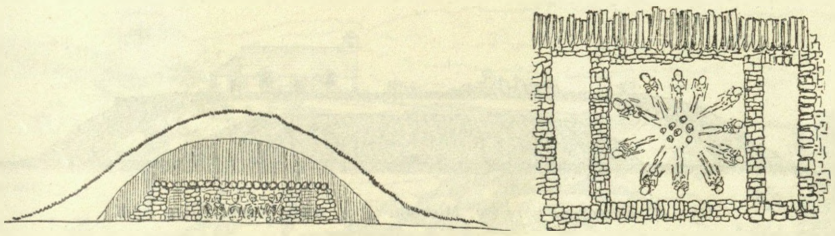

Ryc. 26. Podłużny i poprzeczny przekrój sztucznego wzgórza w Illinois w Ameryce półn. (rys. wedł. Schurtza dr. W. W.).

kilkanaście, zaś jeszcze w innych brak ich prawie zupełnie. Sama Francya posiada w 78 departamentach 3400 dolmenów, z czego n. p. na sam tylko dep. Aveyron przypada ich 435, na drugi, Morbihan 306, zaś na Ille-et-Vilaine tylko 15. Ze względu na ilość dolmenów wypada po Francyi ustawić Wielką Brytanię i Irlandyę, następnie Belgię i Holandyę. Między innymi odkryto w Berberyi tak wielką ilość dolmenowych grobowców, że cały ten, cichy, smutny jakiś kraj, którego mieszkańcy żyją wieczną obawą przed zmarłym i wszystkiem, co go otacza, wygląda jak wielkie cmentarzysko, zachowane właśnie, dzięki tej trwodze krajowców, zupełnie dobrze. Jenerał Faidherbe odkrył pod Roknią, w prowincyi Konstantyna, przeszło 3000 grobów dolmenowych. W wielu z nich znaleziono resztki zwłok ludzkich,

pochowanych w siedzącej postawie, obok nich garnki, ozdoby miedziane i parę innych przedmiotów z żelaza. Nie ulega więc kwestyi, że dolmeny były grobowcami, a grobowce takie stawiają jeszcze dziś niektóre plemiona pierwotne swoim zmarłym, jak n. p. Howowie na Madagaskarze.

Chcąc zabezpieczyć dolmeny przeciwko szkodliwym wpływom zewnętrznym, okrywał je człowiek pierwotny i zasypywał gliną lub namułem morskim i tak powstawały sztuczne wzgórza, kryjące w swem wnętrzu dolmeny. Czasem wzgórza te usypywano z drobnych kamieni, a wówczas noszą one nazwę »galgali«.

Podczas gdy w Europie przeważają dolmeny, roi się Ameryka od ogromnej ilości sztucznych wzgórzy, (mounds)

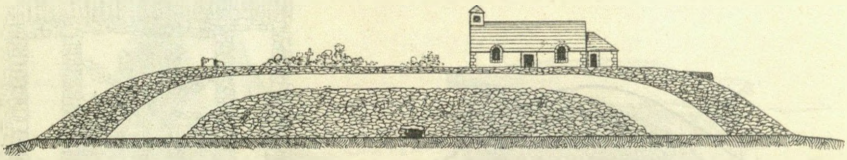

Ryc. 27. Przecięcie góry św. Michała. (Rys. wedł. Radlińskiego A. K.).

których n. p. jeden tylko stan Ohio posiada przeszło 10.000. Nie wynika stąd, aby w Europie nie było sztucznych wzgórzy zupełnie. Znane jest, między innymi, jedno z Morbihanu, zwane wzgórzem lub górą św. Michała, od nazwy, pobudowanego tu za czasów chrześcijańskich kościoła, na którego miejscu wznosiła się za Rzymian świątynia. Sto metrów wysoka, a tysiąc długa, wznosi się góra ta nad dolmenem, nad którym był usypany galgal, przysypany następnie ziemią i przykryty żwirem.

Podziwiając ten ogrom budowli przedhistorycznych, trudno, doprawdy, zrozumieć, co mogło zmuszać pierwotnego człowieka do tych prac herkulesowych, przypisywanych przez potomność nadludzkim istotom? Niewątpliwie, ani rozmiłowanie się w olbrzymich budowlach, ani chęć przekazania pamięci swej przyszłym pokoleniom, ale w pierwszej linii obawa przed zmarłym i cześć dla niego i pietyzm

złączony z tą obawą. Dusza, jak wiadomo, pilnując swego ciała, wychodzi z grobu od czasu do czasu i niewidzialna, idzie odwiedzać krewnych, znajomych i obcych. Zazwyczaj, a szczególniej na niższym stopniu kultury, są te odwiedziny mało pożądane, znaczą się bowiem raczej szkodą lub nawet nieszczęściem, niż pożytkiem. Im potężniejszym był człowiek za życia, tem większą obawę budzić będzie u pozostałych dusza jego po śmierci i tem większe z ich strony wysiłki kierować będą się ku temu, by dusze te w grobie zatrzy-

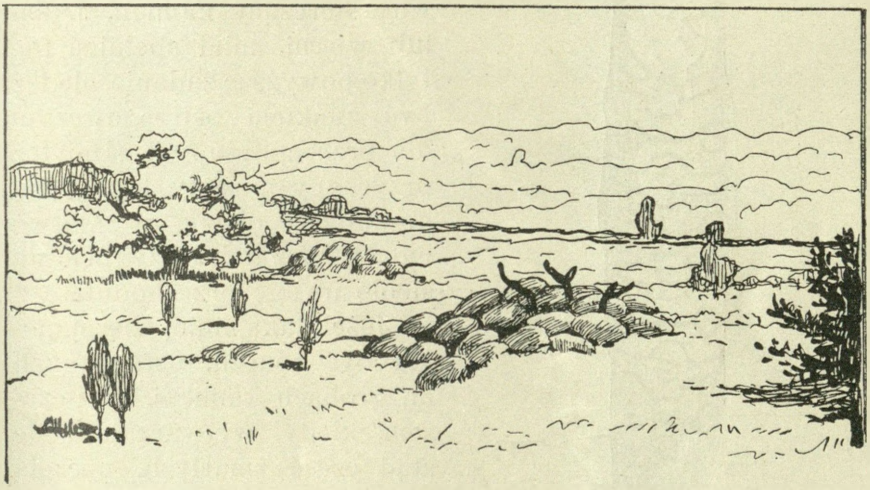

Ryc. 28. Grób Damara w południ. Afryce. (rys. wedł. Ratzla dr. W. W.).

mać, nie pozwalając im na robienie wycieczek, poza oznaczone granice grobowca. Ciężki, narzucony głaz lub wkopany w ziemię, ma jednak nietylko poskramiać zapędy samej duszy, ale też bronić dostępu drapieżcom, które, wygrzebawszy ciało na wierzch, ułatwią tem samem duszy ujście z niewygodnego więzienia. To też, niektóre plemiona, przysypując ciało ziemią, zarzucają grób kamieniami, aby uniemożebnić ucieczkę duszy i nie dozwolić wstępu zwierzętom.

Buszman, ułożywszy w grobie ciało naczelnika, przywala je kamieniami, zaś późniejsze pokolenia czynią to samo i do istniejących dorzucają coraz to nowe, aby w ten sposób

przywalić duszę, która mogłaby w przeciwnym razie »wyleść i ukręcić kark przechodniom«. Im większą była ta obawa, tem też silniejszą musiała być reakcya: narzucał tedy i napiętrzał człowiek głazy, które zawsze zdawały się mu za słabe, zawsze niedostatecznie krępowały wolność duszy, na karb której składano niepowodzenia i klęski w rodzinie, a nawet całem pierwotnem towarzystwie. Zapewne unikano zrazu starannie tych miejsc, więc sterczący kamień, jeden lub więcej, miał spełniać nie tylko powyższe zadanie, ale też być znakiem ostrzegawczym dla przechodniów. I z tej też przyczyny musiały to być widoczniejsze okazy, aby łatwo mogły już z daleka zwrócić na siebie uwagę przechodnia.

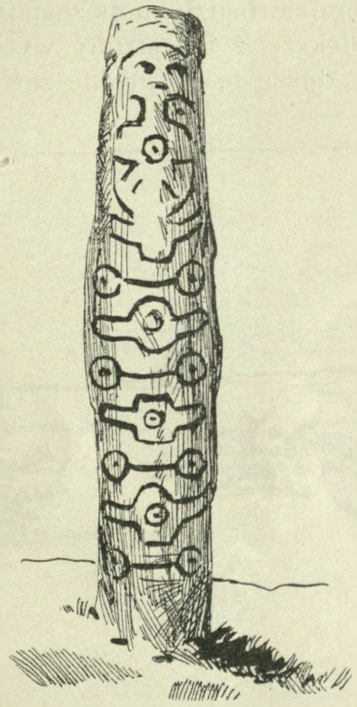

Ryc. 29. Menhir z Argentynii, (rys. wedł. Schurtza dr. W. W.).

Jeżeli taką mniej więcej mogła być geneza, ustawianych na grobach kamieni, to z czasem, kiedy, wytwarzająca się stąd cześć zmarłych, poczęłą przeistaczać się w cześć przodków, zmieniały i owe, narzucane na grobach głazy, dawne swoje znaczenie: wznoszone niegdyś, jako wyraz obawy, miały być obecnie dowodem czci i pamięci potomnych, zanoszących tutaj swoje prośby i modlitwy o szczęście i powodzenie w ważniejszych czynnościach życia. Były to już potężne przeważnie okazy, na których zawieszano trofea zwycięskie zmarłego, zanim poczęto gładką powierzchnię zdobić rysunkami, wyobrażającymi sceny z życia zmarłego.

Pytanie, czy sławne, megalityczne zabytki z kamiennej epoki, t. zw. »menhiry«, czyli, tłómacząc z bretońskiego »dłu-

gie kamienie«, lub kromlechy, t. j., ustawione w kwadrat lub zamykające koło menhiry, nie przechodziły tych, lub podobnych faz w swoim rozwoju.

Takich menhirów przechowało się w samej tylko Francyi, na przestrzeni 80 departamentów, 1633 okazów. Wkopane dolną swą częścią w ziemię, dochodzą te słupy do wcale potężnych rozmiarów wysokości. Tak n. p. menhir pod Cadiou (we Francyi) wynosi 8·5 m., licząc od powierzchni ziemi, ale jeden z najwyższych w dep. Morbihan, powalony dziś już na ziemię, przewyższał wspomniany o 12·5 m. wysokości, z czego 3 metry przypadało na podstawę, wpuszczoną w ziemię. Tak więc wysokość tego menhira wynosiła ogółem 21 m.

Jakiem było przeznaczenie wspomnianych przed chwilą kół kamiennych czyli kromlechów, złożonych z ogromnej nieraz liczby menhirów, a otaczających tyle przedhistorycznych mogił, trudno odgadnąć. W każdym razie nie wydaje się bardzo przemawiającem do przekonania przypuszczenie niektórych uczonych, jakoby one stanowić miały, dla niespokojnej duszy granice, utrzymujące ją zawsze w przyzwoitem oddaleniu od mieszkań ludzkich!

Kromlechy można zobaczyć do dziś dnia, między innymi, w Carnac. Przedstawiają one trzy prostokąty: Kerlescant, Kermarie, i Menec, złożone z około dziesięciu tysięcy słupów kamiennych, o rozciągłości wzdłuż, blisko pół mili austr. Właściwie jednak stoi dziś tylko około cztery tysiące menhirów, reszta zaś leży, po części zdruzgotana, na ziemi, po części znikła zupełnie, rozebrana do celów przemysłowych. Warto zaznaczyć, że podobne menhiry stawiały jeszcze do niedawna na grobach swoich zmarłych niektóre ludy pierwotne, jak n. p. Khiassowie w północno-wschodnich Indyach.

W niektórych jednak okolicach, ani nie grzebią zmarłych w ziemi, ani nie puszczają zwłok na wodę, ale chowają je wysoko nad ziemią, bądź na drzewach, bądź też na umyślnie w tym celu budowanych wyniesieniach. Zwyczaj taki stworzyły najprawdopodobniej geograficzne stosunki danej okolicy.

Mieszkańcy krajów północnych, gdzie często, silnie zamarznięta ziemia, nie pozwala na wygrzebanie dołu, używają albo stale chowania ciał nad ziemią, albo też tylko w zimie. Tak postępują właśnie Samojedzi. Latem zakopują zmarłych w ziemi, ale zimą, gdy wykopanie grobu, w głęboko mrozem zaskorupionej ziemi, wymagałoby olbrzymiego nakładu pracy, składają zwłoki do drewnianych skrzyń i ustawiają je na podniesieniu nad ziemią. Przebywający puszcze lub tundry podróżnik w kraju Jakutów, może nieraz zauważyć wyniesienia, z bielejącymi na nich, zmurszałymi kośćmi zmarłych protoplastów. Także powyżej wspomniane plemię Batua z nad Tanganika i wiele innych, jak np. Giotowie z Senegambii, składają ciało zmarłego w dziuplach lub umyślnych wydrążeniach drzew, zasypując je ziemią i przykrywając liśćmi.

I tu podobne względy grają pierwszą rolę. Ziemia, wyprażona skwarem słońca, wyschła, pękająca wielkimi szczelinami, nie nadaje się na groby; zresztą może także chęć ochronienia zwłok przed drapieżnością zwierząt, lub psotą ludzką, może myśl, że duszy bliżej stąd do pozagrobowej krainy stała się matką, tego dość rozpowszechnionego zwyczaju pogrzebów. Wogóle panuje tu wielka rozmaitość.

Ileż to razy badacz australskiego lądu znalazł, zaszyte w korę drzewną i oplecione łykiem zwłoki ludzkie, schowane starannie wśród gałęzi, odwiecznego drzewa, czasem trzy i więcej metrów nad ziemią! Zwłoki te pozostają w pewnych razach w tej pozycyi na zawsze, ale wprzod muszą być dokładnie osuszone i uwędzone niemal, aby powstrzymać, względnie uniemożliwić proces rozkładu; czasami też wieszają je krajowcy na odstającym konarze, a podłożywszy ogień, wystawiają na powolne palenie; nieraz wreszcie palą je wraz z drzewem, jak to czynią mieszkańcy południowowschodniej Australii, w zatoce Portlandu i inni.

Zwyczaj suszenia, wędzenia, balsamowania zwłok i t. p., o którym wspomnieliśmy już kilkakrotnie przygodnie, tak jest częstym, że warto mu na tem miejscu, kilka uwag poświęcić.

Możliwe, że tkwi źródło jego w wierzeniu, iż dusza podlega losom ciała, a wówczas będzie starał się dziki wyznawca powstrzymać rozkład, względnie usunąć go zupełnie. Sposób, w jaki to stać się może najłatwiej, podaje, szczególniej w strefie gorącej, sama przyroda, wysuszając skwarem słonecznym na mumię, złożone w gorącym piasku zwłoki zwierzęce lub ludzkie. Pożar stepu lub lasów, tak częsty zresztą w krajach podzwrotnikowych, mógł naprowadzić pierwotnego człowieka na sposób użycia ognia, w celach suszenia zwłok, a tak powstać mogły mumie, zachowywane często już na zawsze w mieszkaniu, co wiąże się znowu z wiarą, że dusza może powracać na ziemię i nawiedzać ciało, które było niegdyś jej siedzibą.

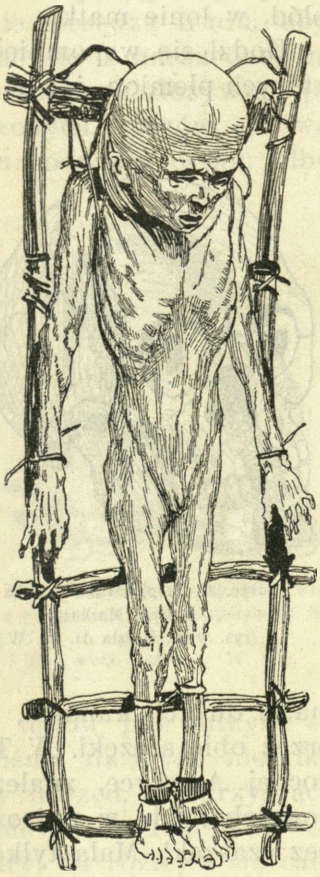

Ryc. 30. Mumia dziecka z linii Torresa (między Australią a Nową Gwineą), (rys wedł. Ratzla dr. W. W.).

U pewnych plemion Annamu, Siamu, Kambodży i Birmy jest w zwyczaju, że, po skończeniu hymnów pochwalnych, których musi nieboszczyk wysłuchać w stojącej postawie, układają zwłoki wśród tańców, śpiewów i wystrzałów, na umyślnie ku temu sporządzonych drabinkach, zawieszonych nad wolno gorejącym ogniem. Skoro miękkie części wyschły i ciało zamieniło się na mumię, zdejmują trupa z rusztowania, ubierają go w najparadniejsze szaty i wystawiają w domu, gdzie leży czasem kilka i kilkanaście lat, zanim rodzina zdobędzie się na urządzenie mu święta umarłych.

Na lądzie australskim i pobliskich wyspach, w Ameryce

i gdzieindziej postępowano podobnie. Między innymi znaleziono w Peru wiele mumii tego rodzaju; niektóre z nich zachowane były w postawie siedzącej, z kolanami, dotykającymi brody, a więc w położeniu, jakie zajmuje zazwyczaj płód, w łonie matki.

Godzi się wspomnieć w tem miejscu o wierzeniach niektórych plemion, jak n. p. Karybów, wedle których może dusza nawiedzać niekoniecznie całe ciało zmarłego, ale jedną z jego części lub nawet samą kość tylko, jeśli znajduje się ona w domu, w odpowiedniem poszanowaniu. To też komu chodziło o to, aby duch opiekuńczy zmarłego, przychylnie usposobiony dla pozostałych, odwiedzał ich i był im w czemkolwiek pomocny, brał jakąś część zwłok zmarłego do siebie, te suszył i konserwował, a resztę grzebał. Do takich ulubionych pamiątek należała często czaszka, spreparowana w odpowiedni sposób, z oczyma, z dużych kamieni, o metalicznym połysku i przepaską przez obie szczęki. W Teksas, w pobliżu Madisonvill w północnej Ameryce, znaleziono przeszło czterysta szkieletów, pogrzebanych w najrozmaitszych pozycyach, a wszystkie bez czaszek! Mała tylko ilość wśród nich posiadała głowy, natomiast brakowało im szczęk dolnych, które także uchodzą w wielu okolicach za najważniejszą część ciała zmarłego, noszoną nawet w postaci branzolety, jako amulet. Może wiąże się ten zwyczaj z mitami słonecznymi, względnie z pętlą Mauiego, czemu poświęcimy zresztą jeszcze parę uwag na innem miejscu.

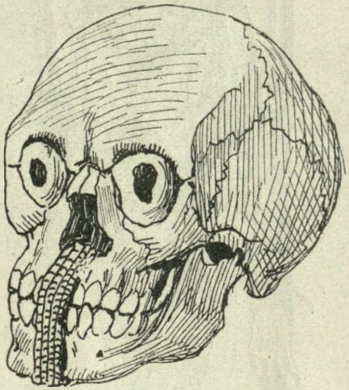

Ryc. 31. Preparowana czaszka z wysp Markeza, (rys. wedł. Ratzla dz. W. W.).

O naturalnej maceracyi szkieletów, t. j. o pozbywaniu się miękkich części ciała drogą powolnego gnicia, powiedzieliśmy

już, omawiając zwyczaje fanani. Dodać tu jednakże wypada, że pewne plemiona jak n. p. mieszkańcy dorzecza Gabun, bądźto przyspieszają ten proces gnicia, bądźteż rzucają trupa na mrowisko, a wówczas rola bezpłatnych preparatorów przypada mrówkom, które nie szczędzą trudu, aby w jak najkrótszym czasie wywiązać się z narzuconej im czynności. Pozostałe kości zbiera rodzina, a złożywszy je, do umyślnie na ten cel przeznaczonych koszów, chowa bądź w jaskiniach, bądź zawiesza u poddaszy domu, albo umieszcza w mieszkaniu. Od najbardziej prymitywnych i niedołężnych plecionek począwszy, przechodzą tego rodzaju wyroby całą skalę najróżnorodniejszych odmian, aż do często wytwornych naczyń z gliny lub metalu, wyobrażających podobiznę zmarłego, którego resztki, jako pamiątkę rodzinną, kryją w swem wnętrzu.

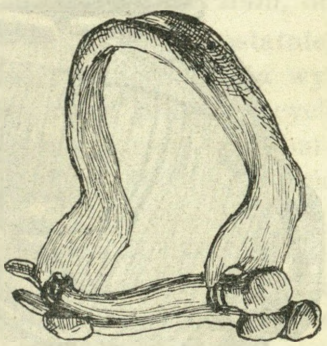

Ryc. 32. Ludzka szczęka dolna wraz z obojczykami jako bransoleta (z Nowej Gwinei).
(Rys. wedł. Ratzla dr. W. W.).

Przepatrzywszy pokrótce sposoby chowania ciał zmarłych wśród ludów pierwotnych, poznaliśmy warunki, od których w pierwszej linii sposoby te zależą. Ale, jeżeli powiedzieliśmy na wstępie, że pogrzeby ludów pierwotnych są otwartą księgą ich wierzeń, to mieliśmy na myśli nietylko sposoby chowania zwłok, ale i cały obrzęd, towarzyszący temu chowaniu. Tu właściwie głównie przebija się to, w co nauczył się wierzyć dziki syn natury, tu rozlewa się cała jego przesądna, zabobonna dusza, tu wypowiada on wszystko to, czego kiedyindziej wypowiedziećby nie śmiał i nie chciał. I faktem jest, że krajowiec, który, krępowany bojaźnią, wzdragał się przed chwilą odkryć tajemnice swej wiary, zdradzi je sam niebawem, wyspowiadawszy się niemal do dna duszy, przez swoje obrzędy pogrzebowe. Wiele wiadomości dostało się tylko tą drogą do aktów naukowych.

I istotnie! przyglądając się uroczystościom pośmiertnym

u ludów na stopniach pierwotnej kultury, bądź takich, które poprzestają na jednym pogrzebie, bądź też takich, które każdemu zmarłemu urządzają dwa lub więcej pogrzebów, zauważymy od pierwszego rzutu oka, jak żywo zaznaczają się w nich wierzenia uczestników.

Najdobitniej uwypukla się w nich wszystkich ta idea, że życie pozagrobowe jest dalszym ciągiem życia na ziemi, na tle mało co, albo nawet nic niezmienionych stosunków. Ta myśl, o ile przyczynia się do uświetnienia obrzędu, o tyle znowu sprowadza go często na tory barbarzyństwa i dzikości, wpływając zarazem zgubnie na trwałość gospodarstwa, gdyż, jak to przedstawiliśmy powyżej, niszczy je zupełnie, albo też podkopuje na długie lata dobrobyt osobników lub całych rodzin.

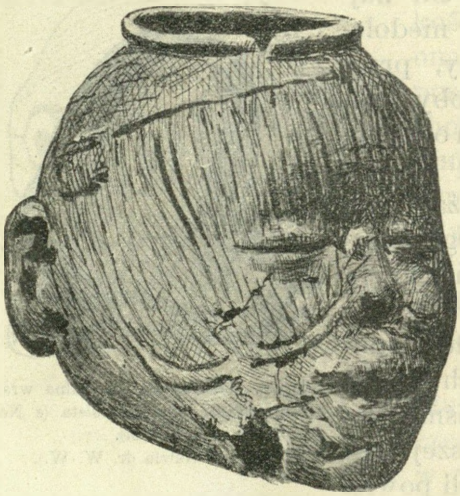

Ryc. 33. Urna z Arkanzas w północnej Ameryce. (Rys. wedł. Schurtza dr. W. W.).

Ilużto gromadzi już za życia najkosztowniejszą broń, zbiera rozliczne sprzęty, stara się przygotować możliwie najpiękniejsze i najcenniejsze szaty, aby módz godnie przedstawić się towarzystwu na drugim świecie! Umrze, to i na tem jeszcze nie koniec! Bo ta sama myśl przenosi się znowu na pozostałych, gotowych wyprzeć się wszystkiego i z wszystkiego się wyzuć, byle jej dogodzić. I raczej każda inna, równie ważna chwila w życiu dzikiego lub barbarzyńcy przeminie bez echa, aniżeli pogrzeb. Battak nie święci narodzin, nie obchodzi przejścia w okres dojrzałości płciowej, nie sprawia wesela, ale na pogrzeb gotów jest oddać wszystko co ma, poświęcić cały swój mają-

tek. To też niejeden zubożeje i rusza daleko na obczyznę, aby tu ciężką pracą uciułać grosz, któryby mógł znów wydać przy podobnej sposobności. Taki — pisze Ratzel — może słusznie powiedzieć o sobie: »Zwyczaj mój, jest celem mojego życia.

Jeżeli ta gorliwość potomnych zrodziła się z obawy przed zemstą zmarłego, który może umyślnie z drugiego świata powrócić, to pragnienie, aby duszy tej ułatwić niebezpieczną podróż do krainy duchów i pozbyć się jej w ten sposób, staje się źródłem trzeciej, ważniejszej grupy obchodów.

Dobrze jest przyjrzeć się obrazowi takiego pogrzebu, od pierwszej chwili czynności przedwstępnych aż do ostatniej uroczystości końcowej, bo w ten sposób dopiero można wyrobić sobie jakie takie pojęcie o sile uczuć przejmujących duszę pierwotnego człowieka, a zarazem poznać, jak bardzo odbijają się wierzenia o pozagrobowem życiu na istocie całego obchodu.

Przenieśmy się tedy do ogrodów słońca, do krainy najbujniejszego życia, do ziemi czarów, piękności i grozy, na wyspę Borneo, gdzie właśnie wśród odwiecznych nipanów i sarawaków, przez rozśpiewane powietrze, płynie głos olbrzymich, u poddasza zawieszonych kotłów, garatong, oznajmiających osadzie, że jakiś Dajak leży w przedśmiertnych kurczach, w agonii. Granie to trwa tak długo, aż chory nie umrze, a chwilę tę ogłasza śmiertelne bębnienie, czyli »titih«. Zanim ubiorą zmarłego, układają go na pięknej macie w środku domu w kierunku podłużnym, kładąc na oczy monetę, aby dusza nie widziała z drugiego świata krewnych swoich i nie mogła im szkodzić. Tymczasem odzywa się nowe bębienie na znak, że po skończonej, opisanej w jednym z poprzednich rozdziałów uroczystości sypania ryżu, czyli mambowor, ubierają zwłoki, aby złożyć je w trumnę. Ale zanim to ostatnie nastąpi, co znowu ogłoszą osobnem dudnieniem, poczynają krewni zmarłego, okryci w sarong i płótna skarżyć się i zawodzić, w czem prym wiodą, umyślnie najmowane płaczki. Jeżeli zmarły pozostawił żonę, wówczas zasiada ona u głów męża, ale odwrócona do niego plecyma, w białej, spa-

dającej daleko w tył osłonie i w takiej przepasce biodrowej, w miejsce dawnej czerwonej, z obciętymi włosami na znak żałoby. Ale oto kotły rozbrzmiewają znowu, przygłuszane wystrzałami, umieszczonej przed domem armaty czyli lila, co jest znakiem, że zwłoki złożono już do trumny. Ta trumna musi być bardzo wąska, aby ktoś z rodziny wkrótce nie umarł i zrobiona z jednego kloca drzewa handjalotong, którega dusza uchodzi za wyjątkowo dobrą. Jeszcze wrzucą do trumny niektóre przedmioty, jeszcze złożą obok zmarłego łuk, strzały, tarcze i t. p., jeśli był on dzielnym wojownikiem za życia, jeszcze krewni przystawią potrawę, złożoną z mięsa świńskiego, kurzego, owoców i t. p. poczem, przekonawszy się, że zwłoki leżą w myśl zwyczaju, t. j. tak, iżby twarz zwróconą była ku zachodowi, zakładają wieko, zalepiając pozostałe na brzegach szczeliny i wszystkie inne otwory w trumnie starannie żywicą.

Tak, przygotowawcze czynności zostały ukończone, a ponowne bębnienie oznajmia mieszkańcom osady, że kondukt pogrzebowy rusza do domku pośmiertnego. Gdy ojciec albo najstarszy krewny wywoła już wszystkich krewnych po nazwisku i nie zachodzi obawa, iżby dusza zmarłego pociągnęła duszę któregoś z najbliższych za sobą do krainy umarłych, rozpoczynają »blian« czyli kapłanki, siedzące w odświętnie przybranej łodzi, swój śpiew pogrzebny, towarzyszący zwłokom aż na cmentarz, gdzie urządzono już odpowiednie wyniesienie na wysokich palach, podtrzymujących strzechę, ozdobioną chorągwią, a mającą chronić zwłoki przed deszczem. Tu stawiają trumnę, połączoną, zapomocą długiej bambusowej rury, z naczyniem, do którego mają spłynąć rozkładowe soki zmarłego i odchodzą.

Upływa miesiąc jeden, drugi, trzeci, czasem pół roku i więcej, a zwłoki leżą, nie można bowiem wprzód ich pogrzebać, dopóki rodzina nie urządzi uroczystego obchodu, połączonego ze stypą, świętem umarłych czyli »tiwah«. Każdy radby uczynić to jak najwcześniej, raz dlatego, że wszyscy krewni uchodzą aż do tej pory za nieczystych, z czem połączone są nader niemiłe formalności, powtóre dlatego, że

dusza zmarłego błąka się, przypomina pozostałym powinności ich, od których zależy jej spokój po śmierci w »Lewuliau, a wreszcie, gdy to nie pomaga i sprawa ciągnie się za długo, poczyna niecierpliwić się i gniewać, dokuczać i mścić w najbardziej wymyślny sposób, co wszystko nie należy do t. zw. przyjemności życia.

Każdy to przyznaje i tylko przyznaje, ale zazwyczaj zaradzić temu nie może. Trzeba bowiem wiedzieć, że »tiwah« kosztuje wiele, ogromnie wiele, pochłania bajońskie sumy i niejeden, urządziwszy je, straci nietylko swój cały majątek, ale narobi jeszcze tyle długów, że sprzedać musi swoją wolność, aby je spłacić choć w części. To też biedni i marzyć o tiwah nie mogą. Trumnę wyniosą, pogrzebią w ziemi, zaś Temponowi Telonowi złożą ofiarę z prośbą, aby nad biedną duszą miał litość i przeprowadził ją szczęśliwie przez ognisty wir do upragnionej krainy dusz. Dla nędzarza i bieda jest bogactwem; zdobyć się takiemu na ofiarę, to największa w jego oczach ofiara pod słońcem... Prawda! Ale Tempon zapatruje się na tę sprawę inaczej. Epoka bezinteresowności jeszcze daleko i pewniej można liczyć na to, że grosz wdowi serca jego nie wzruszy, aniżeli, że zabierze duszę i przejednany drobną, ale z trudem zdobytą daniną, przewiezie zmarłego do pozagrobowej krainy. Tak tedy pozostałym ciężar troski bynajmniej nie spada z serca po złożeniu ofiary. Widmo zmarłego straszy ich i goni jak cień zbrodniarza; bowiem dusza nieszczęsna nie zazna nigdy spoczynku. Jako »liau matai« t. j. »dusza umarła« krążyć musi aż do swojej śmierci po ziemi, skarżyć się w szmerach liści, w powiewach wiatru płakać, ryczeć w nawalnicach i falach morskich, nigdy nie ukojona. Bojąc się tedy i najbiedniejsi takiego losu, który dziś krewnych, jutro ich samych czeka, poprzestają rzadko kiedy na złożeniu Temponowi ofiary. Nie mogąc jako pojedyncze rodziny podołać kosztom pogrzebu, łączą się razem całe osady i tak po latach dopiero święcą wspólne »tiwah« dla tych, którzy umarli wczoraj i tych, których zwłoki od lat kilku czekają zmiłowania.

Czy tak, czy tak pożera to »tiwah« moc pieniędzy. Same

przygotowania do niego trwają rok cały, a potem dopiero zaczyna się właściwe święto, ciągnące się nieraz tygodniami bez przerwy.

Przygotowania do »tiwah« rozpoczynają się od wystawienia grobu rodzinnego. Są dwa rodzaje takich grobów. Do jednego z nich »sandong raung« przenosi się trumnę i pozostawia ją tu dopóty, aż nie zgniją wszystkie miękkie części ciała, drugi zostanie spalony wraz z kośćmi i garnkiem z sokami nieboszczyka, zaś popiół przechowuje rodzina jako pamiątkę w kunsztownej szkatułce.

Te »sandong raung« w których leżą zwłoki od czterech do sześciu lat, są to zazwyczaj obszerne, mogące pomieścić około trzydzieści trumien, budynki, stawiane nietylko porządnie, ale wprost wykwintnie z znacznym nakładem pieniędzy. Wiara bowiem uczy, że jaki będzie ten »sandong raung«, takie będzie mieszkanie dla duszy w pozagrobowej krainie, jaką będzie trumna, takim okręt, którym zmarły przeprawi się na miejsce nowego żywota, bo każdy z tych przedmiotów ma duszę czyli »gana«, mającą przeobrazić się na drugim świecie w to, co ożywiała na ziemi.

Nie dziw wobec takich wierzeń, że »sandong raung« budowane są z ogromnym przepychem. Rzeźby w twardem, żelaznem drzewie, ogromne słupy, przedstawiające postaci ludzkie, a zaprowadzone od czasów holenderskich rządów, w miejsce zabijanych dawniej niewolników i wiele, wiele innych rzeczy, na jakie stać tylko wyobraźnię pierwotnego filozofa, wszystko to ma służyć do ozdoby sandong raung, powołanych do przyszłego życia.

Tymczasem inni, uzbrojeni, wyruszyli dawno już na poszukiwanie ludzkich czaszek. Nie jest to misya ani bardzo przyjemna, ani łatwa. Czasem powiedzie się i »poszukiwacze czaszek« przynoszą z tryumfem zdobyty zapas, ale też czasem zdarza się także, że wyprawa oddać musi własne swoje czaszki w ręce tych, na których głowy polowała. Zresztą o tem nikt nie myśli, każdy bowiem ma swoją wyznaczoną czynność i musi załatwić się z nią w porę. A czasu już nie wiele. Na szczęście główne roboty postąpiły już tak znacznie,

że zbliżają się do końca. Budowa wspólnego »zabawowego domu« balai, dobiega kresu. Wznoszące się nad rzeką ściany i dach obito już barwną materyą i obwieszono gałązkami zieleni, zaś nad bramą powieszono, »inah« to jest pęk liści, jako oznakę dla duchów powietrznych, które mają się tu zejść również na zabawę. Co więcej! Oto przed drzwiami widać grupkę starych ludzi, którzy wywijają dużymi bębnami, napiętymi skórą kóz i leguanów i podnoszą do góry wielkie, miedziane kotły. Jeden z nich mówi: »Oby szybko przebrzmiało dobre imię tego, który urządza to święto. Ja wskazałem już duszy drogę ku słońcu, kędy też ona znikła. Oby tak samo znikło nieszczęście«!».

Tu zaczynają grać z całej siły bębny i grzmieć kotły, co odbywa się przez cały dzień i następną noc, a to, aby odpędzić szkodliwe demony, a duszy zmarłego donieść, że godzina jej zbawienia już zbliża się.

Kto sądziłby, że to już »tiwah« byłby w błędzie. Jestto dopiero uroczystość, z okazyi przyniesienia instrumentów, święto przygotowawcze, które potrwa pięć dni, pochłonie moc mięsiwa i trunku i wyszle na drugi świat depeszę radosną do duszy zmarłego. Zresztą »tiwah« jeszcze rozpocząć się nie może. Wszakże nie oczyszczono jeszcze ryżu, jeszcze nie sprowadzono bydła, za którem rozjechano się w najdalsze zakątki okolicy, jeszcze nie zamówiono »blian« czyli kapłanek, jeszcze, co najważniejsza, nie zniesiono trumny do domu zabawy, w którym sporządzono już umyślne półki w postaci okrętów, pięknie rzeźbione i przybrane odświętnie.

Ale oto zbliża się jakaś łódź z garstką ludzi, wśród nich zaś leży jakiś przedmiot, połyskujący z daleka w promieniach słońca różnobarwnem, jaskrawem światłem. To właśnie wiozą trumnę, obwieszoną mnóstwem kosztowności, pereł, kolji, bransolet i pierścieni... Istny magazyn jubilerski. Strzegą go osobni strażnicy, bo przed balai gromadzi się gawiedź tysięczna, pcha, ściska, poszturkuje, zwiera i rozpada nagle, jak piasek za podmuchem wichru.

Zaledwie tuż przy wejściu stojący mogą dojrzeć, co dzieje się wewnątrz. Trumnę złożono już na półce, a przed nią stoi

wdowa i mówi: »Jeszcze krótko tylko przebywasz wśród nas, aby uciec następnie do błogiej krainy, starej siedziby naszych przodków. A my zostajemy tutaj nadal, na ból i na mękę!«.

Tą ceremonią ukończono już prawie wszystkie przygotowawcze i wstępne czynności.

Niewolnicy spieszą się jeszcze, dokonując wkopania, rzeźbionego u góry w liczne głowy słupa, na którym zawisną wkrótce dzidy, tarcze, dmuchawki, a który stanie się, wedle wiary Dajaków, źródłem bogactw dla zmarłego w krainie dusz. Drugi słup, ozdobiony u góry wizerunkami głowy ludzkiej, o długim nosie, wystających wargach, już wznosi się między rzeką a domem, aby przemienić się na drugim świecie w najdzielniejszego obrońcę zmarłego.

Już słońce pocznie wkrótce chylić się ku zachodowi. Zebrane kobiety i cała płeć żeńska rodziny wysypała już ryż, jako potrawę dla duszy, gdy tymczasem cała ludność napływa falą do »balai«. Każdy ciśnie się i tłoczy, wiedziony równą ciekawością, istne morze głów, falujących jak kłosy na łanie, zalega podwórzec przed »balai«, bowiem teraz ma rozpocząć przewodnik dusz, przy współudziale kapłanek, swój obrzęd.

Jestto już niemłody człowiek. Duże oczy, jakgdyby zamglone wodzi błędnie dokoła, na ciele, pomazanem krwią, kołyszą się bransolety z achatu i drogie kolje. Chwyciwszy garść ryżu, rzuca go na trumnę, z życzeniem, aby dusza owocu, dostawszy się do krainy dusz, zmieniła się tam w siedm dziewic, które, oby ściągnęły dobre duchy przeciw złym na pomoc. Na to hasło, mieszają kapłanki ryż z olejem i kadzidłem, które otwiera bramy nieba, a równocześnie rozlega się głośne strzelanie, na znak, że przewodnik dusz, odprowadzi wkrótce duszę zmarłego do szczęśliwej »Lewuliau«. Wsparty niedbale na pięknie rzeźbionym mieczu, »dohong«, w którego rękojeści z słoniowej kości, kryje się czarodziejski amulet, poczyna śpiewać, przeciągłym, jednostajnym głosem swoje dziwaczne pieśni, w których rozmawia z duszami przodków, wywołuje je i wzywa, by zaprowadziły

duszę zmarłego i duszę trumny i naczyń, broni słupów i potraw i wszystkiego, co tylko w imieniu zmarłego sprowadzono lub sporządzono na »tiwah« do krainy dusz. Każdą, prześpiewaną przez kapłana zwrotkę, powtarzają kapłanki w szybszem tempie.

Tymczasem czerwona twarz słońca utonie już niezadługo w morzu. Przez liście palm przedzierzga się złote światło, wody poczynają malować się na powierzchni i mienić, jak jakieś czarodziejskie zwierciadło... Telon ma zabrać niebawem duszę zmarłego na okręt śmierci. Tedy dają znak, że przewodnik dusz rozpoczyna już ostatnie swoje dzieło.

Nastaje taka cisza, taka głucha i zimna, taka wsłuchana w samą siebie, że kapłan słyszy lot tej duszy, a gawiedź, jak jeden wielki, tysiącgłowy, martwy przedmiot, patrzy na niego, jak on, na wpół pijany, na wpół w zachwycie, zaczyna śpiewać głosem, urywanym co chwila ze wzruszenia, ale tak dzikim i tak potężnym, że gdyby Tempon był nie o jedną, ale pięć przestrzeni niebieskich oddalony od ziemi, nie mógłby oprzeć się jego mocy. To wielki kapłan! Jest na tym świecie, a jednak niema go; jest tylko ciało, a dusza płynie za okrętem, wiozącym duszę zmarłego, śledzi bacznie każdy ruch, każdy zwrot statku i widzi, jak Tempon zwalnia biegu, jak porusza się coraz to ostrożniej, bo już piecze skwar i widać płomień, strasznej, niebezpiecznej, ognistej rzeki.

Uniesiony duchem w sfery, gdzie śmiertelnikom wstęp wzbroniony, umikł kapłan na chwilę; i z tłumu nie rusza się nikt, nikt nie drgnie, nikt nie odezwie się, niektórzy nawet wstrzymują oddech. W tem nagle przewodnik wypręża się i rzuca wstecz całą siłą. Każde niemal włókienko mięsne drży i kurczy się, twarz wykrzywia się konwulsyjnie, spieniona ślina zaczyna toczyć się po wargach, a na policzkach, rękach, piersi, występują duże krople potu, znacząc drogę swego pochodu na krwawem podścielisku.

To życzenie, to prośby i obietnice, to nawoływania i groźby, to głośny i dziki ryk, jak huk grzmotu, wydzierają się z jego, ciężko dyszących piersi; milknie, znowu patrzy gdzieś w dal, wskazuje coś ręką i znaczy nią jakąś linię w po-

wietrzu, jakgdyby kogoś prowadził, lecz nagle opuszcza ręce, a wybuchając głośną radością poczyna wołać ochrypłym głosem«: Są uratowani... są uratowani... już przebyli płomienne morze... znikli... stanęli w krainie dusz«. Tu poczyna chwiać się na nogach, rzuca głową, drży na całem ciele, wreszcie pada omdlały na ziemię.

Tymczasem słońce zaszło już dawno i fioletowawy mrok niby leciuchna gaza, owinął szczyty, dymiących wulkanów i osiadł na opalonych od słońca liściach drzew. Pierwszy dzień »tiwah« skończony. Więc jedni porozchodzili się do domów, ale inni zostali, przygotowując jeszcze to i owo na dzień następny, zwany »dniem ofiar«.

Bowiem do krewnych należy nietylko zająć się odprowadzeniem duszy zmarłego do »Lewu liau«, ale ich obowiązkiem jest także pomyśleć o wszystkich jego wygodach, w przyszłem, pozagrobowem życiu.

Pierwszym warunkiem wygody, to odpowiednio dobrana, możliwa służba. To też już od kilku miesięcy czeka kilkunastu niewolników, zamkniętych w żelaznych klatkach, jak zwierzęta i jak one licho żywionych, zanim wyszlą ich do »Lewu liau« na nową, ale wygodniejszą służbę. Ta nadzieja jest ich całą, jedyną pociechą, to też spokojnie patrzą, jak, rozpoczynając dalszy program święta, przystępuje do każdego z nich kapłanka, sypie im piasek na głowę, a zarazem śpiewa czarodziejskie pieśni, przez które prosi najwyższego boga, aby zstąpił na ziemię i zabrał dusze ofiar, zanim je Tempon Telon, na drugi świat zawiózłszy, przyłączy do materyalnej duszy, urządzającego »tiwah«. Skoro, dzięki tym świętym czynnościom kapłanek, zostaną ciała niewolników pozbawione duszy, przywiązują je do słupa, a wówczas rozbawiona gawiedź, tańcząc dokoła ofiary, nakłuwa dzidami piersi jej, ręce, lub brzuch, tak długo, dopokąd omdlała z bolu i ryku, osłabiona upływem krwi nie obwiśnie bezwładnie i nie zsunie się martwa na ziemię. Wówczas wiodą nowego skazańca i znów przywiązują go do słupa i znów rozpoczynają taniec i gdy ten, podobnie jak poprzednik, padnie od razów ostrzy, podziurawiony jak sito, przypro-

wadzą trzeciego, czwartego, dziesiątego, aż ostatni z przeznaczonych wyda ostatnie tchnienie i położy kres wstrętnej zabawie. Rozochocona gawiedź przerywa na chwilę tany, a tymczasem przewodniczący uroczystości, ścina każdemu z zakłutych głowę i wtyka ją na pal. Rozpoczyna się nowy taniec dokoła ściętych głów. Pijani uczestnicy zabawy, posmarowani krwią ofiar, na dowód łączności swej ze zmarłym i poczucia, że spełnili swój obowiązek względem niego, wykonują dzikie, rubaszne ruchy, krzyczą i wyją, aż znużeni, okryci potem i pianą, upici zabawą i spojeni trunkiem, zwalą się na ziemię.

Grabowsky tak opisuje tę ohydną zabawę:

»Ciała tańczących dokoła ofiar przemieniają się w furye; pieniąc się z szaleństwa, czynią zadość wymogom zwyczaju. Długie włosy rozlatują się w najwyższym nieładzie dokoła zdziczałej twarzy, z zaczerwienionymi, wytrzeszczonymi oczyma, pałającymi dzikim ogniem, zadają ofierze cios za ciosem. Stękaniu, rozpaczliwym rykom dręczonych zwierząt, lub rzężeniu ofiar ludzkich z bolu, wtóruje krwiożercza czereda radosnymi okrzykami, pewna w swej wściekłości, że szczęście »liau« tem będzie doskonalsze, im więcej dla niej zadręczy się ofiar. Nadmierne jedzenie i picie stanowi treść tej uroczystości, aż wreszcie wszystkich ogarnie zupełna nieświadomość. Mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi, wolni i żonaci, staczają się na ziemię, walą się jeden na i obok drugiego, na ziemię..... Rzucam zasłonę na ten wstrętny obraz«.

Program trzeciego dnia wypełniają uroczystości, z powodu przeniesienia trumny do »sandong raung«, zaś następny dzień upływa na przygotowaniach do właściwej zabawy, której poświęcony jest dzień piąty i szósty.

Przeszło tysiąc osób bierze w niej czynny udział; nawet krewni zmarłego zrzucają żałobne suknie i zaciągają się w wesołe grono biesiadników, dzikich i rozszalałych, gotowych do zabawy, która pod wpływem nadmiernego użycia trunków, przechodzi w najdziksżą orgię, pełną najwstrę-

tniejszych, najbardziej zwierzęcych obrazów. Lepiej o nich nie mówić!

Po tem wszystkiem, po żalach, smutkach, pogrzebie, po hucznej zabawie i szaleństwie, następuje uroczystość oczyszczenia, na którą przeznaczono dzień ostatni t. j. siódmy. Wszyscy, którzy brali udział w zabawie, krewni, znajomi, a nawet obcy, stali się nieczystymi przez zetknięcie się z przedmiotami, dotyczącymi zmarłego. To też nie wolno im opuścić balai, dopokąd nie odbędą ceremonii oczyszczenia, t. j. nie wstąpią do łodzi, którą kapłanka przewraca następnie na środku rzeki. Kto nie umie pływać, musi utonąć, zaś nad głowami tych, którzy szczęśliwie dobiją do brzegu, wywijają inne kapłanki smolnymi pochodniami, kołyszą świętymi liśćmi suwangu, lub sypią ryż, który potem zjadają czarne kury. Powtarza się taka procedura trzy razy z rzędu, poczem oznajmiają obecnym, że »tiwah« skończone. Na to hasło poczyna gawiedź rozchodzić się i znika wśród odwiecznych puszcz, gdzie nie stąpiła jeszcze noga Europejczyka; do »balai«, w którym przed chwilą kipiało życie i szalała zabawa, wciska się głucha cisza, którą przerwie wkrótce gwar ptactwa i głosy czworonogów, gromadzących się tutaj na drugą, może nie tak dziką, mniej zwierzęcą biesiadę.

Taki jest pogrzeb Dajaka.

Obok innych, niemal wszystkie plemiona malajskie obchodzą dwa lub trzy razy uroczystość pogrzebną dla jednego zmarłego. Pochowawszy go raz, odgrzebują po miesiącach a nawet latach, gdy można wnosić, że rozkładowy proces dobiegł już końca i chowają powtórnie, tym razem często już na stałe, ale i to niekoniecznie. Zabawy i święta towarzyszą zawsze tego rodzaju obchodom, chociażby miały one powtarzać się nie raz, ale dziesięć razy do roku.

Galela i Tobelorezi, zagrzebawszy zmarłego, wśród pijatyki, tańca, śpiewów i innych tym podobnych objawów radości, czy żalu, odkopują go znowu po roku, urządzając ponowne święto, zwane »boos-maodo« czyli »święto zmiany«. Takie »boos-maodo«, obchodzone przy współudziale mieszkańców całej wsi, trwa cztery doby, a powtarza się jeszcze

przez cztery następne lata corocznie, chociaż nieboszczyk niewiele co ma z tego, chyba tyle tylko, że wyniosą go trochę na świeże powietrze, zmienią dawną trumnę na nową i pogubią połowę kości, co prowadzi za sobą nowe kłopoty na drugim świecie. Inni znowu, jak n. p. Alfurowie z Ceram i Minahasa, Batakowie, Lampongowie i t. p., składają wprzód zwłoki w dziupłach drzew, lub też na umyślnych rusztowaniach, skąd zabierają je dopiero po latach, gdy z ognitego trupa, pozostaną tylko próchniejące już kości.

Jak rozmaite mogą być te zwyczaje, to przecież można zauważyć wśród nich pewien wspólny rys, oto, że pogrzeb nie odbywa się, z wyjątkami bardzo rzadkich wypadków, nigdy prawie zaraz po śmierci. Zazwyczaj leżą zwłoki wystawione czas jakiś, czy w domu samym, czy w domku pośmiertnym, a długość tego czasu pozostaje, jak twierdzą niektórzy, w związku z pojęciami, jakie żywi dane plemię o pozagrobowej podróży. Można zauważyć to zjawisko i u tych plemion, które urządzają jednemu zmarłemu kilka pogrzebów i u tych, które poprzestają na jednym.

Według wierzeń krajowców Kamerunu, potrzebuje dusza dziewięciu dni, do odbycia drogi na drugi świat, to też dopiero po upływie tego czasu od chwili śmierci, urządza się pogrzeb zmarłemu, przeciętnie zaś czekają zwłoki pogrzebowego obrzędu 7, 40, 100 i 1000 dni, często złożone w mieszkaniu z pełną okazałością, a nawet przepychem. Tak n. p. trup Tomonggonga Singa Negara, naczelnika okręgu dolnej Kapuy, leżał w domu brata, wystawiony z największą paradą, od r. 1861 do 1863.

Może być, że czas wystawienia zwłok przed pogrzebem odpowiada po części długości czasu, w jakim dusza może przebyć drogę do krainy umarłych, niewątpliwie jednak większą rolę odgrywa tu okoliczność, czy rodzina posiada dostateczny fundusz na urządzenie pogrzebu, czy nie. Trzeba bowiem pamiętać, że te huczne, kosztowne pogrzeby, połączone z świętem umarłych, ze stypą dla uczestników, nie są tylko właściwością Dajaków, Tobelorozo lub Galela. U Alfurów z Halmahera n. p. trwa święto umarłych, z okazyi po-

grzebu przeszło miesiąc, u Milano na Borneo kilkanaście dni, przyczem odbywają się walki kogutów, pochłaniające setki i tysiące tych zwierząt. Nikt nie żałuje wydatku, nikomu nie przychodzi na myśl w takich razach oszczędność, wszystko bowiem, co zostanie użytem dla święta, staje się na drugim świecie własnością zmarłego. Jest to konieczność, bez której wstęp do kraju nowego życia, nie może być dozwolony. Cóż bowiem przyszłoby ostatecznie duszy z tego, gdyby nie stało jej pod tym względem nic na przeszkodzie, cóż poczęłaby z sobą, nie mając mieszkania, nie posiadając plantacyi i lasów, nie mogąc rozporządzać orszakiem żon, gromadą niewolników, stadami bydła? To też właściwie o sam pogrzeb nie rozchodzi się zupełnie. Czy zwłoki stoją wystawione w pomieszkaniu, czy leżą pochowane w ziemi, lub złożone na drzewie, to wychodzi na jedno, dusza ani w tym, ani w tym razie nic nie korzysta. Dopiero święto umarłych, wyposażone w ofiary wszelkiego rodzaju, jest kluczem, otwierającym bramy rajskie. Tedy kto może, urządza je zaraz, natomiast biedniejszy czekać musi na pomyślniejszy stan finansów, a tymczasem dusza trzyma się swego ciała, gdyż wszędzie indziej na razie szukałaby zapewne napróżno przytułku lub opieki.

Ażeby módz przedstawić sobie, jak wielką jest siła wierzeń o stanie duszy i jej potrzebach w pozagrobowej krainie u ludów pierwotnych, trzeba raz jeszcze powrócić do »święta umarłych«, a szczególniej do tej jego części, która w programie dajackiego »tiwah« nosi nazwę »dzień ofiar«. Bez takiego »dnia ofiar« nie obejdzie się niemal żadna stypa u żadnego z ludów na stopniu pierwotej kultury, a ponieważ dusza potrzebuje na drugim świecie zarówno zwierząt, jak ludzi, przeto uroczystość ofiar obejmuje równie dobrze ofiary z pierwszych, jak drugich.

Rozumie się, że rozmiar ich zależy w prostym stosunku od stanu majątkowego zmarłego, względnie jego rodziny. Ileżto razy zdarza się, że Kirgiz, urządzając »święto umarłych« odda odrazu pod nóż całą swoją trzodę! Zabić kilkadziesiąt koni i stokilkadziesiąt sztuk owiec na jedną ucztę

pogrzebową, to rzecz tak zwykła, że Kirgiz ani jej nie dziwi się, ani o niej nawet nie mówi. Przecież, aby ocenić, jak wielką jest ta ofiara, wystarczy nadmienić, że bydło uchodzi u Kirgiza za istoty tak wysoce cenione, iż tylko nadzwyczajne warunki mogą skłonić go do zabicia jednej sztuki;

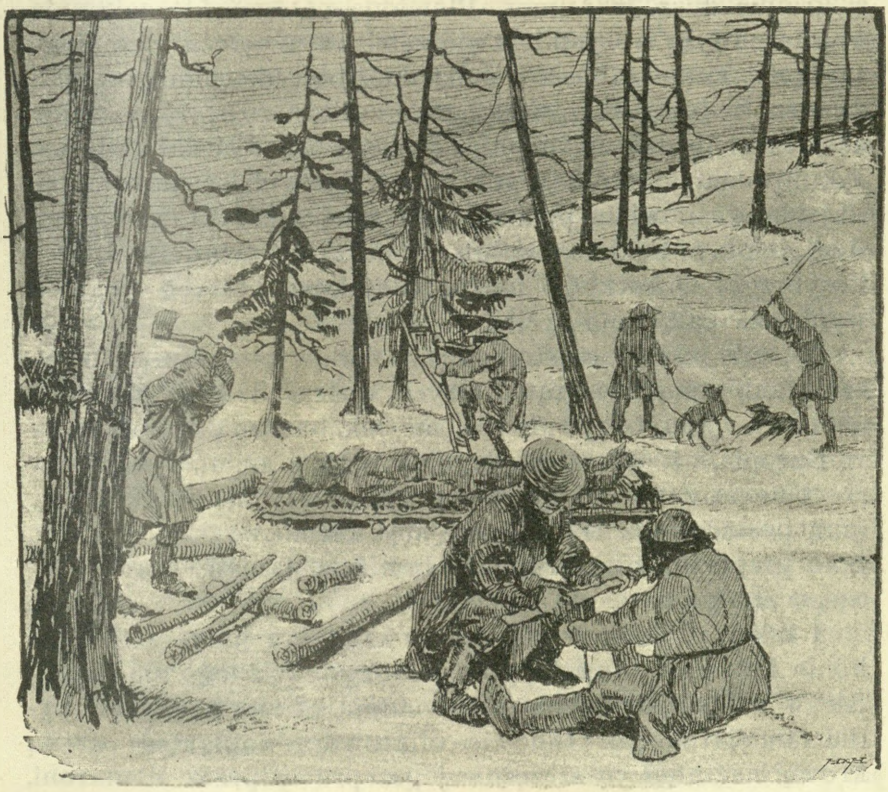

Ryc. 34. Pogrzeb Gilijaka (rys. wedł. Schurtza dr. W. W.).

to też przeważnie żywi się on tylko mlekiem swej trzody i jego przetworami. A w takim razie jak wypadnie określić postępek Tody, tego biednego nilgirskiego górala, który waży się oddać na stypę swoje jedyne bawoły? Pomijam już tę okoliczność, że bawół stanowi cały majątek Tody, ależ bo on jest, można powiedzieć śmiało, wyłącznym celem życia tych

ludzi, których myśli na jawie i we śnie, starania i zabiegi, nawet modlitwy zwracają się do tej przeważnie istoty! A jednak, ten koczowniczy mieszkaniec Błękitnych gór, pasterz i kapłan, przeznacza z całą rezygnacyą swój ukochany dobytek na śmierć, w tej niezachwianej nadziei, że spotka się z nim na dalekich, wonnych, zielonych błoniach, w krainie dusz, w Anmor. Plemiona patagońskie zakopują wraz zmarłym wszystkie zwierzęta, ktore należały do niego za życia, Tatar zabiera z sobą do grobu ukochanego wierzchowca, Beduin swego wielbłąda, Czerkes cztery reny, ażeby miał czem jeździć na drugim świecie. Niegdyś zabijano i u Jakutów na pogrzebie bydło i psy, co widzieć można dzisiaj jeszcze u wielu plemion północnej Ameryki i północnej Azyi, jak n. p. Eskimosów, lub, zamieszkujących deltę Amuru i wybrzeża Ochockiego morza Gilijaków, których pogrzeb wyobraża załączona rycina.

Te, tak pilnie przestrzegane u ludów pierwotnych zwyczaje zabijania zwierząt, których dusza idzie za zmarłym na nowe życie, odzywały się, nie tak bardzo dawno jeszcze w Europie, aż, wreszcie, ulegając wraz z zmianą poglądów powolnemu zanikowi, bądź to przeistoczyły się, przybrawszy inną postać, bądź też błąkają się wśród wyższej kultury, jako przeżytki, niezrozumiałe bez ściślejszego, porównawczego studyum.

I tak n. p. Mongołowie, którzy zabijali niegdyś wielbłądy, konie i wszelki inny dobytek zmarłego, dziś tego nie czynią. Ale w miejsce dawnych ofiar, oddają pewną ilość sztuk bydła lamie, tak jak Indowie ofiarowują kapłanom czarną krowę, na intencyę szczęśliwej przeprawy przez Waitaroni, t. j. rzekę śmierci. Fakt zabicia konia, na pogrzebie jego pana, znany jest z Niemiec, jeszcze z drugiej połowy ośmnastego stulecia. Kiedy mianowicie w r. 1781 chowano w Trewirze, wedle krzyżackiego obrządku, generała jazdy, hr. Fryderyka Kazimierza Boos von Waldeck, postępował, okryty żałobą, koń za jego trumną, a gdy obrzęd pogrzebowy kończył się i zwłoki złożono do grobu, zabito konia i rzucono go za panem. Saint Foix podaje, że na pogrzebie króla Jana

w Londynie ofiarował Edward III kilka koni, a gdy podobny akt spełniano, chowając Bertranda Duguesclina w St. Denis, w r. 1389, kładł biskup Aukserreski rękę na głowach ofiarowywanych zwierząt, które po skończonym obrzędzie wykupiono.

Słabem już echem, gąsnącym przeżytkiem opisanych powyżej zwyczajów, jest prowadzenie, czarnym całunem okrytego konia, za trumną do bram cmentarza. Ten wzruszający widok zwierzęcia, postępującego wśród pogrzebowej drużyny, poważnie, z zwieszoną głową, jakgdyby odczuwało swoje sieroctwo, zdarza się dziś coraz rzadziej, przechodząc zwolna jako przeżytek wśród przeżytków do historyi.

Ofiary ludzkie stanowią ciemniejszą stronę pogrzebów ludów pierwotnych, ale równocześnie dają one dobre pojęcie, jak głęboką jest wiara tych ostatnich, że życie poza grobem jest dokończeniem życia, rozpoczętego na ziemi, wśród tych samych warunków, w tem samem środowisku. Przejęta taką ideą, dobra żona nie opuści swego męża, chociaż on nawet umrze, wojsko, damy i rycerze dworu, pójdą za swym władcą, gdzie woła go nowe życie, wierny sługa nie pozwoli, aby pan jego zmuszony był posługiwać się na drugim świecie ludźmi, których życzliwości nie doświadczył ani nie poznał usposobienia. Idą tedy za nim, z pogodnem czołem, z radosną miną, w dobrym humorze i z takim spokojem o swoją przyszłość, jakgdyby gotowali się do sutej biesiady lub udawali się na spoczynek.

Walka przeciwko tego rodzaju barbarzyńskim wierzeniom, staje się bezowocną, wobec ukazujących się od czasu do czasu szczęśliwych wybrańców losu, którzy widzą na własne oczy nieboszczyka, przechadzającego się w towarzystwie żon zabitych i w orszaku wysłanych mu na drugi świat żołnierzy i niewolników, pieszo lub na koniu, którego pogrzebano wraz z panem, lub też z jego zwłokami spalono na stosie, jak to n. p. zdarzyło się w Peru. Pogłoska taka z chyżością iskry elektrycznej przebiega z ust do ust, suggestyonowane przez jednych wypadki, przywidują się drugim i wkrótce nie znajdzie się jeden, który śmiałby powąt-

piewać w prawdziwość podawanej wieści. To też na wyspach Fidżi, gdzie do niedawna jeszcze było w zwyczaju, że żony zmarłego, odziane odświętnie, upudrowane i namaszczane olejami, duszono na pogrzebie, robili misyonarze wszelkie możliwe wysiłki, aby przeszkodzić tej wstrętnej uroczystości. Udało im się wreszcie przekonać widzów, którzy byli już gotowi uwolnić ofiary od śmierci, cóż kiedy one same w żaden sposób nie chciały pozwolić, aby mąż ich nie miał na drugim świecie należnego sobie orszaku żon i kazały egzekucyę śmierci na sobie wykonać. W taki sposób zaduszono na pogrzebie Ra-Mbity jego 70 żon. Często zdarza się, że mieszkanki wysp Salomona nie czekają śmierci z niczyjej ręki. Przekonawszy się, że małżonek umarł, idą wszystkie do lasu, a, odurzywszy się tu sokiem pewnej rośliny, mającej narkotyczne własności, wieszają się na drzewach, przenosząc się w ten sposób za mężem do jego nowej siedziby. Ale też i tu bywa regułą, szczególniej w rodach arystokratycznych, że pozostałe wdowy, dusi się we śnie, aby szły usługiwać mężowi na drugim świecie. Postronek, który musi w niektórych okolicach, jak np. na Anaiteum nosić mężatka na szyi, od chwili swego zamążpójścia, ma, niby nieustanne widmo, przypominać jej zawsze tę smutną ostateczność, od której tylko, jej wcześniejsza śmierć może ją uwolnić. O zwyczajach podobnych u plemion z nad jeziora Wiktorya w Afryce pisze Baker: »Zasuszone, wskutek wędzenia nad lekkim ogniem ciało królewskie, składa się na marach w obszernej chacie, zaś obok ciała ustawia następca swoją dzidę, na znak, że tron dziedziczy. Nocą, przed wystawieniem zwłok, kopie się grób, do którego wrzucają jeńców, zaś ciało królewskie składają na kolanach jego żon, umieszczonych w grobie, w postawie siedzącej. Rozmiażdżywszy jeńcom, wrzuconym do grobu, nogi i ręce siekierą, przysypują grób ziemią, którą ugniata tysiące ludzi nogami, przygłuszając ryki duszonych ofiar, głośnem bębnieniem na kotłach«.

U innych plemion afrykańskich, jak Wadoe lub Uniamwesi, takie same uroczystości uświetniają obrzęd pogrzebowy. Żony, niewolnice i niewolników, grzebie się żywcem,

w postawie siedzącej a na kolanach składa się zwłoki zmarłego; czasami też sadzają go w środku, na niskim stołku, z łukiem w jednej, a garnkiem krajowego piwa w drugiej ręce, ażeby miał czem pokrzepiać swoje siły w czasie dalekiej podróży do krainy umarłych. Usypany na grobie wysoki kopiec, dusi w krótkim czasie, zagrzebane żywcem ofiary, a wesoła biesiada, pochłaniająca ogromną moc trunku, kończy smutną uroczystość, rozpędzając uczestników w najbardziej różowych humorach do domów, rozumie się z wyjątkiem tych, którzy, mając mniej mocy, niż dobrych chęci, zrezygnują z wesołego towarzystwa i zasną na miejscu. Bardziej dzikie zwyczaje panują u niektórych plemion Negrów, jakkolwiek zdaje się, że są one odstępstwem i złagodnieniem wspomnianych powyżej, które zaczynają przeżywać się. Oto wprawdzie i tu grzebią kobietę wraz z mężem, atoli grobu nie zasypują szczelnie, lecz pozostawiają mały otwór, przez który może nieszczęśliwa ofiara oddychać. Nikt nie śmie jej odwiedzać i nikt podać chociażby kilka kropli wody. Jeżeli w takiej pozycyi wytrwa dwa dni, jest ocaloną. Jednak zdarza się to rzadko, a próba wytrzymałości przydłuża tylko męki duszącej się powoli ofiary, która liczy napróżno, długie jak wieczność godziny, dzielące ją od chwili wybawienia.

Jednak zapewne mało które, a nawet może żadne ze znanych plemion, nie dorównało plemionom Ewe pod względem ilości ofiar ludzkich, wysyłanych w czasie pogrzebu, na drugi świat. Plemiona te zamieszkują, bądź należącą do Francyi Dahome, bądź niemiecką kolonię Togo w zachodniej Afryce. Śmierć zwykłego sobie człowieka, dla którego w kronice plemiennej niema miejsca, pociąga kilka, kilkanaście, a choćby nawet kilkadziesiąt ofiar, co jest błahostką, nie godną wspomnienia. Ale stypa królewska przedstawia się inaczej. Za, niezupełnie odpowiedni dla duszy wielkiego władcy uważano pogrzeb, na którym wysłano za nim do krainy umarłych 2000 osób, znanym jest bowiem fakt, że jedno takie święto pożarło odrazu 10.000 ludzi. Złożyły się na tę pokaźną sumkę żony, damy i rycerze dworu, ważniejsi

przedstawiciele ludu i królewscy doradcy, żołnierze, służba, wreszcie jeńcy wojenni. Ale na tem nie koniec. Bo czyż jest możliwe, ażeby król, panujący, zwłaszcza na drugim świecie, gdzie tyle oczu przodków patrzy na niego, mógł obchodzić się zawsze tą samą służbą, tym samym wojskiem, zabawiać się zawsze z jednymi kobietami? To też corocznie powtarzano podobne uroczystości, a zawsze znaczyły się one setkami lub tysiącami podobnych ofiar, których ciała gromadzono razem i układano w piramidy, albo zdobiono nimi mury rezydencyi syna następcy. To ze strony ludu. Ale przecież i syn ma pewne obowiązki wobec ojca; powinien donieść mu o każdem ważniejszem zdarzeniu, o każdej pomyślniejszej zmianie, wogóle o wszystkiem, co dzieje się w kraju, bo ojciec jako stary, doświadczony, może podać niejedną dobrą radę, jako potężny duch okazać gniew swój lub łaskę. Takie wierzenia rodziły nowe zabójstwa, powtarzające się niemal codziennie. Wybierano zazwyczaj jeńca wojennego, jako posła, przedstawiano mu cel posłannictwa, poczem, odurzywszy go trunkiem, wyprawiano w podróż na drugi świat, aby doniósł, co mu poruczono, a zarazem wypytał się o zdrowie króla i przypatrzył, jak mu się też powodzi w nowej siedzibie. Zaszczycony wyborem, dumny z powierzonego sobie zadania, gotował się biedak z całym spokojem i w najlepszym humorze na śmierć, budząc jeszcze może zazdrość u innych, których ten zaszczyt ominął.

W ostatnich czasach zmalała ogromnie ilość tych ofiar. Już przy uroczystości z okazyi śmierci króla Gezo, w roku 1858, zabito tylko 500 osób, co, w porównaniu do poprzedniej wysokości cyfry, uważać należy za wysoce postępowy objaw cywilizacyjny.

Wiadomo, że zwyczaj palenia żon, był w Indyach bramińskich bardzo rozpowszechniony jeszcze do niedawna. Kobietę palono na stosie wraz z zwłokami męża, jako dobrą żonę«, czyli »sati«. Jakkolwiek wyprawiano ich nieraz po kilkanaście na drugi świat, to jednak małżonek rzadko kiedy zawdzięczał towarzystwo ich w krainie dusz ich dobrej woli. Zazwyczaj bowiem ulegały one dopiero namowom

ze strony krewnych lub kapłanów, a często wprowadzano je wprost przemocą na stos, i kładziono obok zwłok męża, bo tak wymagał przepis. Zamieszkujące, południową połać wyspy Mindanao plemię Bagobów, znane jest szczególniej z ohydnego zwyczaju zabijania niewolników na ucztach pośmiertnych. Przywiązany do pala, z wzniesioną w górę głową i podniesionymi rękami, czekał nieszczęśliwiec nieraz pół dnia i więcej, patrząc, jak gromadzą się liczni uczestnicy, za złożeniem odpowiedniego wstępu, który obracano na cele uroczystości. Nadeszła pora i rozpoczynano taniec. Wśród gwaru i nawoływań zabłysnął od czasu do czasu w powietrzu krótki nóż, a potem spadł nagle i utonął w piersiach ofiary. Wówczas rzucali się tańczący w tę stronę i chciwie pili krew, a tymczasem padały taksamo inne noże i krew lała się strumieniami i krzepła na omdlewającem ciele, drgającem jeszcze i podrzucającem się czasem, jak ciało żmiji. Ciche jęki, stękanie, to nagły okrzyk bolu lub ciężkie westchnienie, stapiały się z dzikim wrzaskiem rozbawionej hordy, tańczącej w zręcznych podskokach, uderzającej nożami lub chłepcącej krew z zwierzęcą namiętnością. Kiedy wśród gry na instrumentach muzycznych zabierał się, przesycony zabawą i spity, wyrabianym z trzciny cukrowej balabakiem, orszak pogrzebowy do domu, zwisało ciało niewolnika już zupełnie bezwładnie na krępujących je więzach, poszarpane nożami i okryte purpurowym płaszczem zakrzepłej krwi. O takich męczennikach wiary, nikt nie wie!

Podają, że jedenaście wieków temu istniał w pewnych okolicach południowej Azyi zwyczaj, że na uroczystości intronizacyi nowego króla, gotowano mnóstwo ryżu, który rozdawano następnie, zgłaszającym się krajowcom. Byli to sami tacy, którzy zobowiązywali się temsamem poddać się dobrowolnie śmierci na stosie, gdyby doczekali pogrzebu króla, którego witają dziś na tronie. I tak szedł zawsze za zmarłym władcą orszak, złożony z kilkuset osób, aby oczekiwać jego rozkazów i otaczać jego królewską postać na drugim świecie. A w Chinach przecież dzieje się jeszcze zawsze i obecnie nawet, że, prawdziwie kochająca żona, po-

pełnia po śmierci małżonka samobójstwo, często publicznie, aby, wzgardziwszy uciechami ziemi, które bez niego nie mają dla niej powabu, służyć jako duch jego duszy w drugiem, lepszem życiu.

Te barbarzyńskie zwyczaje wypełniały i u starożytnych program uroczystości pogrzebowych. Cezar pisze, że Gallowie palili z zwłokami wszystko, co mogło nieboszczykowi być potrzebnem w przyszłem życiu. A więc klientów, niewolników i wszelkiego rodzaju zwierzęta, siodła, broń, zaś to samo podaje Herodot o Scytach, którzy zabijali i grzebali wraz z królem wszystkie jego nałożnice. Pisząc o Trakach, dodaje ten sam autor:

»Każdy z nich ma wiele żon; skoro tedy taki umrze, wówczas powstaje gwałtowna sprzeczka wśród kobiet, a przyjaciele rozprawiają namiętnie na temat, którą z pozostałych kochał nieboszczyk najlepiej. Tę, której ten zaszczyt przyznano, wiodą, wśród pochwalnych hymnów nad grób, gdzie zabija ją któryś z najbliższych krewnych i grzebie wraz z mężem; natomiast inne kobiety, nie posiadają się z boleści, gdyż takie pominięcie ich, uchodzi w ich oczach za największą hańbę«. W »sagach« skandynawskich spotyka się wiele podobnych opisów, a także i u Słowian pogańskich nie obeszła się uroczystość pogrzebowa bez ofiar ludzkich, jak to jest zresztą rzeczą powszechnie wiadomą. Tylor omawiając te kwestye, przytacza słowa św. Bonifacego, który pisze:

»Wenedzi słyną z tak wielkiej miłości małżeńskiej, że kobieta nie chce żyć po śmierci męża i ta uchodzi za wielką, która zabija się własnoręcznie, aby się znaleść na stosie obok męża«.

Pogrzeb Patrokla opisuje tak Iliada:

» . . . . . .

»Sprawujący zaś obrzęd zostali, by stos przygotować;
Długim na setkę stóp i równie szerokim go czynią.
Ciało na szczycie ogniska, ze smutkiem w sercu składają.
Wiele tuczonych owiec i ciężko wlokących się wołów
Zdarli ze skóry przed stosem i przygotowują; ze wszystkich

Tłustość zebrawszy, pokrywa nią trupa wyniosły Achilles.
Od stóp aż do głowy, wokoło bydlęta obdarte
Składa i liczne dzbany oliwy i miodu przystawia,
Opierając o mury; i koni czwórkę wyniosłych
Rzucił gwałtownie na ogień, stękając przytem boleśnie.
Zmarły władyka posiadał dziewięciu kundlów stołowych,
Dwóch z takowych na stos dorzucił, podciąwszy im szyję;
Potem dwanaście małojców, potomstwo Trojan zuchwałych
Zarznął żelazem, bo w sercu wymyślał dzieła okropne;
Ognia potęgę żelazną podłożył, by wszystko pożarła.
Potem jęknął okrutnie i druha zawołał imieniem:
»Witaj Patroklu mój drogi, chociażby i w Hajda mieszkaniu.
Wszystko ci bowiem spełniłem, com dawniej tobie przyrzekał.
Synów szlachetnych dwunastu, potomstwo Trojan zuchwałych,
Płomień zarazem z tobą pochłonie; . . . . . .
. . . . . .

(Iliada p. XXIII. tłóm. Popiela).

Tymczasem, podczas gdy w jednych okolicach żyją te, barbarzyńskie praktyki w całej pełni sił, poczynają one w innych przeżywać się, a jeszcze w innych stały się, straciwszy wszelką żywotność, nic nie znaczącymi formami.

Już opisany powyżej u niektórych plemion Negrów, zwyczaj zakopywania kobiety do grobu, z którego może jeszcze wyjść z życiem, jest prawdopodobnie pierwszym krokiem postępu w tym kierunku. U Kuakeoltów zaznacza się także podobny przełom, zrywający z starą tradycyą, acz rozważnie nader i nieznacznie. Ci kładli wdowę na stos, na którym miały zgorzeć zwłoki męża, zupełnie tak, jakgdyby miała być spaloną. Ale kiedy drzewo zajęło się płomieniem, a nawet poczęły już tlić szaty, uwalniano ofiarę, aczkolwiek często dobrze już poparzoną, a nieraz ledwie żywą. To też zdarzało się nierzadko, że w parę godzin lub kilka dni po śmierci małżonka, poszła na drugi świat i żona, jeżeli jednak przyszła do zdrowia, zbierała popioły zmarłego i nosiła je z sobą przez trzy lata, jako wyraz żałoby i oznakę przywiązania ku niemu. Mieszkańcy Złotego Wybrzeża posunęli się jeszcze dalej i wyrugowali zupełnie z pogrzebowego ceremoniału palenie kobiet. Ale za to, jako słabe już dość echo tego zwyczaju, zamykają wdowę w ciemnem wię-

zieniu, gdzie ponoś bez jadła i napoju pozostaje tak długo, aż uroczystość pogrzebowa nie zostanie ukończoną.

Jeżeli w Chinach grzebią ze zmarłym posługaczy do niesienia parasoli i lektyki, oraz jeźdźców z papieru, to napewne liczyć można, że te martwe lalki są figurami zastępczymi, dawniej zabijanych ludzi, którzy mieli oznajmić władcom Hadesu przybycie duszy zmarłego. Tymczasem u nas nie pozostało nawet i tyle z tych dzikich praktyk, ale w przyjętym powszechnie zwyczaju, który każe rodzinie odprowadzać zmarłego aż do grobu, postępując tuż za trumną, przebijają się jego ślady, wiążące nas z zamierzchłym okresem pierwotnej kultury praprzodków.

Do uzupełnienia, przestrzeganych przez dzikich i barbarzyńskich wyznawców formalności względem umarłego, brakuje jeszcze jednej rzeczy, mianowicie ofiar z przedmiotów nieżywotnych. Wobec teoryi »dalszego trwania« jest rzeczą zupełnie uzasadnioną konieczność sprzętów w kraine umarłych, natomiast wypada wyjaśnić, jak wyobraża sobie człowiek pierwotny możność przeniesienia się tych sprzętów na drugi świat i jak przedstawia sobie zarazem sposób ich użycia w kraju, którego mieszkańcy są powiewnymi istotami, pozbawionymi ciała?

W wielkiej ilości wypadków, stykamy się, rozważając te pytania, z wierzeniami, że nietylko ludzie i zwierzęta, ale i przedmioty nieżywotne mają swoją duszę. Krajowiec Fidźi nie wątpi ani na chwilę, że do Bolutu czyli kraju umarłych idzie także roślina, która umrze, a nawet twór nieżywotny, jak kamień, rozsypawszy się, wyprawia swą duszę na drugi świat, gdzie czeka ją nowe, dłuższe życie. Zburzony dom, złamana siekiera lub dłuto, wszystko to przenosi się do Bolutu, zaś, kto nie wierzy, ten może przekonać się, spojrzawszy do głębokiej studni, na dnie której płynie strumyk. Odbija się tu niebo, domy, ludzie, rośliny, zwierzęta, a wszystko pędzi w jedną stronę, spieszy do krainy umarłych. Ta studnia, którą ciekawemu chętnie pokaże łatwowierny krajowiec, jest najlepszym dowodem prawdziwości jego wierzeń. To też, postępując według nich, grzebią u Algon-

kinów wojownika z całym jego wojennym rynsztunkiem, a więc z maczugą i muszkietem, wojenną farbą i fajką, kobiecie natomiast dają w rękę wiosło, stawiają obok niej naczynia i nakładają jarzma do noszenia ciężarów. W grobach w Peru znaleziono obok mumii najrozmaitsze przedmioty, zarówno kosztowne ozdoby, jak i sprzęty rzemieślnicze,

Ryc 35. Grób szamana. (Rys. wedł. Sieroszewskiego A. K.)

a nawet tak ubogie plemiona, jak niektóre w Kalifornii, chowały z nieboszczykiem wszystkie jego narzędzia, i wszelką broń, jakiej używał za życia. Irokeza kładziono do trumny z farbą, aby miał czem umalować się, zanim wstąpi na próg nowego świata, zaś Aztekowie zaopatrzali go oprócz innych przedmiotów, w butelkę wody na długą drogę pozagrobową. Taksamo postępują plemiona Australii i sąsiednich wysp, taksamo pierwotni mieszkańcy Afryki lub Azyi. Obok Tunguza grzebano oprócz zwierząt, także łuk, strzały i kocieł

do gotowania, a zmarłemu Jakutowi rzucają do grobu albo też kładą na nim lub nieopodal, wszystkie kosztowniejsze rzeczy, a zarazem siodła lub oszczepy i narzędzia rzemieślnicze, dzieciom wkładają do trumny zabawki, a na drzewach obok grobu wieszają kołyski, zaś na grobach czarodziejów czyli szamanów, w miejscach ustronnych, głuchych, gdzie rzadko zabłądzi człowiek, by nie przeszkadzać duchom w ich schadzkach, porzucają bęben szamański i szamańską »żelazną« odzież, albo też wieszają te godła czarodziejskiego urzędu na drzewach, obok mogiły.

Tylor podaje opis pogrzebu, jednego z ostatnich królów Kochin-Chiny w r. 1849. Powtarzamy go tu dosłowie:

»Złożono zwłoki Tien Tri do trumny, wraz z wielu przedmiotami, przeznaczonymi do użytku zmarłego na drugim świecie, jak korona, turbany, odzież różnego rodzaju, złoto, srebro i inne kosztowności, ryż i inne zapasy żywności. Postawiono pożywienie w pobliżu grobu i położono kawałek adamaszku z wełnianymi znakami, który jest mieszkaniem jednej z dusz zmarłego. W grobie, sklepionym gmachu kamiennym, zamykano bezdzietne żony zmarłego, żeby go strzegły i przygotowały codzień pożywienie i inne rzeczy, których, jak im się zdaje, nieboszczyk potrzebuje w swem nowem życiu. Podczas, gdy umieszczano trumnę w grobie, palono w jaskini obok grobowca duże stosy łodzi, przyborów i wszystko, czego użyto przy uroczystości pogrzebowej, a prócz tego wszystko, czego król używał za życia, jak: szachy, przyrządy muzyczne, wachlarze, pudła, parasole, maty, sieci, wozy i t. p. a także i konia i słonia z drzewa i tektury. W kilka miesięcy po pogrzebie wzniesiono w lesie, lecz nie jednocześnie, dwa pałace, w pobliżu pagody. Pałace te były drewniane, zaopatrzone we wszystko, co było w pałacu, w którym mieszkał dawniej król, nieboszczyk. Zwracano pilnie uwagę, aby nie brakło w nich niczego, co powinno znajdować się w pałacu. Każdy z nich składał się z dwunastu pokojów. Oba te pałace spalono z wielką pompą i w ten sposób puszczono z dymem wielkie boga-

ctwa, czyniąc zadość nierozsądnej wierze, iż wszystko to będzie służyło nieboszczykowi na tamtym świecie«.

Ludy aryjskie dorównały z pewnością pod tym względem wszystkim opisanym dotąd ludom pierwotnym. Litwini wierzyli, że dusze zmarłych muszą przechodzić przez, stojący na stromej górze, dom wielkiego kapłana Krywe-Krywejty, który umiał w danym razie opisać odzienie jaką dusza każda miała na sobie i wymienić broń, którą z sobą niosła. Wiedząc, jak bardzo stromą, a zatem trudną do przebycia jest ta góra, palili pozostali pazury niedźwiedzie, aby nimi pomagała sobie dusza w mozolnej przeprawie. Gallowie starożytni brali z sobą na drugi świat wszystkie rzeczy, których częściej używali za życia, a nawet byli przekonani, że wierzyciele będą mogli i tam jeszcze ściągnąć z dłużników należne sobie sumy, z których ci ostatni nie mogli uiścić się na ziemi.

Pruski historyk, Hartknoch, podaje, że Słowianie palili trupy, a wraz z nimi broń i wszelkie przedmioty, należące do zmarłego. Atoli, gdy zakon krzyżowy wystąpił przeciwko niszczeniu zwłok ogniem, »był lud mimoto tak zabobonny, że wkładał zmarłemu chleb i naczynie z piwem do grobu, aby w czasie podróży pośmiertnej miał zaspokoić czem głód i ugasić pragnienie«.

Kilka współczesnych przykładów pozwoli nam przekonać się, jak tu i ówdzie, mimo nowych prądów, utrzymują się dawne zwyczaje, a nawet pierwotne wierzenia żyją obok nowych, odmiennych pojęć, wprowadzonych przez wyższe religijne systemy.

U Kaszubów nadłebiańskich, istnieje, jak podaje Smólski, mnóstwo zabobonów, związanych z pogrzebami. W Kartuskim n. p. kładą zmarłemu w usta fenig. W Cecenowie dają mu śpiewnik, aby miał po śmierci z czego śpiewać, tudzież wkładają mu do grobu sieć na ryby, dzieciom rzucają zabawki do trumny, a starszym ustawiają świecę, aby wśród pozagrobowych ciemności nie potrzebowali błądzić, zanim znajdą drogę do nieba. Gdzieindziej znowu grzebią z nieboszczykiem jego lepsze odzienie i ulubione przedmioty,

a zarazem chowają mu do trumny igłę i nici, aby mógł sobie zaszyć ubranie, gdy pocznie się mu drzeć na drodze.

Zwyczaje takie lub podobne są bardzo powszechne wśród wiejskiego ludu. W wielu okolicach Podola jest zwyczaj, że, gdy ktoś umrze, zawiązują w chustkę pieniądze i kładą je obok nieboszczyka, gdyż w przeciwnym razie nie miałby czem wykupić się na drugim świecie, w okolicy Lwowa np. w Bobreckiem, przymocowują dziecku do ręki świeczkę woskową, aby łatwiej znalazło drogę do nieba i t. p. Wśród Żmudzian krąży legenda o pewnej pani, która powróciła po śmierci, aby przywdziać nowe suknie i zmienić dawną fryzurę, co jest dowodem wierzeń, że czynności człowieka w życiu przyszłem nie odstępują daleko od jego zatrudnień na ziemi.

Jakkolwiek tedy błąka się wśród ludu naszego wiele zwyczajów, których źródła tkwią jeszcze w przedhistorycznej dobie, to jednak cel ich jest rzadko kiedy obmyślony dokładnie, a już zupełnie pominięte jest wyjaśnienie, w jaki sposób służą one duszy w rajskiej krainie. Ostatecznie i u ludów pierwotnych nie dość wyraźnie występuje wiara w duszę przedmiotów nieżywotnych i z wyjątkiem, bardzo a bardzo nielicznych plemion (Karenowie, Fidżianie, Algonkinowie), u których możemy tego rodzaju wierzenia z pewnością przypuścić, nie mamy dość pewnych dowodów, czy żyją one gdzieindziej. Dość, że w krainie umarłych wyglądają przeważnie wszystkie te przedmioty jako cień, a dusze, niosące tarcze, dzidy, łuki i jarzma, jak rzucane przez słońce na ziemię obrazy ludzi, których, posuwający się wraz z nimi cień, dźwiga w rękach takiżsam cień przedmiotu, podobny co do zarysów, ale odmienny od właściwej rzeczy o tyle, o ile cień człowieka różny jest od niego samego. Chociaż niema tu wyraźnej wskazówki co do istoty wierzeń, to jednak możnaby domyślać się jej na podstawie obserwowanych praktyk, co wymaga najsurowszej krytyki ze strony badacza, z zachowaniem wszelkich ostrożności. Przecież i wśród najinteligentniejszych sfer bywa, że umierający życzy sobie, aby włożono mu do trumny jakiś jego, szczególniej ulubiony przedmiot, foto-

grafię, listy, włosy lub coś podobnego, a jednak nikt nie będzie sądził, że ów człowiek wierzy w duszę tych przedmiotów, które zabrać chce z sobą do grobu. Takie plemiona trafiają się również wśród ludów pierwotnych. Nauka wykazuje, że nie uznają one wiary w dusze przedmiotów, a mimoto grzebią umarłych z rzeczami, które stanowiły ich najbliższą własność. W takich razach możliwą jest okoliczność, że, albo nie zdają sobie one zupełnie sprawy z zwyczaju, narzuconego im skądinąd, albo też gra tu rolę tylko chęć, odsunięcia od siebie tego, do czego mógłby rościć sobie słuszne pretensye duch nieboszczyka, obstający uparcie przy dawnych swoich prawach.

Można, nie bez nadziei zbliżenia się do rzeczywistości przypuścić, że, jak z jednej strony ta bojaźń, którą żywi człowiek z natury swej do śmierci, wogóle obawa przed zmarłym wpłynęła w znacznej mierze na rozwój obrzędów pogrzebowych, tak z drugiej, ona i myśl, że duch nieboszczyka, nie odmówi pozostałym krewnym swej opieki, przyczyniły się do rozwoju nowej grupy obrzędów, oznak żałoby po zmarłych.

Przedstawiając powyżej ceremonię pogrzebową u Dajaków, zaznaczyliśmy wyraźnie, że wszyscy, którzy pozostawali w jakichkolwiek bądź stosunkach ze zmarłym, to jest, byli bądź obecni przy jego śmierci, bądź też mieszkali w tej samej zagrodzie lub może uczestniczyli w pogrzebie, stają się nieczystymi. Odnosi się to szczególnie do krewnych. Nie wolno im przyjmować ani oddawać wizyt, nie wolno zbliżać się do nikogo, nie wolno udzielać czegoś ze swoich rzeczy, są oni jakgdyby obciążeni klątwą, której pozbędą się dopiero, dzięki umyślnej ceremonii oczyszczenia, wypełniającej program ostatniego dnia święta umarłych czyli »tiwah«. Dakota Ameryki północnej żywi takie same pojęcia. Przez śmierć jednego z członków rodziny stają się inni nieczystymi i muszą dopiero wyparzyć się w łaźni, aby zrzucić z siebie niewygodny ciężar, wykluczający ich od wszelkiego ludzkiego towarzystwa. Na Madagaskarze nietylko tego, który dotykał trupa, uważa się za nieczystego, ale każdego, który

był na pogrzebie, a i Zulusi, którzy odznaczają się taką wrażliwością w tej mierze, że porzucają chorych w lesie, z obawy, aby nie musieli być świadkami śmierci, oczyszczają się starannie zapomocą oblewań wodą, ile razy przejdą w okolicy, w której leży umarły.

Jeżeli stąd przeniesiemy się w świat starożytnych, to i tu nie zabraknie nam przykładów, chociaż mielibyśmy nawet przypomnieć tak znane, jak zwyczaj u Greków, zalecający każdemu, wychodzącemu z domu żałoby, obmyć się, ustawioną przed drzwiami w naczyniu wodą, lub nawet przejść prócz tego jeszcze przez ogień, jak to czynili, w celach oczyszczenia Rzymianie. Ich pogrzeb następywał zaraz lub wkrótce po śmierci, to i czas oczyszczenia był bliski, ale gdy zwłoki czekać musiały na spoczynek tygodnie, miesiące a nawet lata, trwał tak samo długo okres nieczystości, odsądzający daną rodzinę od wszystkich, przysługujących jej dotąd praw towarzyskich.

Możliwe, że wówczas tacy, celem ostrzeżenia innych, poczęli posługiwać się jakimiś charakterystycznymi odznakami, które pozwalały każdemu zrozumieć od razu o co chodzi. Mógłby to być odgłos któregokolwiek instrumentu muzycznego, równie dobrze, jak jakaś widoczna zmiana w stroju, albo nawet w zewnętrznym wyglądzie samego ciała. W wielu razach stanowiła też może o takiej zmianie chęć odstraszenia względnie uwiedzenia duszy zmarłego, a, jak różnie tam działo się, dość, że dwa te, zawsze razem z sobą związane wyobrażenia: śmierci jednego i odpowiednich zmian u drugich, tak z biegiem czasu skojarzyły się razem, że poczęto je uważać za nierozdzielne. I bez względu na to, czy pogrzeb miał odbyć się dziś, czy jutro, czy projektowany był dopiero za rok, postępowało każde późniejsze pokolenie, w myśl ucierającego się zwyczaju, utraciwszy właściwy cel z przed oczu. Tymczasem, czy to z obawy przed duszą zmarłego, czy też może w nadziei uzyskania od niego pomocy, przyłączyła się jeszcze do tego wszystkiego chęć, okazania mu swego pietyzmu. Jasnem jest, że to silniejsze i świeższe uczucie, poczęło jeszcze bardziej osłabiać i dalej odsuwać

pierwotne źródło, już i tak niezrozumiałych co do swego znaczenia obrzędów, aż wreszcie drogą, dającą się w kolejach myśli ludzkiej bardzo często zauważyć, zaabsorbowało je zupełnie dla siebie.

Taką mogła być, według naszego zdania, geneza żałoby. Warto przyjrzeć się się teraz, chociażby pokrótce najważniejszym jej objawom u ludów pierwotnych. U wielu plemion indyjskich, a także licznych ludów Ameryki i Oceanii, rozpowszechniony jest zwyczaj, ucinania sobie jednego członka z palca, po śmierci każdego, bliższego krewnego. To też stare kobiety, które pochowały niejedno dziecko i pogrzebały niejednego męża, mają zaledwie po jednym palcu u każdej ręki, a nawet i ten nie jest często zupełny. Preuss opisuje tak śmierć naczelnika z pewnego plemiona Indyan.

»Gdy przybyliśmy, wszystkie chaty były już zburzone. Wjechaliśmy wśród krzyku, biadań i jęków. Krew płynęła z każdej części ciała tych wszystkich, którym dojrzałość pozwalała głęboko odczuć poniesioną stratę. Poobcinano setki palców, a, powydzierane z głowy włosy, zaścielały formalnie drogę. Na moje żądanie zebrało się następnie dziesięć tysięcy Indyan w jednem miejscu. Takiego obrazu dzikiej, krzykliwej skargi nie potrafi stworzyć sobie ludzka wyobraźnia. Cięto i darto swoje ciało w spobób, przechodzący wszelkie wyobrażenie: odcinano palce z taką łatwością, jakgdyby strzyżono gałęzie, krew przelewano jak wodę. Niektórzy wojownicy, a było wielu takich, rozcinali skórę na całej długości ramienia w postaci dwóch rowów, poczem, odłączywszy ją na jednym końcu od mięsa, odrywali jednem szarpnięciem cały pas aż do łopatki. Inni wycinali sobie rysunki na piersiach i grzbiecie, zdzierając następnie skórę w podobny sposób«.

Niemal pierwszą czynnością Tahitianki po ślubie, jest założenie w odpowiednie drzewce, ostrych jak szpilki, zębów rekina, aby nimi pokaleczyć sobie ciało na znak żałoby po śmierci męża, tożsamo czynią mieszkańcy Tonga, raniąc się zaostrzoną muszlą i wiele innych. Tymczasem krajowiec Kangombe w Bihe w południowej Afryce nie ob-

jawia swego żalu w tak barbarzyński, dziki spobób. Ogoliwszy sobie głowę i pomalowawszy ciało żółtą ziemią, wie, że zupełnie dobitnie zaznaczył swoje stanowisko wobec nieboszczyka, co mieszkaniec Sulu wyraża założeniem białego turbana na sztucznej łysinie, lub zasłonięciem twarzy, jeśli jest kobietą.

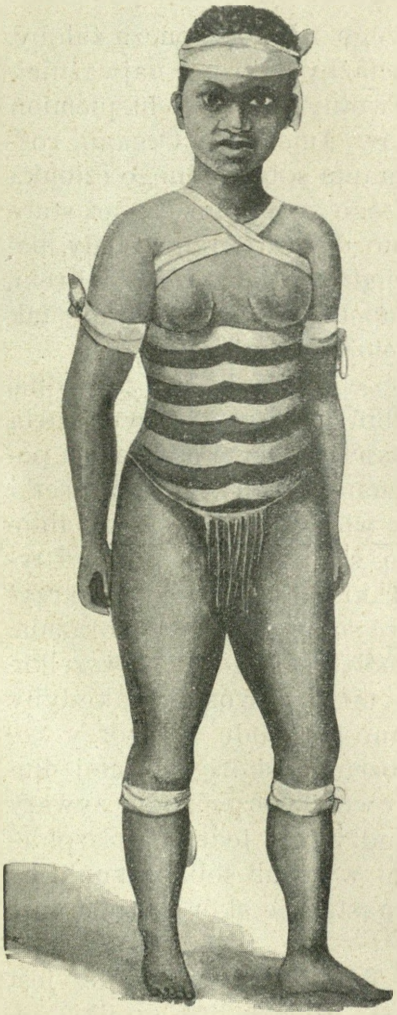

Ryc. 36. Wdowa z wysp Aaru w stroju żałobnym. (Rys. wedł. Plossa A. K.).

Jeżeli rozchodzi się o malowanie ciała, to wypada zauważyć, że wspomniany dopiero co zwyczaj używania żółtej barwy na znak żałoby, nie cieszy się wielkiem wzięciem, a za barwy żałobne uchodzi przeważnie kolor biały i czarny. Żony krajowców Kamerunu lub wielu plemion australskich, malują się po śmierci męża na biało, natomiast Motu czernią się pewnym gatunkiem ziemi, nadającym ciału metaliczny połysk, to samo też prawie czyni wdowa w Nowej Kaledonii, z tą tylko małą różnicą, że na czarnem tle doprawia jeszcze kredą w okolicy policzków duże, białe koła, które bardzo bujna wyobraźnia mieszkańców nazywa łzami. Ale nieporównanie ciekawsze są te oznaki żałoby, które wiążą nas, z poznanymi już poprzednio bliżej, mitami słonecznymi.

Musimy wrócić tem samem do pętli, do owej pętli, która, w ręku przemyślnego kapłana, stała się straszną bronią prze-

ciwko duszom umarłych i żywych, mniejsza o to, czy była to ta najpierwotniejsza pętla, której używał raratongański czarodziej, czy też może jej odmiana, ów sznur, z którym Neger Akkra wybierał się na związanie duszy złodzieja, za poradą bardzo mądrego gangi.

Przypatrzmy się oznakom żałoby u ludów pierwotnych, a odnajdziemy w nich tę samą pętlę, która, służąc zrazu i tutaj właściwemu swemu przeznaczeniu, zatracała, w miarę rozwoju poglądów, coraz bardziej pierwotne swoje cechy, aż wreszcie stała się tylko symbolem związku dwojga osób, względnie ich dusz, o różnorodnej, często tak odmiennej postaci, że dopiero na drodze badań da się wykazać jej właściwe źródło.

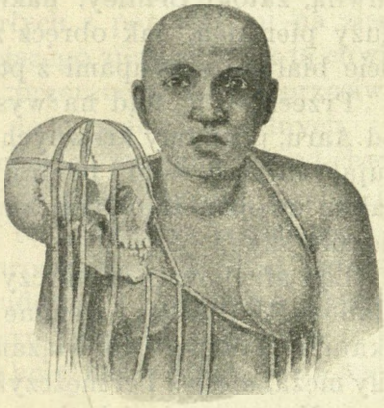

Ryc. 37. Wdowa Minkopiów na Andamanach w żałobie. (Rys. wedł. Plossa A. K.).

Kobiety Maori n. p. plotą wianek z zielonych liści, albo też z widłaków, bądź wreszcie z czarnej trawy morskiej i owijają nią sobie głowę, gdy umrze im kto z rodziny, zaś mieszkańcy z nad zatoki Bentley, w południowo wschodniej Gwinei, używają szerokich wstążek, plecionych również z trawy, a przewiązanych na krzyż na plecach i piersiach. Wyspiarki Aaru obwiązują sobie wstęgami z liści palmowych lub innego podobnego materyału nietylko plecy i piersi, ale kolana, ręce i głowę, przyczem strzygą lub golą włosy, nosząc się tak aż do chwili, kiedy przypadnie uroczystość zabrania kośćca z trumny i przeniesienia go na wybrzeże, wśród, niedających opisać się, pełnych wstrętnej lubieżności scen, mających wdowom okazać, że, postradawszy małżonka i przepędziwszy odpowiedni okres żałoby, zdolne są do ponownego zamążpójścia. Dziwny zwyczaj spotyka się na Andamanach. Oto wedle ceremoniału żałobnego niektórych ple-

mion, musi wdowa oddzielić wszystkie miękkie części z głowy męża, oczyścić dokładnie czaszkę, a, umalowawszy ją na czerwono, przystroić w włókna drzewne, rozpierzone niby frędzle i przymocować ją następnie do szyi, karku i piersi.

Ten żałobny strój zdobi ją tak długo, aż znajdzie się ktoś, który ofiaruje jej powtórnie godność małżonki. Nazywa się ta czaszka: »Chattada«.

Na Yule, małej wysepce w zatoce Papuańskiej, noszą sznurowe pierścienie wokoło ramion, niby bransolety, zaś wdowy po naczelniku z nad, wspomnianej właśnie przed chwilą, zatoki Bentley, nakładają na kark na znak żałoby duży pierścień, jak obręcz z małej beczki, obwieszony obficie białymi skorupami z ptasich jaj.

Przechodząc stąd na wyspy Kei czyli Ewaf, na zachód od Aaru, poznamy krewnych zmarłego po pierścieniach, opasujących ręce, nogi i biodra, podczas gdy na Maryanach jest całym strojem żałobnym zwykły sznur, okręcony kilka razy dokoła szyi.

Ląd afrykański dostarczy nam nie mniej podobnych przykładów. U Bullom i Temme noszą osieroceni kilka sznurów »kauris« a do tego obowiązane są nietylko kobiety, które straciły męża, ale też i ci mężczyźni, którzy kopali grób dla zmarłego. Noszenie pierścieni na głowach a więcej jeszcze na szyi należy tu do zwyczajów żałobnych bardzo rozpowszechnionych. Mieszkanka Liberyi wdziewa na głowę słomianą obrączkę, na znak, że utraciła kogoś z rodziny, szczególniej zaś męża, kobiety A-Barmbo opasują szyję wstęgami z łyka, plemię Dammara zarzuca na szyję rzemienne obręcze, na których wiszą kawałki skorup strusich jaj, Beczuanie uginają się pod ciężarem żelaznych łańcuchów, a Hottentoci okazują żal swój za zmarłym, owijając kark, gęsto plecioną siatką.

Galela i Tobelorezi, owinąwszy trupa suknem, obcinają sobie włosy i golą brwi, zaś resztki pozostałej materyi podartej na pasy, obwiązują dokoła ramion lub noszą je jako bransolety na przedramieniu. O naczelnikach z Tonga, czytamy, że odwiedzając groby książąt, zrzucili z siebie swoje

dawne odzienie, zaś w miejsce ich włożyli szmaty, okręcając szyję postronkiem z liści drzewa »ifi«.

Niewątpliwie wszystkie te różnorodne pierścienie z łyka, liści, żelaza i t. p. noszone na głowie, szyi, rękach, biodrach i nogach, odpowiadają jednemu przeznaczeniu, są oznaką, że dana osoba wiąże do siebie duszę zmarłego, z którym łączyły ją stosunki życzliwości za życia. Z biegiem czasu zaciera się jasny zrazu cel tych pierścieni żałobnych, które stają się nietylko symbolem przywiązania i żalu po stracie krewnego, już nietylko tak bliskiego, jakim jest mąż, ale i dalszych, jakim jest każdy członek rodziny.

Zrazu, wiążąca dusze umarłych z pozostałymi na ziemi, nabrała pętla z czasem ogólniejszego znaczenia i z tą chwilą, z ceremoniału pogrzebowego, przerzuciła się w przeciwną temuż ostateczność, bo zeszła do ceremonii weselnych.

Małżeństwo u Wedów ceylońskich zaczyna się od chwili, w której panna młoda przewiąże narzeczonemu swemu dokoła bioder, długi, jej własną ręką kręcony postronek i na tem kończy się cała ślubna uroczystość, Hindusi związują ręce młodej parze trawą, Gondowie i Korkuowie ubierają pierścienie, jako symbol zawartego odtąd małżeństwa, zaś u Namików noszą kobiety duże kolczyki w nosie, skoro wyjdą za mąż.

Ko wie, czy używane przez nasze panie w czasie żałoby długie welony z krepy, nie są resztką owej słonecznej pętli, kto wie, czy nie wiążą się z nim zwyczaje dawania sobie pierścionków zaręczynowych, lub też zamiany obrączek w czasie ślubu?

Jak z jednej strony stała się pętla symbolicznym wyrazem związku dusz, tak znowu z drugiej przeistoczyła się w t. zw. amulety, t. j. godła czarodziejskie, nietylko bierne, a więc takie, których zadanie polega na odparciu złych duchów, ale także i czynne, mogące działać zaczepnie. Pierścienie, bransolety, łańcuchy, zwieszające się na piersiach czarodziejów i stające się tem samem oznaką godności kapłańskiej u wielu plemion pierwotnych, może nawet nosze-

nie korali i kolczyków u ludów cywilizowanych, wszystko to wiąże się z dziejami pętli słonecznej.

Ryc. 38. Namikanki z okolic Himalaja z pierścieniami w nosie, jako oznaką małżeńskiego związku. (Lampert I.).

W jaki sposób mogła stać się ona czarodziejskiem godłem ochronnem, pojmie łatwo każdy, kto pamięta o jej własności

sprowadzania życzliwych dusz, a potem wogóle duchów, gotowych w każdej chwili bronić człowieka, przed napaścią złośliwych demonów. To jedno wystarcza zupełnie aby rozwinąć jej genezę, zrozumiałą w ten sposób i jasną bez bliższych komentarzy.

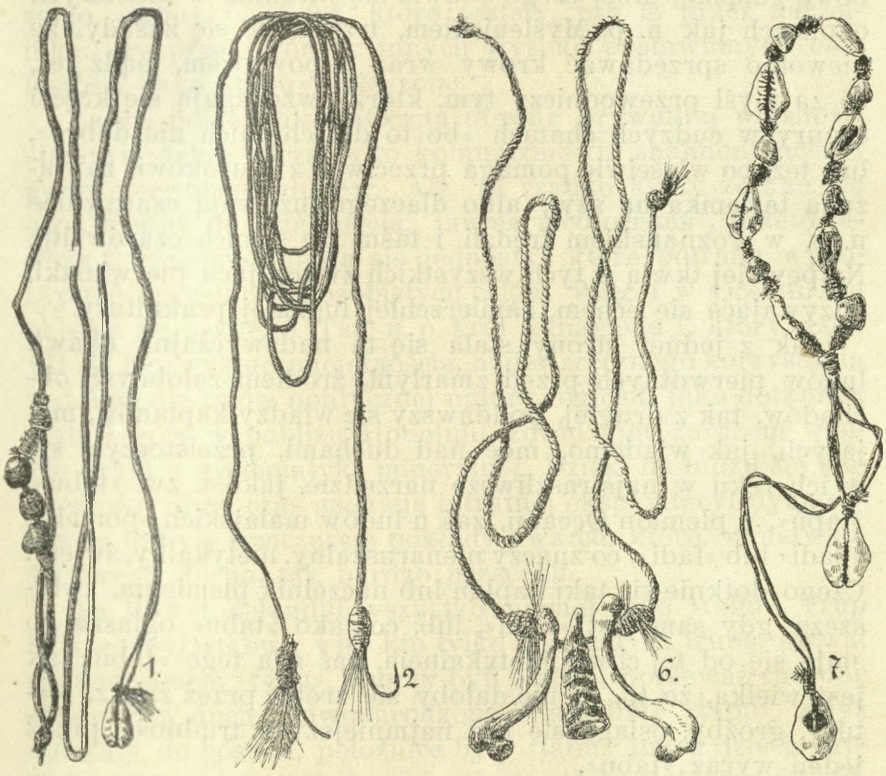

Ryc. 39. Amulety z zach. Afryki. (Frobenius).

Zdaje się, że opierając się na tem, co powiedzieliśmy dotąd o pętli słonecznej, zrozumiemy istotę wielu zabobonów, wyznawanych i przestrzeganych przez nasz lud wiejski jeszcze dzisiaj. Tedy nie trudno będzie zdać sobie sprawę, dlaczego, nietylko ciemny prostaczek na wsi, ale nawet tak zw. inteligentne osoby ze sfer średnich i arystokratycznego

świata ubiegają się z energią, godną lepszej sprawy, o stryczek z szyi wisielca, który następnie noszą przy sobie stale, jako nieoceniony amulet, albo, jak należy tłómaczyć przesąd, że w wielu okolicach u nas i w Królestwie nie popędzają zaprzęgu, wiozącego trumnę, batem, ale patykiem lub wierzbową gałązką, albo, czego obawia się wieśniak w niektórych okolicach jak n. p. Myślenickiem, trzymając się zasady, że niewolno sprzedawać krowy wraz z powrozem, bądź też, co za myśl przewodniczy tym, którzy wzdragają się kręcić sznury w cudzych chatach »bo to dla chatnich nie dobro«, lub też, co właściwie pomaga przeciw t. zw. urokowi, zawiązana tasiemka na szyi, albo dlaczego używają czarownice n. p. w Poznańskiem frędzli i taśm do swoich czarów itp. Najpewniej tkwią w tych wszystkich zwyczajach pierwiastki, odzywające się echem, zamierzchłej ludzkiej prakultury.

Jak z jednej strony stała się ta nadzwyczajna obawa ludów pierwotnych przed zmarłym, źródłem żałobnych obchodów, tak z drugiej, poddawszy się władzy kapłanów, mających, jak wiadomo, moc nad duchami, przeistoczyła się w ich ręku w najstraszliwsze narzędzie, jako t. zw. »tabu«, »tapu«, u plemion Oceanii, zaś u ludów malajskich »pomali«, »padi« lub »fadi«, co znaczy nienaruszalny, nietykalny, święty. Czego dotknie się taki kapłan lub naczelnik plemienia, zwłaszcza, gdy sam jest »tabu«, lub, co jako »tabu« ogłasza, to staje się od tej chwili nietykalnem, zaś siła tego »tabu« tak jest wielką, że to, co nie dałoby się zrobić przez zakaz, tortury, groźby, osiąga się bez najmniejszych trudności przez jeden wyraz »tabu«.

Kto sam jest »tabu«, ten, chcąc nie chcąc, przenosi tem samem to »tabu« na wszystko, czego tylko dotknie się, a wówczas wszystko to staje się również świętem, czyli »tabu«. W wielu okolicach Polinezyi, nie śmie naczelnik plemienia dotknąć się ziemi, ponieważ jest »tabu«; to też nie idzie piechotą, ale niosą go jego służący, ile razy zechce wydalić się poza obręb swojego domostwa.

Może nigdzie tak bardzo nie przesiąkły życia ludu prawa »tabu«, jak właśnie w Polinezyi. Tu wskutek nich rozpadli

się nietylko ludzie na dwie kasty, pomiędzy którymi leży nieprzebyta otchłań, ale także przedmioty podzielono na »moa« t. j. nietykalne, gdyż cięży na nich tabu i »noa, czyli wspólne, wolne od tabu, ale mogące być w każdej chwili niem dotknięte. Za nietykalne uchodzą te wszystkie rzeczy, które, bądź to jako należące do bóstwa, stają się przez to samo, »tabu«, bądź też, które zostały, czy to przez naczelnika, czy przez którą z innych wysoko postawionych osobistości, jako »tabu« ogłoszone.

Łatwo pojąć, jak stateczną obronę prywatnej własności stanowi »tabu« przeciwko komunizmowi, znamionującemu życie pierwotnych ludów. Ale, że rzadko kiedy zdarza się owa, trudna do osiągnięcia, »aurea mediocritas«, przeto zawsze i wszędzie znajdą się jednostki, które potrafią wykorzystać wszystko dla osobistych celów. Więc i w Oceanii nie obeszło się bez tego. Tak n. p. król Kahameda I, który wsławił się niezwykłą umiejętnością, nader zręcznego korzystania z »tabu« dla celów politycznej natury, ogłosił, jako dotkniętą »tabu« górę w pobliżu Honolulu, zdradzając zarazem wielkie braki z systematyki mineralnej. Dzięki im łudził się biedaczysko długi czas nadzieją intratnej eksploatacyi dyamentów, a to były tymczasem pokłady kwarcu, które, w naiwności swego ducha, tak bardzo przecenił.

Na Nowej Zelandyi wszystko niemal było »tabu«. Trup eo ipso był »tabu«, więc kto tylko spojrzał na trupa, stawał się tem samem »tabu», chorzy byli »tabu«, ponieważ chorobę sprowadza duch, nowonarodzone dzieci były »tabu«, gdyż należały do bóstwa, położnice były »tabu« przez dzieci, wreszcie wystarczyło tylko wymienić przedmiot, należący do którejś z wybitniejszych osobistości i to oznaczało już »tabu«.

Takie »tabu« nakładał zazwyczaj kapłan i w jego też mocy leżało odjąć je, przez odczytanie hymnu stworzenia, co właśnie wskazuje, że prawa »tabu« musiały wytworzyć się istotnie na tle, które podaliśmy powyżej. Na Tahiti ogłaszał kapłan całą pieśń »tabu«, jeżeli naczelnik plemienia za chorzał. Nikomu nie było wówczas wolno wydalić się za próg swego mieszkania, nigdzie nie gotowano strawy ani nie pa-

lono ognia, na morzu ani jedna łódka nie przesunęła się po falach, ani głos ludzki ani nawet szept cichy nie płynął z nikąd w powietrzu, wszystko zapadło w głuchą, niemą ciszę, jakgdyby otrętwiało lub wymarło.

Ale kiedyindziej wyświadczało tabu lepsze usługi. Na wyspach Polinezyi i Melanezyi nakładano »tabu« czyli »tapu« lub »tampu«, jak mówią Polinezyjczycy, na niektóre owoce, zwłaszcza wtedy, gdy albo zbliżało się wielkie, ogólne święto, albo gdy można było przewidzieć klęskę głodową. Tak n. p. na półwyspie Hood, w południowej Gwinei, na kilka tygodni przed rozpoczęciem wielkiego święta »Kepa«, oznajmiał kapłan, że na te a te owoce nałożone jest »tabu«, aż do chwili rozpoczęcia uroczystości. Są to przeważnie banany i kokosy, które lud zwykle zrywa jeszcze przed ich dojrzeniem.

Analogiczne do »tabu« Oceanii, jest »pomali«, »padi« lub »fadi« u plemion przeważnie malajskich. Powieszona lub zatknięta wiązka palmowych liści przed domem, drogą, lasem i t. p. oznacza, że na miejscowościach tych cięży »fadi«, że zatem są nietykalne na tak długo, dopóki »fadi« nie zostanie odjęte. Jest to rodzaj klątwy. Czasem podpadają jej całe wsi, wskutek licznych śmiertelnych wypadków, a wówczas znamionuje je ogólna martwota, czasem ogłasza się jako »pomali« las, pola, rzekę lub morze, jak n. p. u Alfurów z Halmahera. Dla mieszkańców prowincyi Behare, na południowem wybrzeżu Madagaskaru, są »fadi« wszystkie kury, gdzieindziej psy i t. p. Nawet dni mogą być »fadi«. Tak jest u Antanossów. W tym czasie niewolno rozpocząć żadnej pracy ani oddawać się żadnemu zajęciu, a jeżeli zdarzy się, że właśnie w dniu klątwy urodzi się dziecko, to musi być natychmiast żywcem pogrzebane. Ale w wyjątkowych razach mogą wyjątkowi ludzie uwolnić niewinną ofiarę od śmierci. Kosztuje to sporo grosza, lecz oprócz tego oddać musi któryś z rodziców jeden członek palca pod nóż, niby ofiarę, celem przebłagania bóstwa za złamanie »fadi«.

Znakomity ochronny środek przecw złodziejom stanowi »tabu« w niektórych okolicach. Jest to niezrównana pod

względem skuteczności policya bezpieczeństwa. Samoański złodziej nie dotknie za żadne skarby świata przedmiotu, na którym umieszczono liść kokosowy, wycięty w postaci, wyobrażającej rekina. Jest to bowiem przestroga, iż na tej rzeczy cięży »tabu«, za którego złamanie zostanie przestępca zjedzony przez zwierzę, przedstawione na liściu. Jeżeli zaś, zamiast liścia, ustawi właściciel patyk, to należy rozumieć, że tego, który lekceważyłby sobie tę oznakę »tabu«, »przejdzie choroba na poprzek« i zabije go. Mnóstwo jest takich oznak »tabu«. Jedne powodują niechybną śmierć, inne kalectwo jak ślepotę lub obłąkanie, jeszcze inne czyraki i wypryski, i t. p. niedomagania. Naprawdę! Aż nie chce się wierzyć, że jest jeszcze zakątek ziemi, gdzie żyją tacy dobroduszni złodzieje!

Nie można wątpić, że tego rodzaju stosunki wpłynęły dodatnio na postępowanie pierwotnego człowieka. Z obawy i płynących z niej przepisów wytworzył się zwolna szacunek dla zmarłych, co umożliwiło grzebanie ciał na wspólnych miejscach, czyli cmentarzach, które, jako tabuowane, gdyż zawierały tabuistyczne przedmioty, t. j. zwłoki, odsuwano daleko od osad ludzkich, czasem nawet na odległe wysepki, jaką jest n. p. Malipano, cmentarz wyspiarzy somalskich.

Od kultu zmarłych, któremu otwiera się w taki sposób dogodne pole do rozwoju, dzieli człowieka pierwotnego tylko jeden krok od t. zw. »manizmu« czyli kultu przodków, stanowiącego źródło bohaterów i półbogów niższej mitologii.

Niejednokrotnie zaznaczaliśmy już, że śmierć nie stanowi zupełnego rozłamu pomiędzy żywymi a duszami zmarłych. Pierwsi i drugie znoszą się z sobą nieustannie, zaś głównym łącznikiem, które te dwa światy wiąże, jest kult zmarłych wogóle, zaś w szczególności kult przodków.

Źródło jego leży w samej naturze pierwotnego człowieka, przyzwyczajonego oceniać wszystko z animistycznego pun-

ktu widzenia, wszystko odnosić do duchów. Obfite łowy, zręczne wywinięcie się z trudnego położenia, zabicie lub pokonanie nieprzyjaciela, wszystko to, nie swojej zręczności, przytomności umysłu i sile ma do zawdzięczenia, ale komuś innemu, jakiemuś niewidzialnemu, życzliwemu duchowi, który przychodzi mu z pomocą w potrzebie. Nie może to być nikt inny, tylko duch jakiegoś zmarłego już człowieka, może ojca, może dziada, który dał się poznać jako taki za życia i według teoryi dalszego trwania, pozostał tym samym po śmierci. On to kieruje ręką i nadaje bieg strzale, on usuwa niebezpieczeństwa, on osłabia nieprzyjaciela lub odbiera mu czujność, krótko mówiąc, jemu należy dziękować za wszystko, co człowiekowi wychodzi na pożytek. Odkrywszy raz tak życzliwą i pomocną istotę, nie łatwo uwolni ją człowiek od obowiązku, świadczenia sobie usług; w każdej ważniejszej chwili życia, w każdem położeniu, które wyda się mu za ciężkie na jego własne siły, przyzwie ją i prosić będzie o pomoc, zaś w zamian za tę ostatnią, złoży chętnie daninę, bądź to jako podziękowanie, bądź jako zaliczkę, zadatek na przyszłość. I syn i wnuk i prawnuk pójdą za przykładem ojca, dziada, pradziada i czynić będą tak samo, a tymczasem ów przodek czy też owi przodkowie, poczną utracać z biegiem lat coraz bardziej swoje pierwotne cechy człowiecze i, wspierani wyobraźnią swoich twórców, przeistaczać się w możne, opiekuńcze bóstwa rodzinne.

Takich bóstw może być wiele, bo i rodzin jest wiele, a każda z nich może mieć i ma uduchowionych i ubóstwionych przodków, do których udaje się w rozlicznych potrzebach życia o wsparcie.

Siedząc na progu domu, rozmawia Mandanka całymi godzinami z duszą zmarłego męża, opowiada mu co zaszło, skarży się na swoją niedolę i prosi o pomoc. Neger, w krytycznych chwilach życia, spieszy co żywo z ofiarami dla duchów przodków, w razie większego nieszczęścia krążą tłumnie mężczyźni, kobiety i dzieci po brzegach lasów i żałosnym, przeciągłym głosem nawołują zmarłych po imieniu, zaś Chińczyk, zwrócony ku pamiątkowym tablicom, kędy prze-

mieszkują duchy rodzinnych antenatów, donosi im o ważniejszych wydarzeniach rodzinnych, lub pyta o radę przed rozpoczęciem główniejszych czynności. Eskimosi wierzą, że każdy z ich czarowników wówczas dopiero rozpocząć może ze skutkiem swój chwalebny urząd, gdy posiędzie »torngaka« t. j. ducha, który najczęściej jest duchem jakiegoś znakomitego rodzinnego przodka, a u wielu plemion Indyan północnej Ameryki, musi nietylko czarownik, ale każdy wogóle postarać się o odpowiedniego takiego patrona, co odbywa się z wielką uroczystością.

Takim duchom przodków, które dzielą niektóre plemiona na umarłe wcześniej i umarłe później (Galela, Tobelorezi) składa się zazwyczaj ofiary w postaci jadła i napoju, na umyślnie ku temu przeznaczonych miejscach. Wedle wiary Galela i Tobelorezów, duchy przodków, zamieszkujące piaszczyste ławice wsród morza, lub przebywające na wybrzeżu, przychodzą pod dom lub wciskają się do mieszkań od czasu do czasu po pożywienie. Dla nich to stawiają małe domki, gdzie mogłyby odpocząć i posilić się, zastawianą tu codziennie strawą. Jednak właściwym ich przybytkiem jest »otaba« t. j. duży, drewniany kocieł, zawieszony u powały. Nie znajdziesz domu, gdzie brakłoby tego naczynia. Do niego to składa się, przeznaczone dla duchów pożywienie, a gdy już jest, wzywa się niewidzialnych gości na ucztę. Nie długo trzeba ich prosić. Pilnują bacznie swej pory, więc stawiają się w czasie i zabierają do jedzenia. Musi jednak stać ktoś nieopodal, uważać aby jadły, zachęcać, nawet prosić, bo dopiero wówczas, gdy duchy przodków nasycą się, wolno domownikom pomyśleć o sobie. Pewnie, że każdemu zależy na tem, iżby stało się to jak najprędzej, więc proszący, stoi przed »otaba« i mówi: »O duchu! przybądź do swoich potraw, jedz je i usuń chorobę, iżbyśmy mogli zacząć gotować«. W dwie godziny potem mówi ta sama osoba dalej. »O duchu, jeżeli jesz jeszcze, to kichnij, jeżeli zaś nie, to nie kichnij«. Bywa prawie zawsze, że duch nie kicha, ale nie jestto regułą. Czasem bowiem kichnie ktoś właśnie z otoczenia, ponieważ zaś kichnięcie dzieje się za sprawą ducha, przeto znowu trzeba

czekać parę godzin i znowu wzywać ducha do odpowiedzi i znowu uważać, czy nie kichnie, na znak, że je i nie chce, by mu przeszkadzać. Przy każdej uroczystości należy bardziej pamiętać o duchach przodków, aniżeli kiedykolwiek indziej. Tak n. p. w miesiąc po żniwach skupuje właściciel ryby, przyprawia je w odpowiedni sposób, barwi na żółto ryż, przygotowuje dwadzieścia mis pieczystego, tyleż mis jaj, tyle kubłów wody i dwie misy »sirih pinang«, poczem każe bębnić przez trzy dni, aby wszystkie, nawet najdalej mieszkające duchy gromadziły się na obfitą biesiadę. Niema powodu, ażeby hasła takie przebrzmiały bezskutecznie; ludzie pogardzają rzadko sposobnością zabawienia się, a duchy mają zupełnie taką samą naturę. Więc tylko dla prostej formalności występuje mistrz ceremonii i prosić poczyna duchy, aby nie żałowały sobie jadła i napitku, aby bawiły się dobrze, ale w zamian za to oddalały od domowników choroby i inne nieszczęścia. Dwa dni i dwie noce trwa to święto duchów, nazwane tak dlatego, że właściwie bawią się żywi, zjadając wszystko co przygotowano dla zmarłych, tańcząc do upadłego i pijąc bez opamiętania. I Murzyn przynosi pokarmy duchom przodków, a wieśniak rosyjski, wierząc święcie, że duchy jego pradziadów wciskają się poza święte obrazy na półkę ikon, pozostawia tam dla nich okruszyny pieczywa dla posiłku.

Tak to istnieją te rodzinne duchy przodków masowo, a żaden z nich niema zazwyczaj dość danych, aby wybić się ponad inne, a, połączywszy w sobie ich własności, stać się jedynem, opiekuńczem bóstwem rodzinnem. Lepszych warunków pod tym względem, nastręcza arena społeczna. Wielki wojownik, naczelnik, kapłan, są często z góry przeznaczeni na stanowisko półbogów. Czasem bowiem wystarcza do tego już sama ich wysoka godność. chociaż nieraz inne okoliczności zadecydować muszą o tem powołaniu. Oto nie mogą być to ludzie przeciętnej miary, ale inni, umiejący wynieść się ponad wszystkich, wyrobić sobie szczególne stanowisko, otaczane powagą, szacunkiem, lub miłością. Lepiej jeszcze działa na umysł ogółu dokonanie takich czynów, które zdają się wychodzić po za granice, przystępne dla ludzi, dzieł, wyma-

gających jakiegoś nadzwyczajnego bohaterstwa, a tak doniosłych znaczeniem, że pamięć społeczeństwa nie prędko przejdzie nad nimi do porządku dziennego. Tacy bohaterowie czy żyją, czy umrą, żyją zawsze, owszem, śmierć jest dla nich początkiem nowego, jeszcze szczytniejszego życia. Tak! Jest rzeczą naturalną, że imię tego, który swoich ziomków otaczał opieką, który w obronie ich narażał przykładnie swoją pierś, który zyskał sławę nieustraszonego dowódcy, a może nawet wybawcy swoich współrodaków, nie zatrze się z jego śmiercią tak prędko, jak imię każdego innego, którego znaczenie i zasługi nie wychodziły poza ramy jego najbliższego otoczenia. Więc chociaż umarł, nikt nie uważa śmierci jego za ostateczny z nim rozbrat: jako duch żyje on dalej w kole swoich ziomków, roztaczając nad nimi pożądaną opiekę, niosąc im radę lub pomoc. A tymczasem dawne jego życie krąży w opowieściach w ustach ludu, podawane wzrastającym pokoleniom jako tradycya, ubarwiana coraz to nowymi dodatkami, czerpanymi już później z wyobraźni i tracącymi wskutek tego coraz bardziej cechy wiarygodności. I tak, gdy stosunki takie przesuną się w późniejsze, młodsze pokolenia, gdy opowieści, osnute na tle rzeczywistych niegdyś wypadków, zmienią się w jakąś cudowną niemal legendę, pocznie ów bohater ludowy przestawać być coraz bardziej człowiekiem, a zmieniać się w coś wyższego, w jakąś nadziemską istotę. Skoro zaś i jego pochodzenie właściwe przyćmi mgła niepewności i niepamięci, zaś wyobraźnia ludzka wstawi na to miejsce jakąś cudowną, odpowiadającą tej niezwykłej postaci, genezę, wówczas znajdą się mimowolni twórcy przed obliczem ducha wysokiego, potężnego, a niewidzialnego. Ufni w jego życzliwość, której dowody złożył jeszcze za życia, nie omieszkają nowi wyznawcy zwracać się ku niemu z prośbą o pomoc w krytycznych razach, zaś każdy, szczęśliwem zakończeniem uwieńczony obrót rzeczy, policzony mu jako zasługa, dorzuci jeszcze do ogólnego pietyzmu nową podnietę. Krótko mówiąc, stanie się ten, niegdyś człowiek-bohater, potem czczony duch potężnego przodka, bóstwem, czy raczej półbóstwem swego plemienia.

Jestto zwykła kolej rzeczy, jaką przejść muszą ludzie, zanim wyrosną do godności bóstw drugiego rzędu, a bóstwa takie, powstałe z duchów przodków, znajdziemy w mitologii wszystkich narodów.

Taka apoteoza człowieka po śmierci, tem jest łatwiejszą, że, jak wspomnieliśmy o tem przed chwilą, zażywa naczelnik u wielu plemion pierwotnych, już za życia swego czci niemal boskiej. Pominąwszy już zewnętrzne oznaki, wyróżniające go i jako władcę i jako kapłana od szarego tłumu, a więc pióropusze, kolje z zębów rekina, kolczyki i t. p. otacza go cała aureola dziwnego, nastrojowego ceremoniału. Żaden z przechodniów nie śmie popatrzeć w oczy swojemu władcy, ale, znalazłszy się w pobliżu niego, musi natychmiast rzucić się twarzą na ziemię, obnażyć barki, a nawet ogołocić się coprędzej z wszelkiego odzienia i odtrącić je precz od siebie. W Mikronezyi niewolno było nawet wymówić nazwiska naczelnika, które na Kusaje, jednej z mniejszych wysepek Karolinów, znaczyło prawie tyle samo co »bóg«.

Co więcej! Za równające się świętokradztwu przestępstwo uważano tu używanie takich wyrazów, które samem brzmieniem zaledwie mogłyby przypominać nazwisko wielkiego władcy! Ba! na wyspach Salomona jest zabronione jak najsurowiej nastąpić na cień naczelnika, zaś, kto dopuściłby się tego rodzaju profanacyi, zostaje bezzwłocznie ukarany śmiercią. Ze służby dworskiej podlega tym samym po części prawom golarz nadworny, gdyż, dotykając włosów osoby niemal świętej, staje się sam tabu, t. j. nietykalny. Stądteż niewolno mu samemu ubierać się lub brać sobie pokarm, bo wówczas ten pokarm stałby się »tabu«, a tem samem nie mógłby być użytym nawet przez tego, który sam jest nietykalny, czyli tabu. Aby temu zapobiedz, utrzymuje dwór naczelnika osobną służbę, która, odsądzonego od zwyczajnych praw ludzkich golarza, myje, ubiera jak niedołężnego kalekę, lub karmi, jak niemowlę.

Komuż wyda się dziwnem, że taki, już za życia, bóstwu należną czcią, otaczany człowiek, nie wypadnie z roli swej po śmierci, tem bardziej, że jako duch, potężniejszy i mo-

Ryc. 40. Naczelnik z Samoa. (Lampert. l.).

żniejszy zemściłby się niewątpliwie na tych, którzy odmawialiby mu zaszczytów, nie zwracali się z prośbami o pomoc, lub śmieli w czemkolwiek innem ubliżyć jego, uświęconej do tej pory, osobie? Takie bóstwa niższego rzędu, bohaterowie, półbogi, przechodzą łatwo z niższej mitologii do wyższej, ich losy kojarzy wyobraźnia często z losami ciał niebieskich, a tak zatracają one mniej lub więcej swój pierwotny, manistyczny pierwiastek, stając się z półbogów bóstwami wyższej mitologii.

Najwyższem bóstwem wyspiarzy Gilbertyńskich, jest Tabuarik, dawny naczelnik ich plemienia. Dziś, jakkolwiek dzieje jego dadzą się aż do tej chwili jego życia śledzić, nikt o tem nie pamięta a przynajmniej nie myśli. Ale za to wiedzą wszyscy dobrze, że pojawia się on to, jako wieloryb. to znowu ucieka gdzieś daleko ponad chmury, skąd grzmi, podczas gdy jego żona pokazuje swoją jasną twarz, z poza zasłony obłoków i śmieje się do ludzi. Niektórzy znowu, jak bóg morza Hiro, tak młodo doczekali się boskiego stanowiska, że jeszcze do niedawna pokazywano jego czaszkę w Opoa. Nikomu nie jest tajnem, że był on, swojego czasu człowiekiem młodym, dzielnym mieszkańcem Rajatei, gdzie też odznaczył się kilkakrotnie w niezwykły sposób. Przeważna ilość bogów afrykańskich zrodziła się w niższej mitologii. I można powiedzieć, że ze wszystkich, jakie są, uznaje Neger te tylko, z którymi zdaje się łączyć go jakiś stosunek bliskiej przyjaźni, serdeczności, a nawet więcej jeszcze, bo poufałości, ubliżającej bóstwu. A przecież są i inne. Ale te nie wiele go obchodzą! Bóstwa mistyczne, będące uosobieniem harmonii, porządku w przyrodzie, istnieją wprawdzie, ale owiewa je dziwny chłód obojętności, są one, jak gdyby wcale ich nie było. Neger nie modli się do nich, nie odnosi ku nim żadnych ważniejszych zdarzeń, pędzą one żywot daleki i obcy, ginąc coraz bardziej w »zapomnienia piasku«, jak wycofane z obiegu monety. Los trzeciej grupy bogów, bogów wyższej mitologii, potężnych, wielkich, nie jest także do pozazdroszczenia. Znają je tylko tu i ówdzie; część ich lokalizuje się na szczupłych obszarach lądu w kilku

nieledwie miejscowościach, będących wobec reszty przestrzeni kraju, gdzie prawdopodobnie nikt nic o nich nie wie i nie słyszał, tem samem, czem są wody rzeki wobec toni bezbrzeżnego oceanu.

Tak wyniosły się bóstwa manistycznego pochodzenia po nad inne.

Jednem z takich jest Szango.

Wnuk Pustyni, względnie Widnokręgu, Aganju, a syn Orungana czyli Południa i Jemaji czyli Morza, ma trzy żony, wybrane z pośród swoich sióstr: Oya, Oszun i Obba, które ze służącym swoim, wichrem, Afefe, niosą za nim miecz i łuk. Jest to bóstwo potężne i straszne, bóg piorunów i burz.

Podania, zajmujące się jego przeszłością, wskazują odrazu, gdzie właściwie szukać należy źródła tego bóstwa.

Opowiadają o nim, że był on królem w Oyo, w stolicy Joruby. Nader surowy, a nawet okrutny, doprowadził do tego, że naczelnicy, w porozumieniu z ludem, posłali mu czarę, napełnioną jajami papugi, na znak, że dalszych rządów jego nikt sobie nie życzy i nie uznaje go od tej chwili za władcę. Na takie, acz nieme »dictum acerbum« nie było rady. Mała garstka zwolenników nie znaczyła nic wobec przeważającej liczby malkontentów, więc nie pozostawało mu nic innego, jak rzucić tron i szukać ocalenia w ucieczce. Tak zrobił. W towarzystwie żony i niewolnika uszedł z miasta nocą i skierował się w drogę ku Tapa nad Nigrem, gdzie mieszkała jego matka. Chciał przy niej osiąść i, karmiąc się już tylko wspomnieniami, jasno spędzonej przeszłości, dokończyć resztę nędznych swoich dni. Jednak wkrótce zmniejszyło się towarzystwo: opuściła go żona i został tylko niewolnik, przymusowy, ale wierny towarzysz bolesnej wyprawy. Już zrobiła się noc i cały las stopił się w jedną bezgraniczną ciemność, w której, małej, leśnej drożyny, krętej i niezupełnie wydeptanej, niepodobna było odnaleść. »Zaczekaj tu na mnie, dopokąd nie wrócę, rzekł Szango do swego towarzysza, będziemy potem szukali dalej wyjścia z lasu«. I oddalił się. Upłynęła jedna godzina, druga, trzecia, a jego nie było widać. Zaniepokojony niewolnik wybrał

się tedy na poszukiwanie pana i znalazł go, wiszącego na gałęzi. Pobiegł więc czemprędzej do Oyo, a wieść, którą przyniósł, przejęła wszystkich naczelników i resztę arystokracyi panicznym strachem. Prowadzeni przez niewolnika, udali się w drogę, aby odszukać trupa, ale już nie znaleźli go. Natomiast pod gałęzią, na której wisiał, zauważono głęboki dół, z którego wystawało kilka ogniw żelaznego łańcucha, kiedy zaś przyłożyli ucho do ziemi w tem miejscu, słyszeli dokładnie głos, wygnanego Szangi. Nie ulegało wątpliwości, że niewolnik mówił prawdę. Tedy zbudowali na tem miejscu świątynię, a, powierzywszy służbę w niej umyślnemu kapłanowi, wyruszyli nazad ku miastu. Przybywszy tu, poczęli opowiadać, że Szango nie umarł, ale stał się oriszą i zstąpił pod ziemię, gdzie żyje wraz z duszami zmarłych. Przecież znaleźli się tacy, którzy, wiedząc o fakcie, powątpiewali w prawdziwość tej opowieści i szerzyli pogłoski, że Szango nie zstąpił pod ziemię, ale powiesił się i umarł. Wówczas to pojawił się bóg w straszliwej nawałnicy i zdruzgotał niewiernych piorunem. Wkrótce na miejscu wypadku, nazwanem Kuso, poczęły gromadzić się tłumy ludzi, a nie upłynęło wiele czasu, gdy powstało tu wielkie miasto, na wieczną pamiątkę zdarzenia. Ta i wiele innych podobnych opowieści, przedstawiających losy słońca a związanych z osobą Szangi, wskazują, że ten ostatni jest bóstwem słonecznem, przeniesionem z wyższej mitologii do niższej.

Jeden z innych bogów mitologii afrykańskiej, Heitsi Eibib lub Kabib Hottentotów, zaczął, według brzmienia podań miejscowych, karyerę swoją również na ziemi, jako człowiek. Miał on być wielkim czarodziejem wśród plemienia Namaów. Jako taki znał wielkie tajemnice, których inni nie znali i umiał patrzeć w przyszłość i czytać w niej to, co przed drugimi było zakryte. Raz zdarzyło się, że nieprzyjaciel ścigał Namaów, w których gronie znajdował się na szczęście Heitsi Eibib. Powtarzam »na szczęście«, bo, gdy uciekający przybyli nad morze, stanął Eibib na brzegu i rzekł: »Ojcze dziadów moich! otwórz się przedemną, zaś za mną zamknij«.

Morze usłuchało i stało się, że uciekający przeszli szczęśliwie, skoro zaś nieprzyjaciel zbliżył się ku środkowi morskiego koryta, wody spłynęły nagle ku sobie i pogrzebały zwycięzców w swoich falach.

Inny mit opowiada znowu, jak Heitsi Eibib, podróżując z swoją żoną i synem, umarł w jakiejś dolinie, otruwszy się, rosnącymi tu jagodami, jak pogrzebano go, a on znowu potem zmartwychwstał, wydostał się z grobu i żył.

Ten drugi mit jest obrazem zachodu i wschodu słońca.

Ciekawym przyczynkiem do zrozumienia stanowiska Heitsi Eibiba są kamienne kupy, niby groby, mogiły. Są to wielkie wzgórza z kamieni, mierzące zazwyczaj kilkadziesiąt kroków w obwodzie, a ułożone w wąwozach, nietylko w całym kraju Hottentotów, ale też i w ich dawnej ojczyźnie, na wschodzie. Zapytani, co znaczą te mogiły, odpowiadają Nama'owie, że pod nimi spoczywa ich pradziad Heitsi Eibib, który przywędrował tutaj ze wschodu. Nieustannie powiększają się, rosną te wzgórza, bo ile razy który z Namaów przechodzi mimo nich, staje, podnosi kamień z ziemi, rzuca na kopiec i mówi: »Daj nam wiele bydła«. Tak robi każdy, bo tak każe zwyczaj, a zwyczaj ten łączy się z mitem Ga-Gorib, który przedstawimy w jednym z dalszych rozdziałów.

Mnóstwo podobnych przykładów chowa się w dziejach starożytnych. Wiadomo n. p. że Lykurgowi i Biasowi poświęcone były święte okręgi (Temenos). Demokryt, Anaksagoras odbierali cześć niemal boską, zaś Arystotelesowi wybudowali zwolennicy jego z Stagiry świątynię i obchodzili na jego cześć uroczyste święto »Aristoteleia«. Wysoką otaczany czcią był w Grecyi Tezeusz. Podanie niesie, że był on tym, któremu mieszkańcy zawdzięczają spokojny byt, gdyż uwolnił ojczyznę ich od dzikiego zwierza i potworów, które niepokoiły ludzi. Przypisywano mu także wybitną rolę polityczną, a w uznaniu tych wszystkich zasług wystawiono mu w Atenach świątynię »Teseion« i czczono też corocznie pamięć jego uroczystymi obchodami.

Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że wyrocznia delficka ogłosiła Lykurga »bogiem«, a ten sam zaszczyt dostał się

w udziale cesarzowi Augustowi, skoro senator Numerius Attikus przysiągł, że widział na własne oczy, wstępującego w niebo, jego ducha. A przecież także i po śmierci Oktawiana wpisał senat imię jego na listę bogów, ustanawiając dlań świątynię, wyznaczając kapłanów i nakazując odprawiać modły i odśpiewywać hymny nabożne. Nawet prokonsulom niektórych prowincyi miano stawiać świątynie i utrzymywać kapłanów.

Jak powiada »Junglingasaga« Snorrego, który, bawiąc cały rok (1218) w Norwegii, zebrał tu ogromny i przejrzysty materyał do dziejów Normanów po wiek XIII, czcili starożytni mieszkańcy Norwegii bohaterów swoich, wynosząc ich do godności bóstw. Ze skandynawskich bohaterów mitycznych, a potem bogów, był takim Odyn. Nieustraszony wojownik, który podbił ogromny szmat ziemi i dzielny przywódca swego ludu, zasłużył sobie Odyn na wieczną wdzięczność potomności. Obok tych przymiotów stanowiła znajomość sztuki czarodziejskiej nad wyraz pomocny w wielu razach czynnik. Dzięki jej właśnie umiał on oślepić i ogłuszyć nieprzyjaciela, stępić mu broń i spowodować w jego obozie zamieszanie, wykluczające możliwość zwycięstwa, a, gdy nadaniem mądrych praw ludowi dopełnił miary swoich zasług, zyskał cześć, która już za życia jego przeszła w uwielbienie, w cześć prawie boską. Umarł, a Szwedzi wierzyli, że uleciał do Asgard, stolicy boskiego gaju Asa, gdzie żyje wiecznie. Ta wiara była tem silniejszą podstawą trwałej pamięci. To też wzywano jego rady przed każdą ważniejszą sprawą i proszono o pomoc przed wojną. Wówczas zjawiał się on, a dzielni rycerze byli świadkami, jak jednych wzywał do siebie, drugich zachęcał, innym przepowiadał zwycięstwo i sławę na polu bitwy. Wszystko to złożyło się na to, że, jak on niegdyś bogom, poczęli ludzie składać jemu ofiary dziękczynne, jako bóstwu.

W wielu okolicach Niemiec bywa do dziś dnia, a przynajmniej bywało do niedawna jeszcze, że żeńcy pozostawiali na polu wiązkę zboża, jako t. zw. »Sleipnis verdr«,

t. j. paszę dla Sleipnisa. Tak ma nazywać się koń, na którym Odyn ukazywał się w bitwach.

O kulcie przodków u Słowian pisze Karłowicz, przytaczając słowa Zirbta: »Wedle starodawnego poglądu wszystkich podobno ludów na świecie, dusze zmarłych trwają w dalszych stosunkach z krewnymi swymi i to w stosunkach przyjacielskich..... Zmarli przodkowie, według wierzeń ludowych, pozostają i nadal w kółku rodzinnem potomków..... Z czci zmarłych przyjaciół, pradziadów, domniemanych opiekunów, z biegiem czasu rozwinęła się u wszystkich narodów cześć i wzywanie duchów domowych, bóstw rodowych. Słowianie mieli i mają także swych bogów domowych. Nazwy ich, brzmiące po polsku dziad, po rusińsku dìd, po rosyjsku i po czesku děd, świadczą, że w oczach plemion słowiańskich były to duchy przodków zmarłych pradziadów«.

Podczas kiedy tak jedni panują nad żywymi, przypada innym w udziale niemniej zaszczytny, ale jako związany z kwestyą śmierci, zawsze mniej ponętny, urząd władcy królestwa umarłych. Mniej ponętny, ale potrzebny. Bo czyż to duchy nie żyją, czy nie kłócą się, nie biją, nie niszczą, czy nie potrzebują sędziego, rozjemcy, czy wogóle są one czemś innem może, aniżeli były kiedyś na ziemi? Niema dwóch zdań w kwestyi odpowiedzi: teorya dalszego trwania jest niezachwianą. A w takim razie wypada tam posłać co rychlej kogoś, lub stworzyć na miejscu jakąś władzę, której pieczy podlegałby porządek w krainie cieni i rządy, bo tak jest na ziemi. I znowu jakiś przodek rodzinny, czy też któraś z osobistości, odznaczonych na arenie społecznej, otrzyma ten urząd. Nie powiadamy, że bywa tak zawsze, ale przynajmniej dzieje się tak bardzo często. Wiele takich bogów, względnie półbogów, pomijając te, których genezy nie zdołano jeszcze dociec, lub o których wiemy, że są to bóstwa zaczerpnięte wprost z przyrody, powstało z manizmu, czyli kultu przodków.

Afrykański bóg Szango, którego losy związano później z losami słońca, był właśnie bóstwem w tym rodzaju. Akea,

hawajski władca umarłych, takiem samem drugiem. Podają o nim, że był on pierwszym królem Hawaii, zaś kiedy umarł, zstąpił do podziemia, gdzie żyje dotąd jako władca dusz zmarłych, obozujących u stóp rozłożystego drzewa »kou«.

I tak wogóle można powiedzieć, że im bardziej zstępujemy ku przeszłości, im dalej posuwamy się w zamierzchłe czasy pierwotnej kultury jakiegoś ludu, tem mniej spotykamy wzmianek o bóstwach, tak, że najdawniejsze opowiadają nam tylko o ludziach-bohaterach, którzy jakiemś wybitniejszem, wielkiej doniosłości dziełem, unieśmiertelnili swoje imię. To, co rozpoczęła prawda, dokańczała wyobraźnia. W sposób, który już naszkicowaliśmy na początku niniejszego rozdziału, odbywało się prawie nieświadomie uduchowianie, otaczanego czcią, wdzięcznością, czy nawet może budzącego obawę bohatera, aż wreszcie z czasem stał się on nadczłowiekiem, półbogiem.

Ta, dość częsta zresztą kolej rzeczy, zbytnio przeceniona, miała stworzyć, według Euhemerusa, wszystkie bóstwa greckie. Jednakowoż bardzo niewielu zwolenników poparło to zapatrywanie, zaś przyczyna chłodnego przyjęcia, jakiego ów »euhemeryzm« doznał, tkwiła nie gdzieindziej, tylko w jednostronnem zabarwieniu, z jakiem rzecz przedstawiono. Bo, jakkolwiek nie można zaprzeczyć, że kult przodków odegrał ważną rolę w mitologii, to jednak, jak to już widzieliśmy w części i jak zobaczymy później jeszcze, potężniejszym może czynnikiem była obserwacya zjawisk przyrody, od których człowiek pierwotny tak bardzo widział się zależnym!

Ważności tego czynnika nikt nie zaprzeczy. Mamy na to dowody, że przyroda, jej żywotne i nieżywotne nawet twory, jej dzikie lub niezrozumiałe zjawiska, zyskiwały w oczach, antropomorficznie usposobionego pierwotnego filozofa, duszę, świadomość, wolę, stawały się przedmiotem czci, istniejącej to, niby niezawiśle obok kultu przodków, to stapiającej się z nim w tak jednolitą całość, że rozdzielenie pierwszej od drugiego nie wydaje się często możliwem. Baralowie oddają cześć tygrysom, co jednak zupełnie nie prze-

szkadza im czcić równocześnie zmarłych przodków, obsypywać od czasu do czasu kwiatami ich groby, lub palić na nich ognie, zaś Aino przynosi ofiary swoim bogom w pierwszem, drugiem i trzeciem niebie i oddaje im do picia swój trunek ryżowy, ale obok nich otacza czcią niedźwiedzia, który bawi się z dziećmi i z niemi rywalizuje o pierś matki, dopokąd uroczysty obchód nie położy kresu wygodnemu jego życiu. Owaherero czczą zmarłych przodków, szczególniej naczelników plemienia, a cześć, oddawana tym ostatnim już za życia, przechodzi po ich śmierci w uwielbienie, należne chyba boskiej istocie. Grób takiego zmarłego władcy staje się miejscem świętem, do którego nie zbliży się nikt bez wyrazów, natchnionych głębokim pietyzmem i bez ofiary w ręku, zwłaszcza, gdy przychodzi prosić o radę lub pytać o przyszłość. Mimoto nikomu nie przychodzi na myśl uważać za ubliżenie bóstwu cześć świętych drzew, kwitnącą u Owaherero w całej pełni. Przynoszono tym drzewom ofiary, a pozdrawiano je wezwaniem: »U zera tate mukurume!«, co znaczy: »O! ty święty praprzodku!« Boska ta niemal cześć, jaką Owaherero żywili dla drzew, wypływała z wiary, że one to stworzyły świat, a w szczególności dały początek plemieniu Owaherero, Buszmanom, wołom i zebrom. Ale »Owaherero, tak mit ten dalej opowiada, wypędzili Buszmanów zapomocą ognia, który udało się im wzniecić i od tej to pory błądzą ci wygnańcy po dzikich puszczach, a przed sobą pędzą stada zeber, podczas gdy tymczasem Owaherero, zająwszy woły, rozgościli się wygodnie w całym kraju jako zwycięzcy.

Wybitnie tchnie pierwiastkami kultu zmarłych czyli manizmu wiara, że w pewnych drzewach, rosnących szczególniej obok miejsc poświęcanych, mieszka bóstwo.

Na Tahiti sadzą krajowcy drzewo święte »Ao« w pobliżu świątyń, ponieważ sądzą, że bóg obrał sobie je na mieszkanie, jeżeli zaś mit głosi, że Tangaroa potworzył niższe bóstwa i ludzi z trzasek drzewa »Aito«, to i tu odzywa się animizm w manistycznej szacie, jeżeli uwzględnimy tylko prawo odwrócenia. Tego samego dowodzą, zresztą dość nie-

rzadkie zwyczaje, nacierania liśćmi broni, zakopywania liści pewnego gatunku drzewa obok chorego, jak to dzieje się

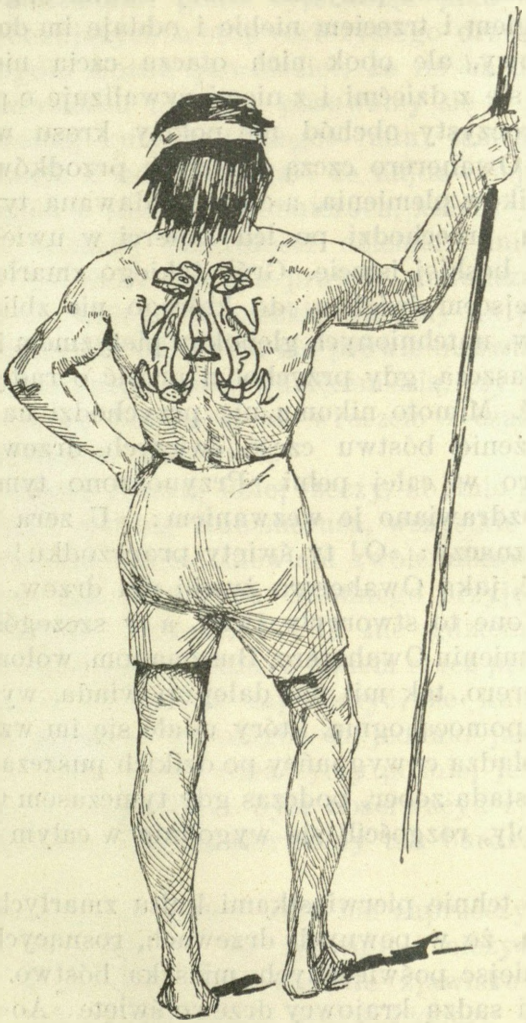

Ryc. 41. Tatuowany mężczyzna pl. Haida z Ameryki półn. (Rys. wedł. Schurtza dr. W. W.).

na wielu wyspach Melanezyi, lub też owijania się świętymi liśćmi pandanu, jak to czynią członkowie tajnych związków na Nowych Hebrydach.

Poniekąd związany z ideami manistycznymi jest t. zw. »totem«.

Przedstawiający postać rośliny, ale najczęściej zwierzęcia, jest ten »totem« niby godłem, herbem, tylko że znaczenie jego jest zupełnie inne, aniżeli my zwykliśmy do herbu przywiązywać. Bo nietylko że wszyscy członkowie jednego totemu noszą nazwę zwierzęcia totemowego, nietylko że wszyscy, o tem samem nazwisku totemowem, są uważani po prostu za jedną rodzinę, wśród której wykluczone są wszelkie związki płciowe, ale ponadto doznaje zwierzę totemowe szczególniejszego szacunku, a nawet czci ze strony swych wyznawców, którzy są przekonani, że po śmierci będą krążyły ich dusze w postaci zwierzęcia, z którem są spokrewnieni wedle swego mniemania.

Goairowie z nad jeziora Maracaibo w środkowej Ameryce, noszą nazwiska: Syn Jaguara, Dziad króla Sępa ścierwnika i t. p., zaś Algonkini północnej Ameryki wabią się: Żółw, Królik, Jeleń, Niedźwiedź i podobnie, a wówczas, ile razy jest mowa o takim członku plemienia, wyraża się o nim mówiący zupełnie tak, jak gdyby był on sępem, wilkiem, żółwiem i t. d. Członkowi o nazwisku totemowem, n. p. wilk, nie wolno jeść mięsa tego zwierzęcia ani go zabijać, to też ilekroć Indyanie peruańscy z pokolenia Jaguar spotkali się z jaguarem na wolności, usiadali spokojnie i pozwalali mu zjadać się po kolei, zamiast wziąć się do obrony, lub ratować się ucieczką.

Często staje się totemowe zwierzę t. zw. »medycyną«, czyli zwierzęciem opiekuńczem totemowego pokolenia, a wówczas tatuują sobie oni jego postać na rękach, nogach, a szczególniej piersiach i plecach, jak to czynią pewne plemiona Australii lub Ameryki.

Totem ze swojemi urządzeniami jest tak bardzo częstem zjawiskiem, że można go uważać niemal za jeden z wspólnych stopni, po których dźwigała się kultura ludzkości. Czy zwrócimy się ku Azyi, czy Afryce lub Ameryce, czy wreszcie ku Australii i sąsiednim wyspom, znajdziemy go wszędzie, bądźto jeszcze w jakiej takiej pełni sił żywotnych,

bądź wreszcie jako przeżytek, który przecież nie zdoła ukryć się przed okiem badacza.

Warto przypatrzeć się chociaż pokrótce, jak przedstawiają się stosunki te tu i ówdzie u starożytnych.

Weźmy Egipcyan. Tu występują mity zwierzęce, zwierzęta a nawet rośliny, otaczane czcią boską, występują bóstwa w postaci zwierząt, występują zwierzęta jako duchy opiekuńcze a później opiekuńcze bóstwa, występują, jak twierdzi n. p. Plutarch, Herodot i i., zakazy, zabraniające egipskiej ludności każdego okręgu jadania mięsa, czczonych przez nią zwierząt w taki sposób, że należy wnosić z całą pewnością, że mamy tu do czynienia z totemizmem, jakkolwiek znacznie już przeobrażonym.

Badając pomniki kultury z okresu poprzedzającego najazd Hyksów, znajdujemy na nich postaci zwierzęce, a obok nich napisy hieroglificzne, objaśniające, jakiego boga wyobraża dane zwierzę. I tak np. obok szakala figuruje Anup, obok pawiana Tahuti, obok sokoła Har, a Hekl obok żaby. Wiadomo, że różne egipskie miasta miały swoje bóstwa opiekuńcze, którymi były zwierzęta. Memfis czcił świętego byka Apisa, mieszkańcy Bubastis oddawali boską cześć Pastowi, który był kotem, kozieł Ba opiekował się Mendesem, a mieszkaniec Siutu modlił się do wilka, Hapi. Jeżeli zważymy jeszcze, że zwierzęta te występują jako protoplaści rodów królewskich, upewnimy się tembardziej, że twórcy świętych kotów, byków, krokodyli i t. d. nie odbiegli zupełnie od Indyan Ameryki lub dzikich krajowców Oceanii. Późniejsze bóstwa egipskie, na wpół ludzkie a na wpół zwierzęce, mogły być po części niewątpliwie dziełem wpływów semickich, chociaż nie jest wykluczonem, że, jak to Lang słusznie zaznacza, były one wyrazem naturalnego rozwoju, na korzyść postaci ludzkich, tembardziej, że podobne przykłady znajdujemy w dziejach wierzeń wielu ludów pierwotnych.

Z ludów starożytnych niezaprzeczenie najwyżej kulturnie wynieśli się Grecy. A jednak mimo to chowa ich mitologia tyle dzikich i barbarzyńskich pierwiastków, że nieraz wy-

pada dziwić się, jak mogły ostać się one wobec reszty całości. Obok fetyszystycznej czci, nieociosanych głazów, opisuje Pauzanias potworne postaci bogów, o głowie zwierzęcej, jednej lub kilku, a więc Demeter z głową końską, Artemida z ogonem ryby i o trzech głowach zwierzęcych, Dyonizos o nogach byczych. Wiadomo, że mysz polna była zwierzęciem, poświęconem Apollinowi, stąd też zapewne jeden z jego tytułów homerowych: »Sminteus«. Druga jego nazwa »Lykegenes« zdaje się być w związku z wyrazem lykos czyli wilk, jak należałoby wnosić ze źródeł starożytnych. Ptakiem Ateny była sowa, a jej przydomek brzmi u Homera »Glaukopis«, tj. bogini o oczach sowy. Mówiąc o tych kwestyach przytacza Lang słowa Plutarcha, który już wówczas zwracał uwagę na te ślady kultu zwierząt u Greków. Pisze on tak: »Egipcyanie czczą zwierzęta rzeczywiste; Grecy przeciwnie, mają daleko rozumniejsze wierzenia, mówiąc w sposób właściwszy, że gołąb, jestto poświęcony zwierz Afrodyty, kruk, Apollina, pies Artemidy i t. d.«.

»Wolno przypuszczać, mówi Lang na to, że te zwierzęta stanowiły niegdyś totemy ras przeróżnych i że w ten sposób zachowały sobie cześć kultu boga antropomorficznego. Apollon w jednej z tych postaci jestto piękny i młody, łucznik boski Homera. Artemis, siostra jego, jest boginią łuczników i przepędza życie w lasach na polowaniu. Nie wiele miejsca zajmuje ona w Iliadzie; w Odyssei Nauzyka jest porównaną do niej, jako do wdzięcznej i czystej patronki dziewictwa. Imię jej ogólnie wiążą z »artemés« (ἀρτεμής) czysty, niepokalany. Ścisłe jej związki, nieznane Homerowi, z niedźwiedziem i kultem niedźwiedzia, poddały źródłosłów árktos (ἄρκτος), árktemis (ἀρκτεμις)«. Prawdopodobieństwo takiego przypuszczenia potwierdza jeszcze bardziej ta okoliczność, że wiele rodów greckich, szczególniej królewskich, uważało się za potomków zwierząt, jak: konia, węża lub mrówki, których postaci przyjmuje na siebie tak często wielki protoplasta Zeus. Mamy więc najprawdopodobniej i tutaj resztki totemistycznych urządzeń, które mo-

żnaby odszukać jako martwe przeżytki zapewne i u innych ludów starożytnych a nawet współczesnych.

Z kolei rzeczy wypadałoby teraz, chociaż przynajmniej pobieżnie zastanowić się nad pytaniem, skąd wziął się ten totemizm, jaki był jego początek? Herbert Spencer i Jan Lubbok podali nam próbę odtworzenia genezy tej tak ciekawej instytucyi, wyszli zaś ze zwyczaju, nazywania ludzi imionami zwierząt, co jest dość powszechnem zjawiskiem u ludów pierwotnych. Możliwe więc, że jeżeli kogoś n. p. z powodu jego siły nazwano niedźwiedziem, to syn jego nazywał się synem niedźwiedzia i gdy rzecz dalej postępywała tą koleją, stało się z latami imię to dziedzicznem imieniem plemienia. Z czasem, gdy z pierwszych protoplastów wszelki ślad zaginął, naprowadzić mogła rodowa nazwa »niedźwiedź« na mit, głoszący o pochodzeniu owych ludzi od niedźwiedzia, którego też poczęto uznawać odtąd i czcić jako wielkiego praprzodka, protoplastę rodu. Tak mogły powstać totemy i kult zwierząt totemowych. Z wierzeń, że jeleń, lew, jaszczurka i i. były założycielami rodu, mogły łatwo wytworzyć się wierzenia, że dusza zmarłego członka przechodzi po śmierci w zwierzę totemu, co znów mogło pociągnąć za sobą obawę a potem zakaz zabijania takiego zwierzęcia lub spożywania jego mięsa.

Tylor przyznaje w pewnej mierze możliwą słuszność tej hipotezie Lubboka i Spencera, ale w jego oczach nie jest ona wystarczającą, szczególniej dlatego, że pomija ową, tak wybitnie rzucającą się w oczy a tak powszechną cześć dla zwierząt bezpośrednio, a więc dla lwa, tygrysa, krokodyla, jako takich, a nie jako protoplastów rozlicznych rodzin.

Według jego zdania, ten właśnie ostatni fakt, a więc bezpośrednia cześć dla zwierząt, jako takich, cześć dla zwierząt pośrednia, tj. jako dla fetyszy, w których wciela się bóstwo i cześć dla zwierzęcia jako przodka plemienia, wyjaśnia sam zjawisko t. zw. zoolatryi, czyli kultu zwierząt. Jeżeli chodzi o nadawanie ludziom imion zwierzęcych, a zarazem gdy rozchodzi się o wiarę, że pewne plemiona wywodzą pochodzenie swe od zwierząt, to zupełnie prawdopodobnego

wyjaśnienia dostarczają często stosunki, wyradzające się wśród czcicieli pewnego gatunku lub rodzaju zwierząt. »Naga« jest sanskryckiem imieniem węża, ale też równocześnie jest ono imieniem rodowem plemienia Naga'ów. Pokazuje się, że te plemiona wężowe były czcicielami wężów, od których też otrzymały nazwę. Próba usprawiedliwienia jej stworzyła urojony rodowód, oznaczający węża jako praprzodka plemion wężowych.

Ostatecznie i to i tamto wyjaśnienie przemawia do przekonania i obydwa mogą mieć słuszność, bo odpowiedniej, zdaje się, ze względu na rzeczywistość, jest przyjąć kilka przyczyn różnych dla jednego zjawiska, przychodzącego w różnych okolicach ziemi, aniżeli chcieć wytyczyć dla nich wszystkich jedną wspólną kolej, po której ich rozwój musiał koniecznie postępywać.

W podaniach, zajmujących się kwestyą stworzenia, mięszają się wszystkie te systemy wierzeń jeszcze widoczniej. Można śledzić je niemal u wszystkich plemion pierwotnych, bo chęć wydarcia przyrodzie jej tajników wspólną jest zarówno dzikiemu synowi lasów, jak mędrcowi doby współczesnej, różnym jest tylko sposób, w jaki zabierają się do rozwiązania tego najciekawszego z problematów, około którego, niby jakieś perpetuum mobile, kręci się myśl ludzka od wieków i nie wiedzieć, jak jeszcze długo kręcić się będzie.

W myśl najzwyklejszych teoryi ludów pierwotnych powstała ziemia i wszystkie żyjące na niej istoty z istniejącej już jakiejś, żywej materyi, którą jest najczęściej zwierzę lub też jego wydzieliny, albo roślina.

Takuliowie z Kolumbii angielskiej wierzą, że na początku świata nie było nic prócz szczura piżmowego, który, szukając w wodzie pożywienia, musiał ustawicznie dławić się błotem, które z pokarmem połykał. Jako zbyteczne, a nawet szkodliwe, wypluwał je tedy na zewnątrz, a z czasem utworzyła się z tych wyplwocin wyspa, która, rozrósłszy się, stała się ziemią! Z takiem zapatrywaniem nie zgadzają się Irokezi, a jeszcze bardziej Tinnehowie. Bowiem pierwsi przyj-

mują, iż ziemia jest niczem innem, jak tylko rozwiniętem ciałem żółwia, podczas gdy drudzy wyprowadzają ją z członków porąbanego psa. Bagobowie odbiegli dalej jeszcze w swoich wierzeniach; ludzie powstali według ich filozofii z roślin. Rzecz miała się tak: Gdy zalewające świat wody ustąpiły do tego stopnia, że ponad ich powierzchnią ukazał się szczyt wulkanu Apo, zaczęła tworzyć się flora, a pierwszemi roślinami, które na świat wyjrzały, był bambus i palma areka. Wówczas to jeden z bogów, Todlai, pochwycił ten bambus i otworzył go, a z wnętrza jego wyskoczył mały chłopak, który otrzymał imię »Kambulan«. Tymczasem drugi bóg, Malibud, zbliżył się równocześnie do palmy, rozłupał ją i wypuścił z niej dziewczynę, nazwiskiem Beigebei. Dalej idzie już rzecz zwyczajną koleją: Kambulan i Beigebei pobierają się, a rozmnażając się w mnogie pokolenia, stają się twórcami ludzi, do których zejdzie niebawem bóg Salibud, aby wyuczyć ich handlu przez zamianę. Dodać tu wypada, że ten Todlai jest wysłannikiem Manamy, zaś obaj uchodzą za bóstwa śmierci, którą ludziom zwiastują.

Do tej kategoryi mitów można zaliczyć także jedną z opowieści, wyjaśniającą w odmienny, aniżeli wspomnieliśmy powyżej sposób, powstanie garnków świętych u Dajaków na Borneo. Właściwie jednak mit ten jest tylko uzupełnieniem tego, który przedstawiliśmy, omawiając kwestyę »djawetów«, ponieważ zaś zdradza wybitny przykład zlania się pierwiastków, o których mowa, dlatego też przytaczamy go dopiero na tem miejscu. Wszyscy zgadzają się z tem, że Mahatara stworzył słońce i księżyc z gliny, ale co począł z tą częścią, która mu po ukończeniu tej roboty została, różni różnie prawią. Jedni, że zrobił z niej święte garnki, czyli djawety, inni, że użył jej na utworzenie łańcuchów górskich i siedmiu okolicznych pagórków. Według tej drugiej wersyi zebrał z tych siedmiu pagórków ziemię, książę jawajski Ratu Tjampu, a ulepiwszy z niej »święte garnki«, schował je w niedostępnej jaskini. Koniec końcom ożenił się ten Ratu Tjampu i miał z tego ożenku syna, a gdy przyszło mu opuścić ziemię i powrócić do nieba, powierzył temu synowi

drogi skarb, upominając kilkakrotnie, aby ukrytych garnków bacznie strzegł i starannie je chował. Tymczasem, jak to nierzadko bywa, zapomniał syn o radach ojca, a przynajmniej nie przestrzegał ich, to też zdarzyło się pewnego pięknego poranku, że garnki uciekły i, zanim zdołano je schwytać, rozbiegły się na wszystkie strony. Gwałtowną zaślepione ucieczką wpadły jedne w morze i tu przemieniły się w ryby, inne schroniły się w gąszcze leśne, gdzie przeistoczyły się w jelenie, świnie i inne dzikie czworonogi. Tedy zdarzyć się może i istotnie zdarza się, że myśliwiec, krążąc z bronią po lesie, ubije właśnie takie zwierzę, które powstało z »djawetu«. Ale rzecz taka nie da ukryć się, bowiem raniony śmiertelnie czworonóg lub złowiona ryba przemienia się, w chwili agonii, napowrót w djawet, który im niegdyś dał życie i zdradza w ten sposób swój rodowód.

Totemistyczny charakter tego mitu uwydatnia się na pierwszy rzut oka. Przedstawiliśmy już bowiem powyżej, że dusza garnków, czyli »gana«, wiąże się z ideami manizmu, co potwierdza się jeszcze tem bardziej, że każdy z nich ma swój odmienny ród, że jedne są płci żeńskiej inne męskiej, że przynosi się im ofiary, a przy ważniejszych uroczystościach, n. p. przy wróżbach, skrapia się je krwią kury i t. p. Owóż, jeżeli w djawetach mieszka dusza zmarłego przodka, zaś według opowieści, djawety te przemieniły się w różne zwierzęta, które mogą, naodwrót, zmieniać się w djawety, przeto cała ta opowieść jest najprawdopodobniej przedstawieniem wiary, że ludzie pochodzą od zwierząt i w zwierzęta znów przeistaczają się po śmierci.

Związek zoolatryi z manizmem a wogóle z kultem zmarłych przebija się także bądź to w postaciach, odtwarzanych rysunkiem na sarkofagach, bądź też w grobach, naśladujących postacią swoją kształty zwierzęce: ssaków, ptaków, płazów i gadów, o przesadnych, nieraz wprost potwornych rozmiarach. Tak n. p. w stanie Wisconsin w Ameryce, przedstawia jedno sztuczne wzgórze, między siedmioma innemi o podobnej postaci, obraz żółwia o długości ciała 135 m., zaś w stanie Ohio, pod Granville, wyobraża wzgórze aliga-

tora, którego tułów wynosi 80 m. długości, zaś każda z łap po 12 m. Pod Brush Creesk usypany jest wąż, ale w pozycyi zwiniętej. Natomiast obliczono, że długość ciała, gdyby rozprostowano jego skręty, wynosiłaby 300 m. Wcale pokaźne zwierzątko!

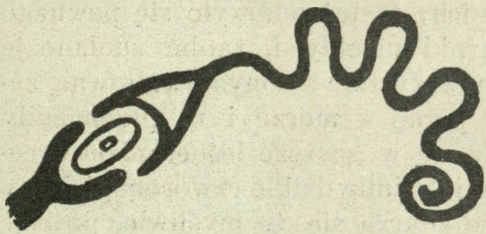

Ryc. 42. Przekrój mounds pod Brush Creek w Ohio w postaci węża. (Rys. wedł. Schurtza dr. W. W.).

Ale cóż z tego wszystkiego, że owe dusze zmarłych żyją w pamięci czy to poszczególnych rodzin, czy nawet choćby całego społeczeństwa! To jeszcze za mało! Więc wyobraźnia ludzka odtwarza je w drzewie, w kamieniu, metalu, a wizerunki te uchodzą, jako obraz zmarłego, za świętość rodzinną,

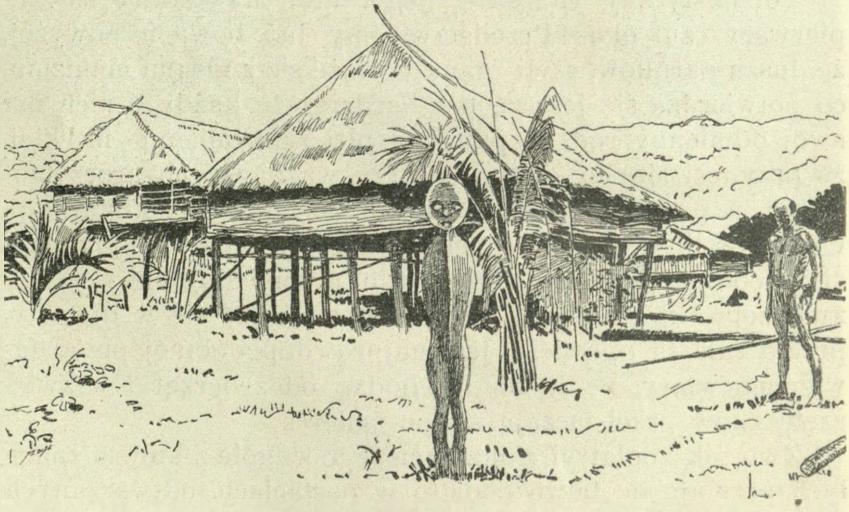

Ryc. 43. Bożek przed chatami Kajanów w półn. Borneo. (Rys. wedł. Schurtza dr. W. W.).

za ołtarz, na którym składa się ofiary i przed który zanosi się modlitwy. Gdzie leży źródło tego zwyczaju, trudno odgadnąć. Bylibyśmy skłonni do przypuszczenia, że pierwsze podobizny zmarłych przodków miały zastępywać ich zwłoki lub też ich części, które, jak to przedstawiliśmy powyżej,

przechowywano zazwyczaj w domu, aby zapewnić sobie pomoc opiekuńczej duszy. Może w jednych okolicach był naprawdę taki początek ich powstania, a tymczasem gdzieindziej mogła stworzyć je myśl, że dobrze byłoby ustawić w niebezpiecznych i niepewnych miejscach jakiś znak, po którym mogłyby poznać szkodliwe demony, żepowinne mieć się na baczności, gdyż nad tą zagrodą czuwa potężny duch przodka. Z tych niedołężnych zrazu i do niczego i nikogo niepodobnych oznak, wykrystalizowywały z biegiem lat coraz to wyraźniejsze postaci, które dosięgły w sztuce starożytnych szczytu swego rozwoju.

Między innymi są t. zw. inawy, taką niewiele, a nawet nic nie mówiącą, opiekuńczą postacią, która, dręczonego przez niezliczoną moc duchów, Aina, strzeże od najścia niepożądanych gości i chroni od nieszczęścia. Inaw nie przedstawia zazwyczaj nic więcej jak tylko kawał kloca, naciętego w kilku lub kilkunastu miejscach i ozdobionego wiórami. Ale przyglądnąwszy się bliżej temu dziełu sztuki pierwotnej, można przekonać się, że jest ono wzorowane na postaci ludzkiej. Wióry zastępują uwłoszenie, niektóre inne części mają wyobrażać nogi i ręce, zaś nacięcia przypominają rysy twarzy, chociaż do wykrycia tego potrzeba nieraz sporej dozy wyobraźni ze strony obserwatora.

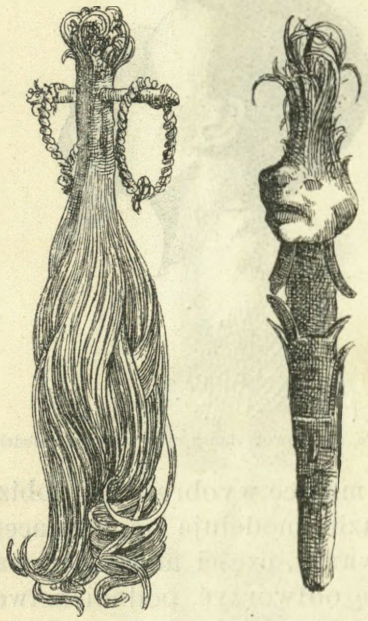

Ryc. 44. Inawy. (Wedł. Radlińskiego rys. A. K.)

»Użycie inawów, pisze Radliński, jest bardzo rozmaite i da się porównać do użycia krzyżów u chrześcian. W każdej chacie stoi inaw na głównem miejscu, na cześć ducha domowego. Rodzi się człowiek, ustawiają inaw, choruje, znowu nowy inaw przy łożu, umiera, jeszcze inny stawiają przy trupie. Inawy wbijają w ziemię naokoło chat swoich,

po drogach, w każdem miejscu w okolicy. Znaleziony inaw świadczy o bytności Aina; jest on nieomylnym jego śladem«.

Niemniej często używają ludy pierwotne wprost czaszek zmarłych przodków, które poprzednio przyrządzono w odpowiedni sposób i należycie przyozdobiono. Budzą się szczególniej takie zwyczaje tam, gdzie występują t. zw. tajne związki, których członkowie, chcąc przedstawić duchy zmarłych, przebierają się w stosowne maski, bądź sztuczne i pełne znamion wybujałej fantazyi, bądź w części tylko sztuczne,

Ryc. 45. Nowobrytańczycy w maskach, modelowanych na czaszce. (Rys. wedł. Schurtza dr. W. W.).

a mające wyobrażać podobiznę nieboszczyka. W tym ostatnim razie modelują na wymacerowanym poprzednio szkielecie twarzy, części miękkie z wapna i czerwonej ziemi, starając się odtworzyć podobieństwo rysów zmarłego, ale częściej przedstawiają się te maski jako twory w najwyższym stopniu fantastyczne, przeładowane niezrozumiałą dla profana symboliką. Między innymi można widzieć na wyspach Bismarkowskiego archipelagu takie zamaskowane postaci związkowców. Tutejszy związek tajny, znany powszechnie pod nazwą »Duk-Duk«, zyskał nawet sławę swego rodzaju. Ciekawą jest rzeczą, że ten »Duk-Duk«, od którego wykluczone są zupełnie kobiety, rozpoczyna szczególnie wówczas swoją uroczystość, gdy zachoruje naczelnik osady, lub zaniemoże ktoś z jego rodziny.

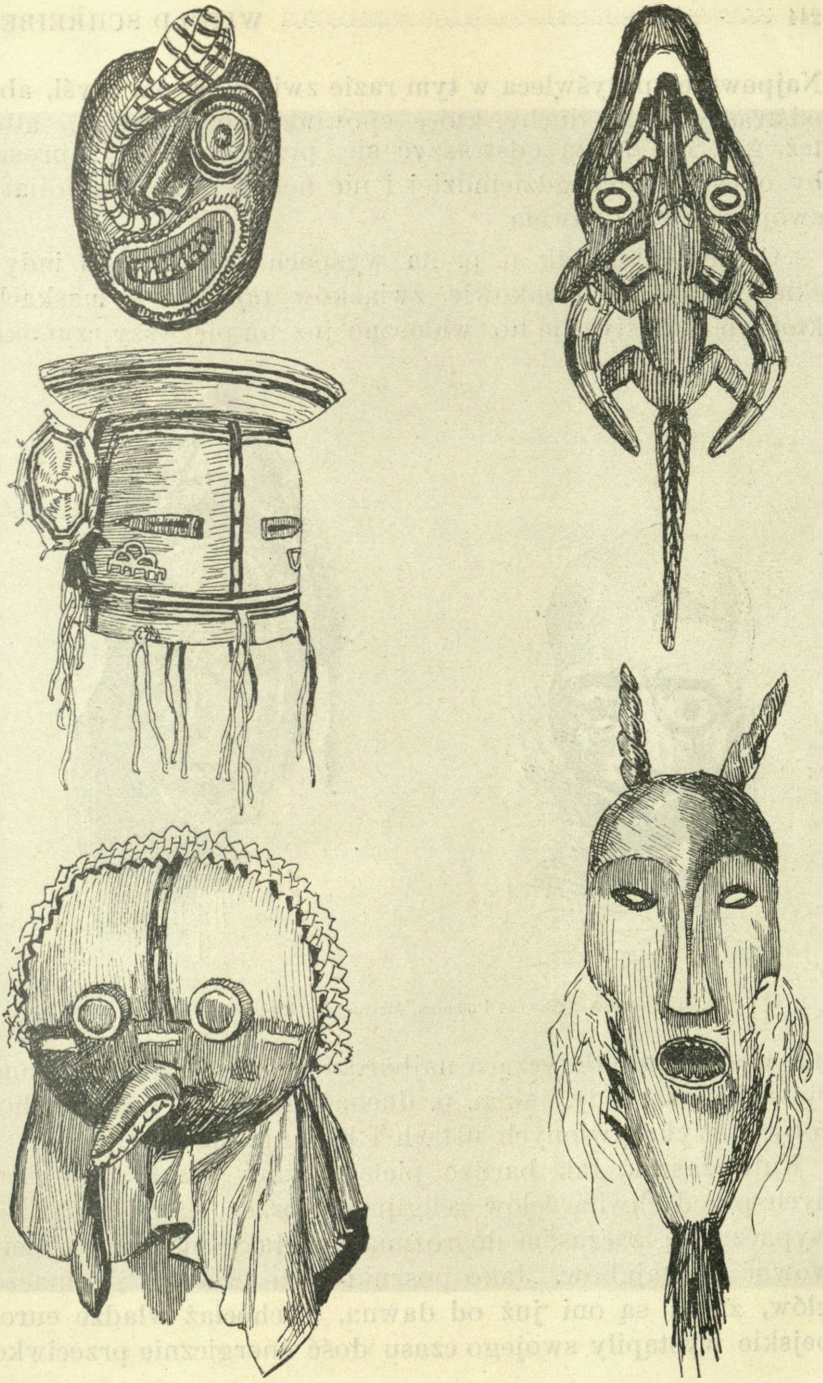

Ryc. 46. Maski różnych ludów pierwotnych. 1, 2, maski Hopi z Ameryki półn. 3. maska Syngalezów. 4, 5, maski afrykańskie (Kamerun, wybrzeże Loango). (Rys. wedł. Schurtza dr. W. W.).

Najpewniej przyświeca w tym razie związkowcom myśl, aby odstraszyć złe duchy, które spowodowały chorobę, albo też, gdy nie dadzą odstraszyć się, przejednać je i uprosić, by odeszły sobie gdzieindziej i nie nękały niewinnej ofiary swojem towarzystwem.

Gdzieindziej, jak n. p. na wyspach Archipelagu indyjskiego, tańczą członkowie związków tajnych w maskach, których fantastyczne tło, widoczne już na pierwszy rzut oka,

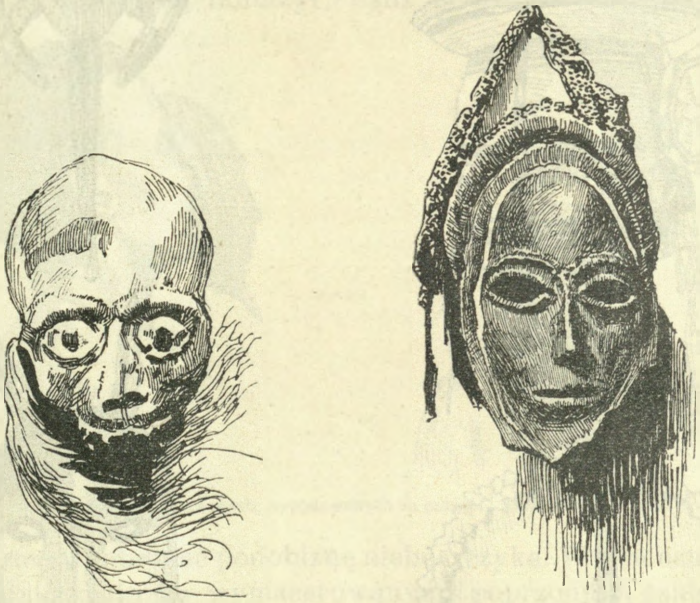

Ryc. 47. Maski z czaszek z Nowego Pomorza, Melanezya. (Rys. wedł. Schurtza dr. W. W.).

ma wyobrażać, dotyczące najbardziej człowieka, uosobione zjawiska przyrody, jak n. p. ducha śmierci lub demona choroby, o wykrzywionych ustach i brakującem oku.

Kult czaszek, tak bardzo pielęgnowany zrazu, dla opisanych przed chwilą celów religijnych przez »tajne związki«, wypacza się z czasem do rozmiarów, jakie możemy obserwować u Dajaków. Jako poszukiwacze czaszek i ścinacze głów, znani są oni już od dawna, a chociaż władze europejskie wystąpiły swojego czasu dość energicznie przeciwko

Ryc. 48. Tancerze dyabelscy na Ceylonie. (Lampert I).

tego rodzaju wstrętnym ich zwyczajom, nie zdołały zmienić, można powiedzieć, w niczem pierwotnego charakteru barbarzyńskich poglądów związkowców.

Wyprawa dajackiego towarzystwa »ścinaczy głów«, która to nazwa dokładnie cel związku określa, przygotowuje się do swej czynności kilka dni, odprawiając pewne praktyki religijne, celem zapewnienia sobie powodzenia i odstraszenia złych duchów. Najpierw więc budują t. zw. »balei«, t. j. dom, jeżeli można wogóle tak nazwać dach, wzniesiony na czterech słupach, nad podłogą, zbudowaną na 1 m. nad ziemią. Na podłogę zrzucają tarcze, dzidy, dmuchawki, kołczany z świeżo zatrutymi strzałami, miecze, noże, pancerze... Całe uzbrojenie ścinaczy głów. Rycerskie to towarzystwo, spędziwszy tu cztery lub sześć dni, rusza w drogę, zatknąwszy wprzód w ziemię kilkanaście czerwonych figurek, które, odpowiadając co do ilości liczbie uczestników wyprawy, mają przejednać złe duchy i uprosić powodzenie w chwalebnem przedsięwzięciu.

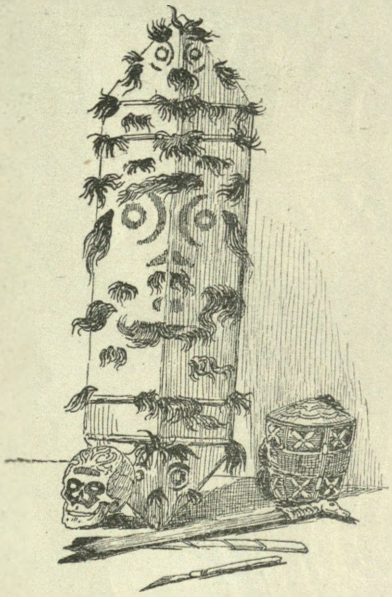

Ryc. 49. Przybory dajackiego ścinacza głów. Tarcza z kosmkami z ludzkich włosów; czaszka, zdobiona rzeźbą i wkładanymi płytkami metalu; kosz do przechowywania czaszki; miecz i nóż. (Rys. wedł. Ratzla dr. W. W.).

Tej pomocy duchów wzywa Dajak goręcej, niż czyniłby to każdy inny na jego miejscu, jest bowiem z natury rzeczy dość tchórzliwy, a chociaż decyduje się na, bądź co bądź, niebezpieczną wyprawę, to jednak postępowanie jego nie tchnie ani szczyptą rycerskiego ducha. Nie mając odwagi zbliżyć się wprost do upatrzonej ofiary, krąży nieraz całymi dniami w pobliżu plantacyi ryżowych, czołga na czworakach, przysadza się jak zwierz, wyczekujący ofiary i nie prędzej

opuści stanowisko, aż uda mu się ściąć silnym rozmachem miecza głowę ofierze, nie przeczuwającej nic złego i bezbronnej. Ileż to razy napadano nawet śpiących w sąsiedniej wsi i zarzynano ich jak barany!

Raz jednak przecież zdarzyło się, iż pewien Dajak w Serajan, którego córkę zamordował ścinacz głów z Katnigan, puścił się w pogoń za nim, a dopadłszy go właśnie w chwili, gdy osada ku jego czci urządzała wielką uroczystość, wymierzył sobie na miejscu sprawiedliwość, odwdzięczając się

Ryc. 50. Kosz dajackiego ścinacza głów, ozdobiony czaszką (Rys. wedł. Ratzla dr. W. W.).

pięknem za nadobne. Wprawny w tym samym kunszcie, którego ofiarą padła jego córka, zabrał, odciętą zręcznie głowę solenizanta i uszedł z nią bezkarnie ku zdumieniu wszystkich mieszkańców, pod wpływem nadspodziewanej odwagi unieruchomionych nagle, jak w panoptikach woskowe lalki, którym wykręci się sprężyna.

Zdobytych w taki sposób czaszek używa się prawie do wszystkich ważniejszych przedsięwzięć, albo też jako ozdób, lub przedmiotów, służących do codziennego użytku.

Stawia się dom, to na czaszkach opiera się pierwsze słupy, umrze ktoś, rzuca się mu czaszkę do trumny, odbywa się uroczystość pogrzebowa, czaszkę zatyka się na żerdziach, żeni się ktoś, podarkiem ślubnym jest czaszka, poddaje się tatuowaniu, musi znowu wykazać się pewną ilością zdoby-

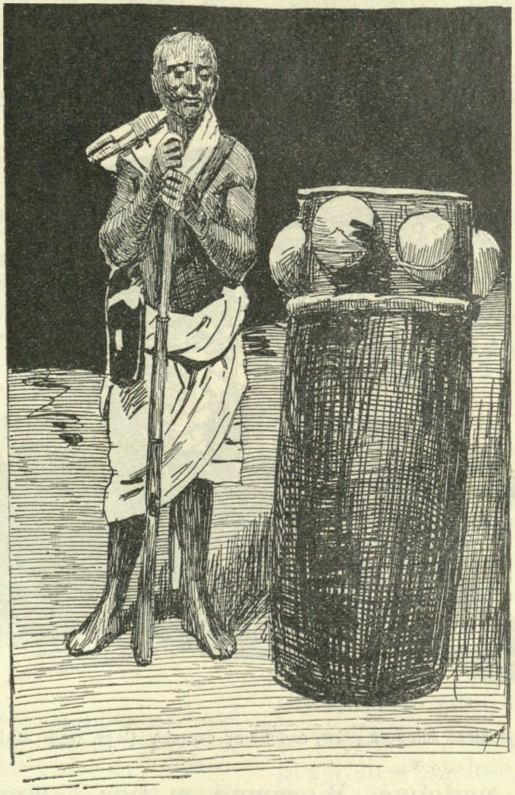

Ryc. 51. Ozdobiony czaszkami ludzkimi bęben Okwaów w zach. Afryce.
(Rys. wedł. Schurtza dr. W. W.).

tych czaszek, stanowiących świadectwo jego dojrzałości. Dach czaszki służy jako misa do picia, zęby jako paciorki do kolji, włosy na ozdoby ubioru i broni, inne poszczególne części kośćca głowy lub też cały kościec, preparowany odpowiednio, często wykwintnie, a nawet bogato wykładany,

stanowi pożądaną dekoracyę wielu przedmiotów pomniejszych, lub ścian naczelnikowskiej rezydencyi.

Na stałym azyatyckim lądzie kult czaszek nie gorzej rozwijał się. Jeszcze po dziś dzień można znaleść w wielu tybetańskich klasztorach trąby z kości udowych człowieka, bębny z dziecięcych czaszek, napiętych skórą wężową, grubo złocone czary do picia z ludzkich głów.

W wielu okolicach południowej i północnej Ameryki kwitły podobne zwyczaje ścinania głów. Dajackiej kraniomanii odpowiadało kanadyjskie »faire coup«, poprzedzane również

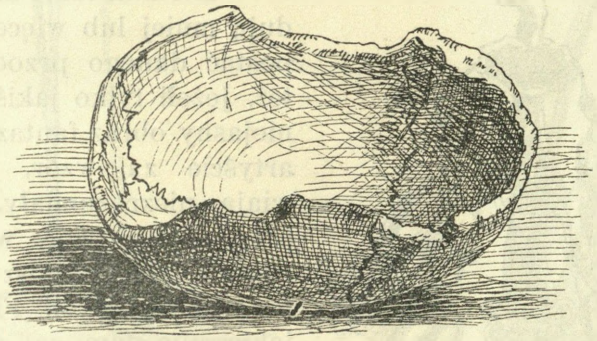

Ryc. 52. Kubek z czaszki ludzkiej do picia u Aszanti. (Rys. wedł. Ratzla dr. W. W.).

obrzędami religijnymi, jak: postem, modlitwami i paleniem świętej fajki. Po ścięciu głowy, zdejmowano skórę, rozpinano ją na kręgach i suszono. Gdzieindziej, jak w północnej części Peru, odpiłowywano dach czaszki, której wnętrze wypełniano, po wyjęciu z niej mózgu, gorącymi kamieniami tak długo, aż cała czaszka wraz ze skórą zeschła i skurczyła się.

Mundruku amerykański poluje na czaszki jak Dajak. Ściąć głowę Parentininowi uważa on za swój święty obowiązek, od którego nic nie powinno go odwieść. Taką głowę, przewleczoną na pętli, zawiesza następnie na drzwiach swego mieszkania.

Nie ulega wątpliwości, że zwyczaje te, jakkolwiek wypaczone, zwyrodniałe do ostatecznych nieraz granic, pozostają w związku z manizmem czyli kultem przodków. Wykazał

to, szczególniej dla plemion Indonezyi i Melanezyi, niedawno Wilkens. Dlatego też wspomnieliśmy o nich na tem miejscu.

Jeżeli w braku czaszki zmarłego przodka, odtwarzano, czyli raczej próbowano odtworzyć jego podobiznę w drzewie lub kamieniu, albo też, jeżeli grały tu rolę inne względy, które przytoczyliśmy powyżej, powstawały posążki, figurki przodków, jakie spotykamy na całej kuli ziemskiej.

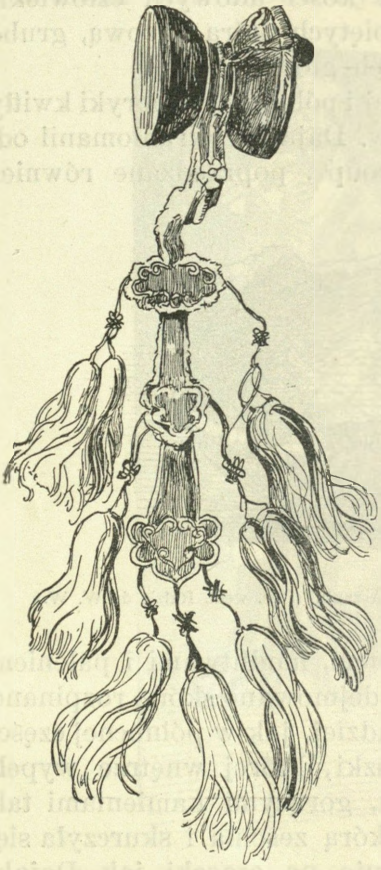

Ryc. 53. Półn.-tybetański bęben ręczny, z dwóch dziecięcych czaszek. (Rys. wedł. Ratzla dr. W. W).

Wizerunki takie albo naśladują mniej lub więcej wiernie postać danego przodka, albo też, jeżeli tylko jakiś mglisty, niejasny obraz fantazyi służył artyście za wzór, przedstawiają niezrozumiały, chaotyczny często twór, w którym trudno nieraz doszukać się przewodniej myśli. Figurki te, jakie one tam są, zastępują godnie osobę zmarłego.

Kiedy umrze Papuanin, wówczas syn jego wyrzeźbia podobiznę zmarłego, a ustawiwszy ją w mieszkaniu, zasięga rad jej, donosi o wszystkiem, co zaszło ważniejszego w życiu jego lub jego rodziny, krótko mówiąc, widzi w tym kawałku, karykaturalnego zazwyczaj kloca, duszę swego ojca. Jednak pietyzm dla tej świętości rodzinnej kończy się wraz z życiem artysty. Bo gdy ten umrze, wyrzuca jego syn statuetkę dziada, zaś na jej miejsce wstawia nowe dzieło, znowu własnych rąk, ale wyobrażające ojca. I tak idzie dalej i dalej; opiekuńcze bóstwa rodzinne, bo tak można nazwać te obrazy

przodków, zmieniają się wprawdzie, ale idea, którą one mają przedstawiać, pozostaje zawsze ta sama. Dzieje się więc tu podobnie, jak w życiu biórowem. Usunie się jeden, to w miej-

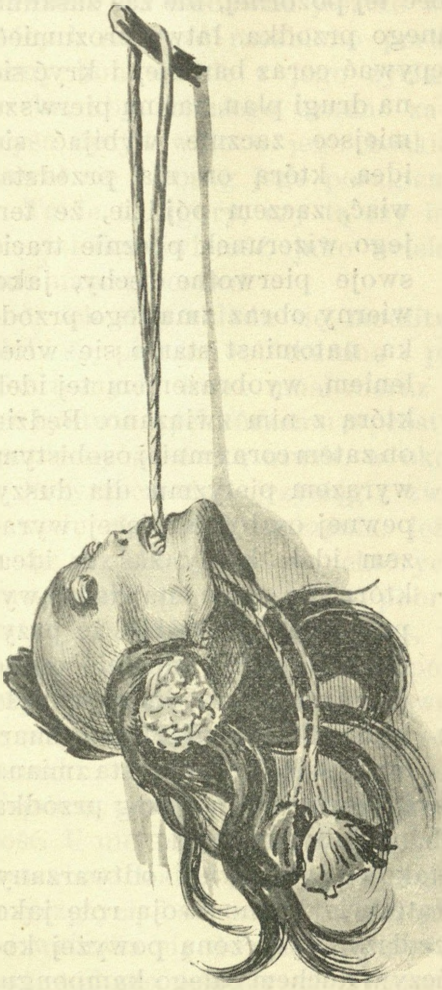

Ryc. 54. Godło zwycięskie Mundruku. (Rys. wedł. Ratzla dr. W. W.).

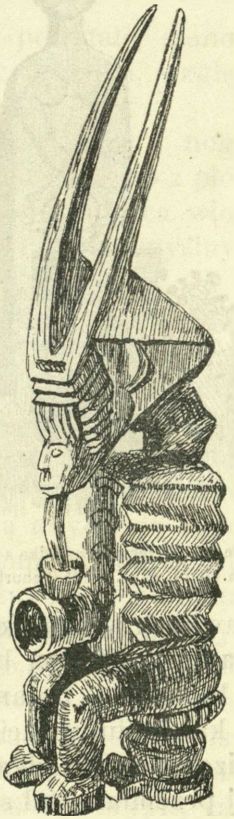

Ryc. 55. Drewniany posąg z nad Nigru. (Rys. wedł. Ratzla dr. W. W.).

sce jego wstawią drugiego, który podejmuje czynności pierwszego i prowadzi je dalej, dopokąd, nie wpoiwszy, w nigdy nienasycone papiery i księgi, całej swojej siły życiowej, nie

będzie musiał jako sterany, a tem samem też niepotrzebny, zrobić miejsce drugiemu. Tak zmienia się ustawicznie aktor, ale rola pozostaje zawsze ta sama.

Jakiem będzie teraz wobec tej pozornej, nie zaś zasadniczej zmiany, stanowisko danego przodka, łatwo zrozumieć. Oto jego osoba pocznie ustępywać coraz bardziej i kryć się na drugi plan, zaś na pierwsze miejsce zacznie wybijać się idea, którą on ma przedstawiać, zaczem pójdzie, że ten jego wizerunek pocznie tracić swoje pierwotne cechy, jako wierny obraz zmarłego przodka, natomiast stanie się wcieleniem, wyobrażeniem tej idei, którą z nim związano. Będzie on zatem coraz mniej osobistym wyrazem pietyzmu dla duszy pewnej osoby, a więcej wyrazem idei; kiedy zaś ta idea, którą on przedstawia, uwypukli się tak bardzo, że przyćmi i wreszcie zupełnie zatrze pierwotny cel, którym było tylko odtworzenie obrazu zmarłego, okaże się tak częsta zmiana dawnych wizerunków na nowe, zbyteczną, a posąg przodka stanie się figurą bóstwa rodziny lub plemienia.

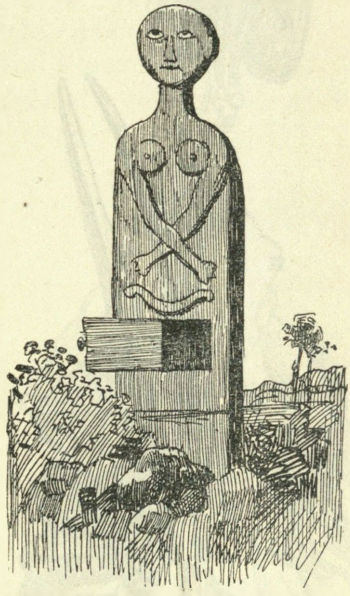

Ryc. 56. Wizerunek przodka z Celebes, z szafką na ofiary. (Rys. wedł. Schurtza dr. W. W.).

Panghulu-Balang u Battaków, jakkolwiek odtwarzany w kamieniu, utracił już niewątpliwie dawno swoją rolę jako wizerunek przodka, a przeszedłszy, wytyczoną powyżej kolej przemian, stał się opiekuńczym duchem całego kampongu, to przecież postać jego wskazuje, czem był niegdyś, przed laty. Wyrobiony z miękkiego kamienia, przedstawia głowę, ociosaną z grubsza, z długim, śmiesznym, kańciastym nosem. Te wizerunki Panghulu-Balang chowają Battakowie jako bóstwo i to nietylko ci, którzy pozostali wierni dawnym

tradycyom, ale też i ci, którzy, porzuciwszy wiarę przodków, przyjęli mahometanizm.

U wielu, na północy mieszkających plemion chińskich, stawiano do niedawna jeszcze wysokie drewniane słupy, na których szczycie rzeźbiono postać naczelnika, zaś u dołu sceny bohaterskie z jego życia. Często niewiele było potrzeba, aby zmarłego uznano za bóstwo. Nieraz zabicie tygrysa decydowało o jego boskiem powołaniu, a wtenczas stawał się i posąg jego posągiem bóstwa.

Takie to figury, czy tą czy inną drogą powstałe, stanowią wielką świętość, jako wcielenie duszy przodka, względnie nawet bóstwa.

U ich stóp składa się modlitwy, szyję ich, ręce i nogi zdobi się piórami lub tkaniną i przynosi ofiary, często z płodów rolnych, które musi nieraz pobożny ofiarodawca włożyć bóstwu opiekuńczemu wprost do żołądka, przez umyślny, opatrzony zasówką otwór, w okolicy pępka.

Przyrzeczenia, przysięgi, związki małżeńskie, nie mają w wielu okolicach znaczenia, jeżeli świadkiem ich nie był posąg przodka. N. p. w niektórych okolicach Melanezyi musi para młoda, mająca zamiar pobrać się, usiąść przed świętą statuą i siedzieć tak jakiś czas, podawszy sobie wzajemnie ręce, poczem, po uroczystych napomnieniach, życzeniach i błogosławieństwach ze strony krewnych, jedzą obydwoje sago ze wspólnej misy i ofiarowują sobie wzajemnie symboliczne podarki: ona jemu tytoń, on jej garść żuwnego pieprzu. Wspólna uczta, tańce i muzyka kończą podniosłą uroczystość. U niektórych plemion, n. p. u Herrero, można spotkać drewniane laski, przybrane często w pióra o jaskrawych, krzyczących barwach, obwieszone amuletami. Te święte laski wstawia się do mleka, przystawia się im pokarmy stałe i wprzód nie odważy się Herrero zjeść coś lub wypić, zanim nie napoi lub nie nakarmi swej świętej laski. Schowane na ofiarnem miejscu, w gałęziach świętego krzewu, zastępującego ołtarz, przedstawiają one niewątpliwie szczątkowe wizerunki przodków.

Z wyobrażeń, jakie wiążą się, bądź to z wizerunkami

zmarłych przodków, bądź też z częściami ich ciała, rodzą się t. zw. amulety, czyli godła ochronne, w pierwszym razie sztuczne, w drugim naturalne.

Zwyczaje fanani nauczyły nas, że można przenieść przymioty zmarłego na osobę żyjącą, wyobrażenia o duszy zapoznały z wiarą, że duch zmarłego trzyma się swego ciała lub jego części, zaś obrzędy pogrzebowe wskazały praktyki niektórych pierwotnych plemion, które umyślnie przechowują zwłoki krewnego w domu, ażeby zapewnić sobie pomoc jego duszy. Te wszystkie dane wyjaśniają same przez się znaczenie naturalnych amuletów, czyli godeł ochronnych u ludów pierwotnych.

Ryc. 57. Naszyjnik z ludzkich palców u Apalachów. (Rys. wedł. Ratzla dr. W. W.).

Negrowie Boni nad rzeką Maroni, w południowowschodniej Afryce, chwytają do garnka, ciekącą z trupa juchę, którą musi wypić adept czarodziejskiego zawodu, pomieszaną z tytoniem i liśćmi kwinkwina. O Negrach Angola opowiadają, że żaden z nich nie wyruszy w podróż, nie umywszy się wprzód wodą, znajdującą się, w umyślnie ku temu przeznaczonym, garnku. Jest to zapewne złagodzona postać zwyczajów »fanani«.

W Australii zawiera taką samą moc czarodziejską tłuszcz zmarłego lub jego kał. Cała rodzina, oprócz ojca, dzieli się tłustością swego krewniaka i albo ją spożywa, albo naciera się nią, albo też nosi ją przy sobie w odpowiednich koszyczkach, jako amulety. Uchodzi ona bowiem za znakomity środek przeciwko wszelkiego rodzaju chorobom. A jak Dajak, przez wypaczenie pojęć, stał się z czciciela czaszek nałogowym ścinaczem głów, tak Australczyk, chociaż jeszcze w mniejszym stopniu, został poszukiwaczem sadła. Napaść na cudzo-

ziemca i wyciąć mu tłuszcz z okolicy nerek jest rzeczą zupełnie naturalną. To też napady takie zdarzają się bardzo często, a jowialni podróżni, donosząc o tem, bronią tych ludzi, dodając, że oni zresztą nic więcej cudzoziemcowi złego nie robią. Ładne pocieszenie!

W wielu okolicach stanowi kał zmarłego równie skuteczny amulet przeciwko chorobom, że zaś dysputa w tej mierze nie należałaby do zbyt estetycznych, przeto poprzestajemy tylko na wzmiance. Tasmańczyk, który zawsze tak bardzo obawiał się śmierci, nosił, jako niezawodny przeciw jej odwie-

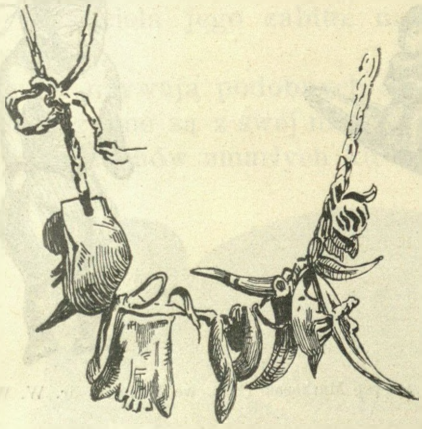

Ryc. 58. Amulety z półn. Borneo. (Rys. wedł. Ratzla dr. W. W.).

Ryc. 59. Wizerunek przodka, jako amulet okrętu z wysp Salomona. (Rys. wedł. Schurtza dr. W. W.).

dzinom, amulet: kawał czaszki swego krewniaka lub część jego kości ramieniowej, naszytej na skórę.

O ile wciąga człowiek pierwotny pewne zwierzęta w koło swoich wierzeń, o tyle zazwyczaj i one same i części ich ciała uchodzą za godła obronne.

Ogromną ich ilość nosi Neger. Chcąc zabezpieczyć się przeciw słabości, nosi zęby słonia, a nawet zbiera pilnie, tworzący się na nich osad, zaś włosy z ogona końskiego i końskiej grzywy są poszukiwane do tego stopnia, że w XVI

stuleciu oddawano za nie, jako za amulet, dwóch niewolników. Gdzieindziej używają skóry lub kości węża lub jaszczurek, albo zębów krokodyla, które, nanizane na sznurek, zakładają dzieciom na szyję. Tak czynią mieszkańcy Filipinów.

Wyrosłe na tle kultu przodków stanowią amulety sztuczne niemniej pożądany artykuł. Posążek przodka ma równie wiele mocy, jak kawał kości lub inna część organizmu zmarłego i może być amuletem, równie dobrze czynnym, t. j. takim, który działa zaczepnie, jak biernym, t. j. oddalającym wszelkie złe od swego właściciela. Szczególniej wojownicy, którzy, ciągnąc na boje, narażeni są na różne niebezpieczeń-

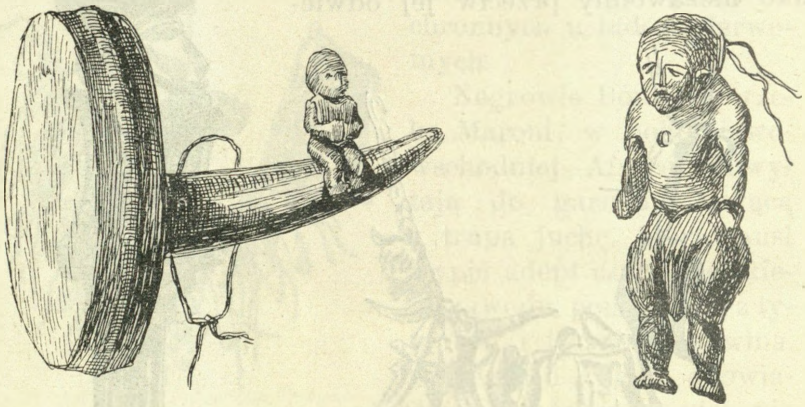

Ryc. 60. Kolczyk i amulet wojenny z wysp Markezas. (Rys. wedł. Ratzla dr. W. W.).

stwa, powinni uzbroić się odpowiednią ilością skutecznych amuletów. To też broń, jak: noże, miecze, kołczany, maczugi i t. p. noszą często wizerunki przodków, można też spotkać je na okrętach, a nawet na licznych sprzętach domowych, które stają się w ten sposób nietykalnymi dla drugich. Wielu nosi także małe, zazwyczaj bardzo niezgrabne posążki jako kolje na szyi, czasem jako bransolety na ramionach lub jako kolczyki w uszach. Nader często spotykanym jest amulet, wyobrażający rękę ludzką w pozycyi wyciągniętej, jakiej zwykliśmy używać, wskazując komuś niepożądanemu drzwi. Między innymi spotyka się go do dziś dnia w południowych Włoszech, jako nader ulubiony talizman.

Bardzo ciekawe są te amulety, w których zaznacza się związek z wspomnianą już kilkakrotnie pętlą słoneczną. Jest ona bądź to uwidoczniona na figurkach, wyobrażających postaci przodków, jakie znajdujemy w Ubudszwa, bądź też przedstawia się cały amulet jako nitka lub frędzla z włókien drzewnych, lub liści palmowych. Takim jest n. p. amulet

Ryc. 61. Amulet sztuczny Goldów (Syberya). (Rys. wedł. Schurtza dr. W. W.).

zwany »azan«, jako godło bóstwa »Bo« we wschodniej Afryce. Zaopatrzony weń wojownik, nie lęka się niczego, nie boi się żadnych czarów, bo wie, że »azan« nie dopuści, aby właściciela jego zabito, nawet, gdyby dostał się do niewoli.

Isuku używają podobnych amuletów, które nazywają się »lobo« i znane są z swej nadzwyczajnej własności, wiązania pewnych duchów zmarłych ku sobie.

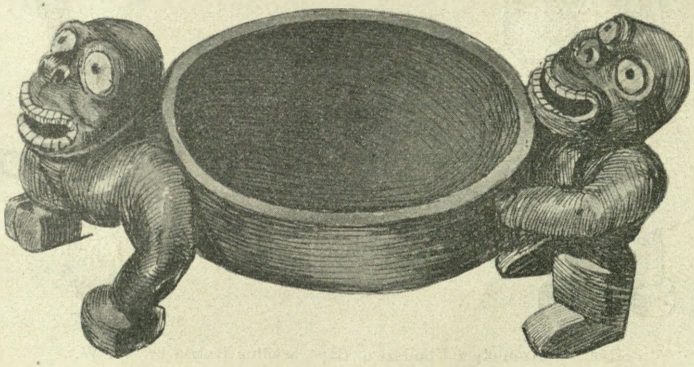

Ryc. 62. Miska z Hawai. (Rys. wedł. Schurtza dr. W. W.).

Bransoleta u Mussorongho nadaje, noszącemu ją na ramieniu, dziwną możność, zmieniania się w krokodyla. Może to stać się tylko w wodzie, przeto tylko kąpiący muszą obawiać się tego niezwykłego amuletu, którego właściciel staje się w jednej chwili krokodylem, rzuca się na ofiarę i zanurza ją na chwilę w zdradliwej toni. Kiedy nieszczęśliwiec

poczyna dusić się, ów człowiek-krokodyl wyciąga go znowu na powierzchnię, trzeźwi, ale na to tylko, aby, pociągnąwszy go dalej nieco, utopić. Nie dziw więc, że Mussoronghowie nienawidzą takich ludzi z bransoletami na rękach i ubijają ich chętnie, zaś ciało pozostawiają rybom na pożarcie.

Godzi się zapamiętać, że amulety te działają często tylko przy zachowaniu pewnych, ściśle określonych formalności. Może być nią post, modlitwa, ofiara, lub coś podobnego. Na Loango

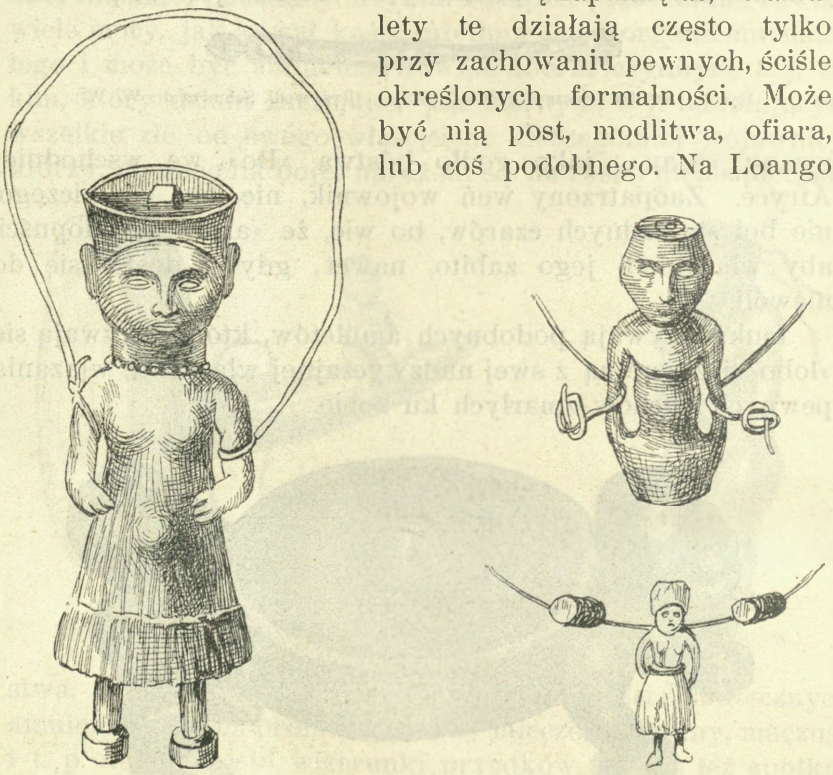

Ryc. 63. Amulety z Ubudszwa. (Rys. według Ratzla dr. W. W.).

istnieje związek, którego członkowie noszą, jako oznakę swej godności, duży, ozdobiony zwieszającym się owocem, żelazny pierścień, zwany »sase«. Jest to jednak nietylko oznaka związkowa, ale i coś więcej jeszcze, jest to amulet. Ktokolwiek sądziłby, że to jest zwykły sobie amulet i chciał użyć jego wpływu, pomyliłby się bardzo. Bowiem »sase« wymaga wprzód spełnienia pewnego zakonu, który

brzmi: »Noszący sasę, nie śmie jeść mięsa ani kozy, ani żadnej dziczyzny i winien pamiętać, że każdego ranka należy pier-

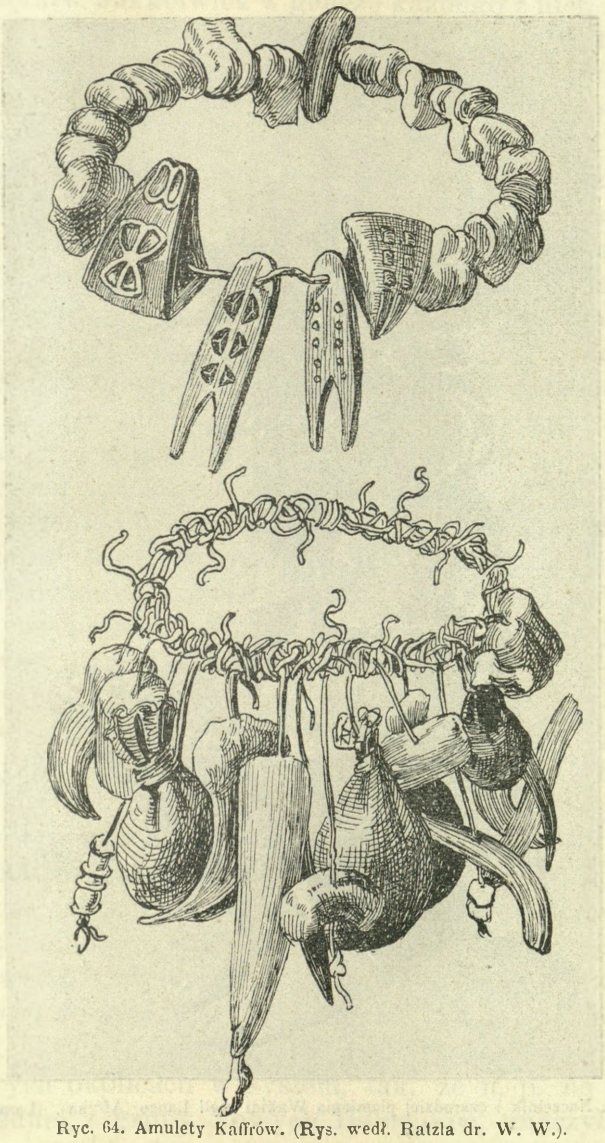

Ryc. 64. Amulety Kaffrów. (Rys. wedł. Ratzla dr. W. W.).

ścień ukąsić«. I tylko taki, który w myśl tego zakonu działa, może »sase« używać skutecznie jako amuletu przeciwko »złemu«.

W tej niezliczonej ilości godeł obronnych, czyli amuletów, trudno jest rozejrzeć się krytycznie, a nawet niemożliwie.

Ryc. 65. Naczelnik i czarodziej plemienia Wakidi czyli Lango (Afryka). (Lampert II).

Nie zna ich zwyczajny człowiek, nie zna nawet czarodziej, czy kapłan, chociaż nosi na sobie formalne muzeum tych

fetyszy, których waga dochodzi nieraz do kilkudziesięciu funtów ciężaru. Jakkolwiek w genezę każdego z nich z osobna wdawać się trudno, to ogólnie biorąc, nie ulega wątpliwości, że przeważna ilość tych amuletów, czynnych czy biernych, naturalnych czy sztucznych, wiąże się, choćby dalekim nieraz echem z kultem zmarłych, z czcią przodków. O ile objawia się ona w ten sposób, o ile jest ona przez dusze przodków czcią dla przedmiotów, o tyle nie jest niczem innem, jak tylko fetyszyzmem, tą najniższą zmysłową postacią wierzeń, która w Afryce bardziej, niż gdzieindziej, zapuściła swoje korzenie. Zmysłowy ten kierunek podziałał tu do tego stopnia, że w pobliżu Abetifi wytworzył cześć dla gliniastego stożka, wzniesionego pod dachem i zarzuconego obficie jajami i zbożem, albo dla kamienia o kilku m^2 powierzchni, ułożonego pod zieloną kopułą, splatających się gałęzi, w drodze z Sesemi ku Berekuso. W pierwszym czci Afrykanin bóstwo O-Dente, w drugim, spokrewnionego z nim boga Akotię, najstraszniejszego władcę w Berekuso.

Dla uzupełnienia obrazu należy wspomnieć tu jeszcze pokrótce przynajmniej o faktach, które są z jednej strony świadectwem nadzwyczajnej skłonności człowieka pierwotnego do ubóstwiania ludzi po ich śmierci, zaś z drugiej małą ilustracyą, jak skłonności te i dobrą wiarę prostaczków wyzyskiwali ich postępowsi ziomkowie. Na Fidżi n. p. zdarzało się niejednokrotnie, że krewni układali się pomiędzy sobą i przyrzekali sobie wynieść do godności bóstwa tego z pomiędzy siebie, który pierwej umrze. I tak niejaki Tuinkilakila, naczelnik jednej z mniejszych wysepek, położonej na południowy wschód od Wanna-lewu w grupie Fidżi, obiecał swemu przyjacielowi, anglikowi Hunt, że zrobi go bogiem, jeśli go przeżyje. Nie wiedzieć, czy dotrzymał słowa, to jednak pewne, że ubóstwianie zmarłych weszło po prostu w niektórych okolicach w system, tak, że n. p. na wyspie Tanna, jednej z grupy Nowych Hebrydów, znaczył wyraz »arenha« zarówno »bóg«, jak »człowiek zmarły«.

Nic tedy dziwnego, że na samej tylko wyspie Rajatea czczono przeszło sto bóstw publicznie, zaś liczba opiekuń-

czych duchów wyższej i niższej kategoryi nawet nie da się określić.

Mimo to wszystko nie można zaprzeczyć, że cześć dla dusz zmarłych przodków nie była pozbawioną dodatniej strony. Wprowadziła bowiem w życie pierwotnego człowieka pewne pierwiastki etyczne i otworzyła mu nowe horyzonty myśli, jeżeli pominiemy już niezawodny wpływ jej na sztukę.

Teraz dopiero poczynają oczy i myśli pierwotnych ludów zwracać się ku duchom przodków. Każdy ma do nich mnóstwo interesów, moc pretensyi. Ten chce uprosić deszcz, ów odwrócić nawalnicę, tamten radby sprowadzić na sąsiada chorobę, ów pozbyć się swojej, inny gotuje już ofiarę, aby mógł tylko szczęśliwem polowaniem uwieńczyć dzień, a tymczasem naczelnik, mając wyruszyć na wyprawę wojenną, chce dowiedzieć się, czy ma kazać zwoływać żołnierzy, czy też może położyć się w cieniu rozłożystego chlebowego drzewa i oparłszy głowę na makacie z pandanu, usnąć snem spokojnych. Ale cóż z chęci? Są one dobrą rzeczą, o tem ani słowa, ale mało praktyczną, bo na nic realnego nie dadzą się wymienić. Należy zatem mniej chcieć, a więcej czynić. Cóż, kiedy i czynić nie łatwo. Niechaj ktoś spróbuje n. p. wybadać od duchów przodków, co tego lub owego czeka dziś, jutro, za tydzień! Nie potrafi! Przedewszystkiem bowiem trzeba umieć te duchy wywołać, trzeba rozumieć ich mowę, trzeba wiedzieć w jakiej porze najlepiej to uskutecznić, a tego zwykły człowiek wiedzieć nie może, a choćby wiedział, nie będzie umiał nawet zabrać się do rzeczy, gdyż tak trudnej misyi mogą podjąć się tylko ludzie odrębni, po prostu wybrani i powołani przez samych duchów. I tacy są! Jest ich dość, więcej nawet niż dość, jest ich zadużo, a nazywają się: prorocy, kapłani, lekarze, znachorzy czyli wróżbici... Mnóstwo tytułów różnorodnych, a właściwie jeden zawód: czarodzieje, szamani. Oni jedni tylko umieją wybadać stosowną porę duchów, oni jedni rozumieją ich język, im

jednym wreszcie powiedzą duchy to, czego nie powiedziałyby nikomu innemu. Jest to jedyna uprzywiljowana kasta, otaczana głębokim szacunkiem a nawet czcią, a wisząca, jak trumna Mahometa, nieustannie między niebem a ziemią.

Obcowanie czarodzieja z duchami przodków odbywa się w trojaki sposób: Albo kapłan wpada w zachwycenie czyli ekstazę, wśród której przenosi się do zmarłych i potem opowiada ich słowa, albo dusza zmarłego wchodzi w ciało kapłana i mówi wprost przez jego usta, albo też on tylko wywołuje ducha, który z szumem i łoskotem zjawia się w swojej własnej osobie wśród obecnych. Wszystkie te trzy metody są dobre, bo skuteczne, ale pierwsza cieszy się największą ilością wyznawców, szczególniej dlatego, że stan podniecenia kapłana działa ogromnie na zmysły pierwotnych widzów, którzy znowu na szczęście, odznaczają się ogromną wrażliwością w tej mierze. Ekstazy nie uważają oni za stan, spowodowany najczęściej sztucznie, owszem, wydaje się ona w ich oczach zupełnie naturalną, wprost wrodzoną własnością pewnych ludzi, względnie wywołaną przez duchy, które upodobały ich sobie, jako swoich tłómaczy. Tak myśli lud, tymczasem kapłan, chociaż tej wiary nie zaprzecza, to jej nie podziela. On wie, że ekstaza jest stanem sztucznym, do wywołania którego wiodą przeważnie dwojakiego rodzaju środki: post i leki.

Dobrizhoffer, jak podaje Tylor, tak pisze o czarodziejach u Abiponów: »Ci, co chcą zostać kuglarzami, siadają podobno na starej wierzbie, zwieszającej się nad jeziorem, i wstrzymują się od jedzenia przez kilka dni, dopóki nie zaczną widzieć przyszłości. Wydawało się mi zawsze prawdopodobnem, że nicponie ci długiem poszczeniem nabawiają się słabości mózgu, obłędu, pewnego rodzaju gorączki, co sprawia, że wyobrażają sobie, iż są obdarzeni wyższą wiedzą i podają się za czarnoksiężników. Oszukują najpierw siebie, a później drugich«. Zaś Zulusi powiadają: »Zawsze syte ciało nie może widzieć tajemnych rzeczy«.

Jeżeli post, znany zresztą i ludom starożytnym (Pitia u Greków), może być niewątpliwie ważnym czynnikiem,

sprowadzającym ekstazę, to równie ważnym, a może jeszcze ważniejszym środkiem po temu są leki. Już Kolumb wspomina o proszku »kohoba«, który, krajowcy jednej z zachodnio indyjskich wysp, wprowadzali do nosa, aby odurzyć się. Czarodziej peruwiański używa do tego samego celu napoju zw. »tonka«, kapłani meksykańscy maści »ololiuki«, lekarze całej półn. Ameryki tytoniu, wieszczbiarze Melanezyi i Polinezyi kawy. Tu należy także »święty napój« Indów, »soma« lub »haoma« u Parsów. Ale znać leki, umieć pościć, to jeszcze nie wszystko.

Młody adept czarodziejskiej sztuki musi przerobić wprzód szkołę, twardą szkołę, pod ręką wprawnego, doświadczonego mistrza, który pozna, czy ten lub ów nadaje się na stanowisko czarodzieja, czy jest naprawdę wybrańcem duchów, czy nie! Próba ta odbywa się u Galela i Tobelorozo w następujący sposób: Gdy nadejdzie czas egzaminu, udaje się mistrz wraz z uczniem swym do osobnej izby, przesyconej wonią, moczącego się w misie z wodą jaśminu, pomięszanego z kwiatem areki, a położywszy się obadwaj na twardej ławie, zasypiają tak, nakryci wspólnem prześcieradłem i śpią większą część nocy. Ale wtem zrywa się nagle kapłan i chwyciwszy dwie chustki, które podają mu, palący przez cały ten czas wonne kadzidła domownicy, rozpoczyna, drżąc konwulsyjnie na całem ciele, wytężający taniec «isisi«, wśród przeraźliwego dudnienia bębna. Tańczy tak długi czas. Twarz pali się mu, błyszczą oczy, krople potu występują mu na czoło i policzki, gęsto, jedna obok drugiej i spływają, łącząc się w jeden strumień, jak strugi deszczu. Dyszący, zziajany, podbiega ku ławie, budzi śpiącego ucznia, a posadziwszy go nad misą z kwiatami, przytyka mu do nosa wonny kwiat pinangu. Tak stoi chwilę, ale krótką, poczem znów odchodzi i znów rzuca się w taniec, słaniając się ze znużenia, jak gdyby miał runąć na ziemię. A uczeń siedzi i patrzy. Ale tymczasem i on poczyna błędnąć, oczy błędne, szklane, wypuklają się, jak gdyby chciały wytrysnąć z oczodołów, piersi podnoszą się, a mięśnie poczynają drgać, jakgdyby przechodził przez nie od czasu do czasu prąd elektryczny. Kapłan tańczy dalej, ale

spogląda co chwila na ucznia, przybiega ku niemu, mruczy niezrozumiałe zaklęcia, szarpie go za włosy i znowu w tan puszcza się szalony. Uczeń nie widzi już tego, bo zapadł w hypnozę. Wtedy mistrz każe mu powstać, a wziąwszy go za sztywną rękę, prowadzi w taniec »isisi«, podczas gdy pomocnicy polewają go wonnym odwarem z jaśminu.

Trzy noce trwa taka nauka. W pierwszej doznaje on odurzenia, w drugiej zrywa się i tańczy, a w trzeciej uczy się utrzymać w tańcu chustki, które mistrz mu wskaże. Gdyby pokazało się, że zrobić tego nie zdoła, jest to dowód, że duchy przodków nie wybrały go sobie na pośrednika, czyli gomachatę. Dowiódłszy jednak swego powołania, pozostaje jeszcze przez dziesięć następnych nocy pod kierunkiem mistrza, poczem, nadszarpany fizycznie i umysłowo, może wystąpić w roli samodzielnego kapłana.

Tylor opisuje podobne praktyki u plemienia Winnebago. »Członkowie bractwa zgromadzają się w długiej, sklepionej budzie, a wraz z nimi kandydaci, pragnący zostać wtajemniczonymi, którzy gotowali się do tego trzydniowym postem i gwałtownem poceniem się, oraz okadzaniem się ziołami pod kierunkiem starych znachorów. Wtajemniczenie następuje wobec całego zgromadzenia przez pewną liczbę wróżbitów. Postępują oni szeregiem, a musi ich być tylu, ilu jest kandydatów i kandydatek; trzymają przed sobą worki swoje czarodziejskie w obydwóch rękach i tańczą zrazu wolno, wydając grube dźwięki gardłowe, a w miarę zbliżania się do uczniów, kroki ich stają się szybsze głos nabiera siły, aż wkońcu, krzyknąwszy, gwałtownie »uf! «uderzają się w piersi workami. W tejże chwili uczniowie, jak gdyby piorunem rażeni, padają na twarz z wyciągniętymi członkami i naprężonymi mięśniami. Znachorzy nakrywają ich chustami i pozwalają leżeć przez krótką chwilę, ale skoro tylko poczną dawać znaki życia, wtajemniczeni pomagają im stanąć na nogi i wyprowadzają. Wtedy dają im do rąk worki znachorskie i kładą do ust takież kamienie. Są już odtąd znachorami (albo znachorkami), przyłączeni do bractwa i stowarzyszenia. Chodzą dokoła szopy wraz ze sta-

rymi znachorami i obalają wszystkich, rzucając na nich workami. Uroczystość kończy się ucztą i tańcem przy odgłosie bębna i grzechotki«.

Nietylko postem i narkotykami da się osiągnąć stan podniecenia; gwałtowny dziki taniec, biczowanie się lub kaleczenie nożami, skrajna lubieżność i t. p., wszystko to podnosi duszę w nadziemskie sfery i pozwala jej obcować z duchami przodków. Czasem też wiedzie do tego samego celu monotonny śpiew, czasem miarowe uderzanie w bębny lub metalowe talerze, albo wreszcie wpatrywanie się w jasne, błyszące przedmioty, sprowadzające może nietyle ekstazę, ile raczej na wpół świadomy hypnotyczny stan, mogący trwać długie godziny.

Jeżeli nietylko poszczególni, wybrani ludzie, ale całe towarzystwa, jak n. p. tajne związki, oddają się tej, niszczącej organizm w tak wysokim stopniu gałęzi mistyki i gdy z czasem zyska ona coraz więcej wyznawców, wówczas może stać się łatwo, że całe plemię popadnie w taki stan ustawicznego podniecenia, potęgującego się co pewien czas do ekstazy, czyli zachwytu. Takie właśnie plemiona spotkali odkrywcy holenderscy na wybrzeżach Brazylii, a nie mogąc zrozumieć ich dziwacznego zachowania się i wyjaśnić sobie przyczyny ich, powtarzającego się co jakiś czas szału, uznali ich »za opętanych przez dyabła«.

O ile kapłan-wróżbita uchodzi w oczach widzów za istotę wybraną, o tyle znowu duch, który objawiał dotąd swą wolę przez usta wybranego »medium«, wnika często tak głęboko w wiarę swych wyznawców, opanowuje tak silnie zmysły otoczenia, że poczyna stawać się przedmiotem czci, przedmiotem kultu, który zyskuje niebawem trwałe podstawy. Jaką to może stać się drogą, poucza przykład u Maorów. U tych ostatnich n. p. uchodził duch martwego, nowonarodzonego dziecka, za coś w wysokim stopniu niebezpiecznego i zdarzały się wypadki, że z ciała takiego dziecięcia, pogrzebanego w pobliżu klatki papugi, przechodził duch w ciało zwierzęcia, które wskutek tego tłukło się o ściany swego więzienia i wydawało przeraźliwe głosy. Wreszcie stało się

raz, że duch ten wcielił się w jaszczurkę, a niejaki Uhia umiał wprowadzać go w siebie i, wpadłszy w ekstazę, wieszczyć, odgadywać rzeczy przyszłe; albo raczej nietyle może on sam, ile raczej duch ten, który przez niego przemawiał. Z latami począł ten duch wnikać coraz bardziej w wiarę ludu, aż wreszcie stał się w ich pojęciu ludożercą, bóstwem wojny. Przez usta Uhii, wieszcząc przyszłe losy bitew, oznaczając miejsca boju i wynik, naglił i zagrzewał do ataku, a wchodząc w ciała wojowników, czynił ich »tabu«, które po powrocie z wojny musiano z nich zdejmować. I tak około tego ducha, albo raczej około Uhii, w którym ten bóg wojny najchętniej przebywał, utworzył się istny kult wojenny, który, rozwijając się coraz bardziej, stał się formalną plagą Nowej Zelandyi. Po śmierci Uhii, począł ten kult wojennego bóstwa słabnąć i upadać, a jakkolwiek wystąpili inni prorocy, mieniący się godnymi następcami Uhii, nie odżył dawny pietyzm dla czczonego niegdyś ducha i z czasem zgasł zupełnie. Taką drogą, trudną zresztą do zbadania, bo rzadko przystępną, utworzyło się niejedno nowe źródło kultu, trwałe i wzmagające się nawet z wzrostem pokoleń.

Ale duchy zmarłych, nietylko odgadują przyszłość, lecz jako potężniejsze, obdarzone większą mocą, niż każdy zwykły człowiek, potrafią uczynić to, czego nikt inny zrobićby nie zdołał. Z ich pomocą można pomódz sobie i zaszkodzić drugiemu, co znowu nie jest rzeczą łatwą i przystępną dla szerszych kół pierwotnego społeczeństwa. To też kapłan-wieszczbiarz, który umie wybadać duchy zmarłych, a tem samem i uprzedzić wyroki przyszłości, potrafi zmusić ich do usług dla siebie: jest czarodziejem. Więc zazwyczaj obydwie te gałęzie mistyki, wieszczbiarstwo i sztuka czarodziejska, łączą się w ręku jednej osoby, wspierając się i uzupełniając nawzajem. Szczególniej czarodziejstwo cieszy się wśród ludów pierwotnych nadzwyczajnem uznaniem. Oplata ono i przesiąka całe życie, każdy krok pierwotnego człowieka, zrasta się i tak stapia z jego myśleniem, że staje się po prostu jego drugą naturą, wnikając w istotę wszystkich jego czynów. Wybiera się plemię na wojnę, czary niszczą już z góry

obóz nieprzyjacielski, rusza w podróż, czary usuwają wszelką przeszkodę i odpędzają złe duchy, żeni się, czary opanowują

Ryc. 66. Czarodziejka Sulu. (Lampert II).

dla niego serce jego upatrzonej, chce zemścić się na sąsiedzie, czary przychodzą mu na pomoc, nawet kiedy umrze, znajduje duch jego skutecznego mściciela w czarach, bo

śmierć, jaka tam ona jest, uchodzi u wielu plemion pierwotnych za dzieło ludzkiej zemsty.

Kapłani-czarodzieje, czyli szamani u plemion północnych, doznają nadzwyczajnego szacunku. Lud uważa ich za skarbnicę wszelkiej wiedzy, oni są żywą księgą pamiątek i tradycyi swego plemienia, a wpływ ich przewyższa często znaczenie i władzę naczelnika. Zaszczytne to stanowisko przypada zazwyczaj mężczyźnie. Kobiety zdołają wybić się na nie rzadko kiedy, a jeżeli wogóle oddają się zajęciu tego rodzaju, to są to mniejszej wagi czary, lub leczenie ludzi (Australczycy). Ale i to ostatnie wymaga wielkiej wprawy i znajomości rzeczy. Czarodziej ma nietylko uzdrowić chorego, nietylko usunąć chorobę, ale zarazem wskazać osobę, która, czy to bezpośrednio, czy za pośrednictwem oddanych sobie na usługę duchów, sprowadziła słabość. W pierwszym razie jest czarodziejem, w drugim, ponieważ musi często poradzić się duchów przodków, wieszczkiem.

Czarodzieja poznać można już na pierwsze wejrzenie, po fantastycznem zazwyczaj uczesaniu i mnóstwie najrozmaitszych amuletów, których waga dochodzi często do kilkunastu kg. ciężaru. Na tle czerwonej, jedwabnej materyi, powiązanej w liczne, niby od niechcenia, tu i ówdzie porzucane węzły, kołyszą się te różnorodne brzękadła, włosy, rogi i pazury zwierząt, kości ludzkie, figurki i muszle, wydając za każdym ruchem brzęk, szelest i zgrzyt.

Białe, zawieszone na szyi korale, po których schodzi do ciała kapłana duch przodka (pętla słoneczna) i wachlarz czarodziejski z dzwonkiem, sporządzony najczęściej z ogonów zwierzęcych, stanowią insignia jego czarodziejskiego urzędu.

Amulety i upiększenia szamanów, czyli czarodziejów północnej Azyi, ważą około 40 funtów. Są to, bądź duże, jak spodeczki krążki metalowe, wyobrażające słonia, zawieszone z tyłu na skórzanym, okrytym frędzlą kaftanie, bądź brzękadła w postaci płaskich lub okrągłych blaszek, wiszących na plecach, albo też listewek metalowych, bądźto podłużnie naszytych na rękawie, a przedstawiających kości ramieniowe,

Ryc. 67. Czarodziej plemienia Niam-Niam (Afryka). (Lampert II).

bądź poprzecznie umocowane na piersiach, a przedstawiające żebra, bądźto wyżej lub niżej na piersiach i brzuchu uczepione blachy, oznaczające serce, wątrobę, wymiona kobiece i t. d. Nawet frędzle zakończone są metalowemi kulkami. »Kaftan ten za najmniejszem poruszeniem drży i dźwięczy, pisze Sieroszewski, lub w szalonym tańcu huczy jak burza, jak oddział cwałującej kawaleryi«. Ten dźwięk i szum powiększają jeszcze bardziej dzwoniące blaszki, umieszczone w wnętrzu bębna i pałka, obszyta skórą kobyły lub rena i obwieszona dziewięciu brzękadłami«.

Ryc. 68. Czarodziejski wachlarz z dzwonkami. Rys. wedł. Schurtza dr. W. W.).

Ryc. 69. Kaftan szamański. (Sieroszowski).

Ale nietylko strój znamionuje czarodzieja. Już bowiem jakiś dziwny wyraz twarzy, jakiś odmienny charakter ruchów, jakiś przejmujący wzrok, wszystko to razem pozwala odróżnić go łatwo od przeciętnej miary ludzi. Przedstawiając postać szamana Tiisputa, t. j. upadłego z nieba, pisze wspomniany autor: »Twarz ma smagłą, rysy ruchliwe, trochę tun-

guskie. Źrenicę otacza tęczówka brudno-szara, składająca się z dwóch koncentrycznych pierścieni. W czasie czarów oczy te rozszerzają się, nabierają dziwnego, niepewnego blasku, przykro uderzają, dręczą prawie wyrazem dzikiego obłędu. Był to już drugi, jakiego poznałem, szaman jakucki, z takiemi niezwykłemi oczami. Wogóle w postaci szamanów jest coś, co po kilku spotkaniach pozwala ich niechybnie w tłumie Jakutów rozróżnić; pewna nerwowość ruchów i większa znamienność rysów, sennych u większości krajowców«.

W wierze w powołanie czarodzieja przebija się najlepiej związek z kultem zmarłych przodków. Urząd czarodzieja nie jest zazwyczaj dziedziczny, bo może go dostąpić każdy, kogo tylko same duchy uznają za godnego tego zaszczytu. »Gdym włóczył się w górach na północy, opowiadał wspomniany przed chwilą szaman, zatrzymałem się u stosu drzewa, aby zgotować obiad. Zapaliłem go. Tymczasem pod stosem był pochowany szaman tunguski. Dusza jego owładnęła mną«. Oświadczenie to wyraża dobrze wiarę w możność wędrówki dusz zmarłych w ciała żyjących ludzi. Bardziej zdarza się, że godność czarodzieja jest dziedziczną, a wówczas przechodzi z ojca na syna lub córkę i t. d. Przerobienie pewnej szkoły jest i tu potrzebne, a ćwiczenia opierają się na tych samych zasadach, które poznaliśmy powyżej; będą to więc w pierwszej linii wszystkie środki, atakujące w gwałtowny sposób cały ustrój nerwowy.

Lud wierzy święcie w moc czarodzieja i boi się go. Niema prawie nic, czego on nie potrafiłby zrobić. Jemu danem jest sprowadzić deszcz i odegnać burzę, on może uleczyć chorego, a umarłego powołać do życia, on potrafi strzałą zabić, o kilka mil nawet oddalonego człowieka, zaś sam oprze się wszelkim pociskom. Północny Azyata wierzy, że szaman jest na wpół kobietą na wpół mężczyzną, że można go przebić lub przestrzelić mu głowę, a on mimo to dalej żyć będzie, że może w tańcu sam odciąć sobie głowę, a położywszy ją na półce, tańczyć dalej i t. p.

O ile głębszą jest ta wiara, o tyle pewniejszy ich wpływ

na łatwowierne umysły, szkodliwy często w wysokim stopniu, bo wyzyskiwany dla celów własnej korzyści. Bywały nieraz smutne następstwa tego nieograniczonego zaufania Tak n. p. w r. 1857 czarodzieje przedstawili Amachozom, że, skoro wszyscy zniszczą swoje zboże i zabiją bydło, wówczas zejdą duchy przodków, które tę radę podały, i wypędzą Anglików. »Jeżeli tak kazały duchy przodków, a duchy przodków są życzliwe, przeto niema co zwlekać«. Wzięto się tedy do roboty, a wzięto z takim pośpiechem, że w przeciągu kilku dni zniszczały wszystkie spichlerze i padło przeszło 200.000 sztuk bydła. Tymczasem napróżno wyglądano zbawców. Nie pomogły prośby i modlitwy, duchy zawiodły. Ale za to przyszła nędza i głód, a w ślad za nim przywlokła się choroba i śmierć, która pochłonęła z górą 30.000 ludzi.

Najpewniej wszystkie te czynniki, które w jakikolwiek sposób przeciwdziałały, najsilniej zakorzenionemu, wrodzonemu popędowi do życia, a więc śmierć i choroby, stały się najpierwej przedmiotem czarodziejskiej sztuki. Fakt, że człowiek umiera, nie wydaje się pierwotnemu filozofowi dość naturalnym, myśl, że każdy umrzeć musi, nie przemawia mu zupełnie do przekonania. Człowiek powinien żyć zawsze, wiecznie, nie powinien umierać i nie umarłby istotnie, gdyby nie padł w bitwie wskutek ran odniesionych, lub nie uległ mocy czarodzieja. On to sprawia, że człowiek niedołężnieje, starzeje się, gaśnie wprost w oczach i wreszcie ginie. Kto opatrzy się zawczasu, ten może złemu zaradzić. Jeden czaruje, ale czary drugiego mogą być wyższe i zniweczyć pierwsze, ale kto sprawy zaniedba, albo ją przeoczy, musi umrzeć koniecznie. Więc umiera, a im głębszą jest wiara w przypadkowość tej śmierci, tem też większy żal za życiem, bo myśl, że śmierć jest nieubłaganą koniecznością, która wszystkich bez wyjątku spotkać musi, jest po części ulgą w tej przykrej chwili rozłąki z »uciechami« świata. Tedy spada na krewnych jeszcze jeden obowiązek, pomszczenia śmierc zmarłego. Któryś z uczonych zauważył zupełnie słusznie że czary w Afryce więcej zabrały ofiar, aniżeli handel nie

wolnikami. Ale to nietylko w Afryce. Wykrywanie domniemanych sprawców, naturalną śmiercią zmarłych ludzi, przyprawia i w Azyi i w Australii mnóstwo osób o utratę życia, bo śmierć musi być śmiercią pomszczona. Jak zaś dziecinnem jest postępowanie w tej mierze, pouczą nas najlepiej przykłady. Jeżeli umrze Australczyk, wówczas uczestnicy pogrzebu wymieniają wszystkich podejrzanych po nazwisku, zaś przewodniczący orszaku przykłada przy każdem nazwisku włócznię do ciała umarłego, wzywając go, by poruszył się, jeśli któryś z nazwanych byłby jego mordercą. Czasem zdarzy się, że umarły usłucha wezwania i ruszy się, może sztucznie, może tylko w wyobraźni łatwowiernych uczestników, a wówczas nieszczęsny wybraniec nie ma nawet czasu zaśpiewać sobie w duszy »requiem«, tak szybko spada śmierć na jego głowę; częściej jednak bywa, że zmarły nie zdradza żadnego ruchu, a wówczas wróży czarodziej z dymu, unoszącego się z płonącego na grobie ogniska. W którą stronę zwraca się słup, tam bezsprzecznie znajduje się winowajca. Nieraz i ten sposób zawodzi. Wówczas przemyślny kapłan ma przygotowany inny w zanadrzu. Kładzie się na świeżo rozpulchnionej mogile, a przytknąwszy czujne ucho do ziemi, słucha. Widzowie roztwierają szeroko oczy i patrzą. Tymczasem kapłan nie rusza się, owszem, natęża się, jakgdyby posłyszał jakiś bardzo cichy szmer, którego nie może jeszcze zrozumieć. Ostatecznie sprawca zostaje odkryty, głos z grobu zdradził jego nazwisko. Gdzieindziej postępują znowu inaczej. Krajowiec z Port-Lincoln śpi wraz z umarłym i ten odkrywa mu w nocy tajemnicę swej śmierci, plemiona z Adelaide wnoszą o sprawcy z ruchów mar, na których niosą zwłoki, zaś czarodziej z nad zatoki Marento wróży ze skóry, a jeżeli zdarzy się, że nie uda się mu odkryć winowajcy, nachyla się nad nieboszczykiem i, szepcąc mu do ucha, prosi go, żeby tylko duchom przodków na drugim świecie nie powiedział prawdy, ale zeznał, że umarł na wojnie. Co kraj, to obyczaj!

Jednak zdaje się, że czarodziej rzadko kiedy ucieka się do tego ostatniego sposobu, który jest, bądź co bądź, świa-

dectwem jego nieudolności. Wystawiony na krytykę swoich współrodaków, musi umieć wybrnąć szczęśliwie z każdej sytuacyi, w przeciwnym bowiem razie osłabi wiarę w siebie na korzyść drugiego, który okaże się zręczniejszym. Ba! ileż to razy zdarzało się, że czarodziej, który nie umiał sprowadzić deszczu, padł pod razami, zawiedzionego w zaufaniu ludu!

Ponieważ do śmierci prowadzi bardzo często choroba, ponieważ przynosi ona ból, osłabienie a nawet zupełną niemoc czasową lub trwałą, przeto i z nią staje człowiek pierwotny do walki, znowu za pośrednictwem kapłanów, czarodziejów. Przedstawialiśmy już powyżej, jakie panują w tej mierze wyobrażenia, wspominaliśmy, że zarówno śmierć, jak chorobę uważa się za dzieło szkodliwych, złych duchów, nasłanych często umyślnie przez kogoś, kto umie i może duchom rozkazywać. Wypędzić tego ducha jest zadaniem czarodzieja. Jak ma on to zrobić, czy chce załatwić sprawę na drodze polubownej, czy ducha, przy pomocy duchów przodków, gwałtem wypędzić, to już rzecz jego. Może zrobić jak chce, byle zrobił. Z tej wolności wyboru korzysta on w właściwy sobie sposób. Schodząc z okolic wyżynnych Toba, w północno-zachodniej połaci Sumatry w głąb kraju, owładniętego przez febrę, można spotkać wszędzie małe domki, gdzie mieszkańcy składają demonowi choroby stałe ofiary z napojów i pokarmu. Jeżeli kto popadnie w chorobę, a potem z niej wyjdzie, wnosi się, że duch dał się przekupić darami. Nie dzieje się to bez woli i wiedzy czarodzieja. On to dyktuje jakość i wysokość ofiary, a potem znosi się z duchami i dowiaduje się, czy im wystarcza. Usłużny w najwyższym stopniu mistyczny eskulap, czyni coś więcej jeszcze ponad to, oto wypytuje ducha, czy, cieszącemu się obecnie zdrowiem N. N. nie ma zamiaru nasłać jutro choroby? Niestety! Odpowiedź wypada zazwyczaj potakująco, a czarodziej w poczciwości swego serca nie wytrzyma, aby nie donieść o tem coprędzej odnośnej osobie. Smutna ta wiadomość, podana równocześnie z prawdziwie skuteczną radą, nie należy jeszcze do najbardziej gorzkich pigułek życia

Ofiara z czerwonego koguta lub świni, którą musi położyć zagrożony chorobą, na bliżej przez ducha oznaczonem miejscu, sprawia, że, o cuda! petent nie zapada czasem nazajutrz w chorobę!

Czarodziej u Dajaków, wezwany do chorego, ma nielada pracę z duchem chorobotwórczym. Wprawdzie za wypędzenie takiego ducha otrzymuje on sześć galonów ryżu, ale za to musi sporo namęczyć się, zanim wydobędzie niecnotę, zwłaszcza, jeżeli upodobało się jej zaleść aż do żołądka, co czyni najchętniej. Jakoż na szczęście czarodziej tamtejszy odznacza się niezwykłym sprytem, tak, że nieraz kilkanaście duchów, jednego po drugim, wyciąga w postaci starych strzępów, wiórów i t. p. i zapewnia pacyenta, że wkrótce dozna ulgi. Niektórzy statystycy robią uwagę, że ilość owych duchów, które czarodziej dobywa, jest tem większą, im zamożniejszy jest klient. Naprawdę, bezgraniczną jest ludzka złośliwość!

Szaman burjacki bierze się ostrzej do rzeczy i zabija demona choroby strzałami, a skutek zależy w prostym stosunku od jego zręczności. Wogóle, gdzie środki pojednawcze nie skutkują, przybiera czarodziej wyzywającą postawę, usiłuje odstraszyć i wypędzić przemocą ducha, przyczem używa wszystkich niemal gałęzi mistyki; więc wróży, wpada w zachwycenie, zgadując w ten sposób przyczynę choroby, odnosi się do duchów i t. d. Scenę taką u Jakutów przedstawił Sieroszewski, a przedstawił ją tak pięknie, że, chcąc zachować właściwy jej nastrój, powtarzamy ją w dosłownem brzmieniu na tem miejscu:

»Wezwany do chorego szaman, przychodzi zwykle pod wieczór i siada odrazu na przedniem miejscu w kącie b i l i r i k a. Wyciągnięty na swej białej skórze, leży, gawędzi z otaczającymi i czeka chwili odpowiedniej do czarów. Wreszcie słońce zaszło, zmierzch gęstnieje, w jurcie robią pospieszne przygotowania do czarów, łupią łuczywa, znoszą drwa, zamiatają izbę, gotują pożywniejszą i smaczniejszą kolacyę. Zwolna schodzą się sąsiedzi, obsiadają ławy wzdłuż ścian, mężczyźni na prawo, kobiety na lewo. Wszyscy roz-

mawiają przyciszonymi głosami, ruszają się ostrożnie. Na północy, gospodarz robi z mocnych rzemieni dwie pętlice, które szaman zakłada sobie na ramiona, a obecni przytrzymują, zwieszające się końce, aby go duchy nie porwały. Wreszcie wszyscy usiedli poważnie na miejsca. Szaman przykucnął w kącie, gdzie zwykle stoi, wyniesiony na ten czas stół; zwolna rozplata swe warkocze, mruczy coś, wydaje pomocnikowi rozkazy, czka i ziewa nerwowo, ciało jego przebiegają dreszcze, z początku sztuczne. Oczy, opuszczone na dół, nie patrzą wcale lub są utkwione w jeden punkt, zwykle w ogień. Ogień dogasa. Błyski jego coraz słabiej rozświecają ciemności; ruch w izbie ustaje, gdyż za chwilę drzwi zostaną zaparte i nieprędko się otworzą. Szaman zwolna zwleka koszulę i nadziewa czarodziejski kaftan. Podają mu fajeczkę. Pali i dym łyka. Czkawka jego i dreszcze nerwowe wzmagają się; twarz mu pobladła, zwilgła, głowa nisko opadła na piersi, oczy na wpół zamknęły. Tymczasem na środku jurty rozpostarto jego białą skórę kobylą. Szaman każe podać sobie zimnej wody i pije ją wolno, dużymi łykami, następnie sennym ruchem bierze, przygotowany zawczasu bęben, wychodzi na środek i cztery razy przyklęka na cztery świata strony. Jednocześnie bryzga wodą z ust w koło. Wszystko zamiera. Na ogień rzuca paź garść włosów końskich i zasypuje go zupełnie popiołem. W mętnym zmroku niewyraźnie majaczy zgarbiona postać szamana z ogromnym jak tarcza bębnem przed sobą. Siedzi on na skórze kobylej, zwrócony twarzą na południe, dokąd również głową powinna być zwrócona jego podściółka. Nareszcie nastaje nieprzenikniona ciemność. Obecni wstrzymują oddech i ruchy. Słychać tylko mamrotanie i czkawkę szamana. Milknie i to. Chwilę panuje głucha, przejmująca cisza. Aż nagle, niewiadomo skąd, rozlega się urywany, ostry, przenikliwy, jak zgrzyt żelaza krzyk i... milknie. Później znów gdzieś w ciemnościach, to niżej, to wyżej od szamana, to przed nim, to za nim, odzywa się nerwowe przykre ziewanie, czkawka histeryczna, to czajka zapłacze żałośnie, zakracze sokół, kulik zaświszcze. To krzyczał szaman, modu-

lując głos swój. I znowu cisza. I tylko leciuchne, jak brzęczenie komara, drżenie bębna wskazuje, że czarownik zaczął swą muzykę. Bicie w bęben, z początku do muśnięć podobne, wzmaga się, krzepnie, ustaje i znów zrywa, jak szum nadpływającej burzy. Po jej kapryśnym łoskocie przelatują zygzaki najdzikszych dźwięków: kraczą orły, skarżą się czajki, chichocą nury czarne, piszczą kuliki, kukają kukułki. Jak gdyby wszyscy, co blisko nieba latają, zerwali się nagle, rojem okrążywszy czarodzieja, towarzyszą mu, uprzedzają krzykiem żałobnym mieszkańców nieba o jego pochodzie. Muzyka rośnie i dosięga zenitu, uderzenia po bębnie tak szybkie, że zdają się zlewać, zmuszają instrument do wycia i ryku; brzękadła tłuką się, dzwonki jęczą bez przerwy; to już nie muzyka lecz wodospad dźwięków, grożący zatopieniem i myśli i świadomości słuchaczy. Wtem... jedno potężne uderzenie i bęben, podniesiony w górę, spada jak błyskawica na miękką, włochatą skórę kobylą. Dźwięki urywają się, jakby kto ciął siekierą... nic nie drga. Znowu po chwili ta sama, jak brzęczenie komara, muzyka dzwoneczków, te same głosy wystraszonego ptactwa i rosnący werbel bębna. I tak kilkakroć, zależnie od natchnienia szamana, aż muzyka niespodzianie zmienia tempo i w takt z jej rytmicznym odgłosem płyną w ciemności strofy hymnu.

1. Byk ziemi potężny... Koń stepu!

. . . . . .

2. Potężny byk ryknął.

. . . . . .

3. I zadrżał koń stepu!

. . . . . .

4. Ja ponad was wszystkich wzniesiony, jam człowiek!

. . . . . .

5. Jam człowiek we wszystko obdarzon!

. . . . . .

6. Jam człowiek, stworzony przez Pana Bezmiaru!
7. Więc wypłyń, o koniu stepowy i naucz!
8. Wyjdź byku wszechświata i powiedz!
9. O Panie potężny, rozkazuj!

10. Niech każdy, z kim pójdę, wysłucha uszami! Niech za mną nie idzie nikt, komu nie powiem: chodź!

11. Niech przedemną nikt nie staje bliżej, niż pozwolę. Niech każdy patrzy uważnie, słucha pilnie. Strzeżcie się!

12. Pamiętajcie! Bądźcie wszyscy tacy... wszyscy razem... wszyscy, wielu was jest.

13. Ty z lewej strony Pani z kosturem, jeżeli stanie się, iż drogą mylną skierują się... proszę cię: ostrzeż, rozkaż!

14. Omyłki i drogi moje Matko Pani moja, wskaż mi! Leć wolnym śladem... szeroką drogą, gościniec mi oczyść!

15. Na południu, na dziewięciu wzgórzach leśnych mieszkające Duchy słońca, Matki światła, wy, które możecie zazdrościć, proszę was, niech stoją, niech wysoko stoją trzy wasze cienie!

16. Na wschodzie, na swej górce Panie mój, Dziadzie o tęgiej mocy, o grubej szyi, bądź razem ze mną!

17. I ty siwobrody, czcigodny czarodzieju ognia, proszę cię, zgódź się na wszystkie myśli moje, na wszystkie pragnienia... Wysłuchaj... spełnij... spełnij wszystko!...

. . . . . .

Znowu muzyka dochodzi swego zenitu, znów słychać dziką wrzawę ptaków i zwierząt, bezmyślne wyrazy i znów wszystko milknie...

Przytoczone zaklęcie jest mniej więcej powszechne, czasem dłuższe, czasem krótsze. Szereg wymienionych bogów i duchów może być bardzo liczny. Każdy ma tytuły rodowe i przymioty osobiste, które trzeba wymienić. Ta część obrządku już zmienia się, zależnie od osobistości szamana i okoliczności.

Dalej szaman uprasza swego »ämägät« i przyjaznych mu duchów o przybycie i pomoc, rozmawia z »käläny«; niekiedy wzywani długo opierają się, nie przychodzą, czasami zjawiają się z takim impetem, oblicza mają tak groźne, iż czarownik pada rażony na ziemię i jeżeli na wznak, to źle, jeżeli na twarz, to dobrze. Obecni wtedy stukają nad nim w żelazo, mówiąc: »Hartowne żelazo chrzęści... różnokształtne chmury wiją się... obfite chmury wzniosły się« (Koł. uł. 1883 r.)

Ryc. 70. Czarujący szaman na zwiadach. (Rys. A. K.).

lub krzeszą ogień ze słowami: »Ryn-chachan! Kyn-czachan! Kündül-sandył!...« Duch ognia spłynął samłyjde (Nam. uł. 1889 r.).

Gdy »ämägät« zstąpi na szamana, ten wstaje, z początku na skórze podskakuje, a potem ruchy jego stają się coraz żwawsze, zamaszystsze i on wypływa na środek jurty. Na ogień rzucają łuczywa i drwa. Jasne światło zalewa jurtę, która nagle napełnia się ruchem i wrzawą. Czarownik tańczy, gra i śpiewa nieustannie, skacze jak opętany, z początku na południe, potem na zachód i wschód. Ci, co go trzymają za sznur, niemało mają pracy. Na południu szaman tańczy swobodnie; często uczeń-posługacz gra wtedy na bębnie. Krok tańca podobny trochę do małoruskiego »chłopaka«, ale bez przysiadań. Zresztą niewesoły to koniec.

Głowa szamana, wciąż opuszczona na dół, trzęsie się chorobliwie, włosy bezładnie rozrzucone przylepiają się do spotniałej twarzy, powieki przymknięte i z pod nich świeci się spojrzenie mętne, a u niektórych piana z ust płynie i błyskają mocno ściśnięte zęby. On ryczy, ochrypły, prawie bezprzytomny i bije w bęben, zda się równie jak on zziajany... Fala jego wściekłości i uniesienia to wznosi się, to opada; często zdaje się, że sił mu nie stanie, że padnie, a on tymczasem, po chwilowym odpoczynku, jeszcze lepsze zaczyna wykonywać skoki... Aż utnie... i cichy, poważny zanuci hymn uroczysty. Wreszcie dowiedział się już wszystkiego, zabezpieczył się opieką, znękanych jego uporem gniewnych bogów, przełamał przeszkody i wybiegi... W lekkim tańcu, nucąc pieśni, to figlarne, to straszne, to pełne ironii lub przekleństw, zależnie od tego, czyje naśladuje głosy, zbliża się do chorego i całym szeregiem zaklęć, gróźb, obietnic, zmusza przyczynę choroby do ustąpienia lub wysysa ją z chorego miejsca, unosi na środek izby i, nie przestając zaklinać i gadać, wyrzuca, wypluwa, wygania, odpędza kopnięciem nogi, zdmuchuje z dłoni w przestworze. Równocześnie obecni dowiadują się, za jaką cenę duchy rodowe pozwoliły odebrać zdobycz poddanemu swemu. Szaman przykrywa oczy dłonią jak daszkiem i ogląda uważnie wszystkie

kąty, czy gdzie nie ukrył się jaki gość nieproszony, jaki duch z roju wezwanych lub wyganianych. Skoro tylko zauważy coś podejrzanego, mgłę jakąś, znowu tańczy, bije w bęben, zaklina i straszy... I tak do skutku. Obrzęd skończony, modlitwa dziękczynna zmówiona. Wszyscy oddychają raźniej. Czas jakiś szaman, obdarzony duchem wieszczym, przepowiada przyszłość, tłómaczy ciemne wypadki bieżącego życia, opowiada, co widział na niebie. Jest to zwykle bardzo wesoła część wieczoru; żarty, śmiechy sypią się jak z worka... Obecni silą się na dowcipy... a duchy odpłacają im sumiennie. Wreszcie obecni biorą skórę za rogi i niosą na miejsce poprzednie, a jego odprowadzają na bilirik«. (Koł. uł. 1883 r.).

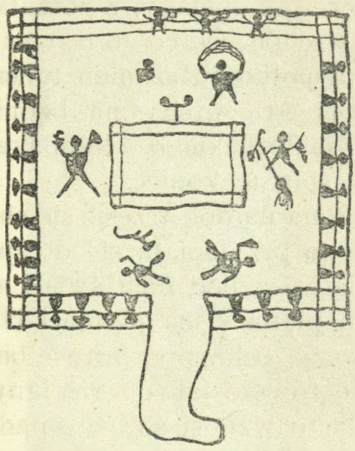

Ryc. 71. Szamanistyczne uzdrowienie chorego u Eskimosów. Szaman, stojący w górnej części obrazka, wypędza, związanego z chorym demona słabości (po stronie prawej ryciny) ku wyjściu (u dołu), strzeżonym przez dwóch pomocników.

Jak z czarodziejstwa biernego, t. j. takiego, którego celem jest usunąć lub zniszczyć nieprzychylne dla człowieka czynniki, rozwija się czarodziejstwo czynne, posługujące się działaniem zaczepnem, poucza najlepiej rozwój t. zw. czarów deszczowych, o ile, wobec niedość wielkiej przejrzystości przedmiotu, da się on konsekwentnie przeprowadzić.

Będąca na etapie w dobie współczesnej jako t. zw. odżytek kulturny, kwestya rozpędzania chmur lub sprowadzania deszczu, zajmuje już od wieków umysły najpierwotniejszych ludzkich społeczeństw. Nie mamy tu na myśli plemion koczowniczych. Im nie wiele zależy ostatecznie na tem, czy słońce świeci, czy pada deszcz, ale u rolników musi kwestya ta, prędzej czy później wzbudzić odpowiednią reakcyę. Wielkie nawalnice, burze, niszczące nietylko płody rolne, ale druzgocące całe mienie ludzi a nawet ich samych, mu-

szą stać się z czasem źródłem odpowiednich praktyk, zmierzających do zaradzenia złemu. Z chwilą, kiedy to nastąpi, spada na karki nieszczęśliwych duchów nowa porcya biadań, narzekań, skarg, łez lub przekleństw. One winne są wszędzie i zawsze, taka to już ich dola!

Próby, dążące do odstraszenia ich, niewątpliwie są najpierwotniejszą postacią czarów deszczowych. Krzyki, bicia w bębny, rzucania kamieniami, posyłania strzał, oto arsenał środków, używanych w tym celu. Opowiadają, że gdy chmury, wróżące ciężką burzę, gromadziły się na niebie, kazał król Negrów z Loango grać kapeli dworskiej z całej mocy w najprzeraźliwszy sposób, zaś sam, napiąwszy łuk, wyrzucał strzały ku niebu, jedną po drugiej. Tajny związek Agbui u Eweów na wybrzeżu niewolniczem, poświęcił się zupełnie tylko tej jednej gałęzi czarów, a posługiwał się przeważnie krzykiem, który członkowie podnosili w krytycznej chwili. Jednak zapewne nie musi być taka taktyka najlepszą w skutkach, skoro pierwotny filozof zaczyna rozmyślać nad jej reformą, a pierwszym krokiem do niej jest pytanie: »Dlaczego właściwie powstają na nas te duchy, cośmy im winni?« Próbując odchylić rąbek tej tajemniczej zasłony, starając się odgadnąć głębszą przyczynę zjawiska, wstępuje pierwotny filozof na drogę różnorodnych, zazwyczaj niedorzecznych domysłów. Czarodziej dopomaga mu w tem dzielnie i wytrwale przoduje: »Zerwała się burza, ponieważ jakaś dziewczyna czesała się na dworze, lub kobieta stara prała w morzu brudną odzież«. Często dotyczą te domysły ważniejszych nowości, które wprowadzono w ostatnich czasach, a które, jako takie, stoją w sprzeczności z tradycyą przodków. I tak dzieje się zazwyczaj, że w parze z zbyt nagłym postępem, idzie cofanie się wstecz, budzi się siła konserwatywna, która spycha społeczeństwo z nowych torów, na które wstąpiło i zawraca na dawne. Wiele prykładów popiera tę prawdę. Tlinkici n. p. palili ciała wedle dawnego zwyczaju przodków, ale, ulegając namowom chrześciańskich misyonarzy, poczęli grzebać je w ziemi. Tak pochowali w r. 1881 dwoje dzieci. Tymczasem zdarzyło się, że wkrótce potem zerwała się stra-

szliwa burza; strwożeni krajowcy przyszli niebawem do poznania właściwej przyczyny rzeczy. Rozpalili tedy ogień na wybrzeżu i rzucili weń dwie drewniane lalki, w nadziei, że burza da się oszukać i przestanie szaleć. Skoro jednak omylili się w swoich rachubach, poszli, obadwa trupy wygrzebali napowrót, a ułożywszy stos, spalili je dawnym zwyczajem.

Wakamba zaczęli znowu używać, w miejsce łopat drewnianych, żelazne. Skoro jednakowoż panowała dłuższa posucha, złożyli winę na karb innowacyi i powrócili do dawnych narzędzi drewnianych, gdyż żelazne odstraszają najwidocznej chmury.

Kapłan czarodziej, zawsze chętny do niesienia pomocy cierpiącym swoim ziomkom, których przewyższył w sprycie i przeszedł w rozumie, nie może nie przyjść na to, aby, skoro można nawalnicę odpędzić, nie spróbować jej sprowadzić. Myśl taką mogą nasunąć łatwo warunki klimatyczne: natura takiego n. p. kraju, jak Afryka, sprzyja najlepiej rozwojowi czarów deszczowych. I tak czary bierne przeradzają się w czynne, tak powstają czarodzieje deszczotwórcy, którzy powagą swoją, przyćmiewają znaczenie samego władcy.

Każde plemię ma tu swego deszczotwórcę, niektóre nawet po kilku, a ci, w wolnych chwilach od »robienia deszczu«, wykonują także praktykę lekarską. Są pomiędzy nimi zdolniejsi i zdolni, gorsze i lepsze »deszczoroby«, są tacy nawet, którzy cieszą się milową sławą. Takich sprowadzają nieraz z jednych okolic w inne, nawiedzane posuchą. Zrobili tak Beczuanie z Kuruman, którzy, trapieni kilkuletnią posuchą, wezwali sławnego czarodzieja deszczowego z Bahurutse, miejscowości oddalonej o 50 mil drogi od Kuruman. Przybył ponoś i istotnie... deszczu nie sprowadził.

Sposoby ściągania chmur, zdradzają nie w mniejszym stopniu antropopatyczną naturę człowieka, jak metody, odsuwania nawalnic. Bariowie rzucali ku niebu strzałami, zagiętymi hakowato na końcu, w czem przebija się najpewniej myśl możności, przyciągnienia chmur, jak któregokolwiek innego przedmiotu ku sobie.

Ale bardziej ulubioną jest metoda naśladownictwa: jak myśliwiec, udając sztucznie gwarę ptaka, stara się przywabić go ku sobie, tak czarodziej, bądź to gwiżdżąc, bądź wywołując głos, przypominający pluskanie deszczu, sprowadza, względnie chce sprowadzić chmurę.

Pierwszy sposób, to jest gwizd, ma odtworzyć szum lub poświst wiatru, który przybywając sam, przygna chmury, a z nimi upragniony przyniesie deszcz. Bassuci posiadają

Ryc. 72. Staroperuwiańskie naczynia z gwizdawką. (Rys. wedł. Schurtza dr. W. W.).

nawet, osobno na ten cel sporządzone piszczałki deszczowe, zaś w grobach peruwiańskich znaleziono wiele t. zw. »naczyń z gwizdawką«, złożonych obok zmarłych, jako darunek pośmiertny. Schurtz przypuszcza, że te zabytki pozostają w związku z czarami deszczowymi i tak musi być niewątpliwie istotnie. Starzy Peruanie bowiem modlili się do tęczy, zaś na tarczach Inkasów widnieje jej wizerunek, obok dwóch, wyciągniętych wężów. Zapewne więc dodatek gwizdawki, używanej do sprowadzania deszczu, miał być przypomnieniem dla dusz przodków, aby pamiętały zawsze o obowiązku należytego skrapiania plantacyi żyjących.

Że, wedle wierzeń ludów pierwotnych, uważa się kwestyę

regulowania opadów istotnie za obowiązek dusz przodków, świadczą o tem liczne, ciekawe praktyki. W wielu okolicach Afryki, składa się, w celu spuszczenia deszczu, ofiary na grobach naczelników, leje się na nie wino lub skrapia je wodą, kapłan w Nowej Kaledonii, gdy jest posucha, polewa obficie szkielety naczelników, albo też smali je nad ogniem, gdy chce zbytnią nawalnicę powstrzymać.

Wspomniane węże, przedstawione na tarczach Inkasów, nie są także pozbawione, z jednej strony związku z deszczem, z drugiej łączności z kultem przodków. Eweowie czczą boga, który pojawia się w postaci węża, ale wówczas tylko, gdy jest spragniony. Otrząsając się, sprowadza deszcz. Ma on swoje świątynie, pomalowane w pasy o barwach tęczy, a imię jego jest: »Wielki wąż podziemia«. W Dahome wierzą w niego także, a małe gatunki dusiciela uważają za jego posłanników, zaś perły (ponieważ znajdują się w wodzie) za boski kał. Zulus Ama mógłby wiele o nim powiedzieć. Wiara uczy, że nazywa się on »Umnijama«, a mieszka w jeziorze, z którego pije wodę. Wiąże się wiele baśni z jego osobą. Opowiadają, że on pożera ludzi, kąpiących się w jeziorze, a oszczędza tylko takich, którzy będą powołani na stanowisko kapłana, ganga, że takiego maże on znowu barwną gliną, obwija wężami i t. d.

Czytelnik domyśla się zapewne, że tym wężem jest tęcza, stądteż tak często przychodzi wąż jako symbol deszczu. Są to wyobrażenia, które dadzą się wskazać jako przeżytki wśród ras cywilizowanych. Tęcza uchodzi zazwyczaj za istotę, która wciąga w siebie wodę, a potem podnosi się w chmury i wylewa ją z siebie jako deszcz. Często bardzo spotyka się wierzenia, że ucina głowę kąpiącemu się człowiekowi lub porywa go z sobą. W Myślenickiem wierzy lud, że tęcza wypija wodę, zaś ludzi chwyta, unosi ich w chmury i przemienia tu w t. zw. płanetników, o których wspomnieliśmy już na innem miejscu. Litewski lud białoruski zabrania używać na nią przezwisk, gdyż wówczas przeklnie ona człowieka, który całe życie będzie cierpiał za to męki.

Postać tęczy, dająca przyrównać się w bujnej wyobraźni

do ciała wyciągniętego węża, sprawi łatwo, że człowiek pierwotny pomięsza z nią wyobrażenia jaszczurki, robaka duszy, co wszystko, jak wiadomo, uchodzi za wcielenie ducha zmarłego.

Wyobrażenia te, pociągną za sobą wyobrażenia naczyń, w których robak dusza pojawia się, a tak może stać się, że garnek, o którym mówiliśmy tak wiele w mitach »fanani«, zostanie wciągnięty do czarów deszczowych. Nie możemy upierać się przy tej hipotezie, ale faktem jest, że garnek bywa używany w wielu okolicach nader chętnie, jako przyrząd do sprowadzania deszczu.

Ryc. 73. Naczynia do czarów deszczowych w Assumao w Afryce wschod. (Rys. wedł. Schurtza dr. W. W.).

Takie naczynia istnieją na wielowyspie Sundajskim. Stoją one napełnione wodą, którą należy wprawić w ruch, celem sprowadzenia chmury. W Afryce spotyka się je częściej. Nazywają się »bumba«. Wrzuca się je w czasie posuchy w wodę, jak to czynią Negrowie Akra, lub zakopuje się w ziemię, napełnioną poprzednio zielem czarodziejskiem. Tego drugiego sposobu używa przeważnie plemię Makaraka. Czary deszczowe u plemienia Yaunde zdradzają wielką przymieszkę idei manistycznych. Tu, celem odegnania nawalnicy, ustawia ganga wysoki pal, na którego górnym końcu przywiązany jest garnek z czarami, zaś u dołu wisi zabita kura. To, co

powiedzieliśmy dotąd o roli tego ptaka w mitologii, objaśnia dokładnie związek powyższego zwyczaju z kultem przodków.

Lud nasz wiejski uprawia czary deszczowe z prawdziwem zamiłowaniem. Mnóstwo żyje tu praktyk, nad którymi trudno zastanawiać się bliżej na tem miejscu, chociaż wśród nich znajdują się niektóre ciekawsze głównie z tego względu, iż zdają się zdradzać pewną przymieszkę idei manistycznych. Tak n. p. powiadają w Krakowskiem, że, kto zabije węża na wigilię św. Wojciecha, zaś kij ten schowa, może nim rozpędzać chmury deszczowe, lub zatknąwszy go w rolę, grad odwracać, gdzieindziej wieszają za nogę kurę lub żabę, gdyż w nie przechodzi dusza czarownic i t. d.

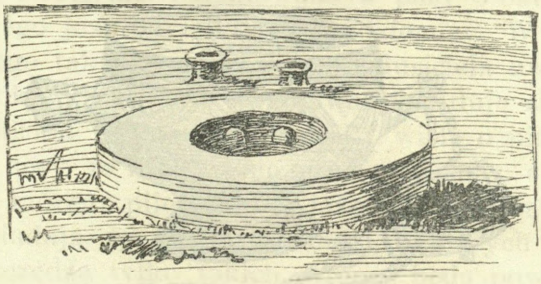

Ryc. 74. Przyrząd do robienia deszczu z Assukuma w Afryce wschod. (Rys. wedł. Schurtza dr. W. W.).

Wiele brakowałoby jeszcze, do pobieżnego chociażby przedstawienia najważniejszych działów mistyki w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, która, jako odżytek kulturny zmartwychwstała w dobie współczesnej w nowożytnym spirytyzmie, kupiącym około siebie już dziś sporą ilość zwolenników, szczególniej w Ameryce i Anglii. Duchy żywych i zmarłych, wymęczone przez barbarzyńską cywilizacyę do ostatecznych, możliwych granic, odżyły znowu w pamięci ostatnich wieków. Zaprzągnięto je odrazu do wszechstronnej, nużącej pracy. I dziś przebywają już one w towarzystwach żyjących, zasiadają do obrad, pukają w stolikach i piszą, zdradzają tajniki przyszłości, opowiadają teraźniejszość i leczą choroby. A tymczasem wierny poddany Syna Słońca, wię-

żący od niepamiętnych lat duchy przodków w pamiątkowych tablicach i zmuszający je do udzielania sobie na piśmie rad i wskazówek, rośnie jeszcze bardziej w swej zarozumiałości, a patrząc ponad gzemsy chińskiego muru na te, niby to nowe prądy cywilizacyjne, poczyna litować się nad biedną Europą, która dopiero teraz dochodzi do tego, co dla niego stało się już od wieków chlebem powszednim.

Mnóstwo już duchów wałęsało się na ziemi, pod nią i nad nią, zanim pierwotny filozof zwrócił uwagę swoją na ciała niebieskie, na te tajemnicze jakieś, nieuchwytne, niewyjaśnione w swoich pochodach i przemianach istoty dobroczynne i złośliwe, a w każdym razie potężne, mające wyróść niebawem do godności bóstw, które przyćmią wszystkie inne żyjące dotąd, swojem znaczeniem. Ale to boskie stanowisko nie dostało się wszystkim równocześnie w udziale, a jakkolwiek w jednych okolicach te, w innych tamte kupiły około siebie zabobonnych czcicieli, to jednak, jak to Schultze utrzymuje, można wyznaczyć pewną kolej, pewien mniej więcej stały porządek, pewne ramy, w które dałby się ująć ten pochód każdego z nich ku wyżynom nieśmiertelności.

Księżyc wodzi prym w tej mierze. Jemu pierwszemu udaje się ukorzyć u srebrnych swych stóp myśl ludzką, a wraz z nią całą żywotną i nieżywotną przyrodę, której losy dzierży w swej boskiej garści.

Wyda się to może dziwnem, że ten, stawiany przez nas zawsze na podrzędnem stanowisku nocny turysta, ten wystrojony elegant, przedstawiający się ziemi stale w pożyczanej liberyi, uprzedza wszystkie inne ciała niebieskie, nawet takie, których widoczna zasługa dla ludzkości nie powinna być traktowaną tak niesprawiedliwie. Ale natura pierwotnego człowieka, a pewnie także w znacznym stopniu stosunki klimatyczne danych miejscowości, usprawiedliwiają poniekąd ten krok pierwotnego społeczeństwa.

Dzikiemu nie imponują ani względy astronomiczne, ani żadne inne, z wyjątkiem, odnoszących się do jego własnej osoby. Może więc księżyc być sobie trabantem ziemi, za którą chodzi krok w krok, niby wygalonowany lokaj za cieniem swej pani, może być takim samodzielnym panem jak słońce, albo nawet wyższym jeszcze od niego, a on mimo to nie zajmie się nim dłużej, dopóki między tą nadziemską istotą a sobą samym nie dopatrzy się ściślejszej łączności. W tej chwili jednak zmienia się dawna jego pozycya, odzywa się w nim interesowna strona charakteru, wyrosła na tle popędu samozachowawczego i nie trwa długo, jak ten, obojętny dotąd widz, zmieni się w gorącego wyznawcę i czciciela.

Samuel Baker pisze o mieszkańcach środkowej Afryki, że ilekroć patrzyli na wschodzące słońce, dawali się unosić najżywszej obawie, gdyż uważali je za swego wroga, a Herodot czyni podobną wzmiankę o Allantach w Afryce, nienawidzących słońca i wysyłających pod jego adresem przekleństwa za to, że pali i niweczy wszystko swoim ogniem. W krajach podzwrotnikowych, gdzie nieznośne gorąco dochodzi swego zenitu, uwydatnia się ta pozorna wroga rola słońca, najlepiej. Przed skwarem promieni kryje się człowiek w gąszcze lasów, zwierz ucieka do nór, wysychają potoki i rzeki, obumiera roślinność, omdlewa i popada w letarg, chora i wyblakła. Czasami też zapalają się trawy i, niby rosnące morze ognia, niweczą wszystko dokoła, sprawiając istne piekło na ziemi.

Noc przedstawia zupełnie inny obraz. Orzeźwiające powietrze, chłodniejszy powiew wiatru, wyrywa człowieka z uśpienia i budzi go do życia. Rozpoczynają się zabawy, rozbrzmiewa muzyka, wybijana przerywanymi taktami i wzywa do tańca. »Cała Afryka bawi się w nocy«, pisze jeden ze starożytnych autorów, a także w innych okolicach, prażonych w dzień skwarem słonecznym, jest dopiero noc hasłem do życia.

A zresztą jasna tarcza księżyca, silnie odznaczająca się na tle, zasianego gwiazdami nieba, wysyłająca srebrne, ła-

godne światło i posuwająca się widocznie po cichej toni lazuru, może przykuć łatwiej uwagę pierwotnego człowieka, aniżeli słońce, zbyt jaskrawe, iżby można ku niemu popatrzeć i nie tak rzucające się w oczy. Co więcej! Wyobraźnia ludzka dopatrzy się jeszcze w tarczy księżyca podobieństwa do twarzy ludzkiej, ujrzy oczy, nos, a to wszystko działa silnie i podnieca fantazyę pierwotnego badacza. Do tego wszystkiego przyłączy się jeszcze, może zresztą mimowolna obserwacya, dziwnych, niezrozumiałych i niedostępnych dla pierwotnego umysłu przemian, jakim ta nadziemska istota ulega. To świeci pełną tarczą, to okazuje tylko wąski sierp, to znika zupełnie, aby znowu wrócić po pewnym czasie do dawnej świetności. Nieraz czerwony jak krew, to znowu blady, wędruje po niebie i zdaje się patrzeć na, leżącą u stóp swoich ziemię, jakgdyby rządził jej losami.

Do tej oryginalnej postaci, wyższej od człowieka, niedającej się podporządkować jego woli, rad odniesie pierwotny myśliciel losy swego życia, chętnie połączy z nią przyczynowo każde ważniejsze i mniej ważne zjawisko, które dojdzie do jego świadomości i zwróci jego uwagę. Taką drogą dostanie się księżyc w świat wierzeń dzikiego, baśnie i opowieści spopularyzują jeszcze tę postać, która stanie się odtąd przedmiotem gorącej czci.

Jest tedy księżyc osobą i to osobą zrazu płci męskiej. Eskimos podziwia go, jako punktualnego człowieka, który stale a bacznie ogląda ziemię, zaś Hottentoci zwracają się do niego i mówią: »O! wielki naczelniku! bądź nam życzliwy! Spraw, abyśmy mieli wiele miodu, spraw, aby bydło nasze znalazło wiele pokarmu i dawało wiele mleka«. Zagadnięci, co to za wielki »naczelnik«, odpowiedzą ci, że robił im zawsze wszystko dobre, przeto czczą go i nie boją się. Przeważna część pierwotnych mieszkańców Afryki stoi jeszcze do dziś dnia na stanowisku lunarnem, nie trzeba jednak sądzić, że cześć ta ogranicza się tylko na tę część świata, gdyż spotykamy ją w Ameryce równie dobrze, jak w Australii lub Azyi. »Kua! kua!« co znaczy prawdopodobnie witaj, wołają pewne plemiona środkowo-południowej

Afryki, zobaczywszy pierwsze blaski księżyca po nowiu; dziki mieszkaniec w Kongo podskakuje radośnie, klaszcze w ręce i modli się: »Obym odmłodził się, jak ty odmładzasz się«, a Murzyn Fetu, wyciąga ku niemu dłonię i wydaje z siebie okrzyki, na znak nadzwyczajnej radości. Największe święta u plemienia Waganda łączą się z czasem pełni. Król tego plemienia, Mteza, przywiązywał nadzwyczajną wagę do zmian księżyca. Obwieszony licznymi amuletami, obserwował kilka dni z rzędu losy tego trabanta, zaś co trzeci nów musiał cały dwór golić sobie głowę, z wyjątkiem grzebieniastego kosmka, który przepis nakazuje nosić na ciemieniu.

Amerykańscy Karybowie, zobaczywszy księżyc na nowiu, wybiegali z domów i wołali: »Patrzcie na księżyc!« zaś krajowcy brazylijscy witali tarczę miesiąca okrzykami »teh! teh!« podnosząc dzieci w górę, aby padły na nie srebrne promienie i uwolniły je od chorób. Jak podaje porucznik Steel, urządzają plemiona azyatyckie, ogromne »uroczystości nowiu«, około marca. Lud Khassia, w południowym Assam, w dorzeczu Bramapatry, pozdrawia nów tańcami, przy ochoczej, jakkolwiek nader prymitywnej muzyce. Wśród ronda, utworzonego z zgromadzonych uczestników zabawy, stają dziewczęta po dwie, zaś w koło obiegają młodzieńcy, wywijając wachlarzami z piór i podskakując do taktu krzykliwej, dzikiej muzyki.

Akta historyczne mogą powiedzieć niejedno o kulcie księżyca u starożytnych. Starzy Germanie czcili księżyc jako mężczyznę, otaczał go też czcią starożytny Japończyk, modlący się do Boga-Księżyca pod postacią lisa, zaś według brzmienia żydowskiego prawa, każdy Żyd, »oddający cześć słońcu, księżycowi lub innemu z ciał niebieskich«, winien był zostać ukamienowanym. Ciekawym zabytkiem w tym rodzaju, jest dedykacya w piśmie klinowem, przechowana na cegle z świątyni chaldejskiego miasta Ur, zwanego dziś Mughir. Dedykacya ta brzmi:

»Bogu-Księżycowi, najstarszemu synowi Mul-lila jego króla,
»Ur-Bagas, potężny książę, okrutny wojownik,

»Król Uru, król Sumiru i Akkadu
»E-Tem-ili, ten dom swej radości wystawił«.

Rozmaite fazy księżyca, różne niewyjaśnione zmiany, którym on podlega, nie pozostają bez wpływu na sposób myślenia ludów pierwotnych. Bardzo ciekawą jest w tym względzie wiara, że cała przyroda, jej siła, jej wzrost i ubytek, zależy w prostym stosunku od wzrostu i ubytku miesiąca. Nikt z Wabondyów nie zetnie drzewa na nowy dom w czasie ubytku księżyca, gdyż doświadczenie uczy, że materyał taki nie utrzyma się długo, ale spróchnieje łatwo lub zgnije. Źle jest także, gdy ktoś zapadnie w chorobę w czasie stanu księżyca, zbliżającego się ku nowiu. Bowiem jest to znakiem, że i zdrowia będzie mu ubywało, tak, jak jego ubywa. Wierzenia takie spotykają się po dziś dzień między ludem wiejskim. Jeżeli w Krakowskiem zaboli kogoś głowa, wówczas powinien wyjść w pole na nowiu, obrócić się do księżyca, kłaniać się mu i mówić:

»Witajze, witajze miesiącu nowy,
»Aby nas nie bolały brzuchy i głowy.
»Tobie cześć i korona
»A nam szczęście i fortuna«.

Podobnie też modlą się w Lubelskiem, a Żydzi czynią to samo, kłaniają się księżycowi i mówią: »Siulem lajchem, lajchem sjulem«. W związku z fazami księżyca, stoi przekonanie na Litwie, że chłopców należy odłączać na nowiu, zaś dziewczęta w czasie ostatniej kwadry, prawdopodobnie dlatego, by pierwszym nadać silną budowę i wzrost, drugie zaś, iżby wyglądały szczuplejsze i nie tak rosłe. Białorusin litewski »ostawia« czyli odłącza dziecko zazwyczaj w czasie, pomiędzy nowiem a pełnią księżyca, t. j. w porze, »kiej sie, jak lud mówi, wietek miesiącka obetrze«. W tych samych okolicach spotyka się wiarę, że rośliny i zwierzęta same czują w czasie przybytku miesiąca siłę i wzrost, przeciwnie, gdy zbliża się ku nowiu.

Jako zabytki czci księżyca, możnaby uważać takie wierzenia, jakie panują np. w Nowosądeckiem (Zabrzeź) lub

Wielickiem (Siepraw), gdzie »niewolno pokazywać na księżyc palcem, bo to grzech«, albo też te, które każą zdejmować nakrycie z głowy przed księżycem na nowiu i t. p.

Jak głęboką i wyraźną jest wiara, że księżyc jest istotą żywą, a zarazem, jak wiernie dostosowuje wyobraźnia ludzka stosunki własne do zjawisk przyrody, świadczą poglądy, panujące u różnych plemion pierwotnych o zaćmieniu.

I tak wierzą pewne plemiona amerykańskich Indyan, że sfora dzikich, żarłocznych psów pędzi po niebie za księżycem, chcąc go dognać i pożreć. To też, patrzący z ziemi, poczynają robić wszelkie możliwe wysiłki, aby tylko zapobiedz katastrofie. Jakoż próba nie udaje się zazwyczaj. Ten i ów dopędzi uciekającego, schwyci go i poszarpie, aż wreszcie krew, spływająca z ran, zaleje zupełnie i zagasi światło. Czego wogóle nie używają ludzie, aby obronić, zagrożone śmiercią bóstwo, przechodzi pojęcie. Krzyczą, wyją, grają, strzelają z łuków, rzucają kamieniami, leją wodę, trąbią, bębnią i t. p. Jednostajności myśli ludzkiej w tej mierze dowodzi fakt, że wyobrażenia podobne nie są wyjątkową własnością dzikich wędrownych plemion, ale spotykają się wśród ludów barbarzyńskich, a nawet społeczeństw cywilizowanych starożytnej i współczesnej epoki. Wiadomo, że Rzymianie robili hałas piekielny, w czasie zaćmień, uderzali w kotły lub rzucali płonące drwa ku niebu, a jak powiada Tylor, nauczyciele chrześciańscy »potępiali ten przesąd pogański i wymagali, aby ludzie nie robili już takiego hałasu i nie wołali »vince luna«, iżby dopomódz księżycowi w wielkiem niebezpieczeństwie«. Ten sam autor pisze: »O zwykłej w takich razach kociej muzyce, wspominają w Anglii jeszcze w XVII wieku: »Irlandczycy i Gallowie biegają w czasie zaćmienia, biją w kotły i patelnie, myśląc, że hałas i wrzawa pomogą ciałom niebieskim. Hindowie robią taką muzykę jeszcze zawsze, chcąc oswobodzić księżyc z paszczy dwóch złych duchów: Rahu i Ketu, a podróżnik, który znalazłby się wówczas w Chinach, usłyszałby bicie w dzwony, jak na alarm, dudnienie w bębny i kotły, mięszające się z głosami, umyślnie na ten cel przeznaczonych modlitw«.

Można domyśleć się, że te plemiona, które, będąc czcicielami księżyca, nauczyły się wiązać z jego stanem zjawiska, obserwowane na ziemi, przedstawią sobie śmierć inaczej, aniżeli te, które posunęły się już do kultu słońca. Tak mają się rzeczy istotnie.

Neger, patrząc na miesiąc na nowiu, pada na kolana i modli się: »Oby życie moje odnowiło się tak, jak on się odnawia«, zaś Namakwa, podniósłszy oczy ku świetlanej tarczy, wyciąga ręce przed siebie i szepce: »On umiera i ożywia się znowu, nas czeka to samo«.

Według tych wierzeń, nie jest śmierć kresem życia, ale tylko chwilową przerwą, dłuższym lub krótszym letargiem, jest czemś podobnem do snu, nawet snem. Zrobiwszy z ciał niebieskich istotę żywą, świadomą, szuka w nich dziki filozof odpowiedzi na tajemnicze, niewyjaśnione i głęboko dotykające go zagadki, jaką jest właśnie śmierć. Znajduje ich rozwiązanie w losach księżyca, podobnych do ludzkich kolei zupełnie. Ze stanu świetności, jaką jest pełnia, ubywa tarczy miesiąca coraz bardziej i bardziej, podobnie jak starzeje się i słabnie człowiek, niegdyś silny i młody. Nów jest ostatnim wyrazem tego procesu powolnego, ale widocznego zaniku, jakim jest śmierć dla człowieka. Ale oto po nowiu w jakiś czas, rozpoczyna się nowy wzrost i ten sam miesiąc, który, niby człowiek obumarł, powraca do dawnej świetności, staje w pełni. Tedy śmierć jest także tylko stanem utajonego życia, od którego rozpocznie się nowy pochód ku szczęśliwym dniom młodości. Pieśń Negra: »E a t u a f u a«, t. j. człowiek umiera, »E a t u a j i n g a«, t. j. człowiek ożywia się znowu, śpiewana długim, przeciągłym głosem, zdradza wyraźnie wiarę tego rodzaju.

Potwierdza ją mitologia. W niej to, jakkolwiek przeświadczenie smutnej rzeczywistości już przyszło, przebija się wiara, że był kiedyś czas, kiedy ludzie żyli wiecznie, nie umierali, odnawiając się co pewien czas, n. p. z każdym nowiem i powracając do dawnych sił młodzieńczych. Krajowcy Karolinów opowiadają, że w dawnych czasach nie znano śmierci, więc nikt nie trwożył się i nie smucił, że

przyjdzie pora, w której będzie musiał opuścić ziemię na zawsze. Śmiercią ówczesną był tylko krótki sen, który, rozpocząwszy się z ostatnim dniem ubywającego księżyca, kończył się, gdy ten począł ukazywać się znowu na widnokręgu. Ta chwila była wezwaniem do nowego życia, hasłem do zmartwychwstania. Fidżianin żałuje również, że nie urodził się dawniej, wówczas, kiedy ludzie nie musieli jeszcze umierać. Mity ich uczą, że był czas taki i że przełom w tych szczęśliwych warunkach nastąpił dopiero wskutek gwałtownej sprzeczki, która wybuchła między dwoma ich bogami Ra-Wulą i Ra-Kalawo. Pierwszy, t. j. księżyc, chciał, aby ludzie odnawiali się nieustannie, tak, jak on się odnawia, ale drugi, szczur, sprzeciwiał się jego woli, gdyż pragnął, aby śmierć nie była hasłem powrotu do życia. Niestety! zwyciężył ten drugi, a wraz z nim zwyciężyła i jego idea, za czem poszło, że ludzie stali się od tej pory śmiertelnymi i poczęli umierać. Wśród Hottentotów krąży taki mit:

Raz księżyc, wysyłając do człowieka owada, rzekł mu: »Idź na ziemię i powiedz ludziom: »Tak jak ja umieram i umierając żyję, mają i oni umierać i żyć umierając«. Posłuszny rozkazom poszedł owad, ale w drodze spotkał zająca. Rozpoczęła się krótka gawędka, z której dowiedział się zając, dokąd i z jaką misyą spieszy jego powietrzny towarzysz. »Nie umiesz dobrze biegać, rzekł mu po chwili wielkouch, pozwól, ja cię wyręczę«. I, rozpuściwszy skoki, pognał co żywo, a, dostawszy się do ludzi, rzekł im: »Wysłał mię księżyc i kazał wam powiedzieć, że, tak jak on umiera, a umierając ginie na zawsze, tak też i wy umierać musicie, a zmarłszy, przestać żyć na zawsze«. Ludzie zasmucili się tą wieścią, otrzymaną od boga, a wysłannik wrócił do księżyca, aby mu donieść o wyniku misyi. »Jak śmiałeś, zawołał rozgniewany bóg, mówić ludziom w mojem imieniu to, czego ja nie powiedziałem?« To rzekłszy, chwycił kawałek drzewa i uderzył nim zająca tak silnie w nos, że ten rozpadł się na dwoje. Rozpoczęła się bitka, z której i księżyc nie wyszedł bez szwanku, o czem świadczą naj-

wymowniej rany, widoczne zawsze jeszcze jako ciemne punkty na jego świetlanej powierzchni.

Tem też tłómaczą Nawakwa'owie wstręt do zająca, którego mięsa nie jadają, właśnie dlatego, że ten tchórzliwy długouch umyślnie przekręcił słowa księżyca, aby wieczną ludziom wyrządzić krzywdę.

To, co opowiadał mit Hottentotów, wyspiarzy Fidżi i inne, głosi w Dahome wiara w Mau. Mau jest, wedle zdania Ellisa, antropopatycznem bóstwem, najwyższem, które mieszka gdzieś nad niebem, a o ludzi dba niewiele, chyba w razach gwałtownej konieczności. Człowiek o takich bóstwach rzadko zazwyczaj pamięta. Czasem nie zna ich zupełnie, czasem zna je zaledwie tylko z nazwiska, ale dalekim jest najczęściej od tego, aby zwracać się z prośbami do tak niepopularnej istoty, pogrążającej się powolnie w zapomnienie. Jednak z Mau muszą liczyć się Dahomejczycy, gdyż on rozstrzyga o przyszłości człowieka, notując sobie jego dobre i złe uczynki na dwóch różnych końcach laski. Jeżeli człowiek umiera, a przechyli się »dobra strona« laski na dół, wówczas duch jego odchodzi do krainy szczęścia, do Kutomen, na wieczny, pogodny żywot. W wierze tej przebija się już zrozumienie konieczności śmierci, ale, ponieważ Mau jest bóstwem księżyca, przeto znaczy się tu równocześnie dawna wiara w związek czyli wpływ księżyca na losy życia ludzkiego. Te mity, wtórne, wprowadzają zatem nową ideę, na niekorzyść dawnej. Księżyc odmienia się, ożywia, odnawia, ale człowiek nie może pójść jego śladem, nie może ożywić się, śmierć kładzie stanowczy kres jego materyalnemu istnieniu na ziemi.

Do poznania tej bolesnej prawdy dochodzi jednak niewątpliwie dopiero czciciel, a w każdym razie obserwator słońca. Na wszystko trzeba czasu, więc i to nie następuje odrazu. Księżyc już dawno odszedł do czci boskiej, już dawno wysłuchuje, pokornie wysyłanych próśb, odbiera ofiary, darzy swoich wyznawców powodzeniem lub zsyła nieszczęścia, kiedy słońce poczyna dopiero budzić interes dzikiego, poczyna pojawiać się zwolna na publicznej widowni. Prze-

cież wyobrażenia, panujące zrazu o jego istocie, ubliżają w najwyższym stopniu godności przyszłego bóstwa, gdyż nie wynoszą go nad pierwszą lepszą rzecz ziemską. Wspomniane hottentockie plemię Namakwa, stojące, jak wiemy, na stanowisku lunarnem, opowiada, że słońce jest to kawałek jasnej słoniny, którą zręczny żeglarz potrafi za pomocą czarów ściągnąć na ziemię, odkroić sobie dowolną porcyę, poczem, silnem kopnięciem wyrzucić resztę napowrót ku niebu. Niektóre półn.-zachodnie amerykańskie ludy utrzymują znowu, że słoneczna tarcza jest to po prostu jasna płyta mosiężna, którą jakiś człowiek to chowa w dziuple drzewa, to wydobywa ją z ukrycia i stosownie do tej czynności powstaje noc, lub budzi się dzień, zaś Nawajowie widzą w słońcu latarnię, którą stara kobieta ustawia każdego poranka na niebieskim sklepie.

Lecz przychodzi czas ocknienia i człowiek pierwotny, szczególniej rolnik, przychodzi do przeświadczenia swej nieświadomości i niewdzięczności, jaką okazywał dla dziennego wędrowca, tak życzliwego dla ziemi. Wyrazem tego uświadomienia jest podniesienie słońca z poziomu wartości martwej, nieżywotnej rzeczy, do godności kobiety. Dosyć to spory krok, ale znów nie tak wielki, jak mógłby sądzić ktoś, nie znający pierwotnych stosunków. Znaczenie kobiety równa się często znaczeniu lada sprzętu domowego, czasem stanowisku niewolnika i t. p., a jak wogóle różne są w tej mierze stopnie i odcienia tego rodzaju pojęć u różnych plemion, tak różną będzie wartość słońca, związanego ściśle z kwestyą kobiecą.

Widząc takie dwie, samotnie po niebie krążące postaci, męską i żeńską, nie może powstrzymać się pierwotny filozof, aby ich nie pożenić, a, że jest dość wszechmocnym, aby módz w tym wypadku służyć skutecznie za swata, przeto maluczko, a słońce i księżyc przedstawią się jako para małżeńska, w której pierwsze odgrywa rolę podrzędną, jako żona, zaś drugi naczelną, jako mąż, z głosem decydującym.

Tak wyobraża sobie lud Kassia, tak pojmują Ahtowie na wyspie Vancouvera, tak sądzą krajowcy Andamanów.

Ci ostatni przedstawiają sobie nawet, iż słońce maluje sobie twarz białą gliną, i stąd też pochodzi jego barwa.

Ważne to są poglądy! Bowiem dopiero teraz poznaje dziki filozof, jak prostem jest rozwiązanie wielkich zagadnień astronomicznych, które do tej pory stanowiły dla jego umysłu niezgłębioną tajemnicę, a nawet nieraz przejmowały go nieopisaną obawą! Nów, zaćmienie księżyca, ubytek i przyrost świetlanej tarczy stały się odtąd obrazem wypadków ludzkich, przeniesionym w sfery nadziemskie.

Księżyc jest żonaty, i, chociaż bóg, nie pogardza rozkosznymi uściskami swej małżonki, do której udaje się czasem w odwiedziny. A że wstydliwość, iście boska, nie pozwala mu czynić tego zbyt otwarcie, przeto ukrywa się przed okiem ciekawych gapiów ziemskich i wtedy jest nów.

Inne mity zarzucają mu wielożeńcze popędy, którymi uniesiony pan nieba zapomina się do tego stopnia, że, sprzeniewierzywszy się małżonce, uprowadza potajemnie dziewiczą Jutrzenkę, w której kocha się na zabój. Krajowcy Australii nie dziwiliby się z pewnością takiemu stanowi rzeczy. Księżyc czczą oni jako stwórcę wszechświata i dobrodzieja ludzkości, ale o słońcu mówią, że jest to niegodziwa małżonka, która zabija co nowiu swego dobrego męża. Zaćmienia księżyca tłómaczono sobie niekiedy także jako wynik większych nieporozumień małżeńskich, prowadzących do gwałtownych bitek, przyczem małżonek otrzymuje tęgie cięgi, a nawet rany. Odżybuanie byli tak niedyskretni, że mięszali się wówczas do spraw małżeńskich nawet bogów swoich i podnosili wielki, gwałtowny krzyk i wszczynali dzikie wycia, aby nie dopuszczać do rozlewu krwi; podobnie czynią krajowcy w Kumana i gdzieindziej.

Czasami księżyc występuje jako brat słońca, a wówczas zdradza on często kazirodcze zamiary, ku zgorszeniu swoich wyznawców. Mimo to wzbudza nieraz litość, głębokie współczucie w ich sercach. Grenlandczycy żałują swego Anninga, t. j. księżyc, i chętnie dopomogliby mu w nieszczęściu, gdyby leżało to w ich mocy. Oto powiadają oni, że zakochał się on w swej siostrze Malina, czyli słońcu. Bojąc się kazirodz-

twa, ucieka biedaczka i chowa się przed swoim bratem, a on szuka jej po całych nocach, nużąc się i pocąc i chudnąc z bezowocnych wysiłków i tęsknoty.

Z biegiem lat, w miarę, jak pierwotny badacz zbiera coraz więcej doświadczeń, że nie księżyc, ale słońce odgrywa ważniejszą rolę w gospodarstwie przyrody, poczynają przenosić się dawne uczucia wyznawców księżyca ku jego małżonce, aż, gdy przyjdzie czas, że potęga tej ostatniej przyćmi zupełnie wartość swego niebieskiego rywala, spadnie tenże na najniższy stopień swego boskiego piedestału, na którym zasiądzie wielki bóg Słońce.

I oto role zamieniły się już na przeciwne. Ten, który niedawno rozkazywał całej rzeszy wiernych czcicieli, zeszedł do roli żony, zmuszonej milczeć i słuchać, kobiety, z którą nie liczy się nawet najnędzniejszy Buszman, uciekający przed płochliwym zającem. Podczas gdy mitologia Bagobów uczy, że słońce jest mężem księżyca, zaś gwiazdy to ich dzieci, uważa wiele plemion Oceanii znowu ziemię za płód tego świetlanego małżeńskiego związku, ale gwiazdy nie wiążą się z nimi żadnym stosunkiem krewieństwa, gdyż zostały stworzone przez dziadów dzisiejszych Polinezyjczyków. Jak niegdyś jako mężczyzna, tak teraz w roli kobiecej nie zmienił księżyc swej natury. Zatopiony w rozkoszach miłosnych, blednie i chudnie do niepoznania i kryje się ze wstydu co pewien czas, aby przy tej sposobności posilić się jadłem i napojem. Podpatrzyli to podobno krajowcy z nad zatoki Encounuter i niedyskretni, rozgłaszają przed całym światem podstępnie zdobytą tajemnicę. U wielu innych plemion pierwotnych żyje taka sama wiara, chociaż tu i ówdzie uchodzą obadwa ciała niebieskie to za mężczyzn (Kumanchowie w półn. Ameryce, starzy Babilończycy), to za kobiety (Mintirowie na półwyspie Malajskim), co Schultze uważa za stadya przejściowe, pomiędzy, przedstawionymi powyżej, stopniami kultu.

Tak więc wydobywa się na pierwszy plan i nieraz wybija ponad wszystko, kosztem znaczenia księżyca, słońce Zdaje się zresztą, że zupełnie słusznie. Jako takiemu, które

zsyła na ziemię życie i utrzymuje je swojem ciepłem, należała się już dawno cześć boska, a chociaż spóźniła się nieco, to była tem silniejszą, tem stalszą, wywierając dodatni wpływ na rozwój etycznej strony ludzkich społeczeństw. Słońce czczono jako najwyższe bóstwo, jako stwórcę wszechświata, jako dawcę wszelkiego życia, czczono go jako miernika czasu i prawodawcę, jako stróża sprawiedliwości i obyczajności przez długi czas, aby potem przenieść te własności na bóstwo oderwane.

Ryc. 75. Modlący się mahometanin. (Rys. wedł. Schurtza dr. W. W.).

Cześć słońca, właściwa dopiero ludom, stojącym na wyższych nieco stopniach kultury, da się wykazać na całej kuli ziemskiej. Tu i ówdzie tkwi ona jeszcze w powijakach, gdzieindziej osiągnęła szczyt swego rozwoju, albo przeżyła się już, przebrzmiała, pozostawiwszy po sobie ślady swego pochodu.

Dinale azyatyccy lub Bodowie wprawdzie czczą słońce, ale mają wyższe bóstwa ponad nie, natomiast u Chondów, Tunguzów, Ostjaków i wielu plemion tatarskich, cieszy się ono znaczeniem najwyższej istoty, której składa się często ofiary z pokarmów i maluje wizerunki na bębnach szamańskich. W kulcie »Szinto«, tej najdawniejszej religii japoń-

skiej, przechowała się cześć słońca do dziś dnia, a w Ise, środowisku tegoż kultu, przechowują duże zwierciadło metalowe, jako godło słońca, zaś każdy z wyznawców ustawia podobne zwierciadła na swoim ołtarzu domowym, podobnie jak my obrazy świętych lub figurki.

Mając odprawić modlitwę, zdejmuje mahometanin obuwie i zwraca się twarzą ku wschodowi, a bramina można zobaczyć przecież zawsze jeszcze, jak, chociażby najbardziej obdarty, ale z pętlą, przewieszoną na szyi, jako oznaką swej godności i wyciągniętymi przed sobą rękoma, zwraca, napiętnowaną wyrazem dumy rodowej, twarz ku słońcu, oddając mu cześć każdego poranku.

Nawet te plemiona, do których dotarła stopa chrześciańskiego misyonarza, przypominają sobie swoje dawne wierzenia, a, jakkolwiek wyparły się wiary przodków i przyrzekły nie oddawać czci słońcu, to przecież niełatwo da się wykorzenić to, co do dna duszy przylgnęło.

Więc niektórzy z nich nazywają słońce stróżem swoich trzód i proszą je, by strzegło ich dobytku i pozwalało mu chować się szczęśliwie, a Tylor przytacza modlitwę pewnej Samojedki, która, zwracając się raniutko ku słońcu, mawiała: »Kiedy ty boże wstajesz, wtedy i ja podnoszę się z pościeli«, zaś kładąc się wieczór, modliła się: »Kiedy ty boże zachodzisz, wtedy i ja również idę spocząć«.

I w Afryce już kwitnie kult słońca w wielu okolicach. Sudańczycy, wyspiarze Tenerify Guanachowie, Dahomejczycy, Madagassi, wszystko to kłania się świetlanemu bóstwu i czci je, chociaż cześć ta u niektórych, daleką jest jeszcze od właściwej czci boskiej. Ostatni z wspomnianych patrzą z podziwem na słońce, a chociaż przyznają się wyraźnie do wiary, że ono jest źródłem wszelkiego życia, nie zwracają ku niemu, jak się zdaje, żadnych modłów. Mimoto utrzymują godło jego, a jest niem zwierciadło, które trzymają choremu przed oczyma, aby wyzdrowiał. U Eweów wizerunkiem słońca jest garnek z czerwonej gliny, pomalowany na biało, z nakrywką, wyobrażającą na swej powierzchni postać kameleona, który, wedle wierzeń ludowych, jest wy-

słannikiem słońca. Niewątpliwie wypada tu szukać związku z zwyczajami »fanani«.

Jest pewną rzeczą, że teologia Egipcyan przesiąknięta była zasadami czci słońca; Ra jest słońcem, pierwiastki solarne noszą też na sobie inne bóstwa jak Horus lub ojciec jego Osiris, sędzia umarłych w zachodniej krainie dusz, Amenti, wskutek czego też stapia się tu kult przodków z kultem słońca. Shamas, odpowiadający turańskiemu Ud albo San, był również bogiem słonecznym, jak zresztą wynika z nadawanej mu nazwy »Pan-Słońce«.

U plemion amerykańskich zyskał kult słońca powszechne uznanie. Można powiedzieć, że z wyjątkiem Eskimosów i północnych plemion Atapaska, byli wszyscy Amerykanie czcicielami słońca. Jemu ofiarowywano pierwociny zboża, jemu poświęcano zdobycz myśliwską lub wojenną, składaną w jurcie naczelnika, do niego zasyłano modły o pomoc i radę w ważnych momentach życia, modlono się, gdy wschodziło na niebo, w jego obliczu składano uroczyste przysięgi, jemu ofiarowywano najpierwszy dym z fajki i zabijano zwierzęta na ofiarę. Od Południowego cyplu Floridy, na zachód ku Arkansas, na północ do Wirginii wznosiły się wielkie, gliniane schroniska, świątynie Słońca.

Niektóre plemiona przynosiły temu bóstwu w ofierze życie ludzkie. Prawie zupełnie już wygasłe dziś plemię Czibcza lub Muskjan, wybierało w tym celu najmłodszego mężczyznę, szczególnie z pośród wziętych do niewoli. Zabijano go, a krwią jego skrapiano wierzchołek wzgórza, na które rzucało, wschodzące słońce, pierwsze promienie. W królestwie słonecznej dynastyi Inkasów, w Peru, stał kult słońca niemal u szczytu swego rozwoju. Na jego cześć obchodzono ogromną uroczystość słoneczną, zwaną »Raymi«, jemu stawiano wspaniałe świątynie, dla niego pasły się stada lam na górach, jemu na chwałę zieleniło się poświęcone mu zboże...

Jeden z mitów peruwiańskich opowiada, że, kiedy słońce, zsyłało dzieci swoje (ród królewski Inkasów) na ziemię, tak do nich rzekło: »Moje dzieci! Jeżeli kiedyś przyjdzie czas,

że nawrócicie ku mnie ludy, starajcież się utrzymać je przez prawa, rozsądek, pobożność, wyrozumiałość i sprawiedliwość, gotowi dla nich zawsze podjąć się i uczynić to wszystko, co czyni dobry ojciec dla swoich, nad wszystko ukochanych dzieci. Do tej pracy weźmiecie sobie wzór ze mnie, gdyż wiecie, że mojem ustawicznem dążeniem jest, dobrze czynić wszelkiemu stworzeniu. Ja jestem tym, który oświeca je swojem światłem, aby mogli widzieć i iść za swoimi sprawami; ja jestem tym, który je ogrzewa, gdy marzną, tym, który ich rolę i łąki użyźnia, każe drzewom rodzić owoce, pomnaża ich trzody, zsyła im deszcz lub pogodę, jak uważam za korzystne. I nie wzdragam się przed ciężką pracą i rad nie rad przechodzę codziennie dokoła świata, ażebym przekonał się, czego ziemi potrzeba i dał jej to, na pociechę jej mieszkańców. Dlatego też pragnę, ażebyście czynili za moim przykładem, jako ukochana moja dziatwa, którą posyłam na ziemię dla dobra i pouczenia tych biednych, jak zwierzęta żyjących, ludzi. Dlatego także udzielam wam łagodności królewskiej i pragnę, aby państwo wasze rozrosło się i ogarnęło wszystkie ludy, które prowadzić będziecie sprawiedliwością i dobrymi czynami, jednak przedewszystkiem własnym przykładem i łagodnością rządów«.

Jeszcze głębiej przenikła cześć słońca wierzenia Naczeów. Panowała i tu, podobnie jak w Peru Inkasi, słoneczna rodzina. Na czele rządu stał wielki kapłan i wódz Słońce i dzielił rządy i godność z siostrą swoją lub inną jakąś bliższą krewną, której, jedynej z kobiet, dozwolony był wstęp do świątyni Słońca. Ta ostatnia, był to okrągły budynek, w którego wnętrzu utrzymywano nieustanny, święty ogień, tudzież składano i przechowywano wizerunki zmarłych wodzów, amulety naturalne i sztuczne.

Kiedy wschodziło słońce na niebo, ziemski jego rywal stawał w progu świątyni, zwracał się ku wschodowi, wydawał okrzyki, padał na ziemię twarzą, a potem podnosił się, a, zapalając świętą fajkę, wysyłał pierwszy kłąb dymu na wschód, zaś inne na resztę stron świata. Podobnie też witano słońce w Florydzie, a w świątyniach Meksyku, kapłan

składał ofiarę, poczem modlono się: »Panie nasz! Spełnij zadanie swoje dla nas z pożytkiem«. Liczne mity, modlitwy i ofiary, składane słońcu przez mieszkańców Oceanii, wskazują, że i tu dotarł kult słońca i zyskał licznych wyznawców.

Maorowie witali wschodzące słońce, modlili się do niego i zawierali w jego obliczu związki małżeńskie, zaś krajowcy na Tahiti, nietylko zasyłali modlitwy, zwróceni do wschodzącej lub zapadającej w morze tarczy słonecznej, ale składali jej od czasu do czasu ofiary z ludzi. Oddawano też cześć słońcu na Anaiteum, najbardziej na południe wysuniętej wyspie z grupy Nowych Hebrydów, a badacze Chalmers i Gill, byli świadkami uroczystego tańca, wykonanego ku czci, wschodzącego słońca, w Kerepunu, w południowowschodniej części Nowej Gwinei.

Wiele przemawia za tem, że Lapończycy byli niegdyś czcicielami słońca. Jemu to ofiarowywano białe zwierzęta, a raz w rok jedzono na jego cześć t. zw. »słoneczną zupę«. Na bębnach czarodziejskich, na środku rozpiętej skóry, rysują zawsze jeszcze wizerunek słońca, raz w postaci koła, to znowu w formie kwadratu, z którego kątów wychodzą długie linie, mające wyobrażać promienie.

W wielu okolicach Niemiec utrzymał się zwyczaj zdejmowania kapelusza przed wschodzącem słońcem. Starzy Germanie czynili tak samo. Słońce, jako »matkę dnia« witano rano i żegnano wieczorem niskim ukłonem i uważano je za władcę ziemi, udzielającego wszystkim wolnym gruntów. Stąd też ziemie takie nosiły nazwę: »lenna słoneczne«. U Cezara znajdujemy tyle o religii Germanów: »Deorum numero eos solos ducunt, quos cernunt et quorum aperte opibus juvantur. Solem et Vulcanum et Lunam, reliquos, ne fama quidem acceperunt«. (Za bogów uważają oni tylko te istoty, które widzą i których jawnej pomocy doznają: Słońce, Wulkan i Księżyc, o reszcie nie wiedzą, chociażby nawet ze słyszenia).

Podobnych, gasnących już przeżytków czci słońca, nie brak i wśród naszego wiejskiego ludu.

W Piotrkowskiem powiadają, że jeżeli dziecko marudzi, t. j. nie chce spać, ale płacze, co lud nazywa »morzeniem«, należy wziąć je na rękę, wyjść z niem na dwór o zachodzie słońca i powiedzieć:

»Zorze, zorzyczki!
»Odejmijcie od niego płakanie, wzdychanie,
»A dajcie mu dobre wyspanie«.

W Wielickiem przestrzegają: »Nie należy pokazywać na słońce palcem, bo to grzech«, a lud białoruski, mając nadmienić coś nieprzyzwoitego, dodaje: »Szanújuczy jásnaho sonca na niebi, pana (haspadará) i Buoha mílaho« i t. d.

Obserwacya dziennego pochodu słońca, dostarczyła bujnej wyobraźni pierwotnych filozofów wątku do licznych mitów słonecznych, rozsianych po całej kuli ziemskiej. Mity te przedstawiają w symboliczny sposób losy wędrówki słońca, zaś chwilę, kiedy ono zachodzi i wreszcie znika z widnokręgu, niby pochłonięte przez ciemność, która poczyna zalewać ziemię, dramatyzują w najwymyślniejszy sposób, podsuwając jej tło czysto ludzkie. Ponieważ słońce nie odnawia się, podobnie jak księżyc, ale, przebywszy zwykłą swoją drogę, umiera na zachodzie, przeto i człowiek, który niegdyś, łudząc się wrzekomym wpływem zmian tarczy miesiąca, myślał, że żyć będzie wiecznie, daje obecnie za wygraną i z rezygnacyą przyznaje, że śmierć nie jest chwilowym snem, z którego możliwe jest zmartwychwstanie, ale stanowczym kresem życia na ziemi. Myśl ta przebija się w mitach dość często.

Nowozelandzki mit, przedstawiający losy Maui'ego, opowiada, jak raz, dostał się ten słoneczny bohater do mieszkania swej potężnej prababki, Hine-nui-te-po, czyli Wielkiej Córy Nocy, ukazującej się tam, gdzie widnokrąg styka się z niebem. Chciał dowiedzieć się, czy ludzie będą żyli wiecznie, czy też muszą umierać. Gdy opuszczał krainę ojca swego, przyleciały do niego ptaki i ofiarowały mu swoje towarzystwo i pomoc w czasie niebezpiecznej wyprawy. Wprawdzie przyjął Maui ich chwalebną propozycyę, atoli

wybierając się, nakazywał im, aby zachowywały się cicho, gdyż w przeciwnym razie mogłyby obudzić potężną prababkę Hine-nui-te-po, Wielką Córę Nocy, pogrążoną w głębokim śnie i sprowadzić nieszczęście na niego i cały ród ludzki.

Jakoż ostrzeżenie niewiele na co zdało się. Zrazu bowiem zachowywały się ptaki cicho, ale gdy Maui wszedł do mieszkania swej potężnej prababki Hine-nui-te-po, Wielkiej Córy Nocy, rozśmiał się mały »tiwakaka« na całe gardło. Wówczas obudziła się potężna Hine-nui-te-po, a zobaczywszy Mauiego, porwała go i ścisnęła tak silnie, że w tym uścisku wydał z siebie ducha. Umarł więc Maui, a z nim musi umierać człowiek, który w przeciwnym razie byłby żył wiecznie.

Odtąd wiąże się kwestya śmierci z imieniem Mauiego. Szczęśliwy sam, że zstąpiwszy pod ziemię, może wykąpać się w wodzie życia Wai-Ora-Tane i wrócić napowrót na ziemię, nie potrafi doprowadzić tam ludzi. Niemasz więc zmartwychwstania na ziemi dla tego, komu wypadło raz umrzeć! Natomiast dusza jego idzie do krainy umarłych za Mauim, prowadzona na słonecznej pętli, o której pisaliśmy obszerniej na innem miejscu. Ponieważ słońce zapada codzień w krainę śmierci, przeto wyobraźnia ludzka wyznacza mu najchętniej godność władcy kraju cieni, sędziego umarłych. Takim był n. p. wspomniany powyżej egipski Osiris, który umiera w walce z ciemnością, a potem schodzi na zachód i staje się bogiem umarłych w Amenti, takim, znany w tybetańskiem: gSin-rje, w mongolskiem Arlik, indyjski Jama, o którym tak pisze Müller: »Słońce pojmowane jako zachodzące lub umierające co wieczór, jest pierwszym podróżnym, który odbył drogę życia ze wschodu ku zachodowi, jest pierwszą istotą, która okazała nam, kędy udać się mamy, gdy podróż nasza skończy się, gdy słońce nasze zapadnie na zachodzie. Tam to z Jamą podążali ojcowie nasi, tam siedzą z nim, doznając uciech; tam i nam droga wypadnie, gdy wysłannicy jego nas znajdą. Jama przebył ponoś bystre wody, aby wskazać drogę innym, gdyż on jeden tylko znał ścieżkę, którą szli nasi przodkowie«.

Tak został Jama bogiem umarłych w indyjskiej teologii. Do typowych słonecznych mitów afrykańskich, należy drugi mit Szango, który miał za żony, jak to wspomnieliśmy powyżej, trzy boginie wodne: Oyę, Oszun i Obbę. Otrzy-

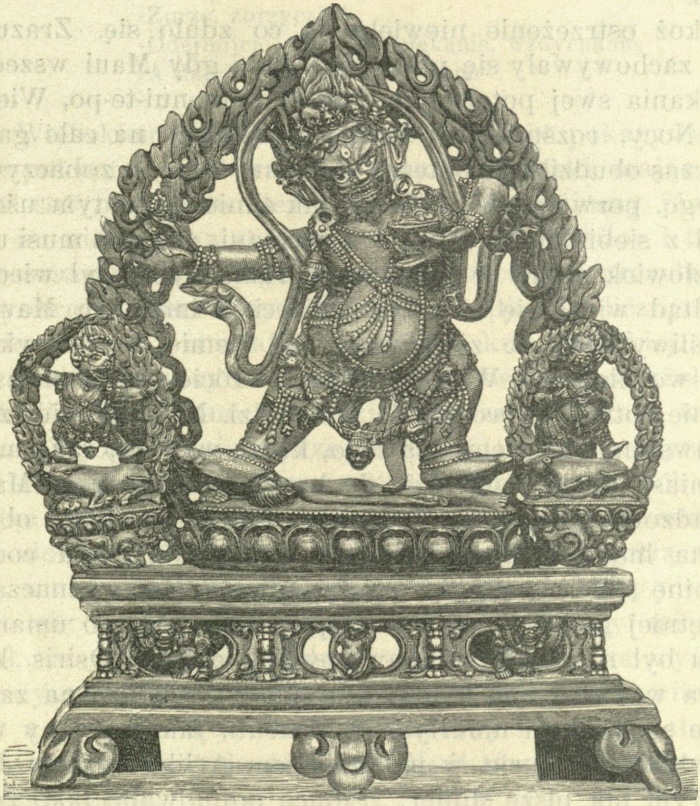

Ryc. 76. Jama, indyjski bóg umarłych z pętlą do łapania dusz. (Grünwedel).

mawszy od ojca swego Orungana czyli Południa czarodziejski środek, za pomocą którego mógłby pokonać wszelkie trudności, zażył Szango pewną część tegoż, zaś resztę oddał do przechowania żonie swej Oyi. Tymczasem ta ostatnia, pragnąc uodpornić się przeciwko wszelkim nieprzyjaznym siłom, poszła za przykładem męża, bo, korzystając z jego nieuwagi, spożyła cudowny lek, zamiast go schować.

Skoro zgromadzili się nazajutrz naczelnicy, zwyczajem swoim na naradę, wystąpił Szango i jako król głos zabrał. Ale obecni spostrzegli z przestrachem, że z ust jego buchają płomienie, a to samo zjawisko powtórzyło się na Oyi. Przerażeni, rozbiegli się, opuściwszy pałac. Była to chwila, w której Szango uczuł swą boską wielkość. To też, powoławszy swoje wszystkie żony, chwycił w usta żelazny łańcuch, a tupnąwszy w ziemię tak silnie, iż rozstąpiła się pod nim, zstąpił wraz z orszakiem żon do podziemnej otchłani. Znalazłszy się tu, rozpoczął gwałtowną kłótnię małżeńską. Oto złajał surowo Oyę za to, że spożyła jego czarodziejski napój, gdy zaś zbytnią uniósł się złością, uciekła od niego przestraszona małżonka i skryła się u swego brata, boga wód, Olokuna. Rozgniewany tem jeszcze bardziej Szango, wybrał się za nią, a wyszedłszy z rannem słońcem na niebo, przewędrował je wszerz, tak, że wieczór stanął na miejscu, gdzie sklep niebieski styka się z ziemią. Tędy wszedł Szango do pałacu Olokuna. Ale i tu nie udało się mu schwycić Oyi. Bowiem przemyślny Olokun zagorzalca przytrzymał, zaś Oya uciekła tymczasem z siostrą swą Olossą i daleką ubiegła już drogę, zanim Szango puścił się w dalszą pogoń. Trzymając się kierunku brzegów dobiegła Oya do miejsca, gdzie zachodzi słońce, a wpadłszy przerażona do, stojącego po drodze domu, w którym mieszkał jakiś człowiek, poczęła prosić go o pomoc. »Ależ ja jestem tylko potomkiem ludzi, tłómaczył się Hiusi, jakżeż więc mógłbym mierzyć się z Szango?« Wówczas Oya dała mu, ukradziony mężowi lek czarodziejski, przy pomocy którego stał się Hiusi oriszą i przyrzekł wziąć ją w opiekę. Na to nadbiegł Szango. Widząc to Hiusi, poskoczył czemprędzej ku lagunie, a wyrwawszy olbrzymie drzewo z korzeniem, cisnął je na przeciwnika. Nie mając innej broni pod ręką, chwycił Szango łódź Hiusi'ego, a gdy obie bronie rozpadły się przy starciu na drzazgi, rzucili się zapaśnicy sami ku sobie. Była to walka pełna dzikiej grozy. Z ust walczących buchały płomienie, zaś wszędzie, gdzie stąpili, rzucając się w zapasach, tam powstawały w ziemi głębokie rozpadliny, bezbrzeżne

przepaście. Długo toczyła się walka nierozstrzygnięta, aż wreszcie Szango widząc, że już opuszczają go siły, tupnął nogą w ziemię z taką siłą, że otworzyła się otchłań, wciągając obydwu zapaśników za sobą. Wśród tego uciekła Oya do Lokoso, w pobliżu Porto Nowo w południ. Dahome, gdzie już pozostała, a lud wystawił tu na jej cześć świątynię, zaś na cześć Hiusi'ego, który, dzięki środkowi czarodziejskiemu stał się bóstwem, wzniesiono drugą w miejscu, na którem odbyła się walka.

Z mitu poznać można, że Szango jest typowem bóstwem słonecznem. Jest synem Południa, wnukiem Nieba, zaś jego małżonka Oya, jest to rzeka Niger, a także dwie inne, t. j. Oszun i Obba, są rzekami o tych samych nazwach. Buchające z ust Szangi płomienie, jest to wschodzące słońce, podczas gdy ogień, wydobywający się z ust i oczu Oyi, przedstawia niewątpliwie odbicie światła tarczy słonecznej w czasie wschodu w Nigrze. Uderzenie nogami w ziemię, która rozstępuje się, należy uważać jako obraz zachodu słońca. W ucieczce Oyi i pogoni małżonka nietrudno odczytać losy wędrówki słonecznej. Oya chroni się do brata swego Olokuna, boga wód, czyli innemi słowy, Niger zdąża ku ujściu, za nią zaś wpada zapamiętały małżonek, słońce; Oya ucieka do swojej siostry Olossa, czyli Niger płynie ku lagunom i biegnie tu wzdłuż brzegu aż do miejsca, gdzie zachodzi słońce. Ostatnia część mitu maluje zachód słońca, walkę tegoż z ciemnością i noc.

Wspomniane powyżej bóstwo Hottentotów, Heitsi Eibib, nosi na sobie także wybitne cechy słoneczne. Główną jego zasługą było uwolnienie swoich ziomków od potwora Ga Goriba, który siedząc przed ogromną pieczarą, zatrzymywał każdego z przechodniów, zmuszając go, aby podejmował z ziemi kamienie i rzucał je ku jego głowie. Jednak zawsze działo się, że kamień taki odbijał się od głowy Ga Goriba i kładł trupem na miejscu tego, który go rzucił. Mnóstwo w ten sposób pomarło ludzi i byłoby umarło więcej jeszcze, gdyby nie Heitsi Eibib. On to, dowiedziawszy się o całej sprawie, poszedł umyślnie przed pieczarę Ga Goriba, a, po-

słuszny jego stereotypowemu wezwaniu, ujął kamień, aby go cisnąć. Zamądry jednak, iżby miał uledz losowi swoich poprzedników, zwrócił uwagę Ga Goriba na jakiś, na uboczu leżący przedmiot, a, korzystając z chwilowej jego niebaczności, ugodził go poza ucho, tak, że ten runął nieżywy całem cielskiem w swoją własną jaskinię. Od tej pory zapanował spokój wśród ludzi. Przypominamy na tem miejscu podobne mity, jak n. p. o Sygfrydzie, Edypie, lub znany mit o Kraku i smoku pod Wawelem.

Wiele z tych i tym podobnych mitów, zdradza wyraźne pierwiastki manistyczne, a jednak równocześnie okazuje się, że są to mity o typowo słonecznym charakterze. Podania o Szango, Heitsi Eibibie i t. p. przedstawiają ich zupełnie jako takich, którzy niegdyś byli ludźmi, mimo to trudno nie przyznać, że losy ich, są żywem uosobieniem losów słońca.

Kto wie, czy takie pomieszanie idei manistycznych i słonecznych, nie należałoby może uważać jako następstwo, praktykowanego zarówno przez starożytnych, jak też przez plemiona współczesnej doby, zwyczaju, przeznaczania tarczy księżyca, a szczególniej słońca, za mieszkanie dusz zmarłych.

Plemiona Meksyku i krajowcy Peruwii, plemię Apalaczów z Florydy lub Naczeów z nad Missisipi i i. żywiły właśnie i żywią jeszcze zapewne do dziś dnia takie wyobrażenia. Dusze wielkich ludzi, dzielnych wodzów i naczelników wiodą na słońcu jasny, promienny żywot.

W takich warunkach nietrudno wprawdzie o stworzenie mieszaniny pojęć, ale mogą być jeszcze inne, nastręczające nie mniej sposobności w tej mierze.

Znaną jest rzeczą, że jedne plemiona pożyczają sobie bogów od drugich, przyjmują je wraz z imieniem, własnościami ich, przymiotami a nawet obrzędami. Wówczas, jak twierdzi Frobenius, może łatwo zdarzyć się, że imię takiego, od sąsiadów zapożyczonego boga, zostaje zmienione na inne o podobnem brzmieniu i włączone do słownictwa danego ludu. Nowa ta nazwa, nieodpowiednia, co do znaczenia swego, dla nowo wprowadzonego bóstwa,

wymaga pewnego usprawiedliwienia, które, stwarzając nowy mit o odrębnym charakterze, wiąże go z dawnym.

Przykłady takiego włączania w życiu codziennem, czy wchłaniania, nie są rzadkiem zjawiskiem. Tak n. p. wyraz miniatura, którego my zwykliśmy używać na określenie czegoś drobnego, małego, nie posiadał w początkach swej genezy takiego znaczenia. Dzieje jego tkwią w umiejętności klasztornej, a źródłosłowem jest »minium«, który, jak wiadomo, oznacza czerwony, krystaliczny proszek, otrzymywany przy ogrzewaniu tlenku ołowiowego. Taką barwą zwykli byli mnisi malować inicyały, w ręcznie pisanych książkach. Przyjąwszy wyraz miniatura do swego słownictwa, nie rozumieliśmy lub zapomnieli jego znaczenia, to też odnieśliśmy je do, podobnie brzmiącego »minor«, co wyraża »mniejszy« i w to pojęcie włączyliśmy wyraz »miniatura«.

Jeżeli zatem zważymy, jak powiada Frobenius, że każdy naród, przyjmując obcy, niezrozumiały dla siebie wyraz, stara się przekształcić go na pokrewny brzmieniem w własnem słownictwie, że n. p. nazwisko Kotzebue, zmienili krajowcy Radok na Totabu, zaś Tahitianie nazwisko Cook na Tuti, to nie zdziwi nas, gdy jakieś plemię, przyjmując nazwisko bóstwa, nadaje mu pokrewną brzmieniem postać w własnem narzeczu, odpowiadającą co do znaczenia często przymiotom, których to bóstwo nie posiada. Celem wytłómaczenia tego nowego przymiotu, dorabia się odpowiedni mit, a ten przystosowuje się do niego z czasem tak, jakgdyby niewiedzieć odkąd tutaj należał. Przykład, wzięty z mitologii, wyjaśni rzecz szczegółowo. Tsui-Goab jest bóstwem Hottentotów, o typowych znamionach bóstwa słonecznego. O tym to Goabie głosi jeden z mitów, że był on synem potężnego księcia, ale gdy po śmierci ojca wypadło mu walczyć ze starszym bratem o tron ojcowski, otrzymał ciężką ranę w kolano, jakkolwiek, co na jego pochwałę zaznaczyć wypada, wyszedł zwycięzko. Od tej pory okulał, a stosownie do tego kalectwa nadano mu nazwę, bowiem Tsui-Goab znaczy »ranny w kolano«. Tak przedstawiony Tsui

Goab, ma być postacią historyczną, żyjącą niegdyś w niższej mitologii.

Jeżeli rozchodzi się o genezę, to możliwą jest rzeczą, że Hottentoci przyjęli od swych sąsiadów bóstwo słoneczne o podobnem nieco brzmieniu, do brzmienia wyrazu Tsui-Goab, a nie rozumiejąc go, nadali mu nazwę Tsui-Goab, przypominającą co do brzmienia najlepiej nazwisko przyjęte. Tymczasem Tsui-Goab, znaczy »ranny w kolano«, zaś w dalszem znaczeniu, kulawy. Ponieważ jednak wprowadzone bóstwo, nie posiadało żadnej takiej cechy, która usprawiedliwiałaby to nazwanie, przeto, czy to urobiono, czy powtórzono jakieś z rzeczywistości zaczerpnięte zdarzenie, głoszące o dwóch walczących z sobą o władzę braciach, z których młodszy został ranny w kolano. I tak dostał się bóg z mitologii wyższej, bo słonecznej, do niższej, czyli manistycznej, drogą włączenia.

Ten ciekawy związek podobieństwa brzmień, zachodzący pomiędzy nazwami poszczególnych bóstw zach. Afryki, uwidacznia, ułożona przez Frobeniusa, następująca tabelka (str. 314).

Podobną drogą mógł dostać się Heitsi Eibib z mitologii wyższej do niższej, zwłaszcza, że Heitsi Eibib i Tsui Goab miały być początkowo wyrazy identyczne, a również wiele prawdopodobieństwa ma przypuszczenie niektórych uczonych, że pewne bóstwa Oceanii przechodziły podobne koleje. Tak n. p. imię najwyższego bóstwa Nowozelandczyków Tangaroa, brzmi na Hawaii Kanaroa, na Tonga i Samoa Tangaloa i Kanaloa, na wyspach Banka Tangaro, a na innych, z grupy Nowych Hebrydów, Tagaro, zaś na wyspach Towarzyskich Taaroa.

Obserwacya kolei słonecznej i rodzące się stąd wierzenia, wiodą do dwóch odrębnych, nawet przeciwnych problematów. Zachód, jako miejsce, w którem słońce codziennie umiera i dokąd też zdążają dusze umarłych, jest wyrazem śmierci, wschód, gdzie słońce rodzi się, szczęśliwą krainą życia, a jako takie, mieszkaniem bóstw. Więc plemię Winnebagów chowa zmarłych w postawie siedzącej, zwróconych

Imię	Charakter główny	Znaczenie wyrazu	Wyznawcy
Tszuku	Bóg		Ibo i plemiona Kalabaru
Dsuku	Bóg	Niebo	Isoama i Mbofia
Tuku-Tuku	Nazwa »białych«	Albinosi i Europejczycy uchodzą z powodu swej barwy skóry za duchy	W górnym biegu Kongo
Toka-Toka	Nazwa Albinosów		Bakuba
Tsoka	Posążki		Morawi nad Niassa
Soko	Bóg		Nupe i Bassa
Soko	Bóg		Mieszkańcy Bondu
Soko	Goryl, czczony jako protoplasta		Manjema
Suku	Bóg		Angola, Lunda
Sokoa	Bóg		Esitako
Seakoa	Bóg		Goalowie
Toukwo Tikoa Tsui-Goab	Bóg		Hottentoci
Tuiko	Bóg		Buszmani
Utixo	Bóg		Kaffrowie
Tszikob	Bóg		Południ. dorzecze Kongo
Nikob	Bóg	Niebo	Bayonowie
Niekob	Bóg	Niebo	Patiowie
Nyikoab	Bóg	Niebo	Balu
Niekob	Bóg	Niebo	Kumowie
Niekuob	Bóg	Niebo	Momenya
Niekob	Bóg	Niebo	Papiakowie
Nikob	Bóg	Niebo	Param
Nyekomm Niekam	Bóg	Przodek	Szilukowie
Ndsakumba	Bóg		Bajansowie
Gumba	Bóg	Błyskawica	Sandowie
Neiterkob	Bóg	Przodek	Massajowie i Wakuafio
Niankupong	Bóg		Tszi

twarzą ku zachodowi, Guarachowie postępują tak samo, gdyż koniecznem jest, aby zmarły patrzył ku stronie siedziby niebieskiego starca, Tamoi, z którym spotkać się musi każda dusza, zaś Howa, czując, że zbliża się ostatnia godzina jego życia, prosi, aby pochowano go w ten sposób, iżby promienie zachodzącego słońca drasnęły na chwilę jego trupią twarz.

Tylor przytacza ustęp z traktatu religijnego z XVI stulecia, przypominający przepis grzebania z głową, zwróconą na zachód a na wschód nogami, tak, iżby zmarły powstał, patrząc ku wschodowi. Brzmi on tak: »Debet autem quis sic sepeliri, ut capitem ad occidentem posito, pedes dirigat ad orientem, in quo quasi ipsa positione orat: et innuit, quod promptus est, ut de occasu festinet ad ortum: »de mundo ad seculum«.

Ale mimo to zdarzają się zwyczaje grzebania zwłok, twarzą w kierunku wschodu. Czynią tak Australczycy, Jumanowie, Ainowie i niektórzy z Winnebagów, aby zmarły mógł patrzeć ku szczęśliwej krainie bogów. Za to modlitwy, dymy z ofiar, kadzideł, świętych fajek, wszystko to płynie ku wschodowi nieba, bo tam mieszka bóg; dlatego to chorych wynoszą ku wschodzącemu słońcu, dlatego niektóre ludy, jak n. p. Komanczowie, wybierając się na wyprawę, ustawiają broń, tak, aby zawisły na niej blaski wschodzącego słońca, dlatego drzwi świątyń, jak niegdyś n. p. świątynia jaskiniowa Apalaczów w Florydzie, zwrócone są na wschód, a nawet, jak w Peru, budowano całe wioski tylko w ten sposób, iżby ludność mogła codziennie witać wschód, codzień oglądać wstające bóstwo.

Ta okoliczność, że słońce nad górami wschodzi i zachodzi za nimi, oblewając je purpurą swego światła, wprowadza wzgórza w koło obrzędów i taką drogą stają się one miejscem krwawych ofiar, istniejących ponoś, jeszcze do dziś dnia w niektórych okolicach. Szczególniej w Afryce znane są te wzgórza pod nazwą »modimole«. Taka modimole wznosi się między innymi w środku Transwalu, a ludzie opowiadają, że jeszcze do niedawna gromadziły się wokoło

niej tłumy ciekawych widzów, przyglądających się krwawym ofiarom, na które wybierano zazwyczaj jeńców wojennych. Czarodzieje odcinali nieszczęśliwemu ręce i nogi i tak, drgające jeszcze, pozbawione kończyn tułowie, strącali z wzgórz świętych w przepaść.

Inna taka krwawa miejscowość nosi hottentocką nazwę »ukwuokweep«, co tłómaczy się: »czerwoni mężowie. Nazwa ta miała powstać od zwyczaju Kaffrów, którzy malowali się farbą na tem miejscu. Należy niewątpliwie uważać ten zabytek językowy za szczątek kultu, wschodzącego lub zachodzącego nad górami słońca.

Z wierzeń, że dusze idą za słońcem, powstają przez odwrócenie wyobrażenia, że dusza pochodzi od słońca, co staje się znowu źródłem t. zw. mitów stworzenia.

Jednym z takich jest mit Wanyoro:

Niegdyś było bardzo a bardzo wiele ludzi na ziemi. Śmierci nie znali, więc żyli wiecznie, ale, że byli dumni i niezgodni, rozgniewał się Niawankia czyli Kangra, który losami ludzkimi kierował i zrzucił im na głowę całe sklepienie niebieskie, tak, że wszyscy ponieśli śmierć na miejscu. Ale Niawankia był mądry, bardzo mądry, a mądrość nie pozwala, aby burzyć złe, a nic na to miejsce nie dać lepszego. To też po jakimś czasie zesłał na ziemię dwie dziwaczne, bo ogoniaste postaci. Był to mężczyzna i kobieta. Z tej pary urodził się syn i dwoje dziewcząt, a ze związku tych trojga powstał kameleon i olbrzym księżyc. Wzrastając zrazu w zgodzie, zaczęli bracia wkrótce kłócić się między sobą, tak, że Niawankia uznał za konieczne zabrać księżyc do siebie, skąd musi do tej pory biedak spoglądać na ziemię, do której powróciłby tak chętnie! Aby jednak pamiętał zawsze, że nie jest dzieckiem nieba, ale zrodziła go ziemia, naznaczył mu mądry Niawankia losy na wpół niebieskie a na wpół ziemskie. Oto z świetlanej postaci poczyna on zmniejszać się, jakgdyby umierał, ale umiera pozornie tylko, bo w istocie rzeczy nie umrze, ale, przeszedłszy w dwóch dniach widnokręg z zachodu na wschód, zjawia się znowu, chociaż mały, blady, wychudzony, snać znużony uciążliwą drogą. Rozgnie-

wane powodzeniem współzawodnika słońce, które musi codziennie umierać, zadało mu kilka ciosów, zaś te pozostawiły po wszystkie czasy widoczne ślady na jego powierzchni. A tymczasem kameleon rozmnożył się w liczne pokolenia i zaludnił swojem potomstwem całą ziemię.

Mit Wanyoro, wyprowadza zatem pochodzenie ludzi od kameleona. Tymczasem ten ostatni i słońce są w pojęciach Negrów wyrazami identycznymi, więc kameleon znaczy to samo co słońce, a i gdzieindziej, wszędzie niemal, gdzie spotyka się go, wiąże się on najściślej z mitologią słoneczną. Raz sprawuje czynności posłańca boga słońca, kiedyindziej jest nim samym i zapładnia matkę rodu ludzkiego, jak n. p. głoszą mity Kaffrów i t. p.

W taki sposób jest przedstawiony mit, wyrazem wiary, że ludzie pochodzą od słońca, jakkolwiek jest mitem wtórnym, gdyż pierwotną jego tendencyą nie było rozwiązanie kwestyi początku świata, ale wyjaśnienie różnicy między dniem i nocą. Dowodzi tego fakt, zrzucenia nieba na ziemię.

Według mitologii innych plemion, słońce samo, jako takie, bywa uważane za stwórcę rodu ludzkiego. U Eweów jest pierwsza para ludzi dziełem boga słońca, Lissy, a u plemion Bantu najważniejszy ród nosi nazwę: »Owakneneyuwach« i wywodzi się również od słońca. Mówi już o tem zresztą sama nazwa, gdyż »yuwa« znaczy słońce.

Ze słońcem zapewne wiążą się także te liczne mity, które twierdzą, że ludzie pochodzą z pod ziemi, albo z ziemi, lub też powstali z kamieni. Przypominamy tu, znany zresztą mit, według którego syn Prometeusa Deukalion i Pyrrha, córka Epimetheusa, potworzyli ludzi, z rzucanych poza siebie kamieni.

Pomnąc o tem, co powiedzieliśmy o zachodzącem słońcu i jego stosunku do wyobrażeń o krainie umarłych u ludów wyspiarskich, zrozumiemy, dlaczego Baszilangowie, zobaczywszy po raz pierwszy białych, pozdrawiali ich, jako duchy swoich przodków, wracających z Mai-Kalunga czyli »wody duchów«, albo też dlaczego czynili to samo krajowcy wyspy Los z grupy Karolinów, lub inni, jak Bakwirowie,

Otszowie, Ssongowie, którzy, nachyleni nad kotłem, napełnionym wodą, rozmawiali z przebywającymi tam duszami zmarłych: krewnych, lub przyjaciół. Pierwotna wiara: ludzie idą do krainy umarłych na morzu, została odwróconą: Ludzie pochodzą z wody.

Dla plemion innych, zamieszkujących ląd stały, nie zachodzi słońce w morzu, ale zapada za góry i skały, znika pod ziemię. Mity zdradzają taką wiarę zupełnie dobitnie. Krajowcy z wysp Banka opowiadają o przygodach bóstwa swego, Kwata, który, będąc szczęśliwym posiadaczem pięknej małżonki, zwanej: Ro-Lei, musiał stać nieustannie na straży swej własności, przeciwko rodzonym braciom. Bowiem ci uparli się zniszczyć za każdą cenę Kwata, a piękną małżonkę porwać i sobie przywłaszczyć. Jakoż udało się im pewnego razu zwabić go do jamy lezia, którą umyślnie rozszerzyli do tego stopnia, że, znajdujący się u jej powały kamień, mógł łatwo runąć i przygnieść ofiarę swoim ciężarem. I istotnie! W chwili, gdy Kwat wcisnął się do wnętrza kryjówki, strącili spiskowcy olbrzymi głaz, a myśląc, że brat już nie żyje, pobiegli czemprędzej, aby uprowadzić nieprzygotowaną Ro-Lei. Tymczasem omylili się grubo. Bowiem Kwat, widząc grożące niebezpieczeństwo, krzyknął: »Marawa! zanieś mię do Ro-Lei!« Więc zanim bracia dobiegli do wsi, wrzekomo zabity siedział już obok swej ukochanej małżonki.

Kwat, najwyższe bóstwo wyspiarzy Banka, który wedle innych mitów urodził się z kamienia, jest typowem bóstwem słońca, a wciągnięcie go do jamy raka i przywalenie kamieniem, jest symbolicznem przedstawieniem zachodu. Ro-Lei, jest to najpewniej, jako kobieta pojęte słońce, tembardziej, że inne mity opowiadają o jej pochodzeniu niebieskiem, o wykradzeniu jej przez braci Kwata i t. p., zaś uwolnienie Kwata z nory i powrót do Ro-Lei, wyobraża wschód słońca.

Afrykański Tsui Goab rzuca Ga Goriba w pieczarę, zaś inny bóg, o znamionach bóstwa słonecznego, O-Dente, doznaje czci w glinianych lub piaskowych wzgórzach, o któ-

rych już mówiliśmy poprzednio. Pisząc o tych wzgórzach, dodaje Bohner, że mieszkańcy miasta Akpong, w dorzeczu Wolty, w północno-zachodniej Afryce, zakupili w r. 1883 od sąsiednich Krakyów jakąś mieszaninę ziemi i różnorodnych korzeni, które złożono w garnku pod wzgórzem, poświęconem bóstwu O-Dente. Za tę mieszaninę zapłacono złotem około 2400 k. w. a.

Z takich to mitów, może przez odwrócenie powstać wiara, że ludzie pochodzą z pod ziemi, że powstają z gliny, kamieni i t. p. Maui, bóg słońca, zabiera z sobą dusze do podziemia, skąd wychodzi potem praprzodek ludzkości, Tiki, a także Tongija na Raratonga powraca z Po, czyli ciemności podziemia.

W okolicach, obfitujących w wulkany, może łatwo powstać, ze zlania się tych wyobrażeń, z jednej strony mit o porwaniu ognia, z drugiej wyrodzić się cześć dla ognia wogóle, przez pomieszanie ognia ziemskiego z niebieskim, którego dostarcza słońce.

Mity o porwaniu ognia są ogromnie rozpowszechnione, gdyż znajdujemy je na całej kuli ziemskiej. W jednych okolicach jacyś, powracający z podziemia praprzodkowie przynoszą ludziom ogień na ziemię, w innych jest tym dobrodziejem sam bóg słońca, często w postaci zwierzęcej. Pogmatwanie pierwiastków manistycznych i aministycznych daje się we znaki i tu równie dobrze, jak wszędzie indziej. Pierwszy ogień zapala u Damara człowiek, wychodzący z drzewa, względnie z pieczary. Co do nazwiska jego i istoty, panuje rozdwojenie w poglądach. Jedni twierdzą, że jest to dawny król Czohdu, drudzy, że Mukuru lub Odempo. W każdym razie wiąże się u nich przyniesienie ognia z powstaniem pierwszej pary ludzi na ziemi. Mussorongowie wspominają znowu jakiegoś Wetekelę, jako pierwszego dobroczyńcę, który zniósł im ogień z nieba, Temnowie i Tszowie zawdzięczają go bogu, zaś pewne plemiona Transwalu dziękują zawsze za tę nieocenioną przysługę, pewnemu staremu królowi, który, uwielbiany za życia, został wyniesiony po śmierci na stanowisko bóstwa.

We wszystkich niemal mitach Polinezyi, gdzie tylko występuje kwestya ognia, łączy się ona zawsze z Mauim. Mieszkańcy tej części Oceanii żywią wdzięczność dla niego, ponieważ on pierwszy, siedząc na grzbiecie swego gołębia, przyniósł im ogień i nauczył sztuki obchodzenia się z nim. W Melanezyi zastępuje pod tym względem rolę Maui'ego, inne bóstwo słoneczne, wspomniany powyżej Kwat. Pundjel- Kwateat, Cagna, Wainaemoinen, doznają czci z tego samego tytułu u Australczyków, Ahtów, Buszmanów i Finnów. Tu należą także podania starożytnych, jak n. p. znany mit o porwaniu ognia przez Prometeusa u Greków, lub podanie o Matariswanie, któremu Indowie zawdzięczają Agni i t. p.

Ponieważ jest, więcej niż prawdopodobnem, przypuszczenie, że umysł pierwotnego człowieka powiążę z sobą przyczynowo zjawisko ukazywania się ognia przez otwory (kratery) w ziemi i wyobrażenie, że słońce schodzi pod ziemię, przeto bardzo możliwe, że czciciel słońca, stanie się w ten sposób równocześnie czcicielem ognia. Jest rzeczą pewną, że słońce i ogień uchodzą u wielu ludów pierwotnych po prostu za jedno i to samo, wiadomo zaś, że Anaksimander uważał tarczę słoneczną za koło, z którego wylewa się ogień, a zaćmienie słońca tłómaczył zatkaniem się otworu i powstrzymaniem wskutek tego, ognistego potoku. Ciekawym przyczynkiem do tej kwestyi pierwotnych wierzeń jest fakt, że, wspomniany tylokrotnie, bóg słońca Maui, jest w mitologii samoańskiej równocześnie bogiem trzęsienia ziemi. Mit opowiada o nim, że, gdy wykradał ogień dla ludzi, bóg trzęsienia ziemi i wulkanów »Tati« wykręcił mu rękę, czy nawet ją złamał, a imię »Maui« tłómaczy po części ten wypadek, gdyż »maui« znaczy rozbity, lub złamany.

Pomijając te plemiona, u których ogień jest tylko pośrednikiem w składaniu ofiar dla duchów zmarłych (niektóre plemiona Indyan Ameryki półn.) spotykamy czcicieli ognia niemal we wszystkich częściach ziemi. Mieszkańcy Kamczatki składali mu ofiary z nosów ubitej zwierzyny, Ainowie czczą go jako Abe, czyli boga Ognia, uzdrawiającego chorych, zaś liczne szczepy Mongołów przynoszą mu podarki i modlą

się doń w ważnych sprawach, prosząc o błogosławieństwo. Tylor przytacza taki ustęp z mongolskiej pieśni weselnej: »Matko Ut, królowo Ognia, ty, którą zrobiono z drzewa wiązowego, rosnącego na szczytach góry Czanggaj-Czan i Burnczatu-Czan, ty, któraś powstała, gdy niebo i ziemia rozdzieliły się, ty, coś wyszła ze śladów stóp matki ziemi i coś stworzoną została przez króla bogów! Matko Ut!, której ojcem jest twarda stal, a matką krzemień, której przodkami są drzewa wiązowe, co jasność ich dosięga nieba i przenika ziemię! Bogini Ut! przynosimy ci żółtą oliwę w ofierze i białego barana z żółtą głową, tobie, która masz dzielnego syna, piękną synowę i śliczne córki! Tobie, matko Ut, co zawsze patrzysz w górę, przynosimy wódkę w czarach i tłustość w obu rękach! Daj powodzenie synowi króla (narzeczonemu), córce króla (narzeczonej) i wszystkim ludziom!«

Kirgizi czczą również ogień i składają mu ofiary. Narzeczona nie śmie wejść do jurty, zanim nie skłoni się ogniowi, nie wrzuci weń na ofiarę kawałka mięsa, odrobiny masła i nie wleje wódki. Każda gospodyni jakucka uważa za swój święty obowiązek zasilić ogień codziennie raz, lub nawet kilka razy. Ta ofiara może to być kawałek mięsa, płótno, włos, cokolwiekbądź, ale być musi. Nieznanym zabrania zwyczaj pożyczania ognia z ogniska domowego, w ogień nie wolno też pluć, ani grzebać w nim ostrem narzędziem, nie wolno rzucać doń nieczystości lub źle o nim mówić. Nad morzem Kaspijskiem, w Baku, przy ognistych źródłach, oddawano cześć palącym się gazom, które uchodziły przez, umyślnie na ten cel wstawioną, szeroką rurę. Biedni, wychudli, obdarci pielgrzymi gromadzili się tu na modlitwę, przychodzili odprawiać pokutę i, umartwiając się, prosić o przebaczenie za grzechy żywota. Indyjscy »Agnihotri«, czyli kapłani ognia, składają jeszcze zawsze ofiary świętemu żywiołowi i przechowują świder święty, którym, jak niegdyś, nieci się i dziś ogień, a w nim odradza się wielki, boski Agni, za każdym razem na nowo.

Niby rzymskie westalki, występują o Owaherero osobne

kapłanki ognia, zwane »ondangere«. Godność ta, piastowana przez kobietę, tylko do chwili jej zamążpójścia, dostaje się z reguły córce naczelnika plemienia, z pierwszej żony pochodzącej i nakłada na nią obowiązek, utrzymywania świętego ognia (omurangere), płonącego w czasie pogody przed chatą, zaś w czasie słoty, przenoszonego do domu kapłanki. Nieszczęśliwa to chwila, gdy zdarzy się, że ogień święty zagaśnie. Gromadzi się wówczas cała starszyzna, aby, dopiero po złożeniu ofiary z bydlęcia, rozniecić »omurangere« na nowo. Dzieje się to za pomocą świętych drewienek, które naczelnik, odziedziczywszy po prapradziadach, chowa w świętem miejscu, jako świętość plemienną.

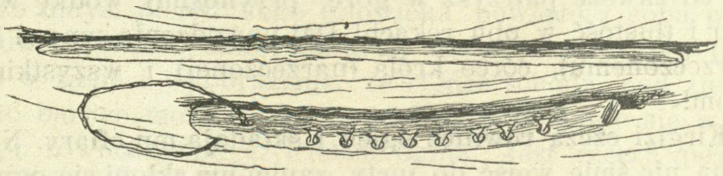

Ryc. 77. Drewienka Kaffrów do rozniecania ognia. (Rys. wedł. Ratzla dr. W. W.).

Gdy plemię rozdziela się na dwa odrębne towarzystwa, z których jedno opuszcza dawną ojczyznę, ruszając na poszukiwanie nowej, lepszej, zabiera ondangere święty ogień i niesie go przed wędrującą gromadą do granic siedziby, poczem, najstarszemu wiekiem lub najpoważniejszemu godnością oddaje część świętego skarbu, co znaczy zarazem, że od tej chwili przypada godność kapłanki jego córce. Miejsce, gdzie płonie święty ogień, otoczone jest płotem, zaś każdy z krajowców zbliża się doń z pełną czcią i obawą i całuje popiół święty, zrzuciwszy wprzód z nóg sandały.

W innych okolicach, jak u Eweów, zapalają święte ognie przy nowo budującem się schronisku, na znak, że oddaje się je pod opiekę bóstwa Dso, które strzedz będzie od pożaru.

U plemion z nad Kongo, jest kapłanem świętego ognia, wielki ganga Chitome czyli Chitombe, niezrównany cudotwórca, niedościgniony mędrzec, wszechmocny pan, bóg na

ziemi. Nieustannie płonie w jego chacie święty żywioł, za pomocą którego poświęca się każdego władcę i urzędnika, rozumie się, za złożeniem grubej zapłaty, z tego ognia zabierają też małą głowienkę wszyscy tacy, którzy zakładają własne domowe ognisko, co także nie dzieje się bez wynagrodzenia. Plemiona w Loango wróżą z ognia i przynoszą mu ofiary, zaś mieszkańcy z nad Gabunu utrzymują święty ogień w dzień i w nocy, podsycając go nieustannie ofiarami i prosząc, aby odpędzał złe duchy, przynoszące nieszczęście. Kult ognia odgrywał i w religii meksykańskiej wielką rolę. Zdradzał on wprawdzie cechy słoneczne, ale mimo to czczono go odrębnie pod nazwą: »Ksiuhteukli«, t. j. Pan Ognia. Składano mu ofiary z pierwocin, a dwa razy do roku obchodzono wielkie święto ognia, połączone z barbarzyńskim zwyczajem pieczenia żywcem, przeznaczonych na ofiarę ludzi. Uroczystość niecenia nowego Ognia, wypełniająca program czynności drugiego święta, wiązała się z czcią słońca. Także w Oceanii, jak n. p. na wyspie Nukahiwa, jednej z grupy Markezas, płonął wieczny święty ogień, kupiąc około siebie licznych czcicieli, przynoszących do stóp jego swoje modlitwy i składających hojne ofiary.

W postaci, coraz rzadziej spotykanych dziś przeżytków, przechowała się cześć ta u wielu ludów, które wyniosły się na wyższe stanowisko kulturne.

Czesi nazywają ogień »bożym ogniem«, zabraniają pluć weń, a w wielu okolicach przestrzegają, by rzucono mu chociażby część potrawy, którą mają posilić się domownicy. Ogień-matkę, Tule-emę, zjednywa sobie panna młoda w Estonii, rzucając w płomień monetę, lub kładąc ją na ognisku, a Rosyanin z gub. Tombowskiej, przenosząc się do nowego domu, zabiera z sobą nieco popiołu i trochę kamieni, co należy uważać niewątpliwie jako szczątkowy zwyczaj czci ognia.

W Lubelskiem nakazuje tradycya ludowa szanować ogień, nie pożyczać go sąsiadom, jeżeli zaś komu wypada iskrę rozdmuchać, nie powinien tego czynić, nie przeżegnawszy się poprzednio. Jedno z podań tutejszych głosi, że gdy raz

zeszły się z sobą dwa ognie z sąsiedztwa, żalił się jeden przed drugim, iż gospodyni nie przeżegnała go na dobranoc. Jakoż po krótkiej naradzie postanowiono zemstę i niebawem zdarzyło się, że owej gospodyni spłonęło całe domostwo. Lud nadrabski nie pozwala światła drażnić i opowiada wiele bajek, dowodzących szkodliwości tego zwyczaju, zaś w wielu okolicach w Nowosądeckiem, Wielickiem i t. p. zabrania zwyczaj »migać ogniem, boby się ogienek gniewał«, nie każe »zalewać pomyjami, bo to grzech«, przestrzega, by nie bawić się nim, bo w nocy mocz ucieknie i t. p. Do tego rodzaju zabytków należy także, rozpowszechnione niegdyś w całej Europie, a i dziś praktykowane w wigilię dnia św. Jana palenie ogni po górach, przeskakiwanie przez płonące stosy, przejeżdżanie przez wieś konno z płonącymi głowniami, staczanie palących się kręgów ze stoków gór i t. p.

W taki to sposób mógł powstać kult ognia, któremu, liczne, ukazujące się na niebie świetlne zjawiska, nadały jeszcze tem dobitniejsze znaczenie. Tęcze, błyskawice wężowe i t. p. sprawiły, że człowiek pierwotny, począł czcić ogień jako istotę, w której postaci ukazuje się bóstwo, wreszcie jako symbol bóstwa, zaś kiedy obserwacya kształtów tych nadziemskich zjawisk wciągnęła w świat nowych wierzeń węża, rozpoczęła się wielka gmatwanina poglądów, stapiających się wzajemnie i gubiących się w sobie. Bowiem wąż wprowadził za sobą pierwiastki manistyczne, a na ich tle poczęły powstawać liczne mity wężowe i smokowe, których twórcą był przeważnie świat stary, z wyjątkiem Afryki. Stanowisko i rozmieszczenie tych ciekawych, a tak powszechnych mitów zostanie jednak dokładniej wyjaśnione zapewne dopiero wówczas, gdy etnologia będzie mogła oprzeć się na, wszechstronnie, najściślej przeprowadzonych badaniach językowych.

Z obserwacyą słońca i kultem jego wiążą się opowieści o początkach życia wielkich, narodowych bohaterów. Tajemniczy zmierzch, z którego wyłania się poranne słońce, drogą odwrócenia powstałe zapatrywania co do pochodzenia z wody, odzwierciedlają się symbolicznie w losach tych bo-

haterów, ludzi-półbogów. Najulubieńszą postacią takich podań, jest opowieść o porzuceniu dziecięcia zaraz po jego narodzeniu, bądź to w gęstwiny leśne, bądź też puszczenie na wodę w skrzyni lub koszu z sitowia, co przypomina zwyczaj składania zwłok zmarłych w łodziach, spuszczanych na wodę. Gdzie przychodzą zwierzęta jako karmiciele, wybawcy i t. p. tam mamy przed sobą prawdopodobnie jakieś echa totemizmu. Cyrus, Remus i Romulus, Edyp, irański król Darab, babilońscy książęta jak Sargon I (około r. 3800) i Gudia (3100), niektórzy chińscy królowie, t. zw. królowie bambusowi, wywodzący się od dziecka, porzuconego w wydrążonym bambusie na wodę, legendowy, przez tygrysicę wykarmiony minister księstwa Tsu, Usikulumi, syn króla Sulu, żywiony w dzieciństwie swem przez potwora, wszystko to są przykłady, jak chętnie łączy człowiek pierwotny zjawiska otaczającej go przyrody z losami ludzi.

O ile pierwsze dni życia wielu bohaterów są często przesiąknięte pierwiastkami animizmu, o tyle nie jest wolnym od tego zabarwienia ich koniec.

»Ajas, będący lokalną postacią greckiego świetlnego bóstwa, pisze, zmarły przedwcześnie przed kilku tygodniami, znakomity etnolog H. Schurtz, kończy, jak zresztą wielu jego kolegów z wojny trojańskiej, w potokach krwi; owładnięty szałem, rozbija na nic pasące się spokojnie stada (obłoki wieczorne), tak, że aż nurzają się w krwi własnej, a wreszcie, gdy przychodzi do przytomności, sam pozbawia się życia.

W innej znowu postaci występuje u Heraklesa wieczorne niebo, jako zatruta koszula, którą zsyła mu Nessus: wraz z ściśle przylegającą do ciała koszulą zdziera z siebie bohater skórę i mięso (słońce i chmury barwią się na krwawą czerwień), a wreszcie sam spala się«.

Wielkiem dziełem tych wszystkich świetlanych bóstw i półbogów, występujących jako wyraźne bóstwa słońca, lub też półboga, o znamionach słonecznej mitologii, było rozdzielenie nieba od ziemi.

Licznych opracowań doczekał się ten obraz słońca, które

wschodząc, może wywołać w bujnej wyobraźni pierwotnego badacza istotnie takie złudzenie, jakgdyby dźwigało ku górze niebo, leżące do tej pory na ziemi. Krajowcy z wyspy Rajatea opowiadają, że niegdyś spoczywało niebo na ziemi i na oceanie, przytrzymywane nogami ogromnej sepii. Spostrzegłszy to bóg Maui, zstąpił w morze, a, wszczęwszy walkę z ogromnym potworem, przeciął go na dwoje i uwolnił w ten sposób ziemię od nieba, które wskutek tego wydźwignęło się w górę.

Wspominaliśmy zaś już powyżej, że Maui jest bogiem słońca, zaś cały ten mit rysuje po prostu obraz wschodu, który rozprasza ciemności. Podobne zapatrywania spotykamy na Nowej Zelandyi, na Samoa, wyspach Gilberta, wyspach linii Torresa, wreszcie w Australii, rozumie się, z pewnemi zmianami, które wpływają tylko na sposób przedstawienia rzeczy, ale nie zmieniają jej zasadniczej treści. W północno-zach. Ameryce spotyka się także podobne mity, a nie brak ich w Azyi. Mit Toagalów na Filipinach, przedstawiony w jednym z poprzednich rozdziałów, a opowiadający o ptaku, który, będąc na początku wszelkiego życia na ziemi, latał umęczony, a nie mając gdzie spocząć, podburzył ziemię przeciwko niebu, które zrzuciło na morze skalne odłamy i potworzyło wyspy, należy właśnie do tej kategoryi mitów, wedle których, jest dzisiejsze położenie nieba, zasługą słońca.

Bardzo ciekawe są w tej mierze mity afrykańskie. Mit krajowców Yoruby twierdzi, że na początku świata, Obatala, pan nieba, główne bóstwo Yoruby, zwane »bóstwem białej szaty«, gdyż ta barwa jest mu poświęconą i żona jego Odudua, czyli Odua, przedstawiająca ziemię, spoczywali razem, zamknięci we wnętrzu dużej misy. Obatala leżał na górze, zaś Odudua u spodu. I nie wiedzieć, czy zadługo trwali w tej niewygodnej pozycyi, czy też, jak mit twierdzi, zgłodnieli, dość, że rozpoczęli kłótnię, względnie rozpoczęła ją Odua, gdyż kobiecie należy się zawsze pierwszeństwo. A że w owych czasach kłócono się nie gorzej jak dzisiaj, przeto od zdania do zdania, od słowa do słowa, aż wreszcie

przyszło do bitki, w której Obatala wydrapał oczy swej małżonce. Za to przeklęła go Odudua: »Bogdajś jadał zawsze tylko same ślimaki!« I od tej pory przynoszą Obatali krajowcy ślimaki na ofiarę.

Tak tedy oślepła Odudua, zaś lud, może właśnie dla tej jednej zalety, ogłosił ją boginią miłości. Cześć jej oddają w świątyni w Ado, miejscowości, leżącej na zachód od Bagasi, nad zatoką Benui w zachodniej Afryce. Świecąc dobrym przykładem, nie gardziła Odudua, chociaż bogini, sercem człowieka, a krajowcy opowiadają wiele, o jej stosunku miłosnym z pewnym myśliwym, co z dyskrecyi dałoby się ukryć, gdyby mniej wpadał w oczy Aganju i Jemaja, którzy, jako ucieleśniony wyraz tej miłości powstali. Kult Aganju, który to wyraz tłómaczy się: niezamieszkany szmat lądu, zaś według niektórych, niebo, wyszedł już prawie z użycia, ale Jemaję czczą jako boginię rzek i strumieni, przedstawiając ją w postaci kobiety, omalowanej żółtą barwą. Aganju i Jemaja pobrali się i mieli syna, Orungana. Nazwisko to powstało z Orun — słońce i gan-ga — wysoko. Ten to Orungan zakochał się w swojej matce Jemai i raz, korzystając z nieobecności ojca, zgwałcił ją. Zrozpaczona matka skoczyła na nogi i uciekła, a Orungan pospieszył za nią, chcąc ją pocieszyć. Dognał ją wprawdzie, ale napróżno przyrzekał miłość i zaręczał dyskrecyę wobec ojca, Jemaja odrzuciła ze wstrętem jego wyznania i pobiegła dalej. Z wyciągniętymi rękami popędził za nią Orungan, lecz ledwie zdołał ją pochwycić, usunęła mu się z ramion i runęła wstecz na ziemię. W tej chwili zaczęło ciało jej silnie nabrzmiewać; z piersi trysnęły dwa strumienie, które, połączywszy się, utworzyły jezioro, zaś z reszty ciała wyłoniło się piętnaście bóstw, które są:

1. Dada, bóg roślin.
2. Szango, bóg piorunu.
3. Ogun, bóg wojny i żelaza.
4. Olokun, bóg morza.
5. Oloso, bóg laguny Oloso.
6. Oya, rzeka Niger.

7. Oba, rzeka Oba.
8. Oszun, rzeka Oszun.
9. Orisza Oko, bóg rolnictwa.
10. Oszozi, bóg polowania.
11. Oke, bóg gór.
12. Aje Szalapu, bóg bogactwa.
13. Szankpanna, bóg ospy.
14. Orun, bóg słońca.
15. Oszu, bóg księżyca.

Na pamiątkę tego zdarzenia, nadano jednemu z miast nazwę »Ifi«, co znaczy »rozpadać się«.

Wyjaśnienie znaczenia mitu nie przedstawia żadnych trudności, zwłaszcza, że nazwy wskazują wprost o czem jest mowa.

Leżący w zamkniętej misie Obatala i Odudua, przedstawiają niebo i ziemię, pogrążone w ciemności nocy, podczas gdy sprzeczka małżonków i wyrwanie oczu Odudzie, wyobrażają ranną szarzyznę i wschód, bowiem wschodzące słońce wygląda tak, jakgdyby wychodziło z ziemi, którą przedstawia Odudua. Pogoń Orungana za matką swą Jemają uzmysławia dzienną drogę słoneczną, zaś dopadnięcie jej i upadek, to obraz zachodu.

Tego rodzaju wyobrażenia, że zrazu leżało niebo na ziemi, jako małżonkowie, a rozdzielenie obydwojga jest zasługą któregoś z bohaterów kosmicznych, spotyka się bardzo często. Chińczycy wierzą, że był czas, kiedy niebo spoczywało, silnie przyciśnięte do lądu, aż wreszcie uwolnił ich z tej pozycyi jakiś Puang-Ku, skoro zaś poeci greccy nazywali żonę i męża Demeterą i Zeusem, lub Geą i Uranusem, albo, jeżeli narzeczony, wchodzący w związek małżeński według przepisów »Jadżur Wedy«, mówi do swej przyszłej: »Ja jestem niebo, zaś ty ziemia; chodź! pobierzemy się«, to wszędzie tu, przezierają te pierwotne wierzenia, które widzieliśmy w mitach Oceanii lub w podaniach Joruby.

Przypadła z kolei cześć i gwiazdom, do których człowiek pierwotny odnosił zupełnie tak samo swoje antropopatyczne poglądy, jak do wszystkiego innego, co przykuć zdołało do

siebie jego uwagę. Uważano je nietylko za istoty żyjące, ale sądzono, że byli to ludzie (Eskimosi, Kassianie w Bengalii), którzy z rozmaitych powodów zostali wyniesieni na niebo, gdzie żyją do dziś, jako gwiazdy, obdarzone wolą i świadomością swoich czynów. Zwolennikiem tego rodzaju witalistycznych poglądów, był Origines, a w ostatnich czasach De Maistre, który występywał ostro przeciwko nowożytnym prądom, oznaczającym gwiazdy jako martwe ciała niebieskie. Miały też gwiazdy te same rodowody co ludzie, pochodziły, jak oni, od niedźwiedzi, wilków, węży i t. d., skąd też pochodzą w znacznej części ich nazwy. Cześć gwiazd ograniczała się bądź to do gwiazd pojedynczych, bądź do całych grup. Indyanin Panaiino nazywa »Venus« »Wielką gwiazdą« i składa jej ofiary, zaś Guaranowie, Guajkurowie i Abiponi czczą Plejady, jako swoich przodków, a także Koroadowie modlą się do niektórych gwiazd i nazywają je »tupa«. Meksykanie i Peruwiańczycy, wreszcie starzy Egipcyanie i koczowniczy Arabowie przed przyjęciem Islamu byli sabeistami, a w starym katechizmie perskim czytamy:

»Módlcie się po bogu do planet, palcie światła na ich cześć i odtwarzajcie ich postaci«.

Ostatni plan w tej rozwojowej kolei zajmuje niebo, jako najdalszy i najtrudniejszy zarazem przedmiot obserwacyi. Zrazu uważane to za skałę, podtrzymującą ziemię (Zulusi), to za tkaninę, rozwieszoną nad światem (Murzyni), to za dziurawą, jak sito, przepuszczającą wodę, podłogę (Nowozelandczycy), zostaje niebo wyniesione z czasem do znaczenia mężczyzny, a wówczas wiąże z nim wyobraźnia ludzka ziemię i każe być jej małżonką, która, wspólnie z swym niebieskim, spoczywającym na niej mężem, rodzi wszelkie życie w wszechświecie.

Ponieważ ten bliski stosunek dwojga płci do siebie, jest niczem innem, tylko poetycznem przedstawieniem nocy, przeto nietrudno jest zrozumieć, dlaczego właśnie niebo nocne i noc wogóle, jest, według wierzenia przeważnej ilości ludów, początkiem wszech rzeczy w zaraniu istnienia świata.

Niemal w każdym z mitów stworzenia góruje ta wiara, której wyrazem mogą być słowa Tacyta: »Nox ducere diem videtur«.

W mitologii polinezyjskiej poprzedza dzieło stworzenia Chaos, Po, czyli noc. Z ruchów tej »Po« od pierwszej do dziesiątej nocy, powstało Kaka, czyli Światło, jako ojciec rodzeństwa: Rangi czyli Ru, t. j. Nieba i Papa t. j. Ziemi, którzy leżeli mocno przyciśnięci do siebie tak długo, aż wreszcie powstał z nich Tane z ośmioma braćmi. Ten Tane albo też Kane stoi w bliskiem pokrewieństwie z Rangi, a mit opowiada, że po rozdzieleniu się Rangi i Papa, ozdobił Tane niebo gwiazdami, zaś na ziemi ustawił ludzi w postaci drzew. Występuje on tu jako pomocnik w stworzeniu świata.

Jeden z północno-amerykańskich mitów stworzenia zaczyna się: »Było to dawno, wówczas jeszcze, gdy Niebo spoczywało na Ziemi«, a podanie Rajatean mówi, że na początku świata leżało niebo na ziemi, przytrzymywane w tej pozycyi nogami ogromnej sepii, czyli Kraka. Wówczas to bóg słońca Maui zamierzył się i jednem cięciem uwolnił obydwoje z uścisku potwora.

Według Maorów na Nowej Zelandyi zaczyna się początek świata, nocą, czyli Po. Tak jest ciekawym ten mit stworzenia, że trudno nie przedstawić go, chociażby pokrótce na tem miejscu.

Nim jeszcze świat zaczął się, opowiadają Maorowie, panowała Po czyli Noc, która po długim czasie zrodziła Pożądanie, Te Rapunga, a to przeszło z czasem w Waja czyli Tęsknotę. Następstwem jej było Te Kukune, t. j. Czucie, za którem przyszło Te Pupuke, Uogólnienie. Teraz dopiero rozpoczęło się Te Heriri pierwsze Tętno życia, które wysłało Te Mahara czyli Myśl, rozwijającą się w Twórczość duchową, Te Hinangara. Życzenie Te Manako, zwraca się ku Świętej tajemnicy czyli wielkiej Zagadce życia, Wananga. Rozwijająca się stąd Te Atamai, Zmysłowa miłość, zagłębia się w materyalnem stworzeniu, a to prowadzi za sobą Popęd samozachowawczy Te Whiwia, przesiąknięty Namiętnością lubieżną Rawea. Gdy w ten sposób, ożywione Tchem życia Hau Ora, powstały warunki Tworzenia się postaci, Hopotu, po-

wiał Przestwór Atea, przedzielony różnicą płci w Rangi i Papa. Teraz dopiero mogły rozpocząć się poszczególne tworzenia na Ziemi i Niebie.

Tak tłómaczą sobie Maorowie początek świata i powstanie życia na ziemi, a tłómaczenie to, jakkolwiek zrodzone wśród ludu, któremu warunki środowiska zapewniły szybszy rozwój i wyższe nieco stanowisko kulturne, budzi podziw wśród uczonych. To też Bastian, przytaczając ten, maoryjski mit stworzenia, pyta zupełnie słusznie: »Czy zabłądził tutaj przebrany Anaximander lub Pitagoras?«

We wszystkich tych mitach występuje niebo nocne, jako mężczyzna i ojciec, ziemia, jako kobieta i matka. Da się ten stosunek odczytać z nazw, które nadawano najwyższemu bóstwu. Takim jest n. p. Zeus, Jowisz, Junona i t. d.

Żeby wyjaśnić jednak znaczenie tych wyrazów, trzeba uciec się do etymologii sanskryckiej i mitów Rigwedy, gdyż w greckim są one niezrozumiałe i na podstawie greckiej etymologii nie dadzą się wytłómaczyć. I tak, jak to zestawia Schultze, brzmi imię głównego greckiego boga, Zeus, które zmienia się w drugim przypadku na Dios. Tymczasem łaciński Jupiter ma zupełnie ten sam pierwiastek, bowiem powstał z Diespiter, Diospater, Divas pati, co tłómaczy się: bóg ojciec. Jest on praaryjskim bogiem Nieba, zaś w Rigwedzie stanowi przydomek Indry i tytuł wszystkich bóstw świetlnych, w przeciwstawieniu do Varuna, Urana, Saturna, o którym niżej powiemy. Także »divus-dius-deus«: bóg, divinus, boski i divum: bezmiar niebieski, utworzone są z tego samego źródłosłowu. Najwyższem bóstwem Germanów, zanim wystąpił na pierwszy plan Wodan, był początkowo niezawodnie Zio, który w anglosaskiem brzmi Tiu. Od tego to pierwiastka urobiono nazwę Tiusko, co znaczy: synowie Tiusa, Niemcy. Te wszystkie imiona schodzą na sanskryckie Dyu, co znaczy promienieć, natomiast użyte w piątym przypadku ma oznaczać niebo, a wreszcie staje się w najstarszych pieśniach indyjskich ksiąg religijnych, przydomkiem najwyższego boga. »Dyu albo Dyaus oznacza zatem, pisze Schultze, promienny Bóg-niebo, że zaś przez tę nazwę na-

leży rozumieć początkowo tylko niebo nocne, nie ulega, wedle analogii powyżej wyjaśnionych faktów psychologicznych, żadnej wątpliwości, wedle mego zdania«.

Schultze idzie jeszcze dalej, bo zwraca się ku ziemi, która u starych Aryów uchodziła za żonę Dyusa, a matkę rodu ludzkiego. Ta Ziemia jest także żoną Zeusa i nazywa się początkowo »Demeter«, co powstało z ge-meter, czyli matka ziemia. Jest ona równoznaczną z żeńską postacią męskiego Zeusa, matką Venery, Dione, która to nazwa zdradza także pierwiastek: Dios (genet), Diupiter, dius, od czego pochodzi Diuno, Juno, małżonka Jowisza. Zresztą Varro określa wyraźnie Jowisza i Junonę, jako Niebo i Ziemię.

Inny bóg, Uranus, Varuna, bóstwo starych Indów, jedno z pierwszej klasy 32 Dewas, czyli bóstw świetlnych, oznacza również Niebo. Czczony przez indyjskich Aryów jako najpotężniejszy, najwyższy bóg, ma za żonę Geę, t. j. Ziemię. Spłodzony przez niego Kronos, bóg czasu, Słońce, pozbawia go męzkości, poczem stwarza cały arsenał bóstw świetlnych, na których czele stoi Zeus. Zdaje się tedy, że Uranos czyli Varuna oznacza również niebo nocne. Kronos, który pozbawia go władzy, jest obrazem rozprószenia ciemności, na której miejsce wstępuje światło.

Cześć nieba dziennego jako mężczyzny, nocnego zaś jako kobiety, przedstawia, wedle zdania Schultzego, wyższy stopień kultury religijnej. W umyśle pierwotnego człowieka, może zrodzić się łatwo przekonanie, że niebo nocne i dzienne są to dwie, zupełnie różne istoty, różne w pierwszej linii co do swej barwy, tam ciemnej, o łagodnych, miękkich tonach, tu ostrej, jasnej barwy lazuru. N. p. w mitologii egipskiej występują dwa bóstwa Nu i Nut. Pierwsze jest bogiem Nieba, drugie boginią. Trudno jest wobec tego wyjaśnić ich stanowisko w inny sposób, aniżeli przez przyjęcie, że Nu jest niebem nocnem, zaś dziennem Nut. Drugim podobnym przykładem jest Zeus i Hera.

Stanowisko Zeusa, jako nocnego nieba, zaznaczyliśmy powyżej. Żona jego Hera, Juno, Dione uchodzi za Atmosferę, za Aether, lub za Niebo, okryte chmurami. I w tym

wypadku usiłuje Schultze wyjaśnić kwestyę w sposób powyższy, jak dla dwu wspomnianych bóstw świetlnych mitologii egipskiej i radzi uważać Herę jako niebo dzienne. Za tem przypuszczeniem Schultzego zdają się, między innemi, przemawiać przydomki, nadawane jej przez Homera, a także nie sprzeciwiają się temu całe opisy, spotykane n. p. w Iliadzie, a zdające się być przeciwstawieniem nocnego i dziennego nieba. Nazywa się tu Hera »Promiennooka«, o białych ramionach, Białoręka, pędząca złote rumaki i t. p.

Tak n. p.:

. . . . . »nie była przeciwną Hera o białych ramionach,
Więc zaprzęga pospiesznie o złotych naczółkach rumaki.
Here najstarsza bogini wielkiego córka Kronosa.
. . . . . .
Here zaś szybko batogiem rumaki do ruchu pobudza,
Bramy niebieskie się z hukiem rozwarły, ... «

Zobaczywszy to Zeus, wysyła Izydę i mówi:

»Ruszaj mi szybka Izydo, napowrót ich zwróć i nie dawaj
Dalej im iść; bo się *szpetnie spotkamy w bójce ze sobą,*
Zapowiadam albowiem i na tem z pewnością się skończy,
Sparaliżuję im obum rumaki rącze u wozu.
Same atoli z siedzenia wyrzucę i wozy potrzaskam...
. . . . . .
Tyle zaś żalu do Hery nie czuję, ani się gniewam,
Zawsze albowiem przywykła przeszkadzać temu, co zrobię«.

Kiedy zaś Hera przychodzi do Zeusa na rozkosze miłosne, czytamy:

»Rzekł, i *ścisnął w objęciach syn Krona swoją małżonkę;*
Boska ziemica pod niemi wydała trawki młodziutkie
. . . . . .
Rodzic więc tak nieruchomie spoczywał na szczycie Gargara,
Snem i miłością zwalczony, trzymając w objęciach małżonkę.
Wtedy dopiero Sen błogi, pospieszył ku łodziom Achajskim...«
(Iliada w tłóm. Popiela).

Jednak przyjdzie czas, kiedy i niebo dzienne zostanie wyniesione ze stanowiska kobiety do godności mężczyzny, a wtedy obadwa nieba, jakkolwiek różne pod względem swej istoty, zajmą równe miejsce co do swej wartości.

O przykłady trudniej tu, niż to było poprzednio. Schultze przytacza jeden tylko, a mianowicie, wzajemne stanowisko wspomnianego bóstwa Waruna i Mitry, który w religii indyjskiej, należący do drugiej klasy Dewas, uważany jest powszechnie za bóstwo słońca, jednak według zdania Schultzego i niektórych innych badaczy, niesłusznie. Należy go bowiem uważać za niebo dzienne, za jakie uchodził bóg perski Mitras, zanim pomieszano go później ze słońcem. Jest to tem prawdopodobniejsze, że Mitras nie uchodził zrazu za samo słońce, ale był »obok niego« geniuszem eteru lub jasnego nieba. W taki sposób mielibyśmy obok męskiego Waruny, również męskiego Mitrę; pierwszy przedstawia niebo nocne, drugi wyobraża dzienne.

Tymczasem pierwotny filozof poczyna ostatecznie naturalniej pojmować stosunek obu nieb do siebie, przychodzi bowiem do przeświadczenia, że właściwie jedno i drugie nie są to dwa odrębne nieba, ale jedno, występujące tylko w różnem oświetleniu, zawisłem w pierwszej linii od wschodu i zachodu słońca, które już tymczasem doczekało się boskiej godności. Teraz to, gdy tożsamościowość nocnego i dziennego nieba została stwierdzona, gdy nie ulega wątpliwości, że to, co zawsze i wszędzie widać nad ziemią, to, co rzuca pioruny i mówi grzmotami, to jedna i ta sama, wielka, potężna istota, zwraca się pierwotny człowiek ku słońcu i poczyna rozważać jego stosunek do nieba. Rozwiązanie zagadki samo rzuca się mu w oczy. Słońce jest bóstwem wielkiem, nad które żadne inne nie może się wynieść, niebo, uważane jako kobieta, mogłoby być jego żoną. A jednak nie! Ile razy bowiem wschodzi słońce, zawsze wydaje się, jakgdyby rodziło się z nieba, przeto najbliższą myślą, jaka może się w tym razie nasunąć, jest określenie stosunku nieba do słońca, jako matki do dziecka. Stajemy wobec tego na czwartym stopniu rozwoju, gdzie niebo uważane jest jako jedno, jako kobieta i matka boga Słońca. I na to przytacza Schultze tylko jeden przykład. Dotyczy on egipskiego bóstwa słońca Ra i matki jego Neith, czczonej jako niebo, niebo same, bez słońca. Jest ten Ra jej synem, ale synem,

spłodzonym nie z istotą męską, urodził się z niej bowiem jako z dziewicy, będąc sobie samemu początkiem. Że Neith rozumieć należy nie jako niebo dzienne tylko, lub tylko nocne, ale jako jedno i drugie, to wnosi Schultze z modlitw i hymnów ku czci słońca. Jeden z nich mówi: »Matka twoja, Niebo, wyciąga ku tobie ramiona swoje!« A drugi woła: »O Ojcze Bogów, ty promieniejesz na grzbiecie swej Matki, która chwyta cię codziennie w swe objęcia«. A dalej: »Gdy świecisz w mieszkaniu nocy, łączysz się z swoją matką, Niebem«. Pierwsze dwa odnoszą się niezawodnie do nieba dziennego, ostatni do nocnego, zaś wszystkie razem do jednej i tej samej Neith, matki boga Słońca.

Długo patrzy to Słońce na świat jako wszechwiedzące bóstwo, ale przyjdzie czas, kiedy ta jego rola zachwieje się i upadnie na korzyść nieba. Któż bowiem nie wie, że słońce nie zawsze jest na niebie, nie zawsze patrzy na świat, że zachodzi i znika z niebieskiego sklepu, aby czasem całymi dniami nie wyjrzeć, a wówczas nietylko nie wie, co dzieje się na ziemi, ale nie słyszy modłów, które człowiek do niego wysyła, nie może pomódz, gdy zajdzie nagła tego potrzeba. Przeciwnie Niebo! Zawsze, w każdej chwili i zewsząd spogląda na, leżący u stóp swoich, świat; w dzień patrzy, jakgdyby jednem okiem, słońcem, w nocy tysiącem gwiazd śledzi ludzi, którym to deszcz obfity zsyła, to użycza łagodnego ciepła, to pali ich skwarem lub smaga wiatrem, to przestrzega gniewnym rykiem w grzmotach, lub razi, zabija piorunem. Zresztą ta sama okoliczność, że Niebo rodzi Słońce, świadczy wymownie, że musi być ono starsze niż słońce, starsze niż księżyc i gwiazdy, a zarazem wiecznie żyjące, nieśmiertelne, bo nie odmładzające się nigdy i nigdy nie umierające. I tak wybija się niebo, uważane znowu za mężczyznę, ponad wszystko, pocznie uchodzić za ojca całego świata i władcę, za stwórcę wszech rzeczy. Bóg Niebo stanie się tedy głównym przedmiotem czci.

Takimi czcicielami Nieba, są niektóre tatarskie plemiona. Niebo rządzi, wedle ich wiary, całą armią mniejszych i większych duchów, ale samo wie o wszystkiem i wszystko od

niego zależy; także Tunguz kłania się mu i modli doń, jako do najwyższego bóstwa, które część swej nieograniczonej, przenikającej wszystko władzy, oddało słońcu, księżycowi i gwiazdom. Cześć Nieba jest zasadniczym czynnikiem religii chińskiej jeszcze do dziś dnia. Tien (niebo) jest zarazem najwyższym władcą, cesarzem Szang-tu, u którego boku stoi Tu, t. j. ziemia i od którego zależy mnóstwo duchów rozmaitego kalibru, zaludniających przyrodę, a wykonujących powierzone sobie czynności wedle pewnej, na zawsze stałej normy. Do niego to modli się Chińczyk: »O! błękitne Niebo! spojrzyj na dumnych i zlituj się nad nędznymi«. Zaznaczyć wypada, że rozumie on przez to Niebo nie duszę lub ducha nieba, ale samo niebo, jako takie, zaś z wyobrażeniem jego pozornego ruchu, około ziemi, łączy przyczynowo wszelki ruch każdego stworzenia. Przenika ono do tego stopnia duszę Chińczyka, że, jak to Tylor słusznie zaznacza, staje się wreszcie ogólnem określeniem posłuszeństwa, powinności, obowiązku. Chińczyk powiada: »Każdy urzędnik chińskiego państwa jest sługą i przedstawicielem Nieba. Cóż ono mówi? »Nie«, nie mówi Niebo: daje rozumieć się przez tok wypadków, a więcej nic ponad to«.

Wielu krajowcom Afryki nie jest także obcą cześć Nieba, jako najwyższego bóstwa, chociaż tu i ówdzie, tak mdłą i niewidoczną jest ta wiara, że da się odczytać zaledwie z praktyk, towarzyszących deszczowym czarom, lub zażegnywaniu burz. Czasami też świadczą o niej imiona t. zw. »bóstw obojętnych«, gdyż są one, jak twierdzi Frobenius, identyczne z wyrazem »niebo«. Takimi są n. p. bóstwa Joruby: Obatala i Olorun. Ten ostatni jest starszem bóstwem niż Obatala, gdyż on Obatalę stworzył, poczem oddał mu niebo, którego był panem. Sama bowiem nazwa Olorun wyraża »pan nieba«. Tego Obatalę, następcę Oloruna, czyli raczej dziedzica jego posiadłości niebieskich, wyobraża sobie krajowiec Joruby bardziej antropomorficznie, aniżeli Oloruna. Jak wspomnieliśmy już to poprzednio, jest on »bóstwem białej szaty«, białe są więc jego świątynie, białe obrazy, takież suknie kapłanów i reszty służby, białe godła

i amulety. Olorun natomiast nie ma żadnych ołtarzy, żadnych nie posiada kapłanów, nikt nie odtwarza jego wizerunków, nikt prawie do niego nie zwraca się i chyba tylko wówczas, gdy zawiodą wszystkie inne bóstwa, ucieka się do niego zrozpaczony wyznawca, próbując tutaj wyżebrać to, czego odmówiono mu gdzieindziej. Można powiedzieć wogóle, że Olorun żyje więcej w przysłowiach, aniżeli w kulcie, odbiera stosunkowo rzadko modlitwy i nie ma świątyń, w których przemieszkiwałby i gdzie mogliby się gromadzić wierni wyznawcy. Ta właśnie okoliczność przemawia tembardziej za tem, że Olorun jest niebem, wszędzie bowiem sam jest obecny, wszyscy go widzą i każda piędź ziemi jest jego świątynią i może być jego ołtarzem, a przypuszczenie to potwierdza wiara, że on stworzył Obatalę i oddał mu niebo, którem sam niegdyś zarządzał.

Njongmo, Niebo, jest najwyższem bóstwem Negrów Złotego wybrzeża. Czczą go oni za to, że zsyła im żyzny deszcz na ziemię, a rankiem otwiera słońcu wielką bramę, modlą się do niego, a on wysłuchuje czasem ich żądań, chociaż jest wielkiem bóstwem, które zasłania się chmurami, a na twarzy nosi mnóstwo ozdób, które lśnią jasno, widoczne z ziemi jako gwiazdy. Można codzień rano widzieć tych czarnych wyznawców, jak spieszą gromadnie nad rzekę, leją sobie na głowę wodę, sypią piasek na włosy, a rozwarłszy szeroko ręce i wzniósłszy ku górze oczy, szepcą: »Eksuwais, Eksuwais, Eksuwais! Daj mi dziś ryżu i yam, daj pieniędzy, niewolników, skarby i zdrowie, użycz rzeźkości i chyżości!« I w wielu innych nazwach bóstw Negrów można odkryć ślady kultu nieba. Nyankupon tłómaczy Barth jako wysokie miasto Nyame, czyli Niebo, zaś na Loango czczą niebo wraz z jakimś duchem ziemnym, Nkissi. Ile jednak tkwi antropomorfizmu w tej czci, świadczy zdarzenie, którego świadkiem był J. Champon w Setschilis w r. 1854.

Oto wówczas dało się uczuć silne trzęsienie ziemi, czem wzburzone kobiety, powybiegały z siekierami i młotami na ulicę i poczęły grozić Niebu i posyłać pod jego adresem rozliczne przekleństwa w nadziei, że przestraszy się tej de-

monstracyi i zaprzestanie niesmacznych żartów, grożących poważną katastrofą krajowcom. W Akwapim jest najwyższem bóstwem Niebo, niższem Ziemia, trzeciem z rzędu, jeden z największych fetyszów, Rosumbra. To też przed ofiarą i każdą ważniejszą czynnością modlą się: »Stwórco, chodź, pij! Ziemio, chodź, pij! Rosumbra, chodź, pij!«

U starożytnych spotykamy niemniej wyraźne ślady kultu Nieba. W religii Fenicyan występuje jako najwyższy bóg, Baal, bóstwo dwupostaciowe: jako Melkart i Baalsamin. Ta ostatnia nazwa, tłómacząca się, jako »pan nieba«, dowodzi właśnie, że nie jest to jakieś bóstwo nadnaturalne, ale ściśle naturalne, związane z niebem, jako takiem.

Herodot wspomina, że starzy Persowie nie mieli zwyczaju stawiać świątyń lub ołtarzy, ale odprawiali nabożeństwo swoje na wysokich górach, przyczem wzywali całe Niebo. Przez to Niebo rozumie niewątpliwie Herodot wspomnianego powyżej Mitrę, który uchodził równie za niebo dzienne, jak też i za nocne, o czem świadczą o nim wzmianki, jako o 10000 okiem stróżu świata.

Obok wielu innych zdradza się podobna wiara u Rzymian w wyrażeniach: »sub Jove, sub dio« lub divo, co znaczyło »pod gołem niebem«; w zwrotach Ateńczyków, którzy modlili się: »Padaj, o padaj, kochany Zeusie, na ateńskie łąki i pola«, lub też w wyraźnych wzmiankach niektórych autorów, jak Arystotelesa, który pisze o Ksenofanesie, założycielu eleackiej szkoły filozoficznej, iż mawiał: »εἰς τὸν ὅλον οὐρανὸν ἀποβλέψας, τὸ ἓν εἶναι φησι τὸν θεὸν«.

I u nas używa się w mowie wielu wyrażeń, które należy uważać za zabytki czci nieba. Niechaj dosięgnie go zemsta Niebios, Niebo na ciebie patrzy, Nieba niechaj ci przebaczą i t. p.; wszystko to niewątpliwie świadczy o przeszłości, wspólnej wszystkim narodom na ziemi.

Dla uzmysłowienia tej kolei, którą miały przechodzić ciała niebieskie w wierzeniach ludzi, rozumianych, nie jako poszczególne plemiona, nie jako większe lub mniejsze towarzystwa, ale jako całość, jako ludzkość wogóle, niechaj posłuży następująca tabliczka:

1. Księżyc, Słońce.

	mężczyzna	kobieta	rzecz
I	księżyc	—	słońce
II	księżyc	słońce	—
III	księżyc i słońce	—	—
IV	słońce	księżyc	—

2. Niebo.

	mężczyzna	kobieta	słońce najwyższe bóstwo
I	niebo nocne	—	
II	niebo nocne	niebo dzienne	
III	niebo nocne i niebo dzienne	—	
IV	—	Niebo całe: matka najwyższego boga, Słońca	
V	niebo całe jako ojciec i stwórca, pan wszechświata	—	

Rozchodziłoby się jeszcze o wyjaśnienie rodzaju czci, którą odbierają te bóstwa kosmiczne, należałoby jeszcze wykazać, czy wyznawca, modląc się do Słońca lub kłaniając się Niebu, wychodzi ze stanowiska fetyszyzmu, czy też rozumie je animistycznie, wreszcie wypadałoby poznać, czy dane bóstwo stanowi samo jedyną, najwyższą istotę, poza którą niema innych, czy też jest tylko jednym z członków

w całej hierarchii bogów, różnej wielkości i znaczenia (wielobóstwo, politeizm).

Owóż, co do pierwszej kwestyi trzeba zaznaczyć, że najczęściej kierunek fetyszystyczny i animistyczny tak nieznaczną i nie dającą się uchwycić przedzielone są granicą, że po prostu jedno przechodzi w drugie i niepodobieństwem jest oznaczyć, czy wyznawca, będący na pozór fetyszystą, nie zmienił już swoich poglądów w kierunku animistycznym. Pouczający w tej mierze przykład przytacza Haller. Oto gdy raz usiłował on pewnemu Negrowi wytłómaczyć, jak dziecinnym jest zwyczaj, przynoszenia ofiar z pokarmu i napojów, czczonemu jako fetysz, drzewu, skoro ono tych pokarmów nie rusza, odparł zagadnięty: »O! toż przecież samo drzewo nie jest fetyszem! Fetyszem jest niewidoczny duch, który w tem drzewie osiadł i który, jakkolwiek nie może spożyć naszych potraw, jako takich, to przecież zjada ich duszę, pozostawiając ciało nietknięte«.

W tem odezwaniu się przebija się widoczny pogląd animistycznej natury, przez stare fetyszystyczne poglądy. Podobnie zlewają się fetyszystyczne i animistyczne poglądy w religii wielu północno-amerykańskich plemion Indyan. Huronowie n. p. czcili Niebo, które nazywali »Aronhiate«. Używali tego imienia w każdej potrzebie, wołając: »Aronhiate, spoglądnij na moją ofiarę, zlituj się nademną i dopomóż mi«. Równocześnie jednak udawali się do potężnego ducha »Oki«, zamieszkującego niebo, wzywali również jego pomocy, składali przysięgi pod jego wezwaniem i bali się go, gdyż »Niebo słyszy co robimy dziś i obawiamy się kary, gdybyśmy złamali przysięgę«.

Z chwilą jednak, kiedy człowiek oddziela materyę wyraźnie od duszy, wynosząc tę ostatnią ponad materyę, kiedy zatem wyobraża sobie, że duch istnieje niezależnie od materyi, którą tylko rządzi wedle swej woli, z tą chwilą stawia pierwotny filozof pierwszy krok do wielobóstwa. Wyrazem najpierwotniejszych wierzeń pierwszego rodzaju jest zwrot: bóg Słońce, bóg Niebo, przykładem drugich, Bóg słońca, Bóg nieba; w pierwszym razie jest n. p. słońce samo,

jako ów widoczny z ziemi, świetlany przedmiot, bóstwem, w drugim jest on tylko narzędziem, którem bóstwo, znajdujące się ponad niem, kieruje. W jaki sposób może nastąpić taki zwrot w wierzeniach, poucza, opisane przez jednego z uczonych, zdarzenie:

Było to w czasie wielkiej uroczystości »Raymi«, kiedy pewien znakomity Inkas, począł pilnie wpatrywać się w niebo i przyglądać się słońcu. Zauważywszy to jeden z kapłanów, zwrócił mu uwagę na niestosowność czynu, a skoro to nie pomogło, upomniał go, przedstawiając, że taka wyzywająca poza nie jest odpowiednią wobec bóstwa. Na to odpowiedział mu Inkas w ten sposób:

»Chcę zapytać cię o dwie rzeczy. Oto jestem waszym królem i panem. Czyżby któryś z was odważył się, gdyby mu wpadło to na myśl, rozkazać mi, ażebym wstał w tej chwili z swego siedzenia i ruszył w podróż? A czy najpotężniejszy, chociażby i najbogatszy z moich poddanych, śmiałby wzbraniać się, natychmiast pobiedz do Chili, gdybym mu to uczynić rozkazał?« »Rozumie się, że nie«, odparł kapłan.

»Owóż powiadam ci, mówił król dalej, musi być ponad tym naszym ojcem Słońcem, jeszcze jakiś większy i możniejszy pan, który rozkazuje mu odbywać drogę, którą ono codziennie, nie zatrzymując się ani na chwilę, zakreśla. Boć przecież jasne, że, gdyby ono samo było najwyższym władcą, to pewnie nie chciałoby się mu wiecznie tę samą przebiegać drogę i wypoczęłoby sobie wedle swej woli, nawet wówczas, gdyby niekoniecznie tego potrzebowało«.

Inny zaś Inkas mawiał:

»Mówią, że Słońce jest stwórcą wszech rzeczy. Aleć przecież, jeżeli coś ktoś tworzy, toć musi być przy tej rzeczy, którą tworzy, a tymczasem, ileżto powstaje rzeczy, kiedy Słońca niema. Przeto ono nie może być stwórcą rzeczy«.

Tak z fetyszystycznej zrazu czci poszczególnych przedmiotów, powstaną bóstwa niższe lub wyższe, słabsze i potężniejsze, zależnie od tego, jaką była materya, w której duch ten niegdyś przemieszkiwał. Bóg nieba będzie tedy

potężniejszym niż bóstwo rzek i strumieni, a że zawsze przykłada człowiek pierwotny do wszystkiego swoją własną miarę, przeto stosunki i urządzenia ludzkie wnikną w nowy świat bogów, rozklasyfikują ich i podporządkują jednych pod drugich, potworzą sługi, rządców i panów, władców, którym wszyscy muszą podlegać. Będzie to najwyższe, najpotężniejsze bóstwo, istniejące u wszystkich niemal ludów pierwotnych, często jako dość wyraźnie określona istota, często mgliste i niedostępne do tego stopnia, że dopiero na drodze mozolnych poszukiwań można wykazać jego ślady.

Z czasem ten najwyższy, potężny bóg nieba wzrośnie jeszcze bardziej w znaczenie. Ponieważ zmysły nie mogą okazać człowiekowi nic większego, nic wyższego, nic dobroczynniejszego a zarazem bardziej groźnego w swej potędze, jak niebo, ponieważ ono jest stwórcą i panem wszystkich innych bogów, przeto znaczenie tego boga nieba wzmoże się do tego stopnia, że nie zniesie obok siebie pomniejszych bóstw, które dotąd chciały samodzielnie panować i zostanie jako jeden, najwyższy bóg w niebie.

Że możliwym jest postęp w tych ostatecznych niemal granicach, nawet u ludów pierwotnych, świadczy przykład Nezahualcoyotla, króla Meksyku. O ile, pielęgnując wszystkie umiejętności, uczynił rezydencyę swą, Tezcuco, przybytkiem nauk, o ile wpływał dodatnio w tym duchu na swoich poddanych, którym nadał mądre prawa, o tyle, kształcąc się sam nieustannie, wyniósł się umysłem ponad innych, prześcignął ziomków swoich o całe wieki w postępie. Cała przyroda była przedmiotem jego studyów, jednak szczególniej zajmował go bieg gwiazd. Śledząc bacznie ruchy ich i ich drogi, doszedł własną pracą do wielu ważnych astronomicznych spostrzeżeń, a, badając przyczyny zjawisk, zrozumiał niebawem bezwartościowość czci bałwanów, stanowiących przedmiot nabożeństwa jego ludu. Uznając bezowocność gwałtownego przeciwdziałania, nie występywał przeciw wierze przodków, a nawet sam zdawał się ją wyznawać, przecież w głębi duszy czuł inaczej, gdyż, jak to synom swoim w zaufaniu powiedział, »czcił tylko stwórcę nieba, niewidzial-

nego boga, nieznanego boga, przyczynę wszelkiej przyczyny«. Temu to bogu zbudował kilkupiętrową wieżycę i pokrył ją dachem, na którym iskrzyły się złote, gęsto zasiane gwiazdy, a kiedy, umyślni słudzy w oznaczonych porach uderzali w duże, dźwięczne, metalowe, talerze, padał król na kolana i modlił się. I z malowideł i z hymnów na cześć »boga w niebie«, z których jeszcze w XVI stuleciu znano w Hiszpanii około sześćdziesiąt, widać, że przełamał on niemal zupełnie idee wielobóstwa i dotarł przez kult gwiazd do granic monoteizmu.

I tak to postępuje myśl ludzka i wzbija się coraz wyżej i wyżej. Od czci zwierząt, od najprostszych wyobrażeń o duszy posuwa się ona do kultu zmarłych i dochodzi do czci przodków, stając zarazem w połowie swej drogi, u wrót niższej mitologii. W tym pierwszym okresie rozwoju nie wychodzi umysł ludzki poza granice ostatecznego losu człowieka na ziemi, nie wybiega poza problemat śmierci.

Na odmienne tory wkraczają wierzenia dopiero w drugiem stadyum, wówczas, gdy, zwróciwszy się ku ciałom niebieskim, otwierają człowiekowi drogę do wyższej mitologii, mitologii słonecznej, poprzedzonej czcią księżyca, a zamkniętej kultem nieba. Tej to właśnie wyższej mitologii, zabarwionej często śladami manizmu, przypada w udziale zadanie, wykrycia przyczyn zjawisk w przyrodzie, rozwiązania zagadki początku życia, stworzenia bóstwa, z którego z czasem wykrystalizuje zasada monoteistyczna.

Jak różne mogą być czynniki w tej mierze, to pewnem jest, że prawa kolei rozwoju wierzeń wspólne są wszystkim ludom na ziemi, tak, jak odpowiednim stopniom kulturnym społeczeństw, wspólnym jest charakter bóstw, przypominających zawsze i wszędzie słowa Psalmisty:

»Sądziłeś, żem podobny do ciebie«.

KONIEC.

TREŚĆ ROZDZIAŁÓW.

Do str. 8.

Wyjaśnienie wyrazów: bóg, religia, wierzenia. Tak zwane »ludy bez religii«. Trudność badań i ich wyniki.

Do str. 12.

Przyroda i człowiek jako źródło wierzeń. Niezrozumiałe dla naszego sposobu myślenia zwyczaje ludów pierwotnych.

Do str. 21.

Przyroda w świetle antropopatycznem. Stanowisko człowieka pierwotnego wobec zwierząt. Echa tych zapatrywań w wierzeniach naszego ludu. Bezwzględna podmiotowość w wiązaniu zjawisk w stosunku przyczynowym i jej przyczyny. Człowiek pierwotny jako istota czysto zmysłowa. Bystrość spostrzegania. Pamięć.

Do str. 37.

Fetyszyzm, jego istota i powstanie. Wyjaśnienie znaczenia wyrazu. Ilość fetyszy, ich ofiary i świątynie. Niewolnicze stanowisko fetyszysty. Król jako kapłan fetyszy w oczach swoich poddanych. Fetyszysta jako pedagog swego bóstwa. Fetysze i przeciwfetysze. Powstanie kasty kapłanów-fetyszy. Powołanie kapłana i rola jego wobec króla. Chitome. Zewnętrzna postać fetyszy. Fetyszyzm a kult przodków. Fetyszyzm wśród ludów kulturnych. Fetyszyzm pozorny. Wyższe systemy religijne a ludy pierwotne. Rozkład fetyszyzmu.

Do str. 52.

Życie i śmierć jako źródła poznania duszy. Pulsa jako dusza. Krew i serce jako dusza. Sposób zabijania zwierząt u żydów, jako wypływ

wyobrażeń o duszy. Wypijanie krwi na oznakę pokrewieństwa. Ciepło i oddech jako dusza. Echa poglądów tego rodzaju w słownictwie. Cień w wierzeniu ludów pierwotnych. Cień jako dusza. Ślady takich wyobrażeń w zwrotach, używanych w naszem słownictwie i w wierzeniach ludowych. Wiara w jedną, dwie, trzy, cztery i siedm dusz. Dusza jako materya. Łapanie dusz na pętle. Wiązanie duszy złodzieja u Negrów. Chwytanie duszy ręką. Inne wyobrażenia. Postać duszy. Zwierzęta jako przedstawiciele duszy. Możliwa geneza tego rodzaju poglądów.

Do str. 70.

Dusza jako siedziba wszelkich przymiotów, korzystnych w walce o byt. Połykanie duszy u Niassarów. Fanani czyli robak-dusza. Jaszczurka-dusza w wierzeniu Madagassów. Robak-dusza jako wróżbita. Praktyki policyjne za pomocą »jaszczurki-duszy«. Wypijanie gnijących soków z trupa, sposoby tych czynności i związane z nimi wierzenia. Nacieranie się gnijącem ciałem nieboszczyka jako wyraz małżeńskiego przywiązania. Powolna zmiana zapatrywań: upadek zwyczajów fanani. Echa ich gdzieindziej. »Święte garnki« Dajaków czyli »djawety«. Nazwy ich, wygląd i sposób nabycia. Dusza świętych garnków. Naukowe wyjaśnienie ich źródła. Dajacki mit o ich powstaniu. Rola świętego garnka, jako pamiątki rodzinnej. Co to jest »dusza« djawetów? Prawo odwrócenia: mit o pochodzeniu ludzi z krainy umarłych; mit z Samoa i Tonga o Tuli jako twórcy ludzi z robaków; mit nowozelandzki o powstaniu ludzi z jaszczurki. Skrapianie krwią kury jako duszy. Ptak jako dusza przodków. Wprowadzanie duszy umierającego do naczyń lub kosza. Djawety jako mieszkania duszy przodków. Echa tych poglądów w świecie cywilizowanym.

Do str. 112.

Otwory w ciele jako ujścia dla duszy. Środkowy palec jako ujście dla duszy. Sen jako dowód, że dusza opuszcza ciało i przedsiębierze dalsze wędrówki. Trudność powrotu duszy do ciała, jako przyczyny przestrachu, chorób a nawet śmierci. Druga dusza w wierzeniach ludów pierwotnych. Zachowanie się duszy przy kichnięciu. Życzenia, posyłane z okazyi kichnięcia u ludów pierwotnych i cywilizowanych. Chwytanie dusz, odbywających senną wędrówkę, do sieci. Naprawa nadwerężonych dusz. Losy ciała w stosunku do losów duszy. Kara ścięcia głowy w świetle wierzeń ludów pierwotnych. Dusze umarłych ludzi jako wrogie czynniki dla żyjących. Widma senne a choroby i śmierć. Wierzenia naszego ludu wiejskiego; zmora. Wypędzanie dusz na Złotem Wybrzeżu. Ziewanie i praktykowane przy niem zwyczaje. Kichanie a choroba. Wyjaśnienie i geneza form używanych przy kichaniu. Kichnięcie jako pomyślna wróżba. Wróżby z kichania. Wędrówka dusz w ciała ludzkie i próba genezy tego rodzaju wierzeń. Wędrówka dusz a zjawiska dziedziczności.

Odrodzenie się zmarłych w przyszłych pokoleniach. Zajście w ciążę a wędrówka dusz. Wierzenia podobne u ludów kulturnych. Wędrówka dusz w ciała zwierzęce i próba jej genezy. Wędrówka dusz ludzkich w rośliny. Dusze roślin. Duchy leśne i obrzędy przy ścinaniu drzew. Święte drzewa i gaje. Zabytki tych wierzeń u ludów słowiańskich. Losy duszy, przebywającej obok ciała. Demony i sposoby wykrycia ich obecności. Ludy pierwotne a dusze zmarłych. Upiór w wierzeniu ludów pierwotnych i cywilizowanych. Echa tych wierzeń u ludu naszego wiejskiego. Błędne światła. Obawa przed duchami jako szkodliwy czynnik w rozwoju gospodarstwa. Opuszczanie domu zmarłego. Sposoby niweczenia i odpędzania dusz zmarłych od mieszkań ludzkich. Wierzenia u ludów pierwotnych i cywilizowanych. Ślady tych wierzeń u Słowian. Sposoby pozbywania się duszy zmarłego u naszego ludu wiejskiego. Tułaczka duszy a pogrzeb. Wierzenia u starożytnych. Sposoby witania się, wyrosłe na tle wiary w złe duchy. »Dusze na pokucie« u ludu polskiego i ruskiego. Topielice, strzygonie, nocnice i t. d. Pojęcie nieśmiertelności duszy u ludów pierwotnych. Starość duszy i śmierć jej. Karmienie dusz u ludów pierwotnych, tudzież wysyłanie pokarmów do krainy dusz. Takież wierzenia u ludów starożytnych, w dziejach wieków średnich i dobie współczesnej.

Do str. 156.

Rozwój wyobrażeń o »krainie dusz«. Żywi jako przynoszący wiadomość o krainie dusz na ziemię. Mity o wędrówce żywych do kraju umarłych. Widziadła senne i popęd samozachowawczy jako źródła wierzeń o krainie dusz. Teorya dalszego trwania: życie przyszłe jest dalszym ciągiem życia na ziemi. Kraina dusz Todów, Oltszów, Dajaków. Zabijanie lub grzebanie żywcem. Wpływ teoryi »dalszego trwania« na życie człowieka. Kwestya »nagrody i kary« w przyszłem życiu. Rozdział pierwotnej krainy dusz na dwie. Wpływ pierwiastków społecznych na utworzenie podziałów w pozagrobowej krainie. Kraina dusz jako wyraz niezadowolenia z ziemskich stosunków. Stan kulturny a ideały przyszłego życia. Kraina dusz według wierzeń naszego wiejskiego ludu. Położenie krainy umarłych. Wiadomości geograficzne ludów pierwotnych a pomieszczenie świata umarłych. Niebo jako kraina dusz. Podziemny świat umarłych. Kwestya przewodnictwa duszy w drodze do krainy umarłych. Próba wyjaśnienia powstania pojęć o zachodzie, jako krainie dusz, i słońcu, jako przewodniku dusz zmarłych na żywot pozagrobowy. Anglia jako kraina duchów; inne światy umarłych. Włókno jako symboliczne przedstawienie drogi słońca. Mity pętlowe. Włókno odprowadzające dusze zmarłych do krainy pozagrobowego życia. Włókno jako przewodnik bóstw. Leczenie bezdzietnych małżeństw u Negrów za pomocą pętli. Bóstwa »zjadające dusze«. Mity słoneczne, stworzone drogą odwrócenia. Ptak jako przewodnik dusz. Związek ptaków ze słońcem. Kura

jako przewodnik dusz. Okręty umarłych. Droga do krainy dusz, leżącej na morzu, a dzieje wędrówki plemienia. Łodzie umarłych. Dzióby okrętowe z wizerunkami ptaków, jako przewodników dusz. Ptak na początku świata. Mit o stworzeniu u Filipińskich Tagalów. Ptak, ożywiający posągi bogów. Pióra ptaków jako siedziba duszy. Analogiczne pojęcia u ludów słowiańskich. Połączenie mitów słonecznych, ptasich i wodnych. Okręty umarłych u Dajaków. Mit Tsimsiam. Zwierzęta ssące: pies i świnia, jako przewodnicy dusz. Droga do krainy umarłych a stan kulturny wyznawców. Stadyum przejściowe i ślady, rodzącej się teoryi nagrody i kary po śmierci. Trudności drogi a pojęcia etyczne ludów pierwotnych. Kwestya zapłaty w życiu przyszłem jako pojęcie rodzime u ludów pierwotnych. Wyobrażenia o piekle jako ognistej otchłani, jako wpływ wyższej cywilizacyi. Trzeci oddział w krainie dusz, czyściec. Postęp etyczny i nowe podziały świata umarłych.

Do str. 217.

Obrzędy pogrzebowe a wierzenia ludów pierwotnych. Zjadanie zwłok. Porzucanie umarłych na pastwę zwierzętom. Parskie wieże milczenia. Pogrzeby u Parsów a święta księga Zendawesta. Zatapianie zwłok w wodzie. Czółna, wiozące zwłoki do krainy umarłych, znajdującej się na dalekim zachodzie. Trumny u ludów pierwotnych. Kraina umarłych jako wyspa na zachodzie. Geneza tej idei. Chowanie w ziemi. Łódź umarłych. Trumny przedhistoryczne. Zwyczaj palenia ciał. Podanie Bonaków. Szkodliwość tego zwyczaju ze stanowiska nauki. Kombinacya pogrzebów przez puszczanie zwłok na wodę i palenie. Mieszkania ludzkie jako pierwsze groby. Porzucanie domostw wraz ze zmarłym. Domki pośmiertne. Zwyczaje szczątkowe. Groby skalne. Dolmeny, menhiry, kromlechy. Wystawianie zwłok nad ziemię, podyktowane warunkami środowiska. Zwyczaje zachowywania sztucznego bądź to całego ciała, bądź pewnych jego części. Wiara w możność powrotu duszy, do swego ciała lub pewnych tylko organów jego jako przyczyna konserwowania zwłok zmarłych. Rozmaite sposoby zachowywania trupów. Kosze, skrzynie i urny do przechowywania resztek ciała zmarłego. Pogrzeby, jako otwarta księga wierzeń ludów pierwotnych. Wpływ teoryi dalszego trwania na ceremonie pogrzebowe i znaczenie jej dla pierwotnej gospodarki. Nadzwyczajna waga, jaką przywiązuje człowiek pierwotny do śmierci. Obchód pogrzebowy u Dajaków na Borneo. Dwu lub trzykrotna uroczystość pogrzebna dla jednego zmarłego u ludów pierwotnych. Wystawianie zwłok a wierzenia o czasie wędrówki do pozagrobowej krainy. Wystawienie zwłok a termin pogrzebu. Święta umarłych u różnych plemion pierwotnych. Zabijanie zwierząt na stypę. Podobne przykłady w Europie w ostatnich wiekach i echa tych barbarzyńskich praktyk, odzywające się jeszcze po dzień dzisiejszy. Przeżytki. Ofiary ludzkie. Dobrowolna śmierć żon na grobie mężowskim. Zabijanie, grzebanie żywcem i palenie żon i niewol-

ników wraz z ciałem zmarłego. Zwyczaje takie u ludów starożytnych. Upadek tego rodzaju obrzędów. Postaci przejściowe; formy zastępcze, przeżytki. Wysyłanie za zmarłym przedmiotów nieżywotnych i kwestya wierzeń w obecność u nich duszy. Zwyczaje takie u ludów pierwotnych, współczesnych, u ludów starożytnych i społeczeństw cywilizowanych w dobie obecnej. Rozwój oznak żałoby. Jej objawy u ludów pierwotnych. Pętla słoneczna przeniesiona do ceremonii żałobnych. Pętla słoneczna a oznaka zawarcia ślubów małżeńskich u ludów pierwotnych. Welon żałobny, pierścionki zaręczynowe i ślubne obrączki u ludów cywilizowanych. Pętla słoneczna jako amulet. Łańcuchy, pierścienie, kolczyki, korale. Analogiczne wyobrażenia u naszego wiejskiego ludu. Możliwa geneza »tabu« czyli »fadi«. Tabu, ciężące na osobach i połączone z tem praktyki. Nakładanie »tabu« na przedmioty, celem ochrony własności prywatnej. Nadużycia. Ogłaszanie i odejmowanie »tabu«. Tabuowanie całych miejscowości i jego skutki. Tabuowanie zwierząt. Tabu a kradzież. Tabu, jako źródło czci, kultu zmarłych. Wynikająca stąd możliwość zakładania wspólnych miejsc grzebania zmarłych, czyli cmentarzysk. Kult zmarłych jako wstępne stadyum manizmu, czyli czci przodków.

Do str. 262.

Związek żywych z duszami zmarłych. Duchy przodków, jako życzliwe, opiekuńcze duchy rodzinne. Wyniesienie ich do rzędu bóstw rodzinnych. Pamięć żyjących dla zmarłych. Rozmowy z duszami zmarłych, ofiary, święta duchów. Bohaterowie narodowi jako opiekuńcze duchy i półbóstwa; wysoko postawione osoby, jak naczelnicy, kapłani, jako półbóstwa za życia. Powiązanie losów bohaterów z losami ciał niebieskich i przesunięcie tych pierwszych do wyższej mitologii. Przykłady podobne u różnych plemion Oceanii i Afryki. Mit Szango. Mity Heitsi Eibib. Groby Heitsi Eibib. Bohaterowie i półbóstwa Grecyi i Rzymu. Bohaterowie skandynawscy. Wodan. Przeżytki zwyczajowe w Niemczech. Kult przodków u Słowian. Władcy umarłych. Euhemeryzm. Manizm i animizm. Cześć uosobionych sił przyrody i jej tworów obok czci zmarłych. Kult zwierząt. Totem. Totemy u różnych plemion pierwotnych. »Medycyna« czyli zwierzę opiekuńcze. Totemy u starożytnych; Egipcyanie, Grecy. Hipotezy co do powstania totemów. Hipotezy: Spencera, Lubboka, Tylora. Powstanie świata a manizm. Mity: Takuliów, Irokezów, Tinnehów, Bagobów, Dajaków. »Święte garnki« a pierwiastek totemistyczny. Rysunki na sarkofagach, postaci mogił. Pierwsze wizerunki zmarłych przodków. Inawy. Tajne związki. Maski naturalne i sztuczne. Maski związkowców Archip. Bismarka i zadanie związku, maski związkowców na wielowyspie indyjskim. Kult czaszek i kraniomania. Dajakowie jako śninacze głów. Wyprawa na poszukiwanie czaszek. Użycie czaszek. Przeżytki tego kultu w Tybecie. Ścinacze głów w Ameryce. »Faire coup«. Związek kultu czaszek z kultem przodków. Posążki zmarłych i próba wyjaśnienia po-

wstania ich. Powolna przemiana posągu zmarłego w posąg rodzinnego bóstwa. Pangalu-Balang. Znaczenie świętych figur. Święte laski. Amulety, czyli godła obronne. Powstanie ich. Amulety naturalne a zwyczaje »fanani«. Poszukiwacze sadła. Amulety zwierzęce. Amulety sztuczne. Posążki przodków. Pętla słoneczna. Azan, sase. Nadzwyczajna skłonność do ubóstwiania u niektórych plemion pierwotnych. Nadużycia w tej mierze. Dodatnie cechy manizmu.

Do str. 289.

Trudność obcowania z duchami przodków. Czarodzieje i szamani. Sposoby porozumiewania się z duchami. Ekstaza i sposoby sprowadzania jej. Szkoła czarodziejska u Galela i Tobelorozo. Wtajemniczanie w praktyki czarodziejskie u Winnebagów. Tajne związki a czarodziejstwo. Kult pojawiających się duchów. Bóg wojny u Maorów. Czary i zakres ich działania. Kobiety jako czarodzieje. Zewnętrzny wygląd czarodzieja. Czary a kult przodków. Stanowisko czarodzieja w oczach wyznawców. Szkodliwy wpływ czarodziejów. Śmierć jako dzieło czarów. Wykrywanie domniemanych sprawców śmierci. Leczenie chorób przez przejednanie lub wypędzenie demona choroby. Domki ofiarne dla duchów chorobotwórczych na Sumatrze. Wyciąganie demona choroby z żołądka u Dajaków. Zabijanie duchów choroby strzałami i wyklinanie ich. Scena czarodziejska u Jakutów. Zwrot od czarodziejstwa biernego ku czynnemu. Rozwój czarów deszczowych. Antropopatyczne środki, zmierzające do odegnania chmur. Innowacye jako przyczyna złego. Sprowadzanie deszczu. Naśladownicze metody. Czary deszczowe a kult przodków. Staroperuwiańskie naczynia z gwizdawką. Wąż a czary deszczowe. Tęcza i wąż. Podobne wierzenia u Słowian. Naczynia i inne przyrządy do »robienia deszczu«. Manizm a czary deszczowe. Czary deszczowe u naszego ludu wiejskiego. Spirytyzm nowoczesny jako odżytek kulturny.

Do str. 343.

Kult ciał niebieskich. Księżyc, jako bóstwo. Znaczenie księżyca i słońca dla plemion, w różnych warunkach klimatycznych i na różnych stopniach kultury. Słońce jako wróg życia w krajach gorących. Ożywcze działanie nocy. Księżyc w wierzeniach różnych plemion pierwotnych. Księżyc jako mężczyzna. Pozdrawianie wschodu księżyca u ludów Azyi, Afryki, Ameryki i Australii. Księżyc u starożytnych. Odmiany księżyca i stosunek ich do wzrostu i ubytku materyi w przyrodzie. Podobne wierzenia u ludu wiejskiego w Polsce i na Rusi. Zabytki czci księżyca u naszego ludu wiejskiego. Zaćmienia księżyca w wierzeniach ludów pierwotnych i podobne poglądy u starożytnych. Kult księżyca a wierzenia o śmierci. Człowiek, jako zawsze żyjąca i odmładzająca się istota na wzór zmian księżyca. Wierzenia tego rodzaju u plemion w różnych

częściach kuli ziemskiej. Przebłyski wierzeń o konieczności śmierci a dawne prądy. Mity śmierci u mieszkańców Oceanii i u plemion Afryki. Początek mitologii słonecznej. Słońce jako rzecz. Słońce jako słonina w wierzeniach Hottentotów, jako tarcza mosiężna wedle plemion amerykańskich i t. p. Słońce jako kobieta. Księżyc i słońce jako małżonkowie. Rozwiązywanie zagadnień astronomicznych na tle tego rodzaju pojęć. Fazy księżyca jako wypływ jego stosunków małżeńskich lub wielożeńczych popędów. Księżyc i słońce jako brat i siostra. Słońce jako mężczyzna, księżyc jako kobieta i żona, gwiazdy jako dzieci. Słońce i księżyc jako mężczyźni. Słońce jako bóstwo. Cześć słońca u różnych ludów pierwotnych; modlitwy, ofiary, wizerunki i t. p. w Azyi, w Afryce, Ameryce i Australii. Słońce u starożytnych. Rody słoneczne i takież urządzenia. Kult słońca w Europie. Echa tych zwyczajów wśród ludu w Polsce i na Rusi. Mity słoneczne. Zrozumienie konieczności śmierci. Mity nowozelandzkie o Mauim. Pętla słoneczna. Bóstwa słoneczne jako bóstwa umarłych u starożytnych. Słoneczne mity afrykańskie. Mit: Szango. Mit: Heitsi Eibib. Mitologia solarna a idee czci przodków. Próby wyjaśnienia przyczyn przesunięcia mitologii wyższej do niższej. Słońce jako miejsce pobytu dusz zmarłych. Prawa włączenia. Wschód i zachód jako kraina i symbol życia i śmierci. Wypływające z tych idei zwyczaje grzebania zwłok u niektórych plemion pierwotnych, tudzież składania modlitw, budowania świątyń i t. p. »Modimole« czyli afrykańskie wzgórza ofiarne na cześć słońca. Ludzkie ofiary. Mity stworzenia. Mit Wanyoro. Kameleon a słońce. Mit Eweów. Analogiczne mity starożytnych. Wierzenia, zrodzone drogą odwrócenia. Powstawanie ludzi z ziemi. Mit Kwat jako mit zachodu. Próba wyjaśnienia wierzeń o powstaniu ludzi z ziemi, kamieni i t. p. Mity o porwaniu ognia i próba wyjaśnienia ich powstania. Cześć ognia a cześć słońca. Słońce a ogień jako tożsamościowe pojęcia. Kult ognia. Modlitwa weselna u Mongołów. Cześć płomieni w Baku. Agnihotri. Kult ognia w różnych okolicach ziemi. Zabytki czci ognia u nas i gdzieindziej. Ogień, jako symbol bóstwa. Słońce a początki życia wielkich narodowych bohaterów i ich śmierć. Oddzielenie nieba od ziemi, jako największa zasługa bóstw słonecznych. Mity z Rajatei, z Nowej Zelandyi i t. d. Mity afrykańskie: Obatala i Odudua. Przeżytki tego rodzaju wierzeń u plemion kulturnych. Cześć gwiazd i wierzenia co do ich przeszłości. Nazwy zwierzęce, nadawane pewnym grupom gwiazd, jako zabytki totemizmu. Niebo i pierwotne wierzenia o jego istocie u różnych plemion. Niebo nocne i ziemia jako małżonkowie i stwórcy ludzi i wszelkich innych organizmów w przyrodzie. Początek świata a noc. Mity polinezyjskie o początku świata. Mit północno-amerykański, mit nowozelandzki. Zeus jako niebo nocne i żona jego, Ziemia. Uranus. Niebo dzienne jako mężczyzna, nocne jako kobieta. Przykłady podobnych wierzeń: Nu, Nut, Hera. Niebo dzienne i nocne jako mężczyźni. Przykłady: Waruna, Mitra. Niebo dzienne i nocne, jako jedna tylko istota.

Niebo a Słońce. Niebo jako matka Słońca. Przykłady: Ra, Neith; hymny i modlitwy. Upadek bóstwa Słońca na korzyść Nieba. Bóg Nieba głównym przedmiotem czci. Czciciele Nieba w różnych okolicach ziemi. Antropopatyczne znamiona kultu nieba. Kult nieba u starożytnych. Zabytki tejże czci u nas. Tabliczka uzmysławiająca kolej czci poszczególnych ciał niebieskich. Rodzaj czci, oddawanej słońcu i niebu u różnych plemion. Ewolucya poglądów dawnych i zamiana ich na nowe. Bóg Nieba jako najwyższy bóg i jedyny w niebie. Nezahualeoyotl, król Meksyku. Wspólność praw rozwojowych i charakteru bóstw u wszystkich ludów ziemi.

SPIS RYCIN.

Str.

1. Ren raniony, rzeźba na kości 17
2. Gliniany but Zuni z Ameryki południowej 17
3. Droga do świątyni fetysza w Lunda 26
4. Taniec około fetysza 31
5. Fetysz Wajaów z Niassa 32
6. Fetysz Bakundu z Kamerunu 33
7. Szereg rozwojowy bóstw z południowo-wschodniej Oceanii . . 34
8. »Kawok« czyli wielka jaszczurka 65
9. »Djawety« czyli święte garnki Dajaków z Borneo 67
10. Wieś Nyuma w Usindja we wschodniej Afryce 101
11. Drzewo umarłych u Finnów 102
12. Cmentarz i drzewo święte w Minda w zachodniej Afryce . . . 103
13. Trumna z Timorlaut 140
14. Dziób okrętu umarłych u Maorów 141
15. Okręt umarłych z północno-zachodniej Ameryki 141
16. Dziób okrętu umarłych z Kamerunu 142
17. Nowozelandzki dziób okrętu umarłych 142
18. Okręt umarłych, »Banama rohong« u Dajaków 145
19. Okręt umarłych, »Banama tingang« u Dajaków 146
20. Dekma, czyli parskie »wieże milczenia« 158
21. Trumna u Indyan północno-zachodniej Ameryki 161
22. Symbol łodzi umarłych z Nikobarów 163
23. Trumna Borum z Eschöi 164
24. Grób Senimolów w północnej Ameryce 165
25. Grobowce dolmenowe Madi 168
26. Podłużny i poprzeczny przekrój sztucznego wzgórza w Illinois 169
27. Przecięcie góry św. Michała 170
28. Grób Damara 171

Str.
29. Menhir z Argentynii 172
30. Mumia dziecka z linii Torresa 175
31. Preparowana czaszka z wysp Markezas 176
32. Ludzka szczęka dolna wraz z obojczykami jako bransoleta . . 177
33. Urna z Arkanzas 178
34. Pogrzeb Gilijaka 191
35. Grób szamana 201
36. Wdowa z wysp Aaru w żałobie 208
37. Wdowa Minkopiów na Andamanach 209
38. Namikanki z pierścieniami w nosie, jako oznaką małżeństwa . 212
39. Amulety z zachodniej Afryki 213
40. Naczelnik z Samoa 223
41. Tatuowany mężczyzna z plemienia Haida 232
42. Przekrój »mounds« w Ohio w postaci węża 240
43. Bożek przed chatami Kajanów 240
44. Inawy 241
45. Nowobrytańczycy w maskach, modelowanych na czaszce . . . 242
46. Maski z czaszek z Nowego Pomorza 243
47. Maski u różnych ludów pierwotnych 244
48. Tancerze dyabelscy na Ceylonie 245
49. Przybory dajackiego ścinacza głów 246
50. Kosz dajackiego ścinacza głów, ozdobiony czaszką 247
51. Ozdobiony czaszkami ludzkimi bęben Okwaów 248
52. Kubek z czaszki ludzkiej do picia u Aszanti 249
53. Północno-tybetański bęben ręczny z dwóch dziecięcych czaszek 250
54. Godło zwycięskie Mundruku 251
55. Drewniany posąg z nad Nigru 251
56. Wizerunek przodka z Celebes, z szafką na ofiary 252
57. Naszyjnik z ludzkich palców u Apalachów 254
58. Amulety z półn. Borneo 255
59. Wizerunek przodka jako amulet okrętu z wysp Salomona . . 255
60. Kolczyk i amulet wojenny z wysp Markwezas 256
61. Amulet sztuczny Goldów 257
62. Miska z Hawai 257
63. Amulety z Ubudszwa 258
64. Amulety Kafrów 259
65. Naczelnik i czarodziej plemienia Wakidi 260
66. Czarodziejka Sulu 268
67. Czarodziej plemienia Niam-Niam 270
68. Czarodziejski wachlarz z dzwonkiem 271
69. Kaftan szamański 271
70. Szaman czarujący na zwiadach 280
71. Szamanistyczne uzdrowienie chorego u Eskimosów 282

Str.
72. Staroperuańskie naczynia z gwizdawką 285
73. Naczynie do czarów deszczowych z Ussumao w Afryce wschodniej 287
74. Przyrząd do robienia deszczu z Ussukuma w Afryce wschodniej 288
75. Modlący się mahometanin 301
76. Jama, indyjski bóg umarłych, z pętlą do łapania dusz 308
77. Drewienka Kafrów do rozniecania ognia 322

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.
im. P[illegible]skiego

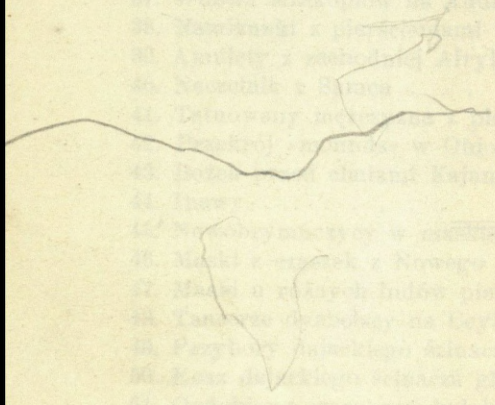

WYKAZ WAŻNIEJSZYCH DZIEŁ POMOCNICZYCH.

Berghaus H. Allgemeine Länder u. Völkerkunde, 6 tomów. Stuttgart 1837—1846.

Czobel S. Die Entwickelung der Religionsbegriffe. Leipzig 1901, 2 tomy.

Federowski M. Lud białoruski na Rusi litewskiej. Wyd. Kom. antropol. Akad. Um. w Krakowie 1902, 2 tomy.

Frobenius L. Die Weltanschauung der Naturvölker. Weimer 1898.

Grabowsky F. 1) Der Tod, das Begräbnis, das »Tivah« oder Todtenfest und Ideen über das Jenseits bei den Dajaken. Internation. Archiv. für Ethnogr. Bd. II, 1889. 2) Ueber die »djavets« oder heiligen Töpfe der oloh ngadju von Süd-Ost-Borneo. Zeitsch. für Ethnologie. Jhrg. VII, 1885.

Grimm J. Deutsche Mythologie. Göttingen 1854, 2 tomy.

Grünwedel A. Mythologie des Budhismus in Tibet u. der Mongolei. Leipzig 1900.

Kolberg O. Lud. Jego zwyczaje etc. Warszawa.

Lampert K. Die Völker der Erde. Stuttgart-Leipzig 1903.

Lang A. Mitologia. Kraków 1899.

Materyały antropol.-archeol. i etnogr. Tom II—IV. Kraków 1897—1900.

Müller F. Allgemeine Ethnographie. Wien 1879.

Müller J. G. Geschichte der amerikanischen Urreligionen. Basel 1867.

Ploss H. Das Weib in der Natur u. Völkerkunde. Leipzig 1899, 2 tomy.

Radliński J. Przeszłość w teraźniejszości. Warszawa 1901.

Ratzel F. Völkerkunde. Leipzig u Wien 1894, 2 tomy.

Riedel J. G. T. Galela u. Tobelorosen. Zeitschr. für Ethnol. XVII. J. 1885.

Schadenberg A. Die Bewohner von Süd Mindanao u. der Insel Samal. Zeitschr. für Ethnol. XVII Jhrg. 1885.

Schurtz H. Urgeschichte der Kultur. Leipzig u. Wien 1900.

Schulc. Mitologia słowiańska i historya mityczna Polski.

Schultze F. Psychologie der Naturvölker. Leipzig 1900.

Sieroszewski W. 12 lat w kraju Jakutów. Warszawa 1900.
Stanley H. Durch den dunklen Welttheil oder d. Quellen des Nils etc. 2 tomy. Leipzig 1878.
Svoboda A. Gestalten des Glaubens. Leipzig 1901, 2 tomy.
Tylor E. B. 1) Antropologia. Warszawa 1902. 2) Cywilizacya pierwotna. Warszawa 1896, 2 tomy.
Wisła, Miesięcznik, poświęcony krajoznawstwu i ludoznawstwu. Warszawa.
Zbiór wiadomości do antropologii krajowej. T. IV—XVIII. Kraków 1879—1895.
Zeitschrift für österr. Volkskunde. Jhrg. VI, VII, VIII.
Zeitschrift für Ethnologie. XVII Jh. — XXXV Jhrg.

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
54378/
12